

Judith Merkle Riley

Ogród Węża

The Serpent Garden

Przekład Barbara Korzon

Data wydania oryginalnego 1996

Data wydania polskiego 1998

Scandalous

*Pamięci życia i pracy Anne Trudeau*

Scandalous

## PODZIĘKOWANIE

Szczególne podziękowania składam mojej córce, Elizabeth Riley, która we wszystkich fazach powstawania książki była jej uważną i niezmiernie wnikliwą recenzentką, a także mojej redaktorce, Pam Dorman, za bystre oko i celne uwagi. Carolyn Carlson pragnę podziękować za jej inteligentną i rzetelną pracę redakcyjną, a Jean Naggar, mojej agentce, oraz całej mojej rodzinie za słowa otuchy, pomoc duchową i wsparcie. Naszym bibliotekom zaś, tym prawdziwym forpocztom kultury i cywilizacji, oraz ich nieocenionym strażnikom wyrażam tą drogą swój najgłębszy szacunek i wdzięczność - teraz i na wieki.

Scandalous

## PORTRET PIERWSZY

*Szkoła flamandzka, około 1490-1510. „Wesele w Kanie”. 34,3 x 32,7 cm. Nie ukończony rysunek piórem podmalowany farbą. Kolekcja prywatna.*

*Ten nie sygnowany obraz w stylu flamandzkim może być dziełem któregoś z naśladowców Van der Weydena. Zwraca uwagę podobieństwo kompozycji (patrz: tab. 32 „Uczta weselna”) i słaba znajomość anatomii, widoczna zwłaszcza w sposobie przedstawienia dolnych kończyn centralnej grupy postaci.*

### P. Michaels, Rysunek flamandzki doby Renesansu

Był rok 1514, kiedy to przeznaczenie i moje grzeszne uczynki rzuciły mnie w świat, stąd zaś na dwór króla Francji, w samo jądro tajemnej intrygi, z której żadna taka jak ja zacna angielska wdowa nie mogłaby wyjść bez szwanku. Powiadają, że do piekła prowadzą drobne występki, ja zaś zmuszona jestem wyznać, iż nazbyt lubowałam się w pięknych strojach i lepszych gatunkach wina, nie mówiąc już o wielkiej niegodziwości, jaką było malowanie nieskromnych obrazów, bym w dzień targowy mogła słyszeć dobywający się z mej sakiewki miły brzęk monet. Daleko mnie zawiodły te moje grzechy. Od cnotliwego, acz dosyć monotonnego żywota w domu ojca, gdzie czas upływał mi na studiowaniu malarstwa i życia Najświętszej Dziewicy, do owej bezecnej przebiegłości, jaką musi nasiąknąć portrecistka możliwych i malarka książąt. Ach, pięknie to brzmi, nieprawdaż? Próżność, tak, próżność to drugi twój grzech, Zuzanno, i to jeszcze wcale nie najcięższy. Wiele ich sobie wyrzucam. Lenistwo i gnuśność, bezwstydną oszustwo, bezwstydną cielesną miłość. Lecz... choć wiem, że powinnam czynić skruchę, żałować swojej słabości wobec pokus i tego, dokąd mnie one zawiodły, to przecież wielce mi trudno żał ten w sobie wzbudzić.

Jako malarka i córka malarzy, opowieść o swoich występkach rozpocznę od owego szkicu, który miał być portretem ślubnym, a okazał się ostatnim rysunkiem, jaki wykonałam w domu mego ojca, nim przyszło mi dom ten opuścić po zgonie rodzica. Ojciec mój był mistrzem rzemiosł malarskich, sprowadzonym z za morza przez starego króla Henryka, który zlecił mu przemalowanie postaci świętych w królewskiej kaplicy w Sheen. Będąc Flamandem, a więc człowiekiem upartym, jako też przeciwnym wszelkim nowościom, miał wychować córkę zgodnie z obyczajem angielskich niewiast, wyuczył mnie swego rzemiosła, całkiem jakbyśmy nadal żyli w starym kraju. Ten pierwszy mój portret nigdy nie został

ukończony. Nad uroczystą flamandzką szatą, gdzie powinna znajdować się twarz oblubieńca, pozostała jedynie plama ukazująca jej kontur. Panu młodemu zamierzałam nadać rysy mego narzeczonego, Rowlanda Dalleta, mistrza Londyńskiej Gildii Malarzy, pannę młodą zaś oblec w czerwoną suknię upiętą na niebieskim spodzie, a jej oblicze uczynić moim, wszelako i ona pozostała na zawsze postacią bez twarzy i barw. Gdy dziś wracam do tego pamięcią, myślę, że zamiast mistrza Dalleta lepiej by mi było poślubić tę sztywną flamandzką szatę. Wtedy jendakowoż wszystko potoczyłoby się inaczej.

Scandalous

Chybotliwe światła trzech latarni z wolna przesuwały się nad zrytym wykopami placem, gdzie na ruinach świątyni templariuszy wznoszono obecnie jakąś nową budowlę. Niedawno wybiła północ. Dwóch spośród przyświecających sobie latarniami mężczyzn niosło łopaty, trzeci, wysoki i bogato odziany, prowadził ślepego starca dzierżącego w rękę długą rozwidloną różdżkę. Przystanęli przy głębokim dole, z którego wзираł osmiokątny fragment fundamentów starożytnej baszty, zwanej niegdyś Le Bastelle.

- Różdżka, łaskawi panowie... Czuję, że wychyla się ku dołowi. W tym miejscu pod ziemią jest jakiś szlachetny metal - wyjąkał ślepy Barnaba.

- Tak, to musi być tutaj, sir Septimucie - potwierdził żywo młody smagły mężczyzna w skórzanym kaftanie i długich ubłoconych butach. - Tu, gdzie będą kłaść fundamenty pod nowe refektorium. - Uniósł wyżej latarnię, by dokładniej zbadać świeży wykop.

- Na cóż więc czekasz, starcze? - niecierpliwie zapytał czwarty mężczyzna, prawnik nazwiskiem Ludlow. Szczelniej opatulając się grubym płaszczem, zapuścił wzrok w głąb wykopu.

- Na moją zapłatę, wasze lordowskie moście - odpowiedział drżącym głosem stary. - Obiecaliście odprowadzić mnie do domu, jak tylko wskażę wam miejsce.

- Co też uczynimy, kiedy rzecz zostanie odkopana - łagodnie odrzekł przewodnik ślepeca.

Musiało to być coś szczególnego, żaden bowiem zwyczajny skarb nie skłoniłby pana Septimusa Croucha, sędziego, zbieracza starożytności i mistrza w tajemnej sztuce przywoływania demonów metodą Honoriusa, do opuszczenia po zmroku bezpiecznych murów City. Tu wszakże pod resztkami ruin spoczywał jeden z najpotężniejszych wysłanników piekieł, słynny demon zagłady, związany przed wiekami starożytnym zaklęciem, które uczyniło go strażnikiem pewnej szkatuły. Sir Septimus upajał się myślą, że zarówno jej bezcenna zawartość, jak i sam demon staną się już wkrótce jego własnością.

- Za zimno na moje stare kości. Na wskroś przenika mnie to wietrzysko - jęknął ślepy Barnaba. - Bo to, wielmożni panowie, takiego jak ja biedaka nie stać na kaptur, nawet najlichszy.

- Po tej nocy mieć będziesz czapkę z królika, to ci obiecuję - zapewnił go Crouch.

- O, milordzie, niechaj cię Bóg błogosławi po tysiącokroć! Drugiego takiego łaskawcy próżno by szukać na świecie.

- Dość - przerwał mu sir Septimus. - Mistrzu Dallet i ty, panie Ludlow, zejdźcie teraz

do jamy i kopcie w tym miejscu, gdzie wskazuje różdżka. Ja pozostanę na czatach.

Ludlow obrzucił swego patrona spojrzeniem pełnym goryczy. I na co mi przyszło?, pomyślał. Ano, doprowadziłem się do ruiny, odpowiedział sam sobie. Zaprzedałem duszę, to i trzeba mi teraz machać łopata obok tego gładyszka, tego malarczyka... Spójrzcie no na niego! Jak to mu pilno! A te jego oczka! W łyżce wody by utopił Croucha. Co też takiego zmalował, że musi słuchać tego satanisty?

Schodząc powoli do wykopu, zerknął w górę i zobaczył nad sobą bladą, porytą śladami rozpusty twarz Croucha. Malował się na niej wyraz triumfu. Nad zimnymi zielonymi oczyma sterczały krzaczaste brwi podobne wiechciom trującego zielska. Czarne, przyprószone siwizną włosy tworzyły wokół tej twarzy coś na kształt fałszywej aureoli. Jaśniejące w świetle latarni szersze białe pasma przetykane czarnymi nitkami wiły się nad czołem - po obu stronach - przypominając zakrzywione baranie rogi... a może diabelskie?

- Żywiej, mistrzu, a nie żałuj swoich białych rączek - przynaglił malarza sir Septimus.  
- Ten skarb tysiąckrotnie wynagrodzi ci twoje trudy. Za jednym zamachem uszczęśliwisz kochankę, żonę, krawca i jubilera! Jakież inne przedsięwzięcie rokowałoby ci podobne widoki?

- Wszystko dzielimy równo na trzy części - przypomniał Ludlow, który zdążył już zejść do dołu i stanąć obok malarza.

- Będzie, jak przyobiecałem - pospieszył uspokoić go Crouch swym gładkim niby jedwab tonem. Na dnie głębokiego wykopu mógł dostrzec jedynie słabe światło dwóch latarni. Słuchając odgłosów łopat wbijanych w błoto i kamień, nakazał myślą spoczywającej tam w głębi istocie: „Zbudź się”.

W wysuszone członki więźnia z wolna zaczęło sączyć się życie. Demon łąpczywie wchłaniał w siebie cienką strużkę skąpstwa, chciwości i nienawiści. Crouch odebrał wrażenie czegoś wilgotnego... wyczuł ledwo uchwytny dotyk obcego umysłu, jakby ktoś na próbę wysłał ku niemu złą myśl. Włosy zjeżyły mu się na karku, a potem... potem ogarnęło go uniesienie.

- Coś tu jest - dobiegł go głos Ludlowa. - Jakby ociosany kamień.

*Pod tym czarnym kamieniem jest metalowe kółko* - napłynęła spod ziemi myśl. O, ucieszył się sir Septimus, a więc sam mnie szukasz. Wybornie.

- Poszukaj pod kamieniem kółka - powiedział głośno, myśląc jednocześnie: Ach, mój tajemniczy przyjacielu, wkrótce i ty także będziesz moim sługą.

*Jam jest Belfegor Wielki. Nie służę żadnemu spośród śmiertelników.*

Gadaj zdrów, pomyślał Crouch, obracając w palcach amulet pokryty mnóstwem

kabalistycznych znaków. „Onaim, perantes, rasonastos”, wyrecytował zaklęcie. Słowa te otoczyły spoczywającego w skrzyni żywym, iskrzącym się murem.

*Kanalia!*

Ależ oczywiście! Myślałeś, że masz do czynienia z głupcem? Crouch nagle się roześmiał, tak głośno, że aż wystraszył ślepcę.

Tymczasem na dnie wykopu ciężki gład obrócił się z chrapliwym zgrzytem, odsłaniając jamę, z której uniósł się fetor zastarzałej zgnilizny.

Krąg światła wy dobył z ciemności pokrytą czarnym nalotem metalową szkatułę, zapieczętowaną jakąś prastarą substancją.

- To ani chybi pieczęć alchemika! - stwierdził artysta, opadając na kolana, by dokładniej zbadać osobliwy przedmiot. - Szkatuła z ołowiu! Skarb, który w sobie kryje, z pewnością nie jest zwyczajny. - W skrzyni coś grzechotało, gdy dwaj mężczyźni dźwigali ją w górę.

Mistrz Dallet znowu ukląkł w błocie i jął za pomocą noża usuwać zalepiającą wieko substancję. Dał się słyszeć gwałtowny syk i nagły lodowaty podmuch omal nie zgasił latarni.

- Kto tu? - krzyknął ślepiec, podskakując ze strachu.

*Jeść. Chcę jeść. Za długo spałem.* Belfegor pamiętał, że miał do spełnienia jakieś zadanie, ale co to było?

- Gdzie złoto? - wrzasnął Ludlow, który zapuściwszy rękę do pudła, wy dobył spośród śmieci garstkę poczerńiałych monet i dwa bezkształtne przedmioty omotane w przegniły jedwab.

*Delicje,* pomyślał Belfegor, chłonąc jego wściekłość. Smakowała mu jak stare wino. Czuł, że nabiera siły.

- Ten stary kubek jest srebrny - oznajmił Dallet, zdrapując z naczynia czarną patynę.

- To kielich, ich wielkie sakramentalium - sprostował Crouch, wyjmując go z ręki malarza. Z uśmiechem przebiegł palcami po sprośnych postaciach wrytych pod brzegiem naczynia.

*Uważaj. On zamierza ci to ukraść.* Chciwość i zazdrość zaprawione piekącym posmakiem nienawiści napłynęły ku nozdrzom demona. Nawet po tych długich stuleciach snu nietrudno mu było rozbudzić w ludziach złe namiętności, namiętności, którymi się żywił.

*Spryt mam ten sam co zawsze,* pomyślał z satysfakcją. *Nie, nie straciłem wyczucia.* Poczuł, że zaczyna się materializować - jako lekki, kwaskowaty opar. Rozprostował swe wciąż jeszcze niewidzialne członki.

- To ma dużą wartość! - zawołał Ludlow, podnosząc się z klęczek i próbując wyrwać



Crouchowi puchar.

Korzystając z jego nieuwagi, Dallet wydobyl ze szkatuły drugi zbutwiały pakunek. Spod opadających szczątków jedwabiu wyrzała wysadzana drogimi kamieniami oprawa prastarej księgi. Jej gładkie welinowe karty nie doznały prawie żadnego uszczerbku.

*Zatrzymaj tę księgę. Jej to najbardziej pożąda ten stary.*

- Tego już ode mnie nie wyłudzisz, sir Septimusie - oświadczył Rowland Dallet, przyciskając zdobycz do piersi. - Wziąłeś puchar, ja zatrzymuję księgę.

- Równy podział! - wrzasnął Ludlow.

- Ta księga należy do mnie! Dawaj ją, bo pożałujesz! - krzyknął Crouch, ruszając w stronę malarza. Ten co szybciej uskoczył z zasięgu jego wyciągniętej ręki. Zawieszony nad nimi Belfegor pił to zamieszanie i furię niby krzepiący trunek. W miarę nasilania się kłótni on także nabierał mocy, a jego ciało kształtów; głowa, nogi i ręce zaczynały stawać się widoczne jako kłęby gęstego dymu. Połyskliwa ściana wokół niego zaczynała drgać.

- Więc dobrze, dostaniesz to, co ci się słusznie należy - zawołał malarz, przeciągając swym wielkim nożem po grzbiecie księgi wykonanym z cielęcej skóry pokrytej spłowiałą obecnie pozlota. Rozerwawszy foliał na trzy części, dwie cisnął w błoto, środkową zaś mocno przycisnął do piersi. - Ja umów dotrzymuję, nie tak jak wy, dżentelmeni!

- Księga tajemnic jest moja. Sprawiedliwie mi się należy.

- Odkup zatem dwie nasze części, skoro tak bardzo ich pragniesz. Była między nami umowa, że wszystko idzie do podziału, i ja się jej trzymam. Drugi raz okpić się nie dam, klnę się na mą duszę! - Z nożem w ręku młody mężczyzna jął cofać się krok po kroku, chwytając po drodze pozostawioną na ziemi latarnię.

*Zabij go, podszeptał Crouchowi demon.*

- Zabiję cię za to - syknął sir Septimus, kładąc dłoń na rękojeści włoskiego sztyletu, z którym nigdy się nie rozstawał.

- Zbliź się do mnie, a spalę twój skarb - zagroził mu Dallet, zniżając latarnię. Korzystając z tego, że Crouch stanął jak wryty, odwrócił się i umknął w ciemność.

Dwaj jego wspólnicy, stojąc obok siebie, śledzili kołyszące się światło latarni, dopóki nie znikło im z oczu. I nagle w głowie Ludlowa pojawiła się myśl, którą podszeptał mu demon: *Czemu poprzestawać tylko na jednej części? W ślad za ową myślą zaczął wykluwać się plan...* List bez podpisu, dumał prawnik. Wyślę go do męża kochanki tego malarza. Zazdrosny mąż zabije ich oboje... moje ręce pozostaną czyste. Wdowa po malarzu nie pozna się na wartości tego fragmentu księgi. Odkupię go od niej za bezcen.

*Sprytny z ciebie człek.* Demon zaczął powracać do swojej pierwotnej, wygodniejszej

formy; wilgotne kłęby dymu nabrzmiewały emanującą z niego energią zła. Porośnięte zielonkawą sierścią nogi jęły wbijać się w lśniący krąg uniemożliwiający mu ucieczkę. I oto w magicznym murze pojawiły się dziury...

- Szlachetni panowie, czyście zapomnieli o nagrodzie dla biednego starego Barnaby? Zechciejcie łaskawie odprowadzić mnie teraz do domu - rozległ się jękliwy głos ślepcy.

- O, pamiętamy o twojej nagrodzie - powiedział Crouch, stawiając latarnię i sięgając po sztylet. - Oczywiście, że pamiętamy - wycodził, wbijając ostrze prosto w serce starca.

Belfegor, któremu czyn ów dodał nagle mnóstwo energii, powiększył się tak gwałtownie, że zamykająca go ściana rozpadła się na kawałki. Krzyk grozy, który wydarł się z piersi Ludlowa, zbyt późno zaalarmował Croucha. Nieudolny poskromiciel demonów wydał głośny jęk zawodu, widząc ulatującego w niebo Belfegora.

Teraz mógł już tylko z wściekłą desperacją śledzić wzbijającą się coraz wyżej bezkształtną masę, która po chwili przysłoniła mu kawał gwiazdzistego nieba. Owa ciemna plama zatrzymała się w locie, zafalowała, jakby niezdecydowana, dokąd się udać, po czym z wolna ruszyła ku murom uśpionej City. Z oddali dobiegł ich tylko metaliczny odgłos diabelskiego śmiechu...

Wszystko to wina deszczu. Gdyby nie on, nie uległabym podszeptom nieznajomych ludzi, i to jeszcze cudzoziemców. Taka uporczywa ulewa wypija z nieba całe światło, przez co wszystko robi się szare i jakby spleśniałe. W taki dzień nie można iść do kościoła, między ludzi, popatrzeć, która ostatnio dostała nowe trzewiczki czy przerobiła suknię zgodnie z najnowszą francuską modą, bo też i kto by w tę pluchę wkładał nowe rzeczy? Przez ów deszcz popadłam zatem w jak najgorszy humor i... och, szaleńczo pragnęłam odmiany! Umiłowanie nowości i uciech zła to rzecz u niewiasty, odwodzi ją bowiem od jej powinności. Tak przynajmniej powiada „Księga obyczajów zacnej małżonki”, którą przed laty ofiarowała mi matka z myślą o czasach, kiedy będę zamężna. Księga ta nadziana jest niczym kielbasa mnóstwem dobrych rad, jak również wybornych przepisów na wykwentne jadlo, medykamenty i mydło. Jako osoba młoda i mało doświadczona, przywykłam studiować je co dzień, pragnęłam bowiem chwalebny spełnianiem obowiązków gospodyni przynieść zaszczyt pamięci mojej drogiej matki, która mnie, niestety, odumarła. Miałam też nadzieję, że mój małżonek, pan Rowland Dallet, mistrz Londenkiej Gildii Malarzy, bardziej mnie pokocha, gdy nauczę się smacznie gotować. Książka zapewniała, że tak się stanie. W tym celu należało tylko dobrze zrozumieć jej rady i dokładnie się do nich stosować, co do tej pory jednakże wciąż mi się nie udawało.

Wizyta owych nieznajomych nastąpiła przy końcu marca roku pańskiego 1514, kiedy to już piąty dzień z rzędu trwała ulewa przypominająca biblijny potop. Mego męża przez cały ten czas nie było, a ja wprost umierałam z chęci wyrwania się z domu.

- Och, Nan, jak ja nie cierpię deszczu! Doprawdy go nienawidzę. Powinna wszak już być wiosna, a tu zimno i ciemno prawie jak w zimie i nigdzie ani śladu zielonego pączka! I do tego ta ciasna izba! Jakże tu nudno! Z godziny na godzinę coraz trudniej mi to wytrzymać.

- Nie ma kwiatów bez deszczu, zapamiętaj to sobie - pouczyła mnie siedząca przy ogniu Nan, podnosząc wzrok znad robótki. Minę miała poważną, lecz tak wyglądała prawie zawsze. Była znacznie ode mnie starsza, a wszyscy chudzi i starzy ludzie są zwykle śmiertelnie poważni, wyrzekli się bowiem światowych marności, by myśleć jedynie o wyższych sprawach, o Bogu i o szatanie. Ja tymczasem kochałam światowe marności, ale kochałam i Nan, która dawniej była mą piastunką, a teraz kiedy miałam już męża, pomagała mi w domu, to znaczy w naszych dwóch pokojach. Niesłusznie byłoby nazywać Nan sługą, mimo że jej płaciłam czy raczej, uczciwie mówiąc, chętnie bym to czyniła, gdyby pan mąż dawał mi choć trochę więcej pieniędzy.

- Ale popatrz, jak ciemno, Nan! Wszystko jest takie szare. I te krople bębnią i bębnią... Ach, doprowadza mnie to do szaleństwa! Chcę słyszeć ptaki, gwar rozmów. Niechby już przysłała ta wiosna! Chcę wiosny!

Przewiesiwszy się przez wielką, okutą mosiądzem skrzynię mojej matki, w której przechowywałam teraz swą wyprawę, otworzyłam z trzaskiem okiennice. Podmuchał mi strumieniem wody prosto w twarz. Pod oknem, sieczone gwałtownym deszczem, z grzechotem obijało się o ścianę godło naszej kamienicy, zwanej domem „Pod Stojącym Kotem”. Wezbrany rynsztok pośrodku Fleet Lane pędził z głośnym szumem niczym wartka rzeka. Zalewane strugami wody kolorowe frontony sąsiednich kamienic wyglądały szaro i brudno. Na ulicy nie widać było żywej duszy. Wychyliłam się z okna, grożąc pięścią mokremu niebu:

- Deszczu, masz przestać! - krzyknęłam. - Ja chcę słońca! Światła!

- Uspokoisz ty się? - zawołała Nan, ciągnąc mnie za spódnice. - Chcesz, aby ludzie pomyśleli, żeś niespełna rozumu? Pomyśl o dziecku. Odejdź od tego okna i przestań krzyczeć - nakazała mi surowo, zatrzasnąwszy z hukiem okiennice, po czym zaczęła gderać: - No i popatrz na siebie, cała jesteś mokra. Oj, Zuzanno, Zuzanno, kiedy ty zmądrzejesz? Przecie przyrzekłam twojej matce, że nie pozwolę ci robić głupstw. A teraz usiądź spokojnie i zdobądź się wreszcie na trochę rozsądku. Wszak gdyby nie deszcz, ani w połowie tak byś nie ceniła słońca, jak je teraz cenisz.

- A właśnie że tak - burknęłam. - Kocham wszystko, co piękne, i nie muszę oglądać brzydkich rzeczy, żeby ładne podobały mi się bardziej.

- Zanadto pociąga cię to, co leży na samym wierzchu, a to bardzo niedobrze - sarknęła Nan, która zdobyła sobie prawo do krytykowania mych postępów nie tylko przez swą długoletnią służbę, lecz i dzięki wielkiej wyrozumiałości w drażliwej sprawie niewypłacania jej zasług.

- Pan Dallet mówi, że wygląd zewnętrzny jest rzeczą ogromnie ważną, i z tej to przyczyny okazuje tak wielką dbałość o stroje. A ja, powiada, nie powinnam mu tego utrudniać; musi wszak prezentować się przyzwoicie w towarzystwie książąt i innych możnych patronów.

- Czując, że ramiona i głowę mam mokre, wytarłam twarz rękawem sukni i usiadłam na ławie przy ogniu. Ze stojącego przy nodze koszyka spoglądało na mnie cerowanie. Odpowiedziałam mu krzywym spojrzeniem.

- Ach, tak. Uważa, że to wystarczający powód, by przepuszczać twój posąg, i do tego zastawiać u lichwiarza ślubną obrączkę twojej matki.

- Obowiązkiem niewiasty jest poświęcać się dla powodzenia i fortuny męża. Moja księga mówi, że cnotliwą kobietę czeka za to stokrotna nagroda, jeśli będzie cierpliwa i zaniecha narzekań. Kiedy pan Dallet przyniesie do domu wypchaną złotem sakiewkę, a mnie kupi suknię z jedwabiu, będziesz żałować, żeś się na niego skarżyła, zobaczysz.

Wyciągnęłam przed siebie nogi w grubych pończochach i starych brzydkich chodakach, po czym uniosłam je w górę, by lepiej się przyjrzeć swej samodzielowej spódnicy, nakrapianej białymi drobinkami gipsu, który zawsze jakoś potrafił przelecieć przez fartuch. Wyobraziłam sobie, że ów samodział (ufarbowany na czarno z powodu żałoby) zamienia się nagle w błękitny, pięknie haftowany jedwab. Ach, byłam zupełnie pewna, że to marzenie się spełni, kiedy pan Dallet dzięki moim trudom i pracowitości osiągnie nareszcie sukces. A trudziłam się dla niego bardziej, niż byłaby to w stanie uczynić jakakolwiek inna kobieta nie znająca jego rzemiosła. Gotowałam mu kleje, gipsowałam tablice, sporządzałam pędzle, kładłam grunt pod jego malowidła, słowem, robiłam wszystko, czego nauczyłam się w domu ojca. Nigdy już tylko, odkąd wyszłam za mąż, nie namalowałam nic własnego. Mężatce to nie uchodzi. Zamężna niewiasta powinna żyć jedynie dla swego pana i jego dobra, nie zaś dla wygodzenia sobie czy dla własnych samolubnych przyjemności.

- Mój Boże, że też przyszło mi tego dożyć. - Nan, pochylona nad robótką, coraz szybciej machała drutami. - Trzy dni już siedzi u tej bezbożnej pani Pickering, o nieba, dajcie mi cierpliwość!

Nan wciąż mówiła takie rzeczy, a już szczególnie lubiła odwoływać się przy tym do nieba. Nic tylko się martwiła, chociaż większość tych zmartwień była jedynie wytworem jej imagacji. Gdyby jednak kiedykolwiek przestała to robić albo mówić o śmierci, diable i potępieniu, wtedy ja bym zaczęła się martwić, byłby to bowiem dowód, że jest chora. A cóż bym poczęła, gdyby po matce i ojcu opuściła mnie jeszcze i Nan? Zostałby mi tylko mistrz Dallet, a on tak niewiele mówił.

- Och, Nan, nie bądźże tak podejrzliwa! Pan Dallet powiedział mi nie pytany, że musi jak najszybciej wykończyć portret sędziwej matki kapitana Pickeringa. Żona kapitana zamierza zawiesić ów portret na honorowym miejscu, tak by zaskoczyć męża miłą niespodzianką, kiedy ten wróci z rejsu. Czyż to nie uroczy pomysł? Całkiem jak z mojej książki. Tam też jest napisane, że kobieta powinna wciąż myśleć, jaką by tu elegancką niespodzianką sprawić mężowi przyjemność - mówiąc to, nawlokłam igłę i wyjęłam z koszyka grzybek do cerowania.

- Zapewne powiedział ci również, że ta pani Pickering to szkarada.

- O nie, mistrz Dallet o żadnej ze swych patronek nie wyraża się niepochole. Mówił

tylko, że ta osoba porusza się z wielkim trudem z powodu szpotawej stopy i że chcąc się przyjrzeć portretowi, zmuszona jest podejść do samych sztalug, by cokolwiek zobaczyć przez swe okulary. Wyraziłam nadzieję, iż okaże jej dużo względów, on zaś mi obiecał, że nie omieszka pójść za moją radą. Jak zatem widzisz, wiem, że tej biednej kobiecie Pan Bóg poskąpił urody, aczkolwiek mój małżonek, mówiąc o swoich bogatych klientach, stara się być wielce taktowny.

Nan ciężko westchnęła; ona zresztą bardzo lubi wzdychać. Przeczyszcza to płuca oraz ułatwia trawienie, jak mówi Goody Forster. Goody to zręczna akuszerka, co sprzedaje też proszek, który czyni człowieka bogatym, gdy spalić go o północy przy pełni księżyca. Kupiłam trochę, ale jeszcze nie zaczął działać. A przydałoby się. Dla Nan, żeby miała czym wspomóc brata, którego całkiem niesłusznie wtrącono do więzienia, i dla dziecka, któremu rychło potrzebna będzie kołyska oraz powijaki.

Tak mnie zdenerwowało to myślenie o pieniądzach, że ukłułam się w duży palec. Na brązową pończochę pana Dalleta kapnęła wielka kropla krwi. I właśnie w chwili gdy starałam się ją wetrzeć w materiał, tak aby nie znać było plamy, z dołu dał się słyszeć odgłos ciężkich kroków. Była to rzecz zaiste zastanawiająca, ponieważ właściciele takich butów nader rzadko odwiedzali kamienicę „Pod Stojącym Kotem”. Zazwyczaj przebywały tu same kobiety - na górze i na dole. Pan Dallet, podpisując umowę dzierżawną, zmuszony był przyjąć warunek, że pani Hull, wdowa po członku Gildii Malarzy, dożyje w tym domu dni swoich. Zgodnie z umową mieliśmy prawo raz w tygodniu użytkować jej kuchnię, by zrobić pranie, jak również przechodzić przez sklep na parterze i korzystać ze schodów na jego tyłach prowadzących do naszych dwóch pokoi. W jednym mieściła się pracownia mistrza Dalleta, drugi służył nam za wszystko: sypialnię, jadalnię i salon.

Mój małżonek nie był z tego kontent, jako że sam potrzebował obu tych pomieszczeń. Chciał w nich urządzić wielką pracownię, do której z czasem zamierzał przyjąć kilku uczniów. Drugim powodem jego niezadowolenia był sklep, gdzie wdowa oraz jej wścibska córka, już dorosła, rozwiesiły kiepskie malowidła pozostawione im w spadku przez świętej pamięci mistrza Hulla. Mój mąż bardzo się obawiał, że ktoś może je uznać za jego dzieła, wskutek czego straci klientów. Na domiar złego córka i matka próbowały sprzedawać tu swoje wyroby - kobiece rękawki robione na drutach, także mitenki i inne drobne fatalaszki, wszystkie wykonane bardzo nieporadnie - co zdaniem pana Dalleta obniżało elegancję całego domostwa.

Dla mnie sklep wdowy Hull stanowił nie lada zagadkę, oprócz bowiem klientek, które kupowały szpilki, bywało w nim mnóstwo mnichów i świeckich duchownych różnej rangi. Po

co mnichom szpilki? Kiedy spytałam o to wdowę, powiedziała, że owi duchowni przychodzą tu nabywać nabożne malowidła pozostawione jej przez nieboszczyka. No i to właśnie było najdziwniejsze! Jakoś nie zauważyłam, aby w rozwieszonej na ścianach kolekcji kiedykolwiek zaszła jakaś zmiana. Niezależnie od tego, ilu przewinęło się klientów, Chrystus w łańcuchach wciąż wisiał na swoim miejscu, na biednej brzydkiej Madonnie z każdym dniem zbierało się więcej kurzu, a święty Sebastian o krzywo namalowanych oczach po staremu zezował z kąta.

Nic zatem dziwnego, że na odgłos ciężkich podkutych butów (zamiast zwykłego szurania rozczłapanych sandałów) czujnie nadstawiłam uszu. Mogło to oznaczać tylko jedno: nadchodzi komornik, by zabrać nam meble za długi mojego małżonka. Nan też tak myślała. Gwałtownie podniósłszy głowę, poruszała nozdrzami niczym stary pies gończy wietrzący niebezpieczeństwo. Usłyszałyśmy niski dźwięk męskich głosów, a potem złośliwy głosik panny Hull: „Tymi schodami na górę”. Nie wiedziałyśmy, o co pytali przybysze, bo wściekła ulewa nadal łomotała w okiennice, do cna głusząc ich słowa. Ogień przygasł na kominku; cały pokój pogrążony był w ponurym mroku.

- Słuchaj, Nan, skryję się za łóżkiem, a ty im powiedz, że mistrza Dalleta nie ma w domu... Musiał nagle wyjechać na kontynent. Dostał wielkie zamówienie... tak wielkie, że po powrocie spłaci wszystkie długi.

- W co oni uwierzą akurat tak samo jak ja - burknęła Nan. - Nie, tym razem zamierzam dokładnie im powiedzieć, gdzie znajdą mistrza Dalleta. - Głos Nan złośliwością dorównywał głosowi tej pannicy z dołu, ale dlaczego? Dalibóg, nie miałam pojęcia.

Nieznanymi, których po chwili wprowadziła do pokoju, wcale jednak nie wyglądali na ludzi ścigających dłużników. Przystanąwszy w otwartych drzwiach do pracowni, mierzyli ciekawym okiem gipsowe modele rąk i nóg, pięknie wykonane szkice, żywe barwy na pół ukończonych portretów przedstawiających same wytworne osoby... Te gustowne, starannie namalowane obrazy musiały na nich wywrzeć dobre wrażenie, zwłaszcza w porównaniu z owymi zakurzonymi świętymi z dołu. W taki sposób przyglądali się szafom i półkom zastawionym rzędami pudełek i pękatych pęcherzy z barwnikami i medium, jakby już z tego widoku potrafili wnioskować o wartości samego dzieła.

Niech sobie patrzą, myślałam, wszystko jest jak trzeba. Goła podłoga lśniła bielą desek - obie z Nan szorowałyśmy ją co tydzień wodą z ługiem - ściany, świeżo odmalowane mieszanką terpentyny z kredą, świeciły czystością, w całej pracowni nikt by nie wypatrzył ani pyłka. Tak być musi, kiedy chce się robić miniatury czy iluminacje, największym bowiem wrogiem sztuk pięknych jest kurz, a zaraz po nim wilgotny oddech, tak więc przy tej pracy

absolutnie nie wolno kaszleć ani kichać. Ponadto mistrz Dallet nie był pospolitym malarzem sztalugowym, co to potrafi wykonać akuraty portret na płótnie czy desce. Pod oknem stał wysoki stół służący mu za warsztat, przy którym pracował nad miniaturowymi podobiznami szlachetnie urodzonych. Modę na ten rodzaj sztuki zapoczątkował w Anglii mój ojciec, gdy przed laty przybył tu z Flandrii, by malować dla króla Henryka VII. Jemu to pan Dallet zawdzięczał swą biegłość w sztuce miniatury.

- Czy mieszka tu maitre Roland Dolet, malarz? - zapytał wyższy z dwóch przybyłych. Od ich lśniących jedwabi i aksamitów w mrocznej pracowni zrobiło się jaśniej. Ten wyższy miał na sobie błękitny aksamitny kaftan z długimi rękawami, podbity jedwabiem w kolorze ognia, pod nim lnianą koszulę ze złotym haftem, z wierzchu zaś gruby przemoczony płaszcz. Jego towarzysz, niższy i tęższy, ubrany był na zielono; spod rękawów kaftana błyskało żółte atlasowe podbicie, a brzeg szaty ozdobiony był kunim futrem. Obaj mieli na palcach po kilka kosztownych pierścieni wysadzanych drogimi kamieniami, przy pasach zaś miecze i sztylety. Po ostrogach przypiętych do wysokich butów łatwo się było domyślić, że nie przybyli tu pieszo. Cudzoziemcy, pomyślałam, mieszkańcy krainy słońca i barw... Nie spodziewali się pewnie, że wiosna na północy jest aż taka szara. Muszą to być Francuzi, sądząc zarówno po śmiałym kroju ich ubrań, jak i po wymowie nazwiska mego małżonka, które w rzeczy samej jest francuskie, aczkolwiek jego przodkowie dawno już nadali mu angielskie brzmienie. Tymczasem wspaniali goście arogancko otaksowali mnie wzrokiem, aż poczułam, że oblewam się pąsem.

- Tak jest, to mój mąż, nie ma go jednak w domu - odparłam, wciąż ściskając przekłuty palec. Gestem wskazałam panom kominek, by mogli osuszyć płaszcze.

- To dobrze - rzekł niższy po francusku. - Może to, co nie udałoby nam się z mistrzem, uda się z tą kobietą. Może wyłudzymy od niej ową rzecz.

No, muszę powiedzieć, że to już mnie rozgniewało. Nie, że postanowili mnie podejść, lecz że w swej pysze wzięli mnie za prostytutkę, która nie rozumie ich mowy! Mnie, córkę wielkiego Corneliusa Maartensa, malarza najpotężniejszych książąt Europy! Cóż oni sobie myślą? Że jestem niewykształconą, łatwowierną mieszczką? Ja, którą w domu ojca uczono nie tylko malarstwa, ale też francuskiego, włoskiego, muzyki i dobrych manier? Zamilkłam z oburzenia, patrzyłam na nich tylko szeroko otwartymi oczami, co ci Francuzi poczytali znowu za tępotę. Ach, wzięła mnie złość jeszcze gorsza.

- Madame - odezwał się ten niższy - w ubiegłym miesiącu mąż twój miał honor namalować doskonały portret księżniczki Marii, siostry jego królewskiej wysokości.

O, to ciekawe! Mistrz Dallet miał utrzymać rzecz w tajemnicy, lecz ja oczywiście



wydobyłam z niego ten sekret... pijany stawał się bardziej rozmowny.

- To prawda. Mówił, że wygląda na nim jak żywa.

- Chcielibyśmy nabyć szkic do owego portretu - oznajmił wyższy.

- Mój mąż nie sprzedaje swoich szkiców - odparłam bardzo stanowczo.

Rysunkowy szkic do portretu to cenny inwentarz każdego malarza. A jeśli modelce spodoba się ofiarować kopię wizerunku ciotce z Yorkshire, gdy tymczasem oryginał powędrował już do wielbiciela? Z pewnością nie zechce pozować powtórnie. Malarz na wszelki wypadek pozostawia więc sobie szkice wykonane w czasie pozowania, na których notuje także wszystkie użyte kolory. Mój ojciec opowiadał, że we Francji, gdzie znakomite rody lubią mieć całe księgi złożone z podobizn podziwianych osób, wykonywaniem kopii zajmują się nie sami twórcy portretów, lecz inni artyści, którzy nieźle z tego żyją, lecz w Anglii, niestety, nie ma takiego zwyczaju.

- Hojnie byśmy za to zapłacili. Mniemam, iż niewiasta tak młoda i czarująca jak ty, madame, rada by podnieść swój urok złotym naszyjnikiem bądź parą perłowych kolczyków. - Głos Francuza był ciepły i lepki jak syrop.

Ha, ty przebrzydły łgarzu! Zdaje ci się, że zwiedzisz mnie jak pierwszą lepszą pokojówkę? Myślisz, że nie znam wartości takiego rysunku? Teraz już wszystko gotowało się we mnie, od czego na policzki biły mi ognie, lecz owi bezwstydni oszuści brali to najwyraźniej za rumieniec niewieściej skromności.

- O, mój mąż od razu by spostrzegł nową biżuterię! Chcecie, by sobie pomyślał, że mam kochanka? - Tak powiedziałam, ale...

Wielka to prawda, że gdy Francuz otwiera gębę, diabeł nadstawia ucha. Któż inny mógłby mi podszeptać tę myśl? Tak prostą i oczywistą, że na chwilę zaparło mi dech. O, bo był to wspaniały pomysł, choć zarazem i kłamstwo wielkie jak grzech śmiertelny: mogę zachować rysunek, a jednak wziąć zapłatę, i to w dobrej angielskiej monecie. A pan Dallet nigdy się o tym nie dowie.

- Mój mąż szkicu nie sprzeda, ale mogliby chyba panowie zamówić u niego drugi portret? - rzuciłam pytającym tonem, tak przy tym chłodnym, jakby to nie diabeł podżegał mnie do tego czynu.

- Zbyt długo by to trwało, my zaś musimy go wysłać... - zaczął wyższy z Francuzów. Nie dokończył, ponieważ towarzysz powstrzymał go gestem.

- Kopia w miniaturze mogłaby być gotowa już jutro wieczorem - odrzekłam. - Stawka mego męża wynosi trzy funty.

Francuzi spojrzeli po sobie, zaskoczeni wysokością ceny. Nie mogłam wszelako

zażądać mniej, nie czyniąc dyshonoru panu Dalletowi, który portretował wyłącznie osoby należące do najwyższej sfery.

- Trzy funty? - powtórzył wyższy, przewracając kpiąco oczami.

- Mój mąż jest mistrzem Londyńskiej Gildii Malarzy. Nikt tu nie dorównuje mu kunsztem. Jeśli wątpicie w me słowa, idźcie do kogo innego, a gdy się przekonacie, jak kiepsko wykona wasze zamówienie, przyjdźcie tu raz jeszcze.

Nan, słysząc tę zuchwałość, głośno wciągnęła powietrze, a ja... Ja czułam, że budzi się we mnie dzika bestia. Z każdą chwilą stawałam się śmielsza, bo kiedy człowiek wchłonie już w siebie ziarno złych myśli, zaczynają one w nim rosnać jak owe chwasty, o których naucza nas Kościół, i całkiem zagłuszają wszelkie szlachetne intencje. Kiedy więc Francuzi gapili się na mnie w osłupieniu, poczułam w całym ciele dreszcz triumfu.

- Jesteś pewna, madame, że można to zrobić w tak krótkim czasie?

- Jak najpewniejsza - odrzekłam, unikając pełnych przerażenia oczu Nan.

- Nie przyjmujemy miniatury, jeśli nie okaże się ona wiernym odbiciem księżniczki.

- Mój mąż jest najlepszym spośród wszystkich angielskich portrecistów - rzuciłam za odchodzącymi. Słyszałam, że coś pomrukują pod nosem.

- Na Boga, co cię opętało, żeby składać taką obietnicę? - wykrzyknęła zdjęta grozą Nan. - Wiesz przecież, że twój pan rychło nie wróci, a gdyby nawet, to i tak nie będzie w stanie malować. A ta jeszcze obiecuje miniaturę, płocze, bezmyślne stworzenie! Wszak kiedy jest pijany, trzęsą mu się ręce, a potem łeb mu pęka i humor ma, że nie daj Boże! Będzie wściekły, jak się dowie, coś przyobiecała. No i nie dziwota. Bo też całkiem zrujnowałaś mu reputację tym swoim głupim gadaniem.

- Teraz ja coś ci powiem. Potrafię z owych trzech funtów zrobić wielce szlachetny użytek, a poza tym koniecznie trzeba mi tych pieniędzy. Wszystko przemyślałam. Wiedz zatem, że w ten sposób zaoszczędzę mistrzowi trosk i kłopotów, właśnie tak, jak powinna czynić troskliwa żona, dbała o spokój i wygodę męża. Cała rzecz zostanie ukończona, zanim on wróci do domu, my zaś będziemy miały kielbaski i drzewo na opał, a dziecko powijaki i kołyskę.

- Co ty pleciesz, Zuzanno? - Nan wciąż patrzyła na mnie jak na głupią. - Widzę, że mózg obraca ci się niczym wiatrak. Prawdziwy z tobą kłopot. Wystawiłaś na deszcz tę swoją łepetynę i oto skutek. Nie powinnam ci była na to pozwalać.

- Jużeś zapomniała, czyją jestem córką? Corneliusa Maartensa! Przypomnij sobie moje „Wniebowstąpienie”! A pamiętasz mego „Zbawiciela świata”, o którym mówiono, że z

powodzeniem mógłby być dziełem męskiej ręki? Podziwiali go nawet malarze, przyjaciele ojca. Czyż nie są to te same ręce, które miałam będąc dziewczyną? Spójrz na nie! Nie zgłupiały przecież od skrobania podłóg! - Wyciągnęłam przed siebie dłonie, z których jedna poplamiona była barwnikiem. Palce miałam opuchnięte od ciąży, tak że obrączka prawie nikonęła w ciełe, za krótko obciętymi paznokciami widniały niebieskie obwódki.

Nan wcisnęła pod czepek niesforne pasemko swoich siwych włosów. Zmartwienie pogłębiło wszystkie zmarszczki na jej pobrużdżonej twarzy.

- Nie chciałabyś pomóc bratu? - chytrze powtórzyłam słowa, które podszeptał mi diabeł. - Pamiętasz, co powiedział pan Dallet: gdyby tylko był w stanie, chętnie by wspomógł twego brata. No, to teraz będzie tak, jakby to właśnie zrobił.

- Ale... a nuż się dowie?

Wszak w tym nie ma żadnego oszustwa! Kto od roku poleruje mu pergaminy, kto gruntuje jego obrazy, a nawet maluje draperie i hafty na rękawach? Ja! Robię właściwie wszystko z wyjątkiem twarzy; tylko one czynią te malowidła dziełami słynnego Rowlanda Dalleta i nadają im taką cenę. Cała różnica w tym, że... że zapłata wpłynie tym razem prosto do naszych rąk... Bo zużyjemy owe pieniądze na te same cele, na które z pewnością chciałby je zużyć pan Dallet, gdyby tylko o tym pomyślał. Ci cudzoziemcy wywiozą portret i pies z kulawą nogą się nie dowie.

- Ale... ja przyrzekłam twoim rodzicom...

- Och, przyrzekłaś! Wciąż mi to stawiasz przed oczy! A czy mistrz Dallet nie przyrzekł moim rodzicom, że będzie mnie utrzymywał? Zaczynam myśleć, że dali mu się oszukać.

- Och! - wykrzyknęła Nan, żegnając się znakiem krzyża. Widać było, jak bardzo wstrząśnięta jest moimi słowami. - Nie wolno źle mówić o zmarłych. Twoja matka była świętą kobietą, a twój ojciec znał się na ludziach, znał doskonale. Cóż jednak miał myśleć, kiedy mistrz tutejszej gildii raptem zapragnął studiować u niego, cudzoziemca? Jedyne to, że pan Dallet zapłonął ku tobie miłością. Ach, mój Boże, święcie uwierzył, że czeka cię złota przyszłość! I właśnie ta wiara kazała mu widzieć w twoim przyszłym mężu tylko samo dobro.

Prawie jej nie słuchałam. Moje ręce, moje oczy, cała moja istota rwała się do malowania. Mózg już pracował nad planem obrazu, układając kolejne barwy na palecie. Chciałam znów poczuć ją w rękach, znów zobaczyć lśnienie perłowej macicy spod kręgu schludnie ułożonych kolorów i ich odcieni. Pragnęłam tych małych zgrabniutkich pędzelków, które my, portreciści, zwiemy ołówkami, leżących w równych rzędach na warsztacie. Tęskniłam za połyskiem farby, gdy pierwszymi pociągnięciami pędzla zaczęłam kłaść ją na

kawałku zagruntowanego tyntą pergaminu. Przypadkiem spojrzałam na kosz z cerowaniem i nagle serdecznie znienawidziłam to wszystko... Te zmięte od noszenia rzeczy mego męża i woń jego ciała. Nie wiem, skąd wzięła mi się owa niechęć, wiem tylko, że porwałam koszyk i całą jego zawartość wrzuciłam do ognia, ach, razem z tą brzydką brązową pończochą! Co uczyniwszy, jak huragan wpadłam do pracowni. Szare światło przedwiośnia zaczynało już pierzchać pod naporem mroku, ja zaś rozpostarłam ramiona, jakbym zdolna była schwytać wszystkie promienie słońca, które niebo zsyła nam na ziemię. „Zrobię to - powiedziałam - a ciebie niech diabli porwą, mistrzu Rowlandzie.” Z sąsiedniego pokoju dobiegły mnie odgłosy grzebania w kominku i trzask roztrząsanych głowni: to Nan próbowała uratować z ognia tę paskudną brązową pończochę.

- Przyrzekłam twojej matce, że nie pozwolę ci robić głupstw! - jęknęła znowu z rozpaczą, lecz ja i na to pozostałam głucha.

Starannie mieszając klej, a potem przycinając pergamin, by móc następnego dnia od razu zabrać się do pracy, mruczałam sobie pod nosem: „Trzy funty, trzy funty! Będziemy bogate! Żabojady zabiorą portret do Francji i nikt się o niczym nie dowie!” Zachowywałam się całkiem jak ów człowiek z Biblii, który tak jest zajęty liczeniem spichlerzy, że zapomina czynić pokutę, i przez swoje zapominalstwo marnie kończy. A ja? Czy przynajmniej zadałam sobie pytanie, po co podobizna królewskiej siostry potrzebna jest dwom francuskim arystokratom, tak tajemniczym, że nie podali mi nawet swych nazwisk? Skądże! Ani mi to przez myśl nie przeszło.

Na dworze zapadał zmierzch. W tawernie „Zielone Wrota” służba zapalała słabo pelgające świece z knotami z sitowia, a goście musieli mieć już tego w czubach, gdyż nawet przez zamknięte okiennice do uszu spóźnionych przechodniów dobiegały pijackie śpiewki. Mężczyzna w nasuniętym na twarz szarym kapturze spiesznie minął karczmę i skierował się w Lime Street, klucząc pośród stert na wół stopionego brudnego śniegu. Znalazłszy się na skraju miasta, przystanął przed wąską a wysoką kamienicą wciśniętą między szereg odrapanych czynszowych domów, stojących tuż pod murami. Przyjrzał się drzwiom. Widniała nad nimi wnęka z wyrzeźbionym w kamieniu skrzatem - tak, to tutaj. Chciał zrobić krok naprzód, lecz drogę zastąpił mu blady żebrak w długim ręcznie tkanym płaszczu, całym w łątach. Jego bosa stopy grzęzły w błocie pomieszonym z topniejącym śniegiem. Spoza pleców intruza zachęcająco wзираła błyszcząca kołatka w kształcie małpiej główki, zapraszając przybysza do siedziby Sebastiana Croucha.

- Z drogi, człowieku, pilno mi! - rzucił niecierpliwie mężczyzna w kapturze.

- Wstrzymaj się na chwilę, mistrzu złotnika - powiedział żebrak, bezczelnie rozpierając się w drzwiach. - Ofiaruj mi monetę i proś Boga o błogosławieństwo.

- Kim jesteś, że ośmielasz się bronić mi wejścia? Z drogi, mówię! - warknął mistrz Jonas, złotnik.

- Wracaj do domu i ukończ ten odlew dla biskupa - poradził mu żebrak. Jego twarz kryła się w cieniu rzucanym przez nawisły okap pierwszego piętra.

- Nie twój interes! Mam się tu spotkać z kimś ważnym. Raz jeszcze ci mówię, zejdź mi z drogi! - krzyknął jubiler, bez reszty zajęty myśleniem o złocie i własnych profitach. Przepelniała go niecierpliwość... niecierpliwość i pożądanie.

- Jeśli tam wejdiesz, będę cię musiał opuścić - oznajmił żebrak. Był smukły i bardzo blady. Złotnik dostrzegł jednak jego mocną i białą stopę tkwiącą w zmrożonym błocie.

- Ty musisz mnie opuścić? Dobre sobie! A idź, byle szybko, zuchwały nicponiu! Lepiej byś wziął się do pracy, miast zaczepiać przyzwoitych ludzi na ulicy.

- Ach tak? Myślisz, że sam z siebie masz tę zręczność w palcach? A mnie niegdyś nie widział przy swoim piecu? Nie czułeś, jak ma ręka prowadzi twoją, gdy lejesz stopiony metal do formy? Taki z ciebie niewdzięcznik? I cóż, nadal chcesz przejść przez te drzwi?

- W rzeczy samej, mości panie! Mam tam ważny interes, a więc usuń mi się!

- Bardzo dobrze - powiedział żebrak - chętnie od ciebie odejdę. Są inni, którzy bardziej mnie potrzebują.

Odetchnąwszy w ulgą, złotnik przepchnął się obok niego do drzwi i trzykrotnie zakolatał małą główką. Po chwili w progu stanął stary służący, który nie zwlekając wprowadził gościa do holu; pan Jonas, rozejrzawszy się wokół, zobaczył sklepienie z potężnych dębowych belek i ściany wyłożone ciemną boazerią. Pozostawiony na ulicy żebrak chwilę przypatrywał się zamkniętym drzwiom, po czym odrzucił stary płaszcz i poszedł w ślad za złotnikiem, przenikając przez litą ścianę; uczynił to z taką łatwością, jakby miał przed sobą chmurę dymu, a nie solidną konstrukcję z cegieł i drewna. Stojąca w oknie naprzeciw staruszka, która właśnie zamykała okiennice, pomyślała, że popada w obłąd, widząc niknący w murze obręb bogatej szaty oraz czubki dwojga długich skrzydeł mieniących się wszystkimi kolorami tęczy.

Kilku mężczyzn zaproszonych przez Croucha do udziału w jego nowym przedsięwzięciu zgromadziło się już przy kominku. Gospodarz siedział w miękko wyściełanym fotelu z baryłkowatym oparciem, złożywszy stopy na rzeźbionym podnóżku w kształcie leżącego pieska. Żywo gestykulował, tłumacząc zebranym jakiś szczegół swojego planu. W jego głosie brzmiała pewność siebie.

- Ach, oto i mistrz Jonas, nareszcie! Teraz jesteśmy w komplecie - wykrzyknął na widok złotnika, który siadł na ławie przy ogniu i jął zdejmować mitenki, by rozgrzać zmarznięte dłonie. Uwagę jubilera zwróciła para żelaznych podpórek na kłody, nadano im bowiem osobliwą postać olbrzymich czarnych salamander; w otworach imitujących oczy błyskały pomarańczowe płomyki ognia. Oho, pomyślał mistrz Jonas, pan tego domostwa musi być potężnym okultystą. - Widziałeś rysunek, mistrzu - zwrócił się do niego Crouch. - Jak szybko mógłbyś odlać ów przedmiot?

- Spytaj mnie raczej o koszty, mój panie. Aby rzecz tę odlać, trzeba prawie funta złota, a to fortuna, nie licząc już srebra i innych drogich metali.

- Możesz dostarczyć taką ilość złota? - spytał sir Septimus ciemnobrodego posepnego mężczyznę, którego ciężka szata zdradzała lombardzkiego bankiera. Ten w odpowiedzi skinął potakująco głową.

- Ta rzecz... - indagował dalej Jonas - co to takiego? Chyba nie puchar do wina, bo czasem ma nazbyt płaską. A co do polerunku... będzie on rzucać dziwne refleksy na twarz pijącego...

- Patrzącego, mistrzu Jonasiu. Jesteś teraz naszym wspólnikiem, należy ci się więc zaufanie. Dowiedz się przeto, iż przedmiot, który masz odlać, nie jest zwyczajnym pucharem. To słynne Zwierciadło Dioklecjana, w którym potężny ów cesarz mógł zobaczyć wszelkie intrygi i spiski uknute przez swych nieprzyjaciół, choćby je ukryto pod ziemią albo i za

morzem. Formuła tego cudu, zaginiona przez kilka stuleci, niedawno się odnalazła: złoto i srebro zmieszane w odpowiednich proporcjach z niektórymi częściami ciała czarnego kozła i krwią nie tkniętej dziewicy. - Oczy Croucha zapłonęły ogniem, głoska „r” w słowie „krew” zdawała się wibrować w powietrzu. - Przy sporządzaniu odlewu niezbędne są pewne... hm... zaklęcia. Na szczęście moja wiedza o starożytności pozwoliła mi je odszukać, podobnie jak ową formułę spoczywającą przez wieki wśród innych tajemnic i proroctw w pilnie strzeżonej skrzyni. Strzegł jej Belfegor, najmoźniejszy z demonów piekła, mnie wszelako udało się go pokonać za pomocą najstraszliwszych zaklęć wynalezionych przez wielkiego poskromiciela demonów, Honoriusa. Zebrałem was tu, panowie, byście wzięli udział w moim przedsięwzięciu. Razem zdziałamy cuda. Zwierciadło Dioklecjana będzie zaledwie pierwszym z wielu. Królowie i możni tego świata będą słuchać naszych rozkazów! Nasz wzrok przeniknie ziemię od końca do końca! Będziemy fruwać jako orły! Czy teraz już pojmujecie, czym jest nasze sprzysiężenie?

Ponury mężczyzna przy kominku znów skinął głową, lecz mistrza Jonasa raptem ogarnęła trwoga. Cóż on, prosty rzemieślnik, robi w towarzystwie tak wielkich panów? Ukończywszy to zamówienie, będzie zbyt dużo wiedział... Co wtedy? Mój Boże, nawet ten żebrak przy drzwiach go ostrzegął... Po chwili zaczął jednak myśleć o fortunie, jaka go za to czeka, i o swoich nie spłaconych długach... Ach, jest wszak na tyle zręczny, że potrafi wywikłać się jakoś z opresji.

Siedzące na osmalonych belkach pod sufitem trzy niewidzialne postacie - dwoje bosonogich dzieci o lśniących oczach oraz blady rozczochrany żebrak w długiej połyskliwej sukni - z uwagą przysłuchiwały się rozmowie. Ich mieniące się tęczowo skrzydła były porządnie złożone, bose stopy figlarnie dyndające z belki mierzyły prosto w głowę sir Septimusa. Cała trójka przypominała wyrostków, którzy wybrali się na ryby i teraz w cienistym stawie wypatrują największej sztuki.

- Aha, więc Belfegor wyrwał się w końcu z zamknięcia - mruknął żebrak.

- Nie zamierzasz o tym zameldować? - zagadnął go jeden z małych towarzyszy.

- O Belfegorze? Phi! Nie mam teraz czasu się nim zajmować. Drugorzędny demon! Zamierzam oddać ostatnią przysługę temu złotnikowi, choć taki z niego niewdzięcznik.

- Jaką? - wykrzyknęły chórem malutkie istotki, trzepocząc z ciekawości skrzydełkami.

- Kiedy zacnie ważyć owe ingrediencje, położę na szali palec, przez co lustro źle będzie działać. Jego kompani zaczną się nawzajem obwiniać, miast wspólnie zabić złotnika, by utrzymać rzecz w tajemnicy. On sam już pojmuje, że taki właśnie mają zamiar.

- Och, zręcznie to wymyśliłeś! Cóż więc ukazywać będzie to lustro?

- Ich własne myśli. Zobaczą je odbite w zwierciadle i uznają to za prorocstwo. Zarozumiałe fanfarony! Będą mieli nauczkę - prychnął z niesmakiem żebrak.

- I wtedy doniesiesz na Belfegora?

- Taak... kiedy coś załatwię. Najpierw pochodzę trochę za tym starym diabłem... zobaczę, co też zamyśla. Muszę mu się odpłacić za sztuczkę, którą mi kiedyś wyciął... jeszcze zanim templariusze zamknęli go w tej szkatule. Nie chcę, aby ktokolwiek popsuł mi tę uciechę. Archaniołom zamelduję o nim później.

Zebrani przy ogniu mężczyźni poczuli gwałtowne poruszenie powietrza zmaconego uderzeniem anielskich skrzydeł, uznali to jednak za podmuch wiatru, który nagle wpadł do kominka.

- Na Boga, Bridget, ty z dnia na dzień robisz się piękniejsza! - wykrzyknął Rowland Dallet; odchyliwszy się w krzesle, odstawił kubek z winem między liczne talerze i półmiski. Pani Pickering kazała podać wykwinną kolację dla dwojga: pieczone kurczaki z szafranem i szlachetne hiszpańskie wino.

Malutki pan Pickering, którego okrągła ciemna główka i duże brązowe oczka wykazywały uderzające podobieństwo do rozpartego za stołem malarza, został właśnie wyprawiony do łóżka. Zanim to nastąpiło, mistrz Dallet zabawiał chłopczyka i jego matkę, rysując im sceny ze szczucia psów na uwiązanego niedźwiedzia, w której to imprezie uczestniczył tydzień wcześniej wraz z kilkoma arystokratami. Bridget Pickering grała potem na wirginalu, on zaś swym głębokim barytonem śpiewał o zmiennych sercach niewiast i ich niewierności. Teraz nareszcie mógł już całą uwagę poświęcić swej damie, jak również potrawom dymiącym nader smakowicie na oświetlonym świecami stoliku nieopodal łóżka. Żołądek pana Dalleta zaczynał już tworzyć wypukłość nieomylnie świadcząca o gorącej skłonności ku rozkoszom stołu. Z czasem owa namiętność mogła nadwerżyć jego ciemną męską urodę, jako też ograniczyć nieustającą pogoń za innym rodzajem uciech, na razie wszelako owe pasje wciąż jeszcze pozostawały w równowadze.

- Ach, Bridget, nie masz pojęcia, jak ja cierpię! Nieznośna to rzecz dla mężczyzny mieć obok siebie kobietę, co czepia się go niczym bluszcz. Podczas gdy ty... ty jesteś zbyt urocza, by kogokolwiek się czepiać. - Wygłosiwszy tę opinię, Dallet odłożył na talerz do czysta ogryzioną nóżkę, po czym wytwornym gestem wytarł sobie palce. Pani Pickering obdarzyła go półuśmiechem, potrząsając długimi połyskliwymi włosami, które opadły na jej półnagie ramiona niby czarny jedwabny płaszcz. - Cudowne! - entuzjazmował się malarz, łowiąc wzrokiem igrające wśród czerni granatowe błyski. - O, Bridget, jesteś skończoną



doskonałością! Twoje włosy, twoja wążiutka kibić! Chciałbym namalować każdy kawałeczek twej rozkosznej skóry! Wolałabyś, żebym przedstawił cię jako Wenus wynurzającą się z morskiej piany czy może jako kusicielską Dalilę ze stopą opartą na głowie lwa?

- Uniósł do góry ręce i utworzywszy palcami coś na kształt ramy obrazu, jął przyglądać się swojej damie, jak gdyby już widział owo wymaginowane płótno.

- Jako tę kusicielkę - odparła Bridget Pickering, darząc malarza omdlewającym spojrzeniem spod długich czarnych rzęs. Była to jej najskuteczniejsza uwodzicielska sztuczka, choć wobec mistrza Rowlanda nieco może trudniejsza niż zwykle, jako że ustępował jej wzrostem o dobre siedem centymetrów. Lecz wzrost kochanka nigdy nie odgrywał dla niej zasadniczej roli. Z punktu widzenia proporcji, do których przywiązywała największą wagę, młody ów malarz był okazem wręcz doskonałym. A gdy dodać do tego wielką umiejętność prawienia damie słodkich słówek, miły zwyczaj częstego ofiarowywania prezentów oraz dorywczy tryb pracy pozwalający na schadzki o każdej dowolnej porze, nic dziwnego, że Rowland Dallet stanowił jej ulubioną, choć nie wyłączną rozrywkę na czas nieobecności pana Pickeringa. A zdarzało się to dość często, był on bowiem kapitanem statku. Kiedy Rowland Dallet się ożenił, Bridget pomyślała, że straciła go bezpowrotnie, lecz nie! Zaledwie „Magdalena” wypłynęła z portu, malarz, jak gdyby nic nie zaszło, pojawił się znów u jej drzwi.

- Ach! - fuknęła na niego. - Jakiż to powód każe ci myśleć, że przyjmę cię z powrotem, ty niegodziwcze?

- Me diabelnie dobre przyrodzenie, madame, i twoja własna lubieżność. Ach, Bridget, niepodobna, abyś myślała, że jakaś flamandzka krowa może się z tobą równać, nieprawdaż?

A ponieważ przyniósł jej w podarku oszołamiająco piękną bransoletę, co prędzej przywróciła go do łask. Teraz odpinając rękawki i zerkając na niego spod oka, spytała niewinnym tonem:

- Jakże się miewa twoja cnotliwa żonka?

- Z dnia na dzień grubsza. Gębę ma nadętą jak świński pęcherz. I beczy wciąż za mną jak ta owca: „A kiedy wrócisz? A nie mógłbyś mi przynieść pomarańczy? Taką mam na nie ochotę!” Ależ mnie ona drażni! Najchętniej bym od niej uciekł. Jeśli niewiasta chce być pociągająca, niech ciebie bierze za wzór. - Pani Pickering posłała mu lekki uśmiezek mówiący wyraźnie, że wszelka imitacja jej osoby jest rzeczą zgoła niemożliwą. Rowland Dallet wzruszył na to ramionami, jak gdyby przyznawał jej rację, po czym stwierdził: - Od czasu gdy zmarli jej rodzice, nie mam z tej kluchy już ani trochę pożytku. - Usiadł na łóżku i zaczął rozsznurowywać swe zgrabne obcisłe spodnie.

- Mmm - mruknęła pani Pickering - a czy chociaż coś ci zostawili?

- Dwadzieścia funtów, trochę brzydkich zagranicznych mebli plus starą jędzowatą sługę jako część domowego inwentarza. Och, jeszcze parę garnków i turecki dywan, co go przywieźli z za morza. Myślę, żeby sprzedać to paskudztwo.

- Zawsze pragnęłam mieć turecki dywan. Czy jest duży?

- Nie, ledwo przykrywa stół. Tak więc, jak widzisz, mam teraz tłustą flamandzką żonę i stare flamandzkie graty, a na stole turecki dywan. Oto i cały mój dobytek. Diabelskiego dobiłem targu. Tyle mi się trafiło za małżeństwo z takim kocmołuchem. Pożałuj mnie, moja bogini!

Usiadła obok niego na łóżku i sięgnęła za siebie, by rozsupłać tasiemki od stanika. Kiedy tylko puściły, Dallet jedną rękę położył jej na piersi, a drugą pchnął ją na łóżko. Gdy poczuła na sobie jego ciężar, ogarnęło ją uniesienie. Był to wszak rzadki triumf tak wodzić za nos świeżego żonkosia, w dodatku poślubionego młodziej. Ale jak ta głupia dziewczucha mogła myśleć, że taki światowiec jak Rowland Dallet interesuje się jej osobą z jakichkolwiek innych przyczyn niż tylko dla udoskonalenia swego malarskiego kunsztu! Bridget z lubością wyobrażała sobie głupią gębę tamtej. Ależby miała minę, gdyby jakimś cudownym sposobem mogła zobaczyć teraz swego męża!

Kiedyś, zaraz po ich ślubie, widziała tę dziewczynę uwieszoną na ramieniu Rowlanda - wychodzili z katedry Świętego Pawła. Pulchna, prawie dziecięca sylwetka, różowe policzki, okrągła twarz z pospolicie niebieskimi oczyma, zadarty nos usiany mnóstwem śmiesznych piegów, rude niesforne włosy wymykające się spod czepka zamężnej niewiasty... Nic nadzwyczajnego, ale... młoda. No i widzisz, to ja zwyciężyłam, szepnęła do tego obrazu. Kochanek wszedł w nią, piegowata twarz znikła. Wspólna rozkosz słodkim potokiem przeniknęła ich złączone ciała, jej pot zmieszał się z jego potem. Słyszała jego szybki, urywany oddech, gdy nagle... huknęły rozwarte gwałtownie drzwi. W korytarzu zatupotały czyjeś ciężkie, podkute buty, gdzieś w domu rozpaczliwie zawodziły kobiece głosy.

- A, tu jesteś, ladacznico! Prawdę napisał ten rajfur! - grzmiący głos kapitana Pickeringa zagłuszył gorączkowe okrzyki pokojówki. - Bądź przeklęta, ty suko! Niech oboje was piekło pochłonie!

Nagle przerażenie zmroziło Bridget, nie pozwalając jej ruszyć się z łóżka. Malarz wrzeszczał wniebogłosy, gdy pochwyciło go kilka par stwardniałych od pracy rąk i brutalnie wyszarpnęło z jej ciała. Zanim zdołała zebrać siły, kapitan złapał ją za włosy i przybliżył jej twarz do swojej. Zmartwiała ze zgrozy, patrzyła w twarde, wysmagane wiatrem oblicze swego męża; w jego zimnych niebieskich oczach malowało się okrucieństwo.

- Podła oszustko! - ryknął. - Zdradziłaś mnie po raz ostatni! - Zza jego pleców dobiegały ją odgłosy gwałtownej szamotaniny i krzyk kochanka usiłującego wyrwać się z rąk marynarzy.

- Nie, nie, na litość boską! - usłyszała własny krzyk, gdy odepchnięta przez męża ujrzała w jego ręku krótki miecz. Czepiając się mężowskiego płaszcza, łkała bezrozumnie, wykrzykując w kółko to jedno słowo: - Nie, nie, nie!

Kapitan Pickering nie okazał jednak litości; trzęsąc się z furii, z rozmachem zatopił ostrze w nagim brzuchu Rowlanda Dalleta. Twarz malarza rozděła się od nieludzkiego wrzasku. Dwaj marynarze podtrzymali jego krwawiące ciało, podczas gdy kapitan, oswobodziwszy miecz, z osobliwie zimną precyzją poderznął swej ofierze gardło od ucha do ucha. Buchnęła krew, zalewając wszystko dookoła. Całe rzeki krwi płynęły po podłodze, tworzyły czerwone jeziora... krew mistrza Dalleta ciekła między deski, plamiła kotary łóżka. Jej widok zdawał się wzmaczać wściekłość zdradzonego męża.

- Dziwka, dziwka! - ryczał, okładając Bridget krwawymi pięściami. Rzucił ją w końcu jak kupę łachmanów w lepką kałużę obok łóżka. Nim wszakże straciła przytomność, zobaczyła coś, o czym opowiadała do końca życia, zaklinając się, że to prawda. Oto nad zwłokami Rowlanda Dalleta pochyliła się jakaś odrażająca, ciemna i naga postać. Owa straszliwa istota jęła swymi długimi łuskowatymi palcami gmerać w martwym ciele, uśmiechając się przy tym jak łakome dziecko, które ze świątecznego puddingu chce chyłkiem wygrzebać srebrną monetę.

Obudziłam się ze straszną oskomą na pomarańcze z Hiszpanii. Tylko jeden jedyny raz w życiu zaznałam smaku tego owocu. O, ale i ja będę kiedyś jadać pomarańcze, myślałam, wysuwając jedną nogę z łóżka. Chmury, pozbywszy się deszczu, nareszcie zniknęły, przez okno pracowni sączył się różowy brzask poranka. Dodało mi to otuchy. Nie bacząc na przenikliwe zimno, boso i w samym tylko nocnym stroju ochoczo wzięłam się do pracy. Posługując się zębem łasicy, ukończyłam polerowanie krążka pergaminu, który poprzedniego wieczoru podkleiłam starą kartą do gry i pozostawiłam, by wysechł. Następnie wyjęłam ze schowka szkic do portretu księżniczki. Nic trudnego, uznałam, przyglądając się jej gładkiej, ładnej twarzy, której niewątpliwy urok psuło tylko może trochę kapryśne odcięcie dolnej wargi.

Ustawiwszy przed sobą rządkiem porządnie wymytych muszli do mieszania barwników, starannie wybrałam pół tuzina najlepszych „ołówków”, czyli wąskich, malutkich pędzelków z wiewiórczego włosia, które sama zrobiłam dla mistrza Dalleta. Utłukłam i rozmieszałam różowy barwnik, by nadać cerze księżniczki ten jej piękny świetlisty odcień, zagruntowałam

pergamin i pozostawiłam do wyschnięcia. Jak dotąd wszystko było łatwe. Sto razy robiłam to dla Rowlanda; teraz pracowałam dla siebie, ot i cała różnica. Do tego czasu zdążyłam już zmarznąć na kość, byłam zatem bardzo wdzięczna Nan, że napaliła w kominku.

Narzuciwszy na nocny strój jedwabny chałat mego męża, chroniący miniaturę przed włoskami i meszkiem z wełnianych i bawełnianych ubrań, zasiadłam wreszcie przy warsztacie. Męczył mnie rozdzierający ból głowy; leżący na desce krążek pergaminu zdawał się poruszać... chwilami dwoił mi się w oczach. Palce miałam tak spuchnięte, że prawie nie chciały się zginać. W dodatku poczułam nagle w sobie chłód i jakąś pustkę. Wszak od czasu gdy po raz ostatni coś namalowałam, minął już z górą rok. A jeśli wyszłam z wprawy? A jeśli nic już nie potrafię? Co w takim razie powiem owym bogatym Francuzom? Mój Boże, a Dallet! Kiedy się o tym dowie, pogruchoce mi kości, może mnie nawet zabić!

Ogarnęła mnie straszliwa trwoga; zdawało mi się, że w kącie czai się jakieś bezkształtne zło, od którego w pracowni robi się mroczno. W kominie coś szeleściło... poczułam paskudną woń, jakby paliło się tam stare przegniłe drzewo. Po skórze zaczęły mi chodzić ciarki. „Utraciłaś swój kunszt - szepnęło to straszne coś. - Lepiej zabij się sama, nim uczyni to twój małżonek.” Jakiś ciężar przygniół mi piersi, tak że nie mogłam odetchnąć. Wydawało mi się, że coś czy ktoś... owa zła, bezkształtna istota, której przerażającą obecność czułam obok siebie, nie pozwala mi malować... chce mi odebrać talent... w chwili kiedy najbardziej go potrzebuję.

Spróbowałam się z tego otrząsnąć, myśląc o pieniądzach i dobrych uczynkach, na które będzie mnie stać dzięki temu, co otrzymam od Francuzów. Nic dla siebie nie wezmę, robię to dla innych, tłumaczyłam sobie, czyż nie będzie to zatem szlachetny postępek? Niech tylko zacznę, a zdolności wrócą mi same, myślałam. Lecz owa ciemna istota zdawała się coraz bardziej wypełniać komnatę, tak że zaczęłam szlochać. A jednak przeważył mój upór: nie przestałam wyciągać ze schowków wszystkiego, co potrzebne do malowania.

Kiedy położyłam na warsztacie duży szkic do portretu, znów stało się coś dziwnego. Poczułam za plecami osobliwy napór powietrza, jakby ktoś tam stał i ciekawie zerkał mi przez ramię. „Nie trać wiary, że potrafisz to zrobić, Zuzanno”, rozległ mi się w uchu czyjś szept. Gwałtownie odwróciłam głowę i kątem oka uchwyciłam coś błyszczącego, na wskroś przenikniętego światłem, puszystego jak pierze... Wiem, że to dziwne porównanie, lecz inaczej opisać tego nie potrafię. Światło w pracowni jakby zgęstniało, nabrało mocy i blasku, ucisk w sercu ustąpił. Poczułam spokojną radość. Płynęła rączym potokiem przez moje żyły, gdzie przecież powinna znajdować się krew, gęsta i ciężka od smutku. Ładne rzeczy, nie dość że boli mnie głowa, to jeszcze zaczynam mieć zwidy. Może Nan miała rację, mówiąc, że

wszystko to skutek wystawiania głowy na deszcz i że nie powinnam była tego robić.

I oto... raptem ból głowy zniknął, jak gdyby czyjaś ręka dotknęła mojego czoła. Krążek pergaminu wyraźnie zarysował się na stole, jego brzegi odzyskały ostrość. Przepłynęła przeze mnie fala dziwnego gorąca i zaczęłam gwałtownie się pocić. Och, ostrożnie, żeby tylko nie zamoczyć pergaminu! Prędko wytarłam rękawem kapiące z czoła krople. Cała ociekałam teraz potem, tak że zwilgotniał nawet mój jedwabny chałat. Palce... och, ustąpiła z nich opuchlizna! Znow były sprawne i zręczne.

Z zuchwałością śmiałka skaczącego do nieznannej rzeki wzięłam głęboki oddech, szybko zmieszałam kolor do podmalowania obrazka - róż z odrobiną rozcieńczonej laki - i położyłam go na czole jednym pociągnięciem pędzla. Jest! Rozłożył się jak trzeba, schludnie i prawidłowo. Ogarnęła mnie wielka radość. Poczułam, że tak jak dawniej w moim wnętrzu nastąpiło połączenie między głową a ręką i w tej samej chwili wydało mi się, że słyszę jakiś dziwny dźwięk. Coś jakby szmer aprobaty dochodzący skądś... z bardzo bliska... i nikły odgłos dziecięcego śmiechu. Czy ja śnię? A może to wytwór mej imaginacji? Lecz owa zła istota, a także brzydki zapach i niemiły szelest nagle znikły, jakby przegnane tym śmiechem.

Rozbielonym odcieniem rdzy delikatnie naszkicowałam rysy twarzy: ach, ucieszyły mnie dobrze uchwycone proporcje. Zabrałam się teraz za szkicowanie rozciętych rękawów sukni i ozdób. Malowanie takich rzeczy sprawia mi zawsze szczególną przyjemność, kocham bowiem piękną biżuterię, a któż mógłby mieć lepszą niż moja księżniczka? I znow zadzwieczało mi w uchu: „Dobra robota, Zuzanno, dalej!”

W miarę jak z kawałka pergaminu powoli wyłaniał się obraz, pracowałam z coraz większym zapałem. Jeden po drugim mieszałam w muszelkach cieliste barwniki z wodą i gumą arabską i z każdą chwilą pewniej układałam je na lśniącej masie perłową paletce. Potem przyszła kolej na farby do cieniowania. Przenosiłam je na pergamin pojedynczymi pociągnięciami pędzelka, cienkimi jak włos, a kładzionymi tak blisko siebie, że niewprawnemu oku wydają się one jednolitą plamą. I to jest właśnie jeden z największych sekretów dobrej miniatury, jak mawiał mój ojciec. Większość malarzy, nic o tym nie wiedząc, próbuje kłaść farby drobnymi plamkami, czyli w taki sam sposób jak przy malowaniu dużych portretów, a to błąd. Miniatura wymaga niezwyklej precyzji, inaczej nie da się osiągnąć prawdziwego podobieństwa rysów. Ponadto dla wydobycia formy malarze ci stosują ciemne kolory: fiolety, zielenie, a nawet różne odcienie czerni, i tak zamiast świetlistego konterfektu powstaje tylko jakaś ponura gmatwanina plam. Mój ojciec, który swojej sztuki nauczył się od iluminatorów, używał do cieniowania samych jasnych, nasyconych barw, sprawiających wrażenie ciemniejszych jedynie w zestawieniu z kolorem ciała. Malarze angielscy wciąż

jeszcze nie odkryli owych sekretów, toteż sztukę miniatury uprawiają w tym kraju cudzoziemcy. Cudzoziemcy i Rowland Dallet.

Tak bardzo oddałam się pracy, że czas przestał istnieć. Otaczała mnie jakaś bezkresna, prześwietlona jasnością przestrzeń tłumiąca wszelkie pospolite dźwięki. Wypełniało ją piękniejsze od muzyki ciche bicie dzwonów. Rzucane od czasu do czasu uwagi Nan: „O, ale podobna!”, a także jej pochwały, były jak pozbawiony treści szelest liści, dochodzący z bardzo daleka, z jakiegoś innego świata. Całym swym jestestwem odczuwałam doskonałość barw tego portretu, a była to przyjemność czystsza i bardziej idealna od wszystkiego, co mogłam sobie wyobrazić. Z jakąż przedziwną precyzją moje maleńkie pędzelki odnajdywały właśnie te, a nie inne tony światłocienia, przekształcając płaski rysunek w żywą okrągłą postać. I tak doszłam do końca: pośród zanikającej jasności położyłam przypaloną kość słoniową pod źrenice, a na to maleńką jak pyłek drobinę czerni, dzięki której oczy portretu będą lśnić jak prawdziwe. Kobaltowe tło, bardziej niebieskie niżli niebo w lecie, pięknie uwydatniało rude włosy i świeżą cerę księżniczki. Każdy jej klejnot odbijał światło, tkanina sukni błyszczała niczym czysty jedwab. Rozejrzałam się dokoła, jakby mnie zbudzono ze snu. Popołudnie dobiegało końca. Nie czułam już obecności niewidzialnych obserwatorów. Pracownia była znów ponura, ciemna i pusta. Zjawy, dobre i złe, gdzieś znikły.

- Co to za harmider tam na dole? - zawołałam do Nan.

- Ani chybi wdowa ujada na swoich klientów. Nie zaprzataj sobie tym głowy, maluj. Ci francuscy panowie będą tu pewnie lada chwila.

- Już skończyłam tę miniaturę i wiesz, Nan, podoba mi się bardziej niż wszystkie, które kiedykolwiek namalował pan Dallet. Jeszcze tylko włożę ją do puzderka, a ty posłuchaj przy drzwiach, co się tam dzieje. Wiesz, że przepadam za plotkami.

Miałam pod ręką kilka okrągłych kasetek z polerowanego drewna. Takie zwykle, westchnęłam do siebie. Dla księżniczki przydałoby się pudełeczko całe wysadzone klejnotami. Ach, mniejsza o to! Jeśli zechcą, mogą zamówić sobie lepsze u złotnika. A jeżeli nie przyjdą? Cóż, będzie to oznaczało, że taka jest wola Boska, a ja zachowam obrazek jako świadectwo mych malarskich umiejętności. Trzeba go dobrze schować, pomyślałam w nagłej rozterce. Wszak Rowland Dallet sprzedał mego „Zbawiciela świata” jako dzieło dawno zmarłego burgundzkiego mistrza.

Krzyki na dole przybierały na sile. Po chwili na schodach dał się słyszeć stukot chodaków, a po nim bardzo niegrzeczne walenie w drzwi. Nan, otworzywszy je z rozmachem, zobaczyła w progu córkę wdowy.

- Matka kazała powiedzieć, że nie pozwala kłaść tego na dole - oświadczyła. - Mamy

prawo do tej części domu zagwarantowane umową. Matka sobie nie życzy, by coś takiego walało jej się po sklepie. Zabierajcie to sobie na górę.

- O czym ty mówisz? - spytała Nan.

- Sama zobacz. - Córka wdowy przymrużyła oczy, swoim zwyczajem złośliwie się uśmiechając. A może to jakiś prezent?, pomyślałam, wyprzedzając Nan na wąskich spiralnych schodach. W sklepie stało dwóch marynarzy; u ich stóp na starych matach z sitowia leżał wielki podłużny pakunek zawinięty w usiane ciemnymi plamami płótno. Kiedy zaczęłam go odwijać, na twarzach obu majtków odmalowało się dziwne zaambarasowanie.

Od tego, co zobaczyłam, tchu mi zabrakło. Zaraz potem w całym ciele poczułam lodowaty chłód i usłyszałam czyjś krzyk. Był mój, lecz dochodził jak gdyby z wielkiej odległości. Widziałam sinoszarą skórę i głębokie rany pokryte skrzepłą krwią... Boże, jakie straszne! Czegoś takiego niepodobna sobie nawet wyobrazić... Przyniesiony przez majtków toból okazał się zwłokami mistrza Dalleta. Leżał przede mną mój mąż... martwy jak kamień.

Wyższy spośród dwóch marynarzy, czarnowłosa, z kolczykiem w uchu, ujrawszy mój wzdęty brzuch i obrączkę, odchrząknął z zakłopotaniem, po czym wyjaśnił:

- Ehm... To był wypadek... który zdarzył się w uliczce za domem kapitana Pickeringa.

- Banda rzezimieszków... - dorzucił niższy, ten z rudą brodą.

- Kapitan niespodziewanie powrócił z morza - wtrąciła córka wdowy, spoglądając na mnie znacząco.

- I znalazł ofiarę napaści - dokończył rudy majtek.

Prawie ich nie słyszałam, tak łomotało mi serce. Dla mnie wszystko było jasne. To moja wina. Postąpiłam zuchwale i niegodziwie, ośmielając się malować, zamiast z największym oddaniem służyć mężowi, i za to Bóg mnie ukarał. Mistrz Dallet nie żyje, a mnie i Nan przyjdzie wkrótce umrzeć z głodu. Wszystko przez moje samolubstwo. Kto się teraz o nas zatroszczy? Kto zadba o moje dzieciątko? Gdyby to był syn, jego ojciec może by mnie pokochał, a co teraz? Nic, żadnej nadziei. Ogarnęło mnie drżenie; poczułam, że mdleję.

- No i patrzcie, coście uczynili! Wszak to niewiasta przy nadziei! - rozległ się oskarżycielski okrzyk Nan. - Zabiliście ją, wy nicponie, biedactwo doznało wstrząsu!

Pierwszy skurcz dopadł mnie przy stopach trupa. Przerażone kobiety zaczęły krzyczeć. Poczułam, że podtrzymują mnie czyjeś ręce.

- Połóżcie ją, ale nie tutaj! - dobiegł mych uszu rozkazujący głos wdowy. - Chcecie zabić jeszcze i dziecko? - Kiedy skurcz minął, klęcząca obok mnie pani Hull, nabożnie wznosząc oczy ku niebu, wykrzyknęła: - O, znam ja ten smutek! Bo tylko wdowa zdolna jest zrozumieć rozpacz po utracie zacnego męża! - Mimo zamroczenia zrozumiałam, że smakuje

tę chwilę jak specjał, starzy ludzie czerpią bowiem szczególną przyjemność z wszelkich nieszczęść. - Co o niewieścich cierpieniach może wiedzieć mężczyzna? - zawołała znów triumfalnie.

Marynarze, mrużąc coś ze zmieszaniem, jeśli wycofywać się w stronę drzwi, tam wszakże stała już Nan, zagradzając wyjście.

- Nie tak prędko! Najpierw dobrze popatrzcie, co uczynił ten wasz kapitan - rzekła surowo. - A wiecie wy, jak możnych patronów miał zamordowany mistrz Dallet? Malował króla Henryka VII, a także naszego miłościwego pana, kiedy ten był jeszcze królewiczem. Nie liczę już mnóstwa innych szlachetnie urodzonych. Waszemu kapitanowi taki skandal nie ujdzie płazem! Przynieść zamordowanego biedaka jego brzemienniej żonie, by także i ją zamordować!

- Miał prawo... - mruknął niższy marynarz.

- Nan... Nan... - wyszeptałam słabym głosem - dziecko... ono chyba zaraz się urodzi.

Nan nie usłyszała mego szeptu, w przeciwieństwie do wdowy, która ma takie ucho, że każdy najściślej strzeżony sekret ułowi nawet przez trzy ściany.

- Zamordowanie biednej niewinnej wdowy i jej dzieciątka - uzupełniła - to skandal aż pod niebiosa. Cały Londyn się o tym dowie. Wasz pan nie ujdzie Boskiej ni ludzkiej sprawiedliwości! - stwierdziła z mocą, mierząc palcem w niebo. Marynarze coraz niespokojniej zerkali na boki, lecz żywy mur kobiet odcinał im drogę ucieczki.

- Powiedzcie mu, że ma tu przyjść i zaopiekować się dzieckiem, które uczynił sierotą, inaczej cały świat usłyszy o jego zbrodni - zagroziła Nan, oparta twardo o drzwi.

- Przeklęte sroki... ładnego narobił bigosu... - mamrotał pod nosem ten z kolczykiem. - A mówilem: pozbyć się trupa. Teraz będzie musiał zamknąć im gęby.

- Chrześcijański to obowiązek pomóc wdowie - oświadczyła Nan tonem głębokiej słuszności - a ten, kto go wypełni, może się spodziewać jedynie pochwały.

- O tak, i cichej modlitwy - prędko dodała wdowa. - Cichej - powtórzyła z naciskiem. - A nie zapomnijcie powiedzieć o tym swemu panu! - Kiedy Nan, odstąpiwszy od drzwi, pozwoliła nareszcie wymknąć się marynarzom, madame Hull pochyliła się nade mną (wciąż jeszcze leżałam na podłodze), mówiąc: - Zadbamy przynajmniej o to, by kapitan opłacił pochówek, a jak dobrze pójdzie, znajdzie się może i dla nas zacna sakiewka... Czy czujesz ból, moja ty biedna gołąbeczko?

- Jeden poczułam na pewno...

- Rety, a więc to już! I to grubo przed czasem wedle moich rachub.

Cóż za wścibskie stworzenie z tej wdowy! Jasne, że musiała liczyć, nie byłaby starą



dama. One wszystkie zaczynają rachować, poczynawszy od daty ślubu.

Kiedy już obie z Nan pomogły mi się podnieść, wygłosiła kolejną ze swych złotych myśli:

- Po mojemu z mężczyznami jest ten oto kłopot, że żaden po sobie nie posprząta. To my, niewiasty, musimy dopilnować, by taki pan uładził cały ów bałagan, którego narobił.

- Święta prawda - przytaknęła Nan. - Ale teraz musimy pomóc mojej pani wejść na górę. Trzeba ją położyć do łóżka, nim przyjdzie następny ból.

- Matko - usłyszałam za sobą płaczliwy głos córki - a co będzie z... hm... panem Dalletem?

- Tu go zostawimy, bo gdzieżby? Miałby leżeć obok rodzącej niewiasty?

Kiedy położono mnie do łóżka, wdowa skorzystała z okazji, by wściubić swój długi nos w każdy kąt mego mieszkania, na co, jak myślę, od dawna już miała niezmierną ochotę.

- Mój Boże - stwierdziła - cienki jak opłatek ten twój piernat. O, a w kredensie same drewniane talerze! Nie masz więc ani sztuki cynowej zastawy? - Zamknąwszy szafkę, przeniosła się do kominka, by zajrzeć pod pokrywkę wiszącego nad ogniem kociołka, w którym Nan gotowała zupę. Takie wiekowe damy jak ona muszą widzieć wszystko. Nigdy by sobie nie darowały, gdyby, nie daj Boże, umknął im jakiś drobiazg. - Stary ten garnek - zauważyła.

- Mam go po matce.

- Widzi mi się, że mąż mógłby ci kupić lepszy. - Jej kościste ciało znikło teraz prawie w wielkiej garderobie, którą również odziedziczyłam po rodzicach. - A te ubrania to wszystkie jego? - dobiegł mnie jej głos stłumiony wytwornym przyodziewkiem mego męża. - Nie kupił ci chociaż paru wstążek? A ja myślałam, że to człowiek bardzo majątny, który już wkrótce porzuci te moje skromne pokoiki...

Naciągnęłam na głowę przykrycie, bo słuchanie tych jej wścibskich uwag było ponad moje siły; wystarczyło już, że słyszę, jak łązi po kątach i szpera wśród moich rzeczy.

- Oho, nie ma chyba w świecie drugiego takiego sknery jak nieboszczyk mistrz Dallet - odezwała się poufnym tonem Nan. Ha, spotkały się dwie starsze damy. - Każdego pensa wydawał na własne stroje, zaś na moją panią ani złamanego grosza. Serce mi krwawiło, bo to widzisz, zacna pani Hull, wypiastowałam ja tę dziewczynę od maleńkości. Nie wyobrażasz sobie, jaki to był niegodziwy człowiek! Pomódl się za mnie - dodała, zniżając głos - bo... bo uczyniłam rzecz straszną. Ja ściągnęłam na nas to nieszczęście, choć nie mam odwagi jej tego wyznać. - Głos Nan opadł do szeptu. - Bałamuctwa tego rozpustnika doprawdy mogły przywieść do szaleństwa, a ona, biedne niewiniątko, wcale nie pojmowała, co się dzieje,

więc... więc błagałam diabła, by go sobie zabrał. No i właśnie się to stało... teraz pójdzie do grobu bez rozgrzeszenia... Ach, wszystko to moja wina!

Słyszając to, poczułam się lepiej. Może to jednak nie ja zawiniłam swym kłamstwem i tą miniaturą? Wytknęłam głowę spod koldry. Bóle minęły.

- Boże, wybacz mi moje złe myśli! Zlituj się nad nami, teraz gdy w takiej jesteśmy potrzebie. Pan Dallet zostawił nam same długi - jęknęła żałośnie Nan, zmierzając za wdową do pracowni.

- W potrzebie? O, wiem coś o tym! - odrzekła pani Hull, zaglądając do mieszka, gdzie trzymałam tłuczony serpentyn. - Uf, ci malarze! Nie widzę tu nic wartościowego. Musicie znaleźć jakiegoś innego malarza, by coś z tego sprzedać. Wszystkiego żaden nie weźmie; połowa to same rupiecie. Może by gildia pomogła wam urządzić wyprzedaż... Czy on naprawdę nie zostawił nic takiego, co by się dało spieniężyć? Może jakie nabożne obrazy? Mój mąż pozostawił mi w spadku dwunastu Chrystusów, lecz nikt jeszcze żadnego nie kupił. Takie to niegodziwe czasy. Ludzie zapomnieli o Bogu. O, Adamowie i Ewy, te się sprzedają, a wiesz dlaczego? Bo nie mają na sobie ubrań. Ewa w raj, Ewa kuszona przez węża, wąż i Ewa splatająca włosy, wąż i Adam podglądają Ewę. Powiadam ci, mąż mój nie nadązał z ich malowaniem. Widać połowa mnichów w naszym chrześcijańskim królestwie musi mieć takie malowidło. Szczęściem pozostawił mi ich dobre dwa tuziny, choć nie wszystkie całkiem wykończone. Doprawdy nie wiem, co pocznę, jak sprzedam już cały zapas! Skąd wtedy wezmę choćby na kawałek kielbasy do tej mojej biednej wdowej zupy?

- Nagie malowidła? Nigdy nie widziałam takich w twoim sklepie. - Nan była najwyraźniej mocno zaskoczona, ja zaś zupełnie wytknęłam głowę spod przykrycia, a nawet wyciągnęłam szyję, żeby lepiej słyszeć.

- Trzymam te bezceństwa pod Chrystusem, chętni wiedzą jednak, gdzie ich szukać. - Zauważyłam, że Nan stara się wyprowadzić panią Hull z pracowni, ale nic z tego. Wdowa dalej przewracała deski i przepatrywała półki. - Oj, a to co? - usłyszałam nagle jej okrzyk. - No to, co widzę tam na warsztacie? Ho, ho, nie próbuj mi mydlić oczu, znam się na tym! Zbyt długo byłam żoną malarza! No patrzcie, przy tej wielkości takie kolory! A rysy! Doskonałe, doprawdy doskonałe. Wygląda jak żywa, jakby miała za chwilę wyjść z tej kasetki. Widzę po oczach cały jej charakter. A wiesz, że w tym właśnie tkwi wartość portretu? Mówię ci, to istny klejnot, godzien pałacu cesarza! - Odstąpiła o krok od warsztatu i wzięwszy się pod boki, zaczęła lustrować miniaturę, przechylając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. - No, teraz gdy widzę, jaki nieboszczyk miał talent, zaczynam żałować tego aroganta.

- Tę miniaturę namalowała moja pani.

- Kpisz sobie ze mnie? Tak malować potrafi jedynie mężczyzna.
- Moja pani to jedyna córka wielkiego mistrza Corneliusa Maartensa.
- Martin? Hm, może i słyszałam, jak mąż o nim mówił... a może nie? Nazwisko wszelako nie brzmi ze szlachecka. Mam nadzieję, że nie był on jednym z owych cudzoziemców, co przyjechali do Anglii odbierać nam chleb. Gdyby gildia nie paliła ich obrazów, my, przyzwoici Anglicy, żylibyśmy dziś pewnie w rynsztoku.
- Mistrz Maartens był Flamandem.
- Och, no cóż, nie mówię, że wszystkie cudzoziemskie malowidła są kiepskie, ale już herbów to oni porządnie malować nie umieją. I te ich dziwaczne obyczaje...
- Moją panią od dzieciństwa uczono malarstwa. A ojciec przed śmiercią przekazał jej wszystkie swe sekrety.
- r No i czyż to nie dziwny zwyczaj: uczyć córkę męskiego zajęcia? - Wdowa wciąż zdawała się nie dowierzać słowom Nan. Podeszła znów do warsztatu, by powtórnie przestudiować portret. - Pomyśl sama! Takie zajęcie odciąga niewiastę od jej obowiązków. Czy parając się męskim rzemiosłem, można być dobrą żoną? Nie, dziewczynę trzeba wychowywać po dziewczynsku, ja ci to mówię, inaczej tylko patrzeć, jak nasze panny zaczną nosić krótkie spodnie i miecze przy pasie. No i dokąd nas to zaprowadzi? - Mówiąc to, wdowa ujęła miniaturę i przybliżyła do oczu. Czułam, że mózg jej pracuje z wielkim mozołem. Prawie słyszałam jej myśli, choć była w drugim pokoju. - Jednak - bąknęła - skoro tak maluje... zbrodnią byłoby zmarnować ten talent... zło i tak już się stało... a z tego może być profit.
- Słowo „profit” przypomniało mi klientów - gwałtownie usiadłam na łóżku.
- Miniatura! Nan, Francuzi! Mogą tu być lada chwila! Musimy ukryć gdzieś ciało!
- Co za Francuzi? - spytała natychmiast wdowa, węsząc kolejną sensację.
- Ci, którzy zamówili miniaturę u mego męża - jęłam gorączkowo wyjaśniać. - Jeśli się dowiedzą, że nie żyje, nie kupią portretu. O Nan, wiesz, jak bardzo potrzebujemy tych pieniędzy!
- Chcesz powiedzieć, że masz zamiar wcisnąć im ten portrecik jako dzieło mistrza Dalleta?
- A co mam robić? Ktoś musi utrzymać ten dom, skoro mój mąż już teraz tego nie uczyni... Tak mówię, jakby on kiedykolwiek się o to martwił.
- Moja droga - uśmiechnęła się wdowa, a ja już po tym uśmiechu poznałam, że ma jakieś plany - pomogę wam ukryć ciało, ale pod jednym warunkiem...
- Nie stać nas na to, by dzielić się pieniędzmi od Francuzów - weszła jej w słowo Nan.

- Wiesz, że musimy wyprawić pogrzeb.

- Och, nie myślę pozbawiać biedaka całunu. Proponuję twej pani, by odnowiła mój zapas obrazów z Adamem i Ewą. Pieniędzmi dzielić się będziemy po połowie.

Kiedy to usłyszałam, opuściły mnie czarne myśli. Poczułam, że sam los zatroszczy się odtąd o moje potrzeby.

- Wyborny pomysł - orzekłam. - Zgoda. Pieniądze po połowie.

- Chwalmy Pana, który w tak niezwykły sposób odpowiada na nasze modły. - Wdowa nabożnie wzniosła oczy w górę. - A teraz, kochana pani Dallet, odpoczywaj tu sobie i nabieraj sił, ja zaś pójdę ukryć ten nasz kłopot. Dzięki Bogu, że zimno, to i nie zaśmierdnie, a jutro wyprawimy go z domu.

Scandalous

## PORTRET DRUGI

*Lucas Hornebolt „Księżniczka Maria Tudor”, ok. 1514. Średnica 3,8 cm. Gwasz na welinie. Kasetka z drzewa wiśniowego. Huntington Gallery.*

*Ten doskonały przykład wczesnoangielskiej szkoły miniatury, przypisywany Lucasowi Horneboltowi, przedstawia księżniczkę Marię Tudor (1495?-1533), trzecią córkę króla Henryka VII i młodszą siostrę Henryka VIII. Nie należy jej mylić z królową Marią I (czyli Marią Tudor, 1516-1558, zwaną „Krwawą Mary”), starszą córką Henryka VIII i przyrodnią siostrą królowej Elżbiety I. Portretowana osoba ma rudawe włosy Tudorów i ich charakterystyczną dolną wargę, znamionującą zdecydowanie i upór. Miniatura ta, najprawdopodobniej kopia większego portretu, powstała jako dar zaręczynowy dla króla Francji Ludwika XII mniej więcej około roku 1514. Żadna szkoła miniatury nie dorównuje angielskim mistrzom XVI i XVII wieku czystością i żywością barw, jak również umiejętnością oddania charakteru postaci w portrecie tak małych rozmiarów.*

Miniatura angielska. Katalog wystawowy

Październik 1985

Opowiadałam już, jak doszło do namalowania tego obrazka. Nie był to portret z modelu, lecz tylko kopia, która jednakże po raz pierwszy w życiu pozwoliła mi zarobić pieniądze za pomocą palety i pędzla. Twarze są moją najsilniejszą stroną, bo mój ojciec był tyranem, który nigdy mi nie przepuścił najdrobniejszej niedokładności. Miał starą ludzką czaszkę, doprawdy szkaradną, którą kazał mi rysować bez końca ze wszystkich możliwych stron, aż zaczynałam płakać. Zmuszał mnie do tego, bo jak mówił, „nie nauczysz się rysować ciała, póki nie poznasz kości, które są pod spodem”. Moja matka kręciła głową, mówiąc, że żadna przyzwoita panna nie powinna malować czaszek, a ojciec jest szaleńcem. Sądząc wszakże po tym, do czego doszłam, nie był on może wcale tak szalony. W ludzkich twarzach widzę mnóstwo rzeczy. Myśli, doznane krzywdy, marzenia, czasami zło, ogromne a dobrze ukryte zło. Aby to uchwycić i oddać - poprzez lekko opadającą powiekę czy za pomocą lśniącej na policzku kropelki światła - trzeba jednak szczególnego kunsztu, i nad tym też pracuję najusilniej, pragnę bowiem wciąż się doskonalić.

Najtrudniejszą wszelako rzeczą w pracy malarza jest otrzymać za nią zapłatę, i to się nigdy nie zmienia, choćby człowiek zdążył już namalować nie wiadomo ile obrazów. Tak wielu jest ludzi chytrych i nieuczciwych, a co można zrobić, kiedy obraz został już namalowany? Nie ma rady, trzeba brać, co dają, albo czekać, ryzykując, że nie dostanie się

pensa, a przecież poniosło się już koszty farb i innych drogich materiałów. Najlepsi są zatem książęcy patroni, ci bowiem nie stosują takich niskich sztuczek. Lecz nawet mając do czynienia z księciem, zawsze lepiej brać zapłatę z góry.

Scandalous

Było już ciemno, kiedy nadeszli Francuzi. Szczelnie okutani w płaszcze, uzbrojeni, przytowarzali z sobą trzeciego mężczyznę, który najwidoczniej chciał pozostać nie rozpoznany, bo włoską modą miał na całej twarzy czarną aksamitną maskę, na głowie zaś pospolity kapelusz z szerokim rondem nisko opuszczonym na czoło. Jednakże wywinęte mankiety wysokich butów z mięciutkiej skóry ukazywały czerwoną jedwabną podszewkę, a spod czarnego płaszcza, który rozchylił mu się przy jakimś mimowolnym ruchu, mignęły złote hafty gęsto naszywane drobnymi perłami. Musiał to być ktoś znaczniejszy od dwóch pozostałych, pewnie ich pan. I nie chciał, by ktokolwiek wiedział o jego wizycie.

Dwaj znani mi już Francuzi postawili latarnie na stole w sypialni, oświetlonej dotąd jedynie blaskiem ognia płonącego w kominku. Mistrz Dallet strasznie skąpił pieniędzy na świecie. Dość mu było świateł w siedzibach możnych klientów, po cóż więc miał płacić za takie zbytki dla domu. Dopiero teraz, gdy już nie żył, zaczęło mi świtać, że wcale nie uważał swego domu za spokojną przystań, wolną od trosk, fałszu i nieprawości tego świata. Nie czego innego, lecz właśnie owych światowych nieprawości najbardziej pożałował mistrz Dallet, a przystań domowa stała mu w tym na przeszkodzie. Gdy to sobie uprzytomniłam, ogarnął mnie wielki smutek, bo jeśli „Księga obyczajów zacnej małżonki” nie mówi prawdy, to komu można jeszcze wierzyć? O, daleko odeszłam od dobrych rad mojej księgi, przyjmując nieznanomych mężczyzn o tak przecież niestosownej porze. Najlepszy to dowód, co się dzieje, kiedy już raz zboczysz na manowce. W owej chwili myślałam jedynie o tym, że muszę udawać śmiałość i tak chytrze wszystko ukryć, by moi klienci nie zaczęli obniżać ceny.

Od migocących czerwienią ogni z paleniska za plecami cudzoziemskich gości wyrastały wielkie czarne cienie, podobne budzącym grozę gigantom. Powiedziałam sobie jednak, że się nie ulęknię, albowiem słuszność jest zawsze po stronie wdowy, zwłaszcza tej, której tak bardzo brakuje pieniędzy.

- Madame Dolet, czy to możliwe, by twój mąż zdążył ukończyć portret? - zapytał Francuz, który wczoraj zamawiał u mnie miniaturę, ten mówiący lepiej po angielsku.

- O tak, ukończył, a mnie powierzył jego sprzedaż, gdyż sam musiał wyjść z domu. Otrzymał ważne zamówienie chyba gdzieś na drugim końcu miasta. Życzy pan sobie obejrzeć portret?

- Dziwne, że zdał się na żonę - mruknął po francusku ten drugi do nieznanomego w masce. - Musi to być zaiste ważne zamówienie. Dobrze jednak, mój panie, że chyba nie na próżno odbyłeś tę wyprawę.

- Wciąż wydaje mi się rzeczą niemożliwą, by mógł ją namalować tak szybko... Nie przyjmę miniatury, jeśli okaże się licha - odrzekł zamaskowany. - Pokaż mi portret - zwrócił się do mnie z cudzoziemską brzmiącą angielszczyzną.

Zapaliłam od ognia kiepską świeczkę z knotem z sitowia i poprowadziłam gości do pracowni.

- Oto jest, milordzie - z tymi słowy podałam Francuzowi zamkniętą kasetkę. - Życzysz sobie pewnie przyjrzeć jej się bliżej, podejdź więc, proszę, do ognia. Boję się ją tym pokapać. - Odsunęłam od puzderka skwierczącą świeczkę, bo strasznie pryskała łojem. Mój klient usiadł przy kominku i podniósł okrągłe drewniane wieczko. Kiedy malutki wizerunek ożył kolorami w blasku ognia, francuski wielmoża wstrzymał nagle oddech.

- Uderzające podobieństwo! - wykrzyknął po francusku. - Lepiej uchwycone w tej kopii aniżeli nawet w oryginale. To rzecz znakomita. Jakże wiernie ukazuje już nie tylko wygląd książniczki, ale i jej charakter. - Chrząknął znacząco i dodał: - Madame z pewnością nie mogłaby sobie życzyć nic lepszego. - Znowu wlepił oczy w portret. - Tylko... jakim cudem on to zrobił w tak krótkim czasie? Czyżby książniczka kazała mu wykonać kopię dla jakiego kochanka? Albo może sam wpadł na pomysł sprzedania jej podobizny innej zainteresowanej stronie... - mówił jakby do siebie, głęboko coś rozważając. Przybrałam tępy wyraz twarzy, udając, że nic nie rozumiem.

- Powiedz mi, madame - zagadnął mnie po angielsku ten niższy - czy twój mążnek miał tę miniaturę już gotową?

Oj, niedobrze! Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze zechcą nam zarzucić? Że też o tym nie pomyślałam! Ale tak to już jest. Widać tu najwyraźniej, że jedno drobne oszustwo, jak choćby ukrycie czyichś zwłok, może wywołać trudne do wyobrażenia skutki. Zaraz też przyszło mi na myśl, że muszę bronić czci nieboszczyka, jeśli chcę uchodzić za szacowną wdowę, a nie jakieś płoche nic dobrego, które nie dba o to, że związało się z niegodziwcem.

- Mój mąż jest człowiekiem honoru - oświadczyłam. - On miałby popełnić taki czyn? Nigdy. Panowie, wczoraj wieczorem przekazałam mu waszą hojną propozycję, a on pracował dziś nad nią cały boży dzień. Zrobił to dla swego syna, który wkrótce ma się nam urodzić. - Po śmierci mistrza Dalleta było mi dużo łatwiej wyobrazić go sobie jako troskliwego ojca. - Ach, szalał z radości, gdy dowiedział się, że noszę jego dziecko. Była to odpowiedź na jego żarliwe modlitwy, na wszystkie te świece zapalane przed figurą Najświętszej Dziewicy u Świętego Vedasta. Och, mój mążnek to człowiek bardzo nabożny wbrew wszelkim pozorom światowej płocności, które zwykle przybiera wobec swych możliwych klientów. - Czy mi się wydawało, czy naprawdę jednego z Francuzów przebiegł dreszcz? Nie było czasu



zastanawiać się nad tym, bo ten najważniejszy spytał mnie z ciekawością i zarazem z widocznym oszołomieniem:

- Czy widziałaś, jak malował tę miniaturę?

- O tak - odrzekłam z przekonaniem. - Cały dzień siedział przy tym warsztacie, milczący jak duch, i pracował. Nie ośmielałam się mu przeszkadzać. Ach, nie tknął nawet posiłku, a skończywszy ten wizerunek, po prostu zniknął, tak że nie wiem, kiedy wyszedł. Strasznie jest zajęty ostatnimi czasy. - Teraz już i milord z lekka zeszywniał, a twarz, z tego, co mogłam zobaczyć spod maski, jakby mu trochę przybladła.

- Niech powie mężowi, że ta miniatura to arcydzieło, prawdziwie warte zapłaty, której zażądał - powiedział po francusku, dając znak niższemu ze swych towarzyszy. Ten powtórzył mi to samo po angielsku, po czym wydobyl sakiewkę.

- Z radością przekażę mu tę jakże łaskawą ocenę, milordzie. Będzie ci za nią niewymownie wdzięczny. - Ściskając w ręku pieniądze i ledwie ważąc się oddychać, dygnęłam na pożegnanie, niestety, bardzo niezgrabnie.

- Nikomu nie mów ani o portrecie, ani o naszej bytności - dodał jeszcze ten, który lepiej władał angielskim. Co takiego usłyszałam w jego głosie: groźbę czy strach? A może jedno i drugie?

- Oczywiście, ma się rozumieć, milordzie.

Kiedy wszakże Nan poszła odprowadzić gości do wyjścia, stanęłam przy ogniu i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego mnie przykazali milczeć, a słówkiem nie wspomnieli o Rowlandzie? Wszak to on przede wszystkim powinien milczeć. Przez chwilę słuchałam skrzypienia ich butów na wąskich schodach, a potem dobiegł mnie odgłos zamykanych drzwi. W kuchni wdowy tymczasem trwał jakiś dziwny harmider; słychać było szcęk naczyń i wesołe głosy. Można by pomyśleć, że zebrała się tam niezłe podochocona kompania. Pani Hull piszczała i chichotała jak niedowarzona młódka, a nie szacowna podstarzała wdowa lubująca się w cudzych nieszczęściach.

Właśnie chowałam pieniądze, gdy usłyszałam, że Nan stara się uciszyć owo rozbawione towarzystwo.

- Moja pani jest w okropnym stanie. Ledwo zipie z żalu, biedactwo. Ach, moje niewinne jagniątko, że też przyszło jej oglądać takie rzeczy! Łaska boska, że na ten widok od razu nie padła trupem. - Nan zawsze mówi donośnie, tym razem jednak tak mocno podniosła głos, że był to wyraźny znak dla mnie: na górę idzie ktoś, kto nie powinien widzieć, że napawam się brzękiem monet. Dla niego mam wyglądać jak męczennica. Co prędzej wetknęłam pieniądze pomiędzy piernat a siennik i wskoczyłam do łóżka, przykrywając się aż

po brodę, by ów gość, kimkolwiek jest, nie zobaczył, że mam na sobie suknię i że niecnie go oszukuję. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, gdy się okazało, że Nan prowadzi mnicha, który łatwo mógłby przejrzeć mą niegodziwość, gdyby nie to, że mnich ów, bardzo tłusty i zadyszany, był już niezłe podpity - uraczył się tak pewnie na dole - nie musiałam się więc obawiać ani jego, ani jego wzroku.

- Oto spowiednik kapitana Pickeringa, a to pani Dallet. - Nan pospiesznie dokonała prezentacji, wyraźnie chcąc mnie ustrzec przed jakąś niefortunną pomyłką. - Brat Tomasz przybywa w imieniu kapitana.

Zauważyłam, że duchowny bacznie rozgląda się po naszych dwóch pokoikach. Bez prawdziwych świec było tu mroczno i trochę żałośniej te knoty z sitowia robią tak nędzne wrażenie!

- O, bracie Tomaszu - jęknęłam słabym głosem - wybac mi, proszę, że nie wstaję. Czuję się słaba i chora, i strasznie się lękam, że utracę dziecko. - Właściwie była to prawda. Czulałam się do cna wyczerpana i coś skręcało mnie w brzuchu. Mogły to być bóle porodowe, ale czy na pewno? Trudno powiedzieć.

- Och, nie, nie! - Mnich wydawał się poruszony. - Nie wolno ci narażać dziecka. Leż sobie spokojnie.

- Niechże cię Bóg błogosławi za twą wyrozumiałość, zacny braciszku - wyszeptałam cichutko. Niech wie, że umieram z żalu, i niech mu się zrobi przykro. Na razie wyglądało na to, że nie ma pojęcia, co dalej począć. Jedyna ława stała przy kominku, przysiadł więc na brzegu łóżka, a uczynił to tak nerwowo, jakby się lękał, że go przywiodę do grzechu. Ha, była to ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy.

- Nie potrafię ci opisać strapienia kapitana Pickeringa na wieść o twoim trudnym położeniu. Ponieważ on znalazł ofiarę tej strasznej napaści i rozpoznał w niej twego szlachetnego męża, tak mocno wziął sobie wszystko do serca, jakby owa strata dotknęła go osobiście...

Aha, pomyślałam, zobaczyłeś tych francuskich panów i teraz koniecznie chcesz się dowiedzieć, po co tu przyszli. Boisz się, że mogą to być bliscy przyjaciele Dalleta, którzy postanowili pomścić jego śmierć. Bardzo dobrze, martw się, braciszku. W końcu ten twój kapitan zamordował nie byle kogo. I jeszcze miał czelność w taki sposób odesłać zwłoki! Arogancja doprawdy godna księcia. Teraz pewnie tego żałuje.

- Jakże to szlachetnie z jego strony - odparłam, uważając, by mój głos szeleścił niby kruchy listek.

- Konsultował się ze mną szczegółowo w sprawie zaleceń Pisma Świętego o pomocy

należnej wdowom...

- Chwalebna to nabożność...

- I przesyła tę oto sakiewkę, by ulżyć tobie, pani, i twemu nie narodzonemu dziecku w ciężkiej potrzebie.

- Ach, prawdziwy to gest miłosierdzia tak szczerą chęć pomocy ofiarom nieszczęsnego losu.

- Kapitan Pickering jest prawym chrześcijaninem, który w każdych okolicznościach wypełnia nakazane ludziom obowiązki.

- Och, zacny bracie Tomaszu - z trudem wyszeptalam bezkrwistymi ustami - jest pewna rzecz, która strasznie wzmaga mój udręka. O, dobry Boże, znów ten ból! Ta rzecz...

- Co to takiego, droga pani Dallet?

- Pogrzeb. Zbyt jestem słaba, by poczynić niezbędne przygotowania, a nie potrafię znieść myśli, że mój nieodżałowanej pamięci mąż miałby mieć lichy pogrzeb. Byłby to taki dyshonor... Mistrz Dallet musi mieć świece i trumnę...

Brat Tomasz wyraźnie się zaniepokoił. A co ty myślałaś, braciszku, że pójdzie ci ze mną jak z płatka? Że mi ciśniesz sakiewkę i na tym koniec, ty obłudniku? Nic z tego.

- Chcę, aby trumna miała ołowiane okucia i rzeźbione ornamenty, ma się rozumieć w jak najlepszym guście. Żadnych lichych materiałów. Pan Dallet był wszak nadwornym malarzem, wysoko cenionym przez możnych.

- Trumna... hm, tak... no dobrze, trumna.

- Trzeba zawiadomić gildię, że potrzebny jest całun na trumnę... I orszak pogrzebowy, a w nim oczywiście członkowie gildii, ale nie tylko... przy człowieku z jego pozycją powinno iść przynajmniej sześć płaczek...

- Jedna czy dwie z pewnością...

- Cztery. Jak możesz mówić o dwóch?... Taka nędza... Ach, to z tego żalu trzyma mnie ów nieznośny ból. Na wskroś przeszywa mi ciało, jak tylko pomyślę o dwóch nędznych płaczkach.

- Zatem cztery płaczki - zgodził się z westchnieniem brat Tomasz.

- Potrzebne mi także dwie sztuki czarnej wełnianej materii po dziesięć metrów każda na żałobną suknię.

- Suknia żałobna, no owszem, myślę, że to rzecz niezbędna. Czy to już wszystko?

O dziwo, bładoniebieskie oczka w czerwonej pyzatej twarzy spojrzały na mnie z pewnym uznaniem.

- Co? Ach, pytasz, czy to już wszystko... Mój Boże, czuję się taka słaba... zaraz... O,

teraz sobie przypomniałam: tabliczka pamiątkowa. Nie musi być duża, duże są zbyt wulgarne. Mój biedny kochany mąż, jakże on okropnie wyglądał! O tak, należy mu się elegancka mosiężna tabliczka u Świętego Vedasta.

- Ma się rozumieć...

- Z wierszem - dodałam, patrząc mu w oczy. - Na tych najelegantszych tabliczkach są wiersze. Może sam byś coś napisał, bracie? Oddając należny hołd nieboszczykowi w imieniu zbolełej żony?

- Wiersz to już chyba trochę nadmierny zbytek. Grawerzy biorą od litery...

- Może więc motto? Coś stosownego...

- Może *Ars longa, vita brevis*? - podsunął brat Tomasz. Na jego wielkiej czerwonej twarzy malowała się dobroć, lecz w głosie dźwięczała ironia.

- A co to takiego, drogi bracie? Łacina? Czy aby dość nabożna? O nieba, oby tylko nie powróciły mi bóle...

- Bardzo bym tego nie chciał. Sentencja ta oznacza, że sztuka trwa o wiele dłużej niż nasz grzeszny i kruchy żywot.

O wiele dłużej, niż ci się zdaje, odpowiedziałam mu w duchu, myśląc o planowanych pośmiertnych osiągnięciach mistrza Dalleta jako twórcy dzieł religijnych.

- Tak, to będzie doskonale. Mój mąż byłby zadowolony, gdyby mógł widzieć ów napis.

- Jestem tego pewien - orzekł brat Tomasz, podnosząc się ze swego miejsca w nogach łóżka.

- Dziękuję ci, bracie za te odwiedziny i za duchową pociechę - wyszeptałam możliwie najśłabszym głosem.

- Pokój tobie i temu domowi. - Wciąż patrząc mi w oczy, zaczął bardzo ostrożnie wycofywać się w stronę drzwi. - Twój mąż nie domyślał się, co posiada, nieprawdaż? - dodał niespodziewanie. - Mężczyzna winien bardziej cenić żonę, która tak jest zdecydowana jak bystra, a bystra tak jak cnotliwa. Nie lękaj się, moje dziecko, osobiście dopilnuję inskrypcji. Ręczę, że będzie dość elegancka, aby podtrzymać twój honor.

Nie najgorszy człowiek z tego mnicha, myślałam, słuchając, jak sapie na schodach. I jakże ciekawy byłby z niego model. Ten koloryt! Róż trzeba by zmieszać z odrobiną masykotu i dodatkiem głębszej ołowianej czerwieni, a cienie... pierwsza warstwa także czerwieni... na oczy bardzo blady błękit... Ach, byłby to kontrast niezwykle interesujący.

- Puk, puk! - zawołała zza drzwi wdowa Hull.

- Proszę! - Obie z Nan przeliczałyśmy akurat zawartość sakiewki ofiarowanej przez

świętobliwego zakonnika, lecz Nan zdążyła schować ją pod piernat, obok tej francuskiej, zanim do pokoju wkroczyła wdowa, dzierząc w ręku zapaloną świecę. W jej blasku bacznie przyjrzała się mojej twarzy.

- Oj, ależ okropnie wyglądasz! - wykrzyknęła wesoło. Jej córka tymczasem wniosła wazę z zupą. - Pomyślałam, żeście pewnie nie miały dziś głowy gotować, przynosimy więc trochę zupy, co została z kolacji, a raczej co udało mi się ocalić przed tym żarłocznym mnichem.

- Bardzo ci jakoś wesoło, droga pani Hull - zauważyła Nan.

- A pewnie! Szastał pieniędzmi jak arystokrata, a jak ciekawie opowiadał! Ho, ho, codziennie bywa u Świętego Pawła, aby się wywiedzieć nowin. Ależ nam naopowiadał! Jak to wielki Wolsey spiskuje całymi dniami, tak bardzo chce zostać kardynałem, i że właśnie zmarła królowa Francji, nie urodziwszy następcy tronu, i o nadzwyczajnej nawałnicy... A mówią, że to my, kobiety, lubimy plotki! Trzeba wam było widzieć jego minę, gdy mu powiedziałam, że ci francuscy wielmoże przyszli zasięgnąć języka w sprawie zgonu mistrza Dalleta. A potem zaprowadziłam go do spiżarni, by pokazać, jak ładnie ułożyłam zwłoki. Zapaliłam przy nich dwie świece, wielce kosztowne, a wszystko po to, aby utrzymać w sekrecie niecny uczynek jego kapitana. Poprzysiągł, że jutro pogrzebią mistrza Dalleta, a ja na to, że bardzo dobrze, bo nawet w tym chłodzie dłużej go tu trzymać się nie da. O, światowy człek z tego mnicha... Ale cóż to? Nie jesz? - zmartwiła się, widząc, że odsuwam podaną mi przez Nan miseczkę.

- Niedobrze się czuję. Powiedz mi... jakie są te bóle porodowe?

- Jak przyjdą, to je rozpoznasz. Potrafi to każda niewiasta. O nieba, aleś ty spuchnięta! Myślałam, że to od płaczu dla oczu tego braciszka... Pokaż mi rękę. Oj, też opuchnięta. Popatrz, jak ta obrączka wrzyna ci się w palec. Powiedz no mi, miewasz bóle głowy?

- Nawet bardzo często. Skąd wiesz?

- Mniejsza o to, wiem, co wiem. - Nan zrobiła przerażoną minę. - Przestań - zgromiła ją wdowa. - Chciałam jej tylko przykazać, żeby lepiej dbała o te swoje złociutkie rączki. Młode niewiasty przy nadziei nie powinny się martwić. A teraz koniecznie spróbuj zjeść choć troszkę. Wazę możecie odnieść później. - Poszła, usłyszałam jednak, że zatrzymały się z Nan przy drzwiach.

- Źle to wróży dla dziecka, co? - szepnęła Nan z trwogą.

- Będzie miała szczęście, jeśli je utraci już teraz. Znam ja te objawy. Płód ją zatruwa. - Wdowa jeszcze bardziej zniżyła głos. - Tak właśnie zmarło się mojej najstarszej córce. Tu wesele, a po kilku miesiącach pogrzeb. Pochowaliśmy ją w ślubnym stroju.

- Może by sprowadzić Goody Forster?

- To na nic, za późno.

- Więc nic już nie da się zrobić?

- Módl się, droga pani Littleton, i to z całej mocy, aby ta dziewczyna wyszła z tego żywa, inaczej wszystkie skończymy na ulicy.

Głowa pękała mi z bólu. W jednej stopie czułam takie drgawki, jakby sama z siebie chciała skakać. Czy to jeden z tych objawów, o których mówiła wdowa? Śmierć - jakie to straszne i jakie niesprawiedliwe. Śmierć to taka oszustka. Matka dostała wszak tylko niewielkiej gorączki, a później napadły ją poty i umarła, zaś ledwie po tygodniu poszedł za nią ojciec. Kto by to pomyślał? Parę miesięcy wcześniej byli przecież tak żywi i zdrowi, że przygotowywali mi weselną ucztę... Wciąż mam przed oczyma matkę, jak wydaje rozkazy cukiernikom i całej gromadzie służących w białych fartuszkach, które uwijają się po naszym domu, z braku miejsca ustawiając sterty wypożyczonych talerzy i sztućców w pracowni ojca pośród schnących płócien. Widzę siwe rozczochrane włosy ojca i ponurą minę, z jaką patrzy na cały ten bałagan. Jemu wszystkie te przygotowania wydawały się niepotrzebne. Jediną pociechą była dla niego myśl, że świetnie wydaje mnie za męża. Mistrz Dallet zapewniał i jego, i matkę, że jest człowiekiem majątnym i że będzie się o mnie troszczył jak o królową. Mój Boże! A tu znów pojawiła się śmierć, tym razem w postaci dziecka. To przez nią moje nogi przypominają kłody, a twarz, którą widzę w lustrze, jest nadęta i brzydka. Nawet na marach nie będę wyglądała pięknie... nikogo nie wzruszą me tragiczne losy. To wielka niesprawiedliwość umierać jako brzydactwo.

W ogóle nie chciałam umierać. Każdy kawałek mego ciała wielkim głosem wołał o życie. Spojrzałam w ciemność i zobaczyłam... zobaczyłam na piersi cień jakiejś straszliwej istoty. Była naga, wilgotna i zimna, i... ach!... ciężka od zła. Widziałam nad sobą jej odrażające oblicze i długie kościste palce, brr, jakie szkaradne. Musiały to być tylko gorączkowe zwidy, lecz wydawały się tak prawdziwe! W czerwonych oczkach owego stwora gorzała chciwość, jakby czegoś straszliwie pożądał... czegoś, co posiadam i nie chcę mu oddać.

Zebrawszy całą siłę ducha, jaka jeszcze mi pozostała, bezgłośnie krzyknęłam „ratunku!” Głowę rozdzierał mi ból, krew głośno pulsowała w uszach, a jednak poprzez ten szum dobiegł mnie nagle osobliwy szelest. W drzwiach garderoby odbił się błysk światła. Poczulałam czyjaś obecność, jakby w pokoju pojawił się raptem ktoś silny i gniewny. Ciemny stwór, zionąc wściekłością, uniósł się w górę. Mogłabym przysiąc, że rozsunięte kotary łóżka kołyszą się coraz mocniej, jakby tuż obok rozpętała się nawałnica. A ja... czułam już tylko

śmiertelne zmęczenie. Zamykając oczy na przyjęcie śmierci, usłyszałam czyjś głos: „Jesteśmy przy tobie”. Nieprawda, wcale was nie ma, odpowiedziałam w myśli. Nikogo tu nie ma prócz mnie, Nan i tej czarnej, okrytej całunem śmierci. Ani żywej duszy.

- Oto jest, moi panowie.

Złotnik dał dziś wolne czeladnikom i nawet nie rozpałił w piecu. W zamknięte okiennice bębnił deszcz, przez dziurę w suficie z melancholijnym „kap, kap” sączyły się do warsztatu krople wody, z każdą chwilą powiększając stojącą na podłodze brudną kałużę. Lombardczyk prychnął pogardliwie, ogarniając wzrokiem nędzną izbę, niezgrabne staroświeckie modele, rozwieszane na ścianach matryce, suwmiarki i inne narzędzia jubilerskie. Jakże zacofani, jak prymitywni są ci angielscy rzemieślnicy! W Italii ten człowiek nigdy by nie został mistrzem. Pan Jonas tymczasem szerokim ozdobnym gestem odwinął płótno z rzeczy stojącej pośrodku roboczego stołu. Dziwny ów przedmiot, przypominający wielki spłaszczony puchar z szeroką podstawą, rzucał dookoła oślepiająco jaskrawe ognie. Wokół brzegu widniały wyryte w metalu jakieś fantastyczne postacie, a podstawę zdobiła para opasłych, nie bardzo udanych salamander. Był to już pomysł samego mistrza Jonasa.

- Ach! - wykrzyknął Lombardczyk, wyraźnie urzeczony złocistym blaskiem pucharu.

- Zaglądałeś do środka? - zwrócił się Crouch do złotnika, podejrzliwie przymrużając oczy.

- No, tylko przy polerunku. Alem robił tę rzecz w sekrecie. Nie oglądał jej żaden z moich domowników.

- A co widziałeś, patrząc do środka? - spytał Crouch. Ton jego głosu wprawił złotnika w drżenie.

- Własną twarz, a cóż by innego?

Usłyszawszy to, Lombardczyk posłał Crouchowi szybkie spojrzenie, jakby węszył zdradę.

- Ach, prawda, słowa. Trzeba znać właściwe słowa - odrzekł uspokajająco sir Septimus. Zdjął rękawice i wykonał dłońmi magiczną passę ponad płaską powierzchnią odtworzonego Zwierciadła Dioklecjana. - *Tapas, menahim, orglolas...* - Pochylił się nad warsztatem i spojrzał w czarodziejskie lustro. - Moja twarz? - wyszeptał z ogromnym zdumieniem. - Co się dzieje? Zatrzymałeś sobie część złota? - z wściekłym błyskiem w oku krzyknął na złotnika.

- Jja... miałbym skraść wasze złoto, milordzie? Sam widziałeś, panie, jakem je ważył i wkładał do tygla.

- A krew dziewicy? - odezwał się Lombardczyk, spoglądając na Croucha. Mówił po angielsku z wyraźnym italskim akcentem.

- Nie ośmieliłbym się dodać innej, łaskawi panowie. Była to krew niewinnej ośmioletniej dziewczynki - głos złotnika załamał się z oburzenia.

- Patrzcie, moi panowie, teraz coś wypływa na powierzchnię! - zawołał towarzyszący Lombardcykowi mężczyzna. Trzy głowy w aksamitnych beretach pochyliły się nad stołem.

- A więc miałem rację, zrobił to ten łajdak - szepnął Crouch, kiedy czarodziejskie zwierciadło ukazało mu rzecz, której najbardziej się lękał. - Ten zdrajca Ludlow kupił od wdowy manuskrypt!

Towarzysz lombardzkiego bankiera, spojrzawszy w lśniąca powierzchnię, zobaczył jednak zgoła inną scenę...

- Dziwka! - krzyknął. - Z moim spowiednikiem! Wino też moje! - Wyprostował się szybko, kładąc dłoń na rękojeści miecza. - Muszę iść! - krzyknął, zmierzając do drzwi. - Tym razem przyłapię tych dwoje na gorącym uczynku!

Prawdziwe cuda, myślał złotnik, patrząc za odchodzącym. O, dobrze zrobiłem, że zapamiętałem formułę. To magiczne zwierciadło każdemu ukazuje prawdę. Gdybym w nim nie ujrzał na własne oczy tych huncwotów, moich czeladników, jak to chyłkiem wślizgują się do kurnika, nigdy bym nie zdobył dowodu, że łotry kradną mi jajka. Wiedziałem od początku, że niepodobna im ufać...

Sir Septimus Crouch owinał płótnem zwierciadło i schował je za pazuchę.

- Milordzie, a moja zapłata?

- O tak, mistrzu Jonasie. Zechciej przyjść do mego domu jeszcze dziś po południu. Będziemy na ciebie czekać - odrzekł Crouch, wymieniając znaczące spojrzenie z Włochem. Złotnik, niestety, nie zwrócił na to uwagi; myślał o niecznych praktykach swoich czeladników.



Nocą tej doby, gdy przyniesiono do domu skrwawione zwłoki mego męża, śniło mi się coś okropnego. A może to nie był sen? Wszystko wydawało się takie prawdziwe! Śniłam, że nagle się budzę i widzę moje dziecko, już narodzone. Tylko że zamiast noworodka zobaczyłam sporego chłopca. Wyglądał może na dwa lata, włosy miał czarne i proste, był blady, kościsty i bardzo brzydki. Leżał w kołysce przy moim łóżku, lecz choć zwinięty był w kłębek, ledwo się w niej mieścił, miał bowiem dziwnie długie i żyłaste nogi. A te jego oczy - wielkie, zielone, błyszczące jak oczy sowy! Była w nich jakaś magnetyczna siła. Nad nim i wokół kołyski zdawało się krążyć coś złego... bezkształtny cień jak gdyby utkany z mroku.

Ten długi i chudy odmieniec głośnym kwileniem domagał się jada. Ale jakiego? Próbowałam podnieść się z łóżka i nie mogłam, jakby ogromny ciężar przykuł mnie do miejsca. Widząc, że nie przyciągnie mnie do kołyski samym tylko spojrzeniem swych zielonych gorejących oczu, niesamowite dziecko otworzyło usta:

- Matko - zakwiliło - taki jestem głodny!

Wielki Boże! W tych ustach ujrzałam rząd równiutkich, spiczasto zakończonych zębów takiej białości, że aż niebieskawych. Przypominało to paszczę małej, acz drapieżnej ryby. Na ten widok przeszły mnie ciarki.

- Chodź tutaj, matko - zapiszczał ten mały demon.

- Nie dotykaj go! - rozległ się inny głos.

- Ale ja muszę!

- Nie! Niech idzie precz. To wcielone zło.

Ach Boże, więc to rosło we mnie przez tyle miesięcy? Zło? Kim jestem, że nie mogę urodzić dziecka jak każda zwyczajna niewiasta? Nie, to nie może być prawda! To moje dziecko! Chcę je mieć!

- Wyrzeknij się go, niech sobie idzie - powtórzył głos. - Czyż nie wyczuwasz w nim zła? Jego mocy? Uznaj go za swego, a wyszysie z ciebie duszę!

Tak, czułam to zło. Było jak powietrze przed burzą, od którego skóra na głowie zaczyna cierpnąć i wszystkie włoski na ciele stają dęba. Coraz silniej przyciągało mnie ku sobie, a tam, za kołyską, otwierało się piekło. „Ratunku! Na pomoc”, krzyknęłam w duchu.

- Trzymaj się, Zuzanno! Połącz swe siły z naszymi. Każ mu odejść - powiedział ktoś niewidzialny, przytrzymując mnie w mocnym uścisku. Ta potężna istota odciągała mnie od przepaści. Usłyszałam łopot wielkich skrzydeł i poczułam, że jest ich tu więcej niż jedna para. Czyżby dla pokonania straszliwej mocy czarnego stwora mój nieznanый obrońca musiał

wezwać na pomoc przyjaciół? W tym śnie byłam im bardzo rada, choć na jawie byłoby pewnie inaczej. Nie tak łatwo ufam nieznanym, a ci na dodatek wydawali się bardzo dziwni.

- Ale dlaczego, dlaczego? - krzyknęłam.

- Rowland Dallet, poszukując skarbu, uwolnił istotę, która sieje chaos i destrukcję. Ów demon przywędrował tu za twoim mężem, a że trzeba mu teraz widzialnego ciała, więc kukulczym sposobem podmienił ci dziecko. Czyż nie pojmujesz, że gdy to diabelskie piskłę będzie już gotowe do wyklucia się z twego łona, odrzuci cię niczym pustą skorupę? Do tego czasu zdąży się tobą wykarmić. Liczy na twą ślepą matczyną miłość. Ukazaliśmy ci, Zuzanno, czym jest ten stwór, a ty każ mu odejść, zanim wyrwie cię z moich ramion.

- To moje dziecko! Ja go pragnę!

- Nie, to nie jest już twoje dziecko. Powiadam ci, odpędź to monstrum - zabrzmiał głos wibrujący jak dźwięki najniższego dzwonu na wieży Świętego Pawła. Na chwilę krótką jak mgnienie oka w pokoju zajaśniało coś na kształt tęczy i ujrzałam olbrzymią, promieniującą światłem kolumnę. Sięgała powyżej dachu, ginąc w otchłani ciemnego nieba. Trochę też przypominała ludzką postać: miała przepiękne oblicze, smutne i majestatyczne, i wielkie rozpostarte skrzydła, które dotykały nieba. Serce łomotało mi w piersi, mimo to powiedziałam, zebrawszy całą swą odwagę:

- Jeśli pozwolę mu odejść, co mi pozostanie? Nie mam pieniędzy ani rodziny, a ty każesz mi się wyrzec dziecka? Wtedy nic już nie będę miała.

- Nic? - zahuczał głos. - Nieprawda, spójrz. - Promienista ręka z wolna przesunęła się po nocnym niebie, wymazując gwiazdzistą ciemność; jej miejsce zajął słoneczny błękit, na którym zaraz potem wykwitł ogromny różnobarwny łuk tęczy. - Będzie twoja - przemówił tajemniczy głos - jeżeli potrafisz jej sięgnąć.

- Ale jak? Tego nikt zrobić nie zdoła. Jakim cudem? A jeżeli mi się nie uda? Zaczekaj, zaczekaj! Powiedz mi coś więcej! - Lecz świetlista kolumna już znikła. Znalazłam się znowu w swojej ciemnej klitce. Wokół pustej już teraz, poplamionej czarną krwią kołyski żarzył się jakiś niesamowity opar, przesycony wstrętną wonią siarki.

Obudziłam się słaba jak mucha. Był jasny dzień i Nan zaglądała mi w oczy.

- Och, obudziłaś się wreszcie! - wykrzyknęła. - Spójrz, mamy dla ciebie wszystko, czego chciałaś. Tu jest marmolada z pomarańcz, a tu sztuka płótna na pieluszki. A pani Hull wynalazła nowiutką kołyskę dopiero co wystawioną na sprzedaż. Tu zaś masz dwie sztuki najprzedniejszej wełny od kapitana Pickeringa. Brat Tomasz je przyniósł. Dotknij, jaka mięciutka. - Mówiąc to, przyłożyła mi materiał do policzka. Ja jednak odwróciłam głowę, bo

krwew zastygła mi w żyłach. Oto obok łóżka zobaczyłam tę straszną kołyskę, tę samą, którą oglądałam we śnie czy widzeniu. Wszak wieczorem jej tu nie było!

- Kiedy... kiedyście to wszystko zrobiły? Tej jednej nocy?

- Oj, kochanie, dłużej to trwało. Minęły trzy doby, jak tu przy tobie czuwamy - odezwała się pani Hull, siedząca na ławie przy ogniu. - Zapadłaś w dziwną śpiączkę całkiem podobną do śmierci - powiedziała, odkładając szycie. - Ani rusz nie mogliśmy cię dobudzić. Chwilami okropnie krzyczałaś. Raz nawet trzeba cię było przytrzymać, abyś nie zrobiła sobie jakiej krzywdy.

Z miny Nan widać było wyraźnie, że nie chciała mi o tym mówić. Zaraz też zaczęła uciszać wdowę:

- Sza! Nie wolno jej niepokoić. - Słowom tym towarzyszyło wymowne spojrzenie spod groźnie zwężonych powiek. Powstrzymałoby ono pędzącego konia, ale nie wdowę. Była starsza od Nan, uważała się więc za godniejszą. W dodatku podobnie jak ja nie lubiła, by jej przerywano w najciekawszym miejscu, nie zrażona mówiła więc dalej:

- A tymczasem tyle się wydarzyło, och, mnóstwo rzeczy! Pogrzeb mistrza Dalleta wypadł tak okazale, że sam by lepszego nie mógł sobie życzyć. A jaką elegancką miał trumnę, chociaż spod całunu zalatywało smrodem... No, ale oddano mu wszelkie honory, i tobie również.

- Wcale sobie na to nie zasłużył - Nan znów musiała wtrącić swoje trzy grosze.

- Mój mąż pochowany? Tak szybko? - Poczułam się oszukana, bardziej chyba niż kiedykolwiek. Jakież to podobne do mistrza Dalleta odejść sobie w chwale podczas uroczystości wyprawionej, rzecz jasna, cudzym kosztem, a mnie, fundatorce, nie pozwolić w niej uczestniczyć. Przynajmniej po śmierci wypadało mu zrobić choć tyle, bym mogła zająć to honorowe miejsce za trumną, na które sobie przecież zasłużyłam. Należało mi się trochę ludzkiego szacunku za to nasze małżeństwo. Och, lecz on nawet po śmierci okazał się nędznym oszustem.

- Przyszło kilka doprawdy eleganckich osób, także cudzoziemców. A jeden pan, bardzo dystyngowany, zapamiętałam go dobrze, bo miał we włosach dwa siwe kosmyki, powiadam ci, musi być równie majątny jak dobrotliwy, więc ów jegomość podchodzi do mnie i mówi, że pragnie zaopiekować się synem mistrza Dalleta i wychować go w swoim domu - trajkotała pani Hull, pragnąc jak najszybciej podzielić się ze mną niezwykłymi nowinami.

- A ja go spytałam: „Co z moją panią?” - przerwała jej Nan, chcąc dowieść, że to ona jest najbystrzejsza, myśli bowiem o wszystkim. - „Nią zaopiekuję się również”, odrzekł mi na to. „Mistrz Dallet był mym serdecznym przyjacielem”. Tak powiedział, choć ja mogłabym

przysiąc, że nigdy go tu nie widziałam.

- Wyglądał na możnego arystokratę - natychmiast zakrzyrzała ją wdowa. - Trzeba ci było widzieć ten kapelusz! Całe rondo wysadzone klejnotami ogromnej wielkości, a jaki pióropusz! Oczy to ten wielmoża miał dziwnie bladego koloru i ciągle się tylko rozglądał. Po mojemu to ktoś wielce uczony, choć muszę powiedzieć, że dla mnie to nawet za bardzo. Słyszałam, jak górnice przemawiał do innych, gęsto wtrącając łacińskie słowa niby jaki prawnik albo kancelista. Szatę nosił aksamitną koloru takiego jak mech, a spodnie z prawdziwego jedwabiu! Piękniejszych sam król by nie miał! - Madame Hull mogła nie rozumieć po łacinie, za to na cenach znała się lepiej niż lichwiarz.

- Zapomniałaś o złotym łańcuchu. Gruby, widać, że lity, a na nim to dziwne godło...

- Mówiono mi, że piastuje wysoki urząd z mocą wydawania wyroków. Że to człek bardzo ważny i niezmiernie bogaty. O, nie masz pojęcia, jak nam było pilno, byś nareszcie otworzyła oczy. Teraz widzisz, jakie to nowiny.

Nan nic już nie dodała, czułam jednak, że myśli o tym samym, co i mnie przyszło do głowy: czyż to nie podejrzane, że nieznajomy bogacz chce ni z tego, ni z owego otoczyć opieką cudze dziecko? Gdyby jeszcze był to mały książę czy choćby jakiś malec odebrany tureckim piratom, można by to zrozumieć, ale pospolite dziecko?

- Och, bądźże już cicho. Nie widzisz, żeśmy ją zmęczyły? Jakże się czujesz, moja biedna gołąbeczko? Lepiej?

W odpowiedzi wrzasnęłam rozzierająco, bo nagle złapał mnie ból. Tym razem nie miałam wątpliwości: to już! Ten stwór chce się wydostać na świat.

- Cat, biegnij po Goody Forster, a nie mitręż mi aby po drodze!

- krzyknęła pani Hull do córki. - Duchem! Nan zaczęła głaskać mnie po rękę i pocieszać:

- Wszystko będzie dobrze. Często takie przedwcześnie urodzone dzieci czeka bardzo szczęśliwa przyszłość.

- Ale nie to, uwierz mi, Nan, nie to dziecko. Widziałam je we śnie. To chłopiec o czarnych włosach...

- Cicho, cicho. Módl się do świętej Małgorzaty. Ona sprawi, że urodzi się całe i zdrowe.

- Nie chcę, by się urodziło. Mówię ci, że go widziałam. To chłopiec o czarnych włosach. I jest... jest w nim coś złego.

Równie o północy, przy blasku świec, akuszerka wydobyła główkę tego stwora, a w chwilę później wzięła go na ręce.

- Chłopiec - rzekła cicho. - Martwo urodzony. Wygląda na to, że umarł już jakiś czas temu.

Goody Forster była pulchną niewiastą o dobrotliwych oczach, doświadczoną i współczującą. Leżałam wiotka jak zdechły węgorz, słyszałam jednak, co mówią.

- Jakiego... jakiego koloru ma włosy? - wyszeptwała Nan. Czulałam, że drży.

- Z tego, co widzę, czarne - odrzekła Goody Forster. - Ale... o Boże! Spójrzcie na te usta! - W jej głosie dzwięczała zgroza.

- Jezu, ratuj! - westchnęła Nan. - Wszak ono... ma zęby! I jakie spiczaste!

- Boże miłosierny, jak żyję, nie widziałam czegoś podobnego! - wykrzyknęła wstrząśnięta pani Hull. - Te zęby... jakie to małe a równe, a ostre niczym u szczupaka. Całe szczęście, że zmarło. Jaka kobieta odważyłaby się dać czemuś takiemu piersi?

- Jej go nie pokazujcie - dobiegł mnie szept Goody Forster. - Im prędzej się toto pochowa, tym lepiej.

Mnie jednak na krótką chwilę mignęło to straszne stworzenie, martwe i pomarszczone, nie większe od łysego szczura. Kształtem głowy przypominało fretkę, lecz dłonie miało małe i ładnie uformowane, chociaż paznokcie wyglądały zupełnie jak szpony. Wraz z pomarszczonym płodem leżało w wielkiej mosiężnej misie, przygotowanej na kąpiel. Łzy na ten widok pociekły mi z oczu od wstrząsu i zarazem gorzkiego zawodu. Czy jest we mnie jakieś ukryte zło, że sobie na to zasłużyłam? Gdzieś obok ktoś wył jak wilk, lecz dopiero w chwili gdy potrząsnęły mną czyjeś ręce i usłyszałam uciszające mnie głosy, zrozumiałam, że to ja tak wyję.

- Pozbędę się tego po cichu - powiedziała akuszerka.

- Nie, same damy sobie radę. - Pani Hull wcisnęła jej w rękę dodatkową monetę. - Nie ufam tej kobiecie, to pleciuga - szeptem powiadomiła Nan, kiedy Goody znalazła się już na schodach. - Zawiniemy je całe w powijaki i każemy pochować jak się patrzy. Rozpowiemy, że było to śliczne dzieciątko, lecz zabiła je rozpacz jego matki. Odeszło biedactwo z tego świata, by połączyć się w niebie z rodzicem. Ha, gdzieś tam się obaj spotkają, ale na pewno nie w niebie! Jak opowiemy to ludziom, nie będą słuchać gadania Goody.

Spaliwszy zakrwawioną słomę z materaca, moje dwie opiekunki odwiedziły kościół Świętego Vedasta. Przekupiony przez nie kościelny niezwłocznie pochował noworodka gdzieś w rogu cmentarza, nie opatrując grobu żadnym imieniem ni znakiem. Lecz o zgrozo, nawet i po śmierci ta paskuda narobiła wiele zła. Już w pierwszą noc po pogrzebie w kruchcie wybuchł pożar, od którego cały kościół omal nie poszedł z dymem. Co do Goody Forster, to nigdy już jej silne ręce nie pomogły przyjść na świat żadnemu dziecku, gdyż następnego dnia

zginęła w wypadku. Szła ulicą, gdy ze szczytu jakiegoś domu oberwały się ciężkie dachówki i runęły jej prosto na głowę. Widząc, jakie spustoszenie sieje w świecie ów szatański owoc mego łona, pojęłam, że ciąży nade mną jakaś klątwa.

Splendor towarzyszący pogrzebowi mego małżonka okazał się wielkim i jakże kosztownym błędem. Mistrz Dallet, który żył ponad stan i tak też został pochowany, wypłatał mi na ostatek złośliwą sztuczkę - i za co? Za to, że wbrew oczywistości starałam się o nim myśleć jak o zacnym i kochającym mężu? Zanim jeszcze na ścianie u Świętego Vedasta pojawiła się piękna pamiątkowa tabliczka, wierzyciele doszli do wniosku, że mistrz Rowland Dallet musiał posiadać fortunę. A wszystko dlatego, że urządziłam mu tę wspaniałą uroczystość, w której sama nie wzięłam udziału. Wciąż jeszcze leżałam w łóżku, kiedy zjawił się pierwszy: aptekarz, u którego Dallet nabywał na kredyt barwniki. Zapłaciłam mu z tego, co zostało mi z owych trzech funtów. Był to człowiek uczciwy i bardzo smutny, obarczony, jak mówił, tuzinem dzieci i chorą żoną.

Po nim sypnęli się inni: właściciele oberży, burdeli i domów gry; wraz z każdą z tych wizyt rosła moja wiedza o drugim życiu Rowlanda Dalleta. Gdy wreszcie przybył pewien złotnik z żądaniem zwrotu pierścionka, nie zapłacono mu bowiem za robotę, wiedziałam już tyle, że huknęłam na niego z furią:

- Odbierz go sobie od tej wszetecznicy, madame Pickering!

- Jak ci nie wstyd nachodzić ubogą wdowę, która ledwie co straciła jedyne dziecko! - doścignął go już na schodach gniewny okrzyk Nan.

Prawda była taka, że nie miałyśmy już ani pensa. Rozeszły się zarówno francuskie trzy funty, jak i cała zawartość sakiewki, którą kapitan zabójca próbował zmasać swe winy.

- O rety, roją się ci wierzyciele jako pchły w psiej sierści! - jęknęła pani Hull, przychodząc zobaczyć, jak się miewam. - Przed chwilą widziałam notariusza, a wcześniej właściciela sklepu bławatnego. Jest tu może ktoś jeszcze?

- W tej chwili nie - mruknęłam.

- Słuchaj no, pani Littleton - zwróciła się wdowa do Nan - najwyższy czas pochować osobiste rzeczy mistrza, jego płótna, barwniki i resztę, inaczej wszystko rozdrapią wierzyciele, ja ci to mówię, a mam doświadczenie. I czym wtedy będzie malować Zuzanna? - Miała rację, przystąpiły więc obie do pracy, znosząc na dół, co tylko się dało. Na pierwszy ogień poszły dwie sztuki czarnej wełny, przybory do szycia, sztalugi i farby. Pani Hull z wielką ochotą podjęła się tego zadania, mogła bowiem już teraz gruntownie przepatrzyć cały nasz dobytek. - Co to za skrzynia? Wygląda na strasznie ciężką. Cudzoziemska, co? O, bardzo ładne ma te mosiężne okucia.

- Flamandzka. Tam wymyślniej robią takie rzeczy. No, spróbujmy ją podnieść. Uff! Zawołaj Cat do pomocy. Ej, lepiej ją chyba opróżnić.

Tak też zrobiły. Piękne szkice Dalleta legły na podłodze, co wydało mi się prawie świętokradztwem, choć nie tak wielkim jak sponiewieranie moich ulubionych książek. Wszystkie one, to jest „Szlachetny żywot Przenajświętszej Panny”, „Matka Pana Naszego”, „Księga obyczajów zacnej małżonki”, też się tam znalazły. Położono je wprawdzie na rysunkach, nie na gołych deskach, lecz i tak ów widok sprawił mi wielką przykrość.

- A co to za jakiś strzęp książki? Nie ma nawet okładki - sarknęła Nan.

Przyjrząwszy się rękopisowi, uznałam, że takich zakrętasów nikt by nie zdołał odczytać, nawet gdyby pismo było angielskie, a angielskie to ono nie było. Pergamin jednak, ho, ho, był najwyższego gatunku, a marginesy bardzo szerokie. Wyglądały prawie jak nowe, tylko jeden róg książki nieznacznie musnęła pleśń.

- I po co mistrz Dallet przyniósł do domu ten rupieć? Wyrzuć to, Zuzanno.

- Welin jest bardzo dobry. Pewnie chciał go zeskrobać i użyć. Ojciec mawiał, że wszystkie sknery mają się takich sztuczek. - A jeżeli znów jacyś Francuzi zechcą sobie zamówić drugą miniaturę?, przyszło mi nagle na myśl. Pergamin z tej książki w sam raz by się nadał. Chcąc taki kupić, musiałabym sporo zapłacić i jeszcze uważać, by mnie nie okpiono. Postanowiłam wyciąć marginesy; a może i środki da się wykorzystać, jeśli je podkleję czymś grubszym. - Wiesz, Nan, ta książka może mi się przydać. To pergamin najlepszej klasy. - Odcięłam resztki oprawy, tak by luźne stronice zajmowały mniej miejsca.

- Co do skąpstwa to tak, nikt by w nim nie prześcignął pana Dalleta, tyle ci powiem - oświadczyła Nan. - A te strzepy wrzuc do tobołka wraz z rzeczami do malowania. Na takie śmiecie szkoda miejsca w skrzyni.

Pani Hull z ręką na podbródku głęboko nad czymś dumiała.

- Jeśli nie będzie tu stołu i krzeseł, ktoś może nabrać podejrzeń, a tego nie chcemy, prawda? Trzeba je zatem zostawić.

- Zdejmiemy przynajmniej dywan. Nikt go nie będzie szukać. Mistrz Dallet nie spisał wszak ostatniej woli ani inwentarza. A poza tym ten dywan należał do mojej matki.

Pani Hull nie byłaby sobą, gdyby nie zaczęła wygłaszać niepocholebnych uwag o na wpół ukończonych dziełach mego męża. Biorąc pod uwagę te okropieństwa malowane przez jej nieboszczyka, wydało mi się to rzeczą całkiem niestosowną.

- O nieba, cóż to za robota! - wykrzyknęła. - Tę podmalówkę trzeba było wykonać *in terre verte*. Mój mąż przysięgał, że jest najlepsza.

No tak, pomyślałam, tym się tłumaczą ci jego zieloni święci. Mistrz Hull,

ukończywszy podmalówkę, nie wiedział, biedak, jak nadać skórze jej żywy, naturalny odcień. A może to jego medium tak paskudnie gasi kolory?

Sama używam medium, które stosował mój ojciec. Była to jego wielka tajemnica zdobyta podczas którejś z wypraw do Italii, gdzie udało mu się przekupić czeladnika sławnego mistrza. Sekret ten oprócz niego znaleźmy tylko my dwoje, ja i mistrz Dallet, który chcąc go wydobyć od ojca, musiał się ze mną ożenić. To medium nadaje barwnikom lśniąca półprzezroczystość, rozcieńczając je do tego stopnia, że skóra mimo nakładania kolejnych warstw farby robi wrażenie przesyconej światłem. W tym właśnie tkwiła tajemnica sukcesów ojca. Dzięki temu jego portrety cieszyły się takim wzięciem.

- Kim jest ta okropna kobieta z okiem bazyliuszka?

- To żona naszego lorda majora.

- Portret wygląda na ukończony.

- Bo jest. Ta dama nie chciała go przyjąć.

- Ha, z portretami zawsze jest ten kłopot! Lepiej malować świętych. Za portret klient się obraża i nie daje artyście złamanego pensa. Kto chce mieć podobiznę, niech płaci z góry, tak zawsze mawiał mój mąż. Niby że na zakup materiałów.

- Z możnymi tak się nie da. Ci czasami nie płacą nawet wtedy, kiedy przyjmują portret i są z niego zadowoleni.

- A tej dlaczego się nie spodobał? Dlatego że mówi prawdę?

- Orzekła, iż od czasu gdy został namalowany, znacznie zeszczupiała, życzy więc sobie przeróbki. Mój mąż zaś się zaklął, że raczej zje diabła, niż upiększy tę starą maciorę, no i tak tu stoi.

Wdowa przyjrzała się portretowi, wpierv z bliska, potem z odległości, przytupując końcem chodaka w takt swoim myślom. Zaczynałam rozumieć, jakim to sposobem nieboszczyk Hull zarabiał tyle pieniędzy, dysponując tą swoją odrobiną talentu.

- Hm... Wiesz co? Na początek tym właśnie powinnaś się zająć. Weź się za tę starą kwokę. Zwęż jej kibić, zamaluj drugi podbródek i te zmarszczki między brwiami. Moja Cat zanieś jej potem obraz i powie, że mistrz Dallet przed śmiercią przemalował portret, chcąc mu niby nadać większe podobieństwo. Zobaczymy, co z tego będzie. - Przechyliła głowę, tak że sama wyglądała zupełnie jak kwoka, która chyłkiem śledzi konkurentkę trzymającą w dziobie podsuniętego jej chytrze tłustego robaka. Wyraz jej ptasich oczek był tak ucieszny, że się uśmiechnęłam, po raz pierwszy od czasu gdy wydałam na świat to okropne monstrum.

- Wybornie! A zażadasz swojej połowy?

- Nie tym razem. Boję się, że już te kruki i tak cię obiorą do czysta. Będiesz wkrótce



sypiać na podłodze. Sama powiedz, czy będzie z ciebie pożytek, jeśli rozchorujesz się z nędzy? - Obie z Nan kończyły już wynosić najpotrzebniejsze rzeczy: największy garnek i najlepszy piernat.

Na chwilę zostałam sama. Jaką dziwną rzeczą jest małżeństwo, dumalam, leżąc na poduszkach i patrząc w sufit. Za życia Rowlanda Dalleta nie wolno mi było powiedzieć ani słowa o tym, jak i na co wydaje on swoje pieniądze, moje zresztą również, a teraz... teraz mam obowiązek spłacać jego długi. Zupełnie jakbym sama roztrwoniła to wszystko na własne uciechy.

Zaledwie udało się pochować rzeczy, gdy przybył stary i chudy jurysta, odziany w wytworną szatę pięknie bramowaną futrem. Trzymał w ręku zwój jakichś papierów, a towarzyszyło mu dwóch pospolitych ludzi do posług. Ci dwaj od razu zaczęli wynosić sprzęty, poczynając od ławy, stołu i patelni, ich pan zaś tymczasem zaglądał we wszystkie kąty. Wetknął nawet laskę pod łóżko, badając, czy nic tam nie ma.

- Żadnych skrzyń? - spytał z wyrazem zawodu na swym zimnym jak lód obliczu. Widać było, że to chciwiec. - Żadnych sreber ani starych książek?

- Spóźniliście się - odparłam. - Kruki obrały już zwłoki do kości. - Z satysfakcją zauważyłam, że moje słowa wytrąciły go z równowagi. Pobladł, jaszczurcze oczka zaczęły mu latać, wargi coś przeżuwać.

- Twój mąż miał coś mojego, kobieto. Książkę. Po... Pożyczył ją sobie ode mnie. A widzę, że jej tu nie ma.

- Jest tylko to, co widać. Poszukajcie u jego wierzycieli. Przez ostatnie dwa dni było ich tu niemało.

- Wierzyciele... tak, hm, musiało ich być wielu - mruknął. - Hej, wy dwaj, bierzcie to łóżko! I kołyskę. Ta rzecz musi tu być gdzieś ukryta. Może w jakiej tajnej skrytce.

- Ta... ta niewiasta... - zająknął się jeden z posługaczy - wszak ona leży w łóżku.

- To ślubne łoże mej matki! - zawołałam z płaczem. - Pomarli w nim moi rodzice.

Skonfundowani robotnicy stanęli, opuściwszy ręce.

- Całkiem już nie masz wstydu? - krzyknęła Nan, która do tej pory przyglądała się wszystkiemu z kamienną twarzą. Teraz pomogła mi wstać i podprowadziła do ognia, gdzie usiadłam skulona na podłodze. Przez łzy zalewające mi oczy widziałam, jak słudzy jurysty rozbierają wielkie rzeźbione łoże, jak wywalają słomę z materaca, jak wynoszą kotary i gorszy piernat. Do czego to doszło! Żeby zabierać łóżko, w którym moi rodzice przeżyli z sobą chwile szczęścia! Łóżko, w którym ja się urodziłam! Kiedy jednak nareszcie wyszli, unosząc z sobą kołyskę, poczułam przedziwną lekkość: jakby opadła ze mnie tajemna kłątwa.

Ach, głupi ten prawnik! Zabrał wraz z kołyską całe zło, a taki był z tego dumny! Zaczęłam śmiać się histerycznie; jeden z robotników obejrzał się już od progu, popatrzył na mnie i zadrżał.

Kiedy traci się wszystko, ogarnia człowieka niezwykle uczucie wyzwolenia. Najpierw jest płacz, po nim odrętwienie, a jeszcze później poszkodowany zaczyna obliczać wartość utraconych rzeczy. Wyobraża sobie zarazem, jak trudno mu będzie się bez nich obejść i że choćby kupił sobie nowe, nie będzie to już to samo. Dopiero po tym wszystkim pojawia się ta osobliwa lekkość. Człowiek pozbawiony przedmiotów, które zawsze miał w posiadaniu, staje się inną osobą, osobą bez właściwości, nikim. Bardzo to dziwne uczucie; czegoś takiego musi pewnie doznawać hulaka na umór upojony trunkiem. On także przestaje być sobą. Wędrowałam po pustym mieszkaniu na miękkich nogach, ze zmierzwionym włosiem, lecz przecież z istic szaleńczą wesołością w sercu. Przystanęłam na koniec przy oknie. Ulica, niebo, drzewa wyglądały inaczej, cały świat przybrał obłędne barwy, każda jego cząstka błyszczała i lśniła. I nagle poczułam, że zdolna jestem do wszystkiego, że stać mnie na każde szaleństwo.

Do drzwi piwnicy Septimusa Croucha rozległo się nagłe pukanie.

- Wejść! - zawołał gospodarz, z najwyższą niechęcią odrywając oczy od błyszczącego naczynia, w którym płonące świece zapalały ogniste refleksy. Z brzegów pucharu, z podstawy zdobnej w dwie salamandry, ze lśniącej złotem płaszczyzny spoglądały na niego dziwacznie zniekształcone odbicia jego własnej twarzy.

- Panie! - zawołał służący. - Drzwi założone są sztabą.

- A tak, zaraz - mruknął Crouch, z ociąganiem idąc ku drzwiom. Dla uniknięcia rozgłosu musiał swe magiczne eksperymenty prowadzić w podziemiach domu przy Lime Street.

Pośrodku nisko sklepionej kamiennej izby rozpościerał się stół, także z kamienia, poznaczony mnóstwem podejrzanych plam i zadrapań. Na półkach stały rzędy słoiczków, retort i pudełek, których nikomu ze służby nie wolno było dotykać. Jednakże baryłki ustawione wzdłuż drugiej ściany zawierały prawdziwe wino. Na samym środku stołu, otoczone kręgiem czarnych świec, stało nowe Zwierciadło Dioklecjana. Crouch, zanim ruszył do drzwi, szybko nakrył je płótnem.

- No i jak wypadł pogrzeb złotnika? - zagadnął lokaja.

- Bardzo ubogo, mój panie, ale wdowa tak była wdzięczna za przesłane jej świece, że pocałowała mnie w rękę.

Crouch parsknął na to zduszonym śmiechem.

- Nikt niczego nie podejrzewa?

- Nikt. Trucizna tego Lombardczyka...

- Ha, podziałała znakomicie! To dopiero ironia losu, że równie wspaniały skutek odniosła też i w przypadku samego Lombarda! Zażartowałem, Wat, pozwalam ci śmiać się. - Słyszac nerwowy chichot służącego, Crouch prychnął: - Wesoły z ciebie jegomość, nieprawdaż? No dobrze, a teraz się stąd zabieraj. Mam jeszcze to i owo do zrobienia. A o północy przynieś tu kolację i żeby mi to było coś lekkiego. Może pieczone z bażanta? Nie chcę, by ciężki żołądek przeszkadzał mi w sprawnym myśleniu.

Zamknawszy na powrót drzwi, Crouch dał się pochłonać swojej nowej pasji. Pochylony nad stołem, z widoczną fascynacją jął śledzić pojawiające się w lustrze postacie. Ach, to zwierciadło! Okazało się ono jego najwierniejszym przyjacielem. Nagłe podejrzenie, obawa, że wynajęty złotnik mógł zapamiętać tajemne formuły, a potem zrobić z nich użytek, kazały mu spojrzeć w tę lśniąca powierzchnię. No i potwierdziły się jego obawy: zobaczył jak na dłoni mistrza Jonasa odlewającego drugie magiczne zwierciadło! A przysięgał, kanalia, że zniszczył formę! Cóż by to było, gdyby każdy, kto tego zechce, mógł posiadać czarodziejskie lustro! On, Septimus Crouch, straciłby całą przewagę. Lombardzki wspólnik przyznał mu rację. Jakim wprawnym italskim gestem i z jakąż widoczną przyjemnością powiódł swą upierścienioną dłonią nad pucharem wina... A jak się uśmiechnął, widząc, że złotnik wypił je do dna wraz z powoli działającą trucizną! Pierścień, pierścień, myślał Crouch, obserwując tę scenę. Włoch ma na palcu specjalny pierścień z wydrążoną skrytką na truciznę. Że też nie domyśliłem się tego wcześniej! Ciekawe, ile jeszcze zna sposobów podstępnego zadawania śmierci? Być może już wkrótce dojdzie do wniosku, że nie warto dzielić się sekretem, a mnie Zwierciadło Dioklecjana potrzebne jest bardziej niż jemu...

Cóż to za szczęście, że nieocenione zwierciadło ostrzegło go przed Lombardczykiem: oto zobaczył w magicznej tafli swój pogrzeb, a wśród żalobników zdradzieckiego Włocha... Śmiał się, bestia. On i jego kompani. No, stało się inaczej: to on, Crouch, śmiał się nad grobem tamtego.

Dopóki nie posiadał zwierciadła, nie przypuszczał, że ma tylu wrogów. Teraz poznał ich wszystkich. Wyszło na jaw, że są niebezpieczni, że knują przeciw niemu spiski. Jedyne rozsądne wyjście to ich usunąć. W końcu wyłącznie on ma naprawdę wielkie plany. Który z jego wrogów umiałby myśleć i działać w ten sposób? Lombard? Był nikim, podczas gdy on, Septimus Crouch, stanie się wkrótce potęgą. To jego ręka będzie wynosić królów i strącać ich w przepaść. Jego moc zawładnie światem - widocznym i niewidocznym. Nikt nie ma prawa

stawać mu na drodze. Zwierniadio, jego magiczne oko, przeniknie cały ten świat, odsłoni przed nim każdą tajemnicę...

Scandalous

## PORTRET TRZECI

*„Portret nieznannej damy.” Ok. 1520. National Portrait Gallery.*

*Portret ten, hipotetycznie uważany za podobiznę lady Burghley z późniejszego okresu jej życia, ukazuje ewolucję, której ulega strój dworski pomiędzy panowaniem Henryka VII a jego następcy, Henryka VIII. Widać tu przejście od późnośredniowiecznego kanonu mody do bardziej wyszukanego stylu kolejnej epoki. Warto zwłaszcza zwrócić uwagę na takie elementy, jak bardzo charakterystyczne stożkowate nakrycie głowy z ornamentem z kamieni półszlachetnych, zastosowanie rozcięć, spod których widać bogato haftowane płótna, oraz zmiany w kroju rękawów: liczne pikowania uwypuklają podrękawek, rękaw wierzchni znacznie się poszerza, do tego stopnia, że piasek modelki może ukryć się w jego fałdach. Anonimowy malarz uzyskał nie zamierzenie satyryczny efekt, oddając wyraźne podobieństwo łączące bogatą właścicielkę z jej czworonożnym ulubieńcem. Jednakowe miny obojga mówią o wysokim mniemaniu o sobie.*

### B. Smythe, Sześć wieków angielskiego stroju

Przeskoczyłam spory kawał czasu, aby się pochwalić jednym z moich najbardziej udanych malowideł na desce. Przyniosło mi ono wielki sukces, a lady Guildford na jego widok zaczęła płakać z radości. Niezmiernie lubiła tego malutkiego pieska, który zdechł wkrótce po namalowaniu, najadłszy się kości z bażanta. Takich kości, nawet rozdrobnionych, nie wolno podawać psom. Co do lady Guildford, to ucziwie uważam, że przedstawiłam ją wiernie, z tą tylko różnicą, że trochę ujęłam jej zmarszczek, te zaś, które pozostały, pozwoliłam sobie wytłumaczyć nie jako zmarszczki, lecz oznakę charakteru właściwego osobie o tak wysokiej pozycji.

Prawdą jest jednak, że dużo minęło czasu, nim udało mi się zdobyć możliwych protektorów. Bo chociaż pracowałam jak szalona, wkładając w to wszystkie swe siły, nikt bogaty nie kupował moich malowideł. To, że osoba tak znaczna jak lady Guildford zwróciła na mnie uwagę, było doprawdy dziełem niezwykle dziwnego przypadku. Wcześniej, w tym chudym jeszcze okresie mojej działalności, musiałam uprawiać całkiem inny rodzaj malarstwa. Miało ono wprawdzie charakter religijny, że jednak odwoływało się raczej do niższych uczuć, nie będę się nad nim rozwodzić. Powiem tylko, iż owe obrazy przedstawiały nagie postacie, dzięki czemu znajdowały licznych nabywców, którzy wszakże płacili niewiele. Z tych też powodów nie uznałam za stosowne ich sygnować; kupującym mówiło się

zawsze, że to dzieła innych artystów. Malując portret lady Guildford, przez okrągły miesiąc mieszkałam w Richmond, moja patronka była bowiem guwernantką księżniczki Marii, tej samej, której portret stał się początkiem mej kariery, o czym wszakże wspomniane damy nie wiedziały. Nie z lenistwa wizerunek lady Guildford zajął mi tyle czasu, lecz dlatego że modelka była zbyt niecierpliwa, aby dłużej usiedzieć na miejscu. O, bo wiele też miała na głowie. Doglądała gospodarstwa w tym olbrzymim domostwie, a w dodatku musiała pilnować, aby urodziwi młodzieńcy ani na chwilę nie pozostawali sam na sam z księżniczką, znaną z wielkiego upodobania do uciech, zwłaszcza zaś do męskiej adoracji. Ja jednak nie traciłam czasu. W przerwach między sesjami z moją patronką wykonałam wiele miniaturowych portretów różnych osób: przystojnych panów pragnących ofiarować swe podobizny księżniczce bądź którejś z jej dam dworu, jak również pań chętnych w taki sam sposób obdarować swoich wybrańców. Całe to dworskie towarzystwo było nader skore do miłostek, dzięki czemu wyjechałam z Richmond znacznie bogatsza, niż w chwili kiedy tam przybyłam. Tak bogata, że córce wdowy mogłam przywieźć sztukę pięknej niebieskiej wełny, a jej samej nowy czepek. Nan wypłaciłam wszystkie zaległe zasługi, lecz ona oddała je bratu, który wyszedłszy z więzienia, postanowił otworzyć jakiś interes, tak więc ma zacna piastunka pozostała uboga jak dotąd.

Tego wieczoru, kiedy tajemniczy cudzoziemcy złożyli wizytę w domu „Pod Stojącym Kotem”, w tej samej chwili gdy pani Hull pochyłona w spiżarni nad zwłokami mistrza Dalleta obliczała w myślach, ile warto zapalić mu świeczek, wytworne towarzystwo zebrane w jadalni królewskiego pałacu w Richmond kończyło sutą wieczerzę. Blask dopalających się świec pełgał po wyłożonych boazerią ścianach i wielkim stole nakrytym białym obrusem. Muzyków już odprawiono, uwaga zebranych bowiem zwróciła się ku rzeczom nadprzyrodzonym. Groźne spojrzenie madame Guildford, którym ta surowa matrona zgasła wszczętą przed chwilą dyskusję na frywolnie romansowy temat, wyraźnie złagodniało; budujące opowieści o duchach i zjawach wywoływały w niej zawsze najżywsze zainteresowanie. Wyglądziwszy czarny jedwab obszernej spódnicy, pod którą szeleściły niezliczone halki, wygodniej usadowiła się w fotelu. Jej ciasno opięta gorsetem imponująca postać budziła powszechny respekt. Lokaje ponownie napełnili winem pucharki z litego srebra, zaraz też uprzątnęli talerze pełne ogryzionych kości i resztek zastygłego sosu. U stóp madame Guildford ułożył się z kostką w zębach jej ulubiony piesek.

Damy dworu księżniczki zbiły się w grupkę, szeroko otwierając oczy, zaś okryty sławą wytrawnego galanta diuk of Suffolk skorzystał z krótkotrwałej nieuwagi starej duenny, by posłać księżniczce płomienne spojrzenie. Wyglądała prześlicznie. Kolory ciężkiego naszyjnika z rubinów i pereł, który tak pięknie uwydatniał białość jej szyi, powtarzały się także w przepysznym stroju: w czerwonej brokatowej sukni i mocno marszczonych podrękawkach z białego jedwabiu ozdobionych bogatym haftem. Długie rudozłote włosy, spięte obręczą ze złotych, wysadzanych szafirami ogniw, spływały jej falą na plecy; królewska siostra wciąż jeszcze była dziewicą, w dodatku prawdziwie młodą. Pochwyciwszy spojrzenie Suffolka, zaróżowiła się lekko, mimo to jej jasne oczy odpowiedziały mu zuchwałym błyskiem. Tymczasem Jane Popincourt, dama dworu księżniczki i nauczycielka francuskiego, rozpoczęła zdumiewającą opowieść: oto zza ściany komnaty, która niegdyś była jej sypialnią, co noc dobiegał stukot kołowrotka!

- O tak, pamiętam, pani, jaka byłaś zirytowana, że spać ci to nie pozwala! - zawołała księżniczka.

- Kazałam więc mularzom rozwalić ścianę. I jak myślicie, co za nią znaleźli? - zapytała Jane i zamilkła, a madame Guildford potoczyła wyczekującym spojrzeniem po zastygłych z emocji słuchaczach. - Zamurowaną komnatę - podjęła lady Jane po chwili dramatycznej ciszy - a w niej zakurzony, od dawna nie używany kołowrotek, cały osnuty

pajęczyną! Zwróciliśmy się o pomoc do księdza, ten zaś, przejrzawszy rejestry, stwierdził, że w owej komnacie umarła kobieta, która niegdyś przędła dla królowej.

- Powiedz mi jednak, proszę - przerwał jej Suffolk, wzruszając szerokimi ramionami - dlaczegoż to jakiś duch, wolny już przecież od ziemskich trosk i powinności, miałby dalej trudzić się tak żmudnym i nudnym zajęciem?

Patrząc na mówiącego, nietrudno było zrozumieć, dlaczego on sam nigdy pewnie by tego nie uczynił. W tym zdrowym, rubasznym mężczyźnie wszystko było wielkie i kwadratowe, począwszy od karku i ramion, skończywszy na ciemnej brodzie i sięgającej poniżej ucha równo przyciętej grzywie. Wszystko to w dziwny sposób przywodziło na myśl poganiacza wołów wystrojonego w dworskie szaty, w których jest mu, co gorsza, bardzo niewygodnie. Zarówno ciemnoniebieski atlasowy kubrak angielskiego kroju, jak i brokatowa szata wierzchnia, której ekstrawaganckie rozcięcia błyskały krwistym szkarłatem, zdawały się odstawać od jego mocarnej sylwetki. Lecz właśnie te cechy, siła fizyczna i awanturniczy temperament, zyskały mu sympatię Henryka VIII. Stał się najbliższym przyjacielem króla i zaufanym współnikiem jego licznych sekretnych eskapad.

- Nie - kontynuował swą myśl - duchy powracają na ziemię jedynie wówczas, gdy mają przekazać coś żywym lub w przypadku, kiedy płoną chęcią zemsty.

- A ja bym zapytał, czy ów stuk kołowrotka nie zawierał jakiegoś przesłania - odezwał się młody diuk de Longueville, Francuz wzięty do niewoli w bitwie pod Guinegate, lecz jak każdy arystokrata wypuszczony na parol do czasu wpłacenia okupu. Bywał więc u dworu, korzystając ze wszystkich przywilejów szlacheństwa i swojej wysokiej pozycji. W tej chwili pilno mu było zainteresować towarzystwo własną niesamowitą historią. - Wierzę - oświadczył - że gdziekolwiek pojawia się duch, czyni to zawsze w ściśle określonym celu. Na przykład tutaj, w Londynie, ktoś, kogo znam... hm... bardzo dobrze... opowiadał mi o zgoła nadzwyczajnym duchu...

- Och, proszę nam o tym opowiedzieć! - zawołała księżniczka, klaszcząc w dłonie. Francuz zobowiązany był wprawdzie do zachowania dyskrecji, lecz próżność oraz wypite wino kazały mu o tym zapomnieć.

- A więc był w Londynie pewien młody i bardzo urodziwy malarz obdarzony rzadko spotykanym talentem portrecisty - rozpoczął swą opowieść. - Ów malarz niedawno poślubił piękną dziewczynę, którą darzył głębokim oddaniem i która oczekiwała właśnie ich pierwszego dziecka. - Potoczywszy wzrokiem po twarzach dam, stwierdził z ukontentowaniem, że wszystkie wpatrują się w niego jak w tęczę. Francuską modą nosił strój o jasnych barwach i mnóstwo błyszczących ozdób. Z głębokiego wycięcia jasnyniebieskiego



atłasowego kubraka wyczierała przepiękna batystowa koszula. Płaski aksamitny kapelusz w odcieniu nasyconego fioletu, przybrany złotym medalionem, podkreślał jasnobrązowy kolor jego długich do ramion włosów, podnosząc zarazem męską urodę wąskiej charciej twarzy. Połowa dworskich dam kochała się w nim na zabój.

- Ach, zatem to historia o miłości! - wykrzyknęła księżniczka. Madame Guildford rzuciła de Longueville'owi spojrzenie zdolne poskromić dziką bestię, on jednak nieustraszenie parł dalej.

- Wasza wysokość ma zupełną rację - potwierdził z zapalem. - Tak, to historia miłosna, lecz z jakże niezwykłym zakończeniem! Malarz, o którym mowa, niedawno dopiero został mistrzem, dlatego miał sporo długów. I oto dzięki łasce fortuny zjawia się w jego domu możny arystokrata, który zamawia miniaturową kopię większego portretu, oferując iście księżęcą zapłatę.

Zasłuchane towarzystwo z wrażenia pochyliło się naprzód, a diuk Sufflok zapomniał się do tego stopnia, że oparł łokcie na stole. O, Francuz umiał opowiadać.

- Następnego dnia ów możny klient idzie po odbiór miniatury i spotyka na ulicy duchownego spieszącego z pomocą młodej niewieście, która jeszcze nie wie, że została wdową; jej małżonek zginął poprzedniego wieczoru w jakiejś ulicznej bójce. I cóż się okazuje? Zamordowaną ofiarą jest właśnie malarz, u którego złożono zamówienie! A nieświadoma niczego owdowiała żona czeka na jego powrót.

- O, jakież to smutne - westchnęła Jane Popincourt, sięgając do aksamitnego rękawa po haftowaną chusteczkę. - Zbyt smutne jak na miłosną historię.

Madame Guildford musiała być zapewne tego samego zdania, gdyż jednym ze swych pulchnych palców dyskretnie strąciła łzę.

- Imaginujcie sobie, panie i panowie, jaki byłem... jak bardzo wstrząśnięty był ów szlachcic, kiedy się o tym dowiedział. Oznaczało to przecież najprawdopodobniej, że miniatura nie została namalowana. No cóż, poszedł jednak do pracowni artysty, a tam... Zobaczył tam gotowe arcydzieło, tak doskonałe, że ludzka ręka nie mogła go stworzyć. - Całe towarzystwo westchnęło, co Francuz znowu odnotował z żywą satysfakcją. - „Skądże się wzięło to cudo?”, spytał zdumiony arystokrata. A młoda żona artysty, nieświadoma swojej tragedii, odrzekła, że mąż wrócił rankiem bezszelestnie jak duch i cały dzień pracował bez wytchnienia. Nie tknął napoju ni jadła, a ukończywszy portret, zniknął tak samo cicho, jak przyszedł. Nie podejrzewała, nieszczęsna, tego, czego od razu domyślił się bogaty klient: że był to duch zmarłego artysty. Musiał on być zaiste niezwykle oddanym mężem, skoro powrócił z zaświatów, by namalować portret i tym sposobem zaopatrzyć żonę i dziecko.

- Zdumiewające! - wykrzyknął któryś z dworaków.

- I jakże wzruszające. Och, na przekór niegodziwościom tego świata istnieje w nim przecież szlachetna miłość między małżonkami - orzekła madame Guildford, jawnie ocierając kilka rześistych łez.

- I mówisz, że zdarzyło się to w City?

- Ciekawe, kim był ten arystokrata. Mówiłeś chyba, że go znasz.

- Zaprzysiągłem dyskrecję, w grę wchodzi bowiem honor pewnej (lady - odrzekł de Lonsueville, niezmiernie ukontentowany, że wywołał taką sensację.

- Przyznaj się - kapryśnie nalegała Jane Popincourt - to ty byłeś owym klientem, nieprawdaż?

De Longueville, chwilowo nasycony miłością, leniwie wyciągnął nagie ciało na miękkich piernatach. Mimo że aksamitne kotary ogromnego łóża chroniły ich przed wzrokiem przypadkowych intruzów, Jane skromnie ukryła się pod prześcieradłem. Kochanek z figlarnym uśmiechem pociągnął je ku sobie.

- Pokaż mi raz jeszcze te swoje słodkości.

- O nie! - wykrzyknęła z miną skromnisi. - Chyba że mi powiesz.

- Zgoda, powiem: to byłem ja - odparł de Longueville, szarpiąc prześcieradło.

- A o jaką kobietę tu chodzi? - zaniepokoiła się nagle lady Jane, przytrzymując oburącz przykrycie. - O, ty niewdzięczniku! Masz inną!

- Jakże to możliwe, skoro ty, o boska, jesteś dla mnie wszystkim? - zakpił. - Nigdy tak o mnie nie myślałaś, ma słodka Jeanette. - Widząc jednak wyraz jej twarzy, powiedział już bardziej serio: - Nie działałem we własnym imieniu, lecz na zlecenie osoby... trzeciej. A kobieta, o którą pytasz, jest wielką damą, zechciej mi więc wybaczyć... Przynięłem strzec jej reputacji.

Jane raptem przestała ufać jego przymilnemu głosowi i zmysłowemu uśmiechom.

Czy aby na pewno te ciemne oczy płoną tylko dla mnie?, myślała, przyglądając się bacznie jego twarzy. Gdybyż można było z niej czytać, poznać jej skrytą wymowę! Decydując się na te schadzki, Jane ryzykowała całą swą pozycją. Gdyby romans wyszedł na jaw, straciłaby reputację i miejsce u boku księżniczki. A jedno czy drugie niebezpieczne słówko mógł rzucić nie tylko któryś z dworskich plotkarzy, lecz i sam kochanek. Gdyby tak z nią zerwał... Wtenczas z pewnością zacząłby paplać. Który mężczyzna zdolny jest przemóc chętkę pochwalenia się swoim podbojem? A ten, proszę, jaki z niego zdrajca! Ujawniać cudze sekrety przy kolacji tylko po to, by go podziwiano! Nie, lepiej się z nim nie rozstawać,

przeciwnie, mocniej go usidlić... wtedy nie będzie gadał. Uśmiechnęła się czule i wdzięcznym gestem odrzuciła prześcieradło.

- O, moja cudna! Piękniejszaś od samej Wenus!

Kiedy przykrył ją swoim ciałem, by stoczyć drugie już dzisiaj miłosne starcie, zaczęła układać plany: wypyta jego lokaja i znajdzie tę wdowę. Już ona się dowie, kim jest owa kobieta namalowana przez ducha.

Zajęta swymi myślami, zdecydowanie gorzej oceniła powtórne wyczyny kochanka. De Longueville tymczasem delektował się skrycie jej zdenerwowaniem. Bardzo lubił, by kobiety, które posiadał, nie były zbyt pewne jego afektów. Pozwolił namiętności wziąć górę nad wszelkim myśleniem i całą tą pajęczą siecią spisków, które tak kunsztownie ukrył przed słodką Jeanette. Największą z tych tajemnic była tożsamość kobiety, na której prośbę kazał namalować miniaturowy portret królewskiej siostry. A była nią Ludwika Sabaudzka, matka pretendenta do tronu Francji, najambitniejsza i najgroźniejsza z wielkich dam owej epoki.

Biskup Thomas Wolsey, Wielki Jałmużnik króla, wszechpotężny minister Henryka VIII, ordynariusz Lincolnu i mistrz logistyki wojennej w czasie ostatniego konfliktu zbrojnego z Francją, odbywał ważną konferencję w swoim gabinecie w Brideswell, gdy zaanonsowano przybycie Roberta Ashtona, jednego z dwóch sekretarzy jego osobistej kancelarii, oraz pewnego kapłana, stałego spowiednika lady Jane Popincourt. Lord kanclerz kazał im czekać, dopóki nie skończy rozmowy ze swoim nadwornym kucharzem. Był on osobistością cenioną bardzo wysoko w wielkim biskupim domostwie, w którym do spraw jedzenia przywiązywano ogromną wagę. O randze nadwornego kucharza najlepiej świadczyła jego powierzchowność: miał na sobie szatę z damasceńskiego atlasu ozdobioną złotym łańcuchem, a z jego oblicza i gestów biła pewność siebie człowieka, który rozkazuje dwom mistrzom biskupiej kuchni, dwom intendentom, czterem kuchcikom, dwom szafarzom, nadzorcy pomywaczy porcelany i nadzorcy pomywaczy sreber, nie mówiąc już o armii mężczyzn, kobiet i dzieci wykonujących bardziej poślednie posługi.

Sylwetka lorda kanclerza mówiła o zamiłowaniu do dobrego jadła, lecz pod pozorami zdrowego wyglądu kryła się skłonność do pewnych zaburzeń trawiennych, co wymagało bacznej i stałej troski. Zadaniem szefa prywatnej kuchni było dbać w taki sposób o wnętrze jego eminencji, aby funkcjonowały jak dobrze wyregulowany zegar; od tego zależała pomyślność królestwa. Po śmierci starego króla, który był wielkim sknerą, lecz umysł miał bystry, Wolsey został szarą eminencją. W istocie to on rządził Anglią. Planował jej przyszłość i z wielką zręcznością kierował bieżącymi sprawami państwa, którymi młody, rozmiłowany w rozrywkach król Henryk nie lubił zaprzętać sobie głowy. Ilekroć trzeba było

zająć się projektem tej albo innej ustawy, rozważyć warunki traktatu czy choćby przeczytać dokument przed złożeniem królewskiego *signum*, słowem, ilekroć monarsze groziło nudne uwięzienie w gabinecie, Henryk VIII dziękował niebiosom, że ma u boku Wolseya. „Najjaśniejszy panie - mawiał wtedy kanclerz - niechże ta nudna materia nie psuje ci polowania. Zażywaj przyjemności, jak przystało władcy, zaś ja, twój pokorny sługa, wezmę na siebie ową niemiłą powinność. Zapewniam cię, wasza wysokość, że wszystko zostanie załatwione po twojej woli i myśli.”

Sądząc po nudnej obfitości dóbr - w postaci bręczącej monety, posiadłości i biskupstw - które niby dojrzały owoc sypały się w jego zręczne, acz pulchne ręce, Thomas Wolsey nader skutecznie egzekwował wolę swego władcy. Obecnie cały jego wszechstronny a wyrachowany umysł zajęty był dwoma wielkimi planami, nie licząc pomniejszego problemu jutrzejszej kolacji, tym bowiem zawiadywała specjalna sekcja kanclerskiego umysłu „wydzielona do spraw bieżących”. Pierwszym z tych ważnych przedsięwzięć była budowa rezydencji położonej w pobliżu stolicy, w miejscu wolnym wszelako od jej szkodliwych wyziewów. Wolsey tak bał się chorób, jak tylko zdolny jest się ich lękać człowiek, który stawia przed sobą bardzo wielkie i dalekosiężne cele. Z tego to powodu zatrudniał gromadę medyków i ludzi do kosztowania potraw, a wodę sprowadzał z odległych źródeł. Już sama myśl, iż rzecz tak pospolita jak zatrute powietrze mogłaby obrócić wniwecz jego wspaniałe plany, była mu nieznośna. Przeszkody tego rodzaju obrażały jego godność własną. Wrogowie wielkiego kanclerza, zarówno ludzie, jak i żywioły, powinni mieć klasę. Wydzierżawił już kawałek ziemi nad Tamizą w miejscu zwanym Hampton Court. Tamtejsze powietrze, jak zapewniali go medycy, szczególnie sprzyjało zdrowiu. Połową osoby bawił więc w tej chwili w Hampton Court, planując rezydencję godną swej świetnej pozycji.

Sprawa druga, choć nie tak już osobista, była równie droga jego sercu. Chodziło o skonstruowanie zupełnie nowego układu sił w Europie, oczywiście z korzyścią dla Anglii. Zasadniczą częścią tego planu było doprowadzenie do sojuszu z Francją. W wyniku przymierza Anglii z jej odwiecznym i najgorszym wrogiem powstałaby siła równa potędze Hiszpanii i Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Warunkiem powodzenia tego planu była, niestety, kobieta, a raczej płocha, romansowa i rozpieszczona dziewczyna lat siedemnastu: Maria Tudor, młodsza siostra panującego monarchy. Wolsey od dawna łamał sobie głowę nad pozyskaniem Francji dla idei tego przymierza, i oto, całkiem jakby jego plany spodobały się Najwyższemu, umiera francuska królowa! Za pośrednictwem tajnych negocjatorów (przydał się ten de Longueville!) kanclerz natychmiast zaproponował Ludwikowi XII rękę Małgorzaty, świeżo owdowiałej królowej Szkocji, drugiej siostry Henryka VIII. Stary król Francji odrzucił

jednak ofertę. Małgorzata, oświadczył, jest gruba i stara, ma już bowiem lat dwadzieścia pięć.

Wolsey przyczał się jak kocur przy mysiej dziurze i czekał. Obserwował podsuwane królowi księżniczki i śledził jego reakcje, starając się z nich wyciągnąć konstruktywne wnioski. Pytanie brzmiało: jakie kandydatki mogą liczyć na względy Ludwika? Spróbował w tych rozważaniach spojrzeć na sprawę z punktu widzenia francuskiego władcy. To starzec, kombinował sprytnie, a czego pragnie mężczyzna w podeszłym wieku? Kobiety zdolnej przywrócić mu młodość... Musi to być osoba równie piękna, co frywolna... Król oszukuje sam siebie, twierdząc, że jeśli się ożeni, to tylko dla spłodzenia następcy tronu. Ze zręcznością godną bardziej starego satyra niż chrześcijańskiego biskupa Wolsey podsunął Francuzowi nader kuszącą przynętę: najpiękniejszą i najbardziej frywolną spośród europejskich księżniczek. Ceną za jej rękę miało być przymierze.

Widząc wahanie Ludwika, jego eminencja wyciągnął asa z rękawa: wyprawił do Francji sekretnego kuriera z portretem księżniczki Marii. Widniała na nim jej twarz normalnej wielkości w ujęciu trzy czwarte; twarz z leciutko rozchylonymi wargami i kuszącym spojrzeniem lśniących oczu spod długich, zalotnie opuszczonych rzęs (dobrze się spisał ten malarz, a to, że był urodziwy i potrafił prawić słodkie słówka, bynajmniej nie zaszkodziło). Wolsey chciał, aby ten portret wzburzył leniwą krew starca. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Nawet francuski agent, odbierając podobiznę, wyraził mu swe uznanie: arcychytre pociągnięcie. Lecz jakiej dyskrecji wymagała ta niezmiernie delikatna operacja! Zwłaszcza przed teściem Henryka, królem Hiszpanii. Ten wszędzie miał swoich szpiegów.

Ułożywszy kolacyjne menu, Wolsey odprawił kucharza; wszystkie komórki jego wielofunkcyjnego umysłu pracowały teraz zgodnym rytmem. Oczekiwał lada moment wizyty de Longueville'a z dobrymi wieściami z Francji, przynajmniej taką miał nadzieję, tymczasem zamiast Francuza przyszedł Ashton, najnowszy nabytek w jego prywatnej kancelarii, i ten duchowny, którego nazwisko biskup powinien był pamiętać, ale jakoś wypadło mu z głowy. Kiedy ich wprowadzono, Wolsey udał, że z trudem odrywa wzrok od papierów. Miało to oznaczać: mówcie szybko, nie mam dla was czasu.

- Życzyłeś sobie, wasza miłość, abym meldował o wszystkim, co dotyczy działalności de Longueville'a. Otóż mam powody sądzić, że prowadzi on oddzielną korespondencję z Francją. - Ashton przekazał tę nowinę ze spokojną twarzą, bezwiednie jednak odgiął prawą ręką mocno zaciśnięte palce drugiej. Wolsey natychmiast to zauważył. Nerwowość Ashtona była tak widoczna, że równie dobrze mógłby to wypisać na tabliczce i zawiesić ją sobie na szyi.

Robert Ashton miał powody do zdenerwowania: ośmielił się przeszkodzić

wszechpotężnemu kanclerzowi. Wiedział, jak Wolsey rozprawia się z urzędnikami, którzy mieli nieszczęście mu się narazić. Najlżejszą karą była utrata posady i wszelkich widoków na przyszłość. Pełniąc obowiązki tajnego agenta, chłopca na posyłki i podręcznego skryby do pisania listów w czterech językach, zdążył już poznać krańcową bezwzględność ukrytą pod jedwabście gładkimi manierami lorda kanclerza. Cóż jednak miał robić ktoś taki jak on: dwudziestopięcioletni mężczyzna bez rodziny i dobrych koneksji, w dodatku nowicjusz w biskupiej służbie? Chcąc się wybić, musiał ryzykować. Czy miał pozwolić, aby wciąż tylko jego rywal, ten irytujący Brian Tuke, pławił się w słońcu biskupiej łaski? Nie, pomyślał, teraz moja kolej!

Ambitny Ashton poczułby się mocno upokorzony, gdyby się domyślał, jakim to swoim cechom zawdzięcza posadę w prywatnej kancelarii Wolseya. Dla wszystkich, którzy umieli patrzeć (poza nim samym), było rzeczą jasną, że jego uczciwe oczy zdradzą każdą myśl, która mu przyjdzie do głowy, i to tak wyraźnie, jakby ją sobie wypisał na czole. Wolseya niezmiernie bawiło odczytywanie tego nieustającego potoku myśli z piwnych oczu Ashtona. Czasami po to tylko dawał mu szturchańca, by móc śledzić grę jego twarzy. Fakt, iż młody sekretarz odznacza się żywą inteligencją, czynił tę zabawę jeszcze miłszą. Obserwując Ashtona, Wolsey czuł się mądrzejszy i o niebo bardziej doświadczony. Dobrze było mieć świadomość, że gdy znuży go czytanie dokumentów, a deszczowa pogoda nie pozwoli wyjść na powietrze, zawsze jeszcze jest się czym rozerwać. Dla tej przyczyny tolerował młodzieńczą zuchwałość Ashtona, jego zbytnią popędliwość, zwłaszcza w osądzie kwestii o charakterze moralnym, to znaczy takich, które w jego mniemaniu kolidowały z moralnością, wreszcie drobne a irytujące nawyki świadczące o fatalnym braku ogłady. Ashton, kanclerz musiał to przyznać, był ponadto człowiekiem bardzo użytecznym: odważnym, dociekliwym, wytrwałym, i ogromnie pragnął się wybić.

Wolsey posłał mu teraz długie i przenikliwe spojrzenie - niech się zastanawia, co to znaczy - jednym rzutem oka ogarniając krzepką sylwetkę swego sekretarza, jego ruchliwą twarz i zakurzoną liberię (widać, że zbyt pospiesznie oczyścił ją po podróży). Najwięcej, jak zwykle, powiedziały mu oczy: wyczytał w nich niecierpliwość, obawę, ale też i kalkulację. Nad wszystkim tym górowało jednak uczucie triumfu... wyraźne zadowolenie z własnej inteligencji i zręczności.

Aha, pomyślał biskup, z czymkolwiek przychodzisz, synu, będzie to cios wymierzony w pana Tuke'a. Interesujące. On sam cenił Briana Tuke'a, i to za te akurat przymioty, których tak bardzo brakowało Ashtonowi. Brian był gładki w obejściu i zawsze pełen szacunku. Umiał zręcznie schlebiać, a każde polecenie wypełniał co do joty. Nie odznaczał się

oryginalnością, był za to dobrym dyplomatą. Jego kariery nie hamowały żenujące incydenty, jakie raz po raz stawały się udziałem Ashtona. Mógł wykazać się dłuższym okresem służby w kancelarii i lepiej sobie w niej radził. Ashton zaś nie mógł tego ścierpieć i zażarcie walczył ze starszym kolegą o palmę pierwszeństwa. Wolsey, którego ta rywalizacja niezmiernie bawiła, przechylał czasami szale w jedną bądź drugą stronę. Lubił patrzeć, jak dwaj jego podwładni okrążają się nawzajem, szczerząc na siebie zęby; przypominali wtedy bojowe psy na arenie. Była to druga jego rozrywka w chwilach nudy, wolnych od wielkich planów.

Ksiądz, od którego Robert Ashton wydobył pewien sekret, posługując się w tym celu tyleż darem wymowy, co i brzęczącą monetą, zwłaszcza zaś obietnicą względów potężnego biskupa, poczuł na sobie zimne spojrzenie Wolseya i wyraźnie skurczył się ze strachu.

- De Longueville - stwierdził kanclerz - zbyt jest ostrożny, by przynosić do konfesjonału prawdziwie ważne intrygi. Jesteś pewien, że nie chodzi tu o błahą romansową korespondencję? - Specjalnie nadał głosowi lodowate brzmienie; zaraz też zauważył z satysfakcją, że z twarzy Ashtona pierzcha butny wyraz samozadowolenia.

- Nie on to wyznał - wyjaśnił sekretarz z pośpiechem - lecz lady Popincourt, która szaleje z zazdrości, sądząc, że de Longueville kazał potajemnie wykonać portret innej kobiety, rywalki. - Wolsey popatrzył na niego z dobrze wystudowanym powątpiewaniem, za co znowu otrzymał sówitą nagrodę: spojrzenie Ashtona wypełniło się gwałtownym niepokojem. - Ten ksiądz może to potwierdzić - dodał żywo. Spowiednik w milczeniu skinął głową.

- Inna kobieta? Jaka inna kobieta? - Wolseya ogarnęło zaciekawienie i pozwolił je sobie okazać.

Nareszcie, odetchnął Ashton. Nareszcie udało mi się zainteresować jego eminencję. Sytuacja opanowana. Przed oczami zatańczyła mu twarz tego irytującego snoba, Briana Tuke'a. Zobaczymy, pomyślał, zobaczymy, kto przed następnym posiedzeniem rady poniesie za kanclerzem księgę protokołów i tekę dekretów. Wolsey zauważył błysk w jego oku: aha, wrócił mu zapal. Znow płonie chęcią pognębienia rywala. Postanowił taktycznie milczeć.

- Proszę mnie wysłuchać, a być może z tego, co powiem, wasza miłość wyciągnie wnioski podobne do moich - zwrócił się do niego Ashton, myśląc równocześnie, że lepiej nie zdradzać od razu wszystkiego. Twarda szkoła, którą przeszedł za granicą, w tym zwłaszcza obserwacja bezlitosnych poczynań ludzi władzy, uczyniła go mistrzem właściwego podawania wiadomości. Wiedział, jak je dawkować, kiedy zrobić pauzę, a kiedy przyspieszyć. W dobrej kompanii, przy kielichu, umiał też tak doskonale naśladować czyjeś afektowane pozy, akcent i mimikę, że widzowie konali ze śmiechu. Doskonale rozumiał, że są

to cenne umiejętności, szczególnie u kogoś, kto w wieku lat szesnastu odziedziczył po zmarłym ojcu jedynie konia i dziesięć funtów; prawie tak użyteczne jak schludne urzędnicze pismo oraz rzadki talent do języków, który objawił mu się w trakcie krótkiej kupieckiej kariery za granicą.

Wolsey, podparłszy dłonią podbródek, dał do zrozumienia, że słucha. Prawa powieka opadła mu przy tym na oko, nadając obliczu tak złowrogi wyraz, że nieszczęsny spowiednik całkiem stracił mowę.

- Podczas kolacji w Greenwich - rozpoczął po pauzie Ashton - de Longueville za namową gości opowiedział niezwykłą historię o duchu. Pewien lord zaproponował londyńskiemu malarzowi iście królewską zapłatę za wykonanie miniaturowej kopii większego portretu...

- I cóż dalej? - Wolseya niecierpliwiły długie opowieści.

- Kiedy zjawił się po miniaturę, przed domem malarza spotkał jakiegoś księdza, który szedł właśnie powiadomić żonę owego artysty, że poprzedniego wieczoru mąż jej został zamordowany. Stało się to gdzieś na drugim końcu miasta. Lecz ku ogromnemu zdumieniu milorda portret był jednak gotowy. Gdy zaczął indagować żonę, jak to możliwe, ta, nic nie wiedząc o śmierci męża, opowiedziała, że malarz wrócił rankiem do domu cicho jak duch, no i namalował portret.

- Ładny mi duch! - prychnął Wolsey. - Miał czeladnika, który wykonał robotę, a żona zwyczajnie omamiła klienta. Za dzieło czeladnika wzięła jak za dzieło mistrza.

- To samo i ja pomyślałem, wasza miłość. Wiem, jak bardzo Francuzi lubują się w sensacjach. A portret, rzecz jasna, miał być arcydziełem, i to najwyższej klasy. - Ashton zaakcentował te słowa z francuska z miną wytrawnego konesera sztuki. Choć bardzo się starał zachować powagę, absolutnie nie potrafił ukryć faktu, że uwielbia takie błazenady. Była to kolejna cecha, dla której Wolsey trzymał go u siebie pomimo defektów w wychowaniu i usposobieniu. To upodobanie bowiem czyniło z Ashtona świetnego agenta. Niektóre przedsięwzięcia wielkiego kanclerza nie tylko opierały się na symulacjach, ale też przypominały nie nazbyt miłe psikusy. Ashton, doskonale wczuwając się w ich charakter, działał niczym przedłużone ramię swego mistrza. Wysłany gdzieś za granicę robił dokładnie to, co robiłby sam biskup Wolsey. W kanclerzu ów talent budził uczucia mieszane: cenił go, owszem, lecz jednocześnie nim gardził, jak gardzi się mniej elegancką częścią samego siebie, którą należy odrzucić, kiedy człowiek zajdzie już wysoko.

- No oczywiście - przytaknął kpiąco. - W jakież inny sposób można by efektywniej zakończyć taką opowiastkę! Ale mów dalej. - Wbrew własnym chęciom był zaintrygowany.



Doskonale, ucieszył się Ashton, widząc, że jego eminencja wygodnie mości się w fotelu.

- Lady Popincourt domyśliła się, że owym dżentelmenem, który zamówił portret, musiał być sam de Longueville, bo wymknęło mu się jakieś słówko. Wyciągnęła z tego wnioszek, że Francuz ma drugą kochankę, i to taką, którą wyżej od niej ceni, czyż bowiem jej własną podobiznę kiedykolwiek nosił na sercu? Przeszukała jego rzeczy, delikatnie wypytała służbę i zyskała potwierdzenie swoich obaw. De Longueville rzeczywiście zamówił miniaturę, i, co już wprawiło ją w furję, zapłacił za nią całe trzy funty! Tylko co się stało z miniaturą? Wyglądało na to, że nie znajduje się ona w posiadaniu niewiernego kochanka. Lokaj nie potrafił nic więcej powiedzieć, błagał tylko, by mu dała spokój, bo bardzo boi się duchów. Z ciekawości rozpytałem się trochę, no i wykryłem, że de Longueville wyprawił do Dover przesyłkę: worek, a w nim pudełeczko obszyte kawałkiem jedwabiu napuszczonego olejem...

- Portret.

- Tak, wasza miłość. Przesyłkę tę powierzono kapitanowi francuskiego statku, który zobowiązał się ją doręczyć pani Ludwice Sabaudzkiej, matce teraźniejszego następcy tronu. - Strzał był celny. Twarz Ashtona jaśniała jak poranek.

- Ludwice Sabaudzkiej? Tej intrygantce? O, to francuskie księżątko bawi się ze mną w podwójną grę! - Rozwścieczony Wolsey gwałtownie zerwał się z miejsca. - Musi to być zatem podobizna...

- Jego eminencja może to zaraz stwierdzić w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości.

- Jak mam to rozumieć?

- Znając twe zamysły, milordzie, jako najwierniejszy sługa waszej miłości, wysłałem kuriera rozstawnymi końmi. Mój człowiek przybył do Dover, nim statek wypłynął z portu, przekupił sługę kapitana i pożyczył przesyłkę pod zastaw...

- Świetnie! Znakomicie! Ashton, widzę przed tobą wspaniałą przyszłość! - przerwał mu kanclerz. Ashtonowi zaświeciły się oczy.

- I oto mam ją tutaj - dokończył triumfalnie, wyjmując skórzany worek. Ostrożnie umieścił go na wielkim dębowym biurku zasłanym mnóstwem tek i papierów. Nie umknął mu błysk w oku Wolseya pod złowroźnie obwisłą powieką. Z mieszaniną radości i ulgi zarejestrował ledwo uchwytny uśmiezek i udawany spokój w głosie lorda kanclerza, gdy ten polecił:

- Drogi panie Ashton, byłbyś uprzejmy odprowadzić naszego gościa i przywołać mi tu mego klerka? Urzędnik kanclerski, młody duchowny wyspecjalizowany w rozszyfrowywaniu

przejętej korespondencji, wprawna ręką podważył i odjął pieczęcie, tak że wyglądały na nie tknięte, następnie zaś delikatnie poprzecinał nici, którymi zszyty był jedwab. W środku znajdował się ciasno zwinięty list pisany szyfrem i zwykła okrągła kasetka średnicy około pięciu sentymentów.

- Szyfr jest prosty, wasza miłość, zwyczajny szyfr de Longueville'a - poinformował kanclerza. Rozłożywszy swoje deszyfrancie przybory, zapalił od ognia świecę i ostrożnie zbliżył do kartki, by wydobyć na jaw niewidoczne pismo, gdyby takowe znajdowało się w liście, po czym zasiadł do pracy. Zapadła cisza, przerywana jedynie skrzypieniem pióra. Wolsey niedbałym gestem konesera otworzył drewnianą szkatułkę, lecz na widok lśniącego jak klejnot obrazka z wrażenia zaparło mu dech.

- Księżniczka Maria. Tego się domyślałem. Madame Ludwika chce poznać oblicze swojej przeciwniczki. - Kilkakrotnie obrócił kasetkę, by światło padało na portret pod coraz to innym kątem. Thomas Wolsey miał się za wyjątkowego znawcę sztuk pięknych, zwłaszcza malarstwa i muzyki. Wiedza taka była w jego mniemaniu niezbędna dla księcia Kościoła. - To kopia portretu Dalleta - stwierdził. - Ale przewyższa oryginał, a to już rzecz doprawdy zastanawiająca. - Przybliżył portrecik do zdrowego oka. - Moim zdaniem nie jest to ręką Dalleta. - Skinął na urzędnika, który w lot pojmując ten gest, usłużnie podał mu swoje szkło powiększające. - Spójrz tutaj - zachęcił kanclerz Ashtona, badając przez lupę fakturę - jaka to precyzyjna robota. Przyjrzyj się kreskowaniu choćby tu, pod brodą. Prawie niewidoczne. Widzisz te cieniutkie pociągnięcia pędzlem? Nie, tego nie mógłby wykonać żaden z angielskich artystów, to kunszt zagraniczny. No, zagraniczny był on do tej pory. Myślę, że wkrótce już poznamy cudzoziemskiego ucznia mistrza Dalleta... ucznia, który przewyższa go kunsztem. Dallet musiał pewnie zazdrościć mu tego talentu, dlatego tak skrzętnie ukrywał młodzieńca przed światem.

- Robota w istocie jest bardzo misterna - wtrącił klerk, który po odszyfrowaniu króciutkiego listu przetłumaczył go już na angielski, a teraz korzystając z wolnej chwili, przyglądał się miniaturze; biskup wciąż jeszcze trzymał ją w ręku.

- Dallet utraciłby palmę pierwszeństwa, gdyby ów czeladnik stał się znany. Chłopak byłby jego rywalem nawet bez patentu mistrza - zauważył Ashton. Na jego inteligentnej twarzy malowało się wielkie skupienie. On także ponad ramieniem klerka lustrował wzrokiem portrecik. W głębi duszy rozkoszował się tą chwilą, tym poczuciem partnerstwa w rozumieniu sztuki. Zapamiętaj to sobie, Brianie Tuke'u, myślał z triumfem. W sprawach wymagających prawdziwego mózgu wielki kanclerz konferuje ze mną.

Wolsey odłożył szkatułkę i wziął do ręki rozszyfrowany list.

- Grzecznościowe formułki i niewiele więcej - mruknął. - „W załączeniu przesyłam wizerunek księżniczki Marii Tudor, młodszej siostry angielskiego króla, o który prosiłaś, pani. Wierność tego portretu zaręczam własnym honorem. Oddaje on w każdym szczególe zarówno rysy księżniczki, jak i jej naturę”... Widać de Longueville prowadzi z tym babskiem stałą korespondencję - rzucił cierpkim tonem biskup. - Nędznik! Trzeba teraz pomyśleć, jak z tego wszystkiego wyciągnąć dla nas korzyści - niecierpliwie zabębnił palcem po poręczu wielkiego fotela.

- Francuz ma rację, że widać tu jej charakter. Ten artysta prawdziwie potrafi odmalować każdą myśl - odezwał się Ashton. Nieźle znał się na malarstwie i szczerze podziwiał ów rzadki zaiste talent nieznanego mistrza.

- A jakież to widzisz tu myśli? - zniecierpliwiony zapytał go Wolsey. - Co według ciebie wyczyta z portretu ta Francuzica? Mów, ale uczciwie.

Z wigorem i goryczą zakochanego, który doznał zawodu i fakt ten ma świeżo w pamięci, Ashton odpowiedział bez wahania:

- Zobaczy płochą dziewczynę, której wszystkie myśli obracają się wokół miłości, strojów i klejnotów. Dziewczynę porywczą, niecierpliwą, której brak uporczywości i stałości koniecznych do przeprowadzenia ambitniejszych planów. Jednym słowem, osobę, którą łatwo można powodować...

- *Ergo*, która z nią samą równać się nie może - uzupełnił Wolsey. - Zastanówmy się zatem, czy nie lepiej, żeby Ludwika Sabaudzka dowiedziała się o tym... Może to ją powstrzyma od intryg przeciwko temu małżeństwu. Dobrze, prześlemy jej portret, ale powolnym kurierem... Otrzyma go w chwili, gdy będziemy kończyć negocjacje. Wówczas pozostanie nam już tylko modlić się o to, by stary król zdolny był spłodzić syna z młodą oblubienicą. By książę z krwi Tudorów został następcą francuskiego tronu.

- A jeśli król umrze, nim dziecko dojdzie do pełnoletności?

- Musimy już teraz ułożyć plany, dzięki którym królowa obejmie regencję, w przeciwnym razie...

- ...w przeciwnym razie regentem zostanie Franciszek d'Angouleme, a Ludwika Sabaudzka matką regenta. Matką, której największą ambicją jest posadzenie syna na tronie.

- Prawidłowo rozumiesz, Ashton. Malutkim dzieciom zdarzają się przecież wypadki. Otwarte okno, chora mamka... A madame Ludwika nie cofnie się przed niczym, by swego Franciszka uczynić królem. Musimy więc zawsze wyprzedzać ją o trzy kroki.

*My*. Słowo to cudownym dźwiękiem zabrzmiało w uchu Ashtona. *My!* Nie spuszczać oczu z twarzy swego protektora, próbował przeniknąć owe plany, które rodziły

się już pewnie w genialnym umyśle lorda kanclerza. Wolsey rzeczywiście kalkulował. Zaufanie księżniczki już zdobył, nie miał więc wątpliwości, że i jako królowa będzie ulegać jego wpływowi. Tylko ta odległość! Z zalem pokręcił głową: gdyby nie była tak młoda, gdyby choć trochę potrafiła się rozeznać w tej jakże skomplikowanej mozaice sił, które będą ją zwalczać... jawnie lub podstępem. Gdybyż to była Małgorzata! Zamknął kasetkę z portretem.

- Oddaję ją z wielką niechęcią - oznajmił - pocieszam się jednak myślą, że wkrótce nie tylko poznam nieznanego mistrza, lecz będę go miał w swojej służbie.

Klerk na powrót umieścił pieczęcie na liście. Wolsey westchnął, widząc, jak wprawnie młody duchowny obszywa kasetkę jedwabiem; po chwili przesyłka wyglądała tak, jakby wcale nie była otwierana. Pieczęcie także sprawiały wrażenie nie naruszonych.

- Panie Ashton, znajdź mi tego malarza i sprowadź do Brideswell. Przyda mi się człowiek, który zwykłym pędzlem potrafi oddać ludzką duszę. Zobaczysz, jaki z tego zrobię użytek. - Odprawiwszy urzędnika, Wolsey pogrążył się w rozmyślaniach nad zdradą de Longueville'a. Trzeba będzie rozprawić się z tym Francuzem, w taki wszakże sposób, aby go nie stracić, ale jeszcze mocniej przyciągnąć mu cugle.

Przy ulicy de la Harpe, nieopodal Hotel de Cluny, na lewym brzegu rzeki dzielącej wielkie miasto Paryż, stoi miły dla oka stary kamienny budynek z wieżyczkami krytymi łupkiem i wąskimi, wysokimi oknami. W oknach tych prawie zawsze widać niebieskie żaluzje. Na tyłach mieści się kuchnia z mnóstwem wielkich otwartych palenisk i kamiennych pieców, w otoczonym murem ogrodzie bujnie pienią się dzikie zioła. Właściciel posesji, niejaki maitre Bellier, jest doktorem teologii, który często podróżuje w interesach. Tego dnia akurat nie ma go w domu, sąsiedzi widzą jednakowoż, że po południu do rezydencji zaczynają schodzić się goście. Ostatni, wysoki zamaskowany mężczyzna o władczej postawie, jest najwyraźniej spóźniony. Przemierza korytarz pewnym krokiem, jakby on był tu właścicielem, schodzi po wąskich schodach i w umówiony sposób stuka w drzwi lochu. Otwiera mu człowiek ze świecą w ręku. Za beczkami z winem kryje się wejście do tunelu, w którym ciemne oślizłe ściany z osmalonych cegieł wydzielają przykry fetor zastalej wody. Obaj mężczyźni pewnie zanurzają się w ciemność, idą opadającym w dół korytarzem, który doprowadza ich wreszcie do dużej podziemnej komnaty rozjaśnionej światłem licznych pochodni. Jest tu posadzka z gładkiego marmuru, a pośrodku prostokątny zbiornik czarnej wody, w której pomarańczowym blaskiem odbijają się światła pochodni. U końca owej sadzawki przy wielkim dębowym stole siedzą czarno ubrani mężczyźni. U szczytu widać puste krzesło podobne do tronu. Te ociekające wilgocią zrujnowane lochy są miejscem

spotkań tajnego stowarzyszenia, którego początki toną w mroku dziejów. Zakon Syjonu, macierzysta organizacja rycerzy świątyni, templariuszy, z sobie tylko wiadomych przyczyn chce usunąć z tronu panującą we Francji dynastię: ród Walezjuszy.

- Bracia, oto nasz Sternik - anonsuje człowiek ze świecą. Mężczyźni o surowych twarzach podnoszą się z miejsc, nowo przybyły zrzuca maskę. Ma ciemne płonące oczy, wąską przerasowaną twarz z zastygłym grymasem zapiekłych uraz, pretensji czy może niechęci. Spod rozchyłonego płaszcza błyskają złociste hafty. Widać, że to ktoś bogaty i bardzo potężny. Na dany znak rycerze Syjonu siadają.

- Bracia - zaczyna Sternik - mamy przed sobą dwie ważne sprawy. Oto pierwsza: francuski monarcha dokonał wyboru oblubienicy. Tym samym oddała nam się spełnienie proroctwa.

- Czyżby nie wybiła jeszcze godzina? - odzywa się pomieszany gwar głosów. - Wszak przepowiedziały to gwiazdy.

- Ludwik XII ma nadzieję przedłużyć ród Walezjuszy. Jak wiecie, nie posiada obecnie potomka w linii prostej. Jedynie Franciszek d'Angouleme dzieli nas jeszcze od Wielkiego Celu...

- Przywrócenia na tron Prawdziwej Krwi!

- Król jest stary, oblubienica młoda. Jeśli urodzi zdrowych synów, zostanie regentką, a jej dzieci sprawią, że korona oddali się od nas na długie lata.

- Trzeba ją nastawić przeciwko Franciszkowi i tej harpii, Ludwice Sabaudzkiej. Powstaną dwa zwalczające się obozy, które się nawzajem wyniszczą.

- Ostrożnie, bracia, pomału, musimy ułożyć plany. Oblubienica, jak mówią, jest młoda i głupia. To pionek owego biskupa, co rządzi Anglią, Thomasa Wolseya. Pragnie on osadzić na tronie Francji dziecko z krwi Tudorów. Chce tego równie mocno, jak my nie chcemy tam widzieć żadnego z Walezjuszy. Trudno mu będzie wszakże działać na odległość. I to jest ten słaby punkt jego planu...

- Wolseya można usunąć...

- Nie takie to łatwe. Jest dobrze strzeżony, a do kosztowania wszystkiego, co je, ma specjalnego człowieka.

- Bardziej niebezpieczna jest sprawa druga - przerywa tę dyskusję Sternik. - Maitre Bellier donosi nam o tym z Londynu. Jeden z agentów Wolseya nabył niedawno do jego kolekcji kilka starożytnych monet. Są to monety Merowingów z podobizną króla Dagoberta...

- Prawdziwa Krew!

- Londyński Skarbiec!

- W rzeczy samej. Ktoś go odnalazł. Jeśli agent biskupa w poszukiwaniu dalszych starożytności natknie się na manuskrypt, który ukryty był przecież razem z monetami, nasza tajemnica wpadnie w ręce Kościoła i... Walezjuszy. - Twarze obecnych stężały ze zgrozy.

- Trzeba go odzyskać.

- Tak. Wysłałem już instrukcje bratu Bellierowi. Za wszelką cenę trzeba odzyskać manuskrypt.

- Ludwika Sabaudzka? - wybełkotał zdenerwowany de Longueville. - Ależ tak, utrzymuję prywatną korespondencję z wieloma możliwymi domami we Francji. Czyżby nie było mi wolno kontaktować się z przyjaciółmi?

- W samym środku sekretnych i tak delikatnych negocjacji? Milordzie de Longueville, od powodzenia tej sprawy zawisała wszak twoja przyszłość, podobnie zresztą jak moja.

- Ośmielam się zatem przypomnieć, wasza miłość, że sytuacja wymaga, aby w miarę możliwości ułagodzić madame Ludwikę i jej syna. Wszak przez małżeństwo króla wymyka im się korona. Księżniczka mieć będzie na dworze wielu potężnych wrogów. Lepiej zawczasu nawiązać z nimi stosunki...

- Nedorzecznosc. Ludwik XII ma wprawdzie pięćdziesiąt dwa lata, ale wciąż jeszcze jest krzepki. Nie myślę, by zaraz miał umrzeć. A gdy to już nastąpi, księżniczka zostanie królową matką, sama więc będzie najlepszą rzeczniką naszych interesów.

- Powiem waszej miłości, co słyszałem. Od śmierci starej królowej Ludwik jest chory z żalu. Płakał nad jej grobem, przysięgając, że połączy się z nią, nim rok minie.

- Czysta melodrama. Młoda kobieta przywróci mu chęć do życia.

- Albo go zabije, milordzie, w którym to przypadku potrzebni ci będą inni sprzymierzeńcy we Francji, a zwłaszcza na dworze.

- Milordzie de Longueville, dobierasz argumenty, jak ci wygodniej! - Wolsey przekonywająco zasymulował wybuch złości, po czym zamilkł, kiwając głową, jakby chrześcijańskie sumienie pokonało w nim niższe instynkty. Przeciągnął ręką po czole, dając do zrozumienia, ile kosztowała go ta walka, i podjął łagodniejszym tonem: - Masz jednak przed sobą człowieka, który łatwo wybacza, zwłaszcza że jestem ci wielce zobowiązany za twe dotychczasowe zasługi dla sprawy. Wiedz, że gdy to małżeństwo dojdzie do skutku, zostaniesz sownie wynagrodzony. Zachowajmy wszakże dyskrecję, to rzecz zasadnicza. Niech nawet przypadkiem nie wymknie ci się jakieś niebaczne słówko. - Wolsey po to tak udatnie zagrał tę scenę, aby zastraszyć Francuza i zarazem utwierdzić w złudnym przekonaniu, że on, diuk de Longueville, trzyma niejako w ręku osobiste losy swego

wielkiego wspólnika. Ha, niech się tym ludzi. To, co naprawdę myślał Wolsey, było nie do zgłębienia. Kryło się za ponuro opuszczoną powieką, szarpaną nerwowym tikiem, za nic nie wyrażającą płaszczyną pobrużdżonych ust.

- Lecz ja teraz mam wielkie wydatki! - wybuchnął Francuz.

- Tak, tak, stroje, maseczki, światowe przyjemności - westchnął współczująco kanclerz. - Słyszałem, książę, żeś zrobił furorę na balu w Richmond. A tu jeszcze - dodał chytrze - te trzy funty za miniaturę. Niebagatelna to kwota. Czyżbyś nie znalazł nikogo, kto by ci ją zrobił za niższą sumę? Drogi młodzieńcze - rzucił żartobliwie, widząc zaskoczenie swego rozmówcy - przede mną nic się nie ukryje. Powiedz mi, czy to prawda, że twórcą owego portretu był duch?

De Longueville, zadowolony ze zmiany tematu, co szybciej rozpoczął opowieść, która przez cały ubiegły tydzień czyniła go królem wieczornych przyjęć. A Wolsey, udając niezwykle zaskoczenie, nie mógł się wprost nadziwić naiwnej łatwowierności trzeźwego skądinąd Francuza.

Trudno o zapał do pracy, kiedy siedzi się przed podobizną starej damy z okiem bazyliuszka i myśli, jak by tu ją upiększyć, nie łżąc przy tym bezwstydnie, lecz popelniając jedynie drobne oszustwo, zgodne w dodatku z jej własnym wyobrażeniem o sobie. Nasze gołe pokoje wyglądały żałośnie, ale i tak lepiej mi było tutaj, niż znaleźć się na ulicy lub szorować podłogi gdzieś w przytułku dla biednych czy u jakichś skwaszonych świętoszków, co z pewnością byłoby najgorsze. Muszę tu powiedzieć, że zawsze gdy skrycie marzyłam o pędzlu i farbach, miałam wtedy na myśli rzeczy bardzo wzniosłe. Pragnęłam malować sceny z życia Chrystusa i Przenajświętszej Dziewicy, by wszyscy widzieli, że jestem osobą zącą i szlachetną. Teraz jednak pilnie potrzebowałam łóżka w miejsce tego, które nam zabrano, a dama bazyliuszek była żoną burmistrza i miała dużo pieniędzy. Żeby przedstawić sobie taką starą otyłą damę jako młódkę, trzeba sporo imaginacji. Na szczęście miałam jej tyle, że mi się udało.

Zaczęłam od zamalowania jej kilku podbródków miłym dla oka odcieniem przyszarzonego fioletu, na to zaś lśniącą farbą naniosłam nowy zarys szczęki, skopiowany z księżniczki, a więc bardzo ładny. Przesuwając płamę światła na jej końskim nosie, sprawiłam, że nie wydawał się już tak długi; bardziej nie chciałam go skracać, bo mogłaby to zauważyć. Całą twarz powlokłam jeszcze jedną warstwą laserunku, aby zredukować zmarszczki. Sama nie wiem, kiedy zaczęła mnie bawić ta praca: było to jakby stwarzanie zupełnie nowej osoby, a że stopniowo przestawałam się wstydzic tego, co robię, z każdą chwilą przybywało mi odwagi. Postanowiłam powiększyć drogie kamienie i nadać im blask, sukni zaś wyraźniejszy połysk. Dallet nie umiał porządnie malować klejnotów, a jedna jego suknia różniła się od drugiej chyba tylko kolorem materiału. Dziwna rzecz, cały czas miałam uczucie, że stoją za mną jacyś niewidzialni obserwatorzy, lecz ich obecność nie była mi wcale przykra, przeciwnie, dodawała bodźca.

Z prawdziwą uciechą machałam pędzlem. Rękawy zakasane miałam do łokcia jak służąca, całą spódnicę zachlapaną farbą, ale co tam, nie będzie to już moja najlepsza spódnica! Swędział mnie nos, potarłam go więc wierzchem dłoni, żeby i jego nie umazać, po czym odchyliłam się nieco, chcąc przyjrzeć się swemu dziełu. Tak, było bardzo dobre! Z portretu Dalleta zostawiłam właściwie tylko oczy, żeby dama mogła się rozpoznać, resztę przemalowałam. Tymczasem zrobiło się szaro: zeszywniałam od długiego siedzenia na malutkim niewygodnym stołku, odstawiłam więc portret do wyschnięcia i przeciągnąwszy zdrętwiałe członki, z lekkim sercem podeszłam do okna. Usłyszałam nagle jakiś szelest i



odwróciwszy głowę, zobaczyłam rzecz nie do pojęcia: w ścianie zniknęła właśnie różowa dziecięca stopa! Niemożliwe, powiedziałam sobie, to jakaś złudna gra resztek dziennego światła.

Nan poszła na pogawędkę do wdowy, mogłam więc bujać myślami do woli. Na dworze była już wiosna; wraz z kwiatami i świergotem ptaków przyniosła jak zwykle brzydkie zapachy, gdyż nagrzane rynsztoki zaczynają cuchnąć, co tylko dowodzi, że wszystko ma swoje dobre i złe strony. Zmierzch coraz szybciej zmywał z nieba ostatnie promyki złota, z piwiarni naprzeciwko dobiegał śpiew i piskliwe kobiece śmiechy. Trzech mężczyzn prowadziło czwartego, który musiał tego mieć w czubie, że jednak pijani byli wszyscy, nie bardzo im to wychodziło.

- Hej, patrzcie na tę kobietę w oknie! Nos ma niebieski, hi, hi!

- Zamknij się, durniu! Opiłeś się i tyle. No i widzisz, coś narobił? Upuściłeś go do rynsztoka.

- A ja ci mówię, że niebieski.

Cofnęłam głowę i pognałam przejrzeć się w lusterku. Przez środek nosa biegło mi pasmo błękitu. Na chwilę ogarnęło mnie przerażenie: Dallet! Zobacz, powie, że jestem brzydka, zbije za używanie jego rzeczy. A potem przypomniałam sobie: nie, już nie może. Zaczęłam się śmiać. Wolno mi robić, co mi się podoba, nawet paradować z niebieskim nosem. Jednakże po chwili umyłam go terpentyną, bo do jutra farba bardziej by zaschła, a kto wie, czy nie trzeba będzie wybrać się rano na targ? Znowu usiadłam i zaczęłam myśleć o złych i dobrych stronach każdej rzeczy. Czy dobro i zło nie jest w istocie tym samym? Weźmy chociażby mój przykład: źle jest być biedną i nie mieć mebli, lecz jeśli dzięki temu zyskuje się przyjaciół i lepsze widoki na przyszłość, to przecież bardzo dobrze! Teraz kiedy mistrz Dallet nie mógł już zadzierać nosa przed wdową i szydzić z obrazów jej męża, zostałyśmy przyjaciółkami.

- Kolacja na stole! - zawołała z dołu Nan. Prowadziłyśmy obecnie wspólne gospodarstwo i wszystkie jadałyśmy w kuchni. Dzięki połączonym funduszom stać nas było na lepsze jedzenie.

- O, ależ zioniesz terpentyną! Cóż ty masz na twarzy? - zaczęła narzekać Nan, lecz ona przecież tak zawsze. Wszystko ją martwi.

- Myślałam, że zmyłam całą farbę... O, a co to takiego? Kurczak? Ho, ho, ale jesteśmy bogate!

- Musisz mieć siły do pracy, wiem coś o tym. Mistrz Hull, jak go naszło natchnienie, wymagał dobrego jadła. A ty w dodatku musisz przyjść do siebie po tym, co cię spotkało. -

Pani Hull, wspominając o rzeczach przykrych, starała się zawsze mówić ogródkami. A nuż zamiast malować, oddam się czarnym myślom? - Jakże ci idzie z tą staruchą? Po kolacji pokażę ci te obrazy z Adamem i Ewą. Być może wybierzesz sobie któryś jako wzór do naśladowania. Bruk na dziedzińcu „Głowy Saracena”, dwupiętrowej budowli z pruskiego muru, lśnił kropelkami siąpiącego deszczu. Po zdradziecko śliskich kamieniach ostrożnie człapał ponury mężczyzna aż po oczy okutany płaszczem, zmierzając ku wejściu do wielkiej ogólnej sali. Humor Briana Tuke’a miał tę samą ołowianoszarą barwę, co ledwo widoczny znad wysokiej karczmy niewielki kawałek nieba. Z nisko opuszczoną głową i posępną miną Tuke przepchnął się aż do kąta, skąd melancholijnie jął śledzić tłum rozbawionych gości, których hałaśliwa wesołość tak rażąco kontrastowała z jego własnym ciężkim przygnębieniem. Nawet piwo nie miało smaku. Wychylał jedno po drugim i ciągle nie mógł się upić.

- Hej, bracie, a co ci się stało, że taką długą masz gębę? Opuściła cię twoja ślicznotka?

- Siedzący tuż obok starszy mężczyzna miał ochotę na pogawędkę.

- Gorzej - odparł Tuke ze wzrokiem utkwionym w puchar. - Może ty wiesz, co robić, gdy jakiś niecnota dybie na twoje miejsce?

- O, a jest on od ciebie znaczniejszy?

- A skądże! Wielkie nic, ale umie wkraść się w cudze łaski. Sprytny jest, pojmujesz? Sprytny, do tego przystojny i potrafi się przypocholebić. Padalec! Wszystko zrobi, aby tylko zabawić kogo trzeba. Sztuka! Imaginujesz sobie? On rozprawia o sztuce! Jak który malarz ciągnie pędzlem, o pigmentach, o mistrzu takim i siakim, o tym, że któremuś akurat się zmarło, a więc jego dzieła pójdą w cenę. Jałowa gadanina! Cóż, kiedy mój pan to łyka. Słucha go, rozumiesz, słucha! Ani się obejrzę, jak ten łotr zajmie moje miejsce... Do licha! Mój Boże, a tak się starałem! Gdy mój pan nabrał smaku na poezję, uczyłem się wierszy, kiedy przyszła kolej na muzykę, nie było większego ode mnie znawcy. Uczyłem się wszystkiego, co mu się podobało, aby tylko zachować jego względy. Ciekawe, co będzie dalej. Sztuka oprawiania książek? A może hodowanie psów? Moja mistrz wynajduje sobie coraz to nowe rozrywki, a mnie już łeb od tego pęka!

- Zrób tak, żeby twój rywal wyszedł na durnia. Podstaw mu nogę.

- Łatwo ci mówić. Nie takie to proste. - Tuke’owi język zaczynał się plątać. Zerknął chyłkiem na swego rozmówcę i powiedział chytrze: - Ale ja go zażyję... Słyszałem o kimś, kto włada nadzwyczajną mocą...

- Mocą? - powtórzył z nagłym niepokojem stary.

- Zgodzę się na wszystko, byle usunął mi z drogi tego bezczelnego łotra. Nie, nie chcę,

żeby go ukatrupił. Nie mógłby wtedy oglądać mojego triumfu, pojmujesz? Wystarczy jakieś przekleństwo...

- Tak, tak, masz rację - powiedział przygodny kompan, żywo podnosząc się z ławy.

- Co ci tak spieszo? - spytał Tuke, pólżąc prawie na stole i pod nader osobliwym kątem zerkając w górę. - Może byś chciał go poznać? Ma tu przyjść. Może to ktoś, kogo mógłbyś popro...

- Ani mi to w głowie! Nie chcę zawierać znajomości z żadną piekielną potęgą - mruknął stary, co szybciej zmierzając ku drzwiom. I nagle jęknął ze zgrozy, gdyż o włos tylko uniknął zderzenia z panem Septimusem Crouchem, który wszedł właśnie do karczmy i wodząc wzrokiem po sali, zdawał się kogoś szukać.

- Zejdz mi z drogi, waszmość - syknął z najgłębszą pogardą.

Staremu mignęły zimne zielone oczy, twarz poorana rozpustą i dwa kosmyki siwizny dziwacznie sterczące nad czołem. Do złudzenia przypominały rogi.

- Jest tam - powiedział, wskazując palcem, i uciekł.

Gdyby ktoś przypadkiem pomyślał, że jestem próżna i za bardzo lubię się chełpić, to mu powiem, że może i byłam, dopóki Adam i Ewa nie zaczęli mnie uczyć pokory. Po tej niemiłosiernie ciężkiej próbie skłonna już byłam przyznać, że szorowanie podłóg, nawet w jakimś przytułku, nie jest może najgorszym z zajęć. Adamowie i Ewy mistrza Hulla byli tak samo zieloni i brzydzy jak jego święci, z tą różnicą, że święci mieli ubrania, a oni świecili golizną, jak w dniu gdy ich Pan Bóg stworzył, i tak hasali po Raju. Towarzyszył im wielki wąż z paskudną gębą starego diabła. I to są obrazy religijne?, pomyślałam. Chyba że to nie chrześcijaństwo, ale jakaś inna religia, o której nie mam pojęcia. Zanim je zobaczyłam, wyobrażałam sobie, że kopiowanie pójdzie mi jak z płatka i szybko zarobię dużo pieniędzy. Planowałam sobie, że będzie to zajęcie chwilowe. Potem ludzie zrozumieją, że stać mnie na rzeczy lepsze, że prawdziwym moim powołaniem są te natchnione obrazy, których jeszcze nie namalowałam.

Już pierwsze spojrzenie na płótna nieboszczyka Hulla pokazało mi, że wpadłam w straszne tarapaty. Oj, nie trzeba się było tak puszyć. Dobrze jeszcze, że tylko przed sobą. Widzicie, łaskawi czytelnicy, mistrz Hull nie znał dobrze ludzkiej anatomii i jego postacie najbardziej chyba przypominały insekty. Czegoś takiego nie mogłam przyjąć za wzór, a sama też nie umiałam rysować ludzkiego ciała. Twarze tak, to potrafię bardzo dobrze, bo uczyłam się tego latami; ojciec przekazał mi wiele drobnych a pożytecznych sztuczek: co robić, by spod skóry widać było kości, jak malować oczy, żeby wydawały się wilgotne. Znam sposoby

malowania klejnotów i aksamitu (to także był jego sekret), ale ciało?

Wychowywano mnie jak damę. Uczono francuskiego, włoskiego i muzyki, lecz rysowanie nagiego ciała było rzeczą nieprzyzwoitą, która w żadnym razie nie przystoi damie. Do tego potrzebny byłby zresztą żywy model, a czy młodej dziewczynie wolno oglądać nagich ludzi? No i miałam teraz kłopot co się zowie! Nagie postacie! Jak mam je namalować, żeby podniecały chutliwych mnichów, nie zaś pobudzały ich do śmiechu? Z początku zachciało mi się płakać, potem jednak, poprosiwszy wpierw Boga o wybaczenie, powiedziałam sobie, że i z takim malowidłem potrafię się przecież uporać. Muszę tylko znaleźć jakiś sposób. Zamknąwszy się w pracowni, zaczęłam myśleć. Myślałam o wdowie Hull, mojej nowej przyjaciółce. Powinna mieć tę kielbasę, którą tak lubi. Ludzie nie kupują jej robótek, a nikt wszak nie wyżyje ze sprzedaży szpilek.

Spróbowałam zrazu skopiować najlepszy obraz nieboszczyka, cóż, kiedy Adam wyszedł mi jak melon na pajęczych nogach, bo nie bardzo wiedziałam, gdzie i w jaki właściwie sposób łączą się one z tułowiem. Ewa wyglądała trochę lepiej, choć też mi się nie podobała. Im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej jej piersi wydawały mi się nie tam, gdzie trzeba. Starłam nieudane miejsca i zaczęłam wszystko od początku. Wkrótce już cały rysunek zamienił się w ogromną czarną plamę. Podobnie wyglądały moje ręce i twarz z wyjątkiem białych ścieżynek na policzkach, którymi spływały łzy. Poczułam duszności, wytknęłam więc głowę przez okno, by odetchnąć świeżym powietrzem. Zobaczył mnie jakiś pijak leżący w rynsztoku przed „Kozłem i Dzbanem” i wrzasnął na całe gardło:

- Hej, ślicznotko, co ty tam robisz? Czyścisz kominy? Chętnie przeczyszczę ci twój!

Tak mnie rozzłościł, że chwyciłam nocnik i rozmachem opróżniłam go za okno, niestety, nie trafiłam w tego zuchwalca. Nadal leżał i ryczał ze śmiechu, suchutki, jeśli nie liczyć tej części, którą moczył w rynsztoku. Ach, ten „Kozioł i Dzban”! Żeby wreszcie ktoś zamknął to gniazdo rozpusty! W dodatku piwo mieli tam podłe: po coś lepszego i tak trzeba było chodzić aż do „Jednorożca”.

Na widok tego rozciągniętego w rynsztoku pijaka przyszło mi na myśl, że gdyby chociaż był goły, odniosłabym z tego pożytek: zobaczyłabym, jakie właściwie proporcje ma człowiek. Tak, moim postaciom brakowało proporcji. Na gwałt potrzebowałam żywych modeli, ale jak je zdobyć? Pomodlić się o nie do Świętej Dziewicy? Hm, taką prośbą wprawiłabym Ją pewnie w zażenowanie. W dodatku osobie tak nieziemskiej i subtelnej już samo malarstwo mogłoby nie przypaść do gustu. Tyle przy tym nieporządku i ostrych zapachów. Są ludzie, którzy ich nie znoszą, ale ja uwielbiam woń farb. Chyba nie ma na świecie drugiej takiej rzeczy, która by mi sprawiała podobną przyjemność.

Rozmyślając nad przyczynami, dla których tak lubię malować, a nie cierpię szorowania podłóg, doznałam nagle olśnienia: przecież mam żywą modelkę, i to tu, w tym pokoju! Nie żebym miała idealne ciało, lecz czy Ewa była doskonała? Też nie. Zamknawszy okiennice, zastawiłam drzwi stołkiem, a potem zdjęłam z siebie wszystko i stanęłam pod ścianą, przylegając do niej całym ciałem. Wzięłam węgiel i wprost na murze zaznaczyłam swoje proporcje, co w pewnych miejscach było dosyć trudne i kosztowało mnie sporo wysiłku. Połączyłam następnie znaki i tak powstał kontur sylwetki. Muszę się tu pochwalić, że wyszedł mi bardzo dobrze. Teraz wystarczyło już tylko patrząc w lusterko ponanosić wszystkie szczegóły. Kiedy narysowałam obie strony - przednią i tylną - przekonałam się ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że nogi wcale nie kończą się tam, gdzie myślałam. No, ale pozostała mi jeszcze druga połowa kłopotu: mężczyzna. Różni się on bowiem od kobiety, a mnie brakowało wzoru. Z mistrza Dalleta nie miałam pod tym względem wielkiego pożytku nawet kiedy żył, a teraz był martwy.

Tak pograżyłam się w myślach, że wciąż stałam nago. Wielka to nieprzyzwoitość, ale kiedy już myślę, to bardzo usilnie. Adam. A może by jakoś ominąć ten kłopot? Już wiem. Te części ciała, których nie potrafię narysować, zasłonię pniami albo liśćmi. Wszak mnichów w gruncie rzeczy interesuje tylko Ewa. Zaraz potem przyszedł mi dobry pomysł na cały obraz, który zatytułowałam później „Adam i Ewa kąpiący się w Raju”; ja, sprzedałam go jako pierwszy. Nasz praojciec stoi po pas w wodzie, tak że widać tylko jego plecy, i patrzy na Ewę, która leżąc na wysokiej skale, wyżyma swoje długie włosy i robi cielejące oczy niby to do niego, a naprawdę do widza. Z gałęzi zwisa wielki cętkowany wąż o lubieżnej twarzy. We wszystkich moich rajszych obrazach wąż ten miał odegrać bardzo ważną rolę. Jak tylko zaświtał mi ów pomysł, ogarnęło mnie szalone podniecenie; usiadłam i za jednym zamachem zrobiłam cały prawie surowy szkic. Pewnie nawet bym go ukończyła, gdyby Nan nie zaczęła walić w drzwi.

- Zuzanno, co ty tam robisz, na miłość boską?

- Rysuję Ewę! - odkrzyknęłam, lecz uprzytomniwszy sobie, że jestem naga, musiałam przestać.

- Czemu, u licha, zastawiłaś drzwi? - podejrzliwie spytała Nan, kiedy w końcu jej otworzyłam. Musiałam wyglądać dziwacznie, bo zasnurowana byłam krzywo, a twarz miałam czarną od węgla. - Och, wyglądasz, jakby ktoś wyczyścił tobą komin!

- Trudno - odrzekłam. - Adam i Ewa to robota gorsza, niż myślałam. I wiesz, oni są okropnie nieprzyzwoici.

- I dlatego zabarykadowałaś drzwi? Żeby nikt nie zobaczył, jak ich rysujesz?

Komiczna z ciebie dziewczyna. I kto by pomyślał, że to ja cię wychowałam - westchnęła.

- Nan, czy ty wiesz, że stopa jest tej samej długości co ręka od dłoni do łokcia? -  
Wciąż jeszcze krążyłam myślą wokół mych dzisiejszych nadzwyczajnych odkryć.

- Tak właśnie sobie myślałam.

Wizyta u żony burmistrza nie obyła się bez kłopotu, jakkolwiek z początku rzecz wydawała się prosta. Najpierw jednak trzeba mi było uszyć porządną żałobną suknię z owej darowanej wełny, żeby służba lorda majora nie uznała mnie za żebraczkę. Zaczęło się od tego, żeśmy wszystkie nie spały pół nocy, krojąc i fastrygując. Zaprojektowałam sobie parę eleganckich szczegółów, takich jak zaszewki na plecach przechodzące w fałdy na spódnicy i zmyślne wycięcia w rękawach. Dzięki owym drobiazgom zwykła żałobna suknia nabierała wcale niepospolitego szyku. Wydawały się one na oko bardzo proste; na oko, lecz nie w szyciu. Największą robotę musiała wykonać Cat, czyli Catherine Hull, dziewczyna bez posagu i perspektyw i z tego powodu wciąż wściekła. Urządziła straszną awanturę z krzykami i płaczem. Niby dlaczego ma mi pomagać?, wrzeszczała. To ja dostaję nową suknię, to dla mnie jest wszystko, a teraz kiedy pacykuję te głupie malowidła, nie muszę już nawet nic robić w kuchni, gdzie tu sprawiedliwość? Jej matka odrzekła, że trzeba pomagać zrozpaczonej wdowie, na co Cat krzyknęła, że to także jest niesprawiedliwość, bo ja byłam przynajmniej zamężna, a ona nigdy nie będzie. W tym miejscu wtrąciłam się, mówiąc, że bardzo bym jej życzyła dostać za małżonka takiego węża jak Dallet. Nan kazała nam się uciszyć, a potem nie spałyśmy pół nocy, szyjąc i płacząc nad swoim losem. Ciężkie jest życie kobiet bez pieniędzy, jeśli nawet ma się widoki na przyszłość.

Z całego tego ambarasu wynikły dwie rzeczy, a mianowicie, że wykończenie sukni zajęło nam kilka dni i że Cat poszła ze mną, uparła się bowiem zwiedzić rezydencję lorda majora. Matka przykazała jej, co ma mówić, żeby jakimś niebacznym słówkiem nie popsuła nam interesu. To ona miała nieść portret, ponieważ zrozpaczonej wdowie brak na to siły, tak przynajmniej uważała pani Hull, choć wcale nie był ciężki i sama bez trudu dałabym sobie radę. Był to zwykły obraz tablicowy, czyli malowany na desce, dopasowany formatem do wcześniej już wykonanego portretu burmistrza, który był z niego zresztą ogromnie kontent. Drzwi otworzył nam lokaj wystrojony w piękną liberię i poprowadził do holu, gdzieśmy omal nie przyrosły do twardej ławy, tak długo kazano nam czekać. Nareszcie zjawiała się pani domu z dwiema damami do towarzystwa. Była to duża i strasznie wyniosła osoba; podbródków miała tyle, ile namalował jej Dallet, a spojrzenie bodaj jeszcze sroższe. Uraczyłam ją rzewną opowieścią, jak to mój zmarły małżonek w ostatnich dniach swego żywota nade wszystko

chciał zadośćuczynić jej życzeniom co do portretu. Skończywszy, odwinęłam obraz. Dama zalała się łzami.

- Ach, jak prawdziwie oddał mą duszę - westchnęła, ocierając wilgoć z policzków, tak by się wydawało, że wcale nie płacze. - Widzę, że źle osądziłam mistrza. Myślałam, że to człowiek twardy i cyniczny. Teraz rozumiem, że było inaczej. Dążył, biedak, do doskonałości. O, droga pani, jakąż boleść musi ci sprawiać ta strata!

Tak więc ja również otarłam oczy, mówiąc, iż ból to nieznośny. Dobrze chociaż, że drogi nieboszczyk pozostawił po sobie takie piękne dzieła, to dla mnie wielka pociecha. Wypowiadając te słowa, naprawdę poczułam smutek z powodu myśli, które właśnie przyszły mi do głowy o tym, że można by zbić fortunę, upiększając bogate a brzydkie damy, których na świecie jest dużo więcej niż ładnych. Było mi smutno i dlatego że jest ich tyle, i dlatego że im współczułam. Czy to ich wina, że wyglądają tak pospolicie? Każda kobieta chociaż raz w życiu powinna poczuć się piękna, może więc pochlebny portret nie jest znowu aż takim grzechem? Widząc się piękniejszą i bardziej uduchowioną, brzydka kobieta może wszak nawet złagodzić swą naturę i obyczaje, a jeśli tak, to malarz nie byłby zwyczajnym kłamcą, lecz kimś, kto swoim dziełem czyni ten świat trochę lepszym.

Wyszliśmy bogatsze o śliczną małą sakiewkę. Cat nagle wyrosły skrzydła, bo ów lokaj, młody i całkiem przystojny, robił do niej słodkie oczy, a odprowadzając do drzwi, ukradkiem uściśnął jej rękę. Mnie chciało się tańczyć z radości, że się tak dobrze spisałam. Kiedy wróciliśmy do domu, Nan i wdowie także zachciało się tańczyć, chwyciliśmy się więc za ręce i zaczęły płasać. Pani Hull z zapalem zapowiadała kolejne pas i figury.

- Uf! - zawołała w końcu i usiadła, ocierając wilgotne czoło. - Dużo wody upłynęło od owych swawolnych czasów, kiedy lubiłam tak hasać. A stopę miałam niegdyś lekką! Ale wdowa to co innego. Wdowa musi się pilnować. W tym naszym zepsutym świecie nigdy dość ostrożności. Ale, ale, czy ci mówiłam, że gdyście wyszły, był tu niezwykle przystojny młodzian w liberii jakiegoś milorda? Ukrywał ją pod zwykłym czarnym płaszczem, ale ja mam oko! Szukał, jak mówił, czeladnika mistrza Dalleta.

- Jakiego czeladnika? Coś mu powiedziała?

- Prawdę. Że mistrz Dallet nie miał żadnych czeladników.

- I co on na to?

- Ano spojrzął na mnie jakoś dziwnie. Widzi, powiada, że nie chcę mu pomóc, ale on tak czy owak dogrzebie się prawdy.

- Nic dobrego widać nie zamyśla - wtrąciłam. - Może służy u kogoś, komu Dallet winien był pieniądze? Pewnie chcą je teraz odebrać.

- Tak też sobie pomyślałam. Miał wielki kapelusz nasunięty na oczy, jakby nie chciał pokazywać gęby, a kiedy myślał, że nie patrzę, bardzo pilnie oglądał płótna mego męża. Przewracał przy tym oczami, imaginujesz to sobie? Grubianin! Taki brak szacunku dla świętych obrazów! Ci dzisiejsi młodzieńcy to zatwardziali grzesznicy! A potem znowu spytał o czeladnika. Brzmiało mi to mocno podejrzanie, więc powiedziałam, że coś sobie teraz przypominam: pan Dallet dawno temu miał czeladnika, ale on wyjechał. Udał się do Antwerpii do jakiegoś mistrza, którego nazwiska nie pomnę.

- Czelnik, akurat! - zawołała Nan. - Ja tam nie wątpię, że to podstęp jakiegoś wierzyciela. Znają oni tych sztuczek bez liku.

- Przynajmniej nie był to nikt z gildii, i całe szczęście, bo dopiero miałybyśmy kłopot, a raczej półtora kłopotu. Pamiętajcie, moje drogie - ostrzegła nas pani Hull - że każdy obraz w tym sklepie namalowany został przez kogoś z nieżyjących już członków gildii.

- Jak to ładnie z ich strony, że zostawili nam tyle swych dzieł - wyrwało mi się.

- Prawdziwie mili z nich jegomości - roześmiała się wdowa. - Szczególnie że zapraszają nas dziś na kolację. Będziemy świętować.

- Mam nadzieję, że nie „Pod Kozłem i Dzbanem”?

- W takiej speluncie? Skądże. Idziemy do „Głowy Saracena”. Panowie nieboszczycy mają gest.

Zdaje się, że opowiadając o „Kąpiących się w Raju”, wspominałam jedynie o trudnościach z rysowaniem nagich ciał. Nie znaczy to wcale, że reszta poszła mi jak po maśle. O nie, wkrótce bowiem wyłonił się następny problem: jak powinien wyglądać rajski ogród? Ha, nikt tego nie wie. Pewne jest jedno: nie można namalować kawałka Anglii, bo Eden powinien być bardziej niezwykły i piękniejszy od wszystkiego, co znamy. Rzecz również w tym, że malowanie pejzaży zawsze mnie strasznie nudziło, a w Raju, niestety, muszą być piękne widoki. Niektórzy artyści, chcąc tego uniknąć, malują wielkie postacie Adama i Ewy; w moim przypadku nie wchodziło to jednak w rachubę - za słabo znałam anatomię. Gdybym potrafiła lepiej malować akty, nie musiałabym ich przykrywać tak wielką ilością pnączy i liści, a wiadomo, że nie mogą one pojawiać się znikąd, tylko dlatego że tak mi wygodniej. Muszą rosnać na drzewach czy krzakach, co prostą drogą prowadzi nas znów do pejzażu.

Wspominałam już wcześniej, że ojciec był strasznym tyranem, który w niczym nie zwykł mi pobbłażać. A już krajobrazów za nic w świecie by mi nie darował. Nie cierpię ich po dziś dzień, bo takie są nudne, lecz ojciec był innego zdania. Bez końca kazał mi kopiować jeden ze swoich pejzaży przywieziony z jakiegoś miejsca za granicą, bo jak mówił,



malowanie drzew uczy perspektywy i operowania barwą, a skały i góry wyrabiają rękę. Skały! Nie ma chyba na świecie rzeczy mniej zajmującej. Gdyby to ode mnie zależało, nikt by ich nie musiał malować. Ojciec jednak powtarzał, że kiedyś mu za to wszystko podziękuję, no i miał rację. Szkoda tylko, że już tego nie usłyszy... Krótko mówiąc, ten jego stary pejzaż był jak znalazł do mego obrazu, choćby dlatego że w niczym nie przypominał Anglii. Kiedy jeszcze przyozdobiłam go mnóstwem kwiecica, wyszedł z tego doskonały Eden. Musiałam wprowadzić zmienić parę elementów, ale to już były drobiazgi. U ojca na pierwszym planie widniała zieleń, za nią na szczycie dziwnie wysokiej, skalistej góry stał zamek. W Raju zamków nie było, tak więc w jego miejsce namalowałam padające zza chmury złociste światło, które miało wyobrażać Boga. W mniejszym lub większym stopniu wykorzystałam ten pejzaż we wszystkich rajskich obrazach. Był to taki mój skryty żarcik, trochę z klientów, w głównej mierze zaś z ojca, który ów obraz traktował niezwykle serio. Gdyby ludzie, mawiał, bardziej cenili krajobrazy, a mniej własne twarze, od razu by poznali, że to arcydzieło.

Miałam już gotowy pejzaż i właśnie nakładałam drugą warstwę laserunku, żeby ładnie przyróżować Ewę, kiedy przyszła wdowa na inspekcję.

- Oj, ależ ty pracujesz! No, popatrzmy.

Z całej Ewy najlepiej chyba wyszły mi włosy; długie i falujące, opadały ciemną kaskadą na ramiona i plecy. Postarałam się także nadać oczom bezwstydnie kusicielski wyraz, bo malując Ewę, wyobrażałam sobie to spojrzenie, którym madame Pickering przywabiła mego męża i w końcu przywiodła ku przedwczesnemu, acz zasłużonemu potępieniu. Nie wszystko w tym obrazie było idealne, lecz tych kilka drobnych usterek udało mi się chyba ukryć.

- Hmm! Ta Ewa to straszne ladaco! - wykrzyknęła pani Hull. - I pomyśleć, że coś takiego namalowała kobieta! A te kolana to co? Rozmyślnie zrobiłaś jej takie pulchne? Nie, nie rób takiej zmartwionej miny! Znam swoich klientów. Wszyscy oni lubią pulchne kolanka. Ha, mogę sprzedać takich tuzin. Ten twój talent, dziewczyno, to majątek!

Z wdzięczności za te pochwały pokazałam jej swoje najlepsze szkice. Zlustrowała je wzrokiem sprytnego kupca, który dobrze zna się na rzeczy, czym doprawdy wzbudziła mój respekt.

- Hmm... „Ewa kusi Adama”. Ładne. Dobrze to jego lubieżne spojrzenie na jabłko. Tylko dlaczego tyle tu tej winorośli? Cały jest zasłonięty... A Ewa... O rety, ta za to nie skąpi nam swoich wdzięków! No i wyśmienicie. Och! Ale to! - Teraz dopiero zaświeciły jej się oczy. - Ha! Takich musisz zrobić kilka. Jestem pewna, że za ten zapłacą podwójnie. Że też

taką rzecz wymyśliłaś! - wykrzyknęła, wypatrzywszy następny szkic, któremu dałam tytuł „Kuszenie Ewy”.

Prawda, że powstał z niego najśmielszy ze wszystkich moich obrazów. Widać w nim dużą już wprawę zarówno w rysowaniu Ewy, jak i w sposobie jej przedstawiania, dzięki czemu prawie się nie zauważa, że w scenie tej brak Adama. Na porosłej bujną trawą skarpie leży Ewa bezwstydnie spleciona z węzem. Cała jej rozpustna poza, wyraz twarzy, ręka, która upuszcza nadgryzione jabłko, mówią same za siebie: ta oto kobieta dała się ponieść grzesznej namiętności. Sama się dziwię, że to wymyśliłam, lecz takie właśnie pomysły przychodzą mi czasem do głowy... W dodatku trzęsła mnie złość na Dalleta. Cóż z niego za podły gad! Przepuścił cały mój posąg, by zadawać szyku przed tą latawicą, a mnie mydlił oczy jej szpotawą stopą!

Po chwili do pracowni zajrzała Cat, żeby swoim zwyczajem powęszyć, w jej przekonaniu bowiem leżą tu sobie do góry brzuchem, zamiast szorować garnki. Pewnie, że moje zajęcie jest dużo miłsze od posypywania piaskiem sterty brudnych statków i usuwania z nich kopcia, choć to wcale nie znaczy, że lekkie. Tym razem przecież nawet i na niej mój obraz zrobił wrażenie. O, a zadziwić taką zawsze skwaszoną i nieżyczliwą całemu światu pannę, to już doprawdy jest coś.

- Spójrz, matko - wykrzyknęła - ten obrazek w kąpielni całkiem tak wygląda, jakby go malował mężczyzna! No i nie za duży. Da się go łatwo ukryć za kotarą. Pewna jestem, że pójdzie od ręki. - Przyjrzawszy się jednak malowidłu pod innym kątem, zauważyła: - Tylko te kolory za bardzo błyszczą. Zgoła inaczej aniżeli na obrazach ojca. Klienci mogą nabrać podejrzeń. Jak chcesz to upozorować?

- Zaufaj, kochanie, swojej starej matce. Nie są to obrazy twego ojca, ale dzieła mistrza Dalleta. Miał on pewne ukryte skłonności, których nie chciał ujawniać przed żoną, co przecież łatwo zrozumieć... Oddał więc owe obrazy któremuś ze swych przyjaciół, pojmujesz, na przechowanie. No i ten przyjaciel właśnie nam je zwrócił. Popatrz na laserunek. Tak samo lśnią portrety mistrza Dalleta. Co zaś się tyczy treści... Czy to wina zbolalej wdowy? Musi wszak jakoś, biedaczka, wiązać koniec z końcem.

Cat wybuchnęła złośliwym śmiechem. Wdowa ponownie zaczęła lustrować obrazek swoim byстрыm, trochę ptasim okiem, a ja prędko uprzątnęłam szkice. Nie chciałam oglądać miny Cat na widok „Kuszenia Ewy”.

- Ten połysk to sprawka twojego medium, zgadłam? - orzekła na koniec pani Hull. - Rozcieńcza pigmenty, tak że przepuszczają światło. Wiem to od męża. Opowiedział mi o tym pewnego razu, kiedy się opił na umór. Każdy ponoć malarz ma własny sekret. Mistrz Hull

wciąż bał się o swój, że niby ktoś przekupi jego czeladników... No, ale sam nie był lepszy. On też próbował wykraść cudze sekrety. Byli tacy, którym zazdrościł, Browne, na ten przykład, a później Hethe. To twoje medium jest doprawdy rzadkiej doskonałości. Sprawia, że obraz przypomina barwione szkło, całkiem jak witraże u Świętego Pawła. Poszczyło ci się. Jeżeli kiedyś znajdziesz się w prawdziwej biedzie, zawsze jeszcze możesz spieniężyć ów sekret.

- A któż by go ode mnie kupił, skoro to obrazy Rowlanda Dalleta?

- Hm, no tak, masz rację, oj, zagmatwane to wszystko. Wielka szkoda, że kobietom nie dają patentu mistrza.

- I tak bym go nie dostała - skonstatowałam, myśląc o torsie mojego Adama. Wciąż przypominał kielbasę i nic tu nie pomagało malowanie żeber.

Następne dni przyniosły już wiosnę. Choć po niebie wędrowały wciąż jeszcze szare skłębione chmury, to drzewa jabłoni okryły się całe słodko pachnącym kwieciem, a ze szczelin w ogrodowych murach chwacko wyzierały młodziutkie zielone pędy. Chyba to malowanie Raju padło mi trochę na rozum, bo bez przerwy myślałam tylko o kolorach. Tak byłam w tym pogrążona, że zachowywałam się jak pijana. Zdarzały się chwile, kiedy przystawałam nagle ze wzrokiem utkwionym w chmurę albo w błotnistą kałużę, bo miały one dokładnie ten odcień, który był mi akurat potrzebny. Ach bardzo by się przydała dobra przypalona umbra, myślałam, lecz to tyle kosztuje, no i gdzie tu dostać prawdziwy italski wyrób, a nie jakiś kiepski falsyfikat? Wszyscy dookoła, nie wyłączając moich domowniczek, uważali, że popadam w obłąd, ale czy myślenie to szaleństwo? Ja tak nie uważam. Nan rozpowiadała po całym sąsiedztwie, że wszystkiemu winna moja rozpacz, zaczęto więc mnie traktować trochę jak postać z niezwykle tragicznej sztuki. Przechodnie na mój widok pukali się w czoło albo zaczęli cmokać, ale mnie brakowało czasu, by się cieszyć, że nagle wywołuję tak wielką sensację. Każdą chwilę zajmowało mi myślenie. Czasami nie potrafiłam nawet porządnie się ubrać. Kiedyś bezwiednie włożyłam suknię na lewą stronę, co już na dobre upewniło ludzi, że jestem skończoną wariatką. Bezpańskie psy jęły łaźić za mną krok w krok: może mi współczuły, a może w ich oczach byłam takim jak one włóczęgą.

Pewnego dnia, gdy wracałam od piekarza z przewieszonym przez ramię koszem chleba, z moim wzrokiem stało się coś dziwnego: cała ulica utraciła nagle jeden ze swoich wymiarów i zrobiła się płaska jak obraz. Wilgotne od deszczu kamienie chodnika i brudna woda w rynsztoku wyglądały akurat tak, jak powinny być namalowane. Domy z pruskiego muru chyliły się nad ulicą niby rozplotkowane kumoszki, zwisające z ich fasad godła jarzyły się kolorami na podobieństwo klejnotów rozrzuconych po sztuce szarego sukna. A ludzie! Wśród pospólstwa w brunatnych samodziałach, szarościach i czerni połyskiwały raz po raz

barwne liberie lokajów i jaskrawe stroje zamożnych mieszczan. Jakby w ławicę zwyczajnych plotek wpłynęły skądś niezwykle, fantastyczne monstra. Przez otwarte drzwi i okna sklepów widać było pochylonych nad ladami kupców; niektórzy, wypatrzywszy kogoś znaczniejszego, zaczynali głośno zachwalać swój towar. Wszystko to było jak magia, jak coś, co przekazać może jedynie obraz. Cóż, kiedy pewnie nie dałoby się go sprzedać - bo wszyscy byli odziani.

W tym swoim dziwnym zapatrzeniu wcale nie zauważyłam, że stoję przed ową paskudną spelunką pod znakiem kozła i dzbana. Psy obsiadły mnie dookoła, myśląc pewnie, że trafi im się skibka chleba albo choć nawęszą się go do syta. I nagle z karczmy wyszedł jakiś okropny opój, cały zarośnięty, a ubrany jak cieśla, skłonił mi się w pas i wrzasnął:

- Madame Niebieskonosa, czy pozwolisz łaskawie eskortować się do swego pałacu? Tam odnowisz piękną warstwę kopcia na twym prześwietnym obliczu.

Gwałtownie zaczęłam wycierać twarz, a gdy opuściłam ręce, stwierdziwszy, że jest czysta, grupka kompanów tego łotrzyka ryknęła pijackim śmiechem.

- Nie wstyd wam zaczepiać ludzi? Widzicie, że jestem wdową i należy mi się szacunek! - upomniałam ich ostro. Zgraja zarechotała jeszcze głośniejsze, bo psy właśnie w tej chwili spróbowały dobrać się do chleba i musiałam się od nich opędnąć. Byłam wściekła, że jakiś nicpoń przerwał mi moje duchowe widzenie. Takie wizje bardziej nawet odcinają mnie od świata aniżeli chwile zadumy. Tymczasem pijana czereda stawała się coraz zuchwalsza.

- Hej, wdowo, znajdź se innego chłopca, póki nie jest za późno!

- Zanim się spostrzegą, że mózg ci rozmięknął!

- Miękki mózg u baby to nic takiego, póki co innego jej nie zmięknie!

- Powiedz no, czy i w twojej zupie też jest pełno sadzy?

Nawet na nich nie spojrzałam, niech wiedzą, nicponie, że nie sięga mnie ich grubiaństwo, i wściekła pognałam ulicą. Przez tych łotrzyków znowu wyglądała zwyczajnie.

W sklepie „Pod Stojącym Kotem” powitały mnie rozpromienione twarze trzech moich domowniczek. Zanim jeszcze postawiłam koszyk, chwyciły mnie w objęcia i zaczęły ścisnąć.

- Dobrze nowiny! - wykrzyknęły chórem Nan i Catherine. - Sprzedałyśmy „Ewę w kąpielii”!

- Staremu franciszkaninowi aż z Jorku! A żebyś widziała jego zęza! Pomyśl tylko, jak daleko dotarły o nas wieści! - Radość pani Hull graniczyła zaiste z ekstazą. - Z początku niby to oglądał „Chrystusa w łańcuchach”, ale potem chytrze zapytał, czy nie mamy jakich świętych męczenniczek, imaginujesz sobie? Fu! Trzeba ci było widzieć, jak mu rozgorzały te ślepia, gdy tylko zobaczył „Ewę”. Powiedział, ten obłudnik, że taki obraz pomoże mu w kontemplacjach nad niegodziwością niewiast, która to niegodziwość stała się przyczyną

wygnania człowieka z Raju. Dobrze, mówię, dziesięć szylingów i ani pensa mniej. Pięć, on na to. Ja, że to arcydzieło, a malarz nie żyje, więc cena musi być wyższa. On daje sześć. A ja, że ani mowy. I niech wie, że te obrazy pochodzą z prywatnych kolekcji najwyższych dostojników naszego Kościoła. No i w końcu sprzedałam za osiem, dorzucając dwie igły i szpilki do włosów. Ha, i jak ci się zdaje, po co uczciwemu mnichowi szpilki?

- Nieuczciwy dałby je jakiej mężatce, co puszcza do niego oko - stwierdziła Cat.

- Oko do niego? - zachnęła się Nan. - Niepodobna sobie tego wyobrazić.

- Osiem szylingów i popatrz, jak szybko. - Wdowa wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć z entuzjazmu. - A jak tam ci idzie ten z wężem?

- Ledwie go zaczęłam.

- No to się pospiesz, a wszystkie będziemy bogate.

Uczyliśmy ten triumf ogromnym paszтетem, od którego brzuch mnie rozboleł, i to na całe dwa dni. Lecz nawet ból brzucha może przynieść natchnienie. Właśnie bowiem wzburzenie złości wywołane ową niestrawnością wyzwoliło we mnie i dobre pomysły, i wielką ochotę do pracy. Cały dzień malowałam bez wytchnienia, z każdą chwilą bardziej radując się ze swego dzieła. A oto, co wymyśliłam. W pierwszym moim rajskim obrazie wielki wąż miał paskudne oblicze diabła, teraz uświadomiłam sobie, że najgorszym spośród znanych mi węży był Rowland Dallet, postanowiłam zatem nadać gadowi jego rysy. Namalowałam go na zielono i muszę powiedzieć, że sprawiło mi to istną rozkosz. Jeszcze bardziej tym podbechtana, poty grzebałam w jego szkicach, aż znalazłam jeden, co do którego można było mieć pewność, że przedstawia panią Pickering. Zamiast wpisać u dołu nazwisko, Dallet oznaczył go tylko literą „P”. Mając ją przed oczami, tym dotkliwiej odczułam jego podłość: i on śmiał mi wmawiać, że to kaleka i że ma na policzku obrzydliwe znamię!

Ze złośliwą uciechą dałam Ewie twarz tej rozpustnicy i jej okrągłe oczy. Kazałam jej tarzać się w trawie w uścisku ze starym ohydny wężem. Ha, jak na biedną kulawą damę okrągłości jej nie brakowało! Kulawa, dobre sobie! Wokół tych okrągłości wiło się oślizłe czarno-zielone monstrum z lubieżną gębą Rowlanda Dalleta, ona zaś omdlewała z rozkoszy, jakby ją trzymał w ramionach najpiękniejszy z książąt. Istna groteska. W centrum obrazu leżało nadgryzione jabłko, przyciągając oko swą lśniąca jaskrawą czerwienią.

Mijały godziny, a ja pracowałam. Ojcowski pejzaż świetnie mi się udał. Gdzieś po drodze doszłam do wniosku, że zamiast złocistego światła lepsza będzie ciemna skłębiona chmura z błyskawicą: Bóg widzi występki i płonie gniewem. Teraz już wpadłam w naprawdę znakomity humor; gdy na chwilę odkładałam pędzel, aby otrzeć z czoła krople potu, raz po raz wybuchałam śmiechem. Najdziwniejsze wszelako było to, że prócz własnego głosu

słyszałam za plecami czyjś chichot. Wydawało mi się, jakby śmiały się dwie, a może nawet trzy osoby, lecz ilekroć odwracałam głowę, widziałam tylko coś na kształt krótkiego błysku, któremu towarzyszył osobliwy szelest. I jeszcze coś, lecz to już przypisuję własnej wyobraźni: otóż raz w tym blasku zwidziało mi się znikające dziecko! Pewnie pracowałam zbyt ciężko albo może na moment przysnęłam.

- Zuzanno! Zuzanno, kto tam jest u ciebie? - rozległ się pod drzwiami głos Nan.

- Wejdz, nikogo nie ma. Wiesz, mam już właściwie cały obraz, chociaż jeszcze nie wykończony. - Widząc jej okrągłe oczy, dodałam szybko: - Będzie lepszy po laserunku. Teraz to dopiero z grubsza obrobiony pomysł.

- Oj, że gruby, to prawda. Coś ty narobiła? Niech skonam, wszak to gęba mistrza Dalleta! A ta tu rozpustnica to pani Pickering, zupełnie jak żywa!

- Co? To ty ją widziałas? Więc nie ma szpotawej stopy, szpetnego znamienia i ze stu jeszcze ułomności, o których bąał ten kłamacz? Wiedziałaś, że cały czas grzeszy, że mnie zdradza, i co? Ani słówka? Nieładnie, moja Nan, nieładnie.

- Och - odparła smutno - i tak nic byś na to nie poradziła, a gdybyś się dowiedziała, serce by ci pękło. Dlatego wszyscyśmy milczeli.

- Wszyscy? To znaczy kto? Czyżby cały świat wiedział, że mój mąż to niegodziwa kanalia i najokropniejszy uwodziciel, tylko ja nie? Wszyscy jesteście podli!

- Nieprawda, chcieliśmy ci tylko zaoszczędzić bólu. Widzisz, świat nie potępia męskich romansów, przeciwnie, dodają one panom pikanterii całkiem jak korzenie mięsu. Co innego kobieta, tej nikt nie wybaczy. A ty... nie bierz wszystkiego tak serio i nie żałuj Dalleta. Był gorszy od węża. Od początku mu nie ufałam.

- No to chyba dobrze go tu przedstawiłam.

- A jakże - przytaknęła Nan, przyglądając się bliżej malowidłu. - Patrzcie no, jak ta wszeteczniczka przewraca ślepiami! - zachichotała. - O, słodki Jezu, a ten wąż jak to na nią łybie! Nie mogę ze śmiechu... Ha, wiele bym dała, żeby on mógł to zobaczyć, a ja jego minę!

- Myślę, że namalowałam samą prawdę - rzekłam skromnie. Rozpierało mnie zadowolenie.

- Ojejku, jejku, toż to najbezwstydniejszy obraz, jaki oglądały moje oczy! Sama już nie wiem, czy się śmiać, czy ci przyłożyć. Wstydz się!

Prędko zakryła twarz, lecz ramiona nadal trzęsły jej się ze śmiechu. Uznałam to za dobry prognostyk: ten obraz powinien mieć powodzenie. Ci, którzy zechcą go kupić, nie zrozumieją pewnie jego głębszej treści, tego, że mówi on o grzechu, pokucie i karze, za to dobrze mi chyba zapłacą. Pani Hull mówiła, że mogłaby sprzedać z tuzin kopii... Ale czy nad

kopią byłabym w stanie pracować z taką energią jak teraz? Niemożliwe. Obraz to sprawa chwili, a takie natchnienie już się nie powtórzy. Myślę, że mnie rozumiecie.

Scandalous

W godzinie późnego zmierzchu dwaj dosiadający rosłych mułów jeźdźcy skierowali się w Lime Street Ward. Tu, pod samymi murami Londynu, wśród wytwornych niegdyś rezydencji zamienianych teraz na pokoje do wynajęcia, stała osobliwa wąska kamienica, własność sir Septimusa Croucha, znanego antykwariusza, a dawniej równie głośnego awanturnika i poszukiwacza przygód.

We wnętrzu nad wejściem szczyrzył zęby dziwaczny drewniany chochlik, na drzwiach wisiała prastara mosiężna kołatka w kształcie małpiej główki. Sypialnię i zarazem pracownię pana domu łatwo było rozpoznać po rozpiętym w oknach pierwszego piętra półprzezroczystym płótnie. Crouch żywił bowiem silne przekonanie o szkodliwości nocnego powietrza, które wpuszczone do środka miało jakoby grozić mnóstwem chorób.

Zza płótna prześwitywało tańczące światełko świeczki - sir Septimus był w domu. Siedząc przy stole, pilnie studiował fragment nowo pozyskanej księgi, starając się z pomocą otwartego grimoire'u przeniknąć jej zagadkowe i bardzo niejasne treści. Ta księga pradawnej wiedzy, podobnie jak inne pochodzące z równie zamierzchłych epok, składała się w gruncie rzeczy z kilku różnych tomów o zbliżonej tematyce, połączonych w całość oraz skopiowanych na użytek pewnego prastarego bractwa, które wcześniej dokonało owej kompilacji. Rękopis nastęrczał niemałe trudności. Nie dość że sekretne sposoby władania mocą mieszały się bezładnie z mistycznymi prorocत्वami i okultyzmem, to dodatkowych kłopotów przysparzało jeszcze ledwo czytelne pismo dawno zmarłego kopisty.

Crouch początkowo był bardzo zadowolony z posiadania pierwszej z trzech części manuskryptu. Zawierała wiele użytecznych formuł; opisywano w niej na przykład rozmaite sposoby wróżenia, jak również odlewania żelaza na takie miecze, którym nikt nie jest w stanie się oprzeć.

Tajemnicze zwierciadło rzymskich cesarzy rozbudziło w nim wielki apetyt na wszystko, o czym mówiła księga, szczególnie że zaraz potem natknął się na niezwykle interesujące prorocत्व. Przepowiadało ono upadek królów i powstanie nowego ogólnoswiatowego imperium. Ale kto, kto będzie jego władcą?, myślał Crouch. Z pewnością ktoś władający tajemną mocą... ach, żeby to wiedzieć! Do licha z tym mnichem i jego zakrętasami! Równie dobrze mógłby pisać szyfrem... Podczas tych ciężkich zmaganiań Crouch ani na chwilę nie mógł pozbyć się jakże irytującej myśli: Belfegor, którego zamierzał uczynić pokornym niewolnikiem w służbie swoich wielkich planów, fruwał gdzieś sobie wolno. Zbiegł ze skrzyni. Sir Septimus miał jeszcze nadzieję go dopaść, kiedy demon spróbuje



przybrać postać ludzką, wszelako coś musiało ostrzec tego piekielnika. Porzucił ciało, na które Crouch bardzo liczył, pewny, że w nim właśnie zdoła go przyłapać, i uciekł. Uciekł mu znowu, i to tuż sprzed nosa. I jak teraz zbadać zawarte w księdze tajemnice? Taka rzecz wymaga zachodu, w tym również dalekich podróży... Z pomocą Belfegara w mgnieniu oka przemierzałby lądy i morza, podczas gdy teraz zdany był tylko na siebie. A zwyczajne podróżowanie jest tak uciążliwe i wszędzie tyle wilgoci. Sir Septimus bardzo nie lubił niewygód.

Cały jego pokój zatłoczony był mnóstwem starych dziwacznych przedmiotów. Dom też miał swoje lata, o czym najwymowniej świadczyła mocno pochyła podłoga. Sterty dawnych map, książek, antyków pełnych starożytnych monet i medalionów, puchary, ołowiane sztylety oraz inne osobliwe akcesoria, przydatne raczej do praktyk magicznych niż codziennego użytku, zalegały półki otwartej szafy, piętrzyły się na stole i górnej powierzchni wielkiej garderoby, leżały nawet pod łóżkiem, otaczając murem królujący pośrodku nocnik. Na stole obok manuskryptu rozpięta była ludzka czaszka, a przy niej srebrny antyczny kubek z misternym, aczkolwiek mocno obscenicznym ornamentem.

- Ha - powiedział do siebie głośno sir Septimus, poprawiając się w wielkim fotelu i umieszczając z powrotem na nosie oprawne w skórę okulary. - Święta krew... cóż to takiego? Święta krew, która uprawnia do władzy absolutnej nad całym światem... zarówno chrześcijańskim, jak i pogańskim... Przechowuje ją gdzieś to bractwo zwane Zakonem Syjonu. Hm, pierwszy raz o nim słyszę... Jeżeli wierzyć temu, o czym wzmiankuje ów skryba piszący jak kura pazurem, Zakon Syjonu wychynie nagle z ukrycia, by przywrócić tronowi prawdziwą dynastię i utworzyć imperium, jakiego nie widziało dotąd ludzkie oko. Ciekawe, czy bractwo to jeszcze istnieje... A może to tylko jakaś alegoria? Sternik. Od stuleci kieruje działalnością Zakonu zmierzającą do świętego celu. No, to przynajmniej jest dosyć jasne, lecz... czyżby nadal istniał ktoś taki? A jeśli tak, kto nim jest? Od czasu zakopania księgi musiało już być ich kilku.

Crouch wstał i ująwszy stojącą na stole karafkę, dołał sobie wina. Obracając w rękę puchar, pomyślał z prawdziwym żalem, że to już ostatnia beczułka tego słodkiego szlachetnego trunku. W Londynie, niestety, nie sposób kupić nic równie dobrego. Szybko odpędził tę myśl. Nie szkodzi, wkrótce będzie pijał jeszcze lepsze wina... Kiedy z pomocą swego zwierciadła i tej oto księgi zacznie doradzać królom, a później tworzyć i burzyć imperia. Zwierciadło pokazuje wprawdzie tylko teraźniejszość, cała przyszłość wszelako zapisana jest na kartach księgi. Wystarczy rozszyfrować tę część, no i zdobyć dwie pozostałe. We fragmencie, który posiadał, znajdowała się jedynie wzmianka o Tajemnicy, reszta... Do

licha! Podniósł się ponownie i wielkimi krokami ją przechadzać się po komnacie, obrzucając tysiącem przekleństw tego łotra Rowlanda Dalleta. O, zasłużył sobie na śmierć! Ludlow zmyślnie mu ją zgotował swoim małym a zręcznym fortelem. Przy okazji mnie uprościł sprawę, pomyślał Crouch z satysfakcją. Teraz trzeba tylko usunąć Ludlowa i cała księga znajdzie się w moich rękach. Z jej pomocą stanę się potęgą, przy której Wolsey okaże się prochem. To ja będę wszechwładną siłą stojącą za nowym tronem, najpotężniejszym w całych dotychczasowych dziejach Europy. Po to wszak studiowałem, po to gromadziłem wiedzę. Upewniwszy się w przekonaniu, że zawarte w księdze proroctwo doprowadzi go wreszcie do pozycji, która słusznie mu się należy, Crouch na powrót zasiadł przy stole. Umoczył usta w pucharze i ze wzmożonym zapalem pochylił się nad rękopisem.

- W pierwszych wierszach proroctwo mówi o upadku fałszywych królów - mruknął - ale których? Jest ich tylu ostatnimi czasy... Spójrzmy... O czym świadczy wzmianka o demonie rządzącym francuską częścią piekła? Hm... no tak! Uzurpatorem musi być dynastia Kapetyngów... A Prawdziwa Krew to niby która? Wszystko wskazuje na to, że odpowiedź znajduje się w dalszej części księgi... A co znaczy to „rozłupywanie dębu”? Tego już w żaden sposób nie mogę wymiarkować, a rzecz wydaje się ważna. Muszę, koniecznie muszę zdobyć środek i koniec manuskryptu. A niech tego Dalleta! - syknął, zaciskając pięści. - Miejmy nadzieję, że głośno teraz skwierczy w piekielnym ogniu. - W tej samej chwili dobiegł go odgłos kołatki. Posłuchawszy kroków lokaja, później zaś szczęku otwieranych zamków, Crouch co szybciej wsunął rękopis pod wielką stertę papierów.

Nieznajomy przybysz okazał się wysokim, szpakowatym, dystyngowanym mężczyzną, a jego ubiór o wyraźnie zagranicznym kroju zdradzał uczonego.

- Wielce szanowny panie - przemówił - pozwól, że się przedstawię: maitre Bellier, pański unizony sługa.

Crouch w lot zauważył, że na widok obscenicznego kubka gościowi błysnęły oczy, a po twarzy przemknął mu z lekka ironiczny uśmiech. Aha, pomyślał, zapowiada się ciekawe spotkanie. Coś mi się zdaje, że właśnie przybywa odpowiedź na pewne moje pytania. No, ale mam przed sobą godnego siebie przeciwnika.

- Och, widzę, że podoba się panu ta starożytna ciekawostka, którą właśnie niedawno nabyłem - rzucił fałszywie jowialnym tonem.

- O, znam ją doskonale, w Europie jest takich wiele - odparł cudzoziemiec. Tłumione rozbawienie poznały drobne zmarszczki jego wąską inteligentną twarz.

- Doprawdy nie miałem o tym pojęcia. Proszę, proszę, zechciej usiąść, mistrzu Bellier. Co też cię do mnie sprowadza? Pragniesz nabyć ciekawą rzadkość? Kubek wprawdzie nie jest

na sprzedaż, mam jednak wiele innych równie interesujących przedmiotów.

- Odgadłeś więc cel mej wizyty, sieur Crouch. Doszły nas wieści, iż natknąłeś się przypadkiem na przedmioty pochodzące z Londyńskiego Skarbca.

- Londyński Skarbiec? A cóż to takiego? Nigdy o nim nie słyszałem.

- Czyżbyś nie słyszał o templariuszach, niegdyś posiadaczach ogromnych bogactw, później zaś wyzutych ze wszystkiego wspólnym wysiłkiem króla Francji i papieża, czy ściślej mówiąc, w wyniku ich wspólnych knowań?

- Jestem badaczem dziejów, zacny mistrzu, wiem przeto, iż za panowania Filipa Pięknego uznano ich winnymi czarów, jak również nieprzystojnych diabolicznych praktyk - odparł Crouch.

Cudzoziemiec pochylił się w jego stronę i powiedział poufnym tonem:

- Ach, mój przyjacielu, pomówmy jak ludzie światowi, którymi wszak obaj jesteśmy. Templariusze byli największymi bankierami, jakich kiedykolwiek znała historia. Bogactwa swe zgromadzili uczciwie, lecz wszelkie bogactwo ma to do siebie, że staje się pokusą dla każdego władcy. Obaj też wiemy, że bracia templariusze byli dobrymi chrześcijanami, pomijając nieliczne wyjątki.

- Wyjątki?

- Och, w każdej wielkiej i długo istniejącej organizacji zawsze znajdzie się ktoś, kto ma ochotę spróbować... hm... innych praktyk. I tu więc znaleźli się ludzie, którzy ulegli pysze... którzy w tajemnicy, w ustronnych miejscach zaczęli oddawać cześć już nie tylko Bogu Ojcu i Chrystusowi, lecz także pierwiastkowi płodności znanemu starożytnym w postaci żeńskiego bóstwa, uznając w nim potężną siłę, siłę pośrednią pomiędzy Niebem a Piekiełm...

- Behemot...

- A więc wiesz. Przestańmy zatem udawać. Moi mocodawcy pragną nabyć od ciebie, panie, pewne cenne przedmioty.

- Skąd wiedzą, że je posiadam?

- Dzięki rzadkiej monecie, którą sprzedałeś, sieur, agentowi biskupa Wolseya. Jego eminencja posłał ją do oszacowania i tak wpadła w oko jednemu z naszych z kolei agentów. Czy zdawałeś sobie sprawę, czym jest ten okaz? Myślę, że nie. A jest to moneta z czasów panowania Merowingów, wybita przez króla Dagoberta. Zapewniam cię, monsieur Crouch, że taka moneta nie mogłaby pojawić się w Anglii inaczej niż tylko jako część Londyńskiego Skarbca. Jego zawartość jest nam dokładnie znana, aż do najmniejszego szczegółu. Widzisz, podobne skarbcie znajdują się też w innych miejscach. W niektórych miastach templariusze

mieli swoich licznych sympatyków, którzy ich w porę ostrzegli, umożliwiając ucieczkę... Czarni templariusze, czyli owi odszczepieńcy, jeśli tylko starczyło im czasu, ukrywali w ziemi najcenniejsze skarby Zakonu. Miały leżeć i czekać na ich powrót. Do czasu upadku dynastii.

- Co chcielibyście kupić? Nie wszystko znajduje się w moim posiadaniu. Znaleźisko podzielono na trzy części.

- Chodzi o jeden przedmiot, o księgę tajemnic. Wiemy, że znajdowała się w skrzyni.

- Księga... ach tak, przypominam sobie. Niestety, nie mnie przypadła w udziale - skłamał Crouch.

Nieznajomy obrzucił go byстрыm spojrzeniem:

- Moi mocodawcy skłonni są dobrze zapłacić, doprawdy wyjątkowo hojnie.

- Mogę ustalić, w czyich jest rękach. Ta osoba pewnie nie ma pojęcia o prawdziwej wartości księgi. Proszę mi jednak powiedzieć, cóż takiego ona zawiera? - spytał Crouch pozornie niedbałym tonem.

- Stare tajemnice z dziedziny magii oraz przepowiednie dotyczące władców, czego musiałeś już sam się domyślić, monsieur Crouch, skoro czytałeś tekst, który wskazał ci miejsce ukrycia Skarbca - odparł człowiek w cudzoziemskim stroju. - Wśród nich zaś przepowiednie o Krwi, która zapanuje nad znanym nam światem. Wielka to Tajemnica, największa tajemnica chrześcijaństwa.

- Zatem posiadacz tej księgi może stać się największą potęgą w całym chrześcijańskim świecie.

- Bardzo to wątpliwe, sieur Crouch. Zważ, proszę, że my mamy już kopię owej księgi, a jest nas doprawdy wielu...

- Tak? - spytał przeciągle Crouch, patrząc na gościa spod nawisłych powiek. - Po cóż wam zatem potrzebny jeszcze i ten egzemplarz? Po co Zakon Syjonu prowadzi poszukiwania... - Było to pchnięcie na oślep, jednakowoż odniosło skutek: maitre Bellier najwyraźniej przybladł.

- Z tej oto przyczyny, sieur, że zamierzamy go spalić. Jesteśmy strażnikami Tajemnicy, musimy przeto jej strzec. Proszę zapamiętać, że ten, kto odnajdzie nam księgę, stanie się bardzo bogaty.

- Czy tak bogaty jak Sternik? - spytał Crouch, patrząc na tamtego z chłodną wyższością. W jego głosie brzmiało wyzwanie i zarazem groźba: wiem o wszystkim. Ze mną nie wygrasz, lepiej od razu się poddaj.

- O tym doprawdy nie mam pojęcia - niedbale odparował maitre Bellier. - Wróćmy

jednak do naszej materii, to znacznie ważniejsze. Gdyby udało ci się odnaleźć rękopis, nie radzę go zatrzymywać. Wiąże się z tym niebezpieczeństwo, z którym... hm... niewielu ludzi zdołałoby się uporać.

- Jakież niebezpieczeństwo może przedstawiać manuskrypt?

- Pewni wybitni przedstawiciele Zakonu, o którym mowa, byli wielkimi mistrzami okultyzmu. Do każdego skarbcza przykuto demona destrukcji; jest on niebezpieczny, a tylko my znamy formułę zdolną odesłać go tam, gdzie jego miejsce.

Kimkolwiek są ci braciszkanie, pomyślał od razu Crouch, żadni z nich sataniści. Głupcy! Gdyby naprawdę umieli okiełznać demona, uczyniliby go swoim sługą, tak więc już dawno osiągnęliby wszystkie założone cele. Uznał, że nie są to ludzie dorównujący mu wiedzą i doświadczeniem. Ileż to lat strawił na zgłębianiu tajemnych nauk! A gdyby jeszcze... Westchnął w duchu na myśl o utracie diabelskiego dziecka: Belfegor! Ach, gdybyż mieć go w ciele małego chłopca, uczynić z niego niewolnika, powolnego sługę! Gdybyż spełniło mu się to odwieczne marzenie okultystów! A może demonowi coś się nie udało za pierwszym razem? Może przyczepi się do tej kobiety i podejmie następną próbę? Warto się temu przyjrzeć.

- Szkoda więc, że zdołał uciec - powiedział głośno.

- Tak, wypadałoby go się pozbyć, choćby z czystej przyzwoitości, ale... tyle podobnych demonów chodzi luzem ostatnimi czasy, że cóż znaczy jeden więcej - stwierdził filozoficznie maitre Bellier. - Sieur Crouch, dziękuję za poświęcenie mi cennego czasu. Zatrzymałem się „Pod Głową Saracena” i pobędę tu jeszcze trochę. Gdyby udało ci się ustalić, w czyich rękach znajduje się księga, gorąco proszę mnie odwiedzić.

Na ulicy było już ciemno. Lokaj czekający przed domem z mułami skorzystał z uprzejmości zamieszkałej obok kobiety, by zapalić u niej dwie pochodnie.

- A więc powiem ci, Eustachy - oznajmił jego pan, wdrapując się na grzbiet wielkiego dereszowatego muła - że ten Crouch musiał bodaj przeglądać księgę, a może ją nawet posiada. Jeśli nie całą, to część. Co gorsza, wie o Zakonie. Sternikowi się to nie spodoba.

- Wie o Sterniku?

- Wie, że istnieje, na szczęście nie wie, kto to taki i gdzie przebywa. Ale Crouch to człowiek bystry, bezwzględny i bez skrupułów. Boję się, że moja wizyta dała mu zbyt wiele do myślenia. Chcę, żebyś zaczął go śledzić. Zobaczymy, do kogo nas doprowadzi. Musimy zdobyć księgę, zanim on to zrobi...

- A jeśli już ma ją w garści? - zapytał służący, wręczając Bellierowi pochodnię, z drugą zaś zręcznie wskakując na muła.

- Jeśli pozna Tajemnicę... Cóż, jemu nie na wiele się ona przyda... Są jednak tacy, którym może ją sprzedać. Potomkowie rodu Walezjuszy, nasi wrogowie w Rzymie - głos mistrza Belliera nabrał nagle zimnych tonów. - Jeśli tylko zauważymy, że albo sam Crouch, albo te osoby, do których nas doprowadzi, planują jakąkolwiek podróż za granicę, będziemy musieli działać.

Crouch, obsługiwany przez lokaja, zaczął zdejmować szaty, lecz wcale nie czuł się senny. Z gwałtownie bijącym sercem rozważał przebieg wizyty. Wścibski ten francuski doktor, na nic jednak jego wysiłki. Wydaje ci się, żeś taki sprytny, myślał z podnieceniem, ale to ty zdradziłeś mi sekret! Bractwo Syjonu istnieje, istnieje też Sternik, stare proroctwa są prawdziwe, a czas ich spełnienia już bliski! Zaiste, nieoszacowaną wartość ma ta księga!

Dla zabawy spróbował wyobrazić sobie cenę, którą dałby mu za nią chociażby pretendent do tronu. Jak wielką zachętą dla uzurpatora stałoby się takie proroctwo, iluż by mu przysporzyło zwolenników... A panujący monarcha? Ile zapłaciłby komuś, kto by mu odsłonił przyszłość? Przyszłość Francji i jego własną? Z niesłychaną satysfakcją Crouch wyobraził sobie ten moment, kiedy zaoferuje władcom swe usługi... Można by urządzić licytację. Zaprosić do udziału Wolseya w imieniu króla Anglii. Przyszedłby na pewno, Henryk wciąż zgłasza roszczenia do tronu Francji... A może cesarza Świętego Imperium Rzymskiego? Tak, ten byłby lepszym kandydatem. Ma więcej pieniędzy, a Francja tkwi mu kolcem w boku... Nie, powiedział sobie, nie oddałbym im tej księgi. Żaden władca nie jest dość mądry, aby poznać się na jej wartości. Nie umieliby jej wykorzystać. Tylko on, Septimus Crouch, to potrafi. W miarę jak w głowie rodziły mu się kolejne plany spisków i kontrspisków, a przed oczyma krystalizował się obraz własnej potęgi i chwały, coraz mocniej doskwierało mu pragnienie zdobycia brakujących części manuskryptu. Tej nocy prawie nie zmrużył oka.

Przekonałam się rychło, że wcale nie tak łatwo przedłużyć żywot zmarłego artysty, jak by się mogło wydawać. Niesłusznie też myślałam, że najtrudniejszą rzeczą będzie okłamywanie klientów, bo okazało się nią co innego. Gdzie nieżyjący malarze mają kupować farby? Jakiś czas mogę udawać, że je nabywam dla męża, to znaczy dopóki aptekarz nie zacznie witać mnie słowami: „Czyżbym się mylił, sądząc, że twego małżonka pochowano u Świętego Vedasta? Chyba nawet ma tam elegancką mosiężną tabliczkę”. Musiałam więc odbywać coraz dalsze wyprawy do aptek, aż w końcu zwiedziłam wszystkie; pozostał mi tylko ból w nogach. Posłać Cat albo Nan? Żeby je oszukano? Na pigmentach trzeba się znać, trzeba ich dotknąć, powąchać, sprawdzić odcień, a przede wszystkim nie dać się okpić na jakości.

Póki były, korzystałam z zapasów, lecz zaczęły się kończyć. Najpierw wyszły mi wszystkie zieleń - na te drzewa, krzewy i inną rajską roślinność. Z początku jakoś jeszcze sobie radziłam, na przykład kupując alun i mieszając go z wyciągiem z irysów czy bratków. Bez wzbudzania podejrzeń mogłam też dostać indygo: że niby chcę zabarwić przędzę lub przefarbować na niebiesko jakąś starą suknię, ale jak, u licha, zdobyć kobaltową zieleń, odcień akwamarynu czy grynszpan? Tu już ludzie zaczęliby się dziwować: po co one wdowie po malarzu? Jedyna odpowiedź, jaka od razu przychodzi każdemu do głowy, może całkiem zrujnować opinię: Aha, zadała się z innym malarzem i żyje z nim teraz w grzechu, a nadal bierze wdowią rentę! No i niech z powodu takich plotek zajrzy jakiś urzędnik z parafii. Nie znajdzie w domu kochanka, za to zobaczy świeże obrazy, a to jeszcze gorsze.

Pogadałam z panią Hull, która w takich sprawach jest niezwykle bystra, i obie doszłyśmy do wniosku, że sposób jest tylko jeden: znaleźć jakiegoś aptekarza i dopuścić go do konfidencji, dobrze mu płacąc, rzecz jasna. Znałam na szczęście kogoś, kto wydawał się odpowiedni. W zaułku na tyłach Bladder Lane, nieopodal warsztatów klepaczy złota, mieszka aptekarz parający się też alchemią, trochę nieuczciwy, aczkolwiek w dość uczciwy sposób. Rzecz nie w tym, że za bardzo nie oszukuje, lecz w jego poglądach na prawo. Prawa jego zdaniem są tylko dla innych. Właśnie z tego powodu mój ojciec był z nim w komitywie. Ojciec też uważał, że prawo jest tylko dla innych. Miał na myśli szczególnie prawa gildii - czyż nie służyły wyłącznie angielskim malarzom, którym lepsi (cudzoziemcy) stali kością w gardle, więc trzeba ich było wykończyć? Mistrz Ailwin celował w sporządzaniu farb alchemicznych, jak aury pigment, zieleń cedrowa, biel ołowiana czy jeszcze inne według życzenia klienta, a na boku handlował towarem przydatnym do rzucania uroków, zaklęć i

temu podobnych praktyk. Wypatrzyłam kiedyś u niego na przykład zasuszone ludzkie kciuki. Nie znaczy to, że sama kupiłabym coś takiego. Nigdy. Jedyny kłopot z mistrzem Ailwinem był ten, że zawsze miał strasznie dużo do powiedzenia. Jak już weszło się do apteki, to utknęło się tam na amen. Mistrz od razu rozpoczynał dyskurs, czy ściślej mówiąc monolog, który mógł trwać godzinami. W dodatku wciąż kręcili się tam jacyś podejrzeni ludzie. Przychodzili, wychodzili i ciągle ich było pełno. Mojemu ojcu jednakże wcale to nie przeszkadzało. Świat pełen jest ciemnych typów, powtarzał, lecz dopóki zamawiają u niego portrety, nic go to nie obchodzi.

Tak więc pewnego pięknego poranka wystroiłam się w swoją najlepszą suknię, tę czarną z drobnymi fałdkami na spódnicy i rękawem francuskiego kroju, włożyłam elegancki francuski kaptur i wraz z towarzyszącą mi Nan udałam się do apteki mistrza Ailwina. Na Fleet Street panował ścisk, bo piękne błękitne niebo wywabiło z domów bodaj wszystkich zdrowych londyńczyków. Z wieży wodnej dobiegał dźwięk dzwonów, umieszczonych pod figurami aniołów i wieńczącym szczyt wizerunkiem świętego Krzysztofa, oraz muzyka z maszyny do wygrywania hymnów. Wieża stała tuż przy Fleet Bridge; tym mostem musiał iść każdy, kto chciał wejść do City przez bramę. Południową stroną ulicy ciągnęły się eleganckie domy zbudowane z kamienia, a godła miały takie, że trudno się było napatrzyć.

Teraz dopiero mogłam się naocznie przekonać, ile znaczy ładna suknia w tym naszym zepsutym świecie. Kiedy ubrana byłam w znoszone pospolite rzeczy, nie liczyła się moja uczciwość ani to, że ciężko pracuję. Włochata zgraja spod „Kozła i Dzbaną” na mój widok zaczynała przewracać oczami i szyderczo ofiarowywać mi swoje usługi. Jakże inaczej było teraz, gdy wcale nie zamierzałam zrobić nic dobrego, wręcz przeciwnie, lecz miałam na sobie wytworną suknię z dobrej czesankowej wełny, za którą morderca mego męża kupił sobie moje milczenie. Mimo że w bramie kłębili się piesi i konni, między którymi przeciskały się wozy i osły objuczone koszami jaj, owocami i drewnem na opał, wszyscy jak najgrzeczniej ustępowali mi z drogi. Ha, co znaczniejsi wśród tłumu - członkowie palestry i zamożni kupcy - groźnym wzrokiem ostrzegali pospólstwo, aby nikt nawet przypadkiem nie ważył się o mnie otrzeć! Dobrze, że Nan przepędziła psy, bo te, nie zważając na mój szacowny wygląd, nadal próbowały za mną łązić, a co by na to powiedzieli ludzie? Swoją drogą dziwna to rzecz z tymi psami.

Prawdziwi wielmoże nie wchodzili do City przez bramę, lecz podróżowali wodą. W ten sposób unikali konieczności mieszania się z tłumem, tyle że aby nie zginąć w burzliwych wirach pod London Bridge, musieli na chwilę wysiąść. Podczas gdy przewoźnicy przeprawiali łodzie po mostem, pasażerowie szli kawałek pieszo, po czym płynęli znów dalej.



Lecz nawet ten krótki spacer wśród tłumu gawiedzi był dla nich rzeczą trudną do zniesienia. Ja właśnie po to zawsze chodziłam przez Thames Street, by zobaczyć, czy nie wysiada tam czasem jakaś wybitna persona. Lubiłam podziwiać ich wspaniałe szaty i towarzyszącą im świtę. Często na brzegu czekali już na nich petenci, można więc było liczyć, że wydarzy się coś ciekawego.

Usłyszawszy teraz okrzyki: „Z drogi! Zróbcie przejście dla jego miłości!”, wiedziałam, że ktoś znaczny idzie po schodach. Prędko znalazłam sobie miejsce, skąd mogłam mieć dobry widok. Myślałam, że zobaczę jakiegoś milorda, ci bowiem nosili stroje całe haftowane złotem, co bardzo mi się podobało, osobistością tą wszakże okazał się biskup Wolsey. Lokaje nie przestawali krzyczeć „Z drogi!”, aby nikt z pospólstwa nie nadepnął jego długiej szaty. Zobaczyć biskupa też było dobrze. Dostojnikom Kościoła wolno rozmawiać z Panem Bogiem bez niczyjego pośrednictwa, więc już sama myśl o tym, że można choć przez chwilę znaleźć się w pobliżu takiej osoby, przejmuję człowieka dreszczem.

Wśród krzyków, przepychania i szturchańców tłum rozstał się wreszcie i ujrzałam wielkiego Thomasa Wolseya. Poprzedzał go człowiek z dużym srebrnym krzyżem, zaś po bokach i z tyłu szli piesi gwardziści, szwajcarzy i urzędnicy, wszyscy w biskupich liberiach; spostrzegłam też kilku księży w zwyczajnych duchownych szatach. Żadnych petentów nie było, aczkolwiek tym razem trafiło mi się coś jeszcze lepszego. Biskup, cały w przepysznych adamaszkowych fioletach, wydawał się tak zatopiony w nabożnych myślach, że nic wokół siebie nie widział, tuż za nim wypatrzyłam jednak bardzo ucieszną parę. Sądząc po kasetkach z piórami, byli to dwaj sekretarze. Jeden, chudy i gładki, był jakby trochę oślizły, a jego pomarszczone i blade powieki przywodziły na myśl jaszczurkę. Niósł wielką skórzaną tekę i wydawał się z tego niesłychanie dumny. Czyżby zawierała listy do samego króla?

Drugi był zupełnie inny, przez co tworzyli śmiesznie niedopasowaną parę. Różnili się nawet chodem. Jaszczurkowaty snuł się jak dym w niepogodę, podczas gdy ten drugi, przystojny i mocno zbudowany, kroczył równo i zdecydowanie. Profil miał... doprawdy wart bliższej inspekcji. Dobrze zarysowany podbródek, nos z leciutką wypukłością, w miejscu gdzie kończy się kostka, piękne mięśnie szczęki... Wijące się włosy obcięte poniżej ucha nabierały w słońcu rudawej barwy kasztana. Niezły byłby z niego Adam... W pewnej chwili odwrócił głowę w moją stronę i zobaczyłam ciemne brwi, z których jedna biegła trochę wyżej od drugiej, nadając mu wygląd psotnego prześmiewcy. Oczy miał bardzo ładne, brązowe z cętkami zieleni; znać było po nich uczciwość, lecz i brak owego wyrafinowania właściwego dobrze urodzonym. W tych oczach każda myśl odbijała się tak wyraźnie, jakby ją sobie wypisał na czole. To, co z nich wyczytałam, wprawiło mnie w rozbawienie: czuł się strasznie

zażenowany, że niesie jakąś śmiesznie małą kasetkę. Co w niej było? Wyglądało mi to na pieczęć. Idąc, trzymał się tuż przy łokciu jego eminencji. Zauważyłam, że ten drugi rzuca mu raz po raz niemiłe spojrzenia, jakby uważał, że to jemu należy się miejsce przy boku wielkiego biskupa.

- Nan, popatrz na tego mężczyznę. Po oczach można rozpoznać wszystkie jego myśli.

- Który to? Ten? Nic osobliwego w nim nie widzę.

- A ja tak. Wstydzę się tej swojej głupiej szkatułki. Pragnąłby nieść tekę.

- Dla mnie obaj oni jednacy. Tak samo zadzierają nosa. Aroganccy całkiem jak ich pan.

Nie, w moich oczach wyglądało to inaczej. Sekretarz niosący szkatułkę zachowywał się jak człowiek, który trzyma w ręku zgniłe jajo, lecz mimo głębokiej odrazy nie śmie go jednak wyrzucić. Bardzo byłam ciekawa, co naprawdę jest w tym pudełeczku. No i wkrótce się dowiedziałam. Oto jego eminencja, coraz ciasniej otoczony tłumem, zmarszczył nos i skinął na swego sługę, który na ów znak natychmiast otworzył puzderko. Uczynił to wprawdzie gestem pełnym najwyższego szacunku, jednakże, ach! jak zabawnie kolidowała z tym jego kpiarsko uniesiona brew! Co gorsza, w szkatułce spoczywała wcale nie biskupia pieczęć, tylko pachnąca kulka, którą jego miłość niezwłocznie zbliżył do nosa, aby ulżyć swemu powonieniu. Nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem. Mój Adam drgnął i zerknął na mnie z ukosa. W jego piwnych oczach odbiło się tak straszliwe zaambarasowanie, że już prawie zaczęłam mu współczuć. Przyciskając dłonią usta, co prędzej stłumiłam chichot, a on równie szybko odwrócił głowę. Zobaczyłam, że kark mu czerwienieje, i znów ogarnęła mnie wesołość.

- A niech mnie, Zuzanno! To on się na ciebie tak gapił! - mruknęła Nan.

- Kto taki? - spytałam, udając niewiniątko.

- Ten w biskupiej liberii, z tą małą szkatułką.

Tłum tymczasem coraz mocniej napierał na biskupa, który zdawał się wcale nie dostrzegać, jak mocno jego strażnicy pracują ramionami, starając się otworzyć mu przejście. Mój nieznajomy wykorzystał tę chwilę tumultu, aby poszukać mnie wzrokiem. Gdy mu się to udało, zmierzył mnie od stóp do głów, w całości i po kawałku. Oszacował wypukłość mego biustu, obwód szyi i długość nóg, na koniec zaś, nie kryjąc rozbawienia, popatrzył mi prosto w oczy. Do głębi tym urażona, odprawiłam go ostrym spojrzeniem: powinien wiedzieć, że nie patrzy się w ten sposób na uczciwą wdowę! Ten łotr zaś parsknął zduszonym śmiechem!

Biskup, usłyszawszy ów dziwny dźwięk, rozejrzał się szybko na boki, jakby w obawie przed skrytobójstwem czy inną groźną napaścią, i nagle jego spojrzenie wśliznęło się między

nas dwoje. Przez twarz przemknął mu wyraz rozbawienia, a później, później spotkały się nasze oczy. Ach, była to chwila niezwykła, toteż mocno wryła mi się w pamięć.

Nalane oblicze biskupa przecinały głębokie bruzdy: świadectwo jego licznych trosk i obowiązków. Bystre i przenikliwe oczy doprawdy budziły grozę. Opuszczona, stale drgająca powieka nadawała jego eminencji zaiste złowrogi wygląd. Te oczy mówiły mi jasno, że mam przed sobą światowca... Światowca i największego w świecie intryganta. Pojęłam zarazem, że nie służy to jego duszy. Boży człowiek winien poświęcić się Bogu, podobnie jak malarz swoim obrazom i sztuce.

Z rozważań tych nagle wyrwała mnie świadomość, że Wolsey wie, o czym myślę, bo i on czyta we mnie jak w otwartej księdze. Zaraz też z widocznym niezadowoleniem ściągnął usta i odwrócił głowę. W tym momencie naszła mnie pewność, że jeszcze się kiedyś spotkamy, tak chce przeznaczenie. Zrozumiałam to tam, na Thames Street, w tej chwili krótkiej jak błysk, kiedy to zwały się nasze spojrzenia i nastąpiła owa dziwna wymiana myśli. Czułam, że serce wali mi jak młotem, a policzki oblewa zdradziecki rumieniec. Później świetny orszak przeszedł, zdążając ku swoim łodziom, ja zaś wyrzuciłam z głowy nedorzeczne myśli, te o przeznaczeniu i jego wyrokach.

W małych warsztatach na Guthrun's Lane można zobaczyć klepaczy złota przy pracy. Trzymając grudki metalu między dwoma kawałkami pergaminu, wykuwają z niego śliczne cieniutkie listki. Umiejętność nakładać takie złote blaszki, robiłam to często u ojca, teraz wszakże nie zanosilo się na to, abym miała korzystać z tych umiejętności. Raz, że Adamowie i Ewy nie wymagali pozłoty, po wtóre, nie miałam bogatych klientów. Przy samym końcu ulicy mieściła się apteka mistrza Ailwina. Sam sklep był mały i ciasny, miał za to długie, acz wąskie zaplecze, gdzie na piecach bulgotały dziwnie pachnące mikstury, wszędzie zaś stały retorty, dzbanki, słoiczki i pudełeczka z czymś, co niby miało się przydać, lecz po co najczęściej nikt nigdy nie sięgał. Już z ulicy zobaczyłam w sklepie mężczyznę ogromnej postury. Ubrany był bardzo bogato i najwyraźniej spierał się z właścicielem. Mistrz Ailwin był starszym człowiekiem o siwych brwiach, które zawsze przypominały mi krzaki; z uszu także wyrastały mu kępki włosów. Co się tyczy klienta, widziałam tylko jego plecy w zielonej aksamitnej szacie cudzoziemskiego kroju; wyglądała mi na włoską. Nieznajomy wydawał się zirytowany, walił bowiem w kontur wielką kwadratową pięścią obleczoną w czarną rękawicę. Miałam nadzieję, że nie chodzi o oszukiwanie na wadze, ponieważ za to można było stracić licencję, a cóż bym zrobiła, gdyby mistrza Ailwina spotkało takie nieszczęście? Stałyśmy z Nan na ulicy czekając, by ów klient sobie poszedł, no i zaraz oblażło mnie kilka kotów, które

Nan udało się jednak przepędzić. Nie chciałam wchodzić do środka, bo sprawa była dyskretna; nie przyszedłam tu przecież w uczciwych zamiarach.

Czekałam na rogu Bladder Lane, udając, że bynajmniej nie interesuje mnie apteka. Tutaj znowu przylazły dwa duże psiska, których Nan nie zdążyła jeszcze przegonić, gdy z apteki wypadł nieznajomy i ruszył przed siebie z tak wielkim impetem, że omal mnie nie przewrócił. Na jego widok zamarłam. Miał bladezielone oczy, których spojrzenie dosłownie mroziło krew w żyłach. Spośród krzaczastych brwi wyrastały tu i ówdzie długie siwe włosy przypominające czułki jakiegoś wstrętnego owada. Ach, tak mogłoby wyglądać oblicze diabła. Tym bardziej że w miejscu gdzie szatan ma rogi, u niego sterczały dwa mocno skrzycone kosmyki całkiem białych włosów. Wyglądały naprawdę jak rogi. Błada twarz okolona czarną kwadratową brodą była twarzą człowieka, który po całych nocach oddaje się jakimś najokropniejszym praktykom. Takim, o których strach mówić. Usta miał od ucha do ucha, lecz wargi tak wąskie, że prawie nie było ich widać. Ujrzawszy mnie, rozciągnął je w niby to miłym uśmiechu, choć oczy pozostały lodowate. Były to oczy szaleńca.

- Wszak ja znam cię, madame - przemówił. - Jesteś wdową po mistrzu Rowlandzie Dallecie, nieprawdaż?

Miałam ochotę odwrócić się i uciec, ale byłaby to słabość, a czułam, że nie wolno mi jej okazać.

- Tak jest, sir - odrzekłam - ponieważ jednak ja pana nie znam, wstrzymajmy się z tą rozmową, do czasu aż zostaniesz mi przedstawiony w stosownych okolicznościach i miejscu. Do widzenia, sir. - Po tych słowach ruszyłam z pośpiechem, albowiem pilno mi było oddalić się od apteki. Za nic w świecie nie życzyłam sobie, by wiedział, że tam się wybieram. Dwa psy, które zaraz poszły moim tropem, zaczęły szczyrzyć kły i warczeć. Nieznajomy wszakże zwinnie wyskoczył naprzód i wyciągając długie ramię, zagroził mi drogę.

- Ależ madame Dallet, proszę nie uciekać. Taki jestem rad, że widzę cię w dobrym zdrowiu! - Oparł teraz rękę na murze, nie pozwalając mi się ruszyć, po czym przysunął się tak, że zamiast powietrza czułam tylko zionący od niego paskudny zapach zgnilizny. Jego oddech przejmował mnie wstrętem. - Czy twój zmarły małżonek nigdy ci nie wspominał o swoim bliskim przyjacielu i patronie, Septimucie Crouchu? Był mi niezmiernie drogi, uważałem go prawie za syna. Taki czarujący, tak dowcipny człowiek! Oboje, pani i ja, ponieśliśmy równie okrutną stratę.

- Żałuję, sir, lecz mój mąż nigdy nie wymienił pańskiego nazwiska. A teraz proszę mnie przepuścić.

- Och nie, jeszcze nie teraz. Dopóki nie pojmiesz, pani, że masz we mnie

prawdziwego przyjaciela. Przez pamięć Rowlanda pragnę zadbać o twoje dobro, stać się twym opiekunem! Czy nikt nie przekazał ci moich słów? Tego, że zaofiarowałem się łożyć na utrzymanie twego nie narodzonego jeszcze wtedy dziecka? Biedactwo. - Jak błyskawica przemknęła mi myśl: czy on wiedział? Czy domyślał się prawdy o tym stworze? Nie udało mi się ukryć grozy, a jemu... jemu sprawiło to przyjemność. Z uśmiechem przysunął się jeszcze bliżej: czułam buchające od niego gorąco, ale tak mnie przyparł do muru, że nie byłam w stanie zrobić kroku. - Przyjdzie czas, że niczego mi nie odmówisz - wyszeptał mi wprost do ucha.

- Mylisz się, sir - zaprotestowałam drżącym głosem. - Muszę wprawdzie radzić sobie sama, nie myślę jednak ulegać samowoli nieznajomych mężczyzn.

Cofnął się z przesadnie uprzejmym uśmiechem.

- Zatem do zobaczenia, madame Dallet. - Udując, że wraca mu opamiętanie, a wraz z nim i dobre maniere, prześmiewczo szerokim gestem zdjął przede mną pyszny kapelusz, zdobny w drogie kamienie. - Gdy spotkamy się następnym razem, na pewno postaram się o to, by przedstawiono nas sobie z całym stosownym ceremoniałem. - Po tych słowach odwrócił się wreszcie i odszedł. Mnie długo jeszcze serce waliło ze strachu.

- Poczekasz ty na to spotkanie, aż w piekle zrobi się mróz - warknęła Nan. Zawróciłyśmy do apteki, dopiero gdy zniknął nam z oczu. Poszedł, lecz zostawił po sobie cień zła. Jakby nagle otoczyły mnie czarne chmury.

- O, toż to mała Zuzanna Maartens! Wszędzie bym rozpoznał te niebieskie oczy! Proszę, proszę dalej! Czym mogę służyć tak czarującej... ach, prawda, zostałaś wdową. Mój Boże, to bardzo niedobrze. Twój ojciec tyle nadziei pokładał w tym młodym Dalletcie, tak się zwał, dobrze mówię? „Genialny młodzieniec”, to jego słowa. Tak, tak, tyle nadziei! Twój szanowny ojciec znał swe rzemiosło jak mało kto, ale taki był z niego uparciuch... Jak już wbił sobie co do głowy... Tamten młody był od niego układniejszy... no i takie nieszczęście! Ale co też cię do mnie sprowadza? Lubczyku ci trzeba? By złapać sobie drugiego? A może chcesz proszku bogactwa? Bo co do mężczyzn, to wierz mi, z twoją urodą nie potrzebujesz lubczyków.

Mówiąc to, aptekarz jął szperać po półkach pełnych dziwacznych pudełeczek i zawiniątek; niektóre opatrzone były symbolami alchemicznymi. Wątpię, aby ktokolwiek poza mistrzem Ailwinem umiał je odczytać. Na kontuarze obok marmurowej płytki do krajania ingrediencji stało naczynie do odmierzania proszków i waga. Przez drzwi wiodące na zaplecze widać było długie pomieszczenie zastawione mnóstwem dziwnych utensyliów, a w

nim młodego ucznia, który pilnie zamiatał podłogę. Nad jego głową wisiały suszone nietoperze, wiechcie jakiegoś zielska i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze, z wielkiej szafy zaś błyskały rzędy szklanych naczyń różnej wielkości i kształtów.

- Mężczyźni to furda - rozwijał swą myśl mistrz Ailwin - ale pieniądze to co innego, o tak, całkiem co innego. Kto dziś dorabia się pieniędzy bez pomocy nieziemskich sztuczek? - Czeladnik nagle podniósł głowę i zobaczył mnie przy kontuarze. Udając, że tu właśnie musi zamiatać, zaczął krok po kroku zbliżać się do drzwi. Oparł się w końcu na miotle i wlepił we mnie okrągłe oczy. - A to fałszowanie monet! Prawdziwe nieszczęście! Wszystko przez tych łotrzyków z mennicy. Gdzie dzisiaj znajdziesz uczciwą monetę? Wszystkie sfalszowane, wszystkie! Za starego króla byli jeszcze zacni ministrowie...

Nie mogłam dojść do głosu, pozostało mi więc tylko milczeć i patrzeć na mistrza. Wyglądał dosyć załóżnie: czubek brody miał przypalony, na głowie resztki czegoś, co niegdyś było kapeluszem, na grzbiecie skórzany kubrak, który sądząc po kroju i plamach, mógł nawet pochodzić z epoki króla Ryszarda. Miałam ochotę uciec, czułam bowiem, że zanosi się na dłuższy dyskurs, przemogłam się jednak i weszłam mu w słowo:

- Potrzebuję kilku rzeczy, przede wszystkim barwników. Chciałabym je kupować u kogoś dyskretnego, takiego jak ty, mistrzu...

- Gubi nas korupcja, pojmujesz? Łapówki, sprzedawanie urzędów! No ale czego tu się spodziewać, skoro przykład idzie z góry! Kościół uprawia świętokupstwo...

- Dziś chciałabym kupić grynszpan i biel ołowianą. Sprzedasz mi je, mistrzu?

Irytował mnie ten czeladnik. Właśnie zaczynał sypać mu się zarost. W jego chudym, żyłastym ciele nic do siebie jeszcze nie pasowało. I wciąż gapił się na mnie doprawdy przedziwnym wzrokiem. Przepasany był starym wyplamionym fartuchem, a nogawice składały się chyba z samych łąt. Co takiego jest we mnie, do licha? Czyżby i dorastający czeladnicy też zaczęli za mną łązić?

- A po co ci one? - W mistrzu Ailwinie zbudziła się podejrzliwość. - Przyjmujesz u siebie jakiegoś malarza? Zapamiętaj sobie, dziewczyno, niedaleka droga od przyzwoitości do rynsztoka... Nigdy nie przestępuj tej cienkiej granicy. Pamiętaj, że cnota zdobi niewiastę...

- To mnie są potrzebne barwniki. Sama maluję.

- Ty? A to ci siurpryza! Pewnie, pewnie, kury kraczą, koguty niosą jajka, żaby śpiewają, a baby malują!

- Dobrze na tym zarabiam. Potrzebuję dostawcy.

- Dobrze zarabiasz? No i nie mówiłem, że ten świat staje na głowie? A jak myślisz poradzić sobie z gildią?

- Kupując barwniki u ciebie, mistrzu, i płacąc ci za milczenie - wypaliłam bez ogródek, w zupełnej już desperacji.

- A więc chcesz mnie przekupić, żebym złamał ustalony porządek świata? - spytał, skrobiąc się w głowę pod tą swoją resztką kapelusza.

- Tak. Właśnie to mam na myśli.

- Młoda niewiasto, za takie rzeczy powinni cię żywcem gotować w oleju! Czy ty aby dobrze pojmujesz, o co mnie prosisz? W świecie prawości i cnoty...

- Nasz świat nie jest cnotliwy, mistrzu, a powinien przynajmniej być taki, żeby każdy potrzebujący mógł własnymi rękami zarobić na kromkę chleba. Wolałbyś mnie widzieć żebraczką? Dlaczego nie mam prawa pracować na swoje potrzeby? Uważam, że mi się to należy! - Tak mnie zirytował, że zaczęłam na niego krzyżeć. Zamilkł. Patrzył tylko dziwnie, jakby widział mnie po raz pierwszy.

- Hmm... Jesteś prawie jedną z nas - mruknął po chwili. Pochylił się nad kontuarem i z bliska spojrzął mi w oczy. - Czytałaś kiedy Słowo Boże?

- Nie miałam tego szczęścia.

- Napisane jest w Biblii, że zanim nastąpiły czasy powszechnej korupcji, wszystkie dobra w Kościele chrześcijańskim były wspólne. Wspólne, pojmujesz? A co to znaczy? Że wszystko, co dzisiaj dzierżą bogaci, w tym również Kościół, zostało zrabowane innym. W dawnych szczęśliwych czasach prawości i cnoty wszyscy żyli z pracy, w pocie czoła zbierając...

- Jak wszyscy, to i niewiasty.

- Och, no tak.

- A więc i malarki.

- Cóż, można tak mniemać, jeśli były wówczas jakieś malarki.

- Były na pewno. I na pewno potrzebowały farb.

- Pora powstać i wrócić do tego, co było - zapalił się nagle mistrz Ailwin. - Obsadzić pola rzepą, by wszyscy mieli co jeść, rąbać drwa, by nikt nie marzł, łapać zwierzynę w sidła i rozdawać ją głodnym...

- A niewiastom malarkom sprzedawać farby. Sprawiedliwość dla wszystkich.

- Czemu nie? Drobnym gestem, a jaki symboliczny.

- Prawdę rzekłeś, mistrzu. A byłby bardziej jeszcze symboliczny, gdybym mogła je kupić po tej samej cenie, co ci samolubni lordowie i przekupni członkowie gildii.

- O, tym zawsze zawyżam cenę - zawołał z triumfem mistrz Ailwin. - Zuzannie Dillard policzę taniej!

- Doprawdy piękny to gest.
  - Tak jak mówi Pismo: niechaj wdowy nie będą bez opieki, niech ucichnie płacz sierot!
  - Twe słowa, mistrzu Ailwinie, dodały mi skrzydeł. Będę odtąd pracować z nowym wigorem, wiedząc, iż przez to sprzeciwiam się owym niegodziwym lordom, co bezprawnie posiadli ziemię.
  - O, czyn to każdym pociągnięciem pędzla! - krzyknął gromko.
  - A więc dwie uncje bieli ołowianej! - odkrzyknęłam, na co mistrz z ogniem w oczach zajął się odważaniem potrzebnych mi ingrediencji.
  - Chryste, co też on plecie! - jęknęła Nan, gdyśmy wyszły na ulicę, zaopatrzone we wszystko, czego mi było trzeba.
  - Och, jest szalony. To od tych oparów, które stale wdycha na zapleczu. Rtęć, aury pigment i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Rzuciło mu się na mózg. Widzę, że od ostatniego razu bardzo mu się pogorszyło.
  - Ta gadanina o wspólnym posiadaniu to już czysta obraza boska! Coś mi się widzi, że to jakieś heretyckie brednie. Lordowie to lordowie, a pospólstwo pospólstwem, bo taka jest wola Boga. Gdyby Pan Wszechmogący życzył sobie, byśmy wszyscy mieli po równo, to by tak było.
  - Dla mnie to za trudne. Ja będę sobie malować, a o tamto niech się kłóć inni. Oby tylko mistrz nie zapomniał, że obiecał mi uczciwe ceny. - Skręciłyśmy już w główną ulicę, kiedy dały się słyszeć spieszne kroki i czyjś zdyszany głos:
  - Madame Dallet, proszę zaczekać! - Był to chłopiec od mistrza Ailwina. O Boże, więc jeszcze i to! Teraz już i dzieciaki za mną łażą. Chłopak odepchnął psy i stanął przede mną dysząc: - Madame, mistrz czasami zapomina, co obiecał, bo to tyle spraw na głowie... Ale przyślij wiadomość, a już ja dopilnuję, żeby wszystko było jak trzeba. Dostarczę ci towar do domu, dla ciebie to większa wygoda. Taka dama jak ty, nie powinna chodzić po ulicy w deszcz czy zawieruchę.
  - Jesteś bardzo wspaniałomyślny, dziękuję. Jak ci na imię?
  - Tom Whitley, madame, twój uniżony sługa.
  - Dobrze, Tomie, postąpię, jak radzisz.
- Odeszłyśmy spory kawał, a on wciąż stał w miejscu i patrzył za nami.
- A niech mnie, zadurzył się w tobie! - zachichotała Nan.
  - Szczenięca miłość. Najpierw psy i koty, teraz niedorostki. Ciekawe, kto jeszcze.
  - Postępuj z nim łagodnie. Póki do ciebie wzdycha, będzie pilnował wagi, a jak się



rozeźli, zaczniesz się oszustwo, możesz być pewna.

- Och, nie martw się na zapas. A wiesz, ten chłopak przypomina mi czymś Feliksa.

- Tym, że nie umie rysować?

- Tym też, ale nie tylko. Pewnie chce jak najlepiej, a wychodzi mu zwykle na opak.

Wiesz, Nan, ja bardzo kochałam Feliksa. On by się o mnie zatroszczył, gdyby żył.

- Wiele rzeczy inaczej by wyglądało. - Nan zacięła usta i kopnęła leżący na drodze kamień. Wpadł do rynsztoka.

W sklepie zastałyśmy panią Hull niezmiernie zajęta sprzedażą obrazu. Klient był postawnym mężczyzną o szerokich barach. Miał wysokie zabłocone buty, nasunięty prawie na oczy płaski kapelusz z szerokim rondem i czarny obszerny płaszcz, także ochlapany błotem, jakby jego właściciel dopiero co odbył daleką podróż. Odwrócony był do nas plecami, zasłaniając swą potężną postacią zarówno panią Hull, jak i oglądany obraz. Nie wyglądał na zwykłego klienta, bo tymi byli sami duchowni, u jego boku tymczasem zobaczyłam krótki miecz. Może to jakiś cudzoziemski kapłan, zaczęłam snuć domysły. Może tam, skąd pochodzi, duchowni tak właśnie ubierają się do podróży? Zauważyłam, że słuchając płynnego potoku wymowy podnieconej właścicielki sklepu, po każdym prawie zdaniu przytakuje uprzejmym skinieniem głowy.

- Taki obraz bardzo pomaga w cichych medytacjach o grzechu, pokucie i karze... - oznajmiła właśnie pani Hull, a on znów kiwnął głową. Chyba jednak ksiądz. Czyżby moja przyjaciółka miała wreszcie sprzedać któregoś z zielonych Chrystusów?

- Kolory, a i sama robota malarska są tu zupełnie inne aniżeli w pozostałych obrazach. Nie sędzę, by malowała je ta sama ręka? - W głosie nieznanego nie było zdziwienia, tylko zwyczajna ciekawość. Głos miał sympatyczny. Czulo się, że to ktoś inteligentny i że nieźle zna się na malarstwie. I... o Boże! Ten obraz to chyba Adam i Ewa! Wpadłam w popłoch. Lepiej, żeby nikt bystry nie przyglądał się bliżej moim malowidłom.

- Widzę, że mam przed sobą rzadkiego znawcę sztuk pięknych. Ten obraz to jedno z niewielu, ostatnie już, ściśle mówiąc, dzieło ze spuścizny znanego dworskiego malarza, wielkiego Rowlanda Dalleta. Tyle po nim zostało wdowie. Biedactwo było w takiej rozpacz, że wzięłam na siebie sprzedaż tych dzieł razem z częścią jej domowych ruchomości. - Och, nawet się nie zająknęła, pomyślałam z uznaniem. Nigdy nie zapomina języka w gębie, to jej trzeba przyznać. Klient skinął głową. Dobrze, chyba nic nie podejrzewa. - Zauważyłam - gładko mówiła dalej pani Hull - że po wejściu do sklepu spojrzawsz, panie, na ten tu piękny kałamarz i od razu powiedziałam sobie: oho, to ktoś uczony, taki, co zna się na rzeczy.

Rondo kapelusza zniżyło się lekko. Dziwne, ale coś w karku tego mężczyzny wydało

mi się znajome. Nie miałam czasu zastanowić się nad tym, bo spostrzegłam właśnie dłoni wdowy tuż obok kałamarza... O nie, posłałam jej myśl tak ostrą, że gdyby była strzałą, ani chybi przewierciłaby jej mózg. Nie waż się dorzucać jakiegoś kałamarza do mego Adama i Ewy! Zażądaj najwyższej ceny!

- Pomysł jest doprawdy niezwykle... Ten wąż... - W głosie klienta brzmiało rozbawienie.

- Mistrz Dallet był wybitnym artystą.

- O, mam tego świadomość, znałem mistrza Dalleta. Kiedyś w imieniu mego pana omawiałem z nim ważne zlecenie.

- Pojmujesz pan zatem rozmiary owej tragedii. - Głos mojej przyjaciółki nabrał dramatycznych tonów, po czym opadł do szeptu: - Wyjawię ci w zaufaniu, że ona, biedactwo, nie umie ocenić prawdziwej wartości tego dzieła. Według mnie wyznaczyła za nie zbyt niską cenę. Kimże jednak jestem, bym miała sprzeciwiać się życzeniu tej jakże nabożnej niewiasty, pograżonej na dodatek w nieutulonym żalu? Ona nawet nie wie, co to zachłanność czy samolubstwo... A pieniądze za ten obraz byłyby dla niej wielką pomocą.

Chciałyśmy z Nan przemknąć się cichcem na schody za plecami nieznajomego, niestety, skrzypnęła podłoga. Odwrócił się błyskawicznie i przygwoździł mnie wzrokiem do miejsca. O, rozpoznałam te piwne oczy! Były ładne, acz stanowczo zbyt bystre. Bystrzejsze, niż rada bym widzieć u jakiegokolwiek mężczyzny, a już na pewno nie u takiego, co wlepia je w moje obrazy. Przez twarz przemknął mu dziwny uśmiešek, bo i on też mnie rozpoznał. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Niestety, nie mogło tu być pomyłki. Mężczyzna, którego barczysta postać od początku wydawała mi się dziwnie nie na miejscu w tym małym zatłoczonym sklepiku, był jednym z ludzi Wolseya, i to tym właśnie, z którego spodobało mi się naśmiewać. Oj, Zuzanno, napytałaś ty sobie biedy, lepiej natychmiast uciekaj. Do schodów tylko parę kroków.

- Proszę poczekać, madame Dallet - rzucił rozkazującym tonem.

Stałam jak wryta z nogą na pierwszym stopniu. Wydał mi się dużo wyższy i groźniejszy, niż zapamiętałam. Jakoś tak dziwnie wypełniał sobą ciasne pomieszczenie, że ogarnęła mnie panika. Z trudem łapałam oddech. Chciałam uciekać, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

- Proszę podejść do mnie, nie ugryzę - powiedział z podejrzaną łagodnością.

Spróbowałam zrobić krok... nic z tego. Nieznajomy w milczeniu obrócił obraz w moją stronę. No tak, „Kuszenie”... Ewa bezwstydnie spleciona z węzem. Piwnooki przyglądał mi się bacznie. Widząc me wyraźne zmieszanie, starał się coś z niego wyczytać. Czułam, że oczy

mam okrągłe, a kolana drżą mi ze strachu. Ach, mimo to dostrzegłam, że nagle drgnął mu kącik ust i w oku zapalił się dziwny błysk. Oho, coś postanowił. Bałam się myśleć, co to takiego.

- Ależ proszę tu podejść - powtórzył przymilnie. - Musimy o czymś porozmawiać. - Bezwolnie zrobiłam krok naprzód. - Strasznie zbladłaś, madame Dallet. Może powinnaś usiąść? - W milczeniu pokręciłam głową. Bolał mnie żołądek, ręce miałam lodowate. - Wyznam, że zadałaś mi, pani, bobu. Zdrowo się musiałem napracować, nim zdołałem wykryć pewne fakty. Ten przede wszystkim, że mistrz Rowland Dallet nie miał żadnych uczniów. No i ładnie to tak, powiedzże sama? - Nie mogłam wykrztusić słowa. On tymczasem zsunął na tył głowy szerokoskrzydły kapelusz, spod którego wymknęły się zaraz niesforne brązowe kędziory. Dziwne, lecz pomyślałam, że przypominają... źle ułożone pieski. Uniósłszy jeszcze bardziej tę wyższą brew, z namysłem zmierzył mnie z góry na dół. - Wystarczy na panią spojrzeć, aby się upewnić, że moje wnioski są słuszne - oświadczył.

- Nie wiem, o czym mówisz - bąknęłam słabym głosem.

- Liczyłaś, pani, na męską ignorancję, nieprawdaż?

O Boże, domyślił się wszystkiego, widać to było po oczach. Odwróciłam głowę.

- Nie... nie pojmuję...

- Bardzo proszę, odpowiedz na jedno tylko pytanie: dlaczegoż to temu wężowi nadałaś rysy swojego małżonka?

## PORTRET CZWARTY

*„Dziewczynka z lalką”. Malarz nieznany. Średnica ok. 9 cm. Połowa szesnastego wieku. Muzeum Wiktorii i Alberta.*

*Lalki używane w rytuałach obrzędowych, nawet te najdawniejsze, przetrwały w niezłym stanie aż do naszych czasów, natomiast lalki zabawki z racji swego charakteru i funkcji rzadko wychodzą cało z okresu dzieciństwa swoich właścicielek. Ta oto niezwykła miniatura pędzla nieznanego malarza z epoki angielskiego Renesansu bardzo sugestywnie ukazuje mniej więcej sześćioletnią dziewczynkę z lalką. Lalka ta, rodzaj drewnianej kukły z namalowaną buzią, ubrana jest w prostą sukienkę bez ramion i rękawów.*

N. Boyle, Historia zabawek w malarstwie Podpis pod tab. 142.

Oto pierwsze zadanie wykonane przeze mnie w służbie biskupa Wolseya: portret jego małej siostrzenicy, który zresztą wielce sobie cenił. Była to zarazem próba moich umiejętności, wiadomo bowiem, iż najtrudniej jest malować dzieci. Nie chodzi o to, że ich nadmierna ruchliwość utrudnia oddanie podobieństwa, nie, rzecz w tym, że dzieci nie mają jeszcze wyraźnie ukształtowanych rysów z wyjątkiem wielkich oczu, dużego czoła i okrągłutkich policzków. Buzia małego dziecka widziana z profilu wygląda jak dwie półkule nałożone jedna na drugą, z ledwie zaznaczonym nosem. Takie dzieci trzeba zawsze malować en face lub trzy czwarte, każde inne ujęcie jest beznadziejne. Niektórzy artyści zwyczajnie machają ręką i robią z dziewczynek małe damy, a z chłopców malutkich dżentelmenów - tak postępują przeważnie mężczyźni, którzy sami nie mają potomstwa. Przy większych trudnościach z uchwyceniem podobieństwa należy zawsze nadawać dziecku rysy przypominające męża jego matki, zwłaszcza że z reguły to on płaci malarzowi. Nie od razu byłam taka mądra; zanim wpadłam na ten doskonały pomysł, natrudziłam się co niemiara.

- A oto, wasza miłość, rozwiązanie zagadki tego ducha: mistrz Dallet miał za żonę bystrą niewiastę, córkę cudzoziemca, niezwykle biegłą w sztuce miniatury. Gdy nagle zginął, zostawiając jej same długi, wzięła się za malowanie, a swe obrazy zaczęła sprzedawać jako dzieła zmarłego męża.

Jego eminencja, ogromny w swych purpurowych jedwabiach, z wielkim pektorałem na obszernej piersi, uśmiechnął się nieznacznie samymi tylko ustami.

- Panie Ashton, wyrażam uznanie dla twej dociekliwości i wielkiego uporu - zwrócił się łaskawie do stojącego przed nim sekretarza.

Rzecz działa się w jego salonie w Brideswell przy Fleet Street. Wszechwładny kanclerz tonął w ogromnym wyściełanym fotelu, trzymając stopy na podnóżku. Sandały też miał purpurowe. Dolegała mu dziś niestrawność, mimo to od rana pracował bez wytchnienia. Przy boku ambitnego księcia Kościoła stał w niezmiernie ugrzecznionej pozie Brian Tuke, dalej zaś członkowie dworskiej świty. Odkrycie, iż nieznany mistrz pędzła jest kobietą, sprawiło Wolseyowi zawód, ale skoro już tak... powetuje to sobie przynajmniej chwilą rozrywki. Bądź co bądź jest to osobliwość. Coś jak dwugłowe cięło czy pies, którego nauczono liczyć. Słyszając szmer wśród dworaków, zauważył:

- Zasoby niewieściej przewrotności są niewyczerpane. Raz jeszcze mamy tego dowód.

- O, wasza miłość bardzo trafnie to ujął - gorliwie potwierdził Tuke.

Wolsey łaskawie skinął mu głową, co widząc Ashton z trudem pohamował wściekłość. Ty śliski pochlebco! Znowu próbujesz pod-kraść mi zasługi! Wolsey wszakże myślał właśnie o nim. Czy ten Ashton w namiętym pragnieniu wykazania się własną bystrością nie przeszedł już przypadkiem samego siebie? A może był to zwykły łut szczęścia.

- Nie można jednakowoż odmówić tej kobiecie pewnej znajomości rzemiosła - stwierdził, kiwając teraz głową w stronę młodszego sekretarza.

- To prawda, wasza miłość - przytaknął Ashton, myśląc jednocześnie: Słyszysz, Brianie Tuke'u? Dużo ty wiesz o tej sprawie! To mnie pyta o opinię jego eminencja.

- Rozmawiałeś z nią? I jaka ci się wydaje? Czy to może swarliwa jędza albo nienormalny jakiś stwór? Nie przypomina aby mężczyzny?

- Nie, wasza miłość, nie wyróżnia się niczym szczególnym. - W głosie Ashtona Wolsey złowił nutę urażonej dumy.

- Poza tym że wywiodła cię w pole i że mocno ci to doskwiera - zauważył nieco uszczypliwie. Tuke parsknął śmiechem.

- W końcu wydobyłem z niej prawdę.

- Malarka... - mruknął w zadumie Wolsey. - Czysty wybryk natury. Widzę, że kupiłeś od niej obraz - powiedział, spoglądając na pakunek, który Ashton trzymał pod pachą. - Czy to na pewno jej dzieło, czy też znowu cię oszukała?

- Charakter tego malowidła pozwala mi wierzyć, że nie. Czy wasza miłość pamięta, jak wyglądał Rowland Dallet?

- Przypominam sobie, że niezmiernie dbał o swój wygląd.

- A więc proszę pozwolić, bym zaprezentował waszej miłości to dzieło. - Ashton przewidywał, że obraz wywoła sensację, i bynajmniej się nie pomylił. Na widok rozłożystej różowiotkiej Ewy oplecionej cielskiem ogromnego węża z lubieżną twarzą mężczyzny Wolsey prychnął głośno, a jego osobisty sekretarz zatkał dłonią usta, by powstrzymać gwałtowną wesołość. Dworacy ryknęli śmiechem.

- No tak, oto prawdziwy wizerunek grzechu. - Rozbawienie w głosie jego eminencji mieszało się z dezaprobatą.

- Proszę spojrzeć, nadała gadowi rysy swego męża - zwrócił mu uwagę Ashton.

- Ha, nie taka z niej żona, jaką była cierpliwa Gryzelda, co, Ashton? No, ale teraz rozumiem, w jaki sposób ten Dallet narobił aż tyle długów - zachichotał biskup. Ashton posłał Tuke'owi spojrzenie mówiące: „A widzisz, i co mądrego masz teraz do powiedzenia?”, czując, jak po całym ciele rozlewa mu się fala przyjemnego ciepła.

- Wasza miłość - odezwał się jeden z dworaków - rozpoznaję tę kobietę na obrazie. To osławiona rozpustnica, żona kapitana Pickeringa. Przysięgam, że Ewa ma jej rysy.

- Pickering? Chyba go kiedyś poznałem - wtrącił inny. - Mówisz, że to jego żona?

- No i wyjaśniła się zagadka. Zdrada małżeńska odmalowana przez zazdrosną żonę. Nie z religijnego natchnienia narodziło się to dzieło. - Wolsey, podparłszy dłonią podbródek, znowu zapatrzył się w obraz. Kolory były żywe, perspektywa oddana umiejętnie, zarówno za pośrednictwem rysunku, jak i gradacji barw. Kompozycja nie nosiła znamion naiwności, jaka zawsze cechuje amatora, a roślinność otaczająca pulchne kobiece ciało zdawała się pulsować życiem. Zdumiewające! Pochylił się w stronę swego sekretarza. Ashtonowi udało się utrzymać na twarzy maskę obowiązkowego szacunku, za to oczy... z jego oczu bił triumf i bezgraniczne zadowolenie z siebie. - Bardzo zręcznie sprawiłeś się, panie Ashton, doprawdy dobra robota. Doskonały z ciebie pies gończy. Każde zadanie, które ci wyznaczam, umiesz doprowadzić do końca. Będę o tym pamiętał. - Ashton skłonił się w milczeniu. Całą swą istotą pławił się w słońcu łaski. - Ciekawy obraz - mówił dalej Wolsey - chociaż ten Eden trochę zbyt skalisty, nie uważasz?

- Mnie to wygląda na południe Francji - odrzekł Ashton, który z rozkazu biskupa często i daleko podróżował.

- Bardzo niezachęcający ten pejzaż. Eden, moim zdaniem, powinien przypominać Anglię w porze lata. Przyprowadziłeś tu tę malarzkę?

- Zgodnie z życzeniem waszej miłości. Czeka w antykamerze.

Przymknąwszy podpuchnięte oczy, Wolsey puścił w ruch swój niestrudzony umysł. Nie lubił niczego marnować i nigdy tego nie czynił. Źle, że to kobieta, myślał, lecz... wszak i z kobiet można mieć pożytek, jeśli da się nimi kierować. Czyż jest lepszy sposób na umieszczenie w czyimś domu pary uszu, niż podesłać malarzkę panu tego domu, pod pretekstem że pragnę mieć w swej kolekcji jego miniaturę? Jak niewinnie wygląda taki podstęp i jak mile łechce ludzką próżność... Kobieta potrafi wejść tam, gdzie żaden mężczyzna nie zyska dostępu. No, ale wszystko zależy od jej charakteru. Jeśli okaże się nieokrzesaną, krnąbrną sekutnicą, nic mi po niej. Najlepsza do moich celów byłaby niezbyt młoda potulna niewiasta... nie starucha, ktoś w średnim wieku.

Kiedy lokaj wprowadził malarzkę, Wolsey zaczął od razu sporządzać bilans pozytywów i negatywów. Okazała się młodsza, niż myślał. Hm, dobrze to i źle zarazem, aczkolwiek w sumie raczej źle. Gdy uklękła, aby ucałować jego pierścień, mógł jej się przyjrzeć z bliska. Przyzwoita żałoba, stosowna unizoność. Nabożna. To plus. Uzna swój duchowy autorytet, uśmiechnął się do tej myśli. Później jednak przyjrzał jej się uważniej. Było w niej coś zastanawiającego. Coś... co czeka tylko właściwej chwili, by znaleźć gwałtowne ujście... Skąd to wrażenie? Czy to przez ten rudawy pukiel, który wymknął się spod skromnego nakrycia głowy, czy może przez odrobinę zielonej farby pod paznokciem palca prawej ręki? Same ręce były pulchne, palce krótkie i zwinne. Robiły wrażenie wprawnych. To dobrze. Podniosła głowę, zaczął więc szczegółowo badać jej twarz; wiedział, że jego spojrzenie onieśmiela ludzi. Miał przed sobą kobietę, która niedawno dopiero wyrosła z dziewczęcych sukien. Kilka piegów rozsianych po zadartym nosie wyglądało doprawdy dziecinnie. Wydatne wesołe usta. Lubi się śmiać. Ale czy nie plotkara? To nie byłoby dobre. Lecz najwięcej mówiły jej oczy. Niebieskie, okolone jasnymi rzęsami, patrzyły na świat z wyrazem wiecznego zdziwienia. Naiwna prostaczka, a więc pierwsze wrażenie było słuszne. W porządku. Jednakże... Wolsey nagle zauważył coś jeszcze: on również jest obserwowany, ha, i szacowany! Niebieskie oczy patrzyły na niego z ciekawością, ale i ze zrozumieniem. Kobieta starała się to zręcznie ukryć, lecz dla wielkiego kanclerza rzecz była łatwo czytelna. To mu się nie podobało. Lubił oceniać innych, ale nie odwrotnie. A ciekawość u kobiety to już stanowczo zła cecha. W sumie uczucia miał dosyć mieszane. Zobaczymy, pomyślał,

zobaczymy.

- Madame Dallet, czy przyniosłaś jakieś próbki swoich miniatur?

- Tak, wasza miłość. - Z drewnianego kuferka wyjęła trzy zwykłe okrągłe kasetki średnicy mniej więcej pięciu centymetrów. - Malowałam je dla przyjemności. Ta to podobizna mojej zacnej Nan Littleton - wyjaśniła, wręczając kasetkę jego eminencji. Otworzył ją z zastanawiającą delikatnością i wszyscy obecni usłyszeli jego westchnienie. Bo jakaż to była robota! Drobnutkie kreseczki wykonane zostały z niebywałą precyzją najcieńszym pędzelkiem z wiewiórczego włosia, kolory urzekały żywością i lśnieniem. Wydają się aż nazbyt żywe, myślał Wolsey, zważywszy na pospolitość samej modelki. Spoglądała na niego stara siwowłosa kobieta w zwyczajnym czepku. Błada twarz kobiety z gminu, a za nią to przepyszne olśniewająco błękitne tło.

- To służąca. - Wcale nie był ciekaw tej kobiety, a mimo to miał wrażenie, jakby ją znał, jakby ów miniaturowy obrazek szeptał mu o niej do ucha. Patrząc na pooraną zmarszczkami twarz i dobre, przyjazne oczy, dodał: - Ale to osoba o wiele bliższa niż służąca. Uczciwa. Godna zaufania. Dbała o cudze dobro czy raczej chętna do poświęceń. To chyba stara piastunka. Domniemywam, że twoja.

- Tak właśnie jest, wasza miłość.

Wolsey uniósł brew i podparł dłonią podbródek. O takiego malarza mi chodziło, myślał, wręczając miniaturę komuś ze swojej świty. Mężczyzna wydał okrzyk zachwytu. Podziwiał technikę, dumiał biskup, lecz nie widzi tego, co ja. Charakteru, prawdy bijących z tego malutkiego skrawka pergaminu.

- A to jest panna Catherine Hull - powiedziała kobieta.

Ze szkatułki spojrzały na niego bystre oczy młodej, kilkunastoletniej dziewczyny. Byłaby naprawdę śliczna, pomyślał, podziwiając jej złote loki i różowe policzki, gdyby nie to jakieś malkontentstwo.

- Piękna dziewczyna, lecz dziwnie zgorzkniała. Psuje to jej urodę. W wieku gdy powinna być pełna nadziei, nie widzi dla siebie perspektyw. Powiedz mi, madame, czy ma ona jakiś posag?

- Nic nie ma, wasza miłość. Jej matka, biedna wdowa, prowadzi malutki sklepik z drobiazgami. Catherine nie ma konkurentów.

- Jest naprawdę tak ładna, jak ją przedstawiłaś? - Dziewczyna zainteresowała go bardziej, niżby na to zasługiwała jej skromna pozycja. Czyżby to ten obrazek czynił ją ważniejszą i bardziej godną uwagi? Dlatego że sam przez się jest wartościowy? Aż dziw, że dobry obraz tyle potrafi zdziałać. Przekazał miniaturę sekretarzowi. Może powinienem



popytać o tę dziewczynę, sprawdzić, jaką ma reputację, i dać jej stosowny posag? Byłby to gest miłosierdzia. Mając piętnaście, dwadzieścia funtów, mogłaby poślubić właściciela sklepu... kogoś równego jej stanem.

- Tom Whitley, uczeń aptekarza - odezwała się znów malarka, wręczając mu trzecią kasetkę.

Ta miniatura przedstawiała zwykłego chłopaka o ciemnych włosach; w ręku trzymał różę. Jak ona to zrobiła, że na tym maleńkim obrazku dostrzegało się i młody pączkujący zarost, i wyraz tęsknego uwielbienia w oczach? Wszzechwładny biskup też nagle zatęsknił za tym, co minęło... za swoim młodzieńczym ja... przez krótką chwilę żałował nawet bólu nie odwzajemnionych uczuć. Zobaczył znów świeżą i śliczną pannę Lark, jak z zakasanyimi rękawami krząta się po tawernie swego ojca, wycierając stoły. Zerknęła na jego tonsurę i roześmiała się w głos. A on zerwał różę z krzaka, co piął się po kracie w ogródku, i podał jej z cichą nadzieją, że zrozumie, co nosi w sercu, i zechce spojrzeć łaskawiej... Precz!, bezgłośnie rozkazał wspomnieniu silnej, dorodnej dziewczyny, jesteś teraz szacowną matroną. Czyż nie kupił jej męża z wysoką pozycją, gdy w imię dalszej kariery zmuszony był się jej wyrzec? Czyż nie potraktował uczciwie i tej kobiety, i dzieci, które z nią spłodził? Żywił je i wychowywał jako dwójkę swych drogich siostrzeńców. Cóż innego miał począć? Sam Bóg wymagał tej ofiary... Bóg i moje własne ambicje, dodał w duchu. Spojrzał znów na stojącą przed nim niewysoką kobietę o jędrnym ciele, skromnie ukrytym pod tą wdowią czernią. To za jej przyczyną wróciły wspomnienia, a ona nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, co uczyniła. Zdumiewające. Zaiste wybryk natury.

- Powinnaś zająć się wyłącznie malowaniem miniatur. Uważam je za znacznie lepsze od tego - wskazał gestem jej dzieło olejne. Malarka spłonęła gorącym rumieńcem.

- Ja także wolę miniatury. Używam do nich farb wodnych, więc to mniej brudna robota. Od olejnych dostaję bólu głowy, gdy pracownia nie jest dobrze wietrzona.

Tak, ta kobieta to dziwoląg, kompletnie nieświadom tego, co robi. Bywają takie fenomeny. Wolsey przypomniał sobie dziecko, które kiedyś oglądał. Z ust ciekła mu ślina i na co dzień nie mówiło ani słowa, a jak doskonale umiało recytować psalmy. Przez kilka lat obwożono to stworzenie po jarmarkach, prezentując je jako bożego pomyłeńca. A potem chyba umarło... Tak, umarło, gdy w końcu wzięto je pod dach i zaczęto przyzwoicie karmić. Bóg stwarza takie dziwolągi, by przypomnieć nam o swej wszechmocy, o tym, że sprawić może wszystko, cokolwiek sobie zamyśli. Kanclerz przeniósł spojrzenie na pulchne palce zwinnie zamykające kasetki. Sprawność tych rąk wyprowadziła go nagle z równowagi, mimo woli wywołała bowiem myśl: a jeśli kobiety objawiałyby równe mężczyznom zdolności,

gdyby uczyć je tych samych rzeczy. Natychmiast odrzucił ten zgoła absurdalny pomysł. Śmieszne! Istnieje wszak logiczne wyjaśnienie sprawy. Ten dziwoląg stworzony przez Boga w Jemu tylko wiadomym celu musiał, obserwując swego męża, bezwiednie przyswoić sobie arkana jego rzemiosła. Tak, na tym to wszystko polega.

- Madame, twoje miniatury dorównują najlepszym cudzoziemskim dziełom, które mam w swojej kolekcji - przemówił na głos. Wśród dworaków skłonnych jak zwykle popierać poglądy swego suwerena rozległ się pochwalny szmerek.

Malarka powiodła wzrokiem po kręgu nieznanym mężczyznom, po jaśniejącej przepychem potężnej postaci biskupa i nagle pojęła niemą wymowę ich spojrzeń. Teraz wiem, jak się czuje tańczący niedźwiedź, pomyślała. Gwałtownie zapragnęła uciec, lecz dokąd? Poza tym nie odmawia się żądaniom możliwych. Stała więc w milczeniu przed tronem biskupa, myśląc z goryczą, iż sama nawarzyła sobie tego piwa. Dlaczego zgodziłam się tu przyjść? Bo chciałam. Choć teraz nie wiem doprawdy, jak mogłam tego pragnąć. Trzeba było siedzieć w domu, zadowolić się tym, co jest. W jej szeroko otwartych niebieskich oczach mignął lęk. Opanowała się szybko: chyba nikt tego nie dostrzegł? Nikt poza Wolseyem. Aha, pomyślał z triumfem, mam ją.

- Pragnę zatrzymać cię w swojej służbie jako malarkę z pensją piętnastu funtów rocznie. Będziesz stawiać się tutaj na moje wezwanie, zaś pod moją nieobecność pan Tuke udzielać ci będzie instrukcji - oświadczył, patrząc już na nią jak na nowy okaz w swej kolekcji, ciekawostkę w rodzaju grającego zegara. No, niezupełnie, sprostował tę myśl. Tym razem to jednak coś więcej aniżeli martwa osobliwość. Przypomniawszy sobie to nieszczęsne dziecko. Tak, jeśli z jej talentu mam mieć jakiś pożytek, trzeba obchodzić się z nią delikatniej.

- Chcę, by towarzyszyła ci zawsze jakaś obyczajna niewiasta. Sama dokonaj wyboru osoby - dodał łaskawie, usiłując przybrać minę dobrotliwego wujaszka. Malarka spostrzegła to i zdołała stłumić nagłą panikę. Choć serce tłuło jej się w piersiach, odrzekła w miarę spokojnie:

- Wielki to dla mnie zaszczyt, wasza miłość.

Cała audiencja trwała ledwie kwadrans. Wolsey, któremu niespożyta energia pozwalała równie skutecznie organizować maskarady, co i prowadzić wojny, poświęcał każdej sprawie tylko chwilę, aby zaraz zająć się następną. Jego dzień pracy wypełniał nie kończący się strumień petentów, spraw państwa i interesów. Jednakże malarce warto było poświęcić nieco czasu. Dobry portrecista stanowił cenny nabytek dla każdego księcia, a już miniaturzysta stawał się dla swego patrona źródłem wyjątkowej zgoła satysfakcji. Mając go w swojej służbie, można było okazywać łaskę, ofiarowując wybranym swe kunsztownie

wykonane podobizny, bądź schlebiać im prośbą o ich konterfekty. A co dopiero malarka obdarzona niespotykaną umiejętnością przedstawienia charakteru i duszy człowieka w portrecie nie większym od dłoni! Był to skarb nieoszacowanej wartości dla kogoś takiego jak Wolsey. Przeniknięcie zamysłów jego zagranicznych partnerów i przeciwników było sprawą ogromnej wagi, a dzieliły go od nich nieraz i tysiące mil. To, że jest naiwna, dumął biskup, ma oczywiście swoje dobre strony, mimo to trzeba przydzielić jej stróża, inaczej popełni jakąś niedyskrecję albo ktoś mi ją zechce podkupić.

Rozejrzał się po swojej świecie: kogo by tu poświęcić? Nastroszony Ashton tkwił dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stała malarka. Jego wielkie dłonie zwisały luźno po bokach niczym poście wędzającej się szynki. Minę miał ponurą, w oczach malowała się niechęć. Wolsey nie musiał długo myśleć, aby doszukać się przyczyn. To ona. Zdążyła już czymś urazić jego dumę. Doskonale się składa. Posłał młodemu człowiekowi nieomal ojcowski uśmiech, myśląc zarazem, że Ashton to najbardziej kłopotliwy z jego sekretarzy. Po każdym małym triumfie trzeba mu przy trzeć nosa, inaczej jego duma rychło przekształciłaby się w pychę. Ostatnio w charakterze remedium zastosował pachnącą kulkę, następnym będzie malarka. Dobrze mu to robi.

- Panie Ashton, życzę sobie, abyś miał oko na tę kobietę. - Kanclerz zachował łaskawie dobrotliwą minę, jakkolwiek rozpieła go uciecha na widok strasznego wrażenia wywołanego tym poleceniem. - Kiedykolwiek wyślę ją gdzieś dalej z jakimś zadaniem, ty zorganizujesz jej podróż. - Mięsień na szczęce Ashtona jął drgać, szyja wyraźnie mu poczerwieniała. Coraz lepiej. - I oczywiście czynię cię odpowiedzialnym za to, by nikt nam jej nie podkupił. - Ashtonowi opadła szczęka. Och, skrzywił się w duchu biskup, cóż za brak dobrych manier.

- Ale... ale - zająknął się Ashton, na co Tuke uśmiechnął się z afektacją - musiałbym wszak chodzić za nią jak... - Jak piesek, dopowiedziały jego oczy, dlaczego mi to robisz? Zaliczę ci to na poczet przyszłych grzechów, bezgłośnie roześmiał się biskup.

- Jestem pewien - odrzekł - że potrzebne jej będą instrukcje z zakresu dworskiej etykiety... Kiedy już wbił komuś nóż, nie mógł się powstrzymać, by nie obrócić nim w ranie.

- Nie jestem guwernantką... e... to znaczy... chciałem powiedzieć, wasza miłość, że ja się do tego nie nadaję.

- Powierzam ci ważne zadanie - uciął Wolsey stanowczym tonem. Zza pleców dobiegł go śmieszek Briana Tuke'a. Wezmę się i za ciebie, przyobiegał mu w duchu. Następnym razem tekę poniesie chyba pan Warren. - A zatem, panie Ashton, bądź łaskaw zamówić dwie złote szkatułki. Zamierzam wypróbować tę malarkę i właśnie w tym celu zlecę jej wykonanie

miniatur dwojga moich siostrzeńców. - Portrety jego dzieci, Dorothy i Thomasa Winterów, mogły spoczywać jedynie w szkatułkach ze szczerego złota. Z małego Thomasa zamierzał w swoim czasie uczynić księcia Kościoła. Cóż w tym złego, wszak i papież ma syna. A biskup Thomas Wolsey postanowił sobie zostać pierwszym angielskim papieżem.

Miałam kłopoty jako zmarły malarz, lecz i jako żyjącej malarce też mi ich nie zbrakło, i to od samego początku. Ten człowiek Wolseya, który taki był dumny z wykrycia mojej tajemnicy, nawiedził mnie już w kilka zaledwie godzin po audiencji. Ani chybi przyszedł powęszyć, a rozejrzał się po pracowni takim wzrokiem, jakby nawet ścianom miał za złe. Przystąpiwszy z nogi na nogę, powiadomił mnie sucho, że będzie mi towarzyszyć tudzież uczyć zasad etykiety, które to zasady powinnam sobie lepiej przyswoić. Subtelność zaiste uderzająca!

Myślę, że chyba nawet siennik pełen pcheł tak by mnie nie rozżłościł jak ta jego nieznośna protekcyjność. Kiedy indziej poprzestałabym pewnie na podziękowaniu za tyle troski, byle się go co prędzej pozbyć, ale że byłam u siebie, mogłam mówić śmieiej.

- Och tak, tańczący niedźwiedź potrzebuje dozorca - rzuciłam cierpko. Nic na to nie odrzekł, choć i nie odchodził. Taki był wielki w tej ciasnej komnatce i tak nie na miejscu wśród tych licznych postaci gołej Ewy. Jej różowe ciało i bujne kształty wydawały się przy nim jeszcze bardziej nieprzyzwoite. Och, czułam, że jest strasznie upokorzony. Gdy dotarło do niego, że i ja doznaję podobnych uczuć, dostrzegłam w jego oczach błysk. Nawiązało się między nami coś jakby nic porozumienia. - Czy biskup Wolsey zawsze wyznacza panu podobne zajęcia? - zapytałam.

- To zaszczyt być pokornym sługą możnego arystokraty i tak wielkiego człowieka.

- I ja tak myślę.

- Tego trzeba będzie się pozbyć - zatoczył dookoła ręką.

- Wiem. Nie są zbyt obyczajne. Przyzwoita kobieta nie powinna oglądać takich rzeczy.

- A co dopiero malować. Swoją drogą, madame, skąd ci się wziął ten pomysł?

- Och, na dole mieszkał członek gildii i to on malował takie sceny. Potem umarł. Kiedy wdowa po nim napomknęła, że przydałoby się więcej podobnych obrazów, bo jest na nie popyt, poczułam się w obowiązku wyświadczyć jej tę przysługę.

- Podoszywałaś się zatem aż pod dwóch zmarłych malarzy.

- No tak - westchnęłam ze skruchą.

- Powinnaś się wstydzić.

- Wstydziłabym się, gdybym miała na to czas, a nie miałam. Wcale nie jest łatwo

zarobić na życie. Wszyscy dookoła mówią, że dobry chrześcijanin winien troszczyć się o wdowy i sieroty, ale mnie ci dobrzy chrześcijanie chyba przeoczyli, a jestem i jednym, i drugim.

- Wiem. - Po tych słowach odwrócił oczy. Zrozumiałam, że więcej nic już nie powie, lecz że jest jakaś reszta, którą zachował dla siebie. Jaka? Wyznam, że bardzo chciałam się tego dowiedzieć. Co prawda trochę się mogłam domyślić, bo brzeżki uszu zaróżowiły mu się w taki sposób, że sprawiłoby mi to przyjemność, gdybym nie przewidywała, że tym wtrącaniem się w moje życie ogromnie mi je utrudni.

Nad Londynem szalała ulewa. Godła domów z grzechotem obijały się o ściany, strugi wody ściekające po ukośnych dachach rwącymi potokami wylewały się z rynien. Szczelnie okutany czarnym płaszczem drobny mężczyzna z twarzą skrytą w kapturze mozolnie brnął przez Seacole Lane, chroniąc się przed deszczem pod osłoną wiszących nad ulicą pięt. Dotarłszy do tawerny „Pod Głową Saracena”, skręcił na dziedziniec, skąd zewnętrzne schody wiodły do małej komnatki na poddaszu. Mężczyzna wbiegł na nie pędem, nie zważając na łomot, jaki wywołują jego ciężkie kroki, i bez pukania otworzył drzwi.

Przy stole siedział maitre Bellier. Pokój rozjaśniało jedynie nikłe światełko świeczki i równie nikły odbłask bijący od ustawionego w kącie trójnoga z koszem na węgiel drzewny, który nie dawał wiele ciepła. Mistrz miał na sobie grubą, bramowaną futrem szatę i czapkę z kłapami na uszy. Uzbrojony w szkło powiększające, badał rozłożoną na stole kolekcję starych medalionów. Kiedy Eustachy zrzucił z siebie długi czarny płaszcz, po całym pokoju rozszedł się zapach przemoczonej wełny.

- No i co tam? - rzucił maitre Bellier. - Jakie przynosisz wieści?

- Zacząłem od rozpytania się o tego Croucha. To znany okultysta, oddający się ponoć najniebezpieczniejszym praktykom satanistycznym, jak również nekromancji.

- Hm, interesujące, jakkolwiek zważywszy charakter manuskryptu, można było się tego spodziewać. Inaczej by go nie szukał. - W przeciwieństwie do swego podnieconego sługi pan Bellier zachowywał niewzruszony spokój.

- W rzeczy samej. Dowiedziałem się, że tej zimy wynajął ródźkarza zwanego Ślepym Barnabą, by mu pomógł odnaleźć jakiś skarb. Ów Barnaba mieszkał wraz z córką, owdowiałą akuserką, przy Chicken Lane. Na te poszukiwania Crouch poza ślepcem wziął jeszcze dwóch dżentelmenów... no i Barnaba już stamtąd nie wrócił. Znalezione go nazajutrz z poderżniętym gardłem za murami City, w miejscu budowy nowego domu na ruinach starej Tempie.

- Aha, oto i mamy nasz zaginiony skarb. Zdecydowany jegomość z tego Croucha -

skonstatował Bellier z nutą niejakiego rozbawienia w głosie.

- W jakiś czas później spadająca dachówka dziwnym trafem zabiła nie kogo innego, tylko Goody Forster, córkę Ślepego Barnaby. Przedtem jednak wszystko, co wiedziała, zdążyła rozgadać kumoszkom, z których jedna, niejaka matka West, jest żoną właściciela plugawej tawerny na Fleet Lane zwanej... hm... „Pod Kozłem i Butelką” czy jakoś tak. - Eustachy roztarł zgrabiałe ręce i zbliżył je do kosza z węglami.

- A więc zginęło dwoje ludzi, którzy wiedzieli o odkryciu sieur Croucha, co? Jakież to wygodny zbieg okoliczności. Ma naszą księgę. Jest to tak pewne, jakby powiadomił nas o tym listownie. Tę historyjkę o podziale łupów oczywiście zmyślił. - Bellier, podparłszy ręką podbródek, słuchał teraz bardzo uważnie.

- Nie, zaraz, myślę, że nie! Tej nocy, gdy zginął Barnaba, Crouchowi, jak mówiłem, towarzyszyło dwóch mężczyzn. Jednym był pewien malarz, którego matka West dobrze знаła z widzenia, jako że mieszkał na wprost jej tawerny, ten drugi to jakiś prawnik niewiadomego nazwiska. Otóż w całym sąsiedztwie zawrzało, gdy któregoś dnia przyniesiono żonie malarza jego zwłoki z tyłoma dziurami, że nadawałyby się na gołębnik. Przysłał je pewien człowiek, który jakoby znalazł trupa na ulicy. Wkrótce potem u wdowy zjawił się ów prawnik; przeszukawszy mieszkanie, zabrał jej wszystkie meble, od czego nieszczęsna popadła w obłęd.

- Czarujące trio awanturników - skonstatował znów pan Bellier z ledwo uchwytnym uśmiechem.

- To jeszcze nie koniec. Ten diabelski Crouch ofiarował się z pomocą wdowie, a dowiedziawszy się, że prawnik wszystko już wyniósł, wpadł w istną furię.

- Aha, musimy więc odnaleźć owego prawnika. To on ma rękopis. Musiał zabrać go razem z ruchomościami malarza - dokończył Bellier, niecierpliwie bębniąc palcami. Jakże powoli myśli ten Eustachy, wszak fakty są oczywiste.

- Tak i ja sądziłem, lecz po tym, co mi powiedziano przed godziną, nasuwają się, niestety, inne wnioski. Ta szalona wdowa po malarzu dostała miejsce u biskupa Wolseya, najbliższego doradcy króla. Wielki kanclerz zaczął raptem płacić jej pensję, choć dotąd nie utrzymywał z nią żadnych stosunków, ba, wcale jej nie znał. W tawernie aż huczało. Nikt nie mógł pojąć, jak do tego doszło. Ludzie gadają, że ta wdowa musiała zostać metresą jego eminencji. Podobno ma nowe suknie, spłaciła długi i nabyła meble.

- *Mon dieu* - wyszeptał maitre Bellier, blednąc nagle jak płótno. - To się tłumaczy w jeden tylko sposób: coś mu dostarczyła... rzecz wielkiej wartości...

- Albo płaci jej za milczenie...

- Jeżeli jest tak, jak myślę, spełniły się nasze najgorsze obawy. Kościół jest na tropie Tajemnicy. Nasi śmiertelni wrogowie... Gdy te wieści dotrą do Rzymu, wszyscy będziemy martwi... - Bellier wstał, chwytając się krawędzi stołu. Ręce wyraźnie mu drżały. Perspektywa śmierci na stosie, tak bowiem karano herezję, budziła w nim przerażenie.

- Mistrzu, trzeba pomyśleć logicznie, rozważyć inne możliwości...

- Tak, tak, logika przede wszystkim - wymamrotał Bellier, nerwowo chodząc po izbie; w jego oczach widać było desperację. - Trzeba się przekonać, czy i tego prawnika spotka los taki sam jak tamtych... Mamy kogoś w siedzibie Wolseya?

- Nie, ale możemy nakazać naszemu agentowi w Rzymie, by pilnie śledził jego korespondencję...

- Słusznie, słusznie. Ale zaraz... Powiadają, że wielki kanclerz to ambitny światowiec.

- Na przygnębionej twarzy mistrza pojawił się cień nadziei. - Jaki miałby pożytek z przekazania Rzymowi naszej Tajemnicy? Żaden. Nie, gdyby miał wybierać, komu służyć, papieżowi czy swojemu władcy, na pewno wybrałby króla. Wiele przemawia za tym, że znalazłszy się w posiadaniu Tajemnicy, zechce ją zachować dla siebie, grając na zwłokę i czekając właściwej chwili... - Urwał i spojrzał na swego lokaja, który wciąż jeszcze stał przy koszu z węglami, bezskutecznie próbując się rozgrzać. Trzęsły nim dreszcze, przemókł bowiem do nitki. - Musisz się dowiedzieć, czy ta kobieta wyjawiała coś Wolseyowi, a jeśli tak, to ile, czy też utrzymuje z nim tylko potajemny związek cielesny. Mogła przystać na to dla profitu. Prośmy Boga, aby tak było! Nie odstępuj jej ani na krok! Ja dyskretnie rozpytam o tego prawnika. Będę udawał, że mam do niego sprawę... chcę uzyskać tytuł do jakichś dóbr ziemskich... Być może skończy się na tym, że wszystkich zainteresowanych będziemy musieli uciszyć. Jeśli nie jest jeszcze za późno.

W antykamerze przeznaczonej dla skrybów jego eminencji samotnie siedział Robert Ashton, pochylony nad serią papierów rozłożonych na wąskim biurku. Na jego bladej regularnej twarzy malowało się ogromne skupienie, a wielka dłoń, za wielka na rękę skryby, zadziwiająco płynnym ruchem wodziła piórem po papierze. Pisał ostateczną wersję poufnego listu Wolseya, którą polecono mu także przetłumaczyć na język francuski. Na kracie paleniska żarzyło się kilka węgla; dzień był chłodny i brzydki. Przez wąskie okienko sączyło się do środka przygnębiająco szare światło. Ashton przerwał i przeciągnął ręką po czole, by odsunąć niesforne włosy. Nagły rozbłysk ognia odbił się na jego napiętej twarzy. Nachmurzył się jeszcze bardziej, tak mocno ściągając brwi, że zbiegły się prawie nad nosem. Wyglądał z tym wojowniczo i zarazem dziwnie żałośnie.

Wiosna, mokra w tym roku i chłodna, od pewnego czasu nastrajała go melancholijnie. Choć Tuke znów ostatnio towarzyszył Wolseyowi na posiedzenie rady, Ashton tym razem nic sobie z tego nie robił. Wolał być sam, ukryć przed światem trawiący go zamęt. Dwa lata wcześniej właśnie o tej porze panna Lucas zawiadomiła go listem, że wszystko między nimi skończone, zaręczyła się bowiem z zamożnym starszym człowiekiem z sąsiedztwa. Odłożył pióro, gdyż cała ta scena stanęła mu przed oczami. Z twarzą wciąż jeszcze pożółkłą od gorączki - a wywiązała się ona od rany, którą zadano mu strzałą z włoskiej kuszy, niszcząc zarazem wszelkie widoki na przyszłość - przybył pod drzwi kochanej dziewczyny i... zastał je zamknięte. Tam też, na schodkach, wśród śpiewu wiosennych ptaków, przeczytał okrutne słowa skreślone niewprawną dziewczęcą ręką.

„Nie znałam dobrze swych uczuć” - napisała na wstępie, lecz potem wyliczyła mu wszystkie braki. Ach, ile ich było! Rozpoznał w tym sądy jej ojca. Ileż to razy nazywał go „małym, nic nie znaczącym człowiekiem bez majątku”. Zacisnąwszy zęby na wspomnienie owej zniewagi, Robert mimo woli zagiął do wewnątrz palce lewej ręki: tak wyglądała podówczas, na poły sparaliżowana. Bezwiednie rozprostował je prawą dłonią. Powiedział sobie wtedy, że będzie nią władał, że wyzdrowieje. Postanowił tak z czystej wściekłości. Jeszcze wam pokażę, myślał z determinacją. Ha, teraz by im pokazał, tej ambitnej dzierlatce i jej chciwemu ojcu, co można osiągnąć w służbie takiego człowieka jak biskup! Źle to sobie wykalkulowali. Popelnili ogromny błąd, nie rozumiejąc, ile u człowieka znaczy umysł. Szkoda, że taki drobny szlachetka jak Lucas nie ma żadnych widoków, aby kiedykolwiek znaleźć się na pokojach jego eminencji. Ashtonem wstrząsnął dreszcz; czuł się dziwnie jakoś obolały, jak gdyby po raz drugi chirurg usuwał mu strzałę. To ta wilgoć, od niej to wszystko.

Jednakże... Musiał uczciwie przyznać, że tej wiosny jego gorzkie żale przebiegają nieco inaczej, że coś je stale zakłóca. Tym czymś był natrętny obraz piegowatej twarzy z zieloną smugą na nosie i śmiesznie naiwny głosik wypowiadający książkowe mądrości o życiu. Teraz też ledwo udało mu się przywołać z pamięci szczupłą twarzyczkę panny Lucas i jej jasne, schludnie splecione warkocze, głosik znowu przemówił: „No tak, każdy tańczący niedźwiedz potrzebuje dozorczy”, Robert zaś stwierdził, że patrzy w dziwnie współczujące niebieskie oczy drobnej kobiety o jakże apetycznym ciele, szczelnie opiętym odświętną żałobną suknią. Poczuł w piersiach osobliwy ból. Zatrute jedzenie, pomyślał, często tak się to właśnie zaczyna. Spróbował sobie przypomnieć, co jadł przez ostatnich kilkanaście godzin, i z pewnym zdziwieniem stwierdził, że od półtorej doby nic nie miał w ustach. A więc to nie trucizna, tylko inne jakies choróbsko, kto wie, czy nie gorsze. A, niech tam! Może śmiertelna choroba byłaby najlepszym wyjściem... nareszcie koniec wszystkiego. Nikt by nawet po nim



nie zapłakał.

Znów wrócił myślami do tej malarki. Nie sposób nazwać jej schludną... te ślady farby na spódnicy, wprawdzie gorszej, ale jednak... No i na pierwszy rzut oka widać, jak bardzo jest samowolna. Samowolna i z gruntu zepsuta. W dodatku wdowa. Nie jest to niewinne dziewczę. Złapał się nagle na tym, że bardzo jest ciekaw, co ukrywa owa czarna suknia, i natychmiast znienawidził siebie, że dał się omamić tej bez wątpienia wytrawnej kusicielce. Jak mógł nie przejrzeć jej uwodzicielskich sztuczek? Spódnicę celowo pewnie pochłapała farbą, żeby zwrócić uwagę na widoczne spod niej pęciny. Oszustka. Nie lepsza od innych, jeśli nie gorsza. Wytrawna oszustka. Panna Lucas przynajmniej nie oszukiwała, a za to, co zrobiła, główną winę ponoszą jej chciwi rodzice, malarka natomiast jest niegodziwa z natury. Kłamczucha, intrygantka, kobieta, która przed niczym się nie cofnie, byle tylko wspiąć się w górę. Najpierw okpiła wszystkich zmyśloną historyjką o duchu powracającym z zaświatów, a potem na spółkę z tą drugą kazała mi się uganiać za nie istniejącym czeladnikiem, pomyślał z furją. I nie dość że maluje takie bezwstydne obrazy, to jeszcze ma czelność sprzedawać je ludziom jako dzieła zmarłego artysty.

Żeby to jednego! Dwóch! Mimo woli zaczęło go to śmieszyć. Że też tak potrafiła zwodzić. Tu niby niewinne oczęta, a mózg jej pracuje jak wiatrak. Jedno jest pewne: tępa to ona nie jest. Pospiesznie przepędził te nieco cieplejsze uczucia, przypominając sobie, że to wdowa bez pieniędzy i rodziny, słowem, osoba nic nie znacząca... Zaraz, przywołał się do porządku, czy ja aby nie używam tych samych argumentów, co ten stary hipokryta Lucas? Nie, to nie tak. To raczej ta kobieta i Lucas ulepieni są z tej samej gliny. Chciwi naciągacze strojący się w piórka fałszywych pozorów. Jest tylko zuchwalsza i dużo sprytniejsza od mego niedoszłego teścia. Pamięć usłużnie podsunęła mu obraz zwinnych rączek o krótkich palcach ze śladami niebieskiej farby pod paznokciem. Ale czy spod tego spiczastego czepka nie wymknął się niesforny pukiel rudawych włosów? Zastanowiwszy się nad tym, doszedł do wniosku, że go pamięć nie myli, i to ostatecznie przesądziło sprawę: ta kobieta to nic dobrego, jak wszyscy rudzi.

Chwycił znów pióro i zaczął pisać. Uspokoili go trochę okrągłe, wyważone frazy, lecz ból, ten fizyczny, pozostał. Ashton powiedział sobie, że to ani chybi atak febry.

- Pan Robert Ashton?

Uniósłszy głowę, zobaczył w drzwiach znajomą postać. Wśród licznych obowiązków Wolseya mieściło się również przewodniczenie miejskim sądom, ten człowiek zaś był jednym z pomniejszych sędziów; niekiedy też nawiedzał siedzibę biskupa, by mu się przypomnieć to rzadką monetą, to medalionem. Ashton szybko osuszył piaskiem pismo i schował je do

szuflady.

- Dzień dobry, sir Septimucie. Co pana do nas sprowadza?

- A pan jak zwykle zajęty! Cóż za godna podziwu pracowitość! - W oczach Croucha zamigotała złośliwość. - Znalazłem właśnie parę osobliwości, które być może zainteresują jego eminencję. Byłbym ogromnie wdzięczny, gdybyś zechciał mu wspomnieć, że dysponuję rzadkim medalionem z Bizancjum o wyjątkowo dobrze zachowanym profilu. Zechcesz mi pan załatwić miejsce w gronie uczestników następnej audiencji? Ach, świetnie! - wykrzyknął, kiedy Ashton w milczeniu skinął głową. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Ale czemuż to taki jesteś dziś nieswój, drogi panie Ashton? Milczysz, i do tego ta posępna mina. Słyszałem, że trafiło ci się doprawdy miłe zadanie. Wszak opieka nad lubieżną wdówką to dla młodego człowieka nie lada gratka. Zajrzałeś jej już pod spódnicę? - Crouch ucieszył się, gdy na te słowa Ashton ściągnął usta z wyraźnym niezadowoleniem. Prostack, tym się zdradził. Ma na nią chętkę. Doskonale, już mam go w garści.

- Widać wieści o mojej niełasce szybko się rozeszły - zauważył Ashton. Crouch skwitował to uśmiechem, postanawiając wyciągnąć z interlokutora ile się da informacji i przy okazji wsączyć mu kroplę trucizny. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Liczył, że Ashton zacznie mu się zwierzać, aż w końcu wyjawii, komu wdowa sprzedała rękopis.

- Ach, mój chłopcze, plotki mają skrzydła, ale wszystko wkrótce się odmieni, bądź dobrej myśli. Jeśli nawet teraz nie doceniono twego talentu i zasług, zapewniam cię, że odtąd znacznie dziać się lepiej. Dobrze znam jego eminencję...

Ashton spojrzał na niego z wdzięcznością.

- Powiedz mi jednak, skoro masz już do czynienia z tą wdową, czy nie stara się ona sprzedać jakowychś osobliwości? Drobnych antycznych przedmiotów, starych manuskryptów? Jak ci wiadomo, ustawicznie poszukuję takich rzeczy.

- Nie wygląda mi ona na kolekcjonerkę. Jej mieszkanie jest prawie puste.

Ciekawe, jął zastanawiać się Crouch, połapała się w wartości rękopisu czy też Ludlow położył na nim łapę?

- Ach, ale jej mąż był zbieraczem. Posiadał też sporo rzadkich okazów. Było ich wystarczająco wiele, by wdowa po nim mogła się całkiem wygodnie urządzić... pod warunkiem że uwolni się od męża, nim ów zdąży roztrwonić wszystko na kochanki.

- Co masz na myśli, panie Crouch?

Crouch z uśmiechem człowieka, który w życiu widział niejedno, pochylił się nad swoim rozmówcą.

- No cóż, drogi chłopcze, obaj jesteście światowymi ludźmi... W jaki sposób sprytna a

mściwa kobieta może pozbyć się męża, kiedy ten zaczyna być kłopotliwy? Posyła anonimowy liścik mężowi jego kochanki i już nazajutrz zwłoki niewiernego małżonka znajduje ktoś na ulicy. - Crouch wyrzekł to lekkim tonem, konstatuując z wielką satysfakcją, że policzki Ashtona powlekają się trupią bladością. Ha, prawie się w niej zakochał, alem chyba zdążył przybyć w porę. Takie codzienne obcowanie robi swoje. Gdyby jeszcze trochę to potrwało, musiałbym nieodwołalnie pożegnać się z manuskrytem. Ach, ci młodzi mężczyźni! Tak łatwo się zapalają, całe szczęście, iż równie łatwo ich przejrzeć. Jeszcze tylko odrobina zwierzeń i będzie mój. - Wydajesz się zdenerwowany, drogi panie Ashton. Posłuchaj. Dopiero gdy dożyjesz mego wieku, poznasz kobiety i ich przewrotność. Przekonasz się także, iż są w tym niezmordowane. Przyjrzyj się historii świata! Ileż zła wyrządziły słynne kusicielki, Ewa, Helena trojańska, Messalina. Niegodziwe serca w boskich kształtach. - Zadowolony z efektów tej perory, uderzył w ton bardziej osobisty: - Nie czyń sobie wyrzutów. Wszystkich nas zwodniczy śpiew syren rzuca czasami na skały. Wszyscy cierpimy przez kobiety i nie ma przed tym ratunku. Pamiętaj, że z bólu, którym Bóg nas doświadcza, płynie jednakże nauka.

- Jakże byłem ślepy! Nie widziałem prawdy, choć przecież cały czas leżała przede mną jak na talerzu. A myślałem, że umiem patrzeć i wyciągać wnioski - wyszeptał Ashton na poły do siebie. Wyglądał, jakby coś w nim pękło. Przygarbiony odwrócił głowę, aby Crouch nie widział jego twarzy. Ten dla odmiany promieniał.

- Nie wstydz się łez, drogi przyjacielu - powiedział poufnie, obejmując ramieniem ofiarę swego oszustwa. Z upodobaniem doprowadzał ludzi do rozpacz, tym razem wszakże poszło mu tak gładko, że nie odczuł prawie żadnej satysfakcji. Niewielka to zresztą przyjemność zniszczyć jednego człowieka. Dopiero obalenie królewskich dynastii uważał za sprawę godną swojej mocy. Już niedługo zmierzy się z tym wyzwaniem. Jak tylko odzyska brakujące części manuskrytu. Skinął na pazia i kazał mu zavezwać swego sługę: niechaj przyprowadzi muła.

Nie minął tydzień od pierwszej audiencji, gdy zaczęłam regularnie bywać w Brideswell, podobnie jak wszyscy dworacy ze świty mojego patrona. Na szczęście mieszkałam niedaleko, dzięki czemu nie musiałam zrywać się o brzasku i marznąć, na plus trzeba też zaliczyć i to, że jedzenie w biskupiej kuchni było wyśmienite. W siedzibie Wolseya panował ciągle gwar i bieganina. Wciąż ktoś wchodził lub wychodził w sprawie ważnej dla biskupa, Kościoła albo królestwa, przybywali rozmaici goście. Na pokojach widziało się rycerzy, cudzoziemców, księży i muzyków, pośród których uwijała się służba. Stanowiłam tu

kolejną nowość, no i dobrze, niechby tak było, szkoda tylko, że cały ten tłum irytował mnie swym natręctwem, stojąc mi za plecami i gapiąc się na to, co robię. Irytujące były również wielkie psy gończe w nabijanych mosiężnymi ćwiekami obrozach, bo od razu zaczęły za mną łazić, ale taki już chyba mój los.

Pierwsze portrety zlecone mi przez Wolseya miały być dla mnie próbą. Myślę, że wielu wciąż jeszcze wątpiło, czy owe przedstawione biskupowi trzy miniatury naprawdę ja namalowałam. Zaledwie Nan wniosła za mną pudło z pędzlami i resztą malarskich przyborów, wszyscy zbiegli się je oglądać. Przyszedł nawet pan Ashton, dziwnie jakoś blady. Spojrzenie miał przygaszone, a wokół oczu czerwone obwódki, jakby chwytala go febra. Macie swojego niedźwiedzia, rzekłam w duchu gapiom. Przyszliście popatrzeć, jak tańczy, postaram się zatem, byście mieli dobre widowisko.

Ku memu zdziwieniu lady Dorothy i sir Thomas Winterowie okazali się dziećmi! Przyznam, że miłosierdzie biskupa zrobiło na mnie wrażenie. Tak troskliwą opieką otoczyć dwoje sierot, żeby im zamawiać portrety? Wszak było to dużo więcej, aniżeli nakazuje Biblia. Zaczęłam od podobizny lady Dorothy, była bowiem cichsza i mniej się wierciła, a chciałam się pokazać z jak najlepszej strony. Kiedy z pomocą Nan wkładałam swój jedwabny chałat, wszyscy ci rozgdakani urzędnicy w liberiach, rycerze i księża chichotali jak głupi do sera, a potem zaczęli wykrzykiwać jeden przed drugiego, a to jakich używam malutkich pędzelków, a to jakie drobniotki są moje kreski. Jakby nigdy jeszcze nie widzieli miniaturzysty przy pracy. Lecz gdy już zaczęłam malować, przestali dla mnie istnieć, czas zresztą także.

- Jeszcze nie skończyłaś? - usłyszałam za sobą głos pana Ashtona; właśnie płukałam pędzle. Pewnie przez tę malarię stał się taki cierpki. Albo może ja się pomyliłam, widząc w nim to, czego w ogóle nie było. Przedtem w jego oczach odbijało się tyle interesujących myśli, teraz były zgaszone i twarde, a twarz przypominała maskę.

- Praca nie jest skończona, póki narzędzia nie zostaną uprzątnięte - powtórzyłam to, co zawsze mawiał mój ojciec, kiedy próbowałam zostawić bałagan, bo pilno mi było się bawić.

- Słyszałam, pani, że świetnie umiesz porządkować rozmaite rzeczy.

Zabrzmiało to bardzo zgryźliwie. No, Zuzanno, powiedziałam sobie, znów zwiodyły cię czyjeś interesujące oczy. Ten błysk na twój widok wyimaginowałaś sobie, bo chciałaś, aby tak było.

- Zrobienie dobrego pędzla kosztuje wiele pracy, więc nie będę ich psuć bez przyczyny.

- To ty je robiłaś, madame? - Głos mu nieco złagodniał. Ciekawość. Uważaj, Zuzanno, przestań fantazjować. Złapałam się na tym, że patrzę na jego ręce. Istne niedźwiedzie łapska.

- Oczywiście. Pędzli nie znajduje się w trawie, to nie grzyby, co rosną po deszczu. - Każde słowo wznosiło między nami coraz grubszy mur. No cóż, niedźwiedzie potrafią być niebezpieczne.

- Są zrobione wybornie... z taką wprawą.

- Nic dziwnego, robiłam pędzle dla ojca. Wszystkie, których używał mój mąż, były również mojej roboty. Myślę, że po to się ze mną ożenił. Taniej to kosztowało, niż gdyby płacił uczniom. - Nie wiem, dlaczego Ashton nagle się wzdrygnął. Ponieważ zmrok już zapadał, odprowadził mnie do domu, lecz przez całą drogę nie powiedział słowa, nawet na pożegnanie.

Następnego dnia malowałam podobiznę małego pana Thomasa. On także bardzo mi się udał, jakkolwiek widać było, że rozpuszczony jest zgoła jak dziadowski bicz. Nie mogłam tego ukryć bez uszczerbku dla podobieństwa. Kiedy zaniósłam miniatury biskupowi, wpatrywał się w nie długą chwilę, później zaczął chrząkać i wreszcie oznajmił, że są dobre; nie zawiodłam jego oczekiwań. Pan Ashton natomiast, odprowadzając mnie po audiencji, wydawał się bardziej rozdrażniony niż zwykle. Kiedy bocznymi drzwiami wydostaliśmy się na ulicę, przerwał wreszcie kilkudniowe milczenie:

- Zuchwał z ciebie ladaco. Masz szczęście, tym razem ci się upiekło.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Wyprzedziłam go nieco, by przekroczyć wezbrany rynsztok.

- O tym, że obojgu nadałaś, pani, rysy biskupa, i dobrze to wiesz! - warknął, zrównując się ze mną jednym susem.

- Maluję tylko to, co widzę, poza tym jest przecież ich wujem. Cóż dziwnego, że tak są do niego podobni. Wszak to całkiem naturalne.

- Och, w istocie - rzucił nader sarkastycznym tonem. - A tobie się zdaje - dodał z pasją - że wywiniesz się ze wszystkiego, nieprawdaż? Albo jesteś idiotką, madame, albo najbardziej szczwaną szelmą, jaką zna świat.

- Myślę, że jestem malarką, zaś ty, panie Ashton, cokolwiek chcesz mi powiedzieć, czynisz to zbyt przewrotnie, by twe słowa mogły odnieść zamierzony skutek.

Zamilkł i nie odezwał się już aż do domu.

Zastanawiając się później nad tą naszą dziwną konwersacją, zaczęłam myśleć, że jeśli wzbudzam jakieś podejrzenia co do swojej osoby czy obrazów, to być może sama sobie na to zasłużyłam. Prawdą jest przecież, że udawałam dwóch zmarłych malarzy, a takie oszustwa źle wpływają na reputację. Tymczasem jednak owi ciekawscy obecni przy malowaniu dzieci zdążyli rozpowiedzieć już wszem wobec, jaki to ze mnie cud świata i wybryk natury, tak że

przy następnym portrecie tłum zebrał się dwa razy większy. Każdy chciał dobrze widzieć, więc ścisk był i przepychanie niczym na jarmarku, że nie wspomnę już o innych nader niestosownych rzeczach. O mnie mówiono głośno, jakby mnie przy tym nie było: „Że też tymi palcami potrafi namalować takie maleńkie cacko. Nie są zbyt smukłe”. Albo: „Co ona wyprawia? Za dużo tego błękitu!” Wygadywano i gorsze zuchwałstwa: „Kształtna ta pierś, niech mnie lichu! I po co jej to malowanie? Dobra klacz wyścigowa wcale nie musi tańczyć”. Życie dworaków musi być piekielnie nudne. Wciąż tylko to czekanie, a czas dłuży się niemiłosiernie i trzeba go jakoś zabić. I cóż się tu dziwić, że tacy są łasi na wszelkie nowości. Bywało, że Wolsey jeździł z królem na polowanie lub gdzie indziej, i wtedy cała ta ciżba dworaków, petentów i pieczeniarzy gnała za nim jak pszczoły za swoją królową, a ja nareszcie miałam chwilę spokoju. Lecz i to się skończyło.

Pod patronatem Wolseya stałam się niebawem szalenie modna; wkrótce już cały sznur notablów czekał u mnie w kolejce do pozowania. Czasami to oni pragnęli schlebić Wolseyowi, zabiegając o moje usługi, kiedy indziej znów on im schlebiał, prosząc o ich portrety. „To do mojej kolekcji wybitnych osobistości naszego stulecia”, powtarzał każdemu tonem zarówno poufnym, jak i dającym wiele do myślenia. Było już powszechnie wiadome, że oczkiem w głowie kanclerza jest jego stale rosnąca kolekcja miniatur, medali i starych monet z wizerunkami władców. Co ambitniejsi płonęli zatem chęcią znalezienia się w jednej szufladzie z Neronem i Karolem Wielkim, ja zaś przeżywałam istne obłędzenie zarówno we własnej pracowni, jak i na pokojach mojego patrona.

Taka obfitość zamówień powinna mnie była wzbogacić, cóż, kiedy wielcy ludzie biorą wszystko na kredyt, a płacą, jak im wygodnie. Pan Tuke na razie wyasygnował mi tylko skromną zaliczkę, a i o nią zmuszona byłam zebrać, inaczej jednak nie miałabym czym malować. Mnie farb za darmo nikt nie da. Całe szczęście, że miałam przynajmniej doskonały pergamin z tej starej książki, którą Dallet schował w mojej skrzyni. Raz chociaż przydało mi się jego sknerstwo. A co do księgi, to teraz szybko ubywało z niej marginesów.

- Dobrze się sprawiasz, pani - oświadczył pewnego dnia Brian Tuke, przekazawszy mi polecenia jego eminencji. Że cieszę się chyba łaskami biskupa Wolseya, mogłam się już domyślić, traktował mnie bowiem bardzo życzliwie. Ponieważ doskonale znał się na malarstwie, pan Tuke, chcąc mu się przypodobać, pobierał lekcje u pewnego mistrza gildii. Jak doszły mnie słuchy, pragnął zwłaszcza nauczyć się zasad oceny dzieła. Mówiono co prawda, że to strata czasu, gdyż jest całkiem ślepy na kolory, ale czego to ludzie nie mówią.

- Spójrz na to, madame. Podobno najlepszą pochwałą jest naśladownictwo - zauważył, pokazując mi oprawną w ramki miniaturę, doprawdy istne szkaradzieństwo. Zamiast

cieniowania widniały tu jakieś brudne plamy, a twarz, jeśli już coś przypominała, to chyba najbardziej żółwia. Pan Tuke niczym nie zdradzał swych uczuć, aczkolwiek wydało mi się, że z niejaką uciechą oczekuje tego, co powiem.

- Owszem, ale tylko jeśli jest dobre - odrzekłam - a tu nawet oczy namalowane są krzywo, jedno wyskakuje nad drugie. Ten malarz musiał być chyba pijany.

- Mistrzowie gildii twierdzą, że prace cudzoziemców są liche i nic niewarte. Co ty na to, madame?

- Powiem, że ja urodziłam się w Anglii. Czy malował to jakiś mistrz? Powiedz mu, że zanim weźmie się za miniaturę, niejednego winien się nauczyć.

- Wśród malarzy panuje przekonanie, że obecny szał mody na miniaturowe portrety grozi kolejnym najazdem cudzoziemskich artystów na Anglię. Nasi boją się tego i chcąc ich uprzedzić, sami biorą się za ten interes. Nawet ci, co nie mają licencji.

- Ani żadnych zdolności - wypaliłam chyba zbyt ostro, toteż spróbowałam zatrzeć złe wrażenie. - Wdzięczna jestem losowi, że mam patrona o tak wyrobionym guście. Jego eminencja jednym rzutem oka rozpoznaje kiepską robotę.

- Właśnie chciał się dowiedzieć, co powiesz na to - roześmiał się Tuke, dotykając miniatury. - I słusznie, gdyż choć jesteś, pani, kobietą, sędzia z ciebie nie najgorszy. - Nie miałam czasu się obrazić, bo spytał: - A jak ci się zdaje, czyj to może być portret?

- Sądząc nie z rysów, lecz po literze „B” i kapeluszu, który czasami widuję, domniemywam, że to sir Thomas Boleyn.

- Zatem powtórnie masz rację. A jak się puszył, pokazując mi tę podobiznę!

- Nie rozumiem, z jakiego powodu? Dlaczego ktoś miałby popisywać się miniaturą, i to taką?

- O madame Dallet, a więc nie wiesz, że biskup urządza sobie zabawę, pokazując twe dzieła gościom? Znienacka podsuwa je komuś przed oczy i pyta: „Jak myślisz, kim jest twórca tego portretu?” A kiedy zapytany odpowiada: „O, widać, że to zręczny rzemieślnik, a więc ani chybi cudzoziemiec”, jego eminencja nie posiada się z uciechy. „Ha”, mówi, „a właśnie, że się oszukałeś! Ten portret powstał w Londynie, w dodatku malowała go kobieta”. Gość łapie się na to za głowę. „Kobieta? Za Chrystusa bym tego nie odgadł”. „Znajdź mi mężczyznę, który będzie malował jak ona”, powiada nasz pan, „a uczynię go wielkim”. A potem śmieje się w kułak, kiedy to ten, to ów, dumny jak paw, przynosi mu coś takiego. No cóż, ludzie nie mają pojęcia o sztuce.

Następnym moim modelem był Charles Brandon, kompan króla Henryka i jego wielki

koniuszy. Książę Suffolk, bo taki tytuł otrzymał w dowód królewskiej przyjaźni, słynny był również i ze swoich małżeństw z różnymi bogatymi damami. O tym, że go poznałam, musiało zadecydować samo przeznaczenie, które w sposób bardzo dziwny i tajemniczy lubi czasem splatać ludzkie losy, w tym wypadku na szczęście z korzyścią dla mnie. Suffolk miał się bowiem okazać osobą niezmiernie ważną w moim życiu, aczkolwiek nie bezpośrednio ani nie w sposób, który byłabym w stanie sobie wyobrazić... lecz nie uprzedzajmy faktów. Na razie daleka byłam od przeczucia, że działa tu ręka losu, a książę Suffolk zwyczajnie mnie zirytował. Zjawiwszy się z kurtuazyjną wizytą u biskupa, w istocie zaś prosić o pomoc w jakiejś ważnej sprawie finansowej, zobaczył w gabinecie kolekcję miniatur i natychmiast zażądał, abym wykonała jego podobiznę.

- Zrób mi płonące oczy - rozkazał, sadowiając swą masywną postać w fotelu.

- Maluję to, co widzę, milordzie, wszelako zapewniam pana, że sama natura dała ci nadzwyczaj ogniste spojrzenie. - Nie jest łatwo malować człowieka, który wierci się jak na szpilkach: patrzy w okno, chrząka, poprawia się w fotelu, wygładza brodę, podziwia swoje buty, a potem zerka na służącą, cmokając zarazem na psa.

- Skończyłaś? Długo to jeszcze potrwa? Lady Bouchier zapewniała mnie, że jesteś szybka.

- Trudniej uchwycić ogniste spojrzenie wojownika aniżeli łagodne oczy damy - odrzekłam gładko, co tylko dowodzi, jak bardzo się upodobałam do całej tej zgrai oślizłych dworaków. Człowiek codziennie wystawiony na zły przykład nasiąka nim bardzo szybko. A był to przykład daleko odbiegający od pełnego powściągliwości wzoru konwersacji zalecanego kobiecie przez „Księżę obyczajów zacnej małżonki”. Szczerze nad tym bolałam, Suffolk wszakże, bardzo kontent z mojej odpowiedzi, rozparł się znów w fotelu wśród rozgłosnych prychnięć, chrząknięć i pomruków zadowolenia.

Zaczynałam już pakować rzeczy, a mój model oglądać swą już prawie ukończoną podobiznę, gdy wśród tłumu mignął mi człowiek, na którego widok wszystkie włoski na karku stanęły mi dęba. Dzielili nas pewna odległość, mimo to rozpoznałam go od razu po białych kosmykach włosów poskręcanych nad czołem na kształt kozłich rogów i lodowatym błysku w bladych oczach, od którego w całej sali zdawało się robić zimno. Ten straszny człowiek gawędził z panem Ashtonem, i to w taki sposób, jakby ich łączyła najserdeczniejsza przyjaźń. W pewnym momencie rzucił mi pełne triumfu spojrzenie. „Widzisz - mówiło - nikt nie oprze się mojej potędze”. Pochylił się znów nad Ashtonem i zaczął mu coś szeptać, a tamten patrzył w niego jak w tęczę! Jakaż bezgraniczna ufność malowała się w jego oczach! Serce tak łomotało mi w piersiach, że ledwo dotarły do mnie pożegnalne uprzejmości diuka,



zobaczyłam bowiem ze zgrozą, że ów potwór, na którego nawet psy szczerzą zęby, najwyraźniej zmierza w moją stronę.

- Madame Dallet, ten oto pan jest kolekcjonerem rzadkich dzieł sztuki. Wiele o pani słyszał i pragnie zostać ci przedstawiony - zagaił rozmowę Ashton. - Powiedział mi właśnie, że doskonale znał twego męża... - I oto znowu patrzyły na mnie te blade okrutne oczy... Półprzytomna z przerażenia słyszałam zaledwie strzępy prezentacji: - Sir Septimus Crouch... znakomity kolekcjoner... zdobył kilka starożytnych monet rzadkiej wartości do zbioru jego eminencji... - Słowa Ashtona zdawały się przepływać gdzieś obok.

- Taki tragiczny wypadek! Jakże się ucieszyłem, słysząc, iż dobrze się pani wie.

Na dźwięk tego głosu ścierpła mi skóra. Ten człowiek był dziwnie odrażający! Ashton tymczasem zupełnie tego nie dostrzegał, przeciwnie, odnosił się do niego jak do najbliższego przyjaciela, z którym w dodatku dzieli ważny sekret. Mężczyźni! Nigdy niczego nie widzą. Pewnie tak im wygodniej.

- Osobliwości? - udało mi się wykrztusić. - To miło z pańskiej strony...

- W istocie osobliwości, choć nie tak rzadkie jak malarka obdarzona twoimi zaletami, madame.

Nie podobał mi się jego ton.

- Jesteś zbyt skromny, sir Septimusie - wtrącił Ashton. - Czegoś takiego jak pańskie okazy jeszcze w Anglii nie oglądano. Najpierw francuskie monety starsze od karolińskich i samego Karola Wielkiego, a teraz bizantyński medalion w prawie doskonałym stanie. Jego lordowska mość będzie zachwycony. Bardziej mogłaby go uradować już tylko moneta samego króla Artura.

- Istotnie tylko wyjątkowym przypadkiem odkrywa się takie skarby... A powinny one wszystkie znaleźć się w rękach ludzi uczonych i mądrych, takich jak jego eminencja. Tylko najświetlejsze umysły interesują się moimi zbiorami. Jak mi wiadomo, madame, twój nieżyjący małżonek także był kolekcjonerem. Gdybyś w jego rzeczach znalazła jakąś osobliwość, zechciej pamiętać, że odkupię ją od ciebie z przyjemnością i za uczciwą cenę. - Mówiąc to, wlepił we mnie swe zimne odrażające oczy.

- Wszystko, cokolwiek było, zabrali wierzyciele mego męża. - Każde słowo w obecności tego człowieka przychodziło mi z trudem. Zauważyłam, że Ashton przymrużył oczy, a mięśnie na jego szczękach stężały.

- Wielka szkoda - stwierdził Septimus Crouch.

- Wielka szkoda doprawdy, że z tak dobrze skierowanego listu nie udało się zebrać większych profitów - wymamrotał Ashton. Crouch uciszył go szybkim spojrzeniem.

- Szkoda, aby dzieła sztuki, które są wszak tworem duszy i natchnienia, wpadały w ręce bezdusznych. Może powinienem poszukać u tych wierzycieli? Czy mogę wiedzieć, madame, z kim miałaś okoliczność?

- Z właścicielami burdeli i tawern, kosterami, pijakami i chyba większością londyńskich krawców. Radzę także odwiedzić pewnego prawnika nazwiskiem Ludlow, który zabrał nawet kołyskę. - Crouchowi na te słowa zwięzły się oczy, Ashton robił wrażenie zaskoczonego.

- Syn mistrza Dalleta narodził się martwy wskutek szoku, jaki przeżyła matka - wyjaśnił Crouch, równocześnie chwytając za łokieć Ashtona, który zrobił pół kroku naprzód. - A jednak, madame Dallet - kontynuował - wydobyłaś się z tej tragedii i przekształciłaś ją w triumf. Mam wielką nadzieję, że dane mi będzie bliżej poznać ciebie i twe niezrównane miniatury. - Jego głos emanował ciepłem. Przyniósł się do Ashtona, tak że częściowo zasłonił mi jego widok. Do licha, jakby tamten był jego własnością! Ów gest posiadacza sprawił, że Ashton wydał mi się nagle kimś, kto zaprzedał samego siebie. Jakby przyjaźń z odrażającym Septimusem Crouchem wycisnęła na nim swe piętno. Inteligentne oczy, tak niegdyś lśniące i wymowne, stały się puste i martwe, a regularne rysy wydały mi się zimne i bezduszne jak marmur.

Wybiegając z sali, uświadomiłam sobie, że psy zniknęły. Musiały uciec już wcześniej.

## PORTRET PIĄTY

*„Ludwika Sabaudzka, diuszesa d'Angouleme”. Szytych z zaginionego oryginału.*

*Jako dwunastoletnia dziewczynka poślubiona Karolowi d'Angouleme, prawnukowi Karola V, owdowiała, ukończywszy lat dziewiętnaście. Poświęciła się odtąd wyłącznie synowi w niezachwianym przekonaniu, iż pewnego dnia zostanie on królem Francji. Ta dziewiętnastowieczna grawiura jest autentyczną kopią jej miniaturowej podobizny z roku 1514. Oryginał przechowywany w prywatnej kolekcji zaginął niestety w okresie Komuny Paryskiej.*

Pamiętnik Ludwiki Sabaudzkiej Frontispis

Podróżując po świecie, malowałam wiele możliwych dam, żadna wszakże nie była tak zawzięta jak pani Ludwika Sabaudzka, której wizerunek powstał w pałacu Les Tournelles w czasie mego pobytu na dworze królewskim w Paryżu. Pani Ludwika, niska i bardzo blada, miała czarne, metalicznie błyszczące oczy, które patrzyły przez ludzi, jakby byli oni powietrzem. Dotyczyło to zwłaszcza, posługując się słowami madame, osób „niskiej kondycji”, czyli właściwie wszystkich z wyjątkiem książąt krwi, i to francuskich. Tak to jest z ubogimi krewnymi; nie mając nic innego do roboty, stają się zwykle większymi snobami niżli ich bogaci krewniacy. Dla oddania karnacji madame musiałam się posłużyć najjaśniejszym odcieniem różu, co przy jej wdowich szatach sprawiało wrażenie, jakbym nie użyła żadnego zgoła koloru, sądzą jednak, iż bardzo dobrze uchwyciłam właściwy tej damie wyraz twarzy, srogi i podejrzliwy. Wszyscy komplementowali mnie, mówiąc, że moja miniatura przypomina wizerunek świętej, tak więc zyskałam wielkie uznanie.

Panowała opinia, że madame Ludwika jest osobą bystrą, ponieważ czytuje książki, lecz ja myślę inaczej. Ludzie owładnięci jedną tylko ideą stają się sprytniejsi, niż są z natury, a to dlatego że nie tracą czasu na inne sprawy. W przypadku Ludwiki Sabaudzkiej kłopot polegał na tym, że taki sam cel jak ona wyznaczyło sobie kilka wielkich dam, przez co wszystkie pały do siebie gorącą nienawiścią. Celem tym było zostać matką króla. Z moich ówczesnych doświadczeń wynika, że nikt w świecie nie dorówna bezwzględnością i sprytem matce dążącej do wyniesienia swego dziecka kosztem cudzych synów i córek. Wszystkie owe damy rozdzierały się wzajem na strzępy z zajadłością grosza niż Turcy, cały czas głosząc zarazem, iż są męczenniczkami żyjącymi jedynie dla dobra innych. Nie daj Boże wejść takiej w drogę.

Scandalous

Ludwika Sabaudzka przyjęła paryskiego posłańca w zamku Blois, w obszernej antykamerze przyległej do jej sypialni. Przez wysokie okna komnaty lało się do wnętrza jaskrawe słońce, rysując świetliste cętki na jasnym gobelinie zdobiącym ścianę za plecami madame. Za oknem, poniżej zamkowych murów, wiała się Loara, leniwie tocząc swe zielone wody. Okrzyki przewoźników, kobiet piorących przy brzegu bieliznę, niosące się w ciepłym powietrzu odgłosy wioski usadowionej u podnóża zamku, wszystkie te dźwięki docierały do uszu madame jako niewyraźne szmery, budzące wszelako poczucie dostatku i ukontentowania.

- Ach, to posłaniec Longueville'a - Matka prawowitego następcy tronu wyrzekła te słowa do pełnej wdzięku wysokiej kobiety, znacznie od siebie młodszej, która zajmowała miejsce przy jej boku. U stóp madame klęczał kurier w mocno zakurzonych butach, trzymając w ręku niewielką paczuszkę obszyta natłuszczonym kawałkiem jedwabiu. - Monsieur de Longueville nie spieszył się z odpowiedzią - dodała cierpko.

- Pani, statek bardzo się opóźnił wskutek złej aury - zaczął tłumaczyć posłaniec. - Ta angielska pogoda! Kanał...

- Powinniśmy więc uważać się za szczęśliwców, że tu jest tak pięknie - przerwała mu pani Ludwika. - Wstań, a moje damy zajmą się tobą. Pokrzepisz się i odświeżysz, czekając na mą odpowiedź.

Opuszczając komnatę, młody rycerz myślał z niejakim zdziwieniem, jak bardzo pani Ludwika przypomina mniszkę. Trudno mu było wyobrazić sobie, aby ta niewysoka surowa osoba ubrana w ponurą czerń mogła być kiedykolwiek młodą i piękną kobietą. Rysy miała regularne, lecz twarz przeraźliwie bladą i napiętą. Sama czujność, poświęcenie i determinacja. Wszystko, co o niej słyszał, musiało zatem być prawdą. Na pewno nie jest to kobieta, którą jakkolwiek zalotnik zdołałby urzec dźwiękiem swojej lutni. Życie bez luksusów i wczesne wdowieństwo wytworzyły w niej jedno tylko, za to namiętne pragnienie: ujrzeć swego syna w koronie, uczynić go królem Francji.

- Zostań, Małgorzato - powstrzymała córkę pani Ludwika, gdy ta, przyjmując jej znak za odprawę, chciała odejść razem z damami. - Potrzebna mi twoja pomoc.

Małgorzata, wydana za diuka d'Alencon, mieszkała stale w Normandii, lecz pogrzeb królowej Anny, potężnej rywalki Ludwika, zgromadził znów całą rodzinę. W chwili gdy zawróciła od drzwi, snop światła padł na jej bujne kasztanowe włosy, przyciągając na moment wzrok matki. Madame pomyślała z ukontentowaniem, że mają one całkiem ten sam

odcień, co włosy Franciszka, jej wspaniałego syna, w którym złożyła wszystkie swe wielkie nadzieje. Franciszek, którego z królem łączyło zaledwie kuzynostwo pierwszego stopnia, teraz gdy Ludwika XII zawiodły nadzieje na spłodzenie syna, stał się jedynym pretendentem do tronu jako ostania męska latorośl królewskiego rodu Walezjuszy. Ludwika, która od początku układała plany zdobycia korony dla syna, wychowała jego starszą siostrę na swą najwierniejszą sojuszniczkę w tym dalekosiężnym przedsięwzięciu. Teraz gdy inni dotychczasowi sprzymierzeńcy, w tym i zaufani przyjaciele, zachowywali się niczym chorągiewki na dachu, ulegając nowym wiatrom wiejącym ostatnio z Paryża, madame szczególnie potrzebowała i żywej inteligencji córki, i jej niezachwianej lojalności.

Po tak długim oczekiwaniu zobaczyć koronę w zasięgu ręki i pozwolić ją sobie wyrwać?, myślała z goryczą. A wszystko tak się doskonale układało. Zimą w ślad za nowo narodzonym synem zmarła jej wieloletnia nieprzyjaciółka, królowa Anna; zniknęła tym samym ostatnia przeszkoda stojąca na drodze małżeństwu Franciszka z córką zmarłej królowej, Klaudią, wprawdzie zdeformowaną fizycznie, niemniej prawowitą dziedziczką Bretanii. W maju Ludwika Sabaudzka ostatecznie dopięła swego i ślub się odbył. Franciszek stał się legalnym władcą tego księstwa i tylko od niego zależało, czy Bretania będzie należeć do Francji. Madame zgromadziła obecnie całą rodzinę w królewskiej siedzibie w Blois, by wzmocnić sieć intryg na rzecz Franciszka. To on musi zostać następcą Ludwika!

- Ludwik wciąż ludzi się myślą o synu - rzekła głośno. - Wszczęł znowu potajemne negocjacje z Anglią.

Anglicy, odwieczni wrogowie Francuzów, dopiero co wycofali swoje wojska po upokarzającym dla Francji najeździe, podczas którego Franciszek o włos tylko uniknął wzięcia do niewoli.

- Z Anglią, matko? Nie z Hiszpanią?

- Papież zakazał mu związku z córką króla Ferdynanda. To Anglik zaproponował Ludwikowi swoją siostrę, wdowę po królu Szkotów. Zapewniał, że i w wieku jest odpowiednim, i nie jałowa. Chciał zawrzeć z nami przymierze. Nasz król wszelako, jak donieśli mi moi agenci, uznał ową Angielkę za nazbyt już starą i tłustą. Ach, odetchnęłam! Nigdy żadna Angielka nie powinna zasiąść na tronie Francji. Taki pomysł to obraza boska. Czy ten Ludwik doprawdy nie pojmuje, jaka jest wola Boga? Pierwsza królowa była bezpłodna, syn zrodzony z Anny Bretońskiej umarł. Wyraźny to znak, że Bóg chce, by na tronie zasiadł nasz Franciszek. Teraz król Anglii znów stara się skusić Ludwika, tym razem swoją młodszą siostrą. O, nie sam to wymyślił! Jest zbyt młody i niedoświadczony. Taki fortel musiał mu podszepnąć ktoś dużo sprytniejszy. Longueville powiada, że za plecami

Henryka stoi ten przewrotny klecha, Thomas Wolsey. Księżniczka, jak mówią, jest młoda i zdrowa, gdyby więc doszło do tego małżeństwa, z pewnością przeżyje króla. Pozostaje nadzieja, że jest może na tyle brzydka, iż jak przedtem jej siostra nie spodoba się Ludwikowi. Dam głowę, że ten piekielny biskup knuje plany uczynienia jej regentką po śmierci Ludwika. Ach, nie dopuszczę do tego, póki żyję! Taka rzecz stać się nie może! Otwórz przesyłkę, Małgorzato! Pomożesz mi osądzić, czy Ludwik przyjmie tę ofertę, czy odrzuci?

Małgorzata wzięła z biurka matki srebrny szczyryk i zręcznie przecięła nitki. Znalezione w pakunczku pismo podała matce, sama zaś z ciekawością przyjrzała się załącznikowi. Była to okrągła zapieczętowana kasetka. Starsza od Franciszka o dwa lata diuszesa d'Alencon była nie tylko najwierniejszą rzeczniką jego sprawy, lecz i bardzo kochającą siostrą. Podobna do brata zarówno bursztynowym kolorem oczu, jak i żywą inteligencją, podobnie jak on wykształcona, znalazła w małżeństwie jedynie nudę, od której ucieczką i pocieszeniem stało się dla niej patronowanie sztuce. W tej szkatułce spodziewała się zobaczyć coś ciekawego.

- Bezżyteczny ten list - sarknęła jej matka. - Opis księżniczki tak powierzchowny, że mógłby dotyczyć tysiąca kobiet, a na koniec nedorzeczna historyjka o duchu. Dobrze chociaż, że dołączył kopię portretu wysłanego Ludwikowi. Cóż za przesądny głupiec z tego Longueville'a! Doprawdy żaden pożytek z tej jego zakutej głowy. Ani słowa o najważniejszym: jakie dają wiano, jakie stawiają warunki. Muszę wiedzieć, czy ta kobieta zasiądzie na tronie Francji.

- Spójrz na miniaturę, matko! - z podnieceniem wykrzyknęła Małgorzata, która zdążyła tymczasem otworzyć szkatułkę. - To dzieło godne Fouqueta! Tak świetna robota, że nie widać żadnych śladów pędzla!

Ludwika oddała list córce, wzięła do ręki kasetkę i... mimo woli wstrzymała oddech. Żłociste francuskie słońce nasyciło kolory nowym, jeszcze cieplejszym tonem. Perły i inne klejnoty zdobiące suknię księżniczki promieniowały blaskiem, rudozłote włosy lśniły miękkim połyskiem jedwabiu. W czujną zgorzkniałą twarz madame patrzyły błyszczące oczy zuchwałe odwagą młodości. Dość było widoku tych roziskrzonych oczu i rudych, schludnie uczesanych włosów, by pozbyć się wszelkich złudzeń.

- Tak, to ona - szepnęła Ludwika Sabaudzka. - Zostanie królową. Ludwik się jej nie oprze. Zatem traktat z Anglią można uznać za podpisany. Król będzie się łudził, że ona przywróci mu młodość. Mój Boże, jakimż przekleństwem starych mężczyzn jest owa fałszywa nadzieja, iż zdolni są jeszcze do płodzenia synów! A te jej oczy... Spójrz, Małgorzato, co ci one mówią?

- Że to kokietka, matko, i że bardzo jest rozpieszczona. Tej księżniczce nigdy nie odmówiono spełnienia żadnej zachcianki. Musisz dobrze uważać, by z pomocą któregoś z dworskich zalotników nie obdarowała nas bękartem.

- Masz rację, córko. O tym nie pomyślałam. Wyobrażałam sobie dotąd, że zechcą podsunąć królowi coś stosownego dla starca. Potulną, nabożną cieliczkę. Lecz ta... Ta mi wygląda na bystrą, o wiele za bystrą i upartą. Nie zapominajmy, kim był jej ojciec, ten bezwzględny uzurpator! Tudorowie mają to we krwi.

- Weź pod uwagę, że jej ojciec był też bardzo chytry. Dożył późnej starości i umarł w łóżku.

- Tym gorzej. Szczęściem jest młoda i jeszcze nie opierzona. Łatwiej ją będzie przyłapać.

- Co zamierzasz uczynić?

- Zacznę od rozpuszczania pogłosek, iż miała w Anglii kochanka. W królu wzbudzi to zazdrość, będzie jej więc pilnował. Zyskamy przynajmniej tyle, że ktoś jurniejszy od niego nie spłodzi fałszywego następcy tronu.

- Napisz do Longueville'a. Zapytaj, czy są mężczyźni, których darzy ona łaskami... możesz szepnąć o tym królowi...

- O to się nie martw. Sam wyśle tam swoich szpiegów. A gdy złęknie się rogów, otoczy ją murem ze stali.

Małgorzata głośno się roześmiała. Wiadomo, jak dalej potoczą się sprawy: słysząc te plotki, zazdrosny starzec będzie desperacko się starał sprostać wymaganiom żony... udowodnić jej, że jest młody...

- Matko! - wykrzyknęła - ależ on się przy niej wykończy!

- Otóż to - odrzekła z wąskim uśmieszkiem madame. - Ta angielska księżniczka jest zbyt rozpieszczona i zmienna, by skutecznie przeprowadzić plany uknute przez jej rodaków. Na to, by zostać regentką, stanowczo brak jej siły woli.

Małgorzata przeniosła spojrzenie z miniaturowego portretu na zawziętą twarz matki. Kotka i lwica, pomyślała. Nie ma co porównywać.

- No proszę, pani Zuzanna! Słyszałem, że wciąż podróżujesz! Cóż to się stało, że czynisz zaszczyt tym niskim progom, skoro już frunęłaś tak wysoko? - Kępki białych włosów sterczące z uszu mistrza Ailwina zrobiły się chyba dłuższe, niż były ostatnim razem, a on sam jeszcze bardziej zdziwaczał - o ile w jego wypadku było to w ogóle możliwe. Nucąc pod nosem, krzątał się po sklepie bez widocznego celu. - Chyba za wielka już jesteś, by kupować



aurypigment w mojej ubogiej aptece. Poślij kuriera do Francji, do Italii! Tak, tak, pamiętam czasy, kiedy to byłaś mi wdzięczna, płacąc coś ekstra na boku. Obawiam się, że w tej chwili nie będę miał dla ciebie czasu - oświadczył, biorąc się za odważanie szaroniebieskiego barwnika. Po chwili, jakby zapomniał, co robi, przerwał tę czynność w pół gestu.

- Mistrzu Ailwinie, to, że pojechałam do Richmond, aby namalować portret, nie oznaczało przecież, że tam zostanę. Wróciłam i nadal potrzebne mi są barwniki. Wszystko, co miałam, zużyłam na lady Guildford! Tak jej się spodobała miniatura, że zapragnęła mieć portret do zawieszenia na ścianie. Czy to moja wina, że mam taki talent do schlebiania podstarzałym damom? Zmęczył mnie tylko ten pobyt, zwłaszcza że i jedzenie było tam dosyć kiepskie. Wierz mi, przebywanie wśród możnych to nic przyjemnego. Wszyscy oni traktują mnie całkiem jak skrzynię, co zajmuje nazbyt dużo miejsca. „Ach, umieście tam tę malarzkę! Nie, raczej tutaj!” Tak to wygląda, gdy jest się jedynie ich sługą, a nie wielką damą. Poczytuję sobie za szczęście, jeśli wydziela mi w miarę przyzwoity kącik, gdzie Nan nie musi pilnować, żeby te niemądre damy nie grzebały wciąż w moich rzeczach. Wtykają te swoje zatłuszczone paluchy w moje róże, a potem farba nie chce się trzymać.

- Ho, ho, a więc zarzucają cię kwiatami! Może też i wieńce laurowe wieszają ci już na szyi! Nieźle rozpieściły cię te magnatki.

- Mistrzu, powiedziała „róże” nie o kwiatach, tylko o kawałkach pergaminu zagruntowanych na różowo - wtrącił się Tom, który od dobrej chwili przysłuchiwał się naszej rozmowie.

- Wiem! - warknął mistrz Ailwin.

- Pozwól, mistrzu, by pani Dallet poszła ze mną na zaplecze. Odważę jej wszystko, czego potrzebuje, tobie zaś oszczędzę fatygi.

- Chcesz mi oszczędzić fatygi? Więc czemu nie sprzątasz, nicponiu? Wiesz, że wieczorem zbiera się tu nasze stowarzyszenie, a wszędzie taki bałagan, że brak tylko dziada i baby! Nawet ławy nie ma, żeby usiąść!

- Zaraz wezmę się za to i migiem uprzątnę - potulnie zapewnił go Tom, zachęcając mnie gestem do pójścia za sobą. Mistrz zaczął coś przestawiać na półkach, wyrzekając przy tym na zuchwałych młodzików, na godny ubolewania brak szacunku dla starszych i ogólne zepsucie obyczajów.

- Musisz mu wybaczyć, znowu ma ten swój napad - usprawiedliwiał go Tom. Żał mi się zrobiło biednego chłopaka. Pocziwiec. Że też tak troskliwie opiekuje się starym zrzędą. Dostarczając mi zamówienia, wciąż robił do mnie cielejące oczy, lecz i to skłonna mu byłam darować.

- Oczywiście, że się nie gniewam, nie pojmuję tylko, jakim cudem potrafisz tutaj coś znaleźć - wyraziłam zdziwienie, rozglądając się po „kuchni” mistrza Ailwina.

- Wiem, że niczego, co weźmie do ręki, nie odłoży na miejsce, więc chodzę za nim i poprawiam, choć niektórych rzeczy już i ja nie mogę odnaleźć. Ma być zieleń kobaltowa? Zaraz jej poszukam.

- Och, powiedz mi, co to za rzeczy? - Na stole pośród zakurzonych retort i na wpół opróżnionych pojemników z niewiadomą zawartością dostrzegłam kilka starych pergaminów. Widniały na nich jakieś dziwne figury i znaki. Obok leżała otwarta księga z diagramami oraz kilka antycznych monet.

- Ciekawe, nieprawdaż? Są bardzo stare - odrzekł Tom, biorąc do ręki medalion z wizerunkiem cudzoziemskiego władcy. - Mamy stałego klienta, kolekcjonera starożytnych monet. Jeśli trafi nam się jakaś rzadkość, on ogląda ją jako pierwszy. Taką mamy umowę.

- Czy to taki wysoki, potężny jegomość z brodą przyciętą w kwadrat i siwymi kosmykami w tym miejscu? - spytałam, przykładając palce do czoła. Już sama myśl o tym człowieku była mi przykra.

- O, mówisz, pani, o sir Septimucie Crouchu! Nie, to nie on. Ten nasz to chudy szpakowaty Francuz: starszawy, twarz porwana zmarszczkami. Teraz akurat usiłuje skompletować jakiś cenny manuskrypt, więc szuka jego fragmentów. Prosił, by go zawiadomić, gdyby ktoś chciał coś takiego sprzedać. Ale to dziwne, madame, że wspomniałaś o panu Crouchu, bo i on także szuka rękopisu. Pewnie taka dziś moda, ale nie wiem, ja tam nie nadążam za nowinkami. A co do sir Septimusa, to my niezbyt go lubimy. Skąpy z niego klient i zdarza mu się nas przechytrzyć. Choć i my mamy swoje sposoby, tak więc straty się wyrównują. O, widzisz, sprzedamy mu te podróbki jako starożytności.

- Mówisz o pergaminach? Wyglądają na stare.

- Bo staramy się o to, żeby tak wyglądały. Nieraz są to mapy różnych miejsc, gdzie podobno ukryto skarby, kiedy indziej alchemiczne alegorie wskazujące, jak znaleźć kamień filozoficzny. Ludzie przynoszą je do mistrza, by im wytłumaczył owe znaki, a on kupuje co wartościowsze, „poprawia”, „postarza” i sprzedaje dalej. Crouch na przykład taki jest na nie łasy i tak bardzo wierzy mistrzowi, że kupi wszystko. Sprzedaliśmy mu nawet taką mapę, która ma go doprowadzić do miejsca, gdzie spoczywa legendarny skarb templariuszy. A popatrz na to... - Spod góry rupieci wyciągnął olejny obrazek na desce, zbrązowiały ze starości, czy raczej dobrze postarzony za pomocą paru warstw werniksu.

Ha, nawet i w tej postaci nietrudno go było rozpoznać: „Ewa w kąpielni”! Ta ze światłem gorejącym na szczycie i Adamem przesłoniętym liśćmi. Pani Hull sprzedała kilka

takich kopii. Ze zdumienia wyrwał mnie dźwięk dzwonka u drzwi. Przyszedł jakiś klient.

- Kupiliśmy to malowidło od jednego oberżysty - mówił dalej Tom - on zaś dostał je jako zapłatę od pewnego mnicha. Czyż nie jest doskonale? Crouch będzie zachwycony. A jak on nie zechce, sprzedamy je Francuzowi!

- Myślałam, że oszukujecie tylko Croucha.

- Francuza okpić nie grzech. Francuz to Francuz, choćby i uczciwy.

- Ale co to właściwie jest? - spytałam, udając nieświadomą, choć przyszło mi to niełatwo. Tak okrutnie zniszczyć mą piękną glazurę!

- Och, to alegoria. - Tom przybrał namaszczoną minę, a w jego głosie zabrzmiały pompatyczne tony. Bardzo to przypominało uczone tyrady mistrza Ailwina. - Alegoria Świętego Graala pędzla niezwykłego francuskiego mistrza, Jeana Fouqueta - wyjaśnił. - Widzisz, madame? Adam i Ewa symbolizują grzech pierworodny, a ten wierzchołek skąpany w złocistym świetle to symbol czekającej ich pokuty, lecz zarazem też i Odkupienia.

- Skąd ty możesz wiedzieć, że to alegoria Świętego Graala?

- Och, madame, świadczy o tym ta góra! Powie ci to każdy, kto studiuje sztukę okultyzmu. To na pewno ona, mimo że na szczycie nie ma zamku. Mistrz Ailwin posiada drzeworyt przedstawiający to miejsce. To Montsegur, heretycka forteca katarów. Od wieków krąży opowieść, jak to wywieźli Graala z Ziemi Świętej i tu go ukryli. Katarów wytępiła jednak Inkwizycja i od tego czasu wszyscy bezskutecznie szukają owej kryjówki. Jest bowiem powiedziane, że ten, kto odnajdzie Świętego Graala, władać będzie całym chrześcijańskim światem, gdyby zaś uczynił to niewierny, chrześcijaństwu grozi zagłada. O, na sekretach Graala robimy świetne interesy! Ten obraz rokuje wspaniałe widoki. Spójrz, pędy winorośli i ciało węża zdają się układać w litery „P” i „S”. Są to tajemne symbole okultystów. Rzeczą znaczącą jest także sam sposób przedstawienia postaci Adama, to, że namalowano go tyłem. Wszystko to stanowi sekretny szyfr. Powiadam ci, to malowidło przyniesie nam niezły zysk! Prawie tyle, co kamień filozoficzny albo maść na niewidzialność.

- Co? Maść na niewidzialność? I wy tym handlujecie? Przecież każdy, kto po użyciu tej maści nie stanie się niewidzialny, może nasłać na was szeryfa! Jakim cudem jeszcze was nie aresztował?

- Bo to widzisz, madame, żeby owa maść podziałała, trzeba najpierw odbyć rytuały oczyszczające, a potem jednym tchem i bez zajknięcia wypowiedzieć nadzwyczaj zawiłą formułę. Wystarczy raz się zawahać i nie ma czaru. Niektórych to jeszcze mistrz straszy klątwą. Taki to już na pewno się zawaha, a jak się zajknie, to klątwa! No i przybiega tu zaraz, by kupić księgę egzorcyzmów. To mi przypomina, że trzeba wydrukować parę

nowych. Nie znasz przypadkiem dobrego drukarza? I żeby nie był zdziercą? Nasz został aresztowany. Ostatnio wszystko na mojej głowie.

- Czemu nie wynajmiesz kopisty?

- Bo książka byłaby droższa, a znasz mistrza. On mówi, że sprzedawać sekrety jedynie bogatym to wielka niesprawiedliwość.

- Sam mówiłeś, że te sekrety to oszustwo. Nie lepiej oszukiwać bogatych niż biednych?

- Ach, madame, mistrzowi miesza się rozum, a jeszcze te zebrania tak go podniecają, że tylko jedno ma w głowie. „Wszystko dla biednych - powtarza. - Musimy skończyć z tą przeklętą niesprawiedliwością”.

- A cóż to za stowarzyszenie?

- O, pani Zuzanno, nie powinienem ci tego mówić, lecz twe niebieskie oczy mają w sobie tyle dobroci... Ufam więc, że nie pomyślisz nic złego o tych ludziach. Oni nazywają siebie Wyznawcami Prawdziwej Wiary. Dyskutują nad Nowym Testamentem, nad Drugim Przyjściem Pana Naszego, to znaczy, kiedy i jak to nastąpi, a najbardziej spierają się o to, jak urządzone jest niebo. Czy mają tam również piwo, czy tylko mleko i miód, jaka jest niebiańska muzyka, czy wolno tańczyć, z którą żoną mieszka wdowiec, jeżeli za żywota miał ich kilka, i takie tam rzeczy. Tylko nie mów o nich nikomu! Prawda, że to herezja, ale nieszkodliwa, a oni przynajmniej mają się czym zająć.

- Co do mnie, to po śmierci nie chciałabym się spotkać z moim mężem. Ufam, że z piekła nie wyrzy.

- O, miła pani Dallet, musiał on zaiste traktować cię bardzo okrutnie... - przerwał, bo nagle w aptece wybuchła awantura. Słysząc było tupania i krzyki. - Proszę, tutaj są pani pigmenty - rzucił z pośpiechem Tom, wręczając mi kilka zawiniątek. - A tu tylne drzwi... lepiej przez sklep nie przechodzić. Ja muszę pomóc mistrzowi. Och, proszę Boga, by zwrócił mu rozum! - Cisnął pieniądze do kasy i chwyciwszy żelazny pręt, pobiegł mistrzowi na odsiecz.

- Oszustwo! Zostałem oszukany! - ryczał rozwścieczony klient.

Ostrożnie podsunęłam się bliżej drzwi i skryłam za stertą baryłek. Kogóż to oszukano? Kiedy mignął mi przed oczami rękaw prawniczej szaty, zdziwiłam się niepomiernie: jurysta dał się okpić? Ale dobrze mu tak! Ha, lepiej niż dobrze, poprawiłam się zaraz, rozpoznając w krzykaczu Ludlowa, tego łajdaka, który miał sumienie zabrać mi nawet łóżko mojej matki. Jego błada zazwyczaj gęba była teraz szkarłatna z pasji.

- Więc to prococtwo nie mówi, gdzie owa rzecz się znajduje?

- Nie dowiesz się tego, panie Ludlow, posiadasz bowiem tylko ostatnią część księgi. Zawarte w niej wielkie proroctwo dotyczy dalekiej przyszłości. Mówi ono, że upadek królów Francji oznaczać będzie koniec wszystkich królów ziemi... Że pojawi się wielki władca, który podbije cały świat, zarówno chrześcijański, jak i pogański, później zaś i jego imperium pogrąży się w chaosie i ulegnie unicestwieniu... Musi to oznaczać, że koniec domu Walezjuszy jest już bliski, a spowoduje to Odkrywca Tajemnicy...

- Niechaj piekło pochłonie tych skrybów i ich panów! Nie mogli to najważniejszej rzeczy umieścić przy końcu księgi? Co mnie obchodzi upadek królów? Pewnie, że zwycięży ich człowiek, który odkryje ten sekret! Ach!... Teraz wszystko rozumiem! Do tego właśnie dąży ten przeklęty Crouch! A rozwiązanie zagadki znajduje się w środkowej części! Dlaczegoż to on ma rządzić światem, a nie ja? Do diabła, to on ma środek! Ubiegł mnie łajdak, pierwszy dostał się do domu zabitego!

- Uspokój się, panie Ludlow. Są i inne sposoby rozwiązania zagadki. Był właśnie u mnie pewien cudzoziemski dostawca osobliwości, od którego nabyłem alegoryczne malowidło francuskiego mistrza, słynnego Fouqueta...

Usłyszałam już dosyć. Skradając się na palcach, dotarłam do tylnych drzwi, przez które bez hałasu wysliznęłam się w wąską uliczkę. Zbyt długo zamarudziłam - nad miastem zaczął zapadać już zmierzch, a wraz z nim zrobiło się niebezpiecznie. Nakazując sobie nie patrzeć na boki, z pośpiechem ruszyłam w powrotną drogę do domu, gdy nagle zza pleców dobiegł mnie odgłos czyichś szybkich kroków. Dochodziły z zaułka. Przerazona zerknęłam za siebie: Boże, ktoś mnie goni!

- Pani Zuzanno, proszę zaczekać! - Z ulgą rozpoznałam głos Toma. Zrównał się ze mną zdyszany, wciąż jeszcze ściskając w ręku ciężki żelazny pręt. U pasa wisiał mu nóż. - Odprowadzę panią do domu. Zrobiło się późno, a ulice pełne... - urwał. Chwycił mnie za rękaw, nakazując stanąć. Ulicą pędził rozwścieczony Ludlow i oto spod nawisłego piętra kamienicy wysunęła się jakaś postać. Twarzy nie dostrzegłam, lecz masywna męska sylwetka wydała mi się znajoma. Dziwnie znajoma i groźna.

- Czekałem na ciebie, Ludlow. Znasz mnie. Wiesz, że nie wybaczam przemieszaniom, co nie dotrzymują umów. Masz go tutaj? - Głos też był mi znany, lecz do kogo należał?

- Doprawdy nie rozumiem, o co chodzi.

- O manuskrypt. Zanosileś go do Ailwina. - Teraz rozpoznałam ten głos: Septimus Crouch! - Cóż innego mogłeś tam zaność? To ty wysłałeś list do kapitana, to ty pierwszy zjawiłeś się w domu malarza i zabrałeś jego ruchomości.

Słuchałam tego z rosnącą trwogą. Tym „kapitanem” mógł być jedynie kapitan

Pickering, a domem, w którym ukryto rozwiązanie owej dziwnej zagadki, moje mieszkanie! Wydało mi się nagle, że w zaułku coś się trzepocze, jakby o ściany obijała się olbrzymia ćma. I ten powiew zimna! Czułam, że... że czai się tam coś złego. Ale przecież to niemożliwe, spróbowałam się uspokoić, to pewnie tylko serce tak głośno mi bije.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Byłem u Ailwina w imieniu pewnego klienta i to wszystko... - Ludlow dziwnie obracał głową na boki... jakby czegoś nasłuchiwał...

- Nie gadaj, Ludlow! Wiem, że masz rękopis przy sobie. Obydwie części. Zwierciadło mi to ukazało. Odkryło również wszystkie twe intrygi. Dobrze wiem, że dybiesz na mój fragment! Ty głupcze! Nie będziesz mnie już oszukiwał! Nikomu się to nie uda, odkąd władam magicznym zwierciadłem, rozumiesz? A teraz oddasz mi obydwie części manuskryptu. Należą do mnie, a ty mi je skradłeś! - Po tych słowach dobiegł mnie znowu jakiś niesamowity dźwięk: podobne piski wydają nietoperze, lecz to był pisk podniecenia. Jakby na rynnie nad naszymi głowami siedziało coś złego i nie posiadało się z uciechy.

- Nie mam ich, przysięgam. Panu potrzebny jest środek, a ja go nie mam. Moja część jest bezużyteczna, zupełnie bezużyteczna, przysięgam!

- Czujesz to, Ludlow? Dwanaście centymetrów najprzedniejszej hiszpańskiej stali, które zaraz przebiją ci wątrobę! Jeżeli nie chcesz nadziać się na sztych, chodź ze mną tam, w ten zaułek, gdzie żaden przypadkowy przechodzień nie przeszkodzi nam w konwersacji.

Poczułam, że Tom przyciska mnie do ściany, każąc skryć się w cieniu kamienicy. Tymczasem Crouch, objawszy Ludlowa za szyję, pociągnął go w mroczniejący gwałtownie zaułek. Gdyby nie groza bijąca od jego postaci, można by pomyśleć, że to idą dwaj przyjaciele.

- Sir Septimusię, ja... ja nie posiadam środkowego fragmentu - bełkotał Ludlow. - Nie... nie udało mi się go zdobyć. Proszę... weź moją część... gratis. W dowód... w dowód naszej przyjaźni. - Sięgnąwszy pod szatę, wy dobył coś owiniętego w płótno.

- A ja, pomny przysięgi, jaką mi złożyłeś, zabieram ci duszę! - Rozległ się przeraźliwy krzyk i Ludlow runął na ziemię. Crouch z paskudnym uśmiechem pochylił się nad nieszczęśnikiem, który żył jeszcze, bo wydawał rozpaczliwe jęki, i dłońmi w czarnych rękawiczkach zaczął szperać mu po kieszeniach. - Nie ma! - krzyknął po chwili ze ściągniętymi brwiami i gniewnie wykrzywioną twarzą.

- Tutaj go nie ma! Ty kłamliwy synu dziwki, gadaj, gdzieś ukrył manuskrypt! W domu? - Chwyił umierającego pod pachy i jął nim brutalnie potrząsać. Coś zabulgotało - z kącika ust Ludlowa połała się strużka krwi. - Lecz ja go znajdę, nawet na końcu świata! - Jednym ruchem odciął wiszącą przy pasie ofiary sakiewkę, po czym bezszelestnie wymknął

się z zaułka. Po chwili zniknął nam z oczu. Na niebie obrzeżonym już tylko skrawkiem głębokiej purpury zapalały się pierwsze gwiazdy. Był ciepły spokojny wieczór, niosący słodką woń lata. W taką noc wykrwawić się na śmierć... jakież to dziwne i straszne. Czy tak dopełniło się przekleństwo? I czy nie ma w tym także trochę mojej winy? Co dalej? Co teraz stanie się ze mną?

- Panie Ludlow, panie Ludlow - Tom pochylił się nad rannym. - To ja. Proszę leżeć spokojnie, zaraz zaniesiemy pana do apteki.

- Zabito mnie, chłopcze, nie warto. Zaniesiecie tylko mego trupa. Siedem lat... minęło od chwili... kiedy zaprzedałem duszę... Wierzyciel przyszedł po swoje. Strzeż się tego władcy demonów, chłopcze... nie daj się skusić... fałszywym obietnicom bogactwa... ach, Boże, jestem potępiony... - Bulgocący oddech nagle ucichł. Resztki zmierzchu skryły się za rzędem wysokich domów, na zaułek spłynęła gęsta, nieprzenikniona ciemność. Lecz skądś, z głębi tej nabrzmiałej przerażeniem ciszy dobiegło mnie czyjeś sapanie, jakby dyszał ktoś duży i ciężki.

- Zamordowany przez ulicznych rzeźmieszków, powiadasz? - uśmiechnął się maitre Bellier. Odstawiwszy podany kubek, sięgnął po skrzydełko skowronka i delikatnie ujął je w dwa palce. - Znakomite - oświadczył, chrupiąc ów przysmak wraz z kośćmi.

- Co, mistrzu, sos czy zabójstwo?

- I jedno, i drugie, oczywiście. Od kiedy poinstruowałeś naszą gospodynię, gotuje z wielkim wyczuciem. Myślę, że dodała czosnku, a może i rozmarynu. Śmiałe a delikatne. Zaś sieur Crouch skompletował już dla nas księgę, dowodząc tym samym niezbitcie, że manuskrypt nie został wysłany do Rzymu. - Na stole przed panem Bellierem stało oparte o jakieś naczynie dziwne malowidło przedstawiające Ewę w kąpieli podpatrywaną przez węża. Nieznany artysta uczynił ją bardzo zmysłową. Obraz był stary, pokryty ciemną patyną.

- Podejrzewam, mistrzu, że Crouch go nie ma, a przynajmniej nie w całości, zakładając, że istotnie podzielony został na części - odrzekł Eustachy, dolewając wina do srebrnego kubka. - Śledziłem i jego, i jego dom. Prawie zaraz po tym... hm... wypadku pobiegł do pokojów Ludlowa pod pretekstem odebrania pożyczonych książek. Nie znalazł widać, czego szukał, bo gdy stamtąd wypadł, głowę miał zdesperowaną i zaraz znowu gdzieś poleciał. Pozostaje więc trzecia osoba.

- Ta wdowa? Cóż, jeśli tak, manuskrypt jest już w rękach Wolseya.

- Niekoniecznie.

- A ten jej nagły dostatek?

- Mistrzu, zasięgnąłem w tej sprawie języka. Wolsey zatrudnił ją jako malarzkę. Robi

miniaturowe portrety.

- Niezła opowiadka. Widziałeś choćby jedną jej miniaturę?

- Nie, ale mi mówiono, że są doprawdy wyborne. Podejrzewam, iż weszła w potajemną spółkę z jakimś cudzoziemcem, który je dla niej maluje.

- Albo tak to ułożono, aby jej obecność w rezydencji miała wszelkie pozory przyzwoitości, podczas gdy naprawdę dogadza czyimś występny chuciom... Może to być sam biskup lub też któryś z jego klerków. Nie, to musi być on! Kuty jest wszak na cztery nogi. Któż inny zresztą zadałby sobie tyle trudu, by tak skrętnie pozacierać ślady? - Pan Bellier dopił wino, po czym wziął serwetkę i starannie wytarł końce palców. - Lecz ten obraz, który mi przyniosłeś, to zaiste prawdziwa zagadka. Co ty widzisz w tym malowidle?

- Podobno jest bardzo stare, a ja od razu dostrzegłem, co się w nim kryje! Wszak to alegoria Tajemnicy, zrozumiała dla każdego, kto zna się na tym choć trochę. I coś takiego wystawiać na widok publiczny! Widzisz, panie, jak ułożone są te jabłka? Po trzy! A ten kamień i kształt obłoku? W ten obraz wplecione są litery „PS”, inicjały bractwa Syjonu, mamy tu także wizerunek naszej świętej góry i przedstawienie grzechu pierworodnego, na który to grzech Bóg odpowiedział naszą Tajemnicą i przepowiednią dalszych losów świata.

- Przyjrzyj się uważniej farbom. Są świeże, przydymili je tylko ci szarlatani z Guthrun's Lane. - Widząc urażoną minę lokaja, pan Bellier skwitował ją machnięciem ręki. - Pewien jestem, że przygotowali ten towar dla innego klienta, lecz gdy zacząłeś nalegać, cóż, sprzedali go tobie. Powiadam ci, Eustachy - uśmiechnął się ironicznie - że te wędrówki za sieur Crouchem mogą się okazać bardziej zwodnicze, niż myślisz. Na dowód powiem ci coś jeszcze: kopię tego malowidła widziałem w mieszkaniu mistrza Montrose'a. Trzyma je za zasłoną, całkiem zresztą nieświadom jakichkolwiek ukrytych w nim znaczeń. Ktoś kpi sobie z nas, Eustachy. Ktoś, kto zna Tajemnicę. - Wziąwszy ze stołu nóż, lekko zeskrobał nim farbę z rogu obrazu, po czym potarł to miejsce kciukiem. Spod kopcia wyłoniła się świeża warstwa farby, odrobinę tylko przydymiona. - Tak jak myślałem, widzisz? Świeżutki. Czuć jeszcze zapach pigmentu.

Eustachy ujął obraz i zbliżył go sobie do nosa.

- Prawda. Jest całkiem nowy. Ale kto z tutejszych mógłby znać Tajemnicę? Kto mógłby namalować taki obraz? Chyba tylko ten kochanek wdowy? - Ciężko strapiiony lokaj jął w zamyśleniu przestępować z nogi na nogę.

- Tak. Kochanek, który, jak należy domniemywać, przeszukał jej rzeczy, zorientował się w wartości manuskryptu i zachował dla siebie Tajemnicę, by sprzedać ją dopiero w jakiejś dogodnej chwili. Koniecznie musimy go wykryć, a to oznacza, że musisz jeszcze baczniej



śledzić tę kobietę. - Pan Bellier ponownie ustawił obraz przed sobą. - To szyderstwo - wycedził - ten łajdak posunął się stanowczo za daleko, rozumiesz?

Eustachy spojrzał mu w oczy i skinął głową.

- Zjesz trochę owoców i sera, mój panie?

- Uch, te angielskie owoce! Co to takiego?

- Wiśnie, ale chyba jeszcze niedojrzałe.

- Dobrze, że ser przynajmniej mają tu dość przyzwoity - westchnął maitre Bellier, odkrawając skórkę z cienkiego plasterka. - Gdybyż to samo dało się powiedzieć o klimacie.

- Ten kochanek... dobrze się ukrywa...

- Oczywiście, wszak to konspiracja. Pytaj o człowieka, który często podróżuje, który był w Montsegur. Polegam na twoim nosie. Wierzę, iż zdołasz ustalić jego tożsamość.

- Myślę, że może Crouch naprowadzi nas na jego trop.

- Może, może. Ach, zaczynam nieco lżej oddychać. Rzym i Walezjusze najwyraźniej tkwią w błogiej nieświadomości, i oby tak było nadal! - W przyływie dobrego humoru pan Bellier ukroił sobie drugi plasterek nie najświetniejszego wprawdzie, niemniej całkiem znośnego sera. Tym razem wydał mu się prawie wyśmienity.

Niełatwo być świadkiem zbrodni, ale jeszcze gorzej jest później. Powiadomić władze, że znalazło się czyjeś zwłoki? Wezwać świętych mnichów, co z chrześcijańskiego miłosierdzia oddają ostatnie posługi zmarłym? Zrobiło się już bardzo późno, a im było później, tym ciężiej biłam się z myślami. Zdradzić, że znamy mordercę? O nie, Septimus Crouch to ważna figura... Gdy się dowie, żeśmy go widzieli, nam również może się zdarzyć coś złego. Tak, jeśli nie piśniemy słówka, nie będzie podejrzewał, żeśmy coś widzieli... Tylko że on mógł nas widzieć. Lecz nawet w takim wypadku jest możliwe, że nic nam nie zrobi, jeżeli będziemy milczeć. Może choć na razie da nam spokój. Tak więc jedynie mistrz Ailwin dowiedział się od nas wszystkiego. Groziło nam niebezpieczeństwo, musieliśmy zatem ułożyć jakieś plany. Zawsze wtedy lepiej mieć przy sobie kogoś starszego i bardziej doświadczonego. Mistrz na chwilę zapatrzył się gdzieś daleko, po czym orzekł, że władzom ani słowa. Wszelka władza doczesna powinna jak najszybciej zniknąć, nie należy jej przeto popierać. Całkiem niezła logika jak na kogoś, czyj umysł od dłuższego czasu błąkał się niczym łódka pozbawiona steru i wiosł. Potem zaczęli się schodzić członkowie stowarzyszenia. Wyglądali na bandę strasznych oberwańców, a na mistrza patrzyli jak na wielkiego mędrca, chyba dlatego że był od nich jeszcze dziwaczniejszy. Jednakże bardzo szczęśliwie się stało, że pan Ailwin uczynił nasz problem przedmiotem ogólnej dyskusji.

Z początku co prawda rozległy się narzekania, że to morderstwo zepsuło im wieczór, później jednak ktoś zauważył, że zamiast o niebie można raz dla odmiany pomówić o władzy, tej ziemskiej. Zaraz potem ktoś inny poruszył sprawę naszego bezpieczeństwa: z tego, co mówiłam, stwierdził, wynika, że Crouch mógł nas widzieć, a to niedobrze nam wróży. No i rozgorzała dyskusja nad tym, co mamy robić. Kiedy już trochę wypito, stała się tak zażarta, że dyskutanci krzyczeli jeden na drugiego, a niektórzy posuwali się nawet do szturchańców. W końcu uradzono, że Tom powinien ukryć się w moim mieszkaniu, jestem bowiem protegowaną Wolseya, więc i ono znajduje się pod dozorem. Postanowiono również odprowadzić nas do domu, ponieważ była już noc, w dodatku bezksiężycowa. Całe towarzystwo pozapalało pochodnie i otoczywszy nas kręgiem, ruszyło w drogę, wyśpiewując pijackie pieśni ani trochę nie związane z religią. Rozbudzeni mieszkańcy otwierali okna, pomstując na hałasy; co złośliwsi opróżniali na nas nocniki bądź rzucali starymi butami i zgniłym warzywem, straż wszakże trzymała się z dala, byliśmy bowiem zbyt liczni.

- Co się stało? - krzyknęła na nasz widok pani Hull.

- Pamiętaj - zapowiedziała mi Nan - nigdy, ale to nigdy więcej za próg nie wypuszczę

cię samej. Myślałyśmy już, że nie żyjesz!

- Wchodźcie już, wchodźcie. Kim są ci jegomoście z pochodniami? - dopytywała się wdowa.

- Dobrymi chrześcijanami, którzy czuli się w obowiązku zapewnić pani Dalbert bezpieczną drogę do domu - oznajmił mistrz Ailwin. Pani Hull spojrzała na niego z respektem. Człowiek posiadający tyłu przyjaciół i tak imponująco długą białą brodę zrobił na niej wrażenie.

- O, rety, jak to, mówiłaś, nazywa się ten troskliwy jegomość? Mistrz Ailwin? - spytała, zatraskując za nami drzwi i zakładając je sztabą. - Lubię, gdy mężczyzna ma takie jasnoniebieskie oczy. Te jego wydają mi się niezwykle myślące.

- Bo są - potwierdziłam z powagą.

- Tom znowu zostaje u nas na kolacji?

- Zostaje na dłużej. Widzieliśmy, jak kogoś zamordowano, więc Tom musi się tu ukryć, dopóki nie znajdziemy mu lepszej kryjówki.

- O, to wspaniale, dobrze mieć w domu mężczyznę!

Tom na te słowa od razu poczuł się lepiej; nie wydawał się już tak przygnębiony.

- No, to siadajmy do stołu. Opowiedzcie nam, co się stało.

- Za chwileczkę, Nan, pójdę tylko na górę zanieść zakupy.

Kiedy ze świeczką w rękę rozłożyłam na półce nowo zakupione pigmenty, cienie zalegające pracownię zgęstniały, zmieniając się nagle w nieprzebitą ciemność. Czułam na sobie jej ciężar, czułam, że w pokoju jest coś złego. Takich samych wrażeń doznawałam kilka godzin wcześniej w zaułku, gdzie zginął Ludlow. Dobry Boże, zaczęłam się modlić, przyjdź mi z pomocą, chociaż ostatnimi czasy nie bardzo na nią zasługuję. W mroku coś zgrzytnęło metalicznie i po całym pokoju rozszedł się paskudny odór zgnilizny. Teraz już byłam pewna: ktoś tu jest. Ktoś albo coś. Ta rzecz lub istota była odrażająca, budziła grozę. Kolana zaczęły mi się trząść, a serce bić tak, że aż przycisnęłam je ręką. Świeczka zamigotała i zgasła.

Rozległ się niesamowity skowyt, od którego krew zastygła mi w żyłach. Czułam tylko, że wszystkie włoski na ciele z przerażenia stają mi dęba. Ta ciemność! Ta czerń, ten jej ciężar! I wtedy coś zaszeleściło, jakby do pokoju wpadł wiatr i zamiótł suchymi liśćmi. Ukazała się biała poświata, która zaczęła wirować, to niknąc w mroku, to się z nim mieszając, to znów atakując ową przerażającą ciemność niczym bezgłośna fala oceanu. Jakby zwarli się z sobą dwaj niewidzialni przeciwnicy. Owładnięta przerażeniem, bałam się nawet oddychać; stałam nieruchomo w miejscu, ściskając zgasłą świeczkę. I naraz wszystko wróciło do ładu. Niesamowita czerń stała się zwykłą ciemnością, świeczka rozbłysła płomieniem, jakby wcale

nie zgasła albo ktoś niewidzialny zapalił mi ją na nowo. Dobiegł mnie głośny szum... coś jakby szelest piór. Przypomniałam sobie, że już to słyszałam... kiedy? Malując pierwszą miniaturę, tę dla Francuzów. I znów, tak jak wówczas, zabrzmiał czyjś oddalający się śmiech, miły jak srebrne dzwoneczki. Poczułam, że wraca mi mowa, krzyknęłam więc, obracając się dookoła:

- Kto tu jest?

- Nie bój się - odpowiedział czyjś czarujący głos. - Nie ma tu nic takiego, z czym nie można by sobie poradzić.

W kącie pracowni stał ktoś szczelnie owinięty ciemnym płaszczem. Drżącą ręką uniosłam świeczkę i w jej pełgającym pomarańczowym blasku zobaczyłam najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek dane mi było ujrzeć. Nie bardzo umiałam rozpoznać, czy ta istota jest mężczyzną, czy kobietą, jakoś jednak musiałam się do niej zwracać.

- Skąd się tu wzięłaś? Szedłeś za mną?

- Och, chodzę już za tobą kawałek czasu, ale że teraz, jak myślę, bardzo mnie potrzebujesz, więc jestem. Wiesz, to przyszło za tobą do domu.

- To? Czym ono jest?

- Och, nie trzeba o tym myśleć. Tylko byś się martwiła. Powiem ci jedynie, że duchy chaosu istnieją po to, by sprawiać kłopoty. A teraz, jeśli pozwolisz, sprowadzę cię na dół. Nie chcę, by coś ci się stało.

- Co masz na myśli? - spytałam przerażona.

- Och, może ci podstawić nogę albo podpalić spódnice. Narobił ostatnio sporo kłopotów, więc rozpiera go pycha, w dodatku wie, że cię lubię. Chodź, wezmę cię pod rękę.

- Te schody są za wąskie dla dwóch osób.

- Ja nie potrzebuję schodów - odrzekła ta piękna istota, podchodząc bliżej. Twarz jej okalały gęste brązowe loki, przez które dziwnym sposobem prześwitywało światło. Spod płaszcza mignęła mi piękna szata, tylko że... To biedne stworzenie było garbate! Na plecach, skryta pod płaszczem, widniała ogromna wypukłość, która, co osobliwe, zdawała się lekko poruszać. Mój gość nie miał też butów, a jego białe stopy wydawały się za delikatne na tę naszą podłogę, chropowatą i pełną zadziorów. A jednak schodząc po wąskich spiralnych schodach, wydeptanych i miejscami niemożliwie śliskich, czułam się pewnie jak nigdy, mimo że pod pachą niosłam książkę, w drugiej ręku zaś trzymałam świeczkę. Cały czas czułam, że mnie podtrzymuje niezawodne ramię.

- A któż to taki? - wykrzyknęła zdumiona pani Hull. - Jakim cudem dostał się do twych pokojów? Przysięgam, że nikogo dzisiaj nie wpuszczałam! No, ale znając twych

przyjaciół, domyślam się, że i on także chętnie by zjadł kolację.

Na twarzy gościa pojawił się uśmiech, który pokrył ją całą siateczką drobnych wesołych zmarszczek. Można by pomyśleć, że nigdy dotąd nie oglądał osoby równie zabawnej.

- Jestem Hadriel - oświadczył, jakby to starczyło za wszystko.

- Aha, gościmy więc pana Hadriela. A może to twoje imię? Nie wydaje mi się, ale jeśli tak, nie brzmi ono zbyt po chrześcijańsku... bez urazy! Chciałam powiedzieć, że zapraszam cię na kolację, jeśli masz ochotę... i nie myśl, że ze mnie jakieś skąpiradło... A więc jeśli jesteś głodny, proszę bardzo... - Widząc podniecenie pani Hull, Hadriel roześmiał się głośno i dźwięk ten wypłoszył wszystkie cienie z kątów. Po prostu znikły.

- Zjem kolację z największą przyjemnością - powiedział, a może „powiedziała”? Wciąż jeszcze nie byłam pewna, jakiej właściwie płci jest nasz gość. Imię, które podał, też nie wyjaśniało sprawy, nie było bowiem pospolitym imieniem chrześcijańskim, no ale skoro wdowa nie miała żadnych wątpliwości, że to „pan”, niechże więc będzie „pan Hadriel”. Kiedy wkroczył za mną do kuchni, rozejrzał się dookoła z rozbawioną miną, po czym stanął przy wielkim kamiennym palenisku i z taką ciekawością jął badać wiszący nad ogniem sagan, jakby nigdy w życiu nie oglądał nic podobnego. Wszyscy siedzieli już w kuchni, gdzie było bardzo przytulnie i gdzie unosiły się nadzwyczaj smakowite wonie.

- Kto to jest? - spytał podejrzliwie Tom. Zdawało mi się, że w jego głosie słyszę też nutkę zazdrości. W tej samej chwili z komina dobiegł nas głośny trzepot. Nietoperz? Od razu zrobiło się jakoś nieswojo. Hadriel ujął pogrzebacz i wetknął do komina, zręcznie omijając garnek.

- To jest pan Hadriel, który przyszedł na kolację - przedstawiła gościa pani Hull. - Ale co ty tam robisz, mój drogi?

- Słyszę cię, Belfegorze - zawołał Hadriel, stukając pogrzebaczem po ściankach komina. - A pójdziesz ty stąd! - Trzepot ucichł. - Jakieś licho wpadło do komina - wyjaśnił - ale już je przepędziłem. A jak tam z kolacją?

- Wszystko gotowe i czeka, myj ręce. Pani Nan, musimy dostawić dwa talerze. O, a gdzież to mój nóż do chleba?

Nan zaczęła uwijać się koło stołu, a ja, korzystając z chwili zamieszania, zerknęłam sobie na Hadriela. Siedział na ławie, wycierając zakopcone palce brzegiem swego starego samodzielnego płaszczka. Skrzyżowawszy stopy, tak białe, że aż przezroczyste, odezwał się z psotnym uśmieszkiem:

- No proszę, i co ja robię! Są tacy, którzy mi radzą, żebym lepiej nie brudził sobie

rączek!

- Od wszystkiego, co warto robić, ubrudzisz sobie ręce, tak to już jest. Spójrz na mnie i moje obrazy. Tylko że ja nie umiałabym być szczęśliwa jako dama o czystych rączkach - skonstatowałam, przynosząc mu dzbanek z wodą i miednicę. Spojrzał na mnie i znów się uśmiechnął.

- Nie tylko ręce, Zuzanno. Na uchu także masz odrobinę ochry. Ciekawe, skąd się tam wzięła?

- Och! - Czym prędzej zakryłam ucho, a on wybuchnął głośnym śmiechem.

- Talerze już chyba wszystkie...

- Och, skoro takie mamy towarzystwo, napijmy się wina!

Jakoś tak znienacka przepadły gdzieś troski i wszyscyśmy poweseleli. Miało to na pewno coś wspólnego z tym śmiechem Hadriela. Wszyscy śmialiśmy się teraz właściwie bez żadnej przyczyny. Grzechotały talerze, wino krążyło dookoła stołu. Cat tak się rozchichotała, że aż napadła ją czkawka. Matka klepnęła ją w plecy, ale nie pomogło.

- Proszę wstrzymać oddech, panno Cat! - zawołał Tom.

- Licz do dziesięciu - podsunęła Nan.

- Spróbuj napić się wody przez płótno - poradził Hadriel. - Mówiono mi kiedyś, że to niezawodny sposób. - Twarz zaróżowiła mu się od jedzenia i picia. Bardzo dobrze, bo taki był blady; nie wyglądał zdrowo.

- Tak, tak, zrób, jak radzi nasz gość! - podniósł się gwar głosów. Pani Hull przyniosła czystą ściereczkę. Po kilku nieudanych próbach Cat zdołała wypić trochę wody.

- Przeszło - wykrzyknęła z buzią czerwoną jak burak. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, flaszka znowu zaczęła krążyć. Pan Hadriel był już chyba pod dobrą datą, chociaż pił bardzo niewiele.

- Nie, nie, dziękuję, droga pani Hull - zaczął się wymawiać, kiedy próbowała dolać mu parę kropel. - Wino tak mi uderza do głowy... Rzadko pijam wino, to pewnie dlatego.

- Więc zjedz coś jeszcze, mój drogi. - Pani Hull także była ździebko zawiana.

- Kochana, nie przełknę już ani kęsa - odrzekł Hadriel, kiwając się niebezpiecznie. - Ja zazwyczaj w ogóle nic nie jem i nie piję.

Czy mi się przywidziało, czy ten jego garb naprawdę zaczął podrygiwać?

- Matka powinna lepiej o ciebie zadbać, jesteś o wiele za chudy! Ładne rzeczy, nie je i nie pije! I co też jej przyszło do głowy, żeby dać ci takie imię? O, Jerzy albo Michał to są ładne imiona, ale Hadriel?

- No cóż... Prawdę mówiąc, był to pomysł mojego ojca - wyznał Hadriel, różowy już

teraz aż po czubki włosów.

- Można było się tego spodziewać - prychnęła pani Hull. - Mężczyźni! Mnie tam wyglądasz bardziej na Michała.

- O nie, Michał jest większy, o wiele większy - odrzekł Hadriel, sam już teraz dolewając sobie wina.

- No to powiedz mi, drogi Hadrielu, dlaczego taki ładny i miły chłopiec chowa się w pokoju Zuzanny, co? Nie lepiej to było zapukać do drzwi, przywitać się z nami jak trzeba?

- Jja... się nie schowałem... A przychodzę dość często... Tto... z powodu jej malowania, pojmujesz? Mam zaa... z zadanie pomagać... słabszym... ale ja tak lubię dobre malarstwo. Ci Addamowie... tto pyszny żart! Od wieków ttak się nie uśmiełem. A teraz napytała szobie... furę kło... kłopotów. Szuszanno, drogie dziecko, trzeba się tobą zająć... Wiesz, zamierzam coś... coś zrobić. Wpłynąć na kogoś. Na... na pewnego księcia Kościoła. Który to teraz? Ach, ten, ten tłuszy... w Brideszwell... Nie masz pojęcia, ile ten Kościół sprawia nam kłopotów... Czo to ja? Aha, muszę iść. - Hadriel wstał, lekko się zataczając.

- Już chcesz iść? Niebezpiecznie chodzić samemu po nocy! Mogą cię napaść rabusie! - zaniepokoiła się pani Hull.

- Nnic mi... nnie zrobią, bo i cco by mi mogli ukraść? - Hadriel niepewnie zmierzał ku drzwiom, trzymając się ręką ściany.

- Tak cię nie wypuszczę! Sumienie mi nie pozwala!

- Jak? Nie rozumiem...

- Spójrz na swoje stopy! Nie masz butów!

- A cco... w tym... złego? Nigdy nie noszę... butów.

- Pytanie! Nogi pokaleczysz sobie po ciemku! Cat, skocz do mojego pokoju. W tej wielkiej skrzyni są rzeczy ojca. Przynieś parę butów.

- Matko! Chcesz oddać buty ojca?

- Cat, moja malutka, za długo już one tam leżą. To, że je zatrzymam, nie zwróci mi męża, a temu biedakowi matka nie dała nawet butów. - Pobiegła do Hadriela i złożywszy głowę na jego ramieniu, wyszlochała: - Gdybyż to Bóg dał mi takiego syna! Biedny drogi chłopiec! Taki śliczny, a nie ma co jeść ani pić! Nie ma nawet matki! Myśl o mnie... jak o drugiej swej matce...

Hadriel strasznie zaambarasowany, cały czerwony, niezgrabnie pogładził ją po ramieniu.

- Żałuję, bardzo żałuję - powiedział cicho - że nie mam żadnego z tych... wielkich błogosławieństw... szame tylko małe... sztuka... takie tam błahoszki...

Aż dziw, jak niezgrabnie wyglądały buty na tych jego delikatnych stopach. Widząc, jak kiepsko idzie mu sznurowanie, nietrudno się było domyślić, że to jego pierwsze w życiu buty. Zdumiewające, zważywszy, jak piękne i białe miał stopy. Gdy zastanowiłam się nad tym, kiedy pomyślałam, że w ciepłej kuchni ani na chwilę nie zdjął płaszcza, gdy przypomniałam sobie, w jaki sposób sprowadził mnie ze schodów, mogłam wysnuć tylko jeden wniosek. Kiedy wyszedł z domu, byłam już pewna, że się nie mylę.

- Patrzcie, ten pan Hadriel zgubił pióro. Nie będzie miał teraz czym pisać. Zuzanno, po co otworzyłaś okiennice? - zawołała Nan.

Nic jej nie odpowiedziałam. Wychylona z okna odprowadzałam wzrokiem pijanego anioła, który świetlistym zygzakiem wznosił się ku niebu.

Kiedy król wpadał w furję, zdawało się, że nawet ściany wyłożone ciężką dębową boazerią trzęsą się od jego potężnego głosu.

- Mówię ci, że mnie zdradził! I ciebie również, siostró! Przestań się oszukiwać! - Henryk VIII w stroju z błękitnego jedwabiu, haftowanym perłami i złotem, a podszytym w wycięciach złotą materią, krążył ciężkim krokiem po komnacie niczym rozjuszony buhaj. Wysoki wzrost i krzepka budowa nadawały mu wygląd młodego atlety; potężna muskulatura nie pokryła się jeszcze nadmiarem tłuszczu, choć oznaki przyszłej otyłości stawały się już widoczne. Rudoblonde włosy, pozlepiane w wilgotne kosmyki, zwisały w nieładzie wokół gładko wygolonej twarzy całej nabiegłej krwią, na szyi rysowały się wszystkie żyły, z oczu zwężonych jak szparki ziała furia.

- Ale czyż nie powiedział, że jest zbyt niezdrów, by przyjąć moją wizytę? Czyż w listach nie nazywałam go mężem? Czyż nie przysyłał klejnotów, by okazać mi swoje względy? - Gniew króla wprawił księżniczkę w przerażenie. Przez całe życie była ulubienicą brata, jego pieścidełkiem, jego małą uwielbianą siostrzyczką, której dogadzał we wszystkim, spełniał każdą zachciankę i każdy kaprys. On także był jej bardzo drogi. Czyż ktokolwiek radośniej niż ona uczestniczył w jego maskaradach, śpiewał przy wtórze jego wirginału, podejmował i bawił jego przyjaciół? I nagle ta okropna burza. Ukochany brat przychodzi i oświadcza, że jej małżeństwo ułożone przed laty, kiedy była jeszcze małym dzieckiem, nie jest już ważne!

- Wszystko to sprawka jego ciotki, tej podstępnej wiedźmy, która rządzi w Niderlandach. Kazała mu usypiać mą czujność, aby tym mocniej uderzyć. I proszę, potajemny układ za mymi plecami! Cesarz od samego początku prowadzi ze mną fałszywą grę. Powtarzam ci, siostró, nie jesteś już zaręczona z tą żalną kreaturą! Niechaj książę Karol



Kastylijski szuka sobie innej oblubienicy!

- Ale... ale moje klejnoty, moja wyprawa we flamandzkim stylu, moje srebra... No i czyż nasze małżeństwo zawarte przez pośrednika nie zostało skonsumowane? Pocałował mnie przecież, pamiętam. Boję się grzechu - jęknęła księżniczka, załamując ręce. Rozbiegane oczy upodobniały ją do łani schwytej w potrzask. Rozpaczliwie szukała kolejnej wymówki. Oby tylko nikt się nie domyślił, o co naprawdę jej chodzi.

- Twe srebra bardziej spodobają się królowi Francji, tak jak i ty, moja siostrze. Francuski monarcha to nie to, co tamten cherlawy niedorostek! To wielki król, dojrzały i w pełni sił męskich. Zostaniesz władczynią Francji, a twój małżonek świata za tobą nie będzie widział! Wolsey, wytłumacz raz jeszcze mojej krnąbrnej siostrze, że jej małżeństwo nie zostało skonsumowane, *ergo* nie istnieje.

- Rozważ, wasza wysokość, żeś nie tylko winna posłuszeństwo swojemu bratu i władcy, lecz że w tym, co dotyczy praw ustanowionych przez Kościół, dysponuje on taką znajomością rzeczy, której nikt w królestwie nie dorówna. Sam papież wyraził pochwałę dla jego wiedzy i wiary. Uwierz mi zatem, że zgodnie z opinią biegłych w tej materii konsumpcja, o której mówisz, nie była żadną konsumpcją. Pocałunek tu nie wystarcza ani nawet obrączka. W czasie twojej ceremonii ślubnej świadkowie jedynie przyrzekli, że małżeństwo zostanie skonsumowane, gdy oboje osiągniecie stosowny ku temu wiek. Gwarantuję ci całą powagą Kościoła, Świętej Matki naszej, że twoje małżeństwo było nim jedynie z nazwy. Aby stało się ważne i prawdziwe, małżeństwo wymaga potwierdzonego przez świadków, rzeczywistego skonsumowania w łożu. Widzisz zatem, że nawet Kościół Chrystusowy uznaje cię za niezamężną i każe ci być posłuszną woli twego króla. Zostać monarchinią tak wspaniałego królestwa jak Francja to wielkie szczęście, za które powinnaś dziękować Bogu i swemu szlachetnemu bratu, wszystko to bowiem zawdzięczasz jego staraniom i trosce. - Głos Wolseya brzmiał miękko i uniżenie, a jego zdrowe oko chyłkiem obserwowało władcę. Z szyi Henryka z wolna ustępowała czerwień. Kobiety!, westchnął w duchu biskup. Tonem głosu starał się dać królowi do zrozumienia, że żadna kobieta nie jest w stanie pojąć ani istoty, ani wagi rzeczy. Kobiety trzeba kusić zabaweczkami, nie zaś zbytnio liczyć na ich rozum.

Henryk obserwował siostrę. Księżniczka, spuściwszy oczy, skubała hafty na sukni; po kolei chwytiała drobne perełki i przesuwiała je w palcach niby paciorki różańca. Wolsey ma rację, pomyślał. Kiedy znów przemówił, głos jego zabrzmiał łagodniej:

- Posłuchaj mnie, Mario. Zostaniesz wielką królową i matką królów. Będziesz nosić klejnoty koronne, których piękno i sława nie mają sobie równych w świecie. Pomyśl,

wzdycha do ciebie potężny monarcha! Żal ci chorowitego wyrostka, który pewnie nie dożyje dojrzałości? Wyobraź sobie, jak wielkie czeka cię szczęście! Posłuchaj mądrzejszych od siebie.

- Rada słucham cię we wszystkim, mój panie - odrzekła księżniczka, wciąż nie podnosząc wzroku. Henryk, nie widząc jej oczu, wziął to za wyraz pokory. - Czy... jednak król Francji nie jest stary i ułomny? - spytała z wahaniem, jakby nie była pewna, czy dochodzące ją słuchy nie są aby prawdziwe. Równie chytra i uparta jak brat rozumiała, że musi grać rolę głupiutkiej dziewczyny, inaczej nie wydobędzie z niego obietnicy, na której tak jej zależy.

- Ułomny? - roześmiał się Henryk. - Nic podobnego, moja droga. Prawda, że wstąpił już w jesień życia, lecz to nadal mężczyzna na schwał. A że starszy, tym lepiej. Łatwiej go oczarujesz.

- Bracie, mogę prosić cię o jedną łaskę? Wyświadczyć mi ją, a ja z największą chęcią poślubię tego monarchę, potem zaś jako królowa Francji spełniać będę wszystkie twe życzenia.

- A cóż to takiego? Mów. Rad wyświadczę ci każdą łaskę, jeśli leży to w mojej mocy.

- Gdyby... gdyby król Francji umarł... czy wtedy pozwolisz, abym sama wybrała męża?

Henryk na chwilę stracił mowę. Słyszane to rzeczy? Zwiedziony jednak stworzonym przez samego siebie wizerunkiem krzepkiego mężczyzny w wieku ledwo średnim, odrzekł, w duchu rezerwując sobie królewskie prawo do zmiany decyzji, gdyby tego wymagała racja stanu:

- Zgoda, jeśli sprawię ci tym przyjemność.

- To, co mnie sprawia przyjemność, zawsze podoba się tobie. I teraz będzie nie inaczej. - Ton księżniczki był tak potulny, że król nie zauważył, jak dwuznaczne są jej słowa. Klasnął w ręce wołając:

- Hej, Wolsey, dawaj tu ów dokument! Mario, tej mowy musisz się dziś wyuczyć co do litery. Jutro w czasie oficjalnej audiencji ogłosisz zerwanie zaręczyn z księciem Karolem z powodu jego fałszu i złych intencji.

Wolsey z rozgłośnym szelestem wydobyl spod wierzchniej szaty cały zwój dokumentów: papiery do podpisu i tekst dla księżniczki, skądinąd istne arcydzieło, zarówno pod względem argumentacji, jak i kwiecistości stylu. Tworząc je, przeszedł samego siebie. Teraz odczytując głośno ów dokument, spod oka zerkał na króla. Henryk uśmiechał się i kiwał głową. Całą winą obarczony został Karol; dawał posłuch złośliwym plotkom, pozwalał,

by źli doradcy oczerniali przed nim księżniczkę. Nie dochował jej wiary, czym tak srodze ją upokorzył, że ona, Maria, nie darzy go już żadnym sentymentem, a obietnicę małżeńską uznaje za nieważną. Z własnej i nieprzymuszonej woli oświadcza niniejszym, że nic już nie łączy jej z księciem Karolem. Słuchając przeznaczonej dla siebie mowy, księżniczka mieniła się na twarzy: początkowa markotność ustąpiła miejsca zdumieniu.

- Na zakończenie wasza wysokość musi oczywiście zwrócić się do króla z prośbą o wybaczenie, następnie zaś zadeklarować swą gotowość do posłuszeństwa. Racz powiedzieć, pani, że uczynisz wszystko, by twój brat był z ciebie zadowolony. Zacznę teraz powoli czytać od początku. Czy zechcesz powtarzać za mną? - spytał Wolsey, sprawdzając znów chyłkiem reakcje Henryka. Królewskie oblicze promieniało.

- Świetnie, Wolsey. W tej sprawie dobrze mi się przysłużyłeś.

- Najjaśniejszy panie, jedynym celem mego życia jest służyć ci w taki sposób, w jaki ty sam służyłbyś sobie, gdybyś miał czas, mój władco, zajmować się drobiazgami.

Mowę i dokumenty miał gotowe już od tygodnia, nie wątpił też ani przez chwilę, że z łatwością nakłoni tę słabą kobietę, by służyła jego wielkim planom.

W wąskich romboidalnych szybkach gabinetu jego eminencji błyszczało letnie promienne słońce. W sadzie ptaki śpiewały na wyścigi, a gałęzie uginały się od owoców, tak że ogrodnicy co drugą musieli podpierać.

Biskup pracował od rana, sprawdzając w towarzystwie panów Warrena i Tuke'a spisy rzeczy i listy osób. Uroczystości wieńczące najbardziej mistrzowskie posunięcie w całej jego dotychczasowej karierze musiały dorównać wielkości dzieła. Nie mogło tu być mowy o pomyłce czy przeoczeniu.

Dwie ceremonie ślubne! Jedna tu, w Anglii, przez pośrednika, druga we Francji z udziałem wybranych najznakomitszych przedstawicieli angielskiej arystokracji. Wszystko, z czym wyprawiano księżniczkę, a więc angielskie konie, angielscy rycerze, angielskie pawilony turniejowe, jak również całe wiano, poczynając od karet i sreber, a na nocnikach kończąc, musiało zostać dokładnie spisane, policzone i zaksięgowane. Nad sporządzeniem tych spisów pracowała cała armia klerków i sekretarzy, przewiezienie zaś wszystkiego do Francji wymagało czternastu statków.

- Srebra, tak. Wielka solniczka... hm... półmiski, świeczniki... wszystko się zgadza. Zobaczmy tutaj... dwie karety, po dziesięć klaczy do każdej, dziesięć pensów dziennie na łeb... Tuke, masz listę dam dworu towarzyszących księżniczce?

- Tak jest, wasza miłość. - Tuke płynnym, pełnym gracji gestem położył, żądany

papier przed biskupem. Warren obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

Wolsey chwilowo poniechał koni, pościeli i kotar i jął zdrowym okiem bardzo uważnie studiować listę.

- Co? Nie! Tę musisz skreślić, jej ojciec zbyt mało znaczy. O! A cóż na tej liście robi Jane Popincourt?

- Księżniczka specjalnie o nią prosiła. Wasza miłość sam zresztą polecił wybierać zwłaszcza te damy, które dobrze mówią po francusku, a znaleźć je nie tak łatwo, jakby się mogło wydawać.

- Król Francji napisał mi w liście, że lady Popincourt cieszy się, jak słyszał, lichą reputacją. Fama głosi, że obdarzała łaskami de Longueville'a... Ludwik XII powiada, że prędzej żywcem ją spali, niż pozwoli służyć swej młodej małżonce.

- Wymienił ją z nazwiska?

- A jakże. Inne zresztą również. Jego szpieczy, jak się zdaje, dwoją się i troją. Hm... widzę tu Mary Boleyn, córkę sir Thomasa. Skreśl ją, ona także jest na indeksie. Czy sir Thomas odpowiedział na moją prośbę o udział drugiej jego córki? Słyszałem, że jej francuszczyzna jest doskonała, a regentka Niderlandów dobrze ją wyszkoliła w dworskiej etykiecie.

- Sir Thomas napisał do Małgorzaty Austriackiej z prośbą o zwolnienie córki z funkcji damy dworu w Niderlandach. Ta młoda dama jest już w drodze do Greenwich.

- Mówiłeś, że ile ma lat?

- Czternaście, milordzie.

- Nie jest zatem zbyt młoda. No i nie wątpię, że jeszcze dziewica. Jedzie więc Anna Boleyn. Teraz te białe konie pod wierzch... uprzęż, jest. Wielki koniuszy... Co z tego płynie na „Great Elizabeth”? - zapytał, stukając palcem w wykazy.

- Damy dworu, srebra, muzycy...

- Czy to wszystko kobiety? Król Francji nie życzy sobie żadnych mężczyzn.

- Tak jest, wasza miłość, z wyjątkiem muzyków, którzy są księżmi, i trębaczy. Płynie też malarka ze swoją służącą oraz chłopakiem, co ma rozrabiać jej farby.

- Skreśl chłopaka! Orszaku jej się zachciewa! Co ona sobie myśli? Ze jest królową Persji? Swoją drogą, co też mi przyszło do głowy, żeby ją wysyłać? Z początku wcale nie chciałem, aż tu któreś nocy zaczęło mi się wydawać, że to dobry pomysł. Całkiem jakby mi ktoś to podszeptał. Tak... teraz kotary do łoża... Co to za harmider? Mówiłem ci, Ashton, że jestem zajęty - rzucił w stronę młodego człowieka, który cicho jak duch wsunął się do gabinetu. Ubrany był w surową przygnębiającą szarość.

- Milordzie, przynoszę list, który właśnie nadszedł z Rzymu. Przesyła go Sylwester de Giglis z dworu Ojca Świętego. - Ashton był bardzo blady, oczy miał zapadnięte. Jak mogłem kiedykolwiek uważać, że on jest zabawny?, pomyślał Wolsey.

- Z Rzymu? Trzeba było od razu mówić. Cóż pisze de Giglis o mym kapeluszu kardynalskim? Czy ten nieszczęsny Bainbridge nadal zagradza mi drogę?

- Nie wiem, milordzie. Wasza miłość dowie się z listu.

Wolsey złamał pieczęcie i przez chwilę czytał w milczeniu. Kiedy się wreszcie odezwał, słowa bardzo powoli padały mu z ust.

- Kardynał Jorku nie żyje. Zmarł w Rzymie.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności - zauważył Ashton. Wolseyowi nie podobał się jego ton.

- Nie całkiem szczęśliwa, niemniej istotnie koincydencja - odrzekł nieco ironicznie. - Bainbridge został otruty przez własnego kapelana. Myślę, że to Włoch; wiesz, jacy oni są. - Wpatrując się w milczącą, dziwnie ściągniętą twarz Ashtona, pomyślał: Ciekawe, ile wiesz. - Dziękuję ci, możesz odejść - odprawił go krótko, przez chwilę po dawnemu bawiąc się niechętnym spojrzeniem, którym Ashton obrzucił pełną zadowolenia z siebie twarz Briana Tuke'a. Niewdzięcznik z tego Ashtona. Zdolny i użyteczny, cóż, kiedy wciąż nie rozumie, gdzie jego miejsce. W tym jednym Brian Tuke ma rację. Trzeba wysłać gdzieś Ashtona na dłuższy czas. Zlecę ci takie zadanie, pomyślał biskup z satysfakcją, że nawet ty go nie zgryziesz. Dopiero wtedy zrozumiesz, że wszystko zależy od mojej łaski i względów, a nie od twoich osiągnięć. Abyś stał się człowiekiem, jakiego mi trzeba, musisz przede wszystkim spokornieć.

Długą chwilę ciszy przerwał obłudny głos Tuke'a:

- Czy wasza miłość będzie jutro towarzyszył królowi? Warto chyba wykorzystać tę sposobność i popchnąć sprawę biskupstwa Jorku.

- Cóż, doskonały pomysł... Nie powiem, bym sam już o tym nie pomyślał. Jego eminencja biskup Jorku. Dobrze brzmi ten tytuł. A York House to bardzo wygodna rezydencja, choć trzeba by trochę odmienić wnętrze. Uhm. Poślij po tę malarkę. Nie, tym razem nie przez Ashtona. Powiedz jej, że to poufne. Chcę, aby przed wyjazdem namalowała mój portret. Z profilu, z tej lepszej strony. W szkarłacie.

- Zuzanno, czego chciał od ciebie ten chłopak? - spytała pani Hull, w chwili gdy ubrane do wyjścia przechodziłyśmy z Nan przez sklepik. Wiosna ustąpiła już miejsca latu; moje powodzenie rosło ostatnio niemal równie szybko jak pozycja mego patrona, który z miesiąca na miesiąc stawał się coraz większy. Pani Hull, siedząc pod rzędem zielonych świętych, pracowicie robiła na drutach, Cat i Tom usadowieni w głębi na długiej ławie zwijali włóczkę. Tom z pasmem wełny na rozpostartych rękach na mój widok przewrócił oczami, dając do zrozumienia, jak strasznie go irytuje to nieznośnie nudne zajęcie.

- Arcybiskup wzywa mnie do York House. Mam znów namalować portret. A ty co robisz? Ładnie to wygląda.

- Wymyśliłam rękawy na drutach. Wiesz, tego wieczoru, kiedy to pan Hadriel złożył nam wizytę, naszło mnie nagle natchnienie: gdyby wziąć dwa kolory i każdy zrobić innym ścięciem, to może wyjść wzór imitujący wycięcia. Elegancko to wygląda, nie uważasz? I jak modnie!

Przyjrzałam się bliżej robótce. Ściegi pani Hull nigdy jeszcze nie były tak równe.

- Bardzo to pomysłowe. Wszyscy będą chcieli mieć takie.

- Mówię ci, ostatnimi czasy palę się do tej roboty. Nawet śnią mi się druty i ścięgi, imaginujesz sobie? Wymyśliłam teraz wzór, który będzie wyglądał jak malutkie krople. Ależ jestem ciekawa, jak mi to wyjdzie! Nie mogę się wprost doczekać... Od śmierci drogiego pana Hulla nie byłam taka szczęśliwa, choć ma się rozumieć, nic na świecie mi go nie zastąpi... A wiesz, Tom wspominał o farbie, którą mistrz Ailwin umie jakoby spreparować. Chyba zacznę sama barwić przędzę, by uzyskać kolory, które mi się marzą. Ach, głowę mam pełną różnych wizji i nie dają mi one spokoju. Nie spocznę, póki tego wszystkiego nie zobaczę na własne oczy. Mówię ci, to natchnienie zesłane przez Pana Boga.

- Wizje wzorów na drutach? Daj spokój, matko. Myślę, że Bóg ma na głowie dużo ważniejsze rzeczy.

- Nic podobnego, On widzi wszystko! I malutkiego wróbelka, i moją robótkę na drutach. Gdybym tylko umiała szukać w Piśmie Świętym jak księża, znalazłabym ci to miejsce. A zgryźliwe młódki też widzi. Nie skończyliście jeszcze zwijać tej niebieskiej wełny? Zaraz mi będzie potrzebna.

Wymknęłyśmy się z Nan na ulicę, nie czekając na dalsze argumenty. Po drugiej stronie mignął mi niski i chudy jegomość w czarnym płaszczu, nim wszakże zdążyłam mu się przyjrzeć, zniknął w otwartej bramie.

- Nan, zauważyłaś tego człowieka? Głowę daję, że już go widziałam.

- „Pod Kozłem i Dzbanem”? Pewnie kocha się w tobie jak ten, co leżał w rynsztoku. Swoją drogą awansujesz, skoro masz już takich wielbicieli, którzy potrafią ustać na dwóch nogach.

- Widziałam go chyba w jakimś innym miejscu, tylko nie pamiętam gdzie. Denerwuje mnie to.

- Nie pleć głupstw, to pogoda cię denerwuje. W taki dzień nawet konie robią się niespokojne.

Dzień był chmurny, wilgotny i duszny, zanosilo się na burzę. Dziwnie gorący wiatr głośno szeleścił liśćmi. Szliśmy Strandem do Westminsteru, cały czas wśród tłumu gwardzistów, łuczników, klerków w urzędowych togach i prawników - ci ostatni dosiadali mułów. Konie w istocie były niespokojne. Młodzieniec w zielonej szacie i wysokich butach ani rusz nie mógł okiełznać swej klaczy, tak że jakaś kobiecina z koszem ledwie umknęła spod kopyt. Tuż za nami umorusany wyrostek pędził stado świń, których odór zatykał nozdrza. Powietrze było tak gęste, że wprost namacalnie czuło się jego ciężar. Mój niepokój rósł z każdym krokiem. Kiedy przystanęliśmy przy Charing Cross, rozejrzałam się na wszystkie strony i znów zdawało mi się, że widzę tego mężczyznę, jak chyłkiem przemyka się w tłumie. Tylu ludzi nosi jednak czarne płaszcze, że trudno tu było o pewność. Po prawej stronie, patrząc na południe, ciągnęły się ogrodzenia, gdzie możni panowie przychodzili ćwiczyć władanie bronią - aż tutaj słychać było szczęk stali. Po lewej rząd okazałych rezydencji i wysokich kamienic z pokojami do wynajęcia urywał się nagle, ustępując miejsca murom, bramom i wieżom pałacu arcybiskupa. Zerknęłam za siebie i... włoski na karku stanęły mi dęba: znów ten mężczyzna! Teraz byłam już pewna, że nas śledzi.

- Okropne dzisiaj powietrze! Burza nadciąga, i dobrze, mnie przynajmniej przyniesie ulgę - stwierdziła Nan, przytrzymując wolną ręką czepek, w drugiej dźwigała przyciężki kuferek. Przystanęłam w pół kroku, by doprowadzić do ładu spódnice podwiane nagłym podmuchem wiatru. Górą niósł się nieprzyjemny pomruk: echo dalekiego grzmotu? Po niebie sunęły teraz szybko szaroolowiane chmury. Postać w czerni skryła się w którejś z otwartych bram. Czy to Septimus Crouch nasłał na mnie mordercę? Kim jest ów człowiek i co zamyśla? Chce mnie dopaść teraz, gdy nie mam eskorty?

- Nan - wyszeptalam - uwierz mi, proszę. Widziałam już tego człowieka, przysięgam. A jeżeli to zbir wynajęty przez tego bogacza, co na moich oczach popełnił morderstwo?

Teraz przeraziła się i ona. Byliśmy już niedaleko pałacowej bramy. Nie wejdzie za nami na dziedziniec, myślałam gorączkowo. Kręci się tam mnóstwo służby, a przy bramie

stoją strażnicy. Opuściłam głowę i pędem pognałam naprzód. Nan starała się za mną nadażyć, na ile pozwalał jej ciężki kuferek. Słyszałam, jak farby i pędzle grzechoczą o ścianki.

Poczułam na twarzy pierwsze krople deszczu. Był o wiele za ciepły, by oczyścić duszne powietrze. Od bramy dzieliło mnie już tylko kilka kroków. Rzuciłam się ku niej na oślep i... wpadłam na kogoś z impetem. Ciasno objęły mnie czyjeś krzepkie ramiona. Odzyskawszy równowagę, zaczęłam się wrywać i krzyczeć. Byłam pewna, że to ten czarny.

- Milcz, uspokójże się! Mogłabyś spojrzeć, zanim zaczniesz wrzeszczeć. Chcesz, by mnie ujęli strażnicy? - syknął napastnik i zatkawszy mi ręką usta, pociągnął w stronę małej furtki prowadzącej na dziedziniec.

- Zuzanno, ty głuptasie, wszak to pan Ashton! I stoi przed tobą, a nie za plecami. Zamknij usta i otwórz wreszcie oczy!

Uczyniwszy to, zobaczyłam, że patrzę prosto w gniewne oblicze wzburzonego Roberta Ashtona. Nadal trzymał mnie w mocnym uścisku, nie pozwalając mi uciec. Ze wstydem uświadomiłam sobie, że niezgorzej pokopałam go w łydki, i zrobiło mi się gorąco.

- I jakąż to sztuczkę wycięłaś znowu, madame, że umykasz, jakby cię sam diabeł ścigał? - O, musiał dotkliwie odczuć te kopniaki.

- Tam!... Jakiś człowiek... cały w czerni - zdołałam wykrztusić. - On... on mnie śledził! Ja... przepraszam, wzięłam pana za niego.

- Nie zauważyłem żadnego człowieka w czerni. Czy to możliwe, że w końcu zaczęło cię nękać sumienie? - Zamilkł na długą chwilę z dziwną doprawdy miną. - Wejrzyj w siebie i poszukaj odpowiedzi... czy nie czujesz się współwinna zdrady... wydania człowieka na śmierć...

- Śmierć? A więc wiesz?... Widziałam, jak dokonał skrytobójstwa, lecz to... to można pan... - urwałam. Wszak Robert Ashton nigdy mi nie uwierzy. Crouch to jego przyjaciel, arystokrata, sam biskup przyjmuje go w swej rezydencji. Któż dałby wiarę moim słowom, słowom nic nie znaczącej kobiety? Mówiąc Ashtonowi, co widziałam, zdradziłabym się przed Crouchem. Co by wtedy zrobił tak ważny urzędnik jak on? Kto wie, czy nie oskarżyłby o zbrodnię kogoś innego, Toma lub mistrza Ailwina? Mógłby kazać ich aresztować. Ashton nie spuszczał ze mnie wzroku. W pewnej chwili jakby się załamał. Twarz dziwnie mu się zapadła.

- Miał rację - wyszeptał. W czym? O co mu chodzi? - Umiesz na poczekaniu wymyślać niezłe opowiadki. - W jego oczach odbiła się gorycz. - Zręcznie! Od początku wiedziałem, że jesteś bystra. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - A czemuż to jakiś wielmoża, który, jak powiadasz, popełnił zbrodnię, miałby się za tobą uganiać? Taki pan kazałby swoim



ludziom poczekać na ciebie przed domem lub zostałąbyś aresztowana na podstawie jego lub czyichś fałszywych oskarżeń. - Mówił to wszystko jak człowiek, którego przygniata ogromne brzemie, teraz wszakże wyprostował się nagle, jakby postanowił mi tego nie okazywać, i ruszył w stronę pałacu. Po wejściu na schody znaleźliśmy się w części publicznej York House. Mijaliśmy jeden po drugim kręte korytarze i szereg reprezentacyjnych komnat urzędu arcybiskupa. Na Boga, myślałam, co się z tym człowiekiem dzieje? - Nie - mówił dalej - kłamiesz. Przyznaj się, madame! Kłamiesz, by ocalić własną skórę. - Nadal trzymał mnie mocno za ramię. Wyraźnie czekał na odpowiedź. Jaka? Nic z tego nie pojmowałam. - Mój Boże, cóż ze mnie za głupiec - wymamrotałam. - Tutaj - podniósł głos. - Jesteśmy na miejscu. Widzisz tę antykamerę, gdzie kilka kobiet wiesza gobeliny? Za nią znajduje się nowy gabinet jego eminencji. Kanclerz czeka na panią. - Popchnął mnie lekko ku drzwiom, sam zaś zniknął cicho jak zjawia.

Wolseya, o dziwo, zastałam bez zwykłej świty. Nawet Brian Tuke, ten jego pokojowy piesek, był nieobecny, aczkolwiek zza otwartych drzwi dobiegł mnie przytłumiony odgłos kroków, jakby ktoś tam próbował podsłuchiwać. Arcybiskup siedział w wielkim rzeźbionym fotelu z masywnego dębu, wyściełanym miękkimi poduszkami. Bardzo to przypominało tron. Kiedy już ucałowałam jego pierścień, Wolsey kazał mi odesłać Nan do antykamery, a drzwi przymknąć, zostawiając jedynie dziesięciocentymetrową szparę, aby było wiadomo, że jest zajęty i nikomu nie wolno wchodzić. Usłyszawszy to, wpadłam w popłoch: pewnie zamierza mi złożyć nieprzyzwoitą propozycję, a ja... ja nie ośmielę się mu odmówić.

- Madame Dallet, widzisz tę świętą księgę? Proszę na nią przysiąc, że ani słowo o tym, co się tu wydarzy, nie wyjdzie poza te drzwi.

Teraz przeraziłam się już nie na żarty. A jeśli pewnego dnia zaczniesz mi się wydawać, że najlepiej będę trzymać język za zębami zamkniętą gdzieś na dnie lochu?

- Przysięgam, wasza miłość. Niech Bóg porazi mnie nagłą śmiercią, jeśli pisnę bodaj słowo. - Dość długa była to przysięga, tak że pod koniec spościłam się już ze strachu.

- A więc - wyjaśnił arcybiskup Jorku, pochylając się ku mnie niezwykle poufałym gestem i posyłając mi uśmiech, który ostatecznie upewnił mnie w przekonaniu, iż jego życzenie okryje mnie hańbą - pragnę, byś namalowała mój portret. Oglądać go będę jedynie ja sam i nikt poza nami dwojgiem nie dowie się o jego istnieniu.

Boże, mam więc malować mężczyznę! Jakby nie dość mi było Adama. A tu nie wymagam się wodą czy pędami winorośli... Ale dobrze przynajmniej, że nie chodzi o nic gorszego.

- Przyjrzyj się tej tkaninie. Widzisz jej splot, ciężar i połysk? Potrafisz ją namalować?

- spytał, wydobywając próbkę wielkości tak ze dwóch dłoni. Był to szkarłatny połyskliwy jedwab.

- Potrafię, wasza miłość.

- Namalujesz mnie profilem z tej lepszej strony. W szacie takiej, jaką mam na sobie, tylko w tym oto kolorze - dotknął próbki.

Zalała mnie fala ulgi: w ubraniu! W ubraniu mogę malować każdego, kogo mi każą. To umiem.

- Tak jest, wasza miłość, ale dlaczego z profilu?

- Moje prawe oko...

- Proszę wybaczyć mi śmiałość, lecz skoro potrafię namalować nieistniejącą szatę, to zdołam też uczynić prawe oko waszej miłości równie zdrowym jak lewe. Najbardziej dystyngowanie prezentują się twarze w ujęciu trzy czwarte i takie portrety są dziś najmodniejsze. Profile wyglądają zbyt antycznie.

- Wątpię, czy to umiałabyś namalować w ujęciu trzy czwarte, a takie chcę mieć właśnie nakrycie głowy. W tym samym kolorze co szata. - Z szuflady biurka wydobył medalion z profilem nie znanego mi kardynała. Teraz wszystko stało się jasne: pragnie mieć portret w kapeluszu kardynalskim! W zaciszu swego gabinetu będzie nań spoglądał w samotne wieczory i zbierał siły niczym wódz swe zastępy przed szturmem na mury niezdobytej twierdzy. Jednakże on ją zdobędzie, zostanie kardynałem.

- Zatem portret ma wyglądać jak medalion?

- W rzeczy samej - odparł, a ja zaczęłam wyjmować farby. - Jak wiesz, jestem ogromnie zajęty, życzę więc sobie, byś szybko się z tym uwinęła.

- Zacznę od razu, a dokończę u siebie w pracowni.

- Nie chcę, abyś go brała do domu. Zbyt dużo kręci się tam ludzi. Słyszałem, że przyjezdni przychodzą cię oglądać jak dziwo. Jak figurki innego, Toma lub mistrza Ailwina? Mógłby kazać ich aresztować. Ashton nie spuszczał ze mnie wzroku. W pewnej chwili jakby się załamał. Twarz dziwnie mu się zapadła.

- Miał rację - wyszeptał. W czym? O co mu chodzi? - Umiesz na poczekaniu wymyślać niezłe opowiadki. - W jego oczach odbiła się gorycz. - Zręcznie! Od początku wiedziałem, że jesteś bystra. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - A czemuż to jakiś wielmoża, który, jak powiadasz, popełnił zbrodnię, miałby się za tobą uganiać? Taki pan kazałby swoim ludziom poczekać na ciebie przed domem lub zostałabyś aresztowana na podstawie jego lub czyichś fałszywych oskarżeń. - Mówił to wszystko jak człowiek, którego przygniata ogromne brzemie, teraz wszakże wyprostował się nagle, jakby postanowił mi tego nie okazywać, i

ruszył w stronę pałacu. Po wejściu na schody znaleźliśmy się w części publicznej York House. Mijaliśmy jeden po drugim kręte korytarze i szereg reprezentacyjnych komnat urzędu arcybiskupa. Na Boga, myślałam, co się z tym człowiekiem dzieje? - Nie - mówił dalej - kłamiesz. Przyznaj się, madame! Kłamiesz, by ocalić własną skórę. - Nadal trzymał mnie mocno za ramię. Wyraźnie czekał na odpowiedź. Jaką? Nic z tego nie pojmowałam. - Mój Boże, cóż ze mnie za głupiec - wymamrotałam. - Tutaj - podniósł głos. - Jesteśmy na miejscu. Widzisz tę antykamerę, gdzie kilka kobiet wiesza gobeliny? Za nią znajduje się nowy gabinet jego eminencji. Kanclerz czeka na panią. - Popchnął mnie lekko ku drzwiom, sam zaś zniknął cicho jak zjawą.

Wolseya, o dziwo, zastałam bez zwykłej świty. Nawet Brian Tuke, ten jego pokojowy piesek, był nieobecny, aczkolwiek zza otwartych drzwi dobiegł mnie przytłumiony odgłos kroków, jakby ktoś tam próbował podsłuchiwać. Arcybiskup siedział w wielkim rzeźbionym fotelu z masywnego dębu, wyściełanym miękkimi poduszkami. Bardzo to przypominało tron. Kiedy już ucałowałam jego pierścień, Wolsey kazał mi odesłać Nan do antykamery, a drzwi przymknąć, zostawiając jedynie dziesięciocentymetrową szparę, aby było wiadomo, że jest zajęty i nikomu nie wolno wchodzić. Usłyszawszy to, wpadłam w popłoch: pewnie zamierza mi złożyć nieprzyzwoitą propozycję, a ja... ja nie ośmielię się mu odmówić.

- Madame Dallet, widzisz tę świętą księgę? Proszę na nią przysiąc, że ani słowo o tym, co się tu wydarzy, nie wyjdzie poza te drzwi.

Teraz przeraziłam się już nie na żarty. A jeśli pewnego dnia zaczniesz mi się wydawać, że najlepiej będę trzymać język za zębami zamknięta gdzieś na dnie lochu?

- Przysięgam, wasza miłość. Niech Bóg porazi mnie nagłą śmiercią, jeśli pisnę bodaj słowo. - Dość długa była to przysięga, tak że pod koniec spościłam się już ze strachu.

- A więc - wyjaśnił arcybiskup Jorku, pochylając się ku mnie niezwykle poufałym gestem i posyłając mi uśmiech, który ostatecznie upewnił mnie w przekonaniu, iż jego życzenie okryje mnie hańbą - pragnę, byś namalowała mój portret. Oglądać go będę jedynie ja sam i nikt poza nami dwojgiem nie dowie się o jego istnieniu.

Boże, mam więc malować mężczyznę! Jakby nie dość mi było Adama. A tu nie wymigam się wodą czy pędami winorośli... Ale dobrze przynajmniej, że nie chodzi o nic gorszego.

- Przyjrzyj się tej tkaninie. Widzisz jej splot, ciężar i połysk? Potrafisz ją namalować? - spytał, wydobywając próbkę wielkości tak ze dwóch dłoni. Był to szkarłatny połyskliwy jedwab.

- Potrafię, wasza miłość.

- Namalujesz mnie profilem z tej lepszej strony. W szacie takiej, jaką mam na sobie, tylko w tym oto kolorze - dotknął próbki.

Zalała mnie fala ulgi: w ubraniu! W ubraniu mogę malować każdego, kogo mi każą. To umiem.

- Tak jest, wasza miłość, ale dlaczego z profilu?

- Moje prawe oko...

- Proszę wybaczyć mi śmiałość, lecz skoro potrafię namalować nieistniejącą szatę, to zdołam też uczynić prawe oko waszej miłości równie zdrowym jak lewe. Najbardziej dystyngowanie prezentują się twarze w ujęciu trzy czwarte i takie portrety są dziś najmodniejsze. Profile wyglądają zbyt antycznie.

- Wątpię, czy to umiałabyś namalować w ujęciu trzy czwarte, a takie chcę mieć właśnie nakrycie głowy. W tym samym kolorze co szata. - Z szuflady biurka wydobyl medalion z profilem nie znanego mi kardynała. Teraz wszystko stało się jasne: pragnie mieć portret w kapeluszu kardynalskim! W zaciszu swego gabinetu będzie nań spoglądał w samotne wieczory i zbierał siły niczym wódz swe zastępy przed szturmem na mury niezdobytej twierdzy. Jednakże on ją zdobędzie, zostanie kardynałem.

- Zatem portret ma wyglądać jak medalion?

- W rzeczy samej - odparł, a ja zaczęłam wyjmować farby. - Jak wiesz, jestem ogromnie zajęty, życzę więc sobie, byś szybko się z tym uwinęła.

- Zacznę od razu, a dokończę u siebie w pracowni.

- Nie chcę, abyś go brała do domu. Zbyt dużo kręci się tam ludzi. Słyszałem, że przyjezdni przychodzą cię oglądać jak dziwo. Jak figurki na wieży u Świętego Pawia, kiedy zegar wybija godzinę. Zostaniesz tutaj, dopóki nie skończysz, tu nikt cię nie będzie podglądał.

Za oknem rozległ się huk gromu i nagły łoskot ulewy, jakby ktoś znieca otworzył służę. Przerazona zerwałam się z miejsca i co szybciej zamknęłam okno.

- Wasza miłość, jeśli przez te chmury ściemni się jeszcze bardziej, będą potrzebne mi świece. Myślę, że... że uda mi się ukończyć portret przed nocą.

- Jeśli deszcz ustanie, odeślę cię do domu z eskortą, jeśli nie, możesz zostać tu ze służącą, jak długo będzie ci trzeba - rzekł Wolsey, składając ręce na kolanach i wysuwając podbródek. Zaczęłam szkicować profil na zagruntowanym już pergaminie.

- Proszę tak trzymać głowę... Tak jest najkorzystniej. - Niechże przestanie się ruszać.

- Będziesz musiała wkrótce się pakować - odezwał się nagle.

- Co wasza miłość ma na myśli?

- Jak to? Więc ani Ashton, ani Tuke nic ci nie mówili? Postanowiłem, że jedziesz do

Francji w orszaku ślubnym księżniczki. Masz tam namalować dwie miniatury pamiątkowe dla naszego miłościwego pana, a do mojej prywatnej kolekcji całą galerię portretów ważnych osobistości z otoczenia francuskiego władcy. Widziałaś olejny portret króla Francji malowany przez Perreala? Nie? My, Anglicy, musimy pokazać tym pysznym Francuzom, że bynajmniej nie ustępujemy im w sztuce. Nawet nasze kobiety malują lepiej niżli ten ich słynny Perreal. Naprawdę nie widziałaś tego portretu, kiedy byłaś w Greenwich?

- Wasza miłość, nie miałam jeszcze zaszczytu zwiedzić tamtejszej galerii.

- Och, trzeba więc koniecznie to nadrobić. Musisz skrupulatnie obejrzeć nasze obrazy, abyś je mogła porównać z tym, co zobaczysz we Francji. Nasz monarcha chce wiedzieć, jakie malowidła w nowym stylu posiada król Ludwik XII. Gdy się tego dowie, będzie miał jeszcze lepsze. Same arcydzieła. Angielskie zbiory malarstwa nie mogą być gorsze od francuskich. Niech ci Francuzi nie myślą, żeśmy zacofani. Rozpytasz się delikatnie, tak by się nikt nie domyślił, po co ci to potrzebne, i przyślesz mi spis obrazów. Moi agenci wciąż mnie w tym zawodzą. Piszą na przykład: „bardzo ładne Boże Narodzenie”, ale ani jakiej wielkości, ani w jakim stylu, ani nawet kto je namalował. Ty mi to wszystko napiszesz. I wiesz co? W odpowiedzi na każde z tych dzieł nasz król będzie miał większe, w lepszym stylu i korzystniej wyeksponowane! A potem, pojmujesz, kiedy zjawią się u nas francuscy posłowie, niby to mimochodem przejdę się wraz z nimi po galerii. Zaczekam, aż któryś powie: „Ach, jakie urocze to malutkie Boże Narodzenie, tyle ma w sobie prowincjonalnej świeżości”, i spytam go wtedy od niechcienia: „A macie tam u siebie jakiś obraz Leonarda?” Kiedy powiedzą, że tak, będę wiedział, że kłamią.

Pomyślałam o tych jego negocjacjach z Francją. Widać ułożenie małżeństwa księżniczki było sprawą trudniejszą, niżby można sobie wyobrazić.

- Wyglądasz na przygnębioną - zauważył Wolsey. - Cóż to, nie cieszysz się z tego zaszczytu?

- Och, wasza miłość, z radością słucham twych rozkazów, tylko tak mi się pomyślało... Co pocznę, jeśli któryś z tych francuskich panów powie, że moje obrazy tchną świeżym urokiem prowincji... - Mój wszechpotężny patron chrząknięciem stłumił śmiech.

- Już to sobie wyobrażam! Pokaż mi szkic. - Podałam mu go w milczeniu. - Bardzo dobry - stwierdził z zadowoleniem.

Przydzielono mi tajną komnatę, gdzie spędziłam wraz z Nan całą noc. Już w świetle poranka kończyłam czerwoną połyskliwą szatę i zdobiące ją drogie kamienie. Sekretny portret był gotów.

- Kazano mi odprowadzić cię do domu.

Podniósłszy głowę znad miski, w której czyściłam pędzle i malutką paletkę, ujrzałam w progu Ashtona. Włosy miał rozczochrane, ubranie w nieładzie, oczy podkrążone. I wpatrywał się we mnie strasznym wzrokiem.

- A nie przyszło ci czasem na myśl, panie Ashton, że może ja nie chcę, by ktokolwiek mnie odprowadzał? Zwłaszcza ktoś taki, kto, jak widać, spędził całą noc przy butelce i ledwo się trzyma na nogach? Idź lepiej do łóżka, inaczej dzień dzisiejszy nie wyda ci się dobry.

- Pani za to cieszysz się nim aż za bardzo. Że też ja się niczego nie domyślałem! Dlaczego on mi to zrobił? Chciał mi przytrzeć nosa? Nie musiał od razu smarować mi go łajnem! Czyżby wiedział, co czuję? Czy dlatego używał mnie jako rajfura, by sprawić sobie podwójną przyjemność? A ty, ty!... Dla ciebie to dzień triumfu. Nic dziwnego, że tak ci się wiedzie. O, umiesz ty udawać osobę, którą nie jesteś! Tak, opanowałaś tę sztukę do perfekcji. Mąż jakże wygodnie znika, akurat w chwili gdy poznaje twe tajemnice, ty dzięki swoim obrazom wślizgujesz się do domów wybitnych osobistości. Czysta robota, wszystko w rękawiczkach! Bo kiedy już wygodzisz ich obleśnym żądzom, każdy może udać, że płaci przecież za obrazy! Można to zapisać w księdze rachunkowej jak za wynajęcie kantora czy połówkę wołowej tuszy. Ach, nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym twoich sprawek nie oglądał na własne oczy. Niedobrze mi się robi, gdy na ciebie patrzę!

Wkroczył do pokoju i stał teraz tuż przede mną. Spod rozchełstanej koszuli widać mu było część obojczyka i owo miejsce na szyi, gdzie schodzą się wszystkie ścięgna. Przyszło mi na myśl, że tak mógłby wyglądać Adam po zjedzeniu jabłka. Winiłby za to węża, jabłko, Ewę, wszystkich, tylko nie siebie. Niezła by z tego była kompozycja. Całkiem nowa i przez to ciekawa. Tylko kto by kupił taki obraz? Mnichom na pewno by się nie spodobał... Żaden chyba mężczyzna nie chciałby go mieć w posiadaniu. Z rozmyślań tych wyrwała mnie mina mojej poczciwej piastunki: Nan była wyraźnie poruszona.

- Mam nadzieję, panie Ashton, że nie zarzucasz mi tego, czego się domyślam.

- Owszem, to i jeszcze więcej. Myślisz, że nie wiem, z kim zamknęłaś się wczoraj w pokoju na całe półtorej godziny? Ten człowiek bierze wszystko, czego zechce, pani zaś nie cofniesz się przed niczym. Dobrana z was para.

- A ty coś robił, panie Ashton? Węszyłeś pod drzwiami? Skoro tak, to powinieneś wiedzieć, że Nan była ze mną! Jak ci nie wstyd oczerniać uczciwą wdowę, psuć jej reputację?

Nan gorliwie pokiwała głową na znak, że wszystko to prawda.

- O, nie martw się o swoją reputację - rzucił cierpko. - Jesteś teraz w tak doskonałych stosunkach z moim panem, że nie ośmieliłbym się pisać słówka. Ale wiem również i to, że

twoja służąca czekała za drzwiami. Bo on tak jej kazał.

- A drzwi zostawił otwarte!

- Och, na dziesięć centymetrów! Cóż za cnotliwe dziesięć centymetrów! Jakbym nie wiedział, co da się zrobić za tak otwartymi drzwiami. Czysta hipokryzja!

- I czemuż to tak się czepiasz tych centymetrów, panie Ashton? Za mało ich było, byś mógł wetknąć swój wścibski nos? A może przycałił się tam pan Tuke i to on powstrzymał cię od szpiegowania?

Na sam dźwięk tego nazwiska Ashton zrobił się czerwony. Aha, celnie go trafiłam, i to pierwszym strzałem! Tuke został dopuszczony do konfidencji, a on nie. A teraz Wolsey rozdrapał jeszcze tę ranę, każąc mu odprowadzić mnie do domu.

- Jakież to лихо opętało cię, panie Ashton, żeś zrobił się tak podejrzliwy i taki grubiański? Przechodzisz już doprawdy sam siebie. Gdybyś zdobył się na nieco pokory i postarał się być trochę miłszy, byłbyś w większych łaskach, spójrz na pana Tuke'a. - To już powiedziałam rozmyślnie, by go jeszcze bardziej rozdrażnić. Tak też się stało. Drgnął i syknął przez zęby:

- Jezabel!

Milczał, gdyśmy brnęli przez błotniste po deszczu ulice. Przed domem „Pod Stojącym Kotem” odwrócił się na pięcie i odszedł. Nogawice miał zmięte, kapelusz na bakier, po chodzie widać było, że rozpiera go furia. Patrzymy za nim, dopóki nie zniknął nam z oczu. Szkoda. Doskonały byłby z niego Adam.

- Doprawdy nie pojmuję, dlaczego arcybiskup trzyma przy sobie tak nieznośnego człowieka - fuknęła Nan. - Bardzo mu się dziwię.

- Podobno Ashton dobrze sprawia się za granicą. - I zaledwie to powiedziałam, zdjęła mnie groza. Te jego szaleńcze podejrzenia... A jeżeli zaczniesz je rozgłaszać? Takimi plotkami zrujnuje mi reputację, odstraszy klientów. Cała moja ciężka praca pójdzie na marne, wszystko, czego zdołałam się dorobić, może runąć, a ja stracę swe jedyne źródło utrzymania. Wystarczy parę niegodziwych słów. I tak pewnie zrobi. Ashton mnie zniszczy.

- Mówisz, że dobrze się sprawia jako dyplomata? - pogardliwie parsknęła Nan. - Widać cudzoziemcy mają niższe wymagania co do manier aniżeli my w Anglii.

## PORTRET SZÓSTY

*Jean Clouet, „Małgorzata z Nawarry”. 4,5 x 3,5 cm. Gwasz na welinie. Ok. 1520? Złota ramka z obwódką z diamentów. Na awersie herb d’Alencon. Luwr.*

*Ten portret przyszłej królowej Nawarry, cenionej autorki „Heptamerona” i „Miroir de l’dme pecheresse”, pochodzi z okresu pierwszego małżeństwa z diukiem d’Alencon. Była wtedy osobą dwudziestoparoletnią.*

*Zarówno doskonała technika malarska, jak i charakterystyczne błękitne tło wywodzą się z francuskiej szkoły iluminacji, czyli sztuki ilustrowania i zdobienia rękopisów. Wpływ tej sztuki, po mistrzowsku rozwiniętej przez Cloueta, widoczny jest w dziełach Holbeina. Prace Cloueta przynajmniej o dwa dziesięciolecia wyprzedzają tak zwaną angielską szkołę miniatury.*

R. Dupre, Histoire de la peinture française

Diuszesa Małgorzata odznaczała się niepospolicie długim nosem, aczkolwiek nos jej brata był jeszcze dłuższy. Moim zdaniem z nich dwojga to ona była bystrzejsza, szkoda więc, że nie urodziła się chłopcem, zważywszy zwłaszcza że posiadała również więcej rozsądku. Ich matka, Ludwika Sabaudzka, miała nos normalnej długości, tak więc Małgorzata i Franciszek musieli odziedziczyć swoje po ojcu, podobnie jak i umysły. Ponieważ ich ojca od dawna nie było wśród żywych, nie miałam możliwości sprawdzić, czy moje przypuszczenia są słuszne, wiem jednak od różnych osób, że nie tylko kolekcjonował księgi, lecz miał nawet własnego iluminatora. Dlatego pani Małgorzata znała się tak dobrze na malarstwie i od razu polubiła moje miniatury. Namalowałam jej twarz w modnym ujęciu trzy czwarte; oczy oddałam prawdziwie, co do nosa wszelako zmuszona jestem wyznać, iż skróciłam go odrobinę, taki, bowiem jaki był, nie mógłby uchodzić za modny.

Największy mój kłopot z tą miniaturą polegał na tym, że o mało mi jej nie skradziono. Dopuścił się tego czynu niebywale arogancki przyjaciel księcia Franciszka, niejaki Bonnivet, który wyobraża sobie, iż jest wspaniałym i jurnym kochankiem. Mnie on tylko strasznie irytuje; może sobie być arystokratą, lecz w moich oczach nie urodzenie stanowi o szlachetności. Przyszedł pewnego dnia do pracowni w towarzystwie drugiego wielkiego pozera nazwiskiem Fleurange pod pretekstem „łożenia mi wizyty”; nie wiem, być może też chciał zrobić sobie portret, no i tak „przypadkiem” wziął do ręki miniaturę diuszesy, że niby pragnie ją obejrzeć. Miał już schować portrecik, gdy ja również „niechcący” wyrwałam mu



go z ręki, co dla tak wielkiego pana było straszną obrazą. „Dziękuję - powiedziałam - za łaskawe uznanie dla mojej pracy, choć to rzecz w połowie dopiero ukończona. Myślę, że diuszesa pozwoli mi namalować dla pana kopię.” Zrobił głupią minę, a Fleurance ryknął śmiechem, co oznaczało, że jestem uratowana. Lecz incydent ten wyraźnie świadczył, iż Bonnivet płonie ku diuszecie niecnym pożądaniem. Wcale się też nie zdziwiłam, kiedy w jakiś czas później doszły mnie wieści, że ukrył się w jej sypialni i próbował zniewolić ją siłą. Wywiązała się walka, w której pani Małgorzata zdążyła odnieść kilka kontuzji, nim wreszcie nadbiegła służba. Lecz nawet i za to Bonnivet nie poniósł żadnej kary, bo zbyt wielką był osobistością, poza tym wszyscy uznali jego wyczyn za dobrą zabawę. Mogę sobie wyobrazić, jak kompani poszturchiwali go w żebra, śmiejąc się, że nie skończył tego, co zaczął. Tacy są owi wielcy arystokraci i trzeba to wiedzieć, jeśli chce się przebywać na dworze.

Scandalous

Nocą spadł lekki deszcz, faliste łąki nad Loarą zwilgotniały, co sprawiło, że stado żurawi zaraz po wschodzie słońca przyleciało tam na żerowisko. Stary król Francji, świadom oznak wróżących dobre polowanie, jak zwykle nie mógł się im oprzeć, rozkazał więc swym sokolnikom, psiarczykom i łowczym o świcie wyruszyć z zamku. Nie lubił polowań na grubego zwierza - tego dźwięku rogów, wściekłego ujadania sfory, bohaterских wyczynów dufnych w swą siłę dworaków. Takie imprezy strasznie go nudziły, co innego sokolnictwo. Sokolnictwo było sztuką wymagającą prawdziwej znajomości zwierząt, ptaków i ludzi. Cisza i taktyka miały tu dużo większe znaczenie od pokazów prymitywnej siły. Zbyt słaby i obolały, aby jechać wierzchem, z szarą wymizerowaną twarzą siedział w lektyce niesionej przez parę spokojnych gniadych dzianetów; na pięści trzymał ulubionego sokoła białozora. Cały orszak zmierzał ku wilgotnym łąkom rozpościerającym się zielonym płaszczem za murami Chateau de Blois. Królowi towarzyszyli jego starzy doradcy, wszyscy przyodziani w jednolicie ziemiste barwy, by przedwcześnie nie płoszyć ptaków, za tą grupą jechało dwunastu konnych sokolników, pochód zaś zamykali piesi z szarymi kudłatymi psami. Sfora szła karnie, nie wydając głosu. Druga partia konnych sokolników z wolna okrążała żerujące stado. Żuraw, ptak dużo większy od sokola, umiejący zadawać dotkliwe rany swoim ostrym spiczastym dziobem, stanowił najszlachetniejsze trofeum, największym zaś osiągnięciem było upolować go szykiem: kilka specjalnie ułożonych sokołów wspólnie atakowało pojedynczą sztukę, tocząc z nią walkę w powietrzu.

W tej chwili właśnie stary żuraw weteran nastroszył pióra do lotu. Kiedy wzbił się w górę, Ludwik dał znak. Jego ludzie wypuścili dwa sokoły, on zaś dołączył do nich własnego. Wszystkie trzy z ostrym skwirem pognały za wielkim ptakiem. Król z satysfakcją śledził ich poczynania: doskonale! Żuraw ciął pierwszego mocnym uderzeniem dzioba, ale już dopadły go dwa pozostałe. I w tym jakże istotnym momencie dobiegł króla stukot podków, rzenie niesfornego konia, śmiechy i czyjeś podniesione głosy. Dworska młodź, oczywiście! Beztroszy, arogancy głupcy, pomyślał gniewnie. Hałas spłoszył żerujące stado. Żurawie, łopocząc wielkimi skrzydłami, wzbiły się w powietrze, by natychmiast pospieszyć z pomocą walczącemu towarzyszowi. Już po chwili z przeraźliwym krzykiem runęły na kark sokołom. Rozwścieczony król zaciął usta, a jego ziemista cera przybrała barwę popiołu. Tak popsuć polowanie! Nie pamiętał, by podczas którejkolwiek z jego sokolniczych wypraw ktoś w tak bezsensowny sposób zaalarmował stado. Głupią paplaniną i bezmyślnym grzechotem uprzęży! Cóż za niedowarzone bęcwały! Nadjeżdżający młodzieńcy, widząc, jakiego

nawarzyli piwa, ściągnęli wierzchowcom cugle. Ludwik nie musiał nawet patrzeć, wiedział, kto to taki. Po głosach rozpoznał Franciszka d'Angouleme i dwóch jego kompanów, Bonniveta i Fleurange'a. Nieznośna rozwrzeszczana zgraja. Był tu jednak wodzem, od którego zawisł los bitwy.

- Psy! - rozkazał.

W chwili gdy wielki żuraw z siedzącymi mu na karku dwoma sokołami opadł na ziemię, legawce na dany im znak pochwyciły go za obie nogi. Cóż z tego, kiedy ulubiony białozór leżał w trawie ranny, być może śmiertelnie. Już puścił się tam galopem główny sokolnik królewski. Mój najlepszy, najcenniejszy sokół, rozpaczał Ludwik. Czy wyżyje? Mroczna najczęściej twarz króla nie zmieniła prawie wyrazu; śmiertelnej, ścinającej krew w żyłach furii pozwolił ukazać się jedynie w oczach. Pierzchające żurawie wyglądały już teraz jak plamki na tle bladego porannego nieba.

- Cóż za szkoda, najjaśniejszy panie... - westchnął hrabia de Guise, pochylając się ku władcy.

- Ten przerośnięty dzieciak! - syknął przez zęby Ludwik. - Dla dobra Francji trzeba nam koniecznie innego następcy.

Brat i siostra znów byli razem. Oboje czuli się prawie tak samo jak w czasach poprzedzających zamęcie Małgorzaty, zanim mąż, diuk d'Alencon, wywiózł ją do Normandii. Rodzina z początkiem lata zgromadziła się w Blois na uroczystość długo oczekiwanych zaślubin Franciszka z Klaudią Francuską, starszą córką Ludwika XII i drugiej jego żony, Anny Bretońskiej. Był to, można powiedzieć, przedostatni szczebel przed sięgnięciem po najwyższą władzę, acz zdobyty z niemałym trudem. Inaczej niż to się działo we Francji, rozległe ziemie Bretanii przechodziły z matki na córkę. Ludwik XII po to poślubił Annę, wdowę po swoim bracie, by uchronić Francję przed utratą owego terytorium. Istniała jednakowoż groźba, że jedna z córek królowej może kiedyś poślubić obcego księcia i wnieść mu w posagu Bretanię. Stany Generalne usilnie zabiegały więc o to, by zaręczyć Klaudię z Franciszkiem, jej kuzynem i zarazem następcą tronu. Królowa Anna nie chciała o tym słyszeć. Wiedziała, czym grozi oddanie słabowitej, fizycznie zdeformowanej córki w ręce Ludwika Sabaudzkiej i jej rodziny. Zdaniem królowej byli to ludzie nazbyt urodziwi i wyrafinowani, przesadnie ambitni i pozbawieni wszelkich skrupułów. Klaudia byłaby zgubiona. Anna nienawidziła zwłaszcza Ludwika Sabaudzkiej, jej intryg i uporu w dążeniu do celu, toteż aż do śmierci stanowczo sprzeciwiała się temu małżeństwu. Teraz gdy spoczęła w grobie, wszystkie jej obawy co do losu ukochanej córki rychło zaczęły się spełniać. Biedna

potulna Klaudia bez pamięci zakochała się w swoim małżonku, który, rzecz jasna, poślubił ją wyłącznie z wyrachowania. Ludwika triumfowała, zresztą nie po raz pierwszy: jej syn był obecnie księciem Bretanii. Nie omieszkała też zaraz mu szepnąć, że jeśli kiedykolwiek dopuści do zamążpójścia młodszej siostry Klaudii, Renee, straci na rzecz jej męża połowę ziem swego księstwa. Franciszek już postanowił, że jeśli zostanie królem, jego młodociana szwagierka nigdy nie wyjdzie za mąż.

- Biorę twego skoczka, mój panie - oznajmiła Małgorzata, nie odrywając wzroku od kosztownej szachownicy z hebanu i kości słoniowej. Spiczaste nakrycie głowy, znamionujące mężatkę, oraz czarny aksamitny kaptur skrywały jej piękne kasztanowe włosy. U stóp diuszesy leżały jej dwa ulubione maciupęńkie pieski. Franciszek, wciąż jeszcze młodzieńczo smukły przy swoich dwudziestu latach, wznosił oczy w górę. Jego wygolone oblicze było niemal identyczne z twarzą siostry. Oboje mieli długie nosy, takie same inteligentne, bystro patrzące oczy, a kąciki wąskich ruchliwych ust jednakowo świadczyły o wrodzonym poczuciu humoru. Ludwika nie szczędziła pieniędzy na ich edukację ani też wysiłków, by wokół osiągnięć obojga, począwszy od czasów dzieciństwa, stworzyć nieledwie legendę. Małgorzata, niezmiernie biegła we władaniu piórem i dość już znudzona życiem w Normandii, z dala od dworu i jego uciech, pisała swawolne a zabawne opowiadania z myślą o wydaniu ich drukiem, jej brat układał wiersze, a w wolnych chwilach uganiał się za kobietami. Los wyznaczył im różne ścieżki życiowe, mimo to rozumieli się doskonale.

- Niechże więc moja wieża pomści tę stratę - odrzekł Franciszek, wykonując ruch na szachownicy. Miał na sobie atlasowy strój w jasnym odcieniu lawendy, a na głowie płaski szkarłatny kapelusz.

Zapadał już zmierzch; w długiej galerii pojawiła się służba i zaczęła zapalać świece. Wpadający przez otwarte okna letni wiatr próbował je zdmuchnąć, przyginając płomyki, tak że zaczynały migotać i dymić; co silniejszy zbłąkany podmuch marszczył wielkie ozdobne tkaniny rozwieszane na ścianach sali. Przy końcu galerii jedna z dam dworu Klaudii śpiewała przy wtórze wirginalu. Ich pani haftowała obrus na ołtarz w kaplicy, pracowicie przewlekając nitkę przez rozpięte na tamborku płótno. Szesnastoletnia Klaudia, karykaturalnie otyła, sprawiała wrażenie, jakby jej twarz i ciało rozděła jakaś dziwna nieznana choroba. Kosztowna toaleta z jasnobłękitnego atlasu uwydatniała jedynie jej rozpaczliwą brzydotę i bladeść nalanej twarzy. Raz po raz podnosiła oczy, by posłać rozmiłowane spojrzenie temu cudownie pięknemu, ognistemu mężczyźnie, którego szczęśliwy los ofiarował jej za małżonka. Jakże daleko siedzi, bez reszty pochłonięty rozmową ze swą rosłą elegancką siostrą. Szachy... za trudna dla niej ta gra, ona, Klaudia nie nauczy się tego nigdy w życiu. Jaki mądry ten

Franciszek, jak cudownie wygląda, gdy tak siedzi pogrążony w myślach, do których ona nigdy nie zyska dostępu. Gdybyż tylko zechciał na nią spojrzeć!

- Wiedziałam, że tak uczynisz - ucieszyła się Małgorzata. - Szach.

- Ładnie to tak? Wygrałaś ostatnim razem, teraz mnie się należało. Czyż nie jestem delfinem? - Franciszkowi udało się wywinąć z pola ostrzału królowej, aczkolwiek nie miał złudzeń, że to tylko odroczenie klęski.

- Nie byłoby zabawy, gdybym za każdym razem pozwoliła ci wygrywać - odparła siostra. - Szach i mat.

- Ha, nudzą mnie dzisiaj szachy. Zawołaj swoje damy. Niechaj przede mną zatańczą, ja zaś jak Parys przyznam nagrodę najpiękniejszej.

- Parys swoją nagrodą narobił więcej kłopotów, niżli mógł to sobie wyobrazić. Ty, mój bracie, musisz być bardziej roztropny. Wiedz, że nasz król myśli o innym następcy tronu.

- Śmieszne! Czyste niepodobieństwo! Jest na to grubo za stary.

- A jeśli ta angielska księżniczka jednak poruszy w nim krew?

- Cud chyba tylko mógłby tchnąć trochę życia w ten spróchniały pień.

- Bo też ona, mój bracie, jest wcale, wcale... Zamiast się bawić, zastanów się raczej, co robić. Bo widzisz, jeśli ona urodzi dziecko, a król umrze, ty musisz zostać regentem. Gdyby jej na to pozwolić, Francję czeka zguba, pamiętaj, że to Angielka! Jedź na dwór, porozmawiaj z tymi staruchami, którzy tak cię nudzą, de Guise'em, La Tremoille'em i innymi. Zaczynij im schlebiać, a przede wszystkim okaż swą dojrzałość i rozum.

Franciszek słuchał słów siostry z nagle pobladłą twarzą. Czyżby ktoś miał naprawdę wydrzeć mu koronę, tak już przecież bliską? Jemu, jedynemu spadkobiercy rodu Walezjuszy? Zaślepiiony miłością swej matki do ukochanego „cezara”, nigdy nawet przez chwilę nie brał tego pod uwagę.

- Kto ci mówił o królu? Czy matka wie, co mi radzisz, i czy się z tym zgadza?

- Ona to wymyśliła. Ostrzegam cię jednak, nie zdradź się przed nią, że wiesz... Udawaj, że jest to twój własny pomysł. Tyle ma teraz przykrości, że lękam się o jej zdrowie. Król we wszystkim robi jej na złość, wytrząsa się nad każdym poleceniem, które matka wyda bodaj kucharzom czy praczkom. To on rozkazuje we własnym domu, powiada. Czyżbyś nie zauważył, jak cierpką ma minę, gdy dojrzy ją wśród dam dworu? Ciebie też nierad widzi ostatnimi czasy. Pokaż matce, że się zmieniłeś, spoważniałeś. Zobacysz, jak jej to ulży. Kocha cię ponad wszystko w świecie i żyje tylko dla ciebie.

- Niepodobna, by doszło do tego, o czym mówisz - pokręcił głową Franciszek.

- Przeciwnie, może stać się to bardzo łatwo, ty zaś musisz zrobić wszystko, by temu

zapobiec, póki nie jest za późno - powiedziała Małgorzata. - Negocjacje z Anglią są już mocno zaawansowane, a najbliżsi doradcy króla bardzo je popierają. Oni także są ci przeciwni. Dlatego zaostrzają apetyt Ludwika na małżeństwo, dlatego utwierdzają go w złudzeniach.

Franciszek znów pokręcił głową z widocznym niedowierzaniem.

- Dziecko następcą tronu? Ależ grozi to całości Francji! Bretania odłączyłaby się od korony. Chyba że... czyżby chcieli tego infanta ożenić z Renee? Bezwstydni! Dzielić moje dziedzictwo? Burbon dorównałby mi pozycją... Zaraz, zaraz... rozumiem już ich plany! Póki dziecko nie dorośnie, potrzebny będzie regent, marionetka... Słaba cudzoziemska królowa, którą łatwo można powodować. Taka regencja przedłuży władzę tych staruchów, a koszty poniesie Francja. - Nawet Franciszek, który zwyczajem młodych ludzi nie potrafił zbyt długo zaprzętać sobie głowy żadną sprawą, zaczął już dostrzegać niszczycielskie skutki kaprysu starego króla.

- Coś ci pokażę - powiedziała jego siostra - wtedy wszystko zrozumiesz. Tylko nie mów matce, żeś to widział. - Wydobywszy z wiszącej przy pasku torebki małą drewnianą szkatułkę, postawiła ją na szachownicy, przemyślnie zasłaniając własnym ciałem przed wzrokiem niepowołanych. - Z obrazkiem tym wiąże się wielce ciekawa historia. De Longueville powiada, że namalował go duch. - Małgorzata rozpoczęła opowieść o zjawie zmarłego malarza, Franciszek tymczasem podniósł wieczko i zapatrzył się w młodą zuchwałą twarz. Prawdziwa piękność, pomyślał, mimo woli przypominając sobie tę otyłą niską kobietę, wiszącą mu kamieniem młyńskim u szyi. Cóż, taka była cena za Bretanię. Ogarnął go nagle niepokój przed dziećmi o podobnie zuchwałych twarzach, które mogą zagrozić mu drogę do tronu. Tak, był to niepokój, choć nie tylko... Ta twarz budziła pożądanie.

Na ścianach wielkiej sali bankietowej w Greenwich rozwieszono złote arrasy, wzdłuż fryzów upięto wstęgi całe haftowane w herby sprzymierzonych od teraz królów Anglii i Francji. Słońce dojrzałego lata, była już bowiem połowa sierpnia, lśniło w jedwabiach i stali, w złocie i złotogłowie. Na uroczystość zaślubin księżniczki Marii przybyli angielscy lordowie, cudzoziemscy dygnitarze i wysłannicy papieża. W gronie najznakomitszych arystokratów jaśniało rozpromienione oblicze Wolseya, obecni byli też Norfolk, Dorset, Buckingham i Suffolk. Oczekiwano przybycia pary oblubieńców. Diuk Suffolk, w stroju zdobnym dziś w wielki koronkowy kołnierz, z masywnym złotym łańcuchem na swej byczej szyi, miał twarz czerwoną z gorąca. Spod przepyszego kapelusza z piórami, usianego mnóstwem drogich kamieni, ciekły mu strużki potu, zlepiając włosy na skroniach w ciemne

wilgotne kosmyki. Wyniosła postawa i dumny krok księcia, zwłaszcza zaś mina wyrażająca bezgraniczne zadowolenie z samego siebie, nie pozostawiała wątpliwości co do jego pozycji: oto człowiek cieszący się najwyższą łaską. Za udział i zasługi w negocjacjach ślubnych król Ludwik XII przyznał mu pensję w wysokości 875 liwrów rocznie. Ze strony francuskiego monarchy był to gest niezwykle szczodry, zważywszy że obdarowany pochodził z *petite familie*, a swe wyniesienie zawdzięczał jedynie przyjaźni łączącej go z angielskim władcą.

Francuska pensja Wolseya wyrażała się kwotą trzykrotnie większą, dla niego wszakże było to zaledwie kieszonkowe. Nawet teraz uczestnicząc w tak podniosłej uroczystości, arcybiskup nie pozwalał sobie wytchnąć. Jego niezmordowany umysł roztrząsał jak zwykle kilka spraw naraz. Kto z kim rozmawia, kto jest nieobecny. Aha, brak ambasadora Hiszpanii. Oczywiście, gryzie go zazdrość! Najlepszy to dowód naszego triumfu. Równocześnie inna sekcja jego mózgu starała się wykalkulować, kiedy też papieskie poparcie zaowocuje wreszcie upragnioną nominacją kardynalską. Wkrótce, już wkrótce, brzmiała cichutka odpowiedź. Przekupiłeś już wszystkich, co trzeba, i to zacnie. Bądź roztropny, arcybiskupie, działaj zręcznie, a zostaniesz pierwszym angielskim papieżem. Czy pieniądze od króla Ludwika przeznaczyć na renowację York House, czy zachować je dla Hampton Court? Tyle spraw do załatwienia, a tak mało czasu. Może trzeba by zwiększyć personel?

Nareszcie przybył orszak ślubny. Prowadzili go król Henryk VIII i królowa Katarzyna Aragońska. Księżniczka w ceremonialnej sztywnej toalecie, która krępowała jej ruchy, pojawiła się w otoczeniu swoich dam dworu, lecz zaraz po wejściu do sali zajęła miejsce przed delegacją królestwa Francji. Reprezentowali je dwaj ministrowie, przybyli już wcześniej w związku z negocjowanym przymierzem: generał Thomas Boyer oraz Jan de Silva, przewodniczący Stanów Generalnych Normandii. Obaj jaśnieli majestatem, lecz postacią przyciągającą wszystkie oczy był Ludwik Orleański, diuk de Longueville, w ciężkiej od klejnotów aksamitnej szacie. Jemu to przypadł ogromny zaszczyt zastąpienia osoby jego wysokości króla Ludwika XII. Ceremonię rozpoczął arcybiskup Canterbury długą oracją po łacinie. Księżniczka Maria, bledsza dziś niż zwykle, co wyraźnie podkreślały jej lśniące rudozłote włosy, obrzuciła szybkim spojrzeniem wspaniałe hafty na ornacie arcybiskupa, po czym skromnie opuściwszy rzęsy, zaczęła lustrować salę. Serce biło jej jak szalone, z wielkiej emocji trzęsły się kolana. Najważniejszy to dzień w jej życiu. Będzie królową Francji! Po kolei przypominała sobie wszystkie przywileje i zaszczyty, które wyliczał jej Wolsey. Ach, lecz teraz musi się skupić, musi bardzo uważać. Oby tylko się nie pomylić, w chwili gdy de Longueville ujmie ją za rękę, arcybiskup zaś każe powtarzać słowa przysięgi. Jej francuszczyzna musi być nieskazitelna. Tyle się napracowała nad wymową!

Z wolna i dobitnie wypowiadając sakramentalne słowa, czuła setki ludzkich spojrzeń, setki oczu śledziły jej twarz, szacowały suknię, patrzyły na ręce. Niech patrzają, myślała, niech widzą, jaka jestem piękna. De Longueville wsunął jej złoty pierścień na serdeczny palec prawej ręki i pocałował w usta. Już prawie koniec, cieszyła się w duchu, i jak dotąd żadnej pomyłki! Teraz damy dworu wyprowadziły ją z sali i przebrały w ceremonialny strój nocny na uroczystość publicznego *consummatum*. Z emocji zaczynało brakować jej tchu. Prowadzona do wielkiego paradnego łoża czuła, że serce obija się jej o żebra. Księża wyświęcili już miejsce, gdzie miała spocząć. De Longueville bez wierzchniej szaty, w samym tylko czerwonym dublecie i spodniach, czekał przy łożu osłoniętym kosztowną draperią. Damy ostrożnie ułożyły ją na pościeli. De Longueville, obnażywszy jedną nogę po udo, legł obok niej.

Wsparta o stertę haftowanych poduch, sztywna i nieruchoma jak posąg, Maria widziała przed sobą dziesiątki twarzy. Łacińskie słowa kolejnych oracji szumiały jej w uszach monotonnym, beztreściwym szmerem. Stojący najbliżej wyciągali szyje, by lepiej widzieć. Lecz oto nad tłumem wyrosła nagle ciemnowłosa głowa, nakryta aksamitnym zielonym kapeluszem z przepyszną egretą - Suffolk! Jakże jaśnieje dziś złotem i dostojnością! W oczach młodziutkiej księżniczki od dawna był doskonałością. Oto prawdziwy mężczyzna, myślała. Młody, odważny, namiętny. I rodak. A ona ma dzielić łożo z cudzoziemskim starcem. W zamian otrzyma stroje, klejnoty i władzę. Władzę? Tej pragnie tylko jej brat, ona sama ma ją przecież za nic. Zaś ów wspaniały mężczyzna, ściągający na siebie czułe spojrzenia tylu pięknych i bogatych kobiet, kilka miesięcy temu przysłał jej liścik. Miejscami trudno było odczytać błędnie napisane słowa, lecz w końcu okazały się one słowami namiętnej miłości. Posłała mu odpowiedź. A potem otrzymała od niego prześliczny miniaturowy portrecik. Jak ogniste miał tu spojrzenie, jaką wojowniczą minę! Ukryła miniaturkę i pilnie jej strzegła. Niestety, gniewne spojrzenie króla kazało mu się wycofać... Ale... czyż on i Henryk nie są nadal serdecznymi przyjaciółmi? Cóż taki zasuszony starzec jak ten francuski władca może wiedzieć o miłości? Na moment zabłyśły jej oczy, lecz zaniepokojony Suffolk ostentacyjnie odwrócił wzrok, jakby go to nie dotyczyło, jakby nie zrozumiał... Jak on śmie nie rozumieć? Czy odtąd tak już będzie zawsze? Czy warto młodość i urodę trawić na puste, nic nie znaczące ceremonie? Czy nigdy już żaden mężczyzna nie ośmieli się wyznać jej uczuć? Nikt więcej nie będzie jej już szeptał słodkich słów miłości?

Później wszakże przysły jej na myśl weselne francuskie klejnoty. Podobno wspanialsze są od tych, które nosi królowa Katarzyna. Wolsey zaklinał się, że to prawda. Czekają tam na nią cudowne eleganckie stroje, będą tańce i maskarady, wszystko, co lubi.



Świetne towarzystwo, zabawy, męski podziw i uwielbienie. Osłodzi jej to z pewnością przykry obowiązek dzielenia łoża ze starcem. A kiedy owdowieje... czyż nie jest prawdą, że wdowie wolno robić wszystko, co jej się żywnie podoba, zwłaszcza gdy jest królową? Wolsey tak mówił, a on przecież zna się na rzeczy. Królowa. Jak mile brzmi samo to słowo. Królowa Francji.

Monotonne brzęczenie łaciny ucichło. Tłum gości zastygł w oczekiwaniu. Zastępca francuskiego monarchy dotknął ciała Marii obnażoną nogą na znak, że akt małżeński został dopełniony. Tłum zafalował, rozległ się szmer aprobaty, wszyscy wspięli się na palce, jak najwyżej wyciągając szyje. Arcybiskup Canterbury ogłosił uroczyste, że małżeństwo zostało skonsumowane. Damy dworu ponownie przebrały księżniczkę - tym razem wystrojono ją w suknię z purpurowego atlasu i złotogłowiu, szytą w szachownicę - i całe towarzystwo udało się do kaplicy wysłuchać mszy. De Longueville szedł w parze z królem, ubranym w atlasowe szaty błyszczące od złota i drogich kamieni, Maria obok królowej. Ona i Katarzyna nosiły teraz jednakowe nakrycia głowy ze złotej materii.

Uczta weselna minęła księżniczce w półprzytomnym oszołomieniu. Setki potraw, tysiące komplementów, wszystko to przepływało gdzieś obok, pozostawiając po sobie upajające uczucie satysfakcji i tę jedną triumfalną myśl: od tej chwili taki będzie już każdy dzień! Jestem środkiem koła, myślała, punktem, wokół którego wszystko się będzie obracać. Przy dźwiękach harfy i fletów rozpoczęły się tańce. Henryk, który celował w tej umiejętności, zrzucił wierzchnią szatę i obaj z Buckinghamem w samych tylko spodniach i dubletach jęli pisać z takim entuzjazmem, że ich zapach udzielił się wszystkim obecnym. To dla mnie cała ta uroczystość, myślała księżniczka, to ja jestem środkiem koła. Mój brat tańczy na moją cześć. Odbiegły ją już myśli o Suffolku, ustępując miejsca wszechogarniającemu zadowoleniu: będę królową! Każde moje życzenie zostanie spełnione. Mężczyźni będą mnie wielbić, kobiety darzyć zazdrością. Ta myśl zwłaszcza była upajająca jak wino.

- A teraz, panie Tuke, oczekuję dokładnej relacji z przebiegu owej audiencji. Z czym przybył sieur de Marigny? - Wolsey znowu powaliła jego chroniczna przypadłość: uparcie nawracające krwawienie z kiszek. Podparty mnóstwem poduszek, blady i osłabiony, pólśiedział w wielkim, osłoniętym baldachimem łożu w swej prywatnej komnacie w Brideswell. Na wydatnym brzuchu trzymał malutki stoliczek ze stertą pilnych raportów; część zdążył już opatrzyć uwagami, inne czekały na przejrzenie. Na całym łóżku piętrzyła się korespondencja ze wszystkich krajów Europy. Tuke, w którym wszelka choroba budziła jedynie gwałtowną odrazę, drżał teraz cały z emocji: taka poufałość! Okazano mu ogromne

zaufanie! O ileż większe niż Ashtonowi. Im większe zaufanie, tym większy zaszczyt. Przepelniająca go satysfakcja pozwalała mu prawie nie czuć niewątpliwie przykrej woni.

- Wasza miłość, sieur de Marigny przywiódł z sobą białego konia, objuczonego dwoma kuframi ze srebrem, pieczęciami, mnóstwem sprytnych mechanizmów oraz biżuterią. Sam był niezmiernie gładki, jak to oni. Co chwila szurał nogą po francusku, kłaniał się w pas księżniczce i serwował jej komplementy. Klejnoty jednakże są doprawdy nieporównane. Mam tu inwentarz... - Tuke podał Wolseyowi papier z wyszczególnieniem. Arcybiskup, skinąwszy głową, przebiegł go wzrokiem i spytał:

- A te szacunki, panie Tuke? W jaki sposób do nich doszedłeś?

- Król wcześniej już wezwał jubilerów z Rotten Row. Czekali obok. Jak tylko z komnaty wyniesiono kufry, wzięli się zaraz do pracy. Lecz nawet nasz pan miłościwy zdumiał się na widok klejnotu, tutaj jest zapisany, zwanego „Zwierciadłem Neapolu”. Diament w środku ma rozmiary męskiego kciuka, a perła pod spodem jest wielkości gołębiego jaja.

- Król Francji umie każdego zadziwić. Jakąż to misję zlecono Marigny’emu?

- Ma towarzyszyć księżniczce i uczyć ją francuskiej etykiety.

- A jak ty go znajdujesz?

- O, to wielki arystokrata, pan całą gębą. Grzeczny ponad wszelki wyraz, ale oko ma bystre jak orzeł.

- Albo jak duenna. Starcy, panie Tuke, starcy, tacy oni są. Nie znajdziesz w świecie gorszego zazdrośnika niż podstarzały mężczyzna. Podaj mi ten kleik. Czuję się jak wyżęty, słabość mnie nachodzi - jęknął Wolsey. Brian Tuke, szczerze zaniepokojony widokiem jego raptownie poszarzałej twarzy, ujął stojący obok srebrny dzbanek i nalał do kubka cienkiego kleiku z jęczmienia.

- Wasza miłość, może by wezwać lekarza?...

- Jeszcze przez chwilę oszczędź mi jego widoku. Do licha, cokolwiek robi ten konował, pogarsza tym tylko mój stan. Widzisz tam tę małą buteleczkę? Postaw mi ją bliżej, bym w razie czego mógł po nią sięgnąć.

Tuke’a nagle skręciło ze strachu: a nuż biskup umrze? Tutaj, w tej chwili? Jeśli wraz z tą krwią z kiszek ujdzie z niego życie? Przed oczami przesunęła mu się cała dotychczasowa kariera. Śmierć Wolseya położy jej kres. Boże, jakie to okrutne, jak niesprawiedliwe! Gdyby jednak wyzdrowiał i uznał, że on, Tuke, walnie się temu przysłużył, jakież by go czekał awans! Z głęboką troską w oczach poprawił choremu poduszki, a potem ofiarnie przytrzymał mu kubek. Wolsey, zamknąwszy oczy, powolutku sączył to paskudztwo. Po chwili uniósł

powieki i widząc nad sobą strapioną twarz swego sługi, wyszeptał ze słabym uśmiechem:

- Ach, Boże, dziękuję ci, panie Tuke. Pewnie uważasz, że osobistość mej rangi zasługuje na bardziej dyskretną chorobę. Co byś powiedział na przykład... no choćby na kolkę w boku? - Zadawszy to pytanie, zaczął śledzić grę sprzecznych uczuć na twarzy Briana Tuke'a: szok z powodu tracącej herezją analogii z apostołem, pragnienie, by się przypodobać, niepewność, czy można wszystko to uznać za żart. Niezwykłe to zabawne.

- Wasza miłość... - wyjąkał strapiony sekretarz, słysząc jednak, że Wolsey parsknął śmiechem, roześmiał się także, aczkolwiek trochę nerwowo.

- W całym twym raporcie wyczuwam między wierszami pewną irytację. Powiedz mi, o co chodzi. Czy sieur de Marigny czymś cię uraził?

- O nie, wasza miłość! Pan de Marigny to zaiste sama uprzejmość. Prawdziwy dżentelmen, chociaż Francuz. To tamten... ów koszmarny Perreal... Po audiencji wsadzono mi go na kark i... napsuł mi krwi, wasza miłość!

- Perreal, nadworny malarz króla Francji?

- On sam. De Marigny przywiózł go z sobą. Małe to, czarne, żyłaste, a na gębie najbardziej obraźliwy uśmiech, jaki można sobie wyobrazić. Jeśli ktoś nie mówi po francusku z czysto paryskim akcentem, udaje, że nie rozumie. „O?” skrzeczy tylko, przykładając rękę do ucha, kiedy nie podoba mu się jakieś słowo. A potem z paskudnym uśmieszkiem słucha, jak ktoś raz czy drugi próbuje poprawić wymowę. Powiadam waszej miłości, z chęcią bym go udusił...

- Rozumiem, panie Tuke, że jego obiekcje budził twój francuski.

- Tak, choć nie tylko mój. Wasza miłość chce pewnie wiedzieć, po co on tu przyjechał. Ma zaprojektować księżniczce nowe stroje i namalować portret ślubny młodej królowej Francji. Tej samej wielkości co owo brzydkie portrecisko króla Ludwika, które ze sobą przytaszczył. Nasz pan miłościwy wiedząc, że ze wszystkiego zdam raport waszej eminencji, wyznaczył mnie wraz z jednym ze swych szambelanów do uczestnictwa w spotkaniu z damami dworu księżniczki celem przejrzenia jej garderoby. Mój Boże, czegom ja się nasłuchał przez całe to dzisiejsze popołudnie! A to na temat kroju podrękawków, a to źle dopasowanego trenu! A te miny! „Och, jakież to staromodne! Królowa Francji nie może nosić staników tak prowincjonalnego kroju! A cóż to za *decolletage*? Doprawdy, patrzeć nie można! Wszystko w tym nieznośnym flamandzkim stylu!” Coś mi się widzi, milordzie, że ten żabojad zbyt dobrze zna się na owych damskich fatałaszkiach. Czysta nieprzyzwoitość. A później w galerii...

- Ach, więc kazano ci również oprowadzić go po galerii?

- Chciał obejrzeć zbiory jego królewskiej mości. O, tam już stał się całkiem nie do zniesienia. „Czarujące na swój staroświecki sposób! Jakież to typowo północne, jakie prowincjonalne. Och, widzę, że to „Boże Narodzenie” zaczyna pomału blaknąć. Mówisz, że kto to malował? Hethe? Cóż, widać tu wyraźnie, że nie bardzo on umie malować na płótnie. Szkoda, że wy, Anglicy, nie macie tak wielkiego ośrodka sztuki jak u nas Tours! Już nie mówię o Italczykach! Ci ostatnimi czasy robią rzeczy zadziwiające. Macie tu jakiego Leonarda?” O, wasza miłość, już myślałem, że nigdy nie skończy!

- Widzę, panie Tuke, żeś dojrzał do zemsty - zauważył arcybiskup. Tuke w odpowiedzi zagryzł wargi i skinął głową. - Wiesz co? Pokażemy temu mistrzowi naszą prywatną kolekcję. Powiedz mi jeszcze jedno, ale uczciwie: kto spośród twoich znajomych najbardziej cię irytuje?

- On, wasza miłość, ten okropny Francuz. Budzi we mnie doprawdy rzadką irytację.

- A nim on się tu zjawiał?... Bądź szczery. - Brian Tuke milczał. - No, mówże śmiało. Czy nie powiedziałbyś „Ashton”, gdyby nie ów Francuz? - Powieki Tuke’a zadrgały nagle jak u spłoszonej jaszczurki. - Ha, widzę, że mam rację - stwierdził Wolsey.

- Ashton śledzi mnie, wasza miłość, na tysiąc sposobów stara się dowieść mi swojej wyższości, czyha na każdą dosłownie pomyłkę... Och, wolałbym siedzieć w beczce pełnej pcheł, niż przebywać w jego towarzystwie.

Wolsey parsknął śmiechem. Nawet na łożu boleści nie przestawała go bawić ta codzienna rywalizacja obu sekretarzy. Ileż kryło się w niej dramatów! Niezmiernie mu to pochlebiało. Czyż bowiem nie jego osoba była ośrodkiem wszystkich tych zabiegów? Kto bardziej mu się przysłużył, kto dzięki temu dostąpi większej jego łaski? Obaj usilnie pragnęli pławić się w słońcu jego wspaniałości i ta konkurencja pozwalała utrzymać ich w ryzach. Miał pewność, że zawsze usłyszy od jednego o tym, co zrobił czy powiedział drugi. Była to jedna z drobnych, acz niezmiernie skutecznych sztuczek, dzięki którym zdobywał władzę nad ludźmi. Opanował je do perfekcji; one to w znacznym stopniu zadecydowały o jego karierze. Manipulowanie mężczyznami było rzeczą łatwą, jemu w każdym razie nie sprawiało najmniejszej trudności. Kobiety... z tym było gorzej. Zupełnie ich nie rozumiał. Na szczęście Pan Bóg nakazał niewiastom nas słuchać, zakończył te rozważania lord kanclerz, zastanawiając się równocześnie, czym by tu uraczyć Perreala.

- Myślę, że można to tak urządzić, by pchły pogryzły Francuza, lecz i pchłom też się dostało. - Widząc pytające spojrzenie Tuke’a, wyłożył mu jaśniej swą myśl: - A gdyby to Ashtonowi zlecić oprowadzenie naszego gościa po galerii? Co ty na to?

- Wyborny pomysł, wasza miłość - rozpromienił się Brian Tuke. Wolsey spojrzął na

niego i wybuchnął śmiechem.

- Aha, rozumiem. Ten wasz York House przechodzi renowację. Jego miłość arcybiskup Wolsey powinien tu mieć kogoś z gustem, kto by umiał tego dopilnować. Ja bym zalecał styl włoski... ma on w sobie wszystko, co godne podziwu... Bardzo prymitywny ten arras. Rozumiem, że zostanie wymieniony.

- Wszystkie tkaniny w tej komnacie są zupełnie nowe - odparł sucho Ashton, z trudem przezwyciężając przemożną chęć takiego potrząśnięcia francuskim mistrzem, ażby pyszałkowi zadzwoniły zęby.

- Ha, wszystko tu w stylu północnym. Jakież to kanciaste, jakie staroświeckie. Niech pan spojrzysz o, tutaj. Karnesom brakuje płynności linii. Nad tym oknem przydałby się róg obfitości albo cherubinek... włoski styl ma tyle wdzięku! No, ale jako duchowny wasz biskup odznacza się pewnie surowym gustem... W Rzymie jednakowoż...

- Tyle Rzymu w Londynie, ile Londynu w Rzymie - warknął Ashton. Mówił po francusku z wyraźnie normańskim akcentem. Perreal słuchał go dosyć uprzejmie, tylko od czasu do czasu poruszał nozdrzami, jakby skądś dolatywał niezbyt przyjemny zapach.

- Cóż za głęboka sentencja - skwitował replikę Ashtona. - Prosta a głęboka. Można by ją tu wryć. - Machnięciem ręki pokazał miejsce nad drzwiami, gdzie też z pewnością brakowało mu cherubinów. Ashton złowił coś w wymowie gościa. To jego „rs”... Zwęszył w tym szansę rewanzu.

- Mistrzu - zaczął z udanym podziwem - twoja znajomość nowych stylów w sztuce jest tak imponująca... Proszę powiedz mi, panie, w których to latach odbywałeś studia w Italii?

- W Italii? Dlaczego? Styl włoski znany jest wszędzie.

- Niestety nie tutaj - westchnął ciężko Ashton. - Nasz kraj leży za daleko. Jakie to szczęście, że mogłeś studiować w Tours! Włoskim arystokratom łatwiej tam przyjeżdżać niż do nas. Wielka szkoda, że my, Anglicy, nie posiadamy równie wspaniałego ośrodka dobrego smaku... - Z zadowoleniem stwierdził, że mistrz wyraźnie zeszywniał. Ha, trafnie ustaliłem, skąd pochodzi, a on wolałby o tym zapomnieć. W tym jego „rs” wciąż jeszcze słyhać pozostałość wymowy mieszkańców Touraine. - Kolekcja arcybiskupa znajduje się za tymi drzwiami - oznajmił z obłudną grzecznością. - Zobaczysz boazerię w czarująco północnym stylu. Klasyczny przykład tej surowej, kanciastej prostoty, tak odpowiadającej gustom większości książąt Kościoła. Nie wiem, czyś słyszał, panie, że milord Wolsey nosi włosienicę? - Ucieszył się, gdy Francuz spojrzał na niego z jawną nienawiścią.

Powyżej drewnianej okładziny na ścianach gabinetu widniały bogate złocenia oraz duże malowidło przedstawiające scenę ofiarowania małego Jezusa w świątyni. Postacie były kanciaste, kolory jaskrawe, zawieszono po bokach draperie upięte ze staroświecką zaiste symetrią. Widoczną w tle wieżę, żywo przypominającą Tempie, tyle że w miejsce zębatych blanków zakończoną złotą kopułą, świadomie wystylizowano w sposób nie uwzględniający zasad perspektywy. Ashton, który ukradkiem śledził reakcje gościa, zauważył oczywiście jego kiepsko ukrytą pogardę. O to chodzi, pomyślał, trzeba dalej stosować tę taktykę.

- Któż namalował to dzieło? - zapytał francuski artysta.

- Mistrz Brown, członek Londyńskiej Gildii.

Na boazerii wisiała liczna kolekcja obrazów, dla ochrony przed kurzem osłoniętych adamaszkowymi kotarami. Były tu kontemplacyjne sceny religijne, portrety zmarłych duchownych i patronów diecezji, słowem, to wszystko, co znajduje się w zbiorach każdego arcybiskupa. Wiele z tych dzieł powstało najwyraźniej w dawno już nie istniejących pracowniach: twarze były płaskie, co gorsza, najczęściej nie pasowały zgoła do postaci, te bowiem stosowanym podówczas zwyczajem malowano z gotowych szablonów, bogate złocenia i detale strojów służyły głównie zamaskowaniu licznych defektów kompozycji.

- Lord Wolsey nie jest, jak rozumiem, koneserem sztuki.

- Och, ten zbiór odziedziczył po swym poprzedniku. Dzieła owe po większej części mają jedynie wartość historyczną - nonszalancko skonstatował Ashton.

- A ten obraz w kącie? Czemu go pan pominął?

Ashton uśmiechnął się w duchu, słysząc, jak Francuz odsuwa zasłonę i nagle wstrzymuje oddech. „Kuszenie Ewy” robiło wrażenie, szczególnie w takim sąsiedztwie. Nasycone kolory jaśniały świetlistym blaskiem spod półprzezroczystej glazury, ich świetna gradacja stwarzała złudzenie głębi. Zdawało się, że to kawałek prawdziwego krajobrazu: wystarczy zrobić krok, by znaleźć się tuż obok różowej rozłożystej Ewy, przejść się wśród kwiatów rajskiego ogrodu i powędrować dalej, aż tam, gdzie w wysoki wierzchołek góry (skąd ja ją znam?, myślał Ashton) biła błyskawica, znak Bożego gniewu. Z założonymi do tyłu rękami obserwował minę Francuza, przyglądając się zarazem malowidłu. I nagle jego uwagę przykuły dłonie leżącej postaci. Pulchne, o krótkich palcach i... dziwnie jakoś znajome. Czyżby wzorowała je na własnych? Twarz oczywiście należała do innej kobiety, lecz reszta? Czyżby to było jej ciało? Ten biust na przykład... A te dołeczki w kolanach?... Krew w nim zawrzała z oburzenia. Ależ bezwstydną dziewczka z tej Zuzanny!

- Fascynujące - stwierdził francuski malarz, po czym dodał z jawną złośliwością: - Chociaż ostatnio pokazano mi tu, w waszym mieście, obraz niemal identyczny, pokryty

ciemnym werniksem i dodatkowo jeszcze okopcony świecą. Miało to być dzieło naszego wielkiego Fouqueta. - Gdy jego przewodnik wściekle zacisnął szczęki, kontynuował z nie ukrywanym już zadowoleniem: - Sądząc po świeżości farby, nasz mistrz musiał wstać z martwych, by namalować ów obraz. No a ten... Hmm... Glazura nałożona wyśmienicie, postać odtworzona całkiem dobrze, choć bardziej dosłownie niż wdzięcznie. Nie widzę w tym prawdziwej sztuki. Powiedziałbym, że malarz jest Flamandem... Tak, Flamandem, który pobierał nauki u jakiegoś italskiego mistrza. Mam nadzieję, że arcybiskup nie przepłacił zbyt wiele za to dzieło.

- Otrzymał je w prezencie - rzucił z pasją Ashton, podchodząc do ciężkiej skrzyni na rzeźbionych nogach. - Kolekcja arcybiskupa znajduje się tutaj, jest w niej kilka nader rzadkich monet. Jego miłość prosi, by zbadał pan ich autentyczność, jak również oszacował pod względem wartości. Arcybiskup posiada także zbiór miniaturowych portretów w nowym stylu.

Perreal, obracając w palcach kolejne okazy rzadkich numizmatów, zaczął wydawać z siebie dziwne ptasie dźwięki.

- Ten - oświadczył wreszcie - to profil cesarza Nerona. Inskrypcja już prawie zatarta, lecz znam ten medalion, mamy ich bowiem kilka w Les Tournelles. A te... ach! Wszak to monety Merowingów z czasów króla Dagoberta! Gdzie zostały odnalezione? Tutaj? W Londynie? Ciekawe, bardzo ciekawe.

Ashton, pochłonięty śledzeniem jego reakcji, nie zauważył, że w progu pojawił się Brian Tuke. Dopiero na dźwięk angielskiej mowy odwrócił się w stronę drzwi.

- O, miło cię widzieć, Ashton. Jakże ci idzie z tym żabojadem? - Tuke nie mógł, rzecz jasna, odmówić sobie przyjemności oglądania rywala w tej niezmiernie przykrew sytuacji. Ashton zmilczał; łypnął tylko wściekle spod oka. - Popatrz, popatrz - zwrócił mu uwagę Tuke - nasz drogi gość otworzył właśnie kasetkę z miniaturą Zuzanny Dallet. - Obaj wlepili oczy w aroganckiego Francuza, a gdy ten uniósł brwi ze zdumienia, uśmiechnęli się nagle do siebie. O dziwo, dzielące ich animozje w tym momencie zeszły na plan dalszy. Górę wzięło poczucie, że obaj są Anglikami.

- Kto to malował? - nerwowo zapytał Francuz.

- Och, to nic wielkiego. Takie sobie prowincjonalne malarstwo - odrzekł Tuke.

- Typowy styl angielski - dodał Ashton. - Przyznasz, że nawet zabawny w swojej naiwności. - Zajęty drażnieniem Perreala, zapomniał na chwilę o niecnym postępku Zuzanny. Teraz znów ogarnęła go wściekłość. Antyk, rzeczywiście! Przykopcona podróbka! Ile też jej pośrednicy wyłudziła od Perreala? Czy ona już całkiem nie ma wstydu? Czy doprawdy musi

siać po całym mieście te swoje falsyfikaty? Lada chwila ktoś to wykryje. Jeśli jednak ten nieznośny Francuz w rzeczy samej nabył taki obraz, to znaczy, że istnieje sprawiedliwość. Ha, trafił swój na swego! Dobrze mu tak.

- Ten styl wywodzi się z Francji. Nasz Fouquet...

- Powiadasz, mistrzu, że ze sztuki iluminowania manuskryptów - wszedł mu w słowo Ashton. - Zauważyłeś, panie Tuke, że w tych francuskich manuskryptach wszystkie twarze wyglądają jednakowo?

- Zauważyłem to, panie Ashton. Dziwne, że wszystkie tak przypominają ryby.

- Wziąć za wzór portret z manuskryptu to nic oryginalnego - gniewnie wybełkotał gość.

- Tu zaś twarze się różnią i technika też całkiem nowa - kontynuował Ashton. - Zechciałbyś przyjrzeć się cieniowaniu przez szkło powiększające? Gołym okiem nie dostrzega się pociągnięć pędzlem

- dorzucił ze zjadliwym uśmieszkiem. Tuke tymczasem usłużnie podał Francuzowi lupę. Szkoda, wielka szkoda, ty pyszałku, myślał wściekle Ashton, że nie mogą cię przedstawić madame Zuzannie. Ona piorunem by się z tobą rozprawiła! Wyobraził ją sobie na pogrzebie Perreala po zręcznym wyprawieniu go na tamten świat. Cała w czerni, z chusteczką przy oczach. Czarująca i śmiertelnie niebezpieczna. A jednak na samą myśl o niej serce mu biło jak młotem. Opętała mnie, skonstatował. Jak ona to zrobiła? Sir Septimus mówi, że to istna Messalina. Czy Messalina też malowała swoje nagie ciało, by schwytać mężczyznę w sidła? By nie mógł już myśleć o niczym innym? On sam miał wryty w pamięci każdy gest Zuzanny, każde jej słowo, wszystkie podłe intrygi. Nawet z dala od niej ciągle towarzyszył mu jej wizerunek, wciąż próbował sobie wyobrazić, co by zrobiła czy powiedziała w takiej lub innej sytuacji. A teraz te przeklęte Ewy rozsiane po całym mieście. Odszukać je po kolei, porównać jeden egzemplarz z drugim, upewnić się ostatecznie, że ma rację? Że jego podejrzenia są słuszne? Zna przecież całą jej nieprawość, a mimo to chce być przy niej. Co to jest, na Boga? Jakaś klątwa? Rzuciła na niego urok? Dlaczego bez przerwy przeżuwa każde najbliższe jej słowo, które przypadkiem usłyszy? Dlaczego pragnie poznać już nie tylko jej tajemnice, lecz wszystko, wszystko, co dotyczy tej kobiety! Setki razy mówił sobie przecież, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Kobiety! Crouch się nie myli, mówiąc, co z nich za więdźmy. Nie wolno zapominać, jak są niebezpieczne.

- A to błękitne tło - poparł go Tuke, dostrzegając rosnące wzburzenie Perreala - jest już najzupełniej oryginalne. To jeden z sekretów malarza. Nie uważasz, mistrzu, że wyśmienicie uwydatnia tonację skóry?



Obaj zupełnie nie zdawali sobie sprawy, co naprawdę wzburzyło Francuza. Nie była to ani śmiała idea rajskiej sceny, ani technika miniatur, choć Perreal w skrytości ducha uznał ją za olśniewającą. Sekretem błękitnego tła zamierzał zająć się później w zaciszu własnej pracowni. Zaniepokoiło go co innego: twarze! Było w nich coś... lekkie uniesienie brwi, sztuczka ze światłem w źrenicy... co nasuwało przypuszczenie, że nieznany twórca „Ewy” jest zarazem autorem miniaturowych portretów, które właśnie wydobył ze skrzyni.

Perreal, malarz, rzeźbiarz i alchemik, był czymś więcej niż tylko projektantem oprawy królewskich uroczystości, takich jak pogrzeby czy śluby. Wiedział, czym jest Zakon Syjonu, był bowiem członkiem owej sekretnej organizacji skupiającej alchemików, artystów, budowniczych, mistyków, rycerzy i romantyków z całego znanego świata. Zakon Syjonu istniał od czasu krucjat; w pamiętnym momencie „rozłupania dębu” odłączyli się od niego Rycerze Świątyni, templariusze. Templariuszy wyniszczono, lecz Zakon przetrwał. Jego członkowie od wieków strzegli świętej Tajemnicy, od wieków też pozostawiali w całej Europie mnóstwo zaszyfrowanych przesłań dla potomności: kamieni nagrobnych z wrytymi na nich sekretnymi symbolami, tajnych wskazówek, jak również słów-kluczy wpisanych w akrostychy, poematy, obrazy, mapy i prorocтва. Były to wszakże wskazówki tak zręcznie zawoalowane i ukryte, że odkryć je i zrozumieć mogli tylko wtajemniczeni. Jednakże to „Kuszenie Ewy”...

Perreal, ujrawszy ów obraz, doznał prawdziwego wstrząsu, największe sekrety ujawniono tu bowiem w taki sposób, jakby ktoś ujął je w zwykłe słowa i ogłosił drukiem. Zobaczył tu przede wszystkim świętą górę, miejsce, gdzie ukryto niegdyś Tajemnicę. Zobaczył kopiec przypominający grobową kryptę... Symboli wtopionych w zieleń może by nawet nie dostrzegł, gdyby nie owa góra, święta góra skąpana w nieziemskim świetle... A więc to prawda, maitre Bellier ma rację. Jest ktoś, komu udało się odkryć to, czego przez tyle wieków strzegli członkowie Zakonu. Wolsey z pewnością zna tego człowieka. Nie przypadkiem polecił swym ludziom pokazać mi ten właśnie obraz. Wyraźnie daje mi sygnał. Pytanie tylko, w jakim celu? Grozi czy chce negocjować? Tak czy inaczej, ten znany intrygant wszedł w posiadanie świętej Tajemnicy. Zatrzymał ją dla siebie czy zdążył już zdradzić Zakon? Trzeba koniecznie dowiedzieć się czegoś więcej. I natychmiast zawiadomić Sternika. Z Wolseyem i jego agentem trzeba się ugodzić albo...

- Czy ten malarz mieszka w Londynie? - zapytał głośno.

- Nie mężczyzna malował te obrazki - odrzekł Tuke, szczerząc zęby do Ashtona na widok nagłej bladej twarzy Francuza.

- Diabeł... - wyszeptał drżącymi wargami Perreal. - Czyją się to stało mocą?

- Pan Tuke chciał jedynie powiedzieć, że nie męska malowała je ręka - powtórzył Ashton.

- Jak to? - Francuski artysta potoczył zdumionym wzrokiem po ich rozbawionych twarzach. - Czyż aż zatem?

- Malarzem tym jest kobieta - wybuchnęli śmiechem dwaj Anglicy. Oburzony artysta wyprostował się na całą swą niezbyt imponującą wysokość.

- Przyprowadziliście mnie tutaj, by kpić sobie ze mnie! - krzyknął.

- My? Nigdy w świecie - niewinnie zapewnił Ashton.

- Och, proszę nas nie posądzać o taką niegodziwość - dodał Tuke. - Kpić sobie z ciebie, największego wśród francuskich mistrzów? Jego eminencja jest niezmiernie wdzięczny, że tak wielki znawca zechciał potwierdzić autentyczność jego numizmatów. W dowód zaś swej wdzięczności przesyła ci, panie, tę oto sakiewkę.

- Sakiewkę? Czyżby mniemano, iż sprzedaję swój honor za pieniądze?

- Och, czegoś podobnego nie sposób sobie nawet wyobrazić! - wykrzyknął Ashton. - Nasz pan pragnie, mistrzu, byś po obejrzeniu tej kolekcji udzielił mu światłej rady, czym ją uzupełnić.

- Owszem, wymaga to niezwykle subtelnego smaku i wiedzy.

- Nie sądzimy, by dla ciebie była to rzecz zbyt trudna. - Krok po kroku za pomocą zręcznie dawkowanych pochlebstw udało im się ułagodzić rozwścieczonego Francuza. Przez chwilę belkotał coś jeszcze, mocno parszkając śliną, w końcu wszakże wróciło mu opanowanie.

- Jedno mnie tylko zdumiewa - wycedził wreszcie z tą samą co przedtem wyższością. - Jakim sposobem owe monety Merowingów znalazły się w Anglii? Niezmiernie interesują mnie rzadkości tego rodzaju. Powiedzcie, czy razem z monetami znaleziono też inne rzeczy? Na przykład klejnoty? A może starą osobliwą skrzynię czy choćby jakiś rękopis?

- Gdyby nawet tak było, nic bym o tym nie wiedział. Arcybiskup zbiera jedynie monety i medaliony. Ale możesz, mistrzu, zapytać sir Septimusa Croucha, antykwariusza, który sprzedał nam owe monety - skwapliwie poinformował Tuke. Brzmiąca w jego głosie fałszywa usłużność mogła przyprawić o mdłości. - Pan Crouch mieszka w Londynie tuż pod murami City, na Lime Street Ward. Radziłbym jak najszybciej się z nim skonsultować. - Stojąc za plecami Perreala, Tuke wykonał taki ruch ręką, jak gdyby przepędzał kury. Ashton znów wściekł się w duchu: nawet gestowi, nie mającemu wszak nic wspólnego z grzecznością, ten obmierzły Tuke potrafi nadać tyle arystokratycznego wdzięku! Ach, ta niedbała elegancja. On sam nigdy się tego nie nauczy. Jaszczurka! Angielska jaszczurka

*contra* francuska łasica. Jeden wart drugiego.

- Ach, sieur Crouch! Teraz już wszystko rozumiem - odparł francuski alchemik. Dziwne swoją drogą, pomyślał, że Bellier o nim nie wspomniał. Czyżby nie wiedział? Może trzeba go poinformować?

- Wszystko? To znaczy co? - zapytał zdziwiony Ashton.

- Ależ panie Ashton, Crouch to znany adept czarnej magii. Wielkie Grimoire, metoda Honoriusa...

Ashton zbladł.

- O - zdziwił się Tuke - więc ty o tym nie wiesz? Mówią, że wytrawny z niego satanista, choć ja tam nie widzę, by odnosił z tego jakąś korzyść. Gdyby naprawdę umiał przywoływać diabła, byłby już pewnie bogaty jak Krezus, nie uważasz? - uśmiechnął się z afektacją, widząc, że Ashton bezwiednie się wzdrygnął. Musiało to zrobić na nim wrażenie!

Robert Ashton znów był zmuszony udać się do kamienicy „Pod Stojącym Kotem”. Stał teraz w zagraconym sklepiku wdowy, wodząc wzrokiem po zielonych twarzach zezowatych i koślawych świętych, różniących się między sobą tym jedynie, że każdy znajdował się w innym stadium krwawego męczeństwa. On sam też nie wyglądał najlepiej. Nie nosił dzisiaj liberii, lecz swój szary wysłużony kubrak i sięgające kolan workowate spodnie, które sprawiały wrażenie, jakby się w nich przespał. Gęste kędzierzawe włosy sterczały mu na wszystkie strony w przedziwnych konfiguracjach, twarz miał bladą, oczy zapadnięte. Wyglądał jak człowiek, którego ścigają zmory. Tak było: całą noc śnił mu się koszmar. Crouch zmieniał się w demona szczerzącego zakrwawione zęby, Zuzanna w okrutną diabolicę, budzącą zarówno grozę, jak i pożądanie, spod skrwawionych płócien oskarżycielsko patrzyły czyjeś zwłoki, a wszystko to wymieszane w jakiś iście diabelski dekokt. Toteż odczuł nawet pewną ulgę, gdy kazano mu zanieść madame Dallet wiadomość o dacie wyjazdu. Zobaczę ją taką, jaka jest naprawdę, i uwolnię się od niej, mamrotał do siebie, naciskając klamkę.

Pani Hull ledwie raczyła prześliznąć się wzrokiem po jego masywnej postaci, którą musiał przygiąć pod niską futryną, i natychmiast znowu pochyliła się nad robótką.

- Na górę wchodzić nie wolno. Nie chce pana widzieć.
- Mam dla niej wiadomość, chodzi o wyjazd. Powinna się przygotować.
- Proszę więc tutaj zostawić notatkę, zaniosę ją później. Pani Dallet jest chora.
- Mam jej to przekazać osobiście.
- Przyjdź później, panie Ashton. Teraz nie wolno jej niepokoić.

Nie przestając machać drutami, wdowa owijała włóczkę wokół palca raz tak, raz inaczej, a na podolek miarowo spływała jej dzianina o bardzo wymyślnym wzorze. Kocica, zwinięta dotąd w kłębek u stóp swojej pani, teraz nagle wstała, wyprężyła ogon i odeszła, demonstrując tym wyraźną niechęć wobec osoby natręta. Nawet kot robi mu tu afront, pomyślał oburzony Ashton. Chcą się mnie pozbyć te wiedźmy. Nic z tego.

- Wypełniam rozkazy i nie będę tracił czasu na czekanie - oświadczył, stawiając nogę na wąskich spiralnych schodach.

- Ale kręcić się i wścibiać nos, gdzie nie proszą, to masz czas - stwierdziła pani Hull, nie podnosząc wzroku i nie gubiąc rytmu w przerabianiu oczek. Ashton posłał jej w odpowiedzi mało przyjemne spojrzenie. - Starcza ci też czasu na psucie pani Dallet reputacji. - Na te słowa lekko przygarbił swe szerokie plecy, jakby nagle wichura zawiąła mu w oczy. -

Choć już nie na to, aby zająć się człowiekiem w czerni.

- Nie zamierzam się jej wysługiwać. - Odwrócił się i głośno tupiąc, zaczął wstępować na schody. Drzwi na górze były otwarte, tak że w polu widzenia miał cały pokój służący za przedpokój, salon i sypialnię. Zapukał w otwarte drzwi.

- Proszę nie wchodzić. Pani jest chora i nie chce nikogo widzieć. Zwłaszcza pana. - Z pracowni wyłoniła się Nan z niedwuznacznym zamiarem zatrzaśnięcia mu drzwi przed nosem. Nie zdążyła.

- Ciekawe, że chora. Nie widzę nikogo w łóżku - odrzekł zgryźliwie; przytrzymał ramieniem drzwi i hardo wszedł do pokoju.

- Dość już złego narobiłeś! Wynoś się! - Piastunka zagroziła mu drogę, więc ponad jej ramieniem zajrzał do pracowni. Zuzanna siedziała przy sztaludze, malując portret na desce wysokości jakichś dwóch dłoni. W powietrzu unosił się żrący zapach farb olejnych i rozpuszczalnika, od którego zapiekły go oczy. - Mówię przecież, idź sobie, panie Ashton. Nie wypada, byś ją oglądał w tym stanie.

Ashton nadal tkwił w miejscu jak przyrośnięty i patrzył. Rozpuszczone włosy Zuzanny spływające jej luźno na plecy zwijały się wokół twarzy w wilgotne rudawe pierścionki. Choć było już południe, wciąż jeszcze miała na sobie białą nocną koszulę. Wilgotny i zmięty materiał upstrzony różnokolorowymi plamkami farby lepił jej się do ciała. Po zaczerwienionej twarzy płynęły strużki potu. Wielkie krople skąpy wały ze skroni na policzki, ześlizgiwały się z nosa, osiadały na górnej wardze. Oczy błyszczały szaleńczym podnieceniem i gorączką. W lewej ręce trzymała paletę, w prawej pędzel; portret był prawie gotów, pozostawało jeszcze wycieniować włosy.

Chociaż półprzytomna z gorączki, bynajmniej nie straciła pewności ręki. Pod błyskawicznymi pociągnięciami pędzla bezkształtna zrazu masa zaczynała lśnić i falować; mig, mig, i można było dostrzec nawet pojedynczy włos. Portret tchnął jakimś niezwykłym zgoła ożywieniem, jakby wchłonał w siebie gorączkę i nastrój malarki. Oczy patrzyły ostro i zuchwale. Ashton, który w swych rojeniach przedstawił sobie tę kobietę na tyle różnych sposobów, przypisując jej wszelkie możliwe ekstrawagancje, w tym zwłaszcza mordercze intrygi i rozpasane miłości, był teraz zdumiony i zaskoczony. Nie, tego sobie nie wyobrażał. Biło z niej światło, jakby nosiła w sobie płomień, na twarzy osiadł wyraz skupienia - w tej chwili istniała dla niej tylko praca. A jej ciało... to krągłe różowe ciało, oblepione wilgotną koszulą, było tak ponętne... Czuł, że ów blask bierze się z pasji, z namiętnego umiłowania rzeczy, o których on sam ma tylko mgliste pojęcie. Wiedział, że przed jego oczami rozgrywa się przedziwnie piękne misterium, że nie kryje się tu żaden podstęp, lecz pojmował również,

że nie jest ono przeznaczone dla jego oczu. Patrzył i nie mógł się napatrzeć. Ona tymczasem nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie wywiera, i to właśnie było najstraszniejsze, najbardziej deprymujące. Bardzo chciał, by się uśmiechnęła, by włączyła go do swego małego wszechświata, zamkniętego w owej wąskiej przestrzeni pomiędzy nią a sztalugą. Był zdruzgotany tym, co właśnie sobie uświadomił: pragnie tej kobiety. Tak jak nigdy jeszcze nie pragnął żadnej w całym swoim życiu.

- Nan, prędko, zarygluj drzwi. Idzie tu ten człowiek w czerni - odezwała się urywanym głosem. Nie podniosła oczu znad obrazu. - Muszę to skończyć, muszę skończyć, zanim mnie zabierze! Jak myślisz, Nan, czy on mnie zabije? Każ pani Hull odnieść portret i wziąć zapłatę. Nie mogę zostawić was bez pieniędzy.

Na dźwięk jej głosu serce w nim zamarło. Bo nie na takie czekał słowa.

- Ja... hm... Arcybiskup Wolsey każe pani być gotową do wyjazdu za cztery dni. W piątek. Wolno zabrać tylko jedną skrzynkę... - Odkrywszy w sobie tę straszliwą słabość, to jakże prymitywne, grzeszne pożądanie, czuł jedynie zgrozę i upokorzenie. Zaczął z wolna cofać się do drzwi.

- No i widzisz? To ty doprowadziłeś do tego stanu moją małą biedną gołąbeczkę. A teraz wynoś się stąd, panie Ashton, i nie pokazuj się więcej, póki nie zostaniesz zaproszony - twardo oświadczyła Nan.

- Ja nie... - Chciał się usprawiedliwić, lecz oto znowu odezwała się Zuzanna:

- Przyszedł człowiek w czerni - wydyszała, odkładając pędzle.

- Mówiłam ci, Nan, mówiłam ci, że tu przyjdzie. - Wstała i wlepiła oczy w Ashtona. - Ach, jaki on wysoki, wyższy, niż myślałam. I twarz ma zupełnie jak pan Ashton. Och, Nan, ale pan Ashton mnie niszczy! Przez te niegodziwe plotki arcybiskup nic już pewnie u mnie nie zamówi. Każe mi iść precz, a gildia spali wszystkie me obrazy. Źrenice miała tak rozszerzone, że oczy zdawały się czarne. Patrzyła nie na Roberta, lecz gdzieś nad jego ramieniem. - Idź sobie - szepnęła. - Jeszcze nie teraz. Teraz nie mam czasu. - Zrobiła krok naprzód i zaczęła osuwać się na ziemię. Nan próbowała ją podtrzymać, lecz było to ponad jej siły.

- Rusz się, ty wielka ofermo! - krzyknęła na Ashtona, który sterczał w progu jak sparalizowany. - Trzeba ją położyć do łóżka. Od dwóch dni tak z nią jest! Wymiotuje tylko i maluje, a wszystko to twoja wina! Przez to twoje podłe gadanie. Pomóż mi!

Biorąc w ramiona wilgotne gorące ciało, Ashton oczy miał nieprzytomne; stwierdził też, że drżą mu ręce i nogi. Kiedy położył Zuzannę na łóżku, kurczowo wczepiła się dłońmi w wyłogi jego kaftana. Płonące gorączką oczy z napięciem patrzyły mu w twarz.

- Mamo - szepnęła - przysłaś... - Twarz jej się wypogodziła, z westchnieniem zamknęła oczy, Ashton zaś popadł w taki zamęt, że nie wiedział już, kto jest kim, co dobre, a co złe, co prawdziwe, a co urojone. Kiedy podeszła Nan, aby przykryć chorą, odwrócił się i uciekł bez słowa. Twarz go paliła ze wstydu. Nie zatrzymał się nawet na okrzyk pani Hull:

- No i co, panie Ashton, teraz jesteś zadowolony?

- Nan, pić mi się chce. Za długo pozwoliłaś mi spać. - Okiennice były zamknięte, w pokoju panował więc półmrok, widziałam jednak, że przez szparę sączy się popołudniowe słońce.

- Miałaś gorączkę. Spędziłyśmy ją, kładąc ci na ciało zimne kompresy. To dlatego spałaś. - Nan także zdrzemnęła się na ławie, no i mój głos ją zbudził. Wyglądała trochę dziwnie: zmieszana i zarazem zła jak osa, pewnie z niewyspania. Poczułam się okropnie winna. Zawsze dostaję gorączki, kiedy za dużo pracuję, a ona się o mnie zamartwia. Ale co mam robić? Nie pracować? Z czego byśmy żyły?

- To nie była prawdziwa gorączka, to od pracy... Za dużo miałam zamówień. Chociaż wiesz co? Wielu ludzi chciałoby dostawać takiej gorączki. Czemu nic nie mówisz? Czy coś się stało? Och, wiem, za długo spałam, a portret pani Ferrers jeszcze nie gotowy! Kiedy to mamy płynąć do Francji? O Boże, wolałabym wcale nie jechać. Wiem, że to zaszczyt i że pewnie zarobię fortunę, ale ci cudzoziemcy! Czasem myślę, że lepiej by było dalej malować Adamów i Ewy. - Powoli usiadłam na łóżku. Chyba wydarzyło się coś ważnego, ale co? Kilka razy już, już miałam to sobie przypomnieć i nagle mi uciekało.

- Portret gotowy i odniesiony. Zapomniałaś, że go ukończyłaś. - Nan z markotną miną naląła mi wody do kubka.

- Och, czy tam na stolku leży moja koszula? Cała zachlapana farbą! Do licha, czy doprawdy każda moja rzecz musi być w kropki? - Podniosłam koszulę do góry i zaczęłam się jej przyglądać. Okropność. Może jutro poprobuję usunąć te plamy terpentyną. - Powiedz mi, Nan, czy ja znowu malowałam w tej koszuli? - Włożyłam ją i nagle poczułam się słaba jak ślimak.

- Ano znowu.

Od wieków nie widziałam, żeby Nan była taka zła. Podała mi wodę i poszła otworzyć okiennice. Przez okno wpadła ciepła smuga światła z tańczącymi w niej wesoło drobinkami kurzu i letnie zapachy ulicy. Zauważyłam, że wybielony parapet zaczyna się łuszczyć z gorąca.

- Jakie to dziwne, że nic nie pamiętam. Mówisz, że portret gotowy? Czy jeszcze coś

się stało? Czuję, że tak. Czy ktoś tu był?

- Pojutrze wyjeżdżamy. Do tego czasu nie wolno ci ruszyć się z łóżka. Żadnego malowania! Nie waż mi się tknąć pędzla ani go nawet umyć.

Dziwnie się czułam, jak to po gorączce. Człowiek wydaje się sobie taki lekki i wszystko widzi tak ostro. Zielono-niebieską muchę, co brzęczy koło wezglowia, chropowatą powierzchnię stołu, na której słońce rysuje drobniutkie złociste cętki... Jak wyraźnie i czysto brzmi śpiew ptaków za otwartym na oścież oknem...

- Nan, teraz sobie przypominam! Miałam strasznie dziwny sen. - Dlaczego ona patrzy na mnie tak podejrzliwie? - Śniło mi się, że mam znowu być z matką i ojcem, ale ja nie chciałam iść do nieba. I rzeczywiście nie było tam zbyt przyjemnie. Ojciec wciąż mnie strofował, że za mało daję podmalówki. Kto to widział kłaść farby za jednym posiedzeniem? *Alia prima*, krzyczał, malują tylko partacze, w ten sposób marnują jedynie drogie materiały! To nie partactwo, odkrzyknęłam mu na to, tylko nowa metoda, którą właśnie wypróbuję, a on, że nowe metody niech sobie stosują Włosi. Och, ależ był zły! Trudno, powiedziałam, skoro tak, to ja tu nie zostanę. Wracam do siebie, bo mam sporo nowych pomysłów i muszę je wypróbować. Jesteś pewna, że ukończyłam ten obraz?

- Oczywiście. Pani Hull odniosła go już klientce. Powiedziała, że jest bardzo dobry.

- No a potem śniło mi się coś okropnego. I ten drugi sen jakoś tak poplątał się z pierwszym. Przyszedł po mnie ów człowiek w czerni. Mówię ci, wyglądał jak kościotrup, na szczęście zjawił się pan Ashton i przepędził go ogromną miotłą. Zwyczajnie wymiółł go za drzwi.

- Śmieszne! On i miotła? Zbyt wielkie ma o sobie mniemanie. Kto jak kto, ale on by na pewno nie oddał ci takiej przysługi. Ten człowiek myśli jedynie o sobie.

- Taki prawdziwy wydawał mi się ten sen! Zupełnie jakby Ashton naprawdę tu był. Jesteś pewna, że nie przychodził?

- Jak najpewniejsza - odparła Nan, krzyżując ręce na piersi. - Musisz wiedzieć, że sny często kłamią. Pamiętaj, żadnych pędzli, żadnej terpentyny i żebym twojej stopy nie widziała na podłodze. - Musiałam mieć dziwną minę, bo nagle się zatroskała: - Czy aby nie boli cię głowa? A może chciałabyś poczytać tę swoją książkę?

Nie, nie miałam ochoty czytać. Poczulałam w sobie coś małego jak pyłek czy kiełkujące nasionko, z którego wszakże nie wiadomo co może wyrosnąć. Pytanie to wywołało we mnie niezrozumiały niepokój. Coś, czego nie umiałam nazwać, natrętnie narzucało się moim myślom. Dziwne. Z ulicy płynęły pomieszane dźwięki: gęganie gęsi, stukot podków, głosy bawiących się dzieci. Może jak wyjadę, minie mi to uczucie.



Gorączka mi przeszła, za to Nan pozostała niezwykle markotna. Zmartwienie wprost kapąło z niej kropelkami. Na koniec doszła do wniosku, że ów ponury nastrój to bardzo zła wróżba: widać sądzone jej utonąć.

- Czuję to przez skórę. Im bliżej wyjazdu, tym mocniej. To już jutro - zwierzyła się pani Hull, która nadeszła właśnie z garnkiem gorącej zupy o szczególnie jakoby wzmacniającym działaniu.

- Jeszcze parę łyżek, kochanie. Musisz jeść! Chcesz udać się w tę długą podróż taka blada? Do jutra trzeba ci nabrać rumieńców, żebyś mogła zarobić dużo pieniędzy na portretach tych bogatych cudzoziemskich książąt.

- Jak mam stanąć przed Bogiem w dniu Ciał Zmartwychwstania, jeśli zjedzą mnie ryby i rozwloką gdzieś wszystkie me szczątki? - przerwała jej Nan. Tak bardzo przejmowała się tym zmartwychwstaniem, że nawet obcięte włosy i paznokcie za każdym razem skrupulatnie grzebała w tym samym miejscu. Ja tam myślę, że odnajdywaniem mych doczesnych szczątków powinien zająć się Pan Bóg, tak więc obcięte paznokcie i włosy wrzucam po prostu do ognia, żeby mi ich nie porwały czarownice. Wiadomo też, że jeśli ptaki użyją czyichś wyczesanych włosów do budowy gniazda, osobę tę spotka nieszczęście, trzeba zatem bardzo uważać. Pani Hull, która snuła słodkie marzenia o bogactwie, nie w smak były myśli o śmierci. Odebrawszy ode mnie pusty talerz, zgromiła Nan ostrym spojrzeniem swych ptasich oczek:

- Co za niedorzeczne gadanie! Właśnie postawiłam sobie horoskop i gwiazdy mi nieszczęść nie wróżą.

- Twoje gwiazdy mają mówić o naszych nieszczęściach? - zirytowała się Nan.

- Mówią, że czeka mnie wielka pomyślność i bogactwo, a Cat udane zamążpójście, i wszystko to ma się spełnić za sprawą wpływowych przyjaciół, czyli waszą. Innych przyjaciół nie mam.

- Zwodzą cię te twoje gwiazdy. Wczoraj spaliłam włosy i otrzymałam znak dużo pewniejszy.

- Spaliłaś moje włosy? A spytałaś mnie o pozwolenie? - Teraz już i ja się zdenerwowałam. Wiadomo, że jeśli podpalony pukiel nie buchnie płomieniem, właścicielkę czeka niechybna śmierć przez utonięcie.

- I co? Czyżby się nie zapaliły? - spytała zaniepokojona pani Hull.

- Płomień nie był jak trzeba. Za mały - triumfalnie oznajmiła Nan ze śmiertelnie ponurą twarzą.

- Za mały... - powtórzyła wdowa przeciągle. - Ha!

- Muszę przed wyjazdem uzyskać rozgrzeszenie. Zamierzam iść do spowiedzi. - Głos Nan zabrzmiał jak trąby Sądu Ostatecznego.

- Gdybyś prawdziwie troszczyła się o swoje przyjaciółki, uczyniłabyś jakiś ślub przed relikwiarzem świętego Krzysztofa, by zdrowo wrócić do domu, tyle ci powiem! - oświadczyła z mocą pani Hull.

- Coś podobnego! - Nan z taką irytacją zerwała się z ławy, że omal jej nie przewróciła.

- A to dopiero! Nam sądzone jest zginąć na morzu, a nasza przyjaciółka wcale się tym nie martwi, ha, słówkiem nawet nie wspomni, że jej przykro!

Wstałam z łóżka, bo żadna nie zwracała już na mnie uwagi.

- Śmierć w morzu, dobre sobie! Bo ty wolisz zginąć, żebyśmy z Cat płakały, aniżeli oglądać nas w szczęściu i pomyślności! Wiesz, jak to się nazywa? Samolubstwo! Myślisz, że zakupię za was mszę żałobną? Niedoczekanie! - Pani Hull pochwyciła garnek i wybiegła z pokoju, mocno trzaskając drzwiami.

- Wstrętna stara wiedźma! Ubieraj się, Zuzanno, migiem! Idziemy do Świętego Sepulchriusza. Gwiazdy! Ja jej pokażę gwiazdy! Czy w pudełku z szyciem leży jeszcze ten mój srebrny szyling? Zapalę największą świecę przed ową relikwią i zobaczymy, ile też dobra z tego wyniknie. Nic, nawet tyle, co brudu za paznokciem! Przekona się jędza, kto tu więcej wie o przeznaczeniu!

Wyszłyśmy z domu późnym popołudniem. Już na Fleet Street nie mogłam się pozbyć wrażenia, że śledzą nas czyjeś oczy.

Nieodległy kościół Świętego Sepulchriusza nie jest ani zbyt duży, ani ładny. Wiem, że przebudowano go w czasach, gdy ojciec mój przybył do Anglii. Posiada wieżę z potężnym dzwonem, którego nocne bicie zapowiada zawsze czyjąś egzekucję, a stoi tuż obok „Głowy Saracena”. Zaledwie przekroczyłyśmy próg domu, zaczęło się to, co zwykle, tak że w pobliżu tawerny towarzyszyło mi już kilka brzydkich cętkowanych kundli i jeden żółty biedak z odgryzionym uchem. Nan przystanęła, aby je odegnąć, ja zaś w tym czasie podziwiałam damę, której stajenni z oberży pomagali zsiąść z konia. Miała niezwykle szykowny kapelusz, taki z zielonego aksamitu. Usłyszałam nagle, że ktoś otwiera okno na piętrze, lecz gdy spojrzałam w górę, natychmiast je zatrzęsnięto. Psy żadnym sposobem nie dawały się odpędzić. Siedziały dookoła z wywieszonymi jęzorami, a jak tylko ruszyłam dalej, oblażyły mnie tak ciasno, że można się było przewrócić. Udało nam się ich pozbyć dopiero po wejściu do mrocznej i chłodnej nawy, gdyśmy co prędzej zamknęły przed nimi wrota.

Nan długo zastanawiała się nad kupnem świecy; widziałam po minie, że wszystkie

wydają się jej zbyt drogie. Postanowiłyśmy w końcu pomodlić się przy relikwiach świętego Krzysztofa i obiecać mu świeczkę, jeśli sprawi, że zdrowo wrócimy do domu. W głównej nawie było dość ciemno. Żółtawe popołudniowe światło gdzieniegdzie tylko rozjaśniało skrawki mrocznej przestrzeni między kolumnami; ołtarza nie było widać, tonął bowiem w głębokim cieniu. Przed rzędem nisz z drewnianymi figurami świętych słabo pełgały dymiące ogniki świec. Ludzi było niewielu; kręciło się paru księży zbierających ofiary na kościół, tu i ówdzie klęczał jakiś kupiec, prosząc o pomyślność w interesach, główną nawą kroczyła dama w jedwabiach w towarzystwie służącej - zapewne przyszła odwiedzić czyjaś kryptę. Kaplica północna, gdzie wystawiono relikwiarz, wydawała się pusta, jeśli nie liczyć ciemnych zmurszałych rzeźb i niezwykle ponurego tryptyku w ołtarzu, przedstawiającego scenę zdjęcia z krzyża. Po ciele Chrystusa obficie spływała krew, którym to sposobem malarz próbował zamaskować liczne niedostatki swego rzemiosła: takie nogi mógłby mieć konik polny, a twarz namalowana została bez najmniejszego pojęcia o budowie czaszki. Wśród tłumu pod krzyżem trudno było odróżnić kobiety od mężczyzn. Dla zaznaczenia, iż rzecz dzieje się w Ziemi Świętej, niektóre postacie miały na głowach turbany, rzymscy żołdacy zaś nosili francuskie broje, które dla malarza musiały być zapewne niesłychanie egzotyczne. Czy można wzbudzić w sobie religijny nastrój, kiedy stoi się przed takim malowidłem? Odniosłam ten tylko pożytek, że na widok owej sztuczki z krwią zaczęłam trochę mniej się wstydzić bujnych pędów winorośli, którymi przesłoniłam swojego Adama.

W mroku rozjaśnionym jedynie sączącą się z okna kolorową poświatą zupełnie nie było widać, co znajduje się w relikwiarzu, mimo że w jedną ściankę wprawiono kryształową szybkę. Miał zawierać kość z uda świętego Krzysztofa i kawałek jego włosiennicy. Gdyby nawet było jaśniej, ja i tak niewiele bym zobaczyła, bo jak na mój wzrost relikwiarz stał za wysoko. Umieszczono go w niszy ściennej wśród mnóstwa drewnianych płaskorzeźb, okropnie już teraz zakurzonych, przedstawiających jakieś brzydkie twarze i coś podobnego do roślin. Znad relikwiarza spoglądała na wiernych drewniana, jaskrawo pomalowana figura. Święty w wysoko podkasanej sukni, co miało oznaczać, iż brnie przez wodę, niósł na barkach Dzieciątka Jezus. Od baterii płonących przed nim świec bił mdlący odór topionego wosku. W ich blasku migotały setki srebrnych wotów w kształcie okręcików i serduszek. Właśnie zrobiło mi się wstyd, że Nan tak skąpi pieniędzy na świecę, gdy za parawanem stojącym u boku ołtarza zamajaczyła mi czyjaś postać.

- Nan, widzisz tam kogoś? - spytałam szeptem, ciągnąc ją za rękaw. - Tylko pst... mów cicho.

- Oczywiście, że widzi - odrzekł męski głos. Cień poruszył się i nabrał kształtów. W

wąskim promieniu światła błysnęła para jasnozielonych oczu i białe, spiralnie zwinięte kosmyki w kształcie baranich rogów. Rozległ się stukot butów, dyskretny szelest aksamitnej szaty i z cienia wyłonił się Crouch.

- Ach, słusznie przypuszczałem, iż zechcesz, pani, złożyć świętemu wizytę w przededniu swojej podróży. Ja zaś przez pamięć twego męża, którego kochałem jak syna, usilnie pragnę ci pomóc. Taka zagraniczna podróż wymaga wszak wielu rzeczy... Mogę dać ci list polecający...

- O wszystko, czego mi trzeba, zadbał już biskup Wolsey. - Wargi miałam tak suche, że z trudem formowały słowa.

- Ach, biskup. Powiedz mi, madame, czy jego eminencja zaopatrzył cię w jakieś listy do francuskich adresatów?

- Niepotrzebne mi listy polecające. Będę służyć księżniczce.

- Nie wiesz więc żadnej przesyłki? Dziwne. Ani listu, ani nawet malowidła, by doręczyć je osobiście?

- Dlaczegoż to biskup miałby mnie, kobiecie, powierzać jakieś listy? Jadę tam tylko po to, by namalować miniatury ślubne księżniczki i jej małżonka. Przepraszam, ale muszę już iść. - Próbowałam mu umknąć, był jednak zbyt szybki. Zrównał się ze mną paroma długimi krokami, chwycił za ramię, obrócił przodem do siebie i przycisnął do parawanu. Maską uprzejmości opadła mu z twarzy, w oczach zabłysło szaleństwo.

- Tylko mi nie kłam! Mam swoje sposoby wykrywania prawdy. Zwierciadło pokazało mi twe knowania. Widziałem ową sekretną konferencję z mężczyzną w czarnym płaszczu! Był u ciebie w domu. Ha, dziwisz się, widzę! Nie doceniłaś mej mocy. Nigdy więcej nie popełniaj tego błędu! A teraz słuchaj. Twój mąż ukradł mi pewne tajemnice, które ty sprzedałaś Wolseyowi, teraz zaś z jego polecenia wiesz je do Francji. Tak, ty, któż bowiem podejrzewałby o to kobietę! Odkąd obdarzasz biskupa łaskami, on...

- To nieprawda - odparłam, próbując strącić z ramienia jego rękę.

- Jak pan śmie! - krzyknęła Nan, która w obecności osób wyższych rangą zachowuje się zwykle jak myszka. Teraz nawet i ona nie mogła powstrzymać oburzenia.

- Wiem to od Ashtona - syknął Crouch. - Nie rozumiesz, dlaczego cię zdradził? Ashton należy do mnie - wycedził z satysfakcją, przysuwając się bliżej. Nie mogłam się ruszyć, odwróciłam więc przynajmniej głowę, by nie wachać jego oddechu. Cała aż osłabłam z odrazy.

- O, sieur Crouch, cóż za miłe spotkanie i jak nieoczekiwane! Czy aby nie przeszkadzam w ważnym interesie? - przemówił nagle czyjś niezwykle uprzejmy głos o

wyraźnie cudzoziemskim brzmieniu. Zza kolumn przy wejściu do kaplicy wysunął się nieznajomy o wąskiej inteligentnej twarzy i stanął za plecami Croucha niby anioł stróż czy raczej mój wybawiciel. Sir Septimus zdjął rękę z mego ramienia i odwrócił się do przybysza.

- A, to pan, Bellier.

- Ach, sieur Crouch, od dawna płonę chęcią poznania słynnej malarki, więc gdy zobaczyłem z okna zajazdu, jak zmierza w stronę kościoła, przybiegłem tutaj co tchu, widzę jednak, że mnie uprzedziłeś. Ha, więc zacząłeś już także zbierać miniatury? Czy zechcesz nas zaznajomić? - Crouch, zbyt wścikły, by mówić, milczał. - Nie? Zatem, madame Dolet, proszę mi wybaczyć obcesowość, lecz zmusza mnie do niej konieczność. Jestem maitre Bellier, teolog, podróżnik, jak również kolekcjoner rzadkich przedmiotów. Twój sługa, madame. Mam w posiadaniu jedną ze znakomitych alegorii pani pędzla, zatytułowaną „Adam i Ewa w rajskim ogrodzie”, nad którą rad bym podyskutować, jeśli zechcesz mi poświęcić nieco czasu. - Ukłonił się z niezwykłą galanterią, co wprawiło Croucha w jeszcze gorszą furję.

- A więc ty to masz, Bellier! Stąd ten twój obraz w lustrze! Widziałem w złotym zwierciadle, że próbujesz rzucić na mnie urok! To ty nosisz czarny płaszcz, nieprawdaż? A przychodząc tutaj, zdradziłeś się ostatecznie. Jak śmiesz? Czyżbyś nie znał mej mocy?

Na słowo „moc” pan Bellier poruszył lekko nozdrzami i uśmiechnął się lekceważąco. Przybyło mi ducha, kiedy zobaczyłam, że chociaż niższy i lżejszy od Croucha, potrafi go przecież poskromić. Crouch najwyraźniej czuł respekt przed jego ostrym spojrzeniem i tym cynicznym uśmieszkiem, co oznaczało, że i on ma swe słabe punkty, że się kogoś boi. Dziwny paraliż woli, jaki zawsze we mnie wywoływał, pomału zaczął ustępować.

- Nie masz jeszcze wszystkiego, pamiętaj o tym! - warknął pod adresem cudzoziemca. Jego wzburzenie i wścikłość sprawiłyby mi niemalą satysfakcję, gdyby nie to, że tchnęło z nich jakieś szaleństwo, od którego cierpła mi skóra. I czym jest to coś, czego Bellier „jeszcze nie ma”? Widać było tylko, iż ta właśnie rzecz przyprawia Croucha o obłęd. Kiedy tak stali przed sobą, pasując się wzrokiem, zaczęłam się wycofywać, starając się najlżejszym nawet szmerem nie ściągnąć na siebie uwagi. Nan widząc, co robię, jęła także skradać się do wyjścia. Crouch dotknął tymczasem wiszącego u pasa sztyletu, lecz maitre Bellier, odchyliwszy do tyłu swoją szczupłą postać, znowu się tylko uśmiechnął; spod jego cudzoziemskiej szaty wyjrzała rękojeść miecza. Udało mi się zrobić dalszych parę kroków.

- Jak widzisz, sieur Crouch, madame Dolet pilno powrócić do domu przed zmierzchem. Obawiam się, że muszę cię opuścić, by służyć jej swym towarzystwem. Bardzo bym nie chciał, by przypadkiem spadła jej na głowę jakaś obluźniona dachówka.

Zupełnie nie pojmowałam, co mają znaczyć te słowa, lecz Crouch musiał je zrozumieć doskonale, bo oczy zabłysły mu furją. Nie ruszył się jednak z miejsca, gdy maitre Bellier ujął mnie pod łokieć jak wielką damę i wyprowadził z kaplicy. Nan pospieszyła za nami.

Kiedyśmy wyszli spod wielkiej, łukowato sklepionej bramy, słońce stało już nisko, a drzewa i domy rzucały długie cienie. Psy zniknęły, znudzone widać czekaniem. Przechodząc obok „Głowy Saracena”, ujrzałam ruch na dziedzińcu; tłoczyło się tam kilku woźniców i jakiś kupiec z mułami. Ktoś krzyczał, słychać było przekleństwa, lecz już biegli stajenni, by zająć się końmi.

- Obawiam się, madame, że sieur Crouch to bardzo zły człowiek - odezwał się pan Bellier swym wytwornie uprzejmym głosem. Skręciliśmy właśnie w Saint George's Lane.

- Ja to już wiem.

- Nic dziwnego. Tak utalentowana malarka nie mogła przeoczyć tego, o czym mówi jego fizjonomia. Są tam pewne wyraźne znaki. Nie mówiąc już o krzyżykach na linii Marsa... Ostatnio doprawdy zachowuje się jak szaleniec. Pomówmy jednakże o tej czarującej alegorii Raju. Interesuje mnie symbolika twego dzieła, madame. Dlaczego na przykład nie widzimy twarzy Adama? Tak dokładnie zasłoniłaś go winoroślą...

Milczałam, bo było mi wstyd. Tak to jest, gdy popełni się nieuczciwość. Grzeszna przeszłość dopada człowieka akurat w chwili, gdy krok już tylko dzieli go od prawdziwie wielkiego sukcesu, bogactwa, szacunku, uznania. Zdawało mi się, że czytam „Księgę obyczajów zacnej małżonki”, albowiem taki jest właśnie morał przypowieści z czwartego rozdziału, tylko że teraz, niestety, ja sama stałam się bohaterką takiego zdarzenia. Gdyby nie lęk przez Crouchem, uciekłabym od tego cudzoziemca i jego dociekliwych pytań, lecz przecie tamten mnie ścigał, a o jego zamiarach strach było myśleć. Zmuszona zaspokoić ciekawość swego wybawcy, odpowiadałam, choć z rzadka i jednym lub dwoma słowami. Mógł uznać mnie za niegrzeczną, cóż jednak miałam począć?

- Czemu jesteś tak cicha, madame? Być może zawarłaś w swym dziele jakieś sekretne znaczenia. Nie zechciałabyś mi ich ujawnić? Doprawdy podziwiam twą sztukę... Powiedz mi, proszę, co ma oznaczać ta góra? - Na chwilę zamilkł, by ostrożnie przeprowadzić mnie obok sterty bydlęcych wnętrzności i innych kuchennych odpadków na rogu Fleet Street. Zauważyłam, że cały czas idzie tak, bym miała nad głowę wysunięte nad ulicę piętra.

- Ja... skopiowałam tę górę.

- Jak to?

- Tak. Z obrazu innego malarza. - Byliśmy już prawie przed domem.

- Ach tak, inny malarz... - wymówił te słowa dziwnym tonem. - Czy mieszka on tutaj,

w Londynie?

Nie mogłam wyznać mu prawdy. A nuż usłyszałby to ojciec? Już i tak skrzyczał mnie tam w niebie, że gorsza jestem od Włochów.

- Nie - odrzekłam krótko.

- Ach, jakąż jesteś czarująca! Ta skromność... Czy wiele podróżujesz, madame? Ja tak, i to często. Główna ma rezydencja mieści się w Paryżu, aczkolwiek od kiedy owdowiałem, nie dbam o nią, niestety, jak należy.

Pani Hull otworzyła okiennice, by wpuścić do sklepu trochę świeżego powietrza, widać więc było całe jego wnętrze razem z kątem, gdzie pośród zielonych męczenników królował święty Szymon, zezowaty i ze źle umieszczonym pępkiem. Pan Bellier na ten widok uśmiechnął się z rozbawieniem. Od razu wiedziałam, że świetnie zna się na sztuce.

- Dom „Pod Stojącym Kotem”. Tu mieszkasz, nieprawdaż, madame Dolet? Będziemy musieli jeszcze porozmawiać. Koniecznie. O, czuję, że się jeszcze spotkamy. Tak chce przeznaczenie - z tymi słowy głęboko spojrział mi w oczy. Był siwy i dla mnie o wiele za stary, ale wiadomo, jacy są ci Francuzi. Twarz miał doprawdy interesującą: kości, choć wąskie, były doskonale w rysunku. - Żywię dla ciebie ogromny podziw, madame, i naprawdę wierzę, iż przeznaczenie splecie nasze losy - zakończył zniżonym głosem. Zabrzmiało to bardzo znacząco. Zaczerwieniłam się i jeszcze bardziej zeszywniałam. Ze wstydu. Pomyślałam, że to pewnie mój obraz poruszył go w taki sposób. Pragnęłam już tylko, aby jak najszybciej sobie poszedł. Chyba nie urządzi mi tu jakiejś nieprzystojnej sceny? Na szczęście był dżentelmenem, oddalił się więc zaraz, całując mnie na pożegnanie w końce palców, które ja co szybciej wytarłam.

- O, to jest dżentelmen - stwierdziła Nan z uznaniem. - Wcale nas przecież nie zna, a przychodzi ci z pomocą w najtrudniejszej chwili, gdy najbardziej tego potrzebujesz. Doprawdy spadł nam jak z nieba. Zainteresował się tobą, widać to jasno.

- Po prostu lubi malarstwo. Nie myl dwóch różnych rzeczy.

- O, umiem ja je odróżnić! Interesuje go coś więcej niż tylko obrazy. Po cóż by wspominał, że jest wdowcem i nie zawsze mieszka w zajeździe? Ciekawe, jak też wygląda ten jego dom w Paryżu. Widzi mi się, że to ktoś majątny. Zauważyłaś jego złoty łańcuch? A ten pierścień z dziwnym deseniem? Tak wielkiego rubinu jeszcze nie widziałam. A my akurat jedziemy do Francji! Pomyśl o tym, Zuzanno. Mogłabyś się mieć bardzo dobrze.

- Myślałam, że sądzono nam jest utonąć.

- Och, tak było przed wizytą u świętego Krzysztofa! Sama widzisz, że nas wysłuchał. Ten nieznamy to Znak.

- Znowu Znak? Dobrze, iż ten przynajmniej uważasz za pomyślny. Jednego tylko nie rozumiem...

- Czego, moje ty złotko?

- Skąd on wiedział, gdzie mieszkamy?

Nazajutrz przed wschodem słońca zjawił się Ashton z końmi. Poprosiłam go do pokoju, bo jeszcze wiązałam skrzynkę, lecz nie chciał wejść. Stał przed drzwiami, spoglądając na schody, jakby o czymś głęboko rozmyślał, i nieświadomym ruchem prawej ręki odginał skurczone palce lewej, które zaraz na powrót zginał. Zauważyłam, że lewy łokieć trzyma tuż przy boku, jakby ręka ta była sztywna. Włosy przyczesane miał na mokro - nie szczędził widać wysiłków, aby je ujarzmić - a świeżo wygolone policzki zaczerwienione od brzytwy. Przywdział dziś swoją elegancką liberię, co uznałam za niezbyt rozsądne, zważywszy czekającą nas podróż. W pewnej chwili spostrzegłam, że śledzi każdy mój ruch.

- Co to takiego? - spytał, wskazując tobolek przytroczony do mojej skrzynki.

- Sztaluga. Nie jest to skrzynka, więc się nie liczy. Arcybiskup nie spodziewa się chyba, że będę malować na kolanie.

- We Francji też są sztalugi.

- Nawet i tam jednak nie rosną one na drzewach. A ta zrobiona została specjalnie dla moich potrzeb.

Coś burknął niechętnie, lecz musiał skapitulować.

- A cóż tu jest? - wykrzyknął, zarzucając skrzynkę na ramię. - Kula ołowiana?

- Zaledwie parę drobiazgów, i to najpotrzebniejszych. Nan mówi, że powinnam mieć zezwolenie na dwie skrzynki, jedną na rzeczy osobiste, drugą na farby.

- Dwie skrzynki przysługują jedynie dobrze urodzonym - oświadczył, schodząc ciężkim krokiem po wąskich i krętych schodach.

Udało mi się tak ciasno upakować rzeczy, że nic w środku nawet nie brzęknęło. Noże, narzędzia do gruntowania, kredę i suche pigmenty owinęłam w koszulę nocną, spódnicę i dwie pary pończoch. Najwięcej ze wszystkiego ważyły tłuczek i płytka do rozcierania barwników, i jeszcze butelka z sepią. Na samym dnie schowałam swoje ulubione książki, trochę dobrego papieru i resztki pergaminu, w tym również karty ze szczątków owego dziwnego rękopisu, teraz już mniejsze, bo bez marginesów i z mnóstwem dziur po wyciętych przeze mnie kawałkach.

Przed domem czekał służący Ashtona z końmi: starą brązową kobyłą i grubokościstym dereszowatym wałachem, który miał za siodłem poduszkę dla drugiego jeźdźca. Był jeszcze muł z siodłowato wygiętym grzbietem, który dźwigał spory pakunek



oraz marynarski kuferek.- Och, więc pan także jedzie do Francji? - spytałam, patrząc na ten bagaż. Niebo zaczynało już jaśnieć; brząsk miękką złocistoróżową barwą znaczył mury pobliskich domostw.

- Tak, jednak nie z panią. Wyznaczono mi inne zadanie. Ja nazwałbym to raczej banicją, którą najpewniej zawdzięczam tej podłej łasicy, Tuke'owi. - Na chwilę zamyślił się nad czymś, ponuro zaciskając wargi, po czym znowu utkwiał we mnie oczy: - Nie myśl, że zamierzam cię śledzić. Odprowadzę cię na statek, i koniec.

Skinął na swego człowieka i wręczył mu moją skrzynkę, którą ten wraz z tobołkiem Nan umocował na jucznym siodle. Ashton poprowadził deresza przed tawernę „Pod Kozłem i Dzbanem”, gdzie znajdował się specjalny klocek dla wygody jeźdźców, i pomógł mi wsiąść na konia. Od razu pomyślałam, że szkapie tej źle patrzy z oczu. W tawernie raz chociaż panowała cisza. Poczulałam, że tęskno mi będzie za moją ulicą, a nawet za tym „Kozłem i Dzbanem”. Ashton usiadł przede mną, ujął lejce i nasz wierzchowiec ruszył. W progu domu „Pod Kotem” stały płacząc nasze przyjaciółki. Pani Hull z żalu, że ją opuszczamy, a Cat z zawiści, że nie zobaczy francuskiego dworu i wszystkich jego wspaniałości.

- Do zobaczenia, chłopcze, szczęśliwej drogi - załkała wdowa, ściskając Toma. - Jak wrócisz, pewnie cię nie poznam, taki już będziesz duży i wypasiony.

Słyszając to, Ashton gwałtownie obrócił się w siodle.

- Co to ma znaczyć? Przecież on nie jedzie!

- Jak to? - zawołałam. - Ależ on musi jechać, przyrzekłeś mi...

- Madame Dallet, nie jesteś, pani, królową Persji, by musiał towarzyszyć ci taki orszak. Wolno ci zabrać jedynie służącą. - Widząc wszakże niekłamane zdumienie i rozczarowanie wszystkich stojących przed domem, spytał: - Nie przysłano wam wiadomości?

- Żadnej - odparłam. Niezbyt mi było zżęcznie zwracać się do jego pleców. - Wiesz dobrze, panie Ashton, że Tom musi jechać. Mówiłam, dlaczego.

- Masz na myśli swoją opowiastkę o zabójstwie? - rzucił szyderczo, przypatrując się zarazem zrozpaczonej twarzy Toma, który podbiegł i stanął u jego strzemienia. - Czy to prawda? - Stwierdziłam, że głos mu złagodniał. Słysząc w nim było zdziwienie.

- Prawda - odpowiedział chłopiec.

- I dlatego opuściłeś swego mistrza?

- On tak zdecydował. Wiem, że zabójca mnie widział. Był nawet u mistrza i rozpytywał się o mnie. Mistrz skłamał, że umarłem na zarazę.

- A umiesz rozrabiać farby?

- Pani Zuzanna tak niewiele ich zużywa...

- Krótko mówiąc, nie masz o tym pojęcia, a jej wcale nie jesteś potrzebny. - Ashton pokręcił głową z dziwnie jak na niego litościwą miną. - Może to jednak być prawda - mruknął sam do siebie - po cóż by inaczej... - Sięgnął do wiszącej u pasa sakiewki i wcisnął Tomowi kilka monet. - Weź to. Bardzo mi przykro, ale to sam biskup zatwierdził listę. Poszukaj sobie innego mistrza. Terminowanie u kobiety to nie zajęcie dla chłopca. Znajdź sobie kogoś uczciwego, kto cię wyuczy porządnego fachu.

Och, przygryzłam wargi, żeby nie wybuchnąć. Co z niego za człowiek! Jednym zdaniem odmówił znaczenia mnie i mojej sztuce i pozbył się biednego Toma niczym kłopotliwego miotu ślepych kociąt, o tak, najlepiej je utopić. I pewnie jeszcze sobie wyobraża, jaki to jest mądry, bo to, co wymyślił, wyjdzie tylko Tomowi na dobre. Mężczyźni! Wydaje im się, że są panami stworzenia. Tylko oni są mądrzy, tylko oni zawsze mają rację. Mierziło mnie, że muszę siedzieć tak blisko niego, jak byśmy byli parą zakochanych. I tak będzie do samego Dover!

- Przestań się wiercić, madame, czuję, że siodło się rusza - sarknął po chwili, schylając się, by sprawdzić popręg. Byliśmy już przy wieży wodnej, kazano nam bowiem stawić się w Brideswell, gdzie mieliśmy dołączyć do reszty ludzi biskupa i razem udać się na statek.

- Wcale się nie wiercę - zaprotestowałam.

- Ha, popręg zupełnie luźny. Ten stary chytrus musiał się nadać, kiedy go siodłano. Proszę mnie na chwilę puścić. - Zdjęłam ręce z jego boków, on zaś uwolnił nogę ze strzemienia i zaczął przyciągać popręg. - Aha, czuje bestia, co robię, i znów się nadyma. Dano mi pewnie najzłośliwszego konia, jaki tylko był w biskupiej stajni. Kolejny to dowód, w jak wielką popadłem niełaskę - burknął, pochylając się znów nad popręgiem. I w tej właśnie chwili coś świsnęło pomiędzy moim nosem a jego pochylonym grzbietem. W drewnianą część ściany najbliższego domu z głuchym pacnięciem wrył się pocisk z kuszy.

- O Boże - zawołałam - a to co?

- Wynośmy się stąd, zanim zdąży znów załadować! - krzyknął Ashton na swego lokaja. Świst strzały i nasze podniesione głosy spłoszyły deresza, który szarpnął nagle łbem i zaczął tańczyć. - Co za piekielna bestia, a żeby cię! - zdenerwował się Ashton, ściągając cugle i zarazem próbując trafić nogą w strzemień. Znów rozległ się złowróźbny świst i drugi ostro zakończony belt przeleciał nam tuż przed oczami. Koń stanął dęba, szerokie plecy Ashtona zwały mi się na nos. Domy zawirowały w jakimś pijanym tańcu i... ciężko plasnęłam o ziemię. Leżąc jak kupa łachmanów, zobaczyłam, że deresz znowu staje dęba, a Ashton z jedną tylko nogą w strzemieniu obrzuca go przekleństwami. Dobiegł mnie też stukot otwieranych okien.

- A weźmiesz ty stąd tę szkapę? - krzyknął jakiś mężczyzna. - Wsiada taki na konia, a wcale nie umie jeździć!

Ktokolwiek to mówił, nie miał racji. Nigdy nie widziałam lepszego jeźdźcy, a już zwłaszcza na tak kiepsko osiodłanym koniu. Szalony deresz miotał się zygzakiem po całej ulicy, tymczasem mój towarzysz z twarzą zalaną potem, zaciśniętymi zębami i determinacją w oczach uparcie trzymał się w siodle.

- Zamknijcie okiennice, ktoś tu strzela! - krzyknął do gapiów. Teraz oczywiście otworzyły się już wszystkie okna. W życiu nie widziałam takiego mrowia głów w nocnych czepkach. Zamroczona po upadku, wciąż jeszcze leżałam plackiem, gapiąc się w górę, i nagle kątem oka dostrzegłam jakiś ruch na wieży wodnej, w miejscu gdzie wiszą dzwony.

Nie miałam czasu o tym myśleć, bo w tej samej chwili poluzowane siodło ześliznęło się pod brzuch wałacha, pociągając za sobą lejce. Rozległ się głuchy odgłos upadku, po nim stukot końskich kopyt i brzęk wleczonej uprzęży. Podniósłszy się trochę, zobaczyłam, że jedna noga Ashtona tkwi nadal w strzemieniu, a podkute stałą kopyta znajdują się niebezpiecznie blisko jego głowy. Klnąc jak szewc, spróbował uwolnić stopę, koń wszakże szarpnął i strzemień wysliznęło się z ręki jeźdźcy, który runął jak długi na plecy. Deresz potoczył ślepiami, raz jeszcze bryknął i ruszył stępą przed siebie. Gdyby nagle przyszła mu chętka na galop, Ashton niechybnie by zginął. Widziałam, że głowa obija mu się o kamienie i że rozpaczliwie stara się ją osłonić. Z okien rozległy się okrzyki przerażenia. Pozbierałam się jakoś i kulejąc pobiegłam za koniem. Jak tylko się z nim zrównałam, łypnął na mnie brzydko tym swoim żółtawym ślepiem, obnażył wielkie, zielonkawo nakrapiane zęby i natychmiast przyspieszył. Cały pysk pokryty miał pianą.

Człowiek Ashtona, zeskoczywszy z konia, nakazał Nan trzymać muła, był jednak bardzo daleko. Pochwyciłam zwisające lejce i ściągnęłam je z całej siły. Koń obrócił się dookoła, zamiatając Ashtonem ulicę i płynący jej środkiem rynsztok. Uwięziona stopa znalazła się nagle tuż obok mnie. Rzuciłam lejce i oburącz szarpnęłam za strzemień. Puściło! Deresz, pół brykając, pół biegnąc z dyndającym pod brzuchem siodłem, zaczął się od nas oddalać, odprowadzany gromkim śmiechem widzów. Ashton leżał jak martwy na bruku. Po ubłoconej twarzy płynęła mu krew, oczy miał wszakże otwarte.

- Poleciał prosto do stajni - wyszeptał. - Nie, tego już nie przeżyję.

- Czy uszkodziłeś coś sobie, panie Ashton?

- Wszystko. Moją reputację, mój najlepszy płaszcz, moją dumę! Może nawet głowę. Przysięgnę, że to robota Briana Tuke'a. To on przekupił stajennych, by mi podsunęli tę poczwagę. Łajdak! Sam nie utrzyma się nawet na osiołku, na którym jeżdżą pięcioletni malcy!

I jak ja się teraz pokażę w stajni? O Jezu... moje plecy... - Spróbował poruszyć nogami i skrzywił się z bólu. - No tak, nie mogę się nawet podnieść. Może to i lepiej, że jadę do Francji. Ukryję przynajmniej swą hańbę, póki ludzie o niej nie zapomną... Ha, lecz czy zapomną?

- Panie Ashton, w murze utkwiał pocisk z kuszy. Ktoś próbował cię zastrzelić. Gdybyś się nie uchylił... Słowo daję, mało brakowało.

- Dużo mi to pomoże! Powiedzą, że to łgarstwo, a wystrzeliłem ja sam, by je uprawdopodobnić. Jak już człowiek padnie ofiarą czyjegoś żartu, to koniec, zwłaszcza gdy jego autorem jest ktoś taki jak Brian Tuke, ten podły syn dziwki, ta uśmiechnięta jaszczurka!

- Przecież ja mogę powiedzieć, żeś sobie tego nie wymyślił. Nan i lokaj też mogą zaświadczyć.

- Oni to słudzy, a co do ciebie... Powiedzą, że tak twierdzisz, madame, bo się we mnie durzysz... bo Ashton uderza do ciebie w zaloty. Ależ uciecha! Dla wszystkich stajennych i paziów w Londynie. Będą się mieli z czego śmiać! - Jęknął i spróbował usiąść. - Rany boskie... moja głowa...

- Teraz sam widzisz, jak łatwo zniszczyć komuś reputację. - Korzystając z okazji, przypięłam mu łatkę, lecz zajęty myśleniem o sobie, puścił ją mimo uszu. Nadal siedział na ziemi i badał swe obrażenia.

- Panie, czy jesteś ranny? - niespokojnie dopytywał się lokaj, który właśnie nadbiegł i ukląkł przy swoim panu. - Weź, proszę, mojego konia.

- Nie, Will, pójdę pieszo. Niech dopełni się moja hańba. Jedź przodem i wezwij chirurga. Głowę mam potłuczoną. - Przeciągnął dłonią po oczach i widząc na niej krew, uzupełnił, jakby sporządzał bilans poniesionych strat: - Aha, i rozbitą. - Powoli, z widocznym trudem dźwignął się z rynsztoka i rzucając ponure spojrzenia w stronę okien, zaczął wycierać ubranie. Kiedy schylił się po kapelusz, spektatorzy ryknęli śmiechem:

- Ale elegancki kawaler!

- Tak się pokazać przed damą!

- Co on tam gadał? Że ktoś strzela? Zmyślnie to wykombinował.

Ashton w milczeniu wyrwał strzałę sterczącą z muru tuż nad jego głową i zatknął sobie za pas.

- A jeśli ten człowiek, co do ciebie strzelał, spróbuje znowu?...

- Dawno już uciekł. Za dużo tu teraz świadków. Podniósłby się rwetes, wszczęto by za nim pościg i rychło by został ujęty.

- Pójdę z tobą, to niedaleko. Trzeba się trochę rozruszać.

Nic na to nie odrzekł. Wstyd i upokorzenie tryskały z niego wszystkimi porami skóry.

- Głupiec! Cóż ze mnie za głupiec! Powiniennem był wszystko sprawdzić, ale nie! Mnie się spieszyło. Po ciebie, madame. Głupota! Wszystkiemu winne kobiety - mrucał, kręcąc głową.

- Dlaczego? W czym, powiedz, proszę, zawiniły tu kobiety? A wiesz, co ja myślę o mężczyznach? To wy jesteście szaleni! Dlaczegoż to bardziej irytuje cię obluźnione siodło niż to, że ktoś ni stąd, ni zowąd nabija kuszę i stara się ciebie zastrzelić?

- Ten łotr musiał ich mieć dwie. Jednej by tak szybko nie zdążył załadować. A mierzył wcale nie we mnie.

- Sądziś, że... że on strzelał do mnie? - Och, zaświtało mi nagle straszne podejrzenie.

- Do ciebie, madame? A niby dlaczego? Nie, gdyby w ogóle zamierzał kogoś trafić, to już prędzej mnie. Gdybym wszędzie widział spiski, mógłbym pomyśleć, że to człowiek, który wie coś o mojej zagranicznej misji... Lecz nie, to jakiś zwyczajny opryszek najęty przez Tuke'a. Może chciał mnie wystraszyć, a może i spłoszyć konia, licząc na to, że nie sprawdzę poprzęgu, czego też w istocie nie zrobiłem. Ktokolwiek to wykoncypował, dobrze mnie zna... Tak dobrze, że mógł to być tylko Tuke. Spodziewał się, że rano będę w gorączce i nie sprawdzę... Kto mógł to przewidzieć? Tuke! Tylko on! - Mówiąc to kuśtykał prosto przed siebie, jakby mnie tam nie było. Chwilami w milczeniu potrząsał głową, jakby w myślach prowadził jakiś spór. Sam ze sobą. Mówił też jakby do siebie.

- A dlaczego rankiem byłeś w gorączce?

- A jak myślisz? - odpowiedział pytaniem, najwyraźniej unikając mego wzroku. Po tych słowach przygarbił się i zwiesił głowę.

Doszliśmy już do dziedzińca, gdzie mieściły się stajnie. Przy bramie stali rzędem jacyś obszarpańcy, rycząc ze śmiechu i wytykając nas palcami. Ashton raz tylko obrzucił ich ostrym spojrzeniem i nie patrząc już na nikogo, poszedł naprzód z pochyloną głową jak człowiek zmagający się z przeciwnym wiatrem. Siedzący na koniach rycerze i księża, gotowi już do podróży, również parskali śmiechem, no bo jakże! Robert Ashton, tak zawsze elegancki i oficjalny, siedł teraz pieszo, brudny i zakrwawiony, w ślad za znarowionym koniem! A jakby i tego było mało, kazano mu eskortować owego wynaturzonego dziwoląga, kobietę zarabiającą na życie farbami i pędzlem, która też wyglądała nie lepiej niż on. Moja porządna suknia miała plamę na łokciu, choć starałam się ją otrzepać, utykałam na jedną nogę, i w dodatku wszystko mnie bolało. Podróż do Dover, sama przez się dosyć uciążliwa, zapowiadała się teraz okropnie. Ładny żart, nie ma co mówić! Jeśli to naprawdę był żart.

Nan, która wcześniej dotarła na miejsce, przyniosła nam mokre ręczniki, a cyrulik

biskupa od razu na dziedzińcu opatrzył Ashtonowi głowę. Zapadła pełna oczekiwania cisza, gdy stajenny z szyderczym uśmiechem podprowadził do klocka tego samego deresza. Mój towarzysz westchnął ciężko, uniósł strzemię i przeciągnął ręką po popręgu. Można by sądzić, że jest w porządku, gdyby nie to, że wielki kościsty wałach zrobił się okrągły jak baryłka. Ashton na oczach całej zgromadzonej publiczności zmusił go do przejścia kilku kroków, po których nasz wierzchowiec wydał z siebie westchnienie cięższe chyba niż przed chwilą jeździec, i jego nadęty brzuch opadł. Ashton z mściwym uśmiechem w mgnieniu oka przyciągnął popręg, nie dając przeciwnikowi szansy na zmianę decyzji. Jakiś podstarzały kapelan zachichotał, ktoś gwałtem stłumił parsknięcie - no i cisza pękła. Panowie i duchowni, pisarze i stajenni wybuchnęli chóralnym śmiechem. Co bardziej gruboskórni bili się nawet z uciechy po udach. Ashton stał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ziemię gdzieś pod końskim brzuchem. Milczał, tylko jego szeroki kark robił się coraz czerwienisty. Przez wiele mil nie odezwał się do mnie słowem.

Na każdym rozstajach napotykaliliśmy coraz to nowe grupy, które przyłączały się do nas jak strumienie do wielkiej rzeki. Cała chyba szlachta królestwa musiała ubiegać się o zaszczyt towarzyszenia księżniczce do portu, a że nikogo nie chciano urazić, więc jechał kto żyw, i każdy z nadciągających wielmożów wiodł z sobą dłuższy i bardziej okazały orszak. Kiedy po przekroczeniu London Bridge znaleźliśmy się w Southwark, wśród mrowia konnych rycerzy, służących w liberiach, paziów z proporcami i uroczyście udekorowanych lektyk mignął mi jakiś duchowny na mule w srebrnej uprzęży, a za nim znajoma sylwetka. Tom nie dał za wygraną i szedł w ślad za nami!

Pogoda była wietrzna, szare jak ołów niebo lada chwila groziło deszczem. Na całej drodze do Dover widziało się jedynie zbity tłum: jeźdźców w błyszczących zbrojach, powiewające proporce, urzędników królewskich i ich pomocników, lordów na pięknych dzianetach, wielkie damy wierzchem i w lektykach. Pochód ten był tak długi, że tylko na zakrętach z trudem udawało mi się dostrzec jego czoło. Tam właśnie w otoczeniu gwardii jechali król Henryk i księżniczka Maria obok lektyki z brzemienną królową. Wiem to ze słyszenia, bo sama ich nie widziałam. Mówiono, że tam, na przedzie, jadą wszyscy dostojnicy królestwa, sami najznakomitsi arystokraci w złotych łańcuchach i przepysznych strojach uszytych specjalnie na tę uroczystość. Czterystu rycerzy i baronów, dwie setki pomniejszej szlachty, tysiąc luźnych koni i ponad sto ciężkich wozów z wielkimi damami sunęło błotnistą drogą do Dover.

Za owym wytwornym towarzystwem podążali muzykanci, sekretarze, lokaje i

pozostała służba. Dalej stajenni wiedli ciężkie konie zaprzęgowe, jednochodźce i białe szlachetne wierzchowce przeznaczone dla króla Francji. Pod eskortą gwardii toczyły się ładowne wozy wiozące pawilony turniejowe, suknie księżniczki, posagowe klejnoty i srebra. Pośród tego pospólstwa jechałyśmy też ja i Nan wraz z Ashtonem, jego lokajem i mułem.

Półżywa ze strachu, że spadnę, potłuczona i wciąż jeszcze słaba po ostatniej gorączce, kurczowo trzymałam się pleców siedzącego przede mną Ashtona. Każdy ruch konia i jeźdźca przenosił się na mnie. Cóż za ironia losu! Gdybym nie znała Ashtona, taka jazda na jednym koniu z obcym przystojnym mężczyzną mogłaby nawet być ekscytująca, lecz po tym wszystkim, co zdarzyło się między nami, była to czysta udręka, toteż prosiłam Boga, by skończyła się jak najrychlej. Nadal doskwierał mu krzyż, a może to były żebra! Kiedy obejmowałam go mocniej, czułam, że ciężiej oddycha, nic jednak nie mówił. W miarę jak mijały godziny, głowa opadała mi coraz niżej, aż w końcu spoczęła na jego łopatkach. Wciąż czuć go było kurzem, rynsztokiem i mocnym zapachem mężczyzny. Rowland Dallet nigdy tak nie pachniał, ale on lubił zlewać się od stóp do głów perfumami jak dandys. Przyciśnięta do pleców Ashtona, wyraźnie czułam, że cierpi. I nie był to jedynie zwykły ból fizyczny. Miałam wrażenie, jakby raz po raz zalewały go fale cichego nieszczęścia.

- Panie Ashton, jak długo jeszcze?

Dookoła panowała wrzawa, niesły się okrzyki poganiaczy zwierząt i ostre strzelanie z biczów. Jechaliśmy w tłumie służących, których część podróżowała pieszo, część wierzchem. Cały czas trzeba było uważać, by zanadto nie zbliżyć się do jeźdźców, bo nasz deresz pośród innych przywar miał i tę, że nie lubił obcych koni i raz po raz próbował któregoś ugryźć. Ach, cóż to był za potwór! Szedł dużym i ciężkim krokiem zupełnie jak koń pociągowy; prawda, że „połykał” mile, lecz czuło się to w każdym stawie. Wytrwała była bestia - mógł tak iść bez końca. Myślę, że z tego powodu stajenni biskupa nie chcieli go sprzedać. Jak po śmierci pójde do czyśćca, na pewno każą mi tam jeździć na tym koniu. Ach, jak zniecierpliwiona te jego wielkie żółtawe zęby, te malutkie złośliwe oczka, tę szorstką jak szczotka, paskudnie zjeżoną grzywę! W dodatku sierść mu śmierdziała, a jego pot plamił mi spódnice. Ashton miał na niego biczysko z najtwardszej skóry i taką szpicrutę, którą dałoby się przeciąć chyba nawet stalową kolczugę. Moje pytanie pozostało bez odpowiedzi, po chwili więc spytałam znowu:

- Panie Ashton, czy nie moglibyśmy odpocząć?

Nie od razu raczył odpowiedzieć. Zdążyłam do znudzenia napatrzeć się w szare wrześnie niebo i otaczającą mnie ciżbę. Z boku, z przodu i z tyłu nic tylko ludzie i konie. Z oddali dobiegał krzyk mew.

- Nie możemy się zatrzymać.

- O czym myślisz? Powiedzże coś wreszcie! Nie odzywasz się nawet na postojach. Will cały czas rozmawia z Nan. O, opowiada jej coś wesołego i oboje się śmieją. A ja wciąż tylko myślę o tym upadku i że mało brakowało, aby mnie zabito. Ciebie również. Mów coś, panie Ashton, żeby w kółko nie wracały mi te straszne myśli.

- Nie jestem twoim trefnisiem, nawet jeśli otoczenie biskupa uważa mnie teraz za błazna.

- Panie Ashton, ktoś chciał cię zabić, a ty wciąż tylko o tamtym?

- Ktoś chciał mnie upokorzyć i cel osiągnął. O tym myślę!

Do mych nozdrzy dobiegła woń oceanu, mocna i słona. Bardzo podobnie pachnie otwarta baryłka małżów.

- Gdzie ten ocean? Ciągłe go nie widzę.

- Bo nie możesz go zobaczyć, jesteśmy jeszcze za daleko. To tylko wiatr przynosi zapach morza.

Zmęczenie, irytacja, bolesne stłuczenia i otarcia, wreszcie słabość po niedawnej gorączce zaczęły mi wyciskać łzy z oczu.

- Co wyprawiasz, madame? Moczysz mi kark!

- Jestem zmęczona i obolała! Przecież spadłam z konia! O, chciałabym być w domu i leżeć w łóżku!

Na chwilę zapadła cisza.

- Chyba powinienem ci podziękować - odezwał się już innym tonem.

- Nie mogłam pozwolić, żeby ten koń cię powłókł.

- Lepiej być niesionym na marach, niż kuśtykać do stajni z gębą w końskim łajnie.

- Skąd wiesz, że lepiej? Tamtego jeszcze nie próbował.

- Wiem. Tym razem trafiono mnie w samo serce.

Po tych słowach nastąpiło znów długie milczenie. Silny wiatr niósł coraz mocniejszą woń morza; pod niską oponą szarych chmur pojawiły się stada mew i zaczęły krążyć nad pochodem. Na wzgórzach wznoszących się ponad skałami, co strzegą wejścia do portu, zobaczyłam potężny zamek. Och, więc już niedaleko! I wtedy akurat spadły pierwsze wielkie krople deszczu.

- Deszcz, a żeby go diabli! - warknął Ashton. Jadący przed nami spięli konie i puścili się naprzód ociężałym klusem. - Jesteśmy tak daleko w tyle, że nim dojedziemy, ani w zamku, ani w żadnej z wielkich rezydencji nie da się już wetknąć szpilki. Do licha, dzisiejszej nocy wszyscy pomniejsi zmuszeni będą obejść się bez łóżek!

- Jednakże agent potężnego biskupa Wolseya...



- Będzie ostatni w kolejce. Widzisz to mrowie wielmożów? Sami musimy o siebie zadbać. Jeśli odbijemy od drogi i pojedziemy skrótem, może jeszcze znajdziemy jakieś miejsce. Znam pewną gospodę nieopodal portu. Trzymaj się, madame! Musimy przyspieszyć!

Teraz dopiero zaczęłam żałować swoich jakże przytulnych pokoików. Z każdą chwilą wydawały mi się milsze. Wyrwawszy się z ciżby pieszych żołnierzy i służby, srodze już utrudzonych człapaniem po grząskim trakcie, pognaliśmy na łeb na szyję przez otwarte pole, ciągnąc za sobą muła, który naprężywszy kark, usilnie opierał się takiej szybkości. Oj, trzeba było siedzieć w domu i malować Ewy! Co mnie podkusiło, żeby temu wężowi nadać rysy Rowlanda Dalleta? Wszystko to jego wina. Całe zło, które mnie spotyka. To przez Dalleta tłukę się w deszczu na tym wstrętnym koniu, to przez niego czuję teraz wszystkie kości. Trzeba było chociaż zapalić świętemu porządną świeczkę!

Wiatr powiał silniej, deszcz był coraz gorszy. Kiedy nareszcie dotarliśmy do miasta, byli tam już wszyscy i szukali dachu nad głową. „Pod Białym Koniem” pełno, to samo „Pod Lwem” i w „Zamku”. Przemoknięci do suchej nitki, szczękaliśmy z zimna zębami. W końcu pan Ashton znalazł miejsce w dosyć podłej tawernie „Pod Syreną”, wypełnionej tłumem pięknych marynarzy; część chrapała na ławach, pozostali bądź to krzyczeli bez powodu, bądź wyrzaskiwali nieprzystojne śpiewki. Kręciło się też sporo innych osób, sądząc po wyglądzie, bez jakiegokolwiek stałego zajęcia.

Jednooki właściciel w brudnym fartuchu oświadczył, że znajdzie się miejsce dla koni, ale za obrok musimy zapłacić podwójnie - tylu przyjezdnych, a wszystko dziś takie drogie! Przymrużył swe jedyne oko i dodał, że może zaoferować nam łóżko, ostatnie już w całym mieście, lecz i ono kosztować będzie podwójnie. Ashtonowi okropnie poczerwieniały uszy, ja poczułam, że również oblewam się pąsem, więc prędko odwróciłam głowę. Skoro tak, oświadczył mój towarzysz, siekąc się po butach tą straszną szpicrutą, to on będzie spał na ławie, jak ci marynarze. Zmienił zdanie, gdy się okazało, że w pokoju stoją dwa łóżka, z których większe zajmuje już grupa sześciu dżentelmenów. Właściciel uświadomił nam ponadto, że w tym drugim z powodzeniem zmieściłoby się pięć osób, on zaś, nie sprzedając piątego miejsca, poniósłby stratę, na co zupełnie go nie stać: jest biednym człowiekiem, który ma mnóstwo wydatków, tak więc należy mu się coś ekstra. Na widok miny Ashtona - ach, ten grymas niesmaku, a jak przewrócił oczami! - o mało nie parsknęłam śmiechem. Pohamowałam się jednak, bo zdjęła mnie litość. Nie pora teraz na śmiechy.

Wieczereż zjedliśmy w tawernie, siedząc każde na swojej skrzynce, by „przypadkiem” ktoś ich nie pomylił z własnymi. Poza jedną Nan nikt z nas nie odezwał się słowem. Ashton twarz miał poszarzałą, oczy głęboko zapadnięte, bandaż na głowie całe przesiąkłe krwią.

Gdyśmy się nareszcie wysuszyli, jego lokaj poszedł spać do stajni, inaczej konie biskupa mogłyby zniknąć bądź przemienić się do rana w całkiem inne, najpewniej kulawe. My z Nan ruszyłyśmy na górę, potykając się na stromych schodach w świetle nędznej świeczki, którą niósł poprzedzający nas Ashton. W wąskim pokoiku pod ukośnie opadającym sufitem (mieścił się bowiem na poddaszu) jeden z podróżnych, całkowicie ubrany i w butach, spał już w większym łóżku, inny, spity jak szewc, siusiał akurat do ognia, podczas gdy reszta kompanii z uznaniem komentowała jego zadziwiającą zaiste pojemność. W powietrzu wisiała zmieszana woń pleśni, skisłego piwa i nie mytych mężczyzn. Od samego progu coś zaczęło mi łażyć po nogach.

- Och, cóż za paskudne łóżko! Ta pościel nigdy jeszcze nie widziała wody ani ługu. Fuj, pełno tu pluskiew! - Nan z wyrazem najwyższego obrzydzenia zaczęła przewracać pościel i strząsać z niej owe nieproszone lokatorki. Rozpełzły się po podłodze i pochowały w szparach.

- Hej, kobieto, co robisz? Nie strząsaj na nas tych pluskiew!

- Każdy ma tutaj swoje!

Deszcz coraz mocniej bębnił w okiennice. Czy przy takiej pogodzie można płynąć do Francji?

- Szczęściarz z tego jegomościa! On ma dwie baby, a my żadnej. Podziel się z nami, hultaju!

Ashton na tę propozycję położył rękę na nożu; z lekka wprawdzie się przy tym zachwiał, nasi współlokatorzy wszakże złożyli to na karb dużej ilości wypitych trunków. Szczęście, że wygląda na osiłka, pomyślałam.

- Jeśli te kobiety całe i zdrowe nie wypłyną rankiem do Francji, odpowiecie za to przed samym wielkim kanclerzem - zagroził ochryple. Ach, lecz głos mu się łamał.

- Pieszczoszka biskupa Wolseya, co?

Teraz to już ja wpadłam w furję. Dżentelmen, choćby nawet niższego rodu i pijany, powinien umieć odróżnić uczciwą wdowę od kobiety lekkich obyczajów. Nagła złość zmyła ze mnie fatygę i wyostrzyła mi język.

- Bóg was ukarze za te podłe słowa - rzekłam z mocą. - Jestem malarką ze świty arcybiskupa i jadę do Francji malować portrety. Mam wykonać podobiznę królowej, a także wizerunki wielu innych dostojnych osób, aby nasi rodacy mogli zobaczyć ich twarze. Jest ze mną starsza szacowna niewiasta, którą arcybiskup Jorku specjalnie wyznaczył mi do towarzystwa. Gdyby nie ten tłok w mieście, nocowałybyśmy obie w dużo elegantszej kwaterze, a wy nie byłibyście godni nawet spojrzeć na moje dzieła, są one bowiem

przeznaczone dla książąt i wielkich panów, nie zaś dla takich wulgarnych prostaków pozbawionych zarówno gustu, jak i dobrych manier!

Ashton ze zdumienia zamrugął oczami: ha, nie przypuszczał, że potrafię być taka ostra. O, ale ja umiem sobie radzić z pijakami. Kiedy ktoś tyle czasu mieszka naprzeciw takiego „Kozła i Dzbana”, musi się tego nauczyć.

Pijacy złośliwie zaczęli udawać, że moja przemowa wywarła na nich ogromne wrażenie.

- Patrzcie, ludzie, malarka! Słyszane to rzeczy? I rozmawia tylko z książętami krwi! Może powinniśmy się jej kłaniać?

Ha, i to także dla mnie nie pierwszozna. Przyzwyczajona jestem dowodzić swych umiejętności. Dlatego w moim kuferku miast niewieścich fatalaszków znalazły się farby i inne malarskie utensylia.

- Pokażę wam, co potrafię, pod warunkiem że zaczniecie stosowniej się zachowywać. Kto z was ma ukochaną lub matkę, której rad by ofiarować swoją podobiznę?

Me słowa pobudziły ich oczywiście do wzajemnych zaczepek i kpinek, ja tymczasem dałam znak Nan, by wyjęła z kuferka, co trzeba. Sama odpakowałam sztalugę i wetknąwszy w otwory cztery malutkie nóżki, ustawiłam ją na podłodze. Tak jak przewidywałam, zagapili się na nią niczym sroka w gnat - aha, mam ich w garści! Chwilę jeszcze spierali się o to, kto będzie moim modelem, w końcu wypchnęli naprzód najmłodszego. Usadziłam go przy ogniu i zamoczywszy w sepii ołówek, zaczęłam rysować.

W miarę jak z czarnych kresek jęły wyłaniać się rysy, hulacy stopniowo cichli, przysuwali się też coraz bliżej, tak że w końcu już wszyscy stłoczyli mi się za plecami.

- Nie ruszaj tak głową - przykazałam modelowi - inaczej twój wizerunek nie będzie wierny.

Od tej chwili starał się nawet nie mrugnąć powieką. Siedzący obok mnie Ashton wodził wzrokiem za moją ręką, wstrzymując chwilami oddech. Kiedy ukończyłam rysunek, wszyscy zgromadzili się wokół modela, by porównać go z wizerunkiem. Teraz już zachowywali się dużo poprawniej. Każdy w skrytości ducha liczył, że zdoła być może przed wyjazdem wyłudzić swoją podobiznę. Ashton, podparłszy rękami głowę, popatrywał to na nich, to na mnie, jakby czegoś całkiem nie pojmował. Czego? Co on w ogóle sobie o mnie myśli?

Prześmiewki zaczęły się znowu, kiedy Nan wzięła zagłówek i twardym gestem przedzieliła nim łóżko, po czym kompletnie ubrana położyła się po swojej stronie. Wyraźnie osłabiony Ashton ciężko usiadł po drugiej i zaczął wycierać buty. Ja, przycupnąwszy obok

Nan, zabrałam się do zdejmowania swoich.

- Panie Ashton, czy zamierzasz spać w butach?

- Owszem. Nie chcę, by mi po ciemku gdzieś wywędrowały. Widzisz, co robią tamci?

Tu nie Brideswell.

- A ostrogi?...

- Owinę je płaszczem i włożę pod głowę, co i tobie madame, radzę uczynić z trzewikami, jeśli nie chcesz jutro chodzić na bosaka.

Tak też postąpiłam; z zawiniętych w płaszcz rzeczy uszykowałam sobie poduszkę, co było tym słusniejsze, iż zagłówek musiał służyć innym celom. Przypadło mi niewiele miejsca, w dodatku na skraju łóżka, gdzie zawsze jest najzimniej, gdyż przykrycie najczęściej tam już nie sięga. Zimno i uporczywe troski nie pozwalały mi zasnąć, leżałam więc z otwartymi oczyma, słuchając odgłosów spadających z sufitu pluskiew - aha, wracają do łóżek. Zaraz też zaczęło się drapanie. Ashton jęczał i coś wykrzykiwał, obcy skrobali się zawzięcie i przewracali z boku na bok, Nan potężnie chrapała, poświstując chwilami jak czajnik. Mnie tymczasem kłębiły się w głowie same niespokojne myśli. A jeśli francuscy panowie zaczną się ze mnie wyśmiewać, tak jak dzisiaj ci wszyscy w stajniach? Albo nabawię się tam jakiejś okropnej choroby? Może nigdy nie wrócę do domu? Za mała to rzecz obiecać świętemu świeczkę, i to dopiero po powrocie! Poniewczasie zaczęłam bardzo tego żałować; święty pewnie myśli, że chcemy się wykpić możliwie najtańszym kosztem. Tak to się przedstawia w jego oczach. Poczułam się nagle okropnie samotna w tym cuchnącym, zapluskwionym pokoiku, chociaż spało tu tylu ludzi. Nie tak powinien wyglądać początek drogi po wielką fortunę. A może wcale jej nie zdobędę, może to tylko moje głupie mrzonki? O, święty musiał się na mnie pogniewać. Jak można było obiecywać takiej osobie jedną taniutką świeczkę?

- Świeczka tania, lecz i ty, Zuzanno, nie jesteś przecież bogata - odezwał się czyjś czarujący głos. A może mi się to przyśniło?

- Hadriel! Wróciłeś! - W chłodnym wilgotnym mroku zobaczyłam niewyraźną postać, tylko twarz jaśniała światłem i... figlarnym uśmiechem. - Och, zostań ze mną! Tak mi tu straszno.

- Niestety, nie mogę, tyle mam roboty! Tak wielu ludziom muszę przynosić natchnienie, raz tu, raz ówdzie. Nie doszedłem jeszcze do połowy listy. - Z tymi słowami wy dobył zwój pergaminu. Gdy go trochę odwinął, ujrzałam tysiące nazwisk wypisanych małutkimi złotymi literkami. - Popatrz! Italczyki, Francuzi, Flamandowie, wszelkie możliwe nacje, i ani jednej kobiety! Po całym świecie rozsiani są moi podopieczni, toteż ostatnio stale podróżuję. - Jedno po drugim rozwinął skrzydła zupełnie takim samym ruchem jak kot

prostujący nogi i mocno potrząsnął piórami. Rozległ się miękki, puszysty szelest. - Sama widzisz, ile w tych warunkach zostaje mi czasu na własne pomysły czy twórczość. Ale wiesz, przy tobie musiałem się jednak zatrzymać. Jesteś moją ulubienicą, więc palicho całą tę listę.

- Och, Hadrielu, przecież ja dopiero co zaczęłam... I nie mam nikogo, kto by mi wskazał właściwą drogę. Nieraz myślę, że to moje malowanie... że biorę się za nie swoje rzeczy. Powinnam była siedzieć w domu, być zacną żoną i nauczyć się dobrze gotować. I tak by było, gdyby mistrz Dallet wszystkiego nie zepsuł.

- Tobie wskazywać drogę! Nie bądź niemądra, Zuzanno! To ja przylatuję z końca świata, łamiąc dla ciebie wszystkie możliwe reguły, a ty mi mówisz, że nie dajesz sobie rady! Chcesz, abym tkwił przed tobą niczym słup milowy? Doprawdy śmieszne! Przypomnij sobie ten dzisiejszy rysunek. Och, samo patrzenie, jak chwytasz za cugle tych gburów, setnie mnie ubawiło. Już choćby dla tej tylko rzeczy warto tu było przylecieć. Bo wiesz, zanim cię poznałem, wszystko było takie proste. Nie uwierzysz, jak nudny stałby się świat, gdyby naszym archaniołom udało się go urządzić po ich myśli. A teraz posłuchaj, co ci powiem: miej oczy otwarte, a droga ukaże się sama. - Co rzekłszy, zaczął się rozpylić.

- Hadrielu, nie odchodź! Zostań ze mną jeszcze choć chwilkę!

- O, moja droga, żebyś wiedziała, ile ja wizyt mam dzisiejszej nocy. Niepodobna się z tego wywiązać. Zwierzchnictwo już dawno powinno mi być przydzielić kilku nowych pomocników. Tak jak jest, to przecież istny młyn! Żeby coś zrobić porządnie, trzeba na to czasu! Wydawałoby się, że już kto jak kto, ale władza powinna to rozumieć, a wiesz, co ja mam na głowie? Garncarstwo, złotnictwo, wyroby ze srebra, obróbkę szlachetnych kamieni, rzeźbę, witraże i malarstwo! W dodatku organizacja pracy jest kompletnie przestarzała. Ale czy mnie kto słucha tam w górze? Skądże! Kto by zważał na słowa Hadriela! Hadriel jest do roboty, a nie do myślenia! Co on tam wie! Moja ty miła Zuzanno, gdybyś dokładniej знаła moje położenie, musiałabyś mi współczuć... - Pokój opustoszał, a jednak... jakoś lżej mi było na sercu. Hadriel pozostawił po sobie coś, co niczym fala kojącego ciepła spłynęło na śpiących ludzi. Jakby odlatujący anioł musnął ich swoim skrzydłem...

Ranek przyniósł nam wszystkim nie najlepsze wieści: dopóki pogoda się nie zmieni, nie popłyniemy do Francji. Niestety, wyglądało na to, że długo nam przyjdzie czekać. Cały zamek, miasto i wszystkie wiejskie rezydencje położone na obrzeżu Dover zapchane były ludźmi towarzyszącymi księżniczce. Każdy swoją obecność w orszaku poczytywał sobie za honor, a przy okazji chciał bodaj otrzeć się o kogoś ważnego. Niestety, ulewa całkiem popsuła tak pięknie zapowiadającą się uroczystość, co gorsza, etykieta nie pozwalała nikomu

opuścić miasta, póki nie uczyni tego król, a monarcha tymczasem miał zamiar towarzyszyć siostrze do połowy drogi przez Kanał. Skoro wszakże z powodu złej aury on także nie mógł wyruszyć, więc i całe towarzystwo musiało tkwić w Dover. W dodatku deszcz i wilgoć zmuszały ludzi do siedzenia w domach, toteż wszystkim potężnie doskwierała nuda, nawet kości i karty zdążyły już im się przejeść.

Wówczas to diuk of Suffolk, dowiedziawszy się o mej bytności w Dover, wpadł na pewien pomysł. Nieszczerólnie wyrafinowany, lecz taki też był sam książę. Główne jego upodobanie stanowiły damy, doszedł przeto do wniosku, że skoro zebrało się tu ich tyle, będzie rzeczą zajmującą sporządzić kolekcję wizerunków największych piękności dworu. Przedstawił tę swoją ideę królowi, który z początku ubolewał, iż nie ma tu jego nadwornych malarzy, gdy jednak Suffolk przekonał go w końcu, by zawierzył mym umiejętnościom, wyraził zgodę i nawet osobiście pomagał wybierać kandydatki. Takim to sposobem znalazło się dla mnie miejsce w zamku. Nan uznała wprowadzić za dyshonor dokwaterowanie nas do trzech pokojówek i hafciarki, lecz ja byłam zadowolona; najważniejsze przecież, że obracam się w dobrym towarzystwie. Przez cały następny tydzień byłam też strasznie zajęta - malowaniem oraz klękaniem. Król, którego apartamenty mieściły się w wieży, musiał często przechodzić przez niżej położone sale i komnaty, a gdy jego królewskie spojrzenie na kogoś padło, osoba ta zobowiązana była rzucić swoje zajęcia i klęknąć. Klęczało się dopóty, póki władca nie zezwolił powstać. Ktoś mógłby uważać ów ceremoniał za dość uciążliwy, mnie wszakże bardzo się podobał. Był doprawdy ekscytujący. W dodatku - cóż za honor! - sam monarcha oglądał moje portrety i łaskawie pochwalił „bardzo dobrze uchwycone podobieństwo”.

Pewnego dnia siedziałam w jednej z górnych komnat otoczona wianuszkami rozgorączkowanych dam, które na wyścigi przedstawiały mi swe postulaty dotyczące malowanych przeze mnie portretów, gdy nagle w otartych drzwiach dostrzegłam lokaja Ashtona. Stał w anty-kamerze z kapeluszem w ręku i na migi dawał mi znać, że ma do mnie sprawę. Damy, uzyskawszy obietnicę, iż wprowadzę wszystkie żądane korekty, pozwoliły mi wreszcie odejść.

Deszcz, który ostatnimi dniami bez przerwy bębnił w okiennice, zamienił się teraz w istny ocean mgły. Do komnat zamkowych niewiele przenikało światła, a i ono było tak przyćmione, że dworskie jedwabie dam i wiszące na ścianach arraszy zdawały się tracić barwy. Nawet dębowe kłody płonące w ogromnym kominku przegrywały walkę z przenikającą wszystko wilgocią. Stanowczo nie był to dzień zachęcający do wyjścia, choćby i nie miało już padać. Zaledwie do niego podeszłam, Will natychmiast schwytał mnie za rękaw, nie bacząc

na piorunujące spojrzenie Nan.

- Co się stało?

Był ubłocony i w ogóle jakoś zaniedbany. W brodzie pokazały mu się białe nitki.

- Madame Dallet, przyszedłem po ciebie, musisz iść ze mną! - wybuchnął. - Mój pan!... Jego pozycja, obowiązki, zadania... już się dla niego nie liczą! On... leży przed ogniem urżnięty w trupa! Przez ostatnie trzy dni jeśli podniósł się z ławy, to tylko żeby się wysuszać. Nic nie je i prawie nie mówi, a jak się odezwie, to w kółko powtarza: „Ten przeklęty Tuke”, „Niech to wszystko diabli porwą” albo „Zuzanno”, i spluwa.

Tym poczułam się urażona.

- Cóż mogę na to poradzić?

- Zdjąć urok, który rzuciłaś na mego pana.

Z niesmakiem ściągnęłam usta: ja i rzucanie uroków! Nie powiem, żeby nie kusily mnie czasem prozki bogactwa czy talizmany na szczęście, nigdy jednak uroki. Zadać komuś urok to wielka niegodziwość; „Księga obyczajów zacnej małżonki” powiada, że te, które uciekają się do takich praktyk, najczęściej same źle kończą. Właśnie to musiało przydarzyć się Goody Forster, myślę o tych dachówkach, co ją uśmierciły.

- Nie pleć głupstw, Will. Lepiej zajmij się głową swojego pana. Zmień mu bandaż.

- Nie, to ani nie głowa, ani zebra, choć je sobie zdrowo poharatał, tylko najprawdziwszy urok. O, ty wiesz to najlepiej, madame Dallet! Pan Ashton gada jak zaczarowany. Całkiem od rzeczy. I ciągle tylko o tobie. Że stoisz w kącie jako diablica ubrana jedynie w nocną koszulę i mierzysz w niego pędzlem, jakby to był sztylet. Przyznaj się, madame, ty mu to zadałaś! A pije, że nie daj Boże! Jakby trawił go ogień piekielny. Czemu to zrobiłaś? Mało ci zemsty? Błagam, zdejmij z niego ten urok, zanim zgubi siebie i nas!

- Will, ja nie rzucam uroków, ja tylko maluję.

- Przysięgam, nikomu nie powiem, umiem dotrzymać sekretu. Cały czas go kryję. Tuke'owi powiedziałem, że wszystko w porządku, pan Ashton jest bardzo zajęty. Ha, ale jeśli nadal nie podniesie tyłka, będzie zgubiony. Miej litość, ten jeden raz. Błagam cię, madame, wszak on oddał ci wiele przysług. Przez pamięć na to bądź i ty choć raz wielkoduszna!

- Raz, dobre sobie! - gderała Nan, gdy po kostki w błocie brnęłyśmy do miasta. - Zaiste, to mi się podoba! Za kogo ten Will nas ma? Czy umiając rzucać miłosne uroki, wybrałybyśmy sobie jego pana? Ja tam znalazłabym z tuzin lepszych od pana Ashtona!

- Nan, co ci się stało? Dziwnie jakoś mówisz.

- To znowu jakiś jego podstęp, by cię ku sobie przywabić. I to po tym wszystkim, co ci zrobił! Oho, ma on wobec ciebie jakieś zamiary, już ja to widzę! Wielki pan Ashton! O, ten

wytworny Francuz, pan Bel... czy jak mu tam, to co innego. Ma rezydencję, a co ma taki Ashton? On ci nie zapewni utrzymania!

- Oj, Nan, czy ty aby nie jesteś o mnie zazdrosna? Nie bój się, nigdy cię nie opuszczę, nawet o tym nie myśl.

- Nie zawadzi mieć dom, zawsze to lepiej - mruknęła. Otaczały nas gęste tumany mgły, wśród których niewyraźnie majaczyły mury zamku. Leżącego w dole miasta wcale nie było widać. Widziałyśmy jedynie lśniące od wody kamienie pod stopami. W powietrzu niósł się gniewny ryk oceanu.

Całe miasto rozbrzmiewało dźwiękiem końskich kopyt i głuchym turkotem pełnych po brzegi wozów, ciągnących do portu. Wskutek fatalnej pogody nie wszystkie jednostki weselnej floty zdążyły przybyć do Dover; na stojące już w porcie ładowano tymczasem niezliczone skrzynie, kufry i baryłki z posagiem księżniczki. Ulicami przewalało się mrowie ludzi. We wszystkie strony biegali posłańcy, gospodynie z wielkimi kosztami spieszyły na targowisko, poganiacze bydła pędzili stada krów, wieprzy i owiec. Widać było mnóstwo jucznych zwierząt obciążonych żywnością. By zapewnić godziwe jadlo tak wielkiej armii przyjezdnych, trzeba było zdrowo się nauwijać. Całej tej krzątaninie towarzyszyła nerwowość: kiedy wreszcie królewska flota podniesie żagle? Czy reszta oczekiwanych statków szczęśliwie przybije do brzegu? Deszczowe i chmurne wciąż niebo niedobrze wróżyło wyprawie.

Z tylnych drzwi pewnej obskurnej tawerny niepostrzeżenie wymknął się niski mężczyzna, okutany aż po oczy w czarny płaszcz, i spieszenie skręcił w zaułek. Skryty w gęstej mgle, bezpiecznie dotarł na tyły kamienicy, w której mieścił się zakład modnego krawca, wbiegł na zewnętrzne schody prowadzące na poddasze i zniknął w jakichś drzwiach. Mężczyzna w podróżnym stroju, którym okazał się maitre Bellier, przechadzał się tam i z powrotem po niewielkiej części pomieszczenia, gdzie ukośny dach pozwalał mu się wyprostować. Na nie posłanym łóżku stał kufer oraz otwarta, pełna papierów kasetka.

- Ach, jesteś, Eustachy! Czy rzecz skończona? Musimy wyjeżdżać. Ruszamy z rannym przyływem, załatwiłem nam miejsca. Tak pilną nas do powrotu, że musi to być powód zaiste ogromnej wagi. - Zamilkł i z wolna potrząsnął głową: - Nie lubię jednakowoż pozostawiać spraw nie zakończonych. Ten Crouch... Dobrze chociaż, że Wolsey nie wybiera się teraz do Francji...

- Co się tyczy tamtego, tym razem dałem mu podwójną dozę. Za godzinę powinno być po nim.



- Widziałeś, czy wypił?

- Nie, ale wypije, nie ma obawy. Nawet własny lokaj uważa go za opoja.

- Smutny to koniec tak obiecującej kariery, nieprawdaż? Zapić się na śmierć w nędznej speluncie! Jakież to wulgarnie. A morał z tego oczywisty. - Pan Bellier preceptorskim gestem wycelował palec w lokaja: - Strzeż się złego towarzystwa! - Wyjął z kasetki papier ze spisem nazwisk, z których kilka zostało wykreślonych już atramentem, i kawałkiem kredy zrobił znaczek przy pozycji „Robert Ashton, człowiek arcybiskupa Wolseya”. Poniżej widniały słowa: „Zuzanna Dallet, wdowa po malarzu Rowlandzie Dallecie”. - Zastanawiam się nad nią - rzucił w zamyśleniu. - Ile też mógł jej powiedzieć?

- Czy i ją każe pan otruć?

- Och, cóż za nierycerskie myśli chodzą ci po głowie! Zakon Syjonu miałby uśmiercać niewiasty? Nie, mój Eustachy, raczej uderzę do niej w konkury. Jeśli coś wie... ha, wielka szkoda, lecz jeśli nie... sam pomyśl, dworska malarka! Para oczu i uszu działających na rzecz Zakonu w samym gnieździe Walezjuszy! Bezcenna to rzecz taki związek, nie uważasz? Z początku byłem nią zdegustowany, jest strasznie angielska! W dodatku ten wulgarny styl życia i te rajskie malowidła. Okropne. Przemyślałem wszakże to wszystko i zaczęłem dostrzegać korzyści... Doszedłem również do wniosku, że nie jest ona znowu tak zupełnie nieatrakcyjna.

Zuzanna szczelniej owinęła się grubym płaszczem i z hardo podniesionym nosem wkroczyła do tawerny. Przodem szedł Will, Nan postępowała za nią. Już w progu zawiało im w twarz wilgotnym ciepłem. Bijący z kominka blask tańczył po długich stołach i ławach, migotał w cynowych kubkach, ślizgał się po tępych gębach pijanych majtków, z których część wyprawiała różne brewerie, pozostali zaś leżeli, gdzie który upadł: na stołach, na ławach i na podłodze, podgarnawszy pod głowę obrzydliwie brudne, rozlatujące się maty. Powietrze przesycone było odorem kapusty, solonej wieprzowiny i kiepskiego piwa. Z kąta, gdzie grano w kości, niosły się wściekle odgłosy kłótni. Pod stołami rezydowało kilka kundli, pożerając resztki. Jedynie żółta stara suka z dwoma rzędami różowych wyciągniętych sutków grzała się przy ogniu, wywiesiwszy długi jęzor. Zuzannę powitał chór pijackich głosów:

- Patrzcie no, kobitka!

- A kogóż to odwiedzasz, paniusiu? Chodź do mnie, chętnie zajrzę ci pod spódnicę!

- Ho, ho, wdówka, w dodatku niestara! Jak już bochenek napoczęty, to i nie żał dać kawałeczka!

- Hej, złotko, trafiłaś, gdzie trzeba!

Któryś z leżących na podłodze chwycił ją za spódnicę, lecz ona zręcznie nastąpiła mu na rękę, i to tak dotkliwie, że zawył z bólu.

Ashton, w rozchełstany ubrani i jednym bucie, leżał wyciągnięty na ławie, bezsilny i wiotki niczym rozdeptany robak. Jedno bezwładnie zwisające ramię kołysało się z wolna koło paleniska, gdzie na kamieniach stał cynowy kubek pełen ciemnego wina. Zaufany agent biskupa Wolseya wyglądał doprawdy żałośnie: pod oczami rysowały mu się ciemne kręgi, twarz miał czerwoną od trunku, bandaże na głowie brudne i wystrzępione. Gdy dotarła do niego nagła wrzawa, skierował swe mętne spojrzenie na drzwi i zobaczył Zuzannę. Nie, było ich kilka. Ich ciała zachodziły jedno na drugie, lecz wszystkie szły w jego stronę, roztrącając pijanych majtków.

- Widzisz, pani? - usłyszał głos Willa. - Tego chciałaś? Zdejmij z niego ten urok, inaczej długo tu już nie popasie.

Zobaczył, że pochylają się nad nim aż trzy Zuzanny i każda podejrzliwie spogląda mu w twarz.

- Jest pijany - oznajmiły jednym głosem. Z trzech czarnych, ciasno zasznurowanych staniczków wyjrzały trzy pary przepięknych różowych piersi. No proszę, pomyślał, ten sam kolor! Miałem rację. Każda z tych jej Ew to ona. Z trzech Zuzann zrobiła się nagle jedna. Wilgotne od mgły rude włosy wymykały jej się spod czepka mnóstwem drobnych niesfornych pierścionków.

- Ewa... - wymamrotał. - Ewa kusząca Adama, Ewa, w kąpielu, Ewa, która czesze włosy...

- Słyszysz? Całkiem zwariował. A wszystko to twoja wina, madame - jęknął Will, lecz ona bez słowa dalej tylko patrzyła. Ostro i podejrzliwie.

- W pewnym ukrytym miejscu masz dołeczek - rzekł oskarżycielsko. - Wszystkie one od szyi w dół to ty.

Na te słowa poczerwieniała od czoła aż po ten dekolt, który miał teraz tuż przed oczami.

- Ty... ty rozpustniku! - krzyknęła. - Ty pijaku! Ściągnąłeś mnie tutaj, aby mi ubliżyć? Spójrz, jak ty wyglądasz! Powinieneś się wstydzić! - Płonąc świętym oburzeniem, pochwyciła cynowy kubek i całą jego zawartość wylała do ognia. Kilka ciemnoszkarłatnych kropeł prysnęło jej na spódnicę, reszta cieczy zasyczała w ogniu i spłynęła na podłogę.

- Te baby! - krzyknął ktoś z drugiego końca izby. - Żeby to która raz chociaż pozwoliła zabawić się chłopu!

Zuzanna udała głuchą. Zwróciły jej uwagę nienaturalnie duże źrenice leżącego. I serce

biło mu tak głośno... Stara suka dźwignęła nagle swe zwiotczone ciało i podsunąwszy się ku kałuży, z upodobaniem ją chleptać rozlane wino.

- Wstawaj! - rozkazała Zuzanna Ashtonowi. Poczuł, że z całej siły ciągnie go za rękę.

- Will, przynieś wiadro wody! Musimy go otrzeźwić, a potem nakarmić. Chcesz, żebym zdjęła urok? Więc właśnie tak to się robi.

Ashton jęknął i opadł na ławę. Postać Zuzanny na nowo zaczęła się rozdawać.

- Znow jest was dwie - wymamrotał - nie, trzy. Jak namalujesz trzy Ewy? Przedtem myślałem, że jest tylko jedna...

- Zuzanno! - rozległ się trwożny okrzyk Nan. - Spójrz no na tego psa!

Stara suka, wijąc się w strasznych konwulsjach, zwała się do kominka.

- To wcale nie wino... to trucizna - powiedziała Zuzanna. Ona, Will i Nan patrzyli teraz ze zgrozą na nieszczęsne zwierzę, które leżało w popiele wstrząsane drgawkami, całkiem nieczule na iskry, od których jego żółta sierść zaczynała tlić się i zajmować ogniem.

- O wy kanalie! Otruliście mego pana! - wrzasnął Will. - Który z was to zrobił? Odpowiedzcie wy za to! Już ja tego dopilnuję!

- Trzeba natychmiast przeczyścić mu trzewia! - krzyknęła do niego Nan, on wszakże biegł już do drzwi, by poszukać apteki.

- Człowiek w czerni - wyszeptał Ashton, tocząc dookoła rozszerzonymi źrenicami. - Widzę go. Jest niski, ma bladą, pomarszczoną gębę i malutkie oczka... jak... jak rodzynki. A teraz widzę diabła! Nagi, i zielony siedzi tam na krokwi... a dookoła niego pełno dymu... Ach, te moje majaki... pływają pod sufitem niczym różnobarwne chmury...

- Panie Ashton! - To Zuzanna, ale dlaczego szarpie nim tak gwałtownie? - Nie zamykaj oczu! Otwórz je, otwórz, mówię! Ty wcale nie śnisz. Człowiek w czerni naprawdę istnieje, i to on nafaszerował cię trucizną!

- Trucizna - powtórzył słabym głosem - a ja myślałem, że... że to zły urok.

- Rzucony oczywiście przez moją panią! Hmm! Ci mężczyźni! Czy to który pomyśli kiedy co dobrego o kobiecie? Zawsze tylko wszystko, co najgorsze! - zgryźliwie odcięła się Nan.

- Belladonna - stwierdził lekarz, zbadawszy zawartość miski po przeczyszczeniu chorego. Szeleszcząc ciemną surową szatą, podszedł do kominka i końcem buta trącił martwego psa, który leżał pod paleniskiem sztywny jak pogrzebacz, pokryty grubą warstwą popiołu. - Trucizny zawartej w tym kubku wystarczyłoby pewnie dla dziesięciu psów - powiedział medyk. - Sprytnie pomyślane. Belladonna wywołuje okrutne pragnienie. Nad każdym, kto umrze w miejscu takim jak to, ludzie wzruszają ramionami: cóż, zapił się na

śmierć. Mało to takich przypadków? Myślę, że początkowo podsuwano mu mniejsze dawki, potem jednak komuś zrobiło się spieszo... tak więc w ostatnim kubku była już śmierć. Skąd wiem, że to belladona? O, da się to odczytać z oczu. Te rozszerzone źrenice! I do tego halucynacje. A swoją drogą, kim jest ten mężczyzna? - spytał, wskazując leżącego. Ashton patrzył gdzieś w przestrzeń nieruchomym wzrokiem, ręce i nogi mu drgały.

- Osobisty sekretarz arcybiskupa Wolseya - odparła Zuzanna z twarzą ściągniętą zmartwieniem.

- Hm, no tak! Pewnie wiezie jakąś przesyłkę. Gdzie zbiorą się moźni, tam zawsze intrygi! Ale nie martw się, madame, przeżyje. Zabiorę go z tej oberży. Ty jesteś jego służącym? - zwrócił się do Willa. - A gdzie rzeczy? Na górze? Idź po nie. Wy dwaj z kolczykami, tak, do was mówię, bierzcie no chorego! Co za spelunka! Ze wszystkich miejskich mordowni ta jest akurat najgorsza. Hej, gospodarzu, wylaż stamtąd, i tak cię widzę! Jak mi piśniesz słówko o rachunku, to złożę na ciebie raport! Ta twoja buda zasługuje tylko na spalenie. Razem z tobą.

Kiedy dwaj marynarze, splótlszy ręce w siodełko, zaczęli wynosić Ashtona, medyk zwrócił się znów do Zuzanny:

- Miał szczęście, że znalazł się tu ktoś rozsądny. Powiedz mi, madame, co też cię natchnęło, aby wylać to wino? No, mniejsza o to. Nie minie dni parę, a stanie na nogi. Nie ma trucizny, to i zdrowie wróci. Powiadasz, że to zaufany człowiek Wolseya? Mam nadzieję, że wdzięczność jego eminencji przybierze postać czegoś konkretniejszego niż błogosławieństwo, które, jak wiadomo, żadnej substancji nie posiada.

Mimo uspokajających zapewnień medyka Zuzanna wciąż jeszcze nie mogła opanować drżenia. Następnego ranka przyniósł znowu nie najlepsze wieści. „Great Elizabeth” płynąca na spotkanie weselnej floty zaginęła gdzieś na oceanie. Król, który miał towarzyszyć księżniczce na pokładzie okrętu nazwanego swoim imieniem, zrezygnował z podróży. Ogłoszono, że wraca do Londynu, a jego siostra sama popłynie do Francji. Zły omen, pomyślała Zuzanna. Jest ich coraz więcej. Powinnyśmy były zakupić tę świeczkę, nawet przepłacając. Nie mogła pozbyć się myśli, że nad całym weselnym orszakiem wisi jakieś fatum.

- Co myślisz, mistrzu Arnoldzie, o flamandzkich nowinkach widocznych dziś w kroju spodni? - spytał Crouch, stojąc na drewnianym podium pośrodku pracowni najmodniejszego krawca Londynu.

Za wąskimi oknami kłębiła się mgła, lecz w niewielkim pokoiku o ścianach wyłożonych grubą boazerią nie czuło się chłodu dzięki rozżarzonym węglom płonącym w

okazałym metalowym koszu. U stóp Croucha klęczał sam mistrz z ustami pełnymi szpilek, zaznaczając obręb prawie już gotowej brokatowej szaty. Za najmodniejszą obecnie uchodziła długość sięgająca kolan.

- Uhm - mruknął mistrz Arnold, po czym uwolniwszy usta od szpilek, które po kolei wpiął w poduszeczkę, rozwinął swoją myśl szerzej: - Ach, milordzie, szerokie spodnie, jak również grube wyściółki wymyślono jedynie po to, by dodawały szyku laskonogim Flamandom. Angielskie nogi, które, jak powszechnie wiadomo, są o wiele zgrabniejsze, lepiej się prezentują w spodniach umiarkowanie wydętych i krótszych, zaopatrzonych zarazem w znacznie elegantsze wycięcia. Nasz pan miłościwy zamówił sobie ostatnio parę zaiste królewskich spodni z kremowego jedwabiu, w których wycięcia podbite są szkarłatem i obramowane wzorami haftowanymi złotą nicią. Nie są one tak długie i szerokie jak flamandzkie czy, uchochaj Boże, germańskie, w tych już bowiem brak szyku rani oczy! A dlaczego? Bo władca nasz wie doskonale, że posiada najpiękniejsze w świecie nogi, słusznie woli je zatem wyeksponować. Jego królewska mość odznacza się nadzwyczaj wykwintnym gustem, radziłbym więc brać z niego przykład. Przekonasz się zaraz, milordzie, jak niezwykle korzystne jest dla ciebie połączenie tego odcienia fioletu ze srebrem. - Wręczywszy czeladnikowi szpilki, mistrz wziął od niego srebrne, doskonale wypolerowane lustro i trzymając je przed klientem, zastygł w oczekiwaniu na jego ocenę.

Wciąż jestem bardzo przystojny, pomyślał z uznaniem Crouch, przyglądając się swemu odbiciu. Kawał z ciebie chłopca, Septimucie! Kształty masz nieco pełniejsze niż kiedyś, lecz pełność przydaje powagi. Uznał, że srebrne nitki w ciemnej kwadratowej brodzie doskonale harmonizują ze srebrnymi haftami na kołnierzu. Elegancko, każdy to przyzna. Z satysfakcją popatrzył na dwa szerokie pasma białych włosów, wijące się nad czołem na podobieństwo niewielkich rogów. Lubił je, nadawały bowiem jego twarzy wyraz z lekka diaboliczny... Wyglądasz wspaniale!, powiedział sobie. I w tej właśnie chwili ktoś wybuchnął ironicznym śmiechem! Kto? Ten śmiech - nie do wiary! - zdawał się dobiegać z lustra. Sir Septimus drgnął i cofnął się nieco, spojrzawszy jednak na spokojnie stojącego krawca, doszedł do wniosku, iż doznał jakiegoś złudzenia. Niepodobna, by to była prawda... taki ochrypli śmiech... jakby ktoś się dusił od dymu...

- *Crouch, ty stary draniu, ta twoja próżność cię zgubił* - usłyszał teraz słowa. Ileż w nich było jadu. I oto ku swemu przerażeniu stwierdził, iż jego odbicie znika, a w lustrze formują się inne rysy.

- Nie, nie zabieraj lustra - przykazał zniecierpliwionemu mistrzowi. - Muszę jeszcze się temu przyjrzeć. - Przewyciężając rosnącą panikę, wysłał bezgłośnie myśl: *Kim jesteś?*

*Przecież mnie znasz. W lustrze ukazał się wielki nochal z kępkami sterczących włosów, malutkie czerwone oczka i ostre spiczaste zęby. Gdy na koniec z tafli wyłoniło się całe zielone oblicze, początkowe przerażenie Croucha ustąpiło miejsca pożądaniu. Niesamowity gość na ten widok znowu wybuchnął śmiechem. *Ha, ciągle mnie szukasz, co? Polujesz na mnie!**

Mój zbiegły demon, pomyślał Crouch. Ale jak go tu teraz uwięzić? Przy ludziach? Bez grimoire'u, bez czarnych świec? On wie, że nie mogę tego zrobić, więc drażni się ze mną, bestia.

*Drwię sobie z ciebie, śmiertelniku, boś głupi. Słyszysz mój śmiech? Właśnie włączyłem do swej kolekcji duszę twego złotnika. Twoi słudzy znikają jeden po drugim.*

*Ty sam chcesz być mój, Belfegorze,* odrzekł Crouch, nadając tej myśli ciepłą pieszczotliwość. *Inaczej byś tu nie przyszedł.*

*Aha, próbujesz mnie teraz uwięzić jak kobietę, co, Crouch? Na to mnie nie złapiesz, wymyśl coś lepszego.*

*Zobaczymy. Złapię cię tak czy owak, przysięgam.*

*Tak jak chcesz złapać Sternika?*

Crouch zmilczał, tylko jego obwisłe wargi zacisnęły się w wąską linijkę.

*Widziałem tę twoją sztuczkę! Szepnąłeś Wolseyowi, że Zakon ukuł spisek zagrażający całości owego traktatu, na którym tak mu zależy. Podmówiony przez ciebie, wysłał swego człowieka, Ashtona, by mu odnalazł Sternika.*

*Ashton po powrocie przyjdzie do mnie. Wszystkiego dowiem się pierwszy.*

*Nie przyjdzie. Pożegnaj się ze swoim planem. Ashton już do ciebie nie należy.*

Krzaczaste brwi Croucha utworzyły dwa znaki zapytania. Czy ktokolwiek zdołał mu umknąć, kiedy chwycił go już w swe szpony? Na samą tę myśl zalała go fala dumy. Żadna z jego ofiar nie ma szans na uwolnienie. Czyste niepodobieństwo.

*Tracisz wyczucie, Crouch. Ashton należy teraz do tej okrągłolicej fertycznej wdówki.*

- Nie! - krzyknął głośno Crouch w stronę lustra.

- Co to milordzie, nie podoba ci się krój kołnierza? - spytał przestraszony krawiec.

- Och... no właśnie. Jest... tak, za szeroki. Absolutnie. Trzeba by go może podnieść. Usztywnić - paplał Crouch, nie myśląc o tym, co mówi. W lustrze widział znowu własne rysy, lecz w uszach nadal rozbrzmiewał mu śmiech skrzypiący jak stary zawias. Twarz znaczyły mu krwiste plamy. Żaden demon nie będzie naigrawał się ze mnie, pomyślał z pasją. Zniszczę tego Ashtona.

- Czy odpowiada panu termin w przyszłym tygodniu? - pokornie zapytał krawiec, z

niepokojem obserwując swojego klienta. Co się stało? Dlaczego twarz nabiegła mu krwią, a żyły na szyi zrobiły się nagle grube jak postronki?

- Ach, proszę bardzo. Może być przyszły tydzień. Albo jeszcze wcześniej, jeśli to możliwe.

Wystraszony mistrz, gnąc się w ukłonach, wyprowadził dziwnego klienta z pracowni, a gdy wreszcie zamknął za nim drzwi, osunął się na ławę i otarł spocone czoło.

Pogoda nareszcie się zmieniła; rześki wiatr od morza rozerwał szarą powłokę chmur. Bardzo już tego pragnęłam, toteż znacznie poweselałam. Dostarczyłam Suffolkowi dziewięć bardzo udanych portretów tuszem i akwarelą, zamówionych przez niego dla króla. Dzięki sakiewce, którą dostałam w zamian, mogłam spełnić swą powinność wobec Toma, który ostatnimi czasy stał mi się niezmiernie użyteczny, nosząc i porządkując moje rzeczy. Matowi ze statku „Jesus of Lübeck” dałam hojną łapówkę, aby we właściwym czasie przesznuł Toma na pokład i ukrył go pośród chłopców pilnujących koni. Gratulowałam sobie zręczności: udało mi się! Tom pojedzie do Francji i umknie w ten sposób przed grożącym mu niebezpieczeństwem. W dodatku naprawdę potrzebny był mi chłopak do pomocy, a tysiąc razy wołałam Toma niż jakiegoś podstępного cudzoziemca, który starałby się wykraść moje sekrety.

Tak więc do czasu nadejścia wieści, że wypływamy nazajutrz o czwartej rano, udało mi się wszystko pozalatwić po swojej myśli. Jedyne od pana Ashtona nie miałam żadnej wiadomości, choć Tom dwa razy zanosił mu moje bileciki. Wracał z niczym. Cóż za niewdzięcznik, przecież na dobrą sprawę uratowałam mu życie! Nie, żebym chciała się z tym obnosić; nawet Tomowi nie powiedziałam, jak było.

Do portu wyruszyliśmy z Nan o północy w towarzystwie gromady służących i pokojówek dam dworu. Trwał jeszcze załadunek statków. Srebra nawet przy najgorszej pogodzie mogły już wcześniej spocząć w ładowniach, co innego żywe istoty, dopiero więc teraz rżące ze strachu konie spuszczano na linach pod pokład. One zjeżdżały na dół, podczas gdy ludzkie pospólstwo, dźwigając swoje bagaże, drapało się w górę po okropnie chybotliwych kładkach. Po czarnej wodzie tańczyły światła licznych pochodni: to między brzegiem a czternastoma wielkimi statkami bez przerwy kursowały łódki, przewożąc spóźnionych żołnierzy i marynarzy ubranych w zielono-białe barwy króla. Czekaliśmy na swoją kolej, siedząc na bagażach w ścisku i zgiełku, gdy raptem ujrzałam Ashtona: energicznie przepychał się ku nam przez zbity tłum ładowaczy i ludzi z pochodniami. Miał na sobie swój ciemny, znany mi już strój podróżny i zwykły płaski kapelus, przez co bardzo

odbijał od wystrojonych oficerów i innych przybocznych księżniczki, zgromadzonych wokół jej statku. Nawet w czerwonym blasku pochodni wydawał się blady i mizerny. W milczeniu podprowadził nas do trupu. Patrzyliśmy, jak obładowani lokaje, oficerowie niosący ostatnie rozkazy oraz muzycy z instrumentami na plecach mozolnie wspinają się po wątlej kładce zawieszanej u boku imponująco wielkiego kadłuba. Na górnym pokładzie stał już kapelan księżniczki i kilku innych duchownych. Światła pochodni, ślizgając się po górującym nad nami forkaasztelu, wydobywały z mroku złocenia, pięknie rzeźbione fragmenty i napis: *Henri, Grace a Dieu*. Wyżej, tak wysoko, że całkiem ginęły w ciemności, wznosiły się żagle i mnóstwo lin. Istna pajęczyna. Tak wyglądał największy okręt wielkiej królewskiej floty. Ashton stał w cieniu, dokąd blask pochodni nie sięgał. Twarz miał surową i mroczną.

- Cóż, czas się chyba pożegnać, madame.

- Chyba tak. Cieszę się, panie Ashton, żeś przyszedł. Miło mi oglądać cię w dobrym zdrowiu.

Moje słowa wyraźnie go zaskoczyły.

- A ja myślałem, że... darzysz mnie jedynie niechęcią. Tak wielką, że nie chcesz nawet nic o mnie wiedzieć.

- Czyżbyś uważał mnie za osobę źle wychowaną? Dwa razy posyłałam Toma z pytaniem o pańskie zdrowie.

- Dwa razy? Widziałem go tylko raz. Posłałem do ciebie bilecik i wtedy zjawił się Tom. Oświadczył, że nie chcesz mnie widzieć. Nigdy więcej. Cóż, pomyślałem, masz słuszną rację po... po tym wszystkim, co się wydarzyło. - Zauważyłam, że znów wykonuje te dziwne manipulacje z palcami lewej ręki.

- Tak panu powiedział? A mnie, że nie zamierzasz mi odpowiadać na mój bilet. Uznałam to za bezprzykładne grubiaństwo i niewdzięczność. Nawet jak na ciebie, panie Ashton.

- A to dopiero! Co za mały diabeł! Chyba go uduszę! Niech no ja go dopadnę! Żeby tak mnie przedstawić w twoich oczach, madame. - Zmienił się, naprawdę się zmienił. Wydawał się teraz taki szczery i naturalny. I nie miał już tego pustego spojrzenia. W oczach znów odbijało mu się tyle uczuć, silnych, zrozumiałych, szczerych, a nie tak dziwnych i pokrętnych jak wtedy w pałacu biskupa. Jakby naprawdę zdjęto z niego urok. Patrzyłam na niego i nie mogłam pozbyć się myśli o tym, jak świetnie jest zbudowany. Doskonale kości policzkowe, piękne proporcje, mięśnie takie jak trzeba... Aby pokryć swoje uczucia, powiedziałam troszkę za szybko:

- Ładują nas na dół, tam gdzie stoją działa. Wątpię, czy stamtąd coś widać, spróbuję



więc zostać na głównym pokładzie, przynajmniej dopóki nie odbijemy.

- Nie pozwolą ci na to. Będziesz im zawadzać.

- To ty tak mówisz, bo mi zazdrościsz, że jadę na dwór króla Francji, a ty nie.

- Ależ jadę. Mam rozkazy od arcybiskupa...

- A więc jednak będziesz mnie eskortował?

- Nie. Otrzymałem... ach, parę innych zleceń. Nie wiem, czy... czy w ogóle spotkamy się tam, za wodą. Dlatego przyszedłem... Chcę udzielić ci kilku rad, madame. - Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. - Proszę w miarę możliwości nie odłączać się od księżniczki i jej świty. Nie daj się omotać Francuzom, choćby ci obiecywali złote góry. Dokądkolwiek zechcesz się udać, zawsze bierz ze sobą porządną angielską eskortę. Wiem, że tym wielkim damom, które ci pozują, świadczysz często drobne uprzejmości, dlatego ostrzegam: nie noś żadnych listów, zwłaszcza zaś... od i do Norfolka oraz jego świty. - Ostatnie słowa wypowiedział szeptem.

- Czy dzieje się coś złego?

- Nie, nic takiego... tylko... tylko że są tacy, którym traktat między Anglią i Francją stoi solą w oku. Dzięki temu przymierzu nasz arcybiskup mocno zyskuje na znaczeniu, a ile on zyskuje, tyle tracą inni. Chodzi zarówno o wpływy we Francji, jak i o łaski naszego króla.

Widziałam po jego twarzy, że zaczyna żałować już nawet tego, co mi powiedział, tak tajne musiały to być sprawy. Kiwnęłam głową, udając mądrą, choć tak naprawdę niewiele z tego zrozumiałam. Polityka to rzecz nie dla mnie. Przeważnie bywa brudna, a zawsze jest niebezpieczna. Malarze powinni trzymać się od niej z dala.

- Płyniemy więc tym samym statkiem?

- Nie, ja na „Lubece” - odrzekł, patrząc gdzieś dziwnie nie widzącym wzrokiem. Zmartwiałam: razem z Tomem! Może jednak chłopak okaże się na tyle mądry, by mu schodzić z drogi.

- Przykro mi z powodu Toma i tego, co zrobił. Myślę...

- ...że zniewoliłaś go równie beznadziejnie jak mnie - powiedział cicho Robert Ashton.

- Zniewoliłam? - Wybałuszyłam na niego oczy.

- Usidliłaś, ujarzmiłaś, spętałaś. Widzę cię... dniem i nocą. Był czas, gdy prosiłem Boga, by mnie od tego uwolnił... ale nie pomogło, przeciwnie, było coraz gorzej... w końcu się poddałem.

Biły od niego uczucia, których nie umiałam nazwać, czułam tylko ich ciepło... Były jak przyjazny ogień, choć tliła się w nich też desperacja. A uchodziło to z niego jak zapach. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie wysyłał ku mnie takich uczuć i żaden mnie tak nie pociągał. Mimo woli podeszłam bliżej. Poczułam na twarzy jego ciepły oddech. Piwne oczy,

teraz zupełnie czarne w mroku rozjaśnionym jedynie dalekim światłem pochodni, stały się dla mnie całkiem przezroczyście... widziałam go aż do dna. To, co zobaczyłam, było... ogniem, czymś bliskim szaleństwa, od czego skóra zaczęła mnie świerzbic, a rozum, odurzony jak po trunku, mięknąć i ulatywać. Która kobieta, zobaczywszy takie zakazane rzeczy, może mieć nadzieję, że uwolni się spod ich mocy? Uniosłam głowę i nagle poczułam jego usta na swoich. Otoczyły mnie jego ramiona, owionął jego zapach... Było tak, jakby w żyły trysnął mi strumień wrzącego srebra, drażniąc każdy mój nerw, napełniając oczy oślepiająco białym światłem. Moja skóra oddzieliła się od ciała i zaczęła żyć własnym życiem. Wszystkie włoski stanęły mi dęba, rozum opuścił na dobre. Ach, nigdy w życiu tego nie doznałam! Nie śniło mi się nawet, że coś podobnego może przydarzyć się mnie, zwyczajnej śmiertelnej istocie. A sprawił to on, Robert. Grzeszne pragnienia połączyły nas teraz jak wyrok losu, jak jakaś pogańska klątwa.

- Skazany jestem na ciebie - wyszeptał. - Muszę cię znów zobaczyć, choćbym idąc do ciebie, miał przejść przez bramy piekieł... - Przerażona tym, co sama czuję, odsunęłam się trochę, patrząc na niego okrągłymi oczyma. Więc mężczyzna potrafi zadać taki czar? Więc o tym mówią pieśni i opowieści? Ale dlaczego on, dlaczego ja? A dlaczego istnieje śmierć, hańba czy ból utraty? Spojrzałam w górę: wielkie płachty czerni zaczęły od nowa pożerać gwiazdy. Powiało zimne wietrzysko. - Niechaj Bóg prowadzi nas wszystkich - powiedział Robert, odwrócił się szybko i odszedł.

- No proszę - w głosie Nan dźwięczała irytacja - oto najdziwniejszy i najgorzej wychowany ze wszystkich znanych mi kawalerów. Dwa razy ocaliłaś mu życie i żeby choć powiedział „dziękuję”! Woli ukraść całusa jak zwykły opryszek. Ten człowiek nie jest dżentelmenem! Mówię ci, Zuzanno, zapomnij o nim. To nie mężczyzna dla ciebie.

Jej słowa dochodziły do mnie jak gdyby z wielkiej odległości i tak dziwnie się czułam... jakby wszystko pływało. Spojrzałam po sobie: to ja cała się trzęsłam. Wdrapałyśmy się wreszcie na pokład po rozhuśtanej kładce. Udało mi się zostać tam na tyle długo, by zobaczyć pożegnanie króla z księżniczką. Podprowadził ją do nadbrzeża i ucałował, a potem zabrzmiały fanfary witając ją na okręcie.

Wysoko wśród żagli i masztów galeonu siedziała przepiękna istota w powiewnej różnokolorowej szacie i najokropniejszych w świecie butach. Niewidoczny oczom śmiertelników, Hadriel rozpostarł ku słońcu tęczowo mieniące się skrzydła, pozwalając, by chłodna bryza przyjemnie wicherzyła mu pióra. Z żagli flagowego okrętu „Great Harry” spoglądały na niego złote lwy i róże Tudorów; w miejsce zwykłych lnianych proporców

frunęły dziś za okrętem misternie haftowane jedwabie, sięgające powyżej trzydziestu metrów długości. W dole pod owym anielskim siedziskiem rozpościerał się pokład miotany bijącą wien falą. Na szarej powierzchni morza, pociętej białymi smugami grzywaczy, jak okiem sięgnąć widać było rozpostarte żagle i powiewające proporce: statki weselnej floty karnie szły za przywódcą niczym stado piskląt za swą panią matką. Hadriela tak bardzo radował ten widok, że zaczął śpiewać. Tam w dole nikt go nie słyszał. Ktoś mógł najwyżej pomyśleć, że wiatr dziwnie jakoś gwizdże w takielunku.

Tymczasem na niebie zaczęły gromadzić się chmury. Hadriel przerwał pieśń, bo nagle na nosie wylądowała mu ogromna kropla deszczu. Niecierpliwym ruchem kędzierzawej głowy nakazał rozejść się chmurom, co też uczyniły, aczkolwiek po chwili zebrały się znowu. Anioł rozkazująco wyciągnął ku niebu swą szczupłą przejrzystą rękę. Dmuchał wiatr, i spośród szarości wyjrzało okno błękitu. Stojący w dole żeglarze niespokojnie spoglądali w niebo; dowódca flagowego galeonu, na cześć swej królewskiej pasażerki ubrany w galowy biało-zielony uniform, wydał im jakieś rozkazy, po których pędem rozbiegli się we wszystkie strony. Chmury, teraz już czarne, zaczęły zbierać się na nowo. Z oddali nadleciał głuchy pomruk grzmotu. Hadriel z westchnieniem zwinął skrzydła.

- Skończ z tym, Belfegorze! - krzyknął. - wiem, że tu jesteś! Myślisz, że nie zauważyłem, jak wleciesz się za mną trop w trop? Przestań nadymać te chmury! Od czasu gdy ci głupcy wypuścili cię ze skrzyni, stałeś się już doprawdy nie do wytrzymania.

- A ty nie wtykaj nosa w moje sprawy! Za mały masz nos i za głupi! - grubiańsko odwarknął demon. - Wynoś się do nieba śpiewać hymny, ty marny pochlebco! Tutaj nikt cię nie prosił.

Na rei tuż pod stopami Hadriela pojawił się kłęb dymu, z którego z wolna jęły się formować malutkie czerwone oczka, długi nochal, wielkie obwisłe brzuszysko, w końcu zaś cała zielonkawa postać Belfegora.

- Śliczny sprawiłeś sobie przyodziewek, ani słowa! - zadrwił Hadriel. - Zwłaszcza ta włochata ozdóbka wybornie wygląda w zieleni. Nie wydaje ci się atoli, że trochę to już *passé*? Mam na myśli ów odcień: ni to żółć, ni musztarda. W kolorze świeżej sałaty byłoby ci bardziej to twarzy.

- To mój koźli ogon, ty kretynie! Dobrze wiesz, że żadnych ubrań nie noszę. Taki kolor przybrałem i koniec. My nie jesteśmy tacy próżni jak wy, niebiańska hołoto! Nie mówiąc już o tym, że ktoś obuty w takie paskudztwo nie ma prawa mnie krytykować!

Hadriel wyprostował nogi i z widocznym upodobaniem jął przyglądać się swoim trzewikom.

- To podarek, rozumiesz? Jedyny prezent, jaki mi ofiarowano w ciągu całych dziesięciu tysięcy lat. Przez ten czas wciąż tylko ja coś dawałem. Bardzo lubię te buty. A ty dostałeś kiedyś jakiś prezent?

- Pewnie, ty młody głupku. Ludzie wciąż składają mi ofiary.

- Tak, aby otrzymać coś w zamian. Ja mówię o darach bezinteresownych. A te twoje ofiary to lichota. Zaraz, ta ostatnia, której nie umiałeś się oprzeć, co to było? Aha, chyba zwłoki czarnego koguta. I za coś takiego dałeś zamknąć się w skrzyni owym odszczepieńczym templariuszom. Tanio, bardzo tanio sprzedałeś skórę, mój ty Belfegorku. Co się zaś tyczy tych butów...

- Kogut był takim samym darem jak te twoje buty. Był! Ponieważ... ponieważ proszono mnie o coś, co i bez tego bym zrobił.

- Masz na myśli sianie zniszczenia i zemsty? O, ale taka rzecz wymaga oleju w głowie, a z twoich ostatnich poczynań wynika, że masz go niewiele.

- Udowodnię ci zaraz, że się mylisz. Zatopię wszystkie te statki. Nienawidzę wesel. Nigdy na żadne mnie nie zaproszono.

- A gdyby cię zaproszono, co byś zrobił?

- Siałbym zniszczenie i zemstę.

- No właśnie. Dlatego nikt cię nie zaprasza, ty beznadziejny głąbie.

Belfegor, zajęty konwersacją, zaprzestał burzyć powietrze, teraz wszakże się ocknął i widząc liczne wyłomy w szarym bastionie chmur, zrozumiał, że dał się podejść. Skierował w niebo swe ogniste ślepie i ożywiwszy przycichłe wietrzysko, ponownie zebrał nad statkiem groźne sztormowe chmury, po czym nadawszy szarozielone, na wpół zmaterializowane cielsko, uniósł się kilka stóp wyżej. Kiedy spadły pierwsze krople deszczu, z pogardą spojrzął na Hadriela, który znalazł się teraz pod nim.

- Pożałujesz tego, coś powiedział! Jeszcze chwila i wszystkie statki razem z tą twoją okrągłolicą pupilka pójda na dno! Plum, plum, i po nich! A jest tego, jest! Koniki, karety, żołnierze, do tego srebra, jedwabne suknie i sama księżniczka! Król Francji nie będzie miał żony, a ja dokonam przyrzeczonej zemsty, i będę wolny. A ty masz czelność gadać, zem głupi?

Wiatr, który przeszedł w wichurę, rozproszył królewskie statki; wyglądały jak szare plamki, nikłe i bezbronne w porównaniu z ogromem wodnego żywiołu. Powierzchnia morza była równie czarna jak niebo, z którego łać się zaczęły gwałtowne potoki deszczu. „Great Harry”, obciążony mokrymi żaglami i rzeźbioną wielką nadbudówką, przechylił się nagle, strącając Hadriela z jego napowietrznej grędy. Anioł rozwinął ogromne skrzydła i wzbił się

w skłębione powietrze.

- A widzisz? - zaśmiał się demon. - Nawet ty ich opuszczasz, nędzna kulo pierza!

Rozgniewany Hadriel, z twarzą i włosami ociekającymi deszczem, pochwycił główny maszt statku niebezpiecznie przechylony na bok i ustawił go jak należy. Głośny łopot jego skrzydeł utonął w ryku wichury. Demon wszakże wcale nie myślał ustąpić; chwycił maszt z drugiej strony i przechyliwszy go jak poprzednio, rozsiadł się na samym czubku. Wisiał teraz nad statkiem niczym wielka paskudna wrona nad padliną. Nad walecznym aniołem górował nie tylko wiekiem i siłą, lecz także wagą swych wielowiekowych występków. Wzburzone fale sięgały już niebezpiecznie blisko otworów armatnich. Dał się słyszeć krzyk kobiet. W głębi statku załoga desperacko pracowała przy pompach, bezskutecznie próbując odeprzeć wdzierającą się gwałtownie wodę.

- Dlaczego to robisz? - krzyknął Hadriel. - Dlaczego uwziąłeś się akurat na ten statek?

- Deszcz spływał mu po twarzy jak lzy. Maszt zniżał się coraz bardziej. Jeszcze trochę, a woda zaleje otwory armatnie, statek będzie stracony.

- A nie mówiłem? - jął chełpić się demon. - Pytasz dlaczego? A powiem ci, powiem. Jest tu księżniczka i ta twoja rumiana pieszczoszka. A ty popsuleś mi plany. Zamierzałem narodzić się jako człowiek, w tej bowiem postaci łatwiej chodzić po ziemi i czynić zamęt, a ty, ty mi to uniemożliwiłeś! No to postanowiłem uwolnić się w inny sposób, a przy okazji wziąć na tobie odwet. Hej, widzisz mnie, Hadrielu? Pluję na ciebie z góry! - Tuż obok strzeliła błyskawica, oblewając blade oblicze anioła dziwnie zielonkawym światłem.

- Zemścić się na mnie możesz, ale uwolnić ci się nie uda, ty zakuta pało - odrzekł drwiąco Hadriel, próbując znów odwrócić uwagę demona od statku. Belfegor, słysząc te słowa, uniósł włochate brwi. Powietrzem przetoczył się grzmot.

- Oczywiście, że mi się uda - oświadczył z arogancką pewnością siebie. - Czegóż to w końcu żądali za tego kurczaka? Dla mnie to drobnostka.

- No, nie wiem. Przypomnij sobie słowa zaklęcia, którym cię związali owi templariusze. Mówi ono o zemście nie tylko na królu Francji, lecz także i na całym jego rodzie. W dodatku pomyliłeś królów. Ten, o którym myślisz, miał na imię Filip, i dawno nie żyje. Ty zaś, Belfegorze, będziesz wolny dopiero wówczas, gdy wygubisz cały jego ród. A wiesz, jak długo siedziałeś w skrzyni? Przez ten czas musiało przyjść na świat z kilka setek potomków i krewnych Filipa.

Obok wielkim zygzakiem przeleciała kolejna błyskawica i rozszczepiwszy się na kształt kilku zakrzywionych palców, zniknęła w czarnych odmętach.

- Nie myślisz chyba, że będę ich liczył. Za dużo ich jest. A zresztą wszyscy oni

jednakowi.

Tuż koło burty statku strzelił piorun.

- Zakłęcie to zakłęcie, nie zmienisz jego mocy. Współczuję ci, Belfegorze, kiepsko bowiem widzę twoją przyszłość. Żadnych wakacji, żadnych wizyt w piekle. A przypominam sobie, tak, ktoś mi mówił, że Satrina jest na ciebie wściekła. Nic dziwnego. Nie odwiedzasz jej przecież ostatnio...

Podtrzymywanie rozmowy i statku na powierzchni zaczynało już Hadriela męczyć. Po raz pierwszy w ciągu długich dziesięciu tysięcy lat na jego mokną od deszczu twarz wybił pot. Wielkie skrzydła poruszały się coraz wolniej. Pokład tymczasem pomału, lecz nieustannie przechylał się na bok. Fale były tuż, tuż. Wokół jasnej postaci anioła i ciemnej sylwetki jego przeciwnika krążyły z wyciem złe wichry. W dole któryś z majtków krzyknął i wypadł za burtę. Natychmiast pochłonęło go żarłoczne morze.

- Satrina? - zaniepokoił się nagle Belfegor. - Do licha, jak ja się jej wytłumaczę?

- Powiedz jej, żeś kiep, bo nie umiesz się wywikłać z zakłęcia - rzucił Hadriel, z trudem łapiąc oddech. - Zobaczymy, jak cię powita.

- Zaraz, jak to? Wszyscy potomkowie i krewni? Musiałbym przestudiować całą genealogię! Ci ludzie mnożą się jak szczury! Kto by za nimi nadażył?

Hadriel poczuł, że demon traci na wadze. Statek powoli zaczął się prostować.

- No to bierz się za studia. Pamiętaj, żadnych wizyt, póki nie wypełnisz swoich zobowiązań.

Deszcz zaczął słabnąć, odgłosy burzy dochodziły już teraz z daleka.

- Aha, łatwo ci mówić, a ja nie umiem czytać. Musisz mi pomóc.

Wzburzone fale opadły.

- Ja mam pomagać tobie? A niby z jakiej racji? Jestem aniołem sztuki, a nie opiekunem głupawych demonów. W dodatku nazwałeś mnie kulą pierza. O nie, radź sobie sam, Belfegorze.

- Powiedz chociaż, od czego mam zacząć.

- Odczep się od tych statków i leć do Paryża. Nieźle by było, gdybyś odbył podróż z biegiem Loary, to bardzo przyjemna wycieczka. Po drodze odwiedzisz kilka klasztorów. Wiesz, francuska heraldyka to rzecz niezmiernie zawiła. Weź pod uwagę już choćby to, że każda tarcza herbowa ma aż cztery pola.

Teraz już i niebo zaczęło się przecierać, cóż, kiedy statki rozproszyły się chyba po całym Kanale. Nad płaską dotychczas linią monotonicznie szarego horyzontu zaczynały wyrastać poszarpane skały. Ludzie odetchnęli: Francja. Jednak morze wciąż się burzyło, a

porywisty wiatr spychał galeony coraz dalej od miejsca przeznaczenia. Admirał kazał wciągnąć na maszt flagę sygnałową. Oznaczała ona, że wszystkie statki weselnej floty powinny jak najszybciej dołączyć do swego przywódcy. Rozległy się dźwięki trąbek. Niosły się one ze statku na statek, mknąc nad szarą połacią morza, by na koniec zamilknąć gdzieś w dalekiej pustce.

Tak jak przewidywałam, z armatniego pokładu nic nie było widać, no, chyba że kogoś bawiłoby oglądanie ludzi cierpiących na chorobę morską albo widok dział wypadających z łóżysk, gdy zaczęło nami tak rzucać. Wszystkie pasażerki płakały i modliły się głośno, konie w ładowniach rżały wniebogłosy. Na statku było pięć setek ludzi upchanych jak śledzie w beczce i prawie nic, czego by się można chwycić, toteż gdy zaczęło się to bujanie raz w jedną, raz w drugą stronę, poobijałyśmy sobie wszystkie części ciała. A później statek tak się przechylił, że w te otwory dla dział zaczęła zaglądać woda; nie znam się na statkach, lecz tak na pewno być nie powinno. Modląc się gorąco o ocalenie, zrobiłam rachunek sumienia, po którym, jak wiadomo, potrzebny jest żal za grzechy. Żałowałam ich szczerze do pewnego momentu, później już nie. Bo kiedy wśród tego wszystkiego pomyślałam o Robercie Ashtonie i jego pocałunku, który niewątpliwie musiał też być grzechem, w żaden sposób nie mogłam wzbudzić w sobie żalu. Spróbowałam, pomodlić się i za Ashtona, chociaż w takiej chwili bardzo trudno wyzbyć się myśli o sobie. Wiem, że to niegodne samolubstwo, ciągle jednak myślałam o tym, jak straszną rzeczą będzie tonąć w tej ciasnej beczce razem z tyloma ludźmi. Jak to każdy będzie się starał czepiać, czego się da, i gołymi rękami wrywać tę klapę w suficie. Zamknięta była na głucho; pewnie żeby woda nie przedostawała się do środka.

Na szczęście tak się nie stało. W pewnej chwili usłyszeliśmy straszny zgrzyt i jeszcze straszniejsze przekleństwa. Nasz galeon przestał się poruszać, a kanonierzy powiedzieli, żeśmy osiedli na mieliźnie. Statek był trochę przechylony na bok, ale przynajmniej skończyło się kołysanie i ludzie przestali chorować. Z góry słyhać było stukot, bieganinę, okrzyki, wyrzałyśmy więc z Nan przez jeden z tych malutkich otworów dla dział i zobaczyłyśmy, że majtkowie spuszczają łodzie dla księżniczki Marii i jej świty. Najpierw jednak popłynęli sami rycerze; ciężko musieli wiosłować, bo łódeczki były małe, a fala okropnie wysoka. I nie dało się dopłynąć do samego brzegu: musieli wyskakiwać i brodzić po wodzie. Potem dopiero zabrano księżniczkę, jej damy i madame Guildford. W pewnej chwili ogromna fala zalała ich wszystkich z głową. I do tego musiały biedaczki brnąć jeszcze pieszo do brzegu. W tej zimnej wodzie! Tylko księżniczkę przeniósł na rękach jeden z jej rycerzy.

- O, temu to na pewno opłaciło się zmoczyć - zauważyła Nan, która bardzo cynicznie

zapatruje się na galanterię. Jej zdaniem wszystko w świecie sprowadza się do pieniędzy.

- Mylisz się - odrzekłam - przecież to jej rycerz. Gdybyś przeczytała moją księgę, dowiedziałabyś się, z jak wielką przyjemnością każdy dżentelmen służy swojej damie. Poczytuje to sobie za honor.

- Ty i ta twoja księga! - obruszyła się gniewnie. - Ty bujasz w chmurach. Ciekawe tylko, co poczniesz, jak z chmur zrobi się deszcz.

- Przecież mocno padało, a moje obłoki są tam, gdzie były. Oj, Nan, czy tobie nigdy nie przyszło do głowy, że może ja to lubię? Jestem już dorosła i sama potrafię decydować. I wolę bujać w chmurach aniżeli taplać się w rynsztoku.

Chyba jej nie przekonałam, bo tylko pokiwała głową. Rozległ się zgrzyt i otwarto klapę. Nareszcie światło! Morskie powietrze niesło też miłsze zapachy niż odór morskiej choroby, przenikający całe to nasze ciemne, zatłoczone pomieszczenie.

- Gdzie jesteśmy? - krzyknął ktoś do żeglarzy.

- Niedaleko Boulogne. Wpadliśmy na mieliznę prawie przy wejściu do portu. Idźcie zobaczyć owych francuskich wielmożów, co już przybyli nas witać. Jest na co popatrzeć!

Wygramoliliśmy się wreszcie na pochyły pokład i tu zaczął się nowy kłopot, kazano nam bowiem zostawić bagaże. Mam rozstać się z moją skrzynką? Z moją sztalugą? O, nie. Kiedy wszakże spojrzałam na cienką sznurową drabinę, a pod nią malutką łódeczkę... Nie zejść po tej pajęczynie nawet sama, a co dopiero z bagażem! Musiałam wyglądać na strasznie zdesperowaną, bo jakiś sympatyczny majtek z kolczykiem w uchu roześmiał się na mój widok, a potem spytał, jakie to mam skarby w tym swoim kuferku: klejnoty? Powiedziałam, że od wszystkich w świecie klejnotów ważniejsze są dla mnie moja sztaluga i farby, bo bez nich byłabym żebraczką. Kiedy to usłyszał, zjechał po linie z moim kuferkiem, a jego towarzysz ze sztalugą. Obaj pomogli też mnie i Nan zejść po tej strasznej drabince. No, gładko mi to nie poszło. W samym środku utknęłam i dalej ani kroku. Ludzie z pokładu i z łódki krzyczeli do mnie, że jak się nie ruszę, to będę tak wisieć do skończenia świata. Chyba nie lubię morskich podróży. Chyba nawet ich nienawidzę.

Byłyśmy całe przemoczone, a chłód i szare niebo nie czyniły sytuacji lepszą. Na brzegu panowało okropne zamieszanie i bałagan. Francuscy wielmoże wygłaszali mowy powitalne, a o nas, ludziach bez znaczenia, nikt już w ogóle nie pamiętał. Kiedy zaczęto przeprować konie, każąc płynąć im za łódkami, udałyśmy się z Nan na poszukiwanie jakiegoś miejsca, gdzie by można choć trochę się ogrzać. Znalazłyśmy tawernę pod znakiem giganta pożerającego naraz całe stado owiec. Wszyscy tam mówili po francusku. Cóż, niby nic dziwnego, byłyśmy przecież we Francji. Rzecz w tym, że trudno z takiego jazgotu



wyłowić coś zrozumiałego. Huczało mi w głowie, gdyśmy próbowały znaleźć sobie miejsce przy ogniu. W dodatku zaraz stłoczyli się przy nas ci okropni cudzoziemscy marynarze i zaczęli używać różnych słów, których nigdy mnie nie uczono.

- Myślałam, że znasz francuski - zauważyła Nan z przekąsem. Wycięła właśnie siarczysty policzek jednemu, co próbował klepnąć mnie w pośladek.

- Bo znam, ale prawdziwy francuski. Ci tutaj źle mówią i o wiele za szybko.

- Masz ci los! Utknęliśmy w obcym kraju, gdzie ani w ząb nikt nas nie rozumie. Nawet tego, że chcemy coś zjeść, nie zaś wystawiać na sprzedaż swe wdzięki! I cóż my teraz poczniemy? - Nigdy jeszcze nie widziałam mej piastunki tak roztrzęsionej.

- Zaraz zamówimy sobie coś do picia.

Starannie układając zdania w swej najlepszej dworskiej francuszczyźnie wyjaśniłam, że właśnie przybyliśmy z Anglii w orszaku nowej małżonki ich króla, że jesteśmy zmarznięte i głodne, niech przeto gospodarz poda nam jakieś jadlo i napitek. Nie jestem pewna, czy dobrze mi to wyszło, bo wszyscy ryknęli śmiechem, a jeden z gości wypiął pierś i zaczął udawać damę z długim trenem. Inni wykrzykiwali coś do właściciela, używając mych słów i naśladowując mój akcent, co musiało wydawać im się bardzo śmieszne, zaraz też przylazł wielki pręgowany kocur i ułożył mi się na kolanach. Krótko mówiąc, było zupełnie tak, jakby znów mnie obleźli pijacy spod „Kozła i Dzbaną”, a nawet jeszcze gorzej, bo teraz znajdowałyśmy się w środku. Nigdy nie należy przekraczać progu takich tawern. Kiedy doszłam już do tej konkluzji, pojawiła się jakaś kobieta w cudzoziemskim czepku, jak się okazało, żona właściciela, i przegoniła hultajów, tłukąc ich miotłą po karkach. Dużo przy tym mówiła, z czego nie pojęłam ani słowa, przyszedł więc jej mąż zapytać, czy mamy pieniądze. To zrozumiałam i odtąd wszystko już było w porządku.

- No i widzisz, Nan, jednak znam francuski - pochwaliłam się z satysfakcją, gdyśmy w końcu zasiadły nad kufelkiem dobrego piwa i pieczonym kurczakiem.

- Nie za dobrze, jak można się było przekonać. I co teraz z nami będzie? - jęknęła Nan, rozglądając się po ciasnej karczmie. Sufit wisiał nam tuż nad głowami, podłoga zupełnie zarosła brudem. Dookoła tłoczyli się marynarze wszelkich możliwych nacji, pijąc i grając w kości. Jeden siedzący w kącie trzymał na kolanach kobietę, kilku śpiewało, każdy na inną nutę. Lecz w kominie płonął wielki ogień, od którego buchało ciepłem, a kiedy człowiek znów ma na sobie suche odzienie, przybywa mu zaraz otuchy.

- Jak to co! Będę malować. Starym damom dodawać młodości, młodym urody, a mężczyznom młodym i starym takiego ognia w spojrzeniu, że nikt nie poskąpi sakiewki. Zbierzemy dużo pieniędzy i wrócimy do domu.

- Nie, ja w to nie wierzę. Wolsey nie pozwoli ci opuścić księżniczki. Zostanie królową, potem królową matką, a my już do końca życia będziemy tkwić pośród tych cudzoziemców.

- Wszystko się ułoży, zobaczysz. Będziemy mieszkać w pałacu i na co dzień chodzić w jedwabiach.

- Francuski pałac - mruknęła. - Wielkie mi rzeczy.

Kilka dni zajęło szwaczkom takie dopasowanie trenu przy ślubnej sukni księżniczki, by nie ranił on francuskich oczu. Czekaliśmy też na wieści o rozproszonych statkach. Ja szkicowałam portrety kilku dam dworu księżniczki. Oddano na jej użytek wielką rezydencję, gdzie zamieszkałyśmy także ja i Nan. Służba sposobila konie, złocone karety, pawilony i wszystko, co potrzebne, na wyjazd do Abbeville, gdzie miały się odbyć uroczyste zaślubiny. I oto nadeszła wiadomość o zatonięciu „Lubeki”. Z pięciuset żołnierzy i żeglarzy ocalało ponoć ledwie stu; zdołali uczepić się szczątków galeonu i fale wyrzuciły ich na skały. Wszyscy w Boulogne dziękowali Bogu, że straszny ów los nie dotknął statku wiozącego posagowe srebra, lecz mnie serce zamarło i ręce odmówiły posłuszeństwa. Wciąż jednak tliła się we mnie słaba iskierka nadziei, że może to nie ten statek... Pobiełam szukać oficera, który przywiózł ową wiadomość, i znalazłam go w stajni, dokąd przyprowadził właśnie wypożyczonego konia. Oficer był nie ogolony i strasznie wymizerowany. Wyglądał jak widmo na tle stajni, w której wszystko przypominało o zbliżającej się uroczystości. Stajenni w dworskich liberiach złocili kopyta szlachetnym białym wierzchowcom, chłopcy uwijali się jak frygi, nosząc pięknie wyczyszczone uprzęż, dzwoniły dzwoneczki, słychać było śmiechy i dziarsko wygwizdywane melodie.

- Jesteś z tego zatopionego statku, panie?

Na dźwięk mego głosu mężczyzna odwrócił się od przegrody, w której umieścił konia.

- Tak, to ja - odrzekł niespiesznie.

- Czy... czy to była „Lubeka”?

- Tak, to ten statek.

- Ja... chcę się czegoś dowiedzieć. O losie pewnego mężczyzny... i chłopca.

Boże, jak ponurą miał twarz i jak długo milczał.

- Na „Lubece” było sześciu chłopców. Żaden się nie uratował.

- Ja... ja nie pytam o chłopców okrętowych. Ten miał na sobie rdzawy kaftan i szare nogawice. Brązowe włosy. Lat około czternastu.

- Czy to twój syn, pani?

- Nie, mój czeladnik. Przygotowywał mi farby.
- Nie znałem tego chłopca. Czy figurował na liście załogi?
- Może, choć nie wiem tego na pewno.

- Cóż, w takim razie może i jest szansa, że przeżył. Rozbitków zabrano do Calais. Jest wśród nich wielu chorych. Poślij tam, pani, po wieści. Zaraz... wspominałaś o farbach, musisz więc być tą malarką, o której mi opowiadano!

- A więc jednak rozmawiałaś z moim chłopcem! Musiałaś go znać przed... przed katastrofą.

- Nie, madame, mówił mi o tobie kto inny. Człowiek Wolseya nazwiskiem Ashburn, czy jakoś tak... Wciąż wypatrywał waszego statku... dopókiśmy go nie stracili z oczu. Wyznał mi, że tym statkiem udaje się do Francji pewna malarka, on zaś jest zgubiony, żywy czy umarły. I dlatego podczas sztormu działał z odwagą straceńca. - Mój rozmówca przerwał, popatrzył na mnie i potrząsnął głową: - Dziwne. Nie wyglądasz mi na kusicielkę. Mówię o tym, bo spytał mnie w pewnej chwili, czy kiedykolwiek uległem takiemu jak on fatalnemu zauroczeniu. Odrzekłem, że nie, nawet sobie tego nie wyobrażam.

Mój Boże, a więc Robert Ashton musiał odczuwać to samo co ja. W żyłach rozgrzane do białości srebro i to dzikie bicie serca. Grzech był w nas obojgu.

- Zatem i on się uratował?

- Co? Nie, nie. Był podobno na górnym pokładzie armatnim, gdy urwała się węzownica. Słyszałem, że go przytłukła, i wyleciał za burtę. On i wielu innych. Utonęli. Tylu ich zginęło. Panczerze pociągnęły ich na dno. Miałem dwóch braci, obaj byli ze mną na tym statku. Wciąż myślę... - Znow urwał, potrząsnął głową i powoli skierował się do wyjścia.

- Pan Ashton nie nosił zbroi, wiem to na pewno! - Jakże pragnęłam go zobaczyć, usłyszeć znow jego głos! Czyż to możliwe, żeby nie żył? Wywinął się przecież i śmiertelnie strzałom, i truciznie, a teraz miałby zginąć przez zwykły przypadek? Na chwilę jak żywe stanęło mi przed oczami to ostatnie spotkanie w porcie: noc, skwierczące pochodnie... jego głos zmieszany z pluskiem fali... Leczą twarz... rysy zaczynały mi się już zacierać. Czemu nigdy ich nie utrzymałam? Zostałyby mi chociaż portret... Wymizerowany rozbitek zatonął tymczasem we własnych ponurych myślach.

- Dlaczego ja się uratowałem? Dlaczego ja, największy grzesznik spośród nas trzech, zostałem oszczędzony, a mój biedny Jemmy utonął?

- Może nie... twoi bracia mogli dopłynąć do brzegu...

- O nie, żaden żeglarz nie umie pływać. Człowiek posiadający tę umiejętność przynosi statkowi nieszczęście. Dlaczego, dlaczego ja ocalałem? Czy umiesz, pani, na to

odpowiedzieć? Czy ktokolwiek potrafi to wyjaśnić?

- Bóg. On wie wszystko. Wszystko, co się dzieje, dzieje się z Jego woli - odrzekłam bez zastanowienia. Bezmyślne słowa. Straszna wiadomość zbyt znieczuliła mi serce, by stać mnie było na więcej.

- Bóg! Cóż za pożytek z tego, że zna On wszystkie odpowiedzi, skoro nigdy nam ich nie daje? Skoro nigdy niczego nie wyjaśnia? Bóg milczy! Czy nasze przewiny są aż tak wielkie, że Bóg musi milczeć?

Łzy polały mi się z oczu. Uciekłam od tego człowieka. Nocą i mnie dopadły te jego bluźniercze pytania. I straszne wyrzuty sumienia. Gdybym nie opłaciła Tomowi podróży... Czemuż byłam tak samolubna, tak samowolna i dumna z siebie? To ja ponoszę winę za śmierć tego biednego chłopaka. A Robert Ashton... Jakie to wszystko dziwne, jakie bezsensowne. Nasze losy ledwo się zbiegły, a on już musiał odejść! Czy to możliwe, że są na świecie ludzie, którzy mogliby być z sobą szczęśliwi, a nigdy nie dane im będzie się spotkać? A jeśli się nawet spotkają, to zamiast okazać sobie życzliwość, będą tylko ranić się słowami i nigdy nie pojmą, czym mogli stać się dla siebie nawzajem? Jakaż to straszna kara dowiedzieć się tego dopiero w ostatnich chwilach życia tej drugiej osoby... zrozumieć, cośmy utracili... Co dzieje się z tą miłością, której nie dane było się spełnić, bo ją odrzucono, zmarnowano? Czy znika bez śladu, czy gdzieś trwa... Gdzie? Czy trwają też przelane łzy? Ach, Zuzanno, dopiero ten wypadek ci pokazał, co straciłaś, inaczej może nigdy byś się tego nie dowiedziała! Och, przestań już, bo zwariujesz.

Przypomniałam sobie, jak Robert starał się przekonać Toma, by pozostał w domu. Powinnam go była posłuchać. Miał rację. Musiał go nawiedzić ów przeblýsk jasnowidzenia, który często dany jest skazańcom. Dlatego próbował powstrzymać Toma, a mnie starał się ostrzec. On wiedział, wiedział od początku. Leżałam ze wzrokiem utkwionym w sufit, a Robert Ashton krążył nade mną w ciemności jak duch smutku, jak wyrzut sumienia. Tak strasznie było mi żal...

## PORTRET SIÓDMY

*Lucas Hornebolt „Charles Brandon, diuk Suffolk”. Ok. 1520. 10 x 10 cm. Gwasz na melinie. Złota kasetka na łańcuszku.*

*Najwcześniejszy ze znanych portretów Charlesa Brandona, pierwszego diuka Suffolk, wpływowego dworzanina Henryka VIII i ulubionego kompana królewskich biesiad i zabaw. Ten ciemnobrody, potężnej budowy mężczyzna, niewątpliwie przystojny mimo z grubsza ciosanych rysów, był człowiekiem skromnego dosyć pochodzenia, któremu udało się wybić tyleż dzięki brawurowym wyczynom wojennym, co i kilku niezmiernie korzystnym małżeństwom. Miniaturę tę, oprawną w zamykaną ramkę zawieszoną na pięknym łańcuszku, musiała bez wątpienia nosić jakaś dama.*

Katalog wystawowy. Bayerische Staatsgemaldesammlungen

Opisywałam już okoliczności powstania tego portretu i to, jak diuk Suffolk zażądał, by mu nadać szczególnie ogniste spojrzenie, aczkolwiek nie wspomniałam, że później w wielkiej tajemnicy zamówił sobie kopię. Postawiłam na niej sekretny znaczek, pewna byłam bowiem, że przeznaczona jest dla jakiejś damy, a ponieważ powodowała mną grzeszna ciekawość, chciałam wiedzieć, dla której. Dzięki znaczkowi, myślałam, będę mogła odróżnić kopię od oryginału, jeśli gdzieś ją przypadkiem zobaczę. Z tych też powodów wkładam ów portret w to miejsce swej opowieści; co się tyczy kopii, natknęłam się na nią o wiele później. Oprawna była w złotą kasetkę i zawieszona na łańcuszku, okoliczności zaś, w których ją ujrzałam... ach, trudno by je było sobie wyobrazić. Jak to się później okaże, diuk Suffolk miał wyświadczyć mi kilka przysług, i to nie tylko dzięki swoim zamówieniom, lecz także pewnym poczynaniom podejmowanym bez związku z moją osobą, w których wszakże ów portret odegrał niejaką rolę, dla mnie na pewno korzystną.

- Mówisz więc, że jest piękna, że jej portret nie kłamie?

Deszcz uporczywie siekł w wąskie gotyckie okna Hotel de la Gruthuse, królewskiej rezydencji w Abbeville, położonej w odległości mniej więcej osiemdziesięciu kilometrów od portu w Boulogne. Tutaj Ludwik XII postanowił z wielką pompą powitać swą młodą małżonkę. Do miasteczka zwały się setki żołnierzy, zjechali wysocy królewscy oficjele, wpływowi duchowni i najznakomitsze rody z całej Francji. Wraz z nimi przybyła armia kucharzy, służących, muzykantów, rzemieślników do malowania proporców, stolarzy i cieśłów. Budowano odświętne pawilony, dekorowano sale, planowano bale i uczyły. We wszystkich zamkowych komnatach, piwnicach i kuchniach roilo się wprost od ludzi. Do tego ze cztery dziesiątki dworzan ubiegało się o audiencję - nawet w takiej chwili!

- Ach, najjaśniejszy panie, piękna jest jak anioł - odrzekł kardynał d'Amboise pochylony nad wielkim fotelem, w którym spoczywał Ludwik, trzymając na stolku obolałą stopę. - Może to poświadczyć monsieur de Vendome, który wraz ze mną witał jej wysokość w porcie.

- Jest boska - oświadczył diuk de Vendome. - Żadne słowa nie są w stanie oddać jej urody.

- O tak! - rozległ się szmer wśród dworaków. - To piękność nie do opisan.

Była to uwaga o tyle trafna, że większość z nich jeszcze nie widziała nowej małżonki króla.

- I pomyśleć, że taką istotę spłodzili Anglicy - zgryźliwie zauważył Ludwik. - Ci... ci handlarze. Czy wiesz, monsieur d'Amboise, że ambasador angielski zażądał okazania mu klejnotów, które zamierzam ofiarować małżonce, po czym wyraził życzenie, by wysłać je wszystkie do Anglii? Co to, to nie, odrzekłem. Zamierzam obdarowywać królową co pewien czas jakimś cackiem i za każde otrzymać osobną porcję całusów - oświadczył z błyskiem w oku. Na jego pomarszczonej twarzy zagrał lubieżny uśmiech.

- Bardzo słusznie, wasza wysokość. I jakaż rozkoszna to będzie zapłata!

- Nie mogę się już doczekać, muszę ją zobaczyć!

- Och, nie uchodzi, najjaśniejszy panie. Do czasu oficjalnego powitania nawet tobie zwyczaj nie pozwala widywać się z oblubienicą.

- Ha, czyż nie jestem królem? Mogę wszak zaaranżować... spotkanie nieoficjalne. Całkiem przypadkowe. Wybiorę się na polowanie i... trafem napotkam ją w drodze. Wyślij wiadomość panu d'Angouleme, który wyjechał już do Etaples, by tam powitać księżniczkę,

że nasza myśliwska wyprawa czystym przypadkiem natrafi na jej orszak w lesie Anders. Niech księżę jedzie przodem i wszystko przygotowuje.

Już po kilku minutach ze stajen galopem wypadł kurier, by co rychlej przekazać wieści, w tym również wiadomość, że król wybiera się na polowanie w stroju ze złotogłowiu podbitym szkarłatem. Zwyczaj nakazywał bowiem, by król Francji i jego małżonka, pokazując się razem publicznie, nosili te same barwy.

W lesie, przez który z wolna ciągnął długi angielski orszak, wysokie drzewa złościły się jeszcze ostatkami liści. Pod ich żywym sklepieniem biegła grząska, zryta mnóstwem kolein droga, po której nie najłatwiej brnęło się koniom i wozom. Na przedzie jechało ponad stu mężczyzn: arystokraci, ambasadorowie różnych krajów, umundurowana angielska szlachta, heroldowie, trębacze i cały rój dworskich urzędników. Za księżniczką szły ciężkie złocone wozy, z których część wiozła liczną świtę dam dworu i pokojówek, część zaś jej garderobę, zajmującą bodaj jeszcze więcej miejsca. Każdy wóz ciągnęło sześć potężnych, spiętych rzędem koni. Pochód zamykało dwustu ludzi zbrojnej eskorty, mniej niż wypłynęło ich z Dover. Mniej o tych, którzy zatonęli na „Lubece”. Gdy z oddali dał się słyszeć dźwięk rogów, orszak przystanął na wielkiej polanie usianej łątami zbrązowiałej trawy, co wymownie świadczyło o bliskiej już zimie. Wśród widocznych naprzeciw drzew błysnęły jasne mundury jeźdźców. Po chwili na polanę wylały się ze dwie setki konnej królewskiej straży, która sprawnie rozstąpiła się na boki, aby przepuścić monarchę i towarzyszącą mu grupkę złożoną z kilku duchownych i starych dworskich dygnitarzy. Później obie świty, francuska i angielska, wycofały się dyskretnie, z żywym zainteresowaniem wszelako śledząc przebieg „nieoczekiwanego” spotkania. Maria, świeża jak poranek na swoim białym wierzchowcu, skróciła cugle, udając prawdziwe zaskoczenie. Wystrojona była w suknię ze złotogłowiu i szkarłatny kapelusik zawadiacko nasunięty na oko. Jej białoróżowa angielska kompleksja, szczupła sylwetka i cudowna triumfująca młodość sprawiły, że z piersi francuskich panów wyrwał się szmer podziwu.

- Ach, tylko te jej włosy... Są rude. - Dla Francuzów rude włosy stanowiły nieomylną oznakę hardości i nie dającego się okiełznać temperamentu.

- Och, niezupełnie. Raczej złociste.

- Powiedzmy, że rudozłote.

- Nasz król twardy ma przed sobą orzech do zgryzienia.

W grupie angielskiej ponad odgłosy końskich kopyt, dźwięk uprząży i gwar przyciszonych rozmów wybił się także niechętny pomruk podziwu dla francuskiego

przepychu - strojów, broni, końskich rzędów. Jednakowe natomiast zainteresowanie obu stron budziła kondycja fizyczna dość już przecie wiekowego oblubieńca.

- Patrzcie no, jak się oblizuje ten staruch, jak to łyka ślinkę! - szepnęła ambasador Italii, pochylając się nad uchem swego towarzysza. - Jak on doczeka wiosny - zachichotał - to ty, mój drogi, dożyjesz pięciu setek.

Król, pod którym tańczył bojowy hiszpański ogier w czarno-złocistym czapraku, ruszył ku narzeczonej, ona zaś pozdrowiła go po kawalersku, zrywając z głowy swój zawadiacki kapelusik. Ludwik uśmiechnął się i wstrzymał konia. Maria, chcąc złożyć monarsze bardziej etykietalny ukłon, skinęła na lokaja, aby pomógł jej zeskoczyć z siodła, lecz król powstrzymał ją gestem. Wyraz jego ciemnych wygłodniałych oczu powiedział młodej, lecz bystrej księżniczce, iż ten wielki władca należy już do niej ciałem i duszą. Pokonała go wstępnym bojem. Teraz musi jedynie utrzymać władzę nad podbitym terytorium. Z uśmiechem posłała mu pocałunek. Król wypuścił naprzód wielkiego rumaka, objął księżniczkę za szyję i na oczach wszystkich ucałował. Tego, co jej powiedział, nie słyszał żaden z postronnych, wszyscy widzieli tylko, że piękna oblubienica obdarzyła go ślicznym uśmiechem i skinęła złocistą główką, na co on znowu wyrzekł słów kilka i też się uśmiechnął. Zaraz potem dał znak swoim gwardzistom, nakazując im pozostać u boku jej wysokości. „Przypadkowe” spotkanie dobiegło końca. Na kolejny sygnał dany królewską dłonią Franciszek d'Angouleme spiął swego kasztana i zrównał się z białym palfreyem księżniczki. Taki wybór asysty dla młodej małżonki podyktowały królowi nie serce i rozum, lecz nakazy dworskiej etykiety. Jednakże ulegając jej rygorom, stary monarcha postąpił z równą beztróską jak dziecko bawiące się ogniem: na całą pozostałą część drogi do Abbeville przydzielił swej młodej małżonce słynnego uwodziciela, sam zaś zawrócił konia i odjechał. Za ledwie ucichł dźwięk rogów, książę d'Angouleme skłonił się przed księżniczką.

- Obawiam się, wasza wysokość - powiedziała Maria, zerkając na niego spod rzęs - że znudzi cię ta długa podróż. - Nareszcie jakiś rosły Francuz, pomyślała. Francuski książę krwi. No i w odpowiednim wieku, by właściwie ocenić jej wdzięk i urodę. Uznała wprawdzie, że nos ma za długi, a oczy za wąskie i trochę lisie spojrzenie, lecz... zawsze to milej słuchać komplementów, gdy prawi je ktoś młody i niewątpliwie czarujący. Być może życie u boku starego króla nie będzie aż tak nieciekawe, jak sobie wyobrażała.

- Najdłuższa nawet podróż nie może być nudna w towarzystwie takiej piękności - odrzekł rycersko Franciszek, lecz zarówno spojrzenie, jak i uśmiech, który wykwitł na jego ustach, nadały tej dworskiej galanterii bardziej sekretne znaczenie. Śliczna jest, pomyślał, po tyciąckroć warta grzechu. Jak to gracko rzuciła tego całusa, jak śmiało ze mną rozmawia!



Angielki! Szalone, nieokrzesane, bez zasad. Ta tutaj to wytrawna kusicielka. I ruda! O, musi mieć temperament! Niech no przebrzmiały weselne dzwony, a już zacznij szukać kochanka. Znam ten rodzaj kobiet. Z dreszczem podniecenia wyobraził sobie, jak bardzo niebezpieczne czekają go łowy. Dyskretne przekupstwa pokojówek, ostrzegawcze gwizdy strażników zostawionych pod oknem na czatach, tajne przejścia, kradzione rozkosze w cudzym łożu... I triumf z podboju cudzej żony. Ach, o ileż lepiej smakuje ów triumf, kiedy żona ta jest królową.

Scandalous

## PORTRET ÓSMY

*Triumfalny wjazd Mary Tudor do Abbeville*”, namalowany ręką tego samego mistrza, który stworzył „Anielski tryptyk”. Olej na desce. 17,7 x 25,4 cm. Bruksela, Pałac Sztuk Pięknych.

Obraz ten ma wartość głównie historyczną; nie został ukończony, a na jego powierzchni widnieją liczne uszkodzenia. Przedstawia typowe widowisko doby Renesansu: uroczysty wjazd do miasta. Podczas podróży ówczesnych władców takie uroczystości odbywały się we wszystkich miastach leżących na trasie przejazdu. Tutaj angielska księżniczka Maria Tudor, młodsza siostra Henryka VIII, przybywa na spotkanie ze swym przyszłym mężem, królem Francji Ludwikiem XII. Małżeństwo tych dwojga przypieczętowało angielsko-francuski alians polityczny. Na twarzach kilku nie ukończonych postaci widocznych po stronie lewej można dostrzec ciepłą różową podmalówkę, po której łatwo rozpoznać wspomnianego już twórcę tryptyku zwanego „anielskim”. Wszystkie postacie owego mistrza wiele swego uroku zawdzięczają tejże podmalówce. Badanie rentgenowskie zdaje się potwierdzać tezę, iż obraz uległ uszkodzeniu już w pracowni mistrza i dlatego nie został ukończony.

G. Manning, Widowiska doby Renesansu

Zamierzałam ukończyć ten obraz, ale że był to olej, szkice musiały poczekać, aż dorobię się własnej pracowni, później zaś - po tym wszystkim, co spotkało królową - nie znalazłam nikogo, kto by chciał mi za niego zapłacić. Z konieczności zatem odłożyłam go na bok, by zająć się czymś intratniejszym. Wbrew niektórym mniemaniom bowiem artysta też musi jeść. Po okropnych zdarzeniach w mojej pracowni ten właśnie obraz był jedną z nielicznych rzeczy, które udało mi się uratować. Zachowałam go na pamiątkę i tu go umieszczam, by, choć nie ukończony, pokazał wam, jak wielki i świetny orszak towarzyszył królowej Francji. O tym drugim opowiem dalej, samego obrazu jednak nie posiadam.

- W orszaku ślubnym jesteśmy przed wami, rozumiesz? Idziemy zaraz za królową!

Po tych słowach dało się słyszeć tupnięcie, a potem głuchy łoskot. Żadna to przyjemność wchodzić między ludzi, którzy czymś w siebie rzucają, a dość częsty to zwyczaj pośród tych, co służą w wielkiej rezydencji. Gdyby zależało to ode mnie, wolałabym z tą swoją gorączką i ciekącym nosem wygrzewać się w ciepłym łóżku, niż obrywać czymś latającym butem, ale trudno, przysłano mnie tutaj z pewną misją. Traf chciał, że akurat w sam środek zażartej kłótni.

- A ja ci mówię, że nie! Kto to widział, by fleciści szli przed trębaczami? Trębacze zawsze idą pierwsi! Przy wjeździe do tego miasta właśnie my szliśmy przed królową!

O, trębacze mocne mają płuca! Znowu kichnęłam w rękaw, po czym szczerze zatkałam sobie uszy. Po chwili, wzięwszy głęboki oddech, wkroczyłam do przydzielonej muzykom kwatery, która w zwyczajnym czasie była lochem na wino. Teraz wszakże nie było w niej beczek, właściciele bowiem woleli je przezornie wynieść. Cóż, widać dobrze znali muzyków i ich gardła.

Na użytek księżniczki i jej licznej świty oddano dużą rezydencję, oddzieloną jedynie ogrodem od starego i bardzo brzydkiego pałacu de la Gruthuse. Tłok panował w niej niemiłosierny. Nie licząc francuskich osobistości składających przepisowe wizyty, mieszkali tu przecież wszyscy, których księżniczka Maria przywiozła ze sobą z Anglii, a to: siedemdziesięciu pięciu lordów i innych dobrze urodzonych panów, pięćdziesięciu dworskich urzędników, w tym osobisty sekretarz, szambelan, skarbnik, jałmużnik i medyk, oraz ponad czterdzieści dam do towarzystwa, z których każda miała pokojówkę, no i oczywiście lady Guildford, niegdyś wychowawczyni i guwernantka, obecnie zaś pierwsza dama dworu. Pomijam już lokajów, stajennych, służące, błazna i moją osobę. Łatwo sobie wyobrazić, że w takim ulu wciąż jeden drugiemu czymś się narażał i każdy starał się udowodnić, jak bliska zażyłość łączy go z królową. Bez przerwy wybuchały też kłótnie, jak teraz o to, kto ma iść pierwszy.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! - krzyknął właśnie jakiś chudy kleryk. - Za królową, tuż po jej paziach, pójda śpiewający księża i chłopcy, potem ci, co grają na instrumentach, przy czym trębacze na samym końcu! Po wejściu do sali mają oni nawrócić i stanąć po obu stronach podwyższenia. O, a co ty tu robisz? - To pytanie skierowane było do mnie.

- Powiedz jej, niech tu nie kicha! - rozległy się głosy. - Zatrzuwa całe powietrze.

- Lady Guildford przysyła mnie po flecistę. Ma akompaniować pani Boleyn, która gra

na lutni, i wraz z nią zabawiać jej królewską wysokość podczas przygotowań do uczy. - Dyskretnie wytarłam znów nos rękawem.

- A śpiewak? - spytał płaczliwym tonem kleryk.

- Dziękuję, nie trzeba. Pani Boleyn śpiewa bardzo pięknie, pani Grey także. Lady Guildford nie życzy sobie mężczyzn w komnatach królowej, chyba że są niezbędni.

Zaczęły się zaraz wielkie narzekania na lady Guildford, jaka to z niej sekutnica, a potem kłótnie o to, kogo wysłać, no ale w końcu wybrali jednego flecistę. Ten przywdział co szybciej liberię i udał się za mną. Do komnat królowej wiodło mnóstwo krętych schodów, przejść i korytarzy.

Cały ów zgiełk, zazdrość i przepychanki niewiele mnie obchodziły. Ze swym malarskim kuferkiem mogłam wchodzić wszędzie, gdzie chciałam, przy czym nikt prawie mnie nie zauważał. U lady Guildford byłam w wielkich łaskach, a to z powodu portretu, w którym ujęłam jej sporo zmarszczek, dodając w to miejsce dystynkcji. Kiedy w deszczowe popołudnia w komnatach księżniczki słuchano muzyki lub bawiono się w różne gry, i ja tam przychodziłam szkicować twarze i suknie. Czyniłam to dla rozrywki. By ulżyć sercu po utracie biednego Toma, a także pana Ashtona, rozpoczęłam obraz przedstawiający triumfalny wjazd naszej królowej do Abbeville. Damy lubiły patrzeć, jak postępuje praca, i zgłaszać swoje uwagi. Każda chciała mieć cerę jak najbielszą i jak największe klejnoty. Malowanie to coś takiego, przez co świat staje się lepszy; ukazując cały ów przepych, mniejszy odczuwałam ból. Był to bardzo elegancki obrazek na desce, niezbyt duży, tak na wysokość trzech dłoni. Nasza księżniczka, przedstawiona już jako królowa, znajduje się w samym środku. Siedzi w lektyce, wspaniała jak wschodzące słońce.

W dniu, który opisuję, popołudnie było spokojne i ciche. Wieczorem miało odbyć się wielkie przyjęcie i bal na cześć królowej, wydane przez diuka i diuszese d'Angouleme. Jedna z dam dworu czesała królowej włosy, druga sznurowała jej gorset, dwie inne dobierały klejnoty, jeszcze inne czyściły płaszcz i pantofelki. Reszta czekała w gotowości, by w razie potrzeby w czymś pomóc, bądź śpiewała przy wtórze fletu i lutni. Dziwnie jakoś brzmiały nasze pocziwe angielskie pieśni w tej obcej, kąpiącej od ozdób komnacie. Ja siedziałam w kącie, szkicując portret pani Boleyn przy lutni; zamierzała wysłać go ojcu. Nad wszystkim dyskretnie czuwała lady Guildford, haftując coś na tamborku, lecz jej sokole oko co chwila bacznie obiegało salę.

I nagle ktoś z hukiem otworzył drzwi. Z przedpokoju dobiegły śmiechy i męskie głosy - francuskie. Pobladły lokaj ledwie miał czas zaanonsować diuka d'Angouleme, kiedy za jego plecami ukazało się kilku pijanych mężczyzn gotowych gwałtem przepchnąć się do środka.

Tego najwyższego rozpoznałam od razu, widziałam go już kilkakrotnie, choć teraz książe Franciszek wyglądał zgoła inaczej niż podczas uroczystości oficjalnych. Przede wszystkim z trudem trzymał się na nogach. Jedwabną szatę odrzuconą miał do tyłu, pewnie by zaprezentować swój modny dublet z mnóstwem wymyślnych wycięć i szkarłatne nogawice z haftowanym kodpisem\*.[\* Rodzaj specjalnej klapy lub torebki zakrywającej rozcięcie obcisłych spodni (przyp. tłum.)] U jego boku stał ciemnowłosy młodzieniec, a z tyłu jeszcze dwóch innych. Oni także wydali mi się znajomi. Lady Guildford tymczasem widząc, co się dzieje, podbiegła do drzwi, by zasłonić je własnym ciałem.

- Jej wysokość nie przyjmuje o tej porze. Nie jest jeszcze ubrana, więc gdyby nawet chciała zrobić wyjątek, etykieta nie pozwoliłaby jej przyjąć osoby tej rangi, co pan, monsieur - oznajmiła stanowczo.

- Głupstwo, jest wszak moją czcigodną matką - odrzekł książe, mocno się zataczając. - Przyszedłem złożyć jej hołd. Widzisz, Bonnivet? Miałem rację co do koloru jej włosów. Rude jak trzeba! Albo jesteś ślepy, alboś skłamał przez grzeczność.

Włosy królowej, których damy nie zdążyły jeszcze ukryć pod ozdobnym nakryciem głowy, spływały luźno na plecy. Podchwyciwszy jej spojrzenie, dostrzegłam, że jest wstrząśnięta: jakby w tym mężczyźnie, któremu lady Guildford broniła wstępu, ujrzała nagle coś nowego... groźbę.

- Odsuń się, kobieto! Książe d'Angouleme pragnie swemu honorowemu gościowi okazać afekt należny drogiej krewniaczce - odezwał się ten drugi, zwany Bonnivetem.

- Nie przed ucztą. Do tego czasu królowa Francji nie przyjmie nikogo - powtórzyła lady Guildford.

Damy, korzystając z tej wymiany zdań, szybko przeprowadziły królową do antykamery, gdzie nie sięgały ciekawskie spojrzenia diuka i jego kompanów. Nie w smak mu to poszło. Widziałam, jak groźnie przymrużył oczy. Franciszek d'Angouleme nie był przyzwyczajony, by ktokolwiek mu się sprzeciwiał, a już zwłaszcza kobieta. Tacy są ci Francuzi. Drażliwi jak licho. Francuzowi wystarczy, że ktoś niechcący nastąpi na jego cień albo nie spodoba mu się czyjeś wąsy, i zaraz dobywa miecza. Czy diuk zdecyduje się na ostateczność? Wiedział, że jeśli ją odepchnie, stara dama zacznie głośno krzyżeć i zrobi się wielki skandal, dlatego się pohamował. Jednakże po jego minie widać było, jak ciężko jest obrażony, mimo iż to on przecie zachował się skandalicznie, przychodząc tutaj pijany.

- Ta starucha zanadto zadziera nosa - warknął, pokazując nam plecy. - Już ja jej go przytrę. - Odeszli, lecz pełne gniewu pomruki długą chwilę jeszcze towarzyszyły odgłosom ich mocno niepewnych kroków.

- Jak więc widzisz, Nan, był to skandal co się zowie. Moim zdaniem diukowi chodziło wyłącznie o to, by podpatrzeć królową w negliżu.

Gorączka zagnała mnie w końcu do łóżka; okutana po szyję kaszlałam tak głośno, że mogłam zagłuszyć największą trąbę. Wszyscy udali się już na ucztę, a że nasz pokój mieścił się na poddaszu pałacowej oficyny, wystarczyło uchylić okienko, by usłyszeć nawoływania lokajów, krzątanie w kuchni, śmiechy i muzykę.

- O, żebyś ty wiedziała, co mi opowiadał taki jeden chłopak od rożna! Widzisz, co ci przyniosłam? Ha, tyle tego mają, że nikt nawet nie zauważył. Kto by tam na mnie patrzył? Co innego dziś każdemu w głowie. W mieście też się coś dzieje. Gdzieś tam na drugim końcu rozpalono nawet wielkie ognie. Wszyscy świętują. - Zdjąwszy serwetkę z półmiska, Nan podsunęła mi przed oczy kilka plasterów gotowanej szynki, jeszcze gorącej i dobrze przyprawionej korzeniami, do tego bochenek chleba i całą flaszkę francuskiego wina.

- O, jakaś ty sprytna! Doprawdy nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Smakowicie mi to wygląda. Chyba jeszcze nie umrę.

- I ja tak myślę, Bogu dzięki, tylko przestań się tak uganiać. Chyba nie chcesz, by ten kaszel padł ci na piersi? Na noc zrobię ci okład. A teraz posłuchaj, co mówił ów chłopak. Wie to od kucharza, który po francusku trajkocze lepiej niż ty, ów zaś od lokaja, co służy u księcia. Diuk d'Angouleme strasznie łasy jest ponoć na kobiety. Kiedy bywa w Paryżu, jedynym jego zajęciem są hulanki i włóczenie się po zamtuzach razem z kompanami, Bonnivetem, Fleurange'em i resztą owej niecnej zgrai, która towarzyszy mu od dziecka. Wszyscy oni to znani awanturnicy. Rozbijają się konno po mieście, wypatrując co ładniejszych kobiet, a jak wypatrzą, to jadą za taką do domu i żądają od męża czy ojca, by im ją wydał. Inne uwodzą bądź przekupują pieniędzmi, a niektóre biorą nawet siłą. Bo to tacy panowie, którzy słowa „nie” nie uznają. No a już dworskie damy, och! Nie zliczyłabyś podbojów tego księcia, choć lat ma dopiero dwadzieścia. Jego siostra i matka też nie lepsze, chociaż na inny znów sposób. Powiem ci o tej siostrze, tej diuszecie d'Alencon. Podobno zbiera u siebie kobiety i mężczyzn, by debatować z nimi o takich rzeczach, o jakich przyzwoita niewiasta wstydziłaby się nawet myśleć. A wiesz po co? To już jest najgorsze. Ona, imaginuj sobie, pisze książkę!

- Co takiego? Nie jest wszak zakonnica! To skandal!

- Gorszy niż myślisz. Tak, moje ty niewiniątko. Ta książka to bezceństwo. Same pikantne opowiadki o dworskich romansach. Wyciąga je od swoich gości.

- O, mój ty Boże! Ukrój mi jeszcze kawałek tej szynki. A więc to, co myślałam, jest

prawdą. Diuk ma ochotę uciąć sobie romans z księżniczką. Och, powinna po ślubie dobrze ryglować drzwi.

- Przez lady Guildford nawet on nie przejdzie, co to, to nie. Jak ze mną nic by nie wskórał, choćby nawet był samym królem, tak i z nią też nie. Ten paniczyk nie zna angielskich niewiast. Kiedy chcemy się upilnować, jesteśmy z żelaza.

- Ale nie ja, Nan. Ja chyba jestem ze szlamu, tak się dziś czuję. Podaj mi kubek. Przez ten diabelny katar nawet wino dziwny ma smak.

- No, tym razem wolno ci się napić - powiedziała. Twarz zmiękła jej przy tym od smutnych wspomnień. - Ciężko ci tutaj, wiem... Tego chłopaka ja też kochałam.

- Wiesz, że nie tylko przez niego mi smutno.

Nan natychmiast zeszywniała z urazy i oburzenia.

- Przestań, Zuzanno, wszak on cię zniesławił! Takiej rzeczy nie da się naprawić jednym kradzionym pocałunkiem. Czy cię bodaj słowem przeprosił? Nigdy, a tyle dla niego zrobiłaś! Gdyby na moje życzenie ludzie wstawali z martwych, tobym go wskrzesiła, choć bez niego dużo mi lepiej, ale dla ciebie kazałabym mu wrócić. Żebyś go zobaczyła takim, jaki jest naprawdę, zamiast robić z niego męczennika, który zaraz po śmierci dostał świętości. Tego bym chciała! Niechby stanął przed tobą i swoim zwyczajem zaczął ci prawić grubiaństwa, wtedy nareszcie przestałabyś o nim myśleć.

- Próbuje o nim nie myśleć, ale... uwierz mi, Nan, to doprawdy ponad moje siły. Tyle chciałabym mu powiedzieć... Że się mylił... Bo nie jestem taka, za jaką mnie uważał. I nie staram się wybić niegodziwą drogą jak choćby te francuskie damy, tylko uczciwie pracuję. - No, w miarę uczciwie, poprawiłam się w duchu, przypominając sobie te obrazy z Adamem i Ewą. Lecz nawet i to nie było aż takie złe, jak wyciąganie od kogoś miłosnych sekretów i powtarzanie ich w księżce. Oj, czy jednak nie jestem tak samo zepsuta? Przecież myślę wciąż w kółko o tym pocałunku, gdy powinnam raczej modlić się o przebaczenie. Dlaczego akurat teraz, kiedy nawet nie jestem zamężna, tak tęsknię za owym grzechem? Zamiast pobożnie nad nim medytować? Dlaczego jako żona Rowlanda Dalleta pragnęłam jedynie cnoty? Ach, Boże, a Robert Ashton nie żyje! Leży gdzieś na dnie morza i ryby roznoszą jego szczątki... Czy to kara za moją niegodziwość? Tak daleko odbiegłam myślami od tego, co zaleca cnotliwej wdowie rozdział dziewiąty „Księgi obyczajów zacnej małżonki”, że wstyd mi ją było otworzyć. I ciągle bolało mnie serce. A może to wcale nie serce? Może to tylko od kaszlu?

Następnego dnia już o świcie zaczęły się przygotowania do uroczystej ceremonii ślubnej. Bardzo chciałam zobaczyć orszak, nie bacząc więc na przeziębienie, pobiegłam do

okna z widokiem na ogród. Przy wszystkich oknach panował wielki tłok, mnie jednak szczęśliwie udało się zająć nie najgorsze miejsce. Lekki wiatr niósł ku nam jakieś popioły. W pewnej chwili osiadł mi na dłoni strzępek osmalonego papieru z widocznymi jeszcze literami.

- A to co znowu? - spytałam, pociągając nosem. - Czyżby ktoś palił książki? - Wciąż jeszcze miałam gorączkę. Pewnie dlatego cały ogród zdawał się kołysać, a i światło poranka wydawało się dziwnie jakoś szare.

- O, to pewnie z tego wielkiego pożaru, co wybuchł dzisiejszej nocy - odpowiedział pomocnik szafarza wciśnięty między mnie a futrynę. - Mówią, że z dymem poszło pół miasta, cała ta część za rzeką. Słyszałem, jak lamentował włoski ambasador, podobno omal nie zginął.

Pożar? Czyżbym na dodatek jeszcze i ogłuchła?

- Nie słyszałam dzwonu, no ale w nocy miałam gorączkę, to pewnie dlatego.

- Nie pozwolono bić w dzwony. Mogłoby to zepsuć zabawę w pałacu. Niektórzy mówią, że gdyby więcej było ludzi, można by w porę rozebrać parę domów i nie doszłoby do takich zniszczeń.

Najpierw burza na morzu, teraz pożar. Nigdy nie słyszałam, żeby czyjeś wesele poprzedzało aż tyle złych znaków. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Och, spójrz na tych angielskich rycerzy! Ilu ich jest? Jeden... dwóch... naliczyłam dwudziestu sześciu. Całkiem nieźle się prezentują. Ach, królowa! Dużo lepiej wygląda ubrana zgodnie z naszą modą - stwierdziła Francuzka stojąca po mojej drugiej stronie.

Orszak weselny właśnie przed chwilą ruszył. Po heroldach szli muzycy grający na wszystkich instrumentach, za nimi śpiewający księża, a potem w szerokich kamiennych odrzwiach ukazała się sama księżniczka w asyście dwóch wielkich lordów, Norfolka i Dorseta. Przez chwilę stała w progu. Przytłoczona ciężarem klejnotów i olbrzymiej sukni z gronostajów i złotogłowiu, wydawała się taka drobna i zagubiona! Zimny wiatr szarpał jej paradnym strojem i porywał jedwabne proporce, tak że fruwały nad pochodem niby chmara spłoszonego ptactwa. Szare światło poranka odbierało połysk złocistej materii, z której uszyta była suknia oblubienicy; nawet jej wspaniałe klejnoty wydawały się prawie czarne. Na widok księżniczki w całym ogrodzie rozległy się gromkie wiwaty i zabrzmiała muzyka. Norfolk i Dorset, obaj równie potężnej postury, brodaci i dostojni w usianych klejnotami szatach, uroczyście sprowadzili ją ze schodów. Z drzwi wysypało się teraz trzynaście ulubionych dam dworu, każda eskortowana przez dwóch dżentelmenów, po nich zaś reszta orszaku. Ach, zdawał się nie mieć końca! Późnojesienny ogród na chwilę zakwitł kolorami wiosny. Tkwiłam przy oknie, dopóki ostatni z paziów nie zniknął w bramie pałacu. Tam w wielkiej



sali miały odbyć się zaślubiny. Coś mi mówiło, że powinnam zapamiętać sobie tę scenę - pochód, stroje, kolory - na jakiś przyszły użytek, lecz miałam wrażenie, iż oczy przesłania mi mgła. Wszystko pozbawione było blasku, przyćmione i mroczne, jakby jakieś niewidzialne zło rzuciło swój cień na ludzi i rzeczy. Ale może to tylko gorączka, myślałam, wracając do łóżka. Wkrótce zaczęło padać i już po chwili deszcz lał się z nieba strumieniami. Zza szarych wież Hotel de la Gruthuse przytoczył się odgłos grzmotu.

Klaudia Francuska, dziedziczka Bretanii, starsza córka Anny Bretońskiej i Ludwika XII, obecnie diuszesa d'Angouleme, siedziała w swojej gotowalni w nielicznym, acz miłym towarzystwie. Składało się ono z kilku ulubionych dam dworu, pół tuzina kudłatych nakrapianych piesków, szwagierki, diuszesy d'Alencon, oraz nadwornej błaznicy imieniem Gaillarde, czarnobrewej ognistej kobietki, która język miała ostry jak brzytwa, a wzrostem nie różniła się prawie od karła. Sama Klaudia przewyższała ją ledwo o parę centymetrów, ponadto mocno kuląła, a jej oczy patrzyły zezem. Jakby i tego było mało, mankamentem tym towarzyszyła chorobliwa otyłość. Za sprawą owej dziwnej choroby twarz miała brzydtko nalaną, a powieki stale opuchnięte. Niefortunne dziedzictwo krwi, tak mówiono. Klaudia podobna była do matki, lecz przez jakąś pomyłkę natury, która błędnie połączyła krew przodków, to, co mogło być tylko zwyczajną brzydotą, u niej przekształciło się w nienormalność. Ta młodzianka francuska księżniczka, wciąż jeszcze daleka od dwudziestki, odznaczała się za to rzadką słodyczą charakteru i wielką prostodusznością, jakby natura w ten sposób starała się naprawić swoje okrucieństwo. Na całym dworze tylko ona jedna nie miała wrogów. Jej naiwny umysł nie był w stanie pojąć ani tego, że jest wykorzystywana, ani do jakiego stopnia. Dla niej wszyscy byli urodziwi, mądrzy i szlachetni, a że nawet najbardziej zepsutym podobało się oglądać swe poprawione odbicie, o ileż piękniejsze dzięki naiwnej prostoduszności księżniczki, nikt nawet nie próbował pozbawiać jej złudzeń. Przyglądając się teraz swej szkarłatnej aksamitnej toalecie, oznajmiła ze strapioną miną:

- Och, jakże mnie martwi ta suknia. Ten kolor i hafty... Rok jeszcze nie minął od śmierci matki, a król już nakazał mi zdjąć żałobę. Na cześć macochy. A przecież nawet ślub z moim panem brałam w czerni. Jak można było tak szybko zapomnieć o mojej matce?

- Mężczyźnie wystarczy raz zerknąć na rudą niewiastę, a już wszystko inne wylatuje mu z głowy - stwierdziła Gaillarde swym uciesznie basowym głosem. Wysoko zadzierając głowę i śmiesznie drobiąc nóżkami, zaczęła tak udatnie naśladować nową królową, że Małgorzata, diuszesa d'Alencon, wybuchnęła śmiechem. - Król pochwalił się przed całym dworem - uzupełniła błaznica - iż ubiegłej nocy trzykrotnie przepłynął rzekę, a gdyby

zechciał, stać by go było na więcej. Zdziwiający to zaiste cud natury! A wszystko przez te rude włosy! - Gaillarde uwodzicielskim gestem pogłaskała się po ciemnej głowce. Teraz roześmiała się już nawet Klaudia, zaraz wszakże przez twarz jej przemknęło ogromne zdziwienie.

- Trzykrotnie? - powtórzyła z wolna. - Ależ nawet mój pan, o tyle przecież młodszy...  
- Pokręciła głową, głęboko coś rozważając. - To pewnie dlatego, że mój ojciec jest królem - oznajmiła wreszcie takim tonem, jakby udało jej się rozwikłać niezmiernie zagadkową sprawę.

- Otóż to! - zawołała Gaillarde, a Małgorzata znów parsknęła śmiechem.

Jej matka, pani Ludwika Sabaudzka, wykręciła się od udziału w ceremonii królewskich zaślubin, zasłaniając się chorobą i bardzo złym stanem dróg; chora była istotnie, lecz z pasji. Diuk d'Alencon wszakże nader gorliwie uczestniczył w uroczystościach, tak więc i jego małżonka musiała uśmiechać się i wdzięczyc, tłumiąc swoje prawdziwe uczucia. A nie były one życzliwe względem króla i jego oblubienicy. Małżeństwo to przecież odsuwa od tronu jej ukochanego brata! Jak pewna siebie i swojej urody wydaje się ta cudzoziemka! Jak zimna i arogancka! A ten staruch tak się do niej mizdrzy! Odrażający to widok! I ten tłum butnych, rozwrzeszczanych Anglików! Swoją drogą cóż to za język! A jacy oni prymitywni, jak strasznie nieokrzesani!

- Wszystko się teraz zmieni - powiedziała głośno, myśląc jednocześnie, że koniecznie trzeba pozyskać Klaudię dla sprawy Franciszka. Jest wszak jego żoną. - Wszędzie aż się roi od tych Anglików. Już zaczynają zabiegać o łaski i wpływy. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj zbrojnie atakowali nasze miasta!

- Wczoraj? - zdziwiła się Klaudia. - Wydawało mi się, że wczoraj było wesele... Tak, ślub z pewnością odbył się wczoraj. A ta cudzoziemka, prawda, przywiozła z sobą wielką świtę, lecz to dlatego, że pragnie tu słyszeć swój język. Wiesz, moja matka zrobiła to samo. Byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdyby nie mówiono przy niej po bretońsku. Oczywiście angielski i bretoński to wielka różnica! Bretoński brzmi łagodnie i kojąco, podczas gdy ten angielski! Okropność. Myślę, że im samym wstyd mieć taki język. Nie wątpię, że od razu zaczną uczyć się po francusku.

- Ha, im już się zdaje, że mówią naszym językiem! - zawołała Gaillarde. - Hej, panje, ruszcie ta koń, ja żem szlachcic, do kata! Szlachcic, powiedam, do kata! - Tak perorując, przeszła się po komnacie pozbawionym gracji, zamaszystym krokiem angielskiego lorda, a gdy damy zachichotały, rozwinęła ów spektakl, pokazując, w jaki to sposób angielski junak udaje się na połów pięknej damy: lubieżnie łypnąwszy okiem, przekrzywiła na bakier

wyimaginowany kapelusz, po czym chwacko obciągnęła poły nie istniejącego kubraka. Klaudia patrzyła na to z miną wyraźnie świadcząca, że kompletnie nic nie pojmuje, lecz widząc wesołość swoich towarzyszek, roześmiała się i ona.

- Och, madame, tacy oni są, ci Anglicy, kubek w kubek! Całkiem im brak ogłady! - wykrzyknęła któraś z jej towarzyszek.

- Jednakże kilka dam królowej to osoby o świetnych manierach - ujęła się za nimi Klaudia. - Na przykład ta, co tak słodko gra na lutni, mademoiselle de Boline. Wychowywała się ona na dworze regentki Niderlandów i mówi po francusku prawie tak jak my. I... och! Madame d'Alencon, muszę ci coś pokazać! - Żywo podeszła do skrzyni i pogrzebawszy wśród stosu pończoch i rękawiczek, triumfalnie wydobyla kartkę papieru. - Jest! Jak tutaj coś schowam, to zawsze znajdę. A teraz spójrzcie, moje panie. - Rozłożyła ów papier na toaletce. - Ta postać tu pod aniołami wyobrażać będzie królową, moją panią matkę, a ta w zbroi, klęcząca po drugiej stronie, króla, mego ojca. Zaś tu w środku... Widzicie to słodkie skrzydlate dzieciątko, spowite krajem szaty Najświętszej Dziewicy? To mój braciszek, delfin. Tak właśnie wyglądał przed śmiercią. Kazałam jej wszystkie postacie namalować w takiej wielkości. W ramkę wprawione zostaną malutkie zawiasy, przez co całość utworzy tryptyk, który można będzie złożyć i zamknąć. Popatrzcie, będzie to rzecz nie większa od mojej dłoni. - Z rozradowaną miną przyłożyła do rysunku swą tłustą niedużą rękę. Środkowa część szkicu przedstawiała Matkę Boską na obłoku i malutkiego cherubinka zaplątanego w obręb jej rozwianej szaty. Z rogu spoglądał na nich anioł z rozpostartymi skrzydłami. - Dokądkolwiek się udam - westchnęła nabożnie Klaudia - będę mogła zabierać z sobą ten obrazek, by zawsze budził we mnie wzniosłe myśli. O dobroci Przczystej Dziewicy, o niebie i o nieskończonym Bożym miłosierdziu.

- Powiedziałaś: „jej”? - spytała ciekawie Małgorzata. - Któż ci to maluje?

- Och, ten świątobliwy angielski duchowny, arcybiskup Wulsei przysłał nam tu bardzo utalentowaną i nabożną wdowę. Ona to namaluje te śliczne obrazki. Jak zatem widzicie, nie wszyscy Anglicy są źli. Wszyscyśmy chrześcijanami, i my, i oni.

- To prawda - przyznała Małgorzata. - Mówisz więc, madame, że to taka pobożna niewiasta?

- Bardzo. Z początku nie byłam zbyt skłonna korzystać z jej usług, bo czy to przystoi kobiecie robić, co chce, i podróżować bez męża? Kazałam mademoiselle de Boline zapytać ją o to w jej własnym języku, na co odrzekła, że mąż pozostawił ją bez grosza, został bowiem nagle zamordowany, musi więc, biedactwo, radzić sobie sama. Pomyślałam wtedy, że mogę przecież zobaczyć, co potrafi, nic złego się przez to nie stanie. No i okazała się bardzo

uczciwą osobą. Wszędzie towarzyszy jej starsza surowa i godna Angielka która lepiej niż rodzona matka dba o jej honor. Dowiedziawszy się tego wszystkiego, kazałam wezwać tę malarkę i zadałam jej jeszcze parę pytań przez mademoiselle de Boline. Spodobało mi się to, co rzekła, były to bowiem rzeczy nadzwyczaj budujące, zwłaszcza jak na osobę tak niskiej kondycji. Codziennie czyta nabożne książki i tyle wie o życiu Najświętszej Dziewicy...

- Czyta książki, powiadasz?

- Och, doprawdy pouczające! O jednej opowiedziała mi dosyć dokładnie. Napisał ją pewien świątobliwy człowiek ku szczególnemu pożytkowi niewiast, zamężnych i owdowiałych. Tyle w niej dobrych rad i przykładów! Myślę, że warto nawet przełożyć ową księgę na francuski, by niosła naszym wdowom pomoc i pociechę.

- Angielskie cnoty po francusku, hmm... - mruknęła Małgorzata z osobliwym uśmiechem w kąciu ust. - Chętnie poznam tę malarkę, skoro taki to z niej cud świata. Przyślij ją do mnie, jak tylko znów cię odwiedzi. - Raz jeszcze przyjrzała się szkicowi. Nie ulegało wątpliwości, że musiał wyjść spod ręki tej samej osoby, co przysłana przez de Longueville'a miniatura angielskiej księżniczki. Zaiste cnotliwa to osoba, skoro udaje ducha! Dowiem się, jak to było, i zdrowo pokpię z Longueville'a, przyrzekła sobie Małgorzata. Jednakże pomysł tryptyku przypadł jej do gustu. Dobrze by było zamówić sobie coś takiego. Klaudia nie docenia kunsztu tej artystki, jest naiwna i nie ma pojęcia o malarstwie. Gdyby narysować małpę i powiedzieć, że to jej matka, też by była wniebowzięta.

Z głębi korytarza dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi i pospiesznych kroków. Ktoś biegł przez długi rząd komnat prowadzących do apartamentów Klaudii. Po chwili do go to walni wpadła młoda, ciężko zdyszana służąca w przekrzywionym czepku.

- Madame, madame, o, jakież skandal! Angielska królowa zalewa się łzami w swoich komnatach, a z nią razem wszystkie jej damy!

- Dlaczego? - spytała Małgorzata w imieniu wszystkich obecnych, które zastygły w niemym oczekiwaniu na dalsze wieści.

- Król odprawił cały angielski orszak królowej. Odtąd służyć jej mają sami Francuzi. Taki wydał rozkaz.

- Wiesz coś więcej? Jaka jest tego przyczyna?

- Och, miłośniwy pan zgniwał się strasznie na tę madame Gil'for że za bardzo zadziera nosa i że to ona decyduje, kogo przyjmie królowa, a kogo nie. Nawet on sam, powiada, nie może poweselić się z małżonką, bo tamta wciąż siedzi w komnacie, a przy kimś, kogo nie lubi, nasz pan nie umie być wesół. Kocha małżonkę, powiada, jak nikogo w świecie, lecz nawet i jej wolałby się wyrzec, niż znosić obecność kogoś takiego jak ta madame

Gil'for'. No i teraz królowa płacze, a król leży w łóżku, bo go znowu napadła podagra. Ciężko mu nawet się ruszyć.

Klaudia i jej damy zbiły się w grupkę wokół Małgorzaty, aby skomentować zasłyszane wieści.

- To prawda, że za dużo było tych Angielek.

- I w istocie zadzierały nosa. Sama nie lubię tej madame Gil'for'. Straszna z niej jędza.

- Dobrze, że je odprawił. Tylko by pomagały królowej knuć intrygi, a król jest za stary, by mógł z tym dać sobie radę.

- Chodzi o honor Francji...

- Oj, ale to niedobrze! - wykrzyknęła Klaudia. - Bo jeśli zaraz wyjadą, malarka nie ukończy mi tego obrazka! Muszę poprosić mojego pana, by postarał się trochę ułagodzić króla. Nie powinien odprawiać ani malarki, ani tej czarującej Nan de Boline. O, ani też mademoiselle Bouchier, wszak to prawie Francuzka! One z pewnością nie są mu tak niemiłe, jak owa wyniosła i harda madame Gil'for'.

Jak zwykle ostatnie słowo miała oczywiście Gaillarde. Korzystając z przysługującego błaznom prawa do zuchwalstwa, jednym skokiem rozsiadła się w fotelu Klaudii, arogancko uniosła nos w górę, po czym oświadczyła, przybierając uciesznie angielski akcent:

- Bardzo mi przykro - tu nastąpiło wzgardliwe parsknięcie - lecz jej królewska wysokość dzisiaj nie przyjmuje. Kim jesteś, waszmość? Papieżem?... Niezmiernie żałuję, lecz i ty, święty ojcze, będziesz musiał zaczekać w kolejce. Proszę do antykamery! Pytasz, kim jestem? Madame Gil'for z Reechmon', niewiasta wielkiego znaczenia! Co, nie słyszałeś o Reechmon'? W takim razie niegodzien jesteś ze mną mówić!

Damy pokładały się ze śmiechu: ach, ten angielski snobizm! Cóż za prowincjusze z tych Anglików. Gaillarde tymczasem sama zaczęła bić sobie brawo, brzęcząc do wtóru mnóstwem błazeńskich dzwoneczków przy swojej czerwonej aksamitnej sukni.

## PORTRET DZIEWIĄTY

*„Dama przy wirginalu”. Rysunek na podmalowanym papierze. 20,3 x 22,8 cm. Malarz nieznan. Początek wieku XVI. J. Paul Getty Museum.*

*Ten uroczy rysunek, błędnie sygnowany w lewym górnym rogu jako portret młodocianej Anny Boleyn, przedstawia scenkę rodzajową z okresu wczesnego Odrodzenia: typowy wieczór w zamożnym domu. Dwie urodziwe pary w strojach włoskich śpiewają przy stole na głosy; specjalna „stołowa” tabulatura ułatwia odczytywanie zapisu z każdej z czterech stron. Starsza kobieta drzemie nad haftem. Pod stołem dwa malutkie pieski wrywają sobie jakiś kąsek. Stojący za wirginałem młodzieniec o lisich oczkach i długim nosie pomaga damie przewracać zapisane nutami strony, przy czym niebezpiecznie nisko pochyla się nad jej biustem. Rodzinna atmosfera i humor tej scenki, podobnie jak sama technika rysunku, precyzyjna, choć nieco konwencjonalna, wskazują na szkołę flamandzką.*

Katalog wystawowy J.P. Getty Museum: Rysunek doby Renesansu

Zrobiłam ten portret na prośbę lady Anny, która chciała wysłać go ojcu, lecz że z powodu pewnych wydarzeń wysyłka nie doszła do skutku, zachowałam sobie ów rysunek, podobnie jak wiele innych. Lady Anna, smukła i ciemnowłosa, była niezwykle bystra i bardzo ciekawie się z nią rozmawiała, sprawnie też grała na kilku różnych instrumentach. U jednej ręki miała szósty palec, który przeważnie ukrywała w fałdach spódnicy, wyjąwszy chwile, gdy przychodziło jej grać. Nie narysowałam tego palca, bo to by ją rozgniewało. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że jej przeznaczeniem będzie zostać królową, a właśnie tak się stało, co wszakże wykracza poza ramy mojej opowieści. Mnie zawsze się wydawało, że lady Anna poślubi raczej jakiegoś bogatego wiejskiego szlachcica, któremu będzie wciąż podpowiadać, jak robić karierę na dworze i ubiegać się o awanse, o, bo na tym znała się bardzo dobrze. I tak pewnie byłoby dla niej lepiej.

W komnatach królowej w Abbeville panował grobowy nastrój. Sama jej wysokość z oczyma zaczerwienionymi od płaczu dyktowała sekretarzowi rozpaczliwy list do brata. Ułożony był naprędce, bo i sprawa nie cierpiała zwłoki. Blade twarze kilkunastu otaczających ją dam wymownie świadczyły o ich smutku, o tym, jak bardzo czują się upokorzone nagłym wydaleniem z dworu. W przyległych komnatach, kuchniach, spiżarniach i stajniach było jeszcze gorzej. Zrozpaczeni ludzie bezradnie opuścili ręce. Czym opłacić podróż do Anglii? I kto ich teraz zatrudni? Na Wyspie dość było służby. Muzykanci, kucharze, stajenni mieli słuszne powody do obaw, że na stałe zostaną bez pracy. W głosach ośmiu trębaczy zbitych w smętną grupkę na dziedzińcu słyhać było największą gorycz. Ilu w Anglii jest tak wielkich panów, by potrzebni im byli trębacze? W jednej chwili ze szczytu strącono ich w przepaść; jeszcze wczoraj pełnili zaszczytną służbę, dziś stali się nędzarnami.

- Muszę zapłacić tym ludziom... - jęknęła królowa, przerywając list w pół zdania. - Co oni poczną? Wiernie mi przecież służyli!

- Musisz, wasza wysokość, poprosić swego małżonka, by opłacił im podróż do Anglii - odrzekł jej sekretarz.

- Cokolwiek uczynisz, pani, czyn tak, by go nie rozgniewać - dodała jedna z dam dworu. - Zaczekaj, aż król cię wezwie, a potem bądź wobec niego uległa i staraj mu się przypodobać. Jeśli zaczniesz stawiać żądania, zatnie się w uporze... Lepiej spróbuj go oczarować. Twa prośba musi być tak słodka, by monarcha nie mógł jej się oprzeć.

Królowa na chwilę zamilkła, bo ogarnęła ją zgroza. Więc taki jest los królowej?, myślała z rozpaczą dziecka, które nagle poczuło się oszukane. Mam być tutaj żebraczką, która musi stale dopraszać się łaski, otoczoną, co gorsza, zgrają spiskujących cudzoziemców? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Dlaczego samej nie przyszło mi to do głowy?

- Ależ ja muszę mieć przy sobie lady Guildford! - powiedziała żałośnie. - Kto mi będzie doradzał, gdy opuszczą mnie wszyscy starsi i mądrzejsi? Och, gdybyż tu był jego eminencja arcybiskup Jorku! Jest taki zręczny! On z pewnością umiałby przekonać króla, że nie powinien oddalać mojej zacnej, mojej drogiej lady Guildford! - W jej rozgorączkowanych oczach malowała się prawdziwa rozpacz. I coś tak strasznie dławilo ją w gardle. Prawda, list. Trzeba powiadomić Henryka. Lady Guildford na skutek złych wieści zaniemogła; młoda królowa, przyzwyczajona do stałej obecności starej damy, już teraz miała przedsmak tego, co ją czeka. Czuła się taka samotna i zagubiona.

- Wasza wysokość, po liście do najjaśniejszego pana napisz zaraz drugi do

arcybiskupa - podsunął któryś z dworskich urzędników. - Kiedy król, powodowany braterskim afektem, zechce podjąć stosowne działania, lord kanclerz podpowie mu z pewnością tysiąc sposobów, dzięki którym będziemy tu mogli wrócić.

Tak, pomyślała księżniczka, ma rację. Wolsey jest tak przebiegły! Na pewno coś wymyśli i obaj z Henrykiem sprawią, że król Francji przyjmie moich ludzi z powrotem.

- Pisz od miejsca, gdzieśmy przerwali - przykazała sekretarzowi, po czym dla uspokojenia nerwów kilka razy głęboko odetchnęła. - Napisz memu bratu, że zostaję sama, ponieważ już w dzień po ślubie odprawiono mego szambelana, a z nim wszystkich dworskich urzędników. Taki sam los spotkał drogą memu sercu madame Guildford, jak również wszystkie prawie moje damy i pokojówki z wyjątkiem kilku, którym brak doświadczenia i wiedzy, by w razie potrzeby służyć mi radą. Jest zatem więcej - powodów do obaw, niż sądził jego miłość arcybiskup w dniu mego wyjazdu do Francji. O tym wszakże opowie lady Guildford, jaśniej aniżeli ja mogę napisać... Tu dodaj, iż zaklinam króla, aby uwierzył jej słowom. - Tak, lady Guildford musi pomówić z Henrykiem na osobności. To, czego nie można napisać w liście, jest najważniejsze, dumiała księżniczka. Miała nadzieję, iż to przede wszystkim zmusi brata do podjęcia szybkich i skutecznych działań. Henrykowi koniecznie trzeba powtórzyć to, co ostatnio wyznał jej lekarz: król Francji nie pożyje nawet tak długo, aby spłodzić następcę tronu. Tymczasem obecny następca narzuca jej się ze swymi tak dalece niestosownymi względami, że honor królowej jest zagrożony. Wszystkie wielkie nadzieje Anglii wiszą dosłownie na włosku. Och, lady Guildford musi mu o tym powiedzieć! A także o tym, że dwór francuski to istny labirynt krzyżujących się spisków i intryg, zbyt trudnych do zgłębienia dla młodej osamotnionej cudzoziemki. Henryk musi doprawdy coś zrobić, by lady Guildford mogła tu powrócić. Tak bardzo potrzebny mi jest ktoś, kto wie, jak poruszać się w tym labiryncie. Henryk musi to zrozumieć, musi!

Po południu wezwał ją Ludwik. Błada i przerażona, lecz mimo to zdecydowana zrobić co w jej mocy, zasiadła z lutnią u jego wezgłowia. Gdy król zobaczył, jaka jest pokorna i jak pragnie mu się przypodobać, w jego zapadniętych oczach pojawił się błysk, a przez bezkrwiste wargi przemknął drapieżny uśmiezek. Nie jestem zbyt stary, żeby okiełznać tę klaczkę, pomyślał z zadowoleniem.

- Zagraj mi coś angielskiego - zażądał. - Chcę być dzisiaj wesół.

Spełniła jego życzenie. Uznał w duchu, że jest czarująca. Przez całe cztery godziny grała mu hiszpańskie pawany, swym dźwięcznym dziewczęcym głosem śpiewała angielskie ballady i irlandzkie pieśni. Słuchał z zamkniętymi oczyma i głową wspartą na poduszkach; chwilami zrywał się nagle i siadał, by ukryć coraz większą słabość. Zadała mu w końcu



zagadkę. Roześmiał się ubawiony. Doszedł do wniosku, że jest doprawdy rozkoszna.

- Panie mój - zwróciła się do niego tak słodko, iż odgadł, że zaraz nastąpi prośba, pewnie o drogą błyskotkę. - Królu, czy mogę cię prosić o łaskę? - Przyzwolił dobrotliwym skinieniem głowy. - Czy spośród wszystkich mych sług raczyłbyś zostawić mi jedną? Mówię o lady Guildford. Jest mi bardzo droga. To moja opiekunka. Była przy mnie od niemowlęctwa... - Wypowiedziawszy te słowa, zobaczyła, że oczy króla są jak dwa czarne i zimne kamyki, a twarz przypomina trupią czaszkę ledwo obciążoną suchą i cienką jak pergamin skórą.

- Nie życzę sobie słyszeć nazwiska tej damy! - rzekł ostro.

Zamilkła przerażona. Słyszała głośnie bicie swego serca, czuła, jak wilgotnieją jej ręce, bo oto uświadomiła sobie z jakże okrutną ostrością, że nie jest już tamtą rozpieszczaną przez wszystkich księżniczką, która mogła niczego się nie bać. Zrozumiała, że życie na tym dworze grozi mnóstwem niebezpieczeństw, a ona nie ma nikogo, kto by ją przed nimi chronił. Że ten człowiek, jej mąż, może zrobić z nią wszystko, co mu się podoba. Napawał ją lękiem, lecz jednocześnie poczuła, jak wzbiera w niej złość, niepohamowana, gwałtowna wściekłość Tudorów. Kim jest ten staruch, by miał prawo sycić się jej młodością, odbierać jej radość życia? Wydał jej się upiorem, który wstaje z grobu, by karmić się krwią żyjących i przedłużać w ten sposób własne przeciwne naturze istnienie.

- Wkrótce się przekonasz, że i bez niej będziesz szczęśliwa - oświadczył. - Poza tym staraj mi się podobać i we wszystkim mnie zadowalać.

- Takie jest i moje jedyne pragnienie, panie mój i królu - odrzekła, pochylając głowę. Jeszcze przed chwilą widziała w nim monarchę, czy raczej otaczający go przepych, bogactwo i władzę, teraz ujrzała człowieka. Brakuje mu zębów, skonstatowała trzeźwo, ma cuchnący oddech i pomarszczoną ropiejącą skórę. Cały przeżarty jest jakąś chorobą. Jego zużyte ciało budziło w niej już tylko wstręt. Pojęła, że ją oszukano. Zostałam sprzedana, pomyślała. I kto to zrobił? Mój brat. Nie, Henryk nic nie uczyni, aby lady Guildford tu wróciła. On wiedział wszystko od początku, mimo to postanowił zaryzykować. Tak, tylko że ja za to płacę. I co mnie tu czeka? Zginę. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu to zepsute dziecko poczuło prawdziwy strach.

W dwa dni później Abbeville opustoszało. Z Hotel de la Gruthuse ruszyła świetna kawalkada, kierując się w stronę Paryża. Straż przednią stanowiło kilkuset francuskich żołnierzy i konnych gwardzistów. Dalej jechali bogaci wielmoże na ciężkich bojowych rumakach, zdobnych we wspaniałe rzędy, złoto i aksamity. Wśród nich znajdował się sam

monarcha, podróżujący w wygodnej lektyce, niesionej przez dwie czarne klacze; królowa jechała wierzchem u jego boku. Tuż za nią trzymała się nieliczna grupka Anglików, którym w drodze wyjątku pozwolono pozostać w służbie królowej: jałmużnik, lekarz, koniuszy oraz pół tuzina dam dworu. Za nimi szły złożone wozy z ciężkimi posagowymi srebrami, z trudem posuwając się naprzód, koła ich bowiem nieustannie grzęzły w głębokich koleinach i błocie. Długi orszak białych angielskich palfreyów prowadzili teraz Francuzi. Pojedynczy angielscy służący, których nie odprawiono do Anglii, utonęli w nieprzelicznym mrowiu francuskiej służby i juczych mułów. Cała ta olbrzymia armia towarzyszyła królowi podczas wszystkich jego podróży. Na widok pochodu wieśniacy wylęgali z domów i zdjęci zbożnym podziwem, klękali w błocie. Nie co dzień widuje się samego króla i piękną angielską księżniczkę. Królewski pochód zmierzał do Saint Denis na koronację nowej królowej Francji.

Tego samego dnia Abbeville opuściła wielka gromada Anglików, by udać się w stronę przeciwną. Z przodu widać było grupki konnych wielmożów, grubo opatulonych przed zimmem, za którymi szły juczne muły, z tyłu zaś setki pieszego pospólstwa, dźwigającego na karkach cały swój dobytek. Niebo nad ich głowami miało barwę stali. Czekala ich długa droga do Boulogne, a potem przeprawa przez Kanał, jakże niebezpieczna o tej porze roku.

Było tuż po północy. Nad wiejskim cmentarzem wisiał półksiężyc, tak nisko, jakby spadł z nieba i utknął wśród nagich gałęzi. Za drzewami, niewyraźna w bladej poświacie, majaczyła czworokątna kamienna wieża normańskiego kościoła.

- Że też byle prawniczynek musieli pochować tak blisko kościoła! Pewnikiem ktoś nas usłyszy. I tak już dość nam narobił fatygi, że się kazał pochować w tej wiosce, taki świat drogi od miasta! - wyrzekł krzepki mężczyzna, niosący zapaloną pochodnię i szpadel.

- Przeklęty nędznik! Powinni go byli pogrzebać w nie poświęconej ziemi - oświadczył sir Septimus Crouch. - Przecież to jego wina, że umarł. Sprzeciwił mi się, co równe jest samobójstwu, czyż nie? - Po tych słowach roześmiał się z własnego żartu. - No, ale teraz już mi się nie sprzeciwi!

Obnażywszy zęby jak wilk, wyjął spod szaty białą nekromancką różdżkę. Upajało go chłodne powietrze nocy, przesycone lekką, acz wyraźną wonią rozkładu. Czuł, jak rozwiewa mu włosy, wnikając w ich czarną gęstwę przeciętą dwiema białymi smugami niby-rogów. Nozdrza mu się rozdęły, w zielonych oczach zamigotało szaleństwo. Tej nocy zmarły przemówi, a on, Septimus Crouch, dostanie nareszcie środkową część księgi proroctw, ostatnią. Głupiec z tego Ludlowa, skoro myślał, że zdoła mi umknąć, roześmiał się w duchu. Nawet śmierć go przede mną nie uchroni! Pomocnicy Croucha, jego kucharz i lokaj, zniżyli pochodnie, by ich pan mógł oprószyć płomień szczyptą specjalnej mieszanki złożonej z lulka, cykuty, opium i mandragory.

- A teraz krąg - zakomenderował Crouch, wyciągając miecz spod rytualnej szaty i obrysowując jego końcem mogiłę Ludlowa w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Wilgotna ziemia nad trumną nie zdążyła jeszcze dobrze stwardnieć. Dwaj mężczyźni odrzucili ją bez wysiłku i wkrótce rozległ się zgrzyt łopat o drewno.

- Przyzywam cię przez Beralda, Beroalda, Balbina, Gabę, Gabora tudzież Agabę! Nakazuję ci powstać! - śpiewnie wyrecytował Crouch, dotykając trumny białą różdżką.

- Na twoim miejscu dałbym sobie z tym spokój - rozległ się nagle czyjś głos. Brzmiała w nim wyraźna kpina. Crouch szybko zerknął w stronę bramy, lecz przy wejściu na cmentarz nie było nikogo. - Źle patrzysz. Jestem tutaj, nad tobą - powiedział głos. Było w nim coś takiego, że nawet Crouch poczuł, jak cierpnie mu skóra. Dwaj jego pomocnicy, choć nawykli do czarnoksięskich praktyk swego pana, ze zgrozą patrzyli w górę. Powietrze nad ich głowami zaczęło bowiem wirować, wir ten zaś z wolna nabierał kształtów. Coś... jakaś istota,

mglista niby para ludzkiego oddechu w mroźny dzień, zawisała dokładnie nad trumną.

- Precz, duchu, kimkolwiek jesteś! - rozkazał Crouch, ujmując wiszący na szyi talizman.

- Będzie mi tu mówił „precz”! Oszczędź sobie tych bzdur.

Teraz już Crouch rozpoznał ten urągliwy głos. Głos z lustra.

Belfegor! W kłębach szarawej mgły zaczął rozróżniać poszczególne fragmenty materializującej się postaci: długi nochal, małe wąskie oczka, krzaczaste brwi, chude żylaste ramiona, bardzo długie i brzydkie palce. Całość wyglądała paskudnie, zwłaszcza że demon był nagi. Crouch chłodnym okiem badacza zarejestrował następnie koźli ogon oraz włochate, też bardzo podobne do koźlich nogi. Natychmiast przyszło mu na myśl, że po raz pierwszy widzi Belfegora tak wyraźnie. Nigdy dotąd jego cielesna manifestacja nie była tak pełna. Musiał się gdzieś dobrze najeść. Ciekawe, czy ma też kopytka? Lecz nie. Długie kościste stopy z guzowatymi naroślami na paluchach - z każdego guza wyrastała kępka szorstkich włosów - w niczym nie przypominały koźlich. A już co do przyrodzenia... ho, ho, nie mógłby się z nim równać żaden najjurniejszy nawet cap. Crouch, wielki badacz i znawca demonów, był tym doprawdy zafascynowany. I oto nagle uświadomił sobie z lekkim rozbawieniem, jaka to przyczyna przywiodła tu Belfegora. No jakże, żywi się emanacją mych zbrodni!, powiedział sobie z triumfem. Dlatego chodzi za mną jak wygłodniały kundel za pętem pachnącej kielbasy. Dzięki mnie nabrał tyle „ciała”. Przedtem nie wyglądał tak solidnie. Jasne jest też i to, dlaczego raz po raz mi się pokazuje: chce mnie rozdrażnić, podkusić do nowych wyczynów. Ostrożnie, Septimusię, ostrożnie, a rychło będziesz go miał. W końcu nie tak trudno go podejść. Nie jest to umysł na miarę Lucyfera. Oblókłszy oblicze w promienny uśmiech, Crouch skłonił się szarmancko zielonkawej zjawie i spytał:

- Cóż to się stało, lordzie Belfegorze, że zaszczytasz swą obecnością ten nasz skromny nekromacki eksperyment?

- Nieudany eksperyment - poprawił go Belfegor. - Pokpiłeś sprawę, Crouch. W ten sposób umrzyk nigdy nie wstanie ci z grobu.

- Co ty gadasz. Zrobiłem wszystko, co trzeba! Przez dziewięć dni z rzędu jadłem psie mięso, a od wczorajszego wieczoru mam na sobie całun zdjęty z nieboszczyka. Niech ci się nie zdaje, że rozmawiasz z amatorem - obruszył się Crouch. Był tak pewny siebie, że zrobił się arogancki.

- Jadłeś sól - stwierdził Belfegor.

- Nic podobnego!

- Panie... - bąknął krzepki kucharz. Crouch obrócił się błyskawicznie i trzepnął go

różdżką po karku.

- To ty! Ty coś posoliłeś!

- Nie, dopraszam się łaski! Ale pamiętasz, panie, ten chleb, coś go przyniósł prosto od piekarza? Mówilem, żeby nie jeść.

- Ha! - wtrącił Belfegor. - No i kto miał rację! Nigdy nie przecz słowom demona. A teraz posłuchaj mnie, Crouch. Postanowiłem ujawnić przed tobą ukryte skarby tej ziemi... w zamian za parę przysług.

- Jeśli chodzi ci o moją duszę, to bardzo żałuję, lecz już podpisałem cyrograf. Ma go lord Belzebub. Myślę jednak, że taka jak ty znakomitość mogłaby przecie jakoś się z nim ułożyć...

- No wiesz, Crouch! Wszak to czyste kpiny! Nie interesują mnie zużyte dusze, w dodatku na takich warunkach. Dowiedz się, że mam pod tym względem swoje wymagania. Ładna dziewica, nabożna wdowa czy choćby świeżo wyświęcony książyk to rozumiem, z takich dusz cnota aż bucha. Świeżutkie, prawie jak nowe, a twoja? To już nawet nie ostatni gatunek. Próchno. Nie, chodzi mi o co innego. Słyszałem, że wielki z ciebie znawca starożytności. A na genealogii się znasz?

- Nawet bardzo dobrze. Genealogia wchodzi w skład wiedzy o starożytności, stanowi ponadto elegancki przedmiot studiów, odpowiedni dla każdego szanującego się dżentelmena. Czy wasza lordowska mość życzy sobie podjąć takie studia? Jeśli tak, mogę z najwyższą przyjemnością polecić ci wszystkie me skromne talenty. Byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt, gdybyś zechciał zostać moim uczniem. Rozkaż mi wywieść rodowód cesarów aż po dzień dzisiejszy, a bez zająknięcia wyrecytuję ci imiona wszystkich ich potomków z dwiema tylko przerwami na oddech. Znam się też na starych pieczęciach i heraldyce, zgłębiłem dzieje wszystkich królewskich rodów...

- O właśnie, to mnie interesuje: królewskie rody. Co wiesz o królu Francji imieniem Filip... rok, czekaj, według waszej rachuby 1312. On chyba już umarł, co?

- Masz na myśli Filipa Pięknego z dynastii Kapetyngów. Tak, już pożegnał się z życiem.

- Miała zatem rację ta nędzna kula pierza - mruknął Belfegor.

- Co rzekłeś, milordzie? Powiedz, czym ci mogę służyć. - Wyczuwanie czyichś słabych punktów było główną specjalnością Croucha. Potrafił je wywęszyć nawet u demonów. Tu zresztą nietrudno było zauważyć, że z jakichś powodów Belfegor desperacko poszukuje wiedzy z zakresu genealogii. Postanowił pociągnąć demona za język. Tylko ostrożnie, ostrożnie. Trzeba mu schlebiać. Tak aby w końcu stać się dla niego kimś zgoła

niezastąpionym.

- Muszę poznać dzieje tej dynastii. A dzisiaj kto rządzi Francją?

- Walezjusze. To młodsza linia Kapetyngów.

- Ha, a więc rządzą nadal. Do kroćset! Ciężka mnie czeka mordęga. Tylu ich trzeba znaleźć i wyniszczyć - mruknął znów do siebie Belfegor.

- Czy wasza miłość potrzebuje pomocy?

- Nie żadna „miłość”, ty idioto! - warknął demon wściekle. Zielonkawy dym skłębił się nagle i zaczął dziko wirować. - Do mnie masz mówić „wasza diabelskość”!

Przerażeni słudzy upuścili pochodnie i przypadli do ziemi, osłaniając rękami głowy, lecz sir Septimus ani drgnął. Stał wyprostowany jak struna, oczy błyszczały mu ogniem niczym zielone diamenty, a mózg pracował coraz szybciej.

- Och, dobrze, oczywiście, wasza prześwietna diabelskość. - Drażliwa bestia, pomyślał.

- No, teraz już znacznie lepiej.

Skłębiony dym opadł na ziemię i nabrał wyraźniej szych kształtów. Kucharz i lokaj pomdleli. Crouch sapiąc ukląkł, podniósł syczącą pochodnię, którą kucharz upuścił w błoto, i skierował światło na demona. Miał teraz szansę przyjrzeć mu się z bliska.

- No i co, dość się napatrzyłeś? - rzucił z uśmiechem Belfegor, krzyżując chude ramiona. - Przejdźmy do interesu. Tak się składa, że mam coś do załatwienia wśród was, śmiertelników. Zamierzałem w tym celu przybrać ludzką postać, lecz... ktoś popsuł mi moje plany.

- Doprawdy? Chciałeś kogoś opętać?

- Nie, za dużo zachodu z utrzymaniem was w garści. Zamierzałem się narodzić.

No proszę, on już mi ufa, myślał podekscytowany Crouch. Tylko tak dalej. Trzeba go skłonić do dalszych zwierzeń.

- Wielka szkoda, naprawdę bardzo żałuję, że ci się nie powiodło - powiedział, udając szczere współczucie.

Belfegor przyjrzał mu się bacznie. Jako demon destrukcji miał i on swoje szczególne zdolności. Dobrze wiedział, czym wzbudzić najgorsze instynkty.

- Byłbyś jeszcze bardziej poruszony, gdybyś wiedział, że to nie ten umrzyk ukrył rzecz, na której tak ci zależy. W razie jakichkolwiek trudności zawsze szukaj kobiety, rozumiesz? Mogłeś sobie oszczędzić grzebania w tym grobie.

- Zuzanna Dallet, ta mała kłamliwa lisiczka! - Crouch z podniecenia i pasji omal nie upuścił pochodni. Belfegor, zadowolony z efektu, ponownie wzleciał w górę i zaczął kłębić

mu się nad głową.

- Masz na nią chętkę?

- A jakże! By ją rozedrzeć na strzępy. Pragnę manuskryptu, który przede mną ukryła. Na czyje zlecenie działa ta wiedźma? Wolseya? Pewnie jest agentką tego klechy. Powiedz mi, sprzedała mu rękopis? A może to Ashton go od niej wydebił?

- Pojechała do Francji z rozkazu tego tłściocha - oznajmił Belfegor.

- Przeklęta! Wiezie manuskrypt Walezjuszom! Wolsey chce pokrzyżować plany Zakonu. Teraz od Walezjuszy nie dostanę już ani grosza! - wymamrotał Crouch. Z wściekłości zaczął krążyć nad otwartym grobem.

- Co tam mruyczysz? Cóż tak ważnego jest w tym głupim skrawku pergaminu?

- Wielka Tajemnica, coś, co zgotuje zgubę Walezjuszom. Ten pergamin mówi o pewnym tajnym sprzysiężeniu. Można go sprzedać połowie władców Europy. A zamęt wyniknie z tego niebywały...

- Zamęt? Tak mi mów! W tym chętnie udzielię ci wsparcia. Wspólnie dołożymy Walezjuszom. Słuchaj, Crouch, powiem ci, czego chcę. Potrzebny mi pomocnik. Ktoś, kto zna się na tych waszych ludzkich sprawach, rozmnażaniu, małżeństwach, koligacjach. Nie chcę przez nieświadomość popełnić jakiegoś błędu. - Belfegor nastroszył brwi, a jego zielone oblicze jeszcze bardziej pozieleniało. Zniżył się teraz i zaczął krążyć nad Crouchem, popatrując na niego z bliska. - Powiem ci coś jeszcze. Wy, ludzie, wszyscy wyglądacie dla mnie jednakowo. No, z wyjątkiem takich jak ty. Ty i tobie podobni roztaczacie wokół siebie rozkoszny powiew zła... Krótko mówiąc, trudno mi was rozróżnić, pojmujesz, podczas gdy dla ciebie to fraszka. Wyświadczy mi zatem małą przysługę, a ja odsłonię przed tobą wszystkie skarby ziemi. Ach, widzę, że pragniesz władzy! Dam ci ją także. Chcesz jeszcze czegoś? Sławy, chwały, podziwu? Dostaniesz i to. Kobiet i innych cielesnych uciech? Ile tylko zapragniesz. Wszystko będzie twoje, jak tylko dokonam swego dzieła. Więc jak? Umowa stoi?

- Ależ oczywiście, milordzie! Cóż za wspaniały pomysł! Sam bym nic lepszego nie wymyślił! - wykrzyknął Crouch. Ogarnęło go uniesienie. Demon z własnej woli wlaźł w zastawioną pułapkę, sam się w nią złapał! Teraz trzeba go tylko utrzymać. Wybadać, jakie ma słabostki, pozyskać jego zaufanie, poznać sekrety. Pomalutku, krok po kroczku. A jeśli spróbuje coś zataić? Nie szkodzi, pomyślał triumfalnie. Czarodziejskie zwierciadło mi to ujawni. Kiedy się dowiem, jaką dysponuje mocą, podporządkuję ją sobie. Udatnie maskując rozpierające go emocje, zapytał uprzejmie: - Życzysz sobie kontraktu, milordzie? Podpisanego krwią czy może inną jakąś cieczą?

- Dajmy temu spokój, przyjacielu - odrzekł demon jowialnie. - Między nami, przekłętymi, wystarczy słowo. Przypieczętuujemy je uściskiem dłoni. - Wyciągnął ku Crouchowi swoje dymne, przezroczyście palce, które ten bez wahania uściśnił. Nawet przez rękawicę ów dotyk przejął go mrozem, a włosy na głowie stanęły mu dęba. Następnego dnia, spojrzawszy w lustro podstawione przez cyrulika, miał się przekonać, że włosy mu całkiem zbieleły, czym zresztą zbytnio się nie przejął, pewny, że zawładnąwszy mocą demona, przywróci im dawny kolor. Teraz wszakże zadrżał; rękę miał zimną jak lód.

- Zimno? - spytał z udaną troską Belfegor. - Zakończmy więc sprawę w twym domu nad kubkiem grzanego wina.

- Najpierw przywróć przytomność moim sługom. Nie zabiłeś ich chyba, co?

- Sam będziesz musiał to zrobić. Żyją, pomdleli tylko. Potrząśnij nimi, to się ockną.

- A ty nie możesz? - spytał Crouch i natychmiast tego pożałował.

- Pewnie, że nie, ty głupcze! - fuknął Belfegor ze złością. - Jak myślisz, po co potrzebne mi było ciało, którego pozbawiła mnie niecna sztuczka tej nędznej kupy pierza imieniem Hadriel i jego głupiej współpracownicy? Bez ciała, ty zakuta pało, nie jestem w stanie poruszyć żadnej rzeczy na tej waszej zakichanej ziemi! Mogę najwyżej sprawić, aby stało się to, co i tak stać się miało, rozumiesz? By urwał się liść, co już ledwo wisiał, a z burzowej chmury zaczęło padać. Żeby obluźniona dachówka trafiła kogoś w głowę i tak dalej. Mogę podsycać klótnię i gromadzić gradowe chmury, pod warunkiem że są już na niebie

- sierdził się Belfegor, krążąc nad nieprzytomnymi służącymi Croucha. Najwyraźniej drażnił go ich widok czy raczej własna bezsilność. - Jak ci się zdaje, dlaczego demony podżegają ludzi, sącząc im w ucho złe myśli? Gdybyśmy mogli wszystko zrobić sami, kto by się z wami męczył? - Prawda, pomyślał zaskoczony Crouch. Że też mi to nigdy nie przyszło do głowy. - Ci twoi sługusi nieprędko się jeszcze obudzą - oznajmił cierpko Belfegor - chyba że wymierzysz każdemu tęgiego kopniaka.

Crouch posłusznie zastosował się do jego rady. Poskutkowało.

- Wiesz, jakoś nie przypuszczałem, że... że musisz kogoś opętać, aby ruszyć coś z miejsca. - Zdumiewające, dopowiedział w myślach. Ale to bardzo dobrze. Przynajmniej nie pchniesz mnie sztyłem.

- Hej, Crouch, tylko nie wyciągaj z tego zbyt pochopnych wniosków. Pamiętaj, że wypadki wiszą w powietrzu. Tysiącami, wiesz? Mnie to wystarczy, bym mógł przeprowadzić każdy swój zamysł. Choćby taki giez. Niby może ukąsić każdego konia, a ja sprawię, że utnie tego, co trzeba... no i jeździec połamie sobie kości. Statki też umiem zatapiać... - Belfegor zamilkł na chwilę? zirytowało go bowiem wspomnienie galeonu, którego nie udało mu się



wywrócić. Tak, bo znowu ktoś mu przeszkodził. Ze złości zaczął się rozpląwać.

- Ach, wasza wielmożna diabelskość, nawet na chwilę nie zwątpiłem o twej potędze - pospieszył zapewnić go Crouch.

- To dobrze - burknął Belfegor. - A teraz siadaj na muła, ja zaś polecę za tobą do miasta. Chodźmy. - Z tymi słowy położył chudą rękę na karku Croucha. Ruszyli w stronę spętanych mułów niby dwaj serdeczni przyjaciele.

- Pozwól, drogi milordzie, że coś ci zasugeruję - odezwał się sir Septimus. Rewanżując się demonowi, poufale objął go w pól i znów poczuł w ciele przenikliwe zimno. Tym razem zniósł to prawie bez drgnienia i mówił dalej: - Myślę, że śmiało możesz wejść między ludzi we własnej postaci, potrzebne ci są tylko eleganckie stroje. Jedyne, co cię może zdradzać, to ten koźli ogon, bo co się tyczy niezupełnej widzialności... nie ma się czym przejmować. Większość ludzi na widok pięknego stroju wpada w taki podziw, że poza nim nic już nie dostrzega. Nie wzbudzisz żadnych podejrzeń. Nawet twój kodopis wcale nie będzie większy od tych, które nieraz widuję na dworze. Rano pogadamy z moim krawcem. Zobaczysz, zrobimy z ciebie prawdziwego eleganta!

- A wiesz, przyjacielu, że to świetny pomysł! Co byś powiedział na wspólną podróż? Myślę odwiedzić Paryż. Mam tam coś do załatwienia.

- Często bywam w Paryżu, mój drogi. Tamtejsza moda nieco się różni od naszej, będzie ci więc potrzebny drugi komplet strojów.

- A cóż to takiego ta moda? Jak ci mówiłem, brak mi wiedzy o ludzkich obyczajach. Musisz mnie z nimi zapoznać, drogi przyjacielu - odparł przymilnie Belfegor. Już zaczął sobie wyobrażać, jak bardzo podniesie swój prestiż dzięki eleganckim strojom... Lucyfer ma takie wykwintne maniery... Gdyby udało mu się opanować chociaż kilka owych gładkich zwrotów, którymi operuje ten Crouch...

Sir Septimus natychmiast wyczuł w nim tę isticie dziecięcą próżność.

- Znajomość mody - oświadczył - jest pierwszą oznaką dżentelmena. Dżentelmen musi też zawsze mieć doskonale skrojone ubrania. Chętnie cię tego nauczę. W Paryżu na przykład męska szata wierzchnia powinna być dłuższa niż te, które nosi się tutaj, i głębiej wycięta, aby wyeksponować dublet. A bielizna jaka elegancka! Koniecznie haftowana. Najmodniejsze są hafty hiszpańskie.

- Gdzieś słyszałem, że robią je zakonnice. To prawda?

- Prawda. Tobie będzie w nich bardzo do twarzy - beczelnie oświadczył Crouch. Pozwolił sobie na to grube pochlebstwo, doszedł bowiem do wniosku, iż wśród mnóstwa ludzkich przywar, które wchłonał w siebie Belfegor, najsilniejsza z pewnością jest próżność.

Dla mądrego płynie stąd nauka: bacz pilnie na to, czym się karmisz. Próżność! Jakże wygodna to dla mnie przywara, rozmyślał. Jak bardzo ułatwi mi zdobycie władzy nad niezbyt lotnym umysłem tego demona. Teraz już naprawdę go mam.

Słuchającym tej rozmowy sługom Croucha skóra cierpła ze strachu, lecz równocześnie rósł ich szacunek dla sir Septimusa. Bo jak tu nie podziwiać kogoś, kto bez zmrużenia oka potrafi zawrzeć przyjaźń z tak straszliwym nadprzyrodzonym monstrum?

Błotnistymi uliczkami Canterbury jechało trzech rycerzy w starodawnych płaszczach z czerwonym krzyżem, takich, jakie nosili niegdyś krzyżowcy wyprawiający się do Ziemi Świętej. Ci wszakże zmierzali ku bramie miejscowego zamku, kamiennej normańskiej budowli, opasanej warownym murem. O tym, że nie są to błędni rycerze, choć można by tak sądzić po ich strojach, świadczyła towarzysząca im gromada szlachty, zbrojnych domowników i jucnych koni. Cała grupa liczyła ponad stu ludzi. Skąd więc owo dziwne przebranie? Z okazji ślubu króla Ludwika XII i księżniczki Marii we Francji miał się odbyć tradycyjny turniej rycerski z udziałem najlepszych szermierzy obu królestw. Jego organizatorem i patronem był obecny następca tronu, książę Franciszek d'Angouleme. Dowódcą oddziału, który bronić miał honoru Anglii, został Charles Brandon, diuk Suffolk, najbliższy przyjaciel króla Henryka VIII, jego pomocnikami zaś lordowie Edward Neville i William Sidney. Panowie ci wszakże nie byli poinformowani, że Suffolk poza udziałem w turnieju ma do spełnienia inną jeszcze misję: wynegocjowanie zbrojnego angielsko-francuskiego przymierza przeciwko Ferdynandowi Aragońskiemu. Suffolk nie zdążył jeszcze zeskoczyć z siodła, kiedy na dziedziniec wpadł kurier; musiał bardzo się spieszyć, gdyż jego koń cały pokryty był pianą. Mimo dziwnego przebrania natychmiast rozpoznał diuka i krzyknął:

- Wieści przywożę, milordzie!

Suffolk także rozpoznał dworzanina; sam go wyprawił do Francji.

- Co się stało, sir Gerardzie? - zapytał, ściągając wodze. Jadący za nim gwardziści, rezydenci, konie obładowane turniejowym sprzętem, wszyscy zatrzymali się w bramie, czyniąc ją kompletnie nieprzejezdną.

- Król Francji odprawił całą świtę księżniczki! Wszystkich, których przywiozła z sobą z Anglii. Nawet lady Guildford! Ludzie ci, znosząc rozliczne uciążliwości, wracają teraz do kraju, a królowa została sama. Jest zrozpaczona.

Suffolk ściągnął gęste brwi, przypominające dwa czarne żuki. Kark nabiegł mu krwią, mięśnie na szczękach zaczęły drgać.

- To sprawka Howardów i Norfolkka. Oni namówili króla, by to zrobił.

- Niewątpliwie, milordzie, niewątpliwie. Wiem, że Norfolk plan ten zaakceptował.

Miałem rację, pomyślał Suffolk. Nie odznaczał się lotnym umysłem, ale gdy już ogarnął ogólny zarys jakiejś koncepcji, z uporem i zaciętością buldoga rozrywał ją na kawałki i oglądał ze wszystkich stron. I teraz było nie inaczej. Zaczął po kolei rozważać poszczególne elementy sytuacji. Król życzył sobie przymierza z Francją, ponieważ zdaniem Wolseya było ono korzystne dla Anglii. Suffolk poparł w tym arcybiskupa, stawiając na szalę całą swą karierę. Że otrzymał za to okrągłą sumkę z prywatnej szkatuły kanclerza? Nie uważał tego za grzech. A teraz Ludwik XII odprawił ludzi, których Wolsey osobiście dobrał księżniczce. Wraz z ich odejściem skończy się jego wpływ na królową. Suffolk znał Marię. Wiedział, co się z nią stanie bez lady Guildford. Zacznie się miotać, popełni jedną, potem drugą nieostrożność, jak to kobieta. Ba, żeby to jeszcze kobieta! Dziecko prawie, niedoświadczona młódka, której łatwo zawrócić w głowie, uwieść słodkim słówkiem, oszukać. Wystarczy jeden fałszywy krok i zrazi do siebie króla, czym podkopie całe przymierze. Rujnując zarazem karierę Wolseya i moją, dopowiedział sobie bardzo trzeźwo. A jeśli poczęła dziecko i z żalu je straci? Lub, co gorsza, jacyś francuscy wrogowie podsypią jej czegoś do jedzenia, żeby poroniła? To całkiem możliwe, teraz kiedy nie ma przy niej zaufanych osób. No a bez infanty wszelkie nadzieje Anglii pisane są palcem na wodzie. Suffolk nie miał już wątpliwości, że sprawcami ostatnich wydarzeń są Howardowie. Podkopują alians, chcą bowiem zniszczyć ich obu - Wolseya i jego; od dawna ma z nimi na pieńku. Och, gotowi są zrobić wszystko, byle tylko uzyskać wpływ na króla kosztem innych jego przyjaciół i doradców. Są jak sfora wilków. Liczy się tylko ich klan. Dla wywyższenia swego rodu nie cofną się przed niczym. Doszedłszy w swych rozważaniach do tego punktu, diuk podjął nagłą decyzję: trzeba zostawić ciężkie konie, ludzi i sprzęt i co tchu pędzić do Dover, a stamtąd do Francji. Traktat! Trzeba go wynegocjować, natychmiast, inaczej machinacje Howardów mogą odnieść zamierzony skutek.

Chcąc jak najszybciej przekazać królowi alarmujące wieści, Suffolk do późnej nocy biegał nad listem. Rękę miał niewprawną, ortografia również sprawiała mu wielki kłopot: za młodu częściej potykał się w szrankach niż ze swym nauczycielem. Kto by nazajutrz rano ujrzał trzech jeźdźców w szarych kapturach i płaszczach narzuconych na dziwne przebrania, jak gnają co koń wyskoczy ku wybrzeżu, mógłby wziąć ich za ożywione wizerunki błędnych rycerzy, którzy zeszli z portretów, aby spieszyć na pomoc swej nieszczęsnej królowej. Zdaniem Neville'a i Sidneya tak właśnie było.

- Wiesz, kto przybył do Calais? Ten diuk Suffoke! Nasz Franciszek pojechał go witać i zaprosić na łowy. Zapolują razem na odyńca, zanim spotkają się w szrankach - syknęła znacząco Ludwika Sabaudzka. Nozdrza miała ściśnięte, jakby węszyła spisek, spojrzenie drapieżne i bezlitosne jak u polującej fretki. - Król Anglii przysłała tego diuka niby to w charakterze ambasadora, lecz mówię ci, córko, że prawdziwy jego cel jest inny.

Na wieść o przyjeździe Charlesa Brandona madame Ludwika uznała za stosowne „ozdrowieć” wreszcie po długiej „niemocy” i udać się na koronację. Opuściła tedy swą większą posiadłość w Romorantin i rozstawnymi końmi pognęła w stronę Paryża. Do Saint Denis przybyła na dzień przed uroczystością, pólżąc w lektyce, blada tyleż od warstwy ryżowego pudru, co z furii. Zatrzymała się w tej samej rezydencji, co nie koronowana jeszcze królowa, której z rozkazu monarchy towarzyszyły: Klaudia, córka madame Ludwika, Małgorzata d’Alencon, oraz wieloletnia zaufana przyjaciółka, baronowa d’Aumont. Zaledwie się tam znalazła, natychmiast z najwyższą energią wznowiła konspiracyjne działania na rzecz Franciszka, kaptując informatorów, licząc wrogów i sojuszników. Trzeba zniweczyć knowania rywali. O, nie uda im się odsunąć Franciszka od tronu! Jej syn musi rządzić Francją, a ona nim.

- Suffoke? Który to, matko? - spytała Małgorzata. - Czy to ten stary brodaty intrygant, co wyjechał zaraz po ślubie?

- Nie, nie. Diuk jest od niego groźniejszy. Wiem z raportu de Longueville’a, że był kochankiem królowej. Henryk widać się lęka, że nasz król nie zdoła spłodzić syna, którego Anglicy tak pragną, by jego rękami skraść nam koronę, przysłała więc owego diuka, aby on dokonał dzieła. Mówi się, że zjechał na turniej, ha, ha, dobre sobie! W innych potyczkach ma się wslawić ten buhaj! Wyzuć naszego Franciszka z tego, co słusznie mu się należy! - Po tym namiętnym wybuchu Ludwika opadła na poduszki, odpoczywała bowiem na łożu w swoim żalobnym rynsztunku równie kompletnym, co nieskazitelnym. Wychowana na dworze dawnej regentki, swej zawziętej nieprzyjaciółki

- o, była to twarda szkoła! - nie potrafiła zrozumieć, że w życiu istnieją przypadki czy zbiegi okoliczności. Gdy zdarzało się coś takiego, a skutki owej sytuacji nie działały na korzyść Franciszka, Ludwika zawsze widziała w tym spisek i zwalczała tak samo zaciekle jak dziesiątki rzeczywistych intryg. Jej syn miał licznych wrogów, i nie zasypiali oni gruszek w popiele. - Cierpię nieznośnie, moje dziecko - poinformowała teraz Małgorzatę, przesuując ręką po czole. - Musisz mi pomóc.

Stojąca u wezłowania diusza d’Alencon spojrzała na nią z niepokojem.

- Ach, ci Anglicy! Doprawdy brak im wszelkich skrupułów! Cóż za straszny intrygant

z tego Wolseya!

- Słuchaj, moje dziecko - zapalczywie rzuciła Ludwika, gwałtownie siadając na łożku - królowa ani przez chwilę nie może pozostać sama, zwłaszcza gdy zjawi się tutaj ten Suffoke. Powiedz to Klaudii i baronowej d'Aumont. Nie wolno mu dawać najmniejszej okazji do spłodzenia angielskiego bękarta. - Silnymi jak kleszcze palcami chwyciła córkę za ramię i przyciągnęła bliżej. - Wbij Klaudii do głowy, że to jej obowiązek! Wobec Francji i wobec jej przyszłych dzieci, które niechybnie zostaną wydziedziczone, jeśli teraz nie będzie czujna! Upewnij się, że zrozumiała i że w chwili słabości nie wypaple wszystkiego przed kimś niepowołanym. Polegam na tobie, córko! Pamiętaj, ani chwili samotności! Pamiętaj o tym, jeśli kochasz brata!

- Będę pamiętała - odrzekła Małgorzata. Zaraz też pożegnała matkę, by powrócić do galerii, gdzie królowa, jej damy i Klaudia oddawały się różnym rozrywkom w oczekiwaniu na obiad.

Po obu stronach wielkiej sali dymiły w koszach rozżarzone węgle, osuszając wilgotne powietrze, rozpięte zaś na stojących pod ścianami ramach grube arrasy i inne kosztowne tkaniny zatrzymywały chłód bijący ze starych kamiennych murów. Mimo to jedwabne stroje kobiet bramowane były futrem, a wysadzone klejnotami wymyślne nakrycia głowy i aksamitne kaptury w równym stopniu służyły ozdobie, co i ochronie przed zimmem. Królowa grała w karty z lady Grey i baronową d'Aumont, podczas gdy czarująca lady Nan Boleyn, wychowana na dworze regentki Niderlandów (stąd jej doskonała francuszczyzna i nieskazitelne maniery), wyjaśniała zasady tej nieznannej angielskiej gry francuskim obserwatorom. To, że lady Boleyn nie odesłano do Anglii, było zasługą Klaudii, która wstawiła się za nią, uzasadniając swą prośbę argumentem: „Jest tak dobrze wychowana, że trudno ją nazwać Angielką”.

Sama Klaudia nie brała udziału w grze. Karty wprawiały ją w popłoch, a już nowe gry w szczególności. W dodatku od cudzoziemskiego akcentu partnerek zaczynała boleć ją głowa. Siedząc i teraz z dala od grających na wyściełanej poduszkami ławie, słuchała nabożnych medytacji, odczytywanych głośno przez lektorkę. Głowę trzymała tak sztywno, że zwróciło to uwagę Małgorzaty. Bystre oko diuszesy natychmiast też dostrzegło przyczynę owej dziwnej pozycji. Była nią młoda kobieta w żałobnej sukni i czarnym jedwabnym chałacie. Przed sobą miała malutką, sprytnie skonstruowaną sztalugę na składanych nóżkach, w ręku zaś jeden z całej kolekcji maleńkich pędzelków. Małgorzata mimo woli przystanęła, zapominając na chwilę o swej ważnej misji. Pod jej długim nosem zaigrał uśmiezek, w inteligentnych oczach zapalił się błysk: wiedziała, kim jest ta kobieta!

Przyjrzała się sztaludze. Do tablicy przypięty był mały prostokątny kawałek pergaminu, nie większy chyba od dziecięcej dłoni, zagruntowany już podmalówką w tonacji ludzkiego ciała. Malarka, która ukończyła właśnie kontur twarzy, używając do tego zgaszonej czerwieni, sięgnęła do korytka u dołu sztalugi, wybrała czysty pędzelek i zanurzyła teraz w innej farbie. Dwa rzędy maleńkich muszelek z różnokolorową zawartością stały w specjalnych wgłębieniach przy obu brzegach tablicy. Artystka rozpoczęła cieniowanie twarzy. Cóż za niesłychana precyzja, pomyślała Małgorzata. Patrzyła jak urzeczona. Kreseczki były tak cienkie, że prawie niedostrzegalne. Skończywszy kłaść jeden odcień, malarka wrzuciła pędzelek do kubka i wzięła następny. Ha, pomyślano o wszystkim, nawet o przymocowaniu kubka do tablicy. Tymczasem delikatny niebieskawy fiolet, łącząc się z cielistym odcieniem gruntu, jał nadawać obrazkowi głębię i oto z tła zaczęło się wyłaniać maleńkie oblicze Klaudii. Odrobina czerni - i pojawiły się jej ciemne brwi, nozdrza, wreszcie linia dzieląca wargi. Ale czy to rzeczywiście czern? Ta kobieta tak zręcznie mieszała kolory, że trudno było ustalić ich odcień. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że w sumie tworzyły one najprawdziwszą tonację ludzkiej twarzy, nie większej tu przecież od męskiego kciuka, a to już wymagało nie lada kunsztu. Co więcej, była to prawdziwa twarz Klaudii, brzydka, nalana, z zezowatymi oczyma, a jednak w jakiś niepojęty sposób malarka potrafiła oddać zarówno jej prostoduszność, jak i żarliwą nabożność. Diuszesa d'Alencon, sama się sobie dziwiąc, stwierdziła, że ogarnia ją wzruszenie, a potem podziw dla wielkiego talentu tej kobiety; talentu zdolnego wywołać w ludziach, w niej samej, tego rodzaju uczucia. Chcę i ja mieć taką podobiznę. W jakiejś uduchowionej pozie. Może podczas modlitwy?

Artystka, pozostawiając twarz do wyschnięcia, zaczęła wypełniać kolorami poszczególne fragmenty stroju: przód sukni, ozdobne rękawy, bogate nakrycie głowy. Małgorzata nie miała cienia wątpliwości, iż jest to autorka słynnej miniatury angielskiej księżniczki, jako też bohaterka owej śmiesznej opowiadki o duchu. Mówiono, że duchem był pewnie jej kochanek, malarz. Nic podobnego! Sama namalowała tę miniaturę! Sprzedała ją jako dzieło mężczyzny, by uzyskać godziwą zapłatę. Tak, to było oczywiste, lecz dlaczego teraz zdjęła maskę? Diuszesa d'Alencon uwielbiała niezwykle historie, zaczęła się więc zastanawiać, czyby nie poprosić którejś z Angielek w charakterze tłumaczki. Miała wielką ochotę wypytać tę młodą kobietę. Nie, doszła w końcu do wniosku, zrobię to później. Teraz mam ważniejsze sprawy.

- Madame, muszę pomówić z tobą na osobności. Zechciej, proszę, odesłać lektorkę. - Klaudia uważając, by nie ruszyć głową, podziękowała swej damie, która złożywszy pełen gracji ukłon, pozostawiła je same. Artystka pracowała nadal. Małgorzata była przekonana, że

osoba ta nie włada francuskim, mimo to zniżyła głos: - Klaudio, przybyła moja pani matka, którą doszły niedobre wieści. Krążą plotki, iż król Anglii przysłał nam dawnego kochanka królowej, niejakiego diuka Suffoke, by ją uczynił brzemienną, w razie gdyby jej małżonek nie zdołał tego dokonać. Diuk oficjalnie przybywa jako ambasador, ale to tylko pretekst. Tak naprawdę przymierze angielsko-francuskie nie jest wcale jego głównym celem. Matka ostrzega cię, Klaudio, abyś nawet na minutę nie spuszczała królowej z oka, zwłaszcza kiedy zjawi się tutaj ten Suffoke. Musisz zawsze być przy niej pod byle jakim pozorem, w przeciwnym razie przyczynisz się do wydziedziczenia własnego potomstwa, które, w co nie wątpię, urodzisz mojemu bratu.

Malarka spokojnie malowała dalej; wydawała się zupełnie nieświadoma faktu, że tuż obok toczy się rozmowa o tak dramatycznej treści. Klaudia bezgłośnie poruszyła ustami. Diusza zauważyła, że powtarza sobie słowa „wydziedziczenie” i „potomstwo”, zupełnie jak ktoś, kto stara się wyliczyć trudny rachunek. Po dłuższej dopiero chwili gwałtownie nabrała oddechu i spytała z widocznym wzburzeniem:

- Chcesz powiedzieć, że król Anglii specjalnie przysłał tu tego mężczyznę, by popełnił grzech cudzołóstwa? Wszak to hańba! I ona się na to zgadza? Mój Boże, cóż za niegodziwcy z tych Anglików! Widać naprawdę zdolni są do wszystkiego!

Nawet te słowa nie poruszyły Angielki; nie odrywając oczu od obrazka, nadal machała pędzelkiem. Dla oddania złocistego odcienia sukni użyła czystej żółtej ochry zmieszanej z gumą arabską i cukrem, następnie szybko przygotowała kolor do cieniowania, mieszając na malutkiej paletce suszoną żółć wołu z gumą arabską i wodą. Kilka szybkich pociągnięć pędzelkiem w kierunku od góry na dół sprawiło, że suknia z płaskiej zrobiła się trójwymiarowa.

- Nie wolno ci nikomu o tym mówić - ostrzegła Klaudię Małgorzata - z wyjątkiem baronowej d'Aumont. Tylko jej jednej możemy ufać. Pojmujesz, jeśli królowa dowie się o naszych podejrzeniach, sprytnie wywiedzie nas w pole. Pamiętaj, Klaudio, czynisz to dla swych dzieci i oczywiście dla swojego męża.

- Dla mego pana gotowa jestem zrobić wszystko - żarliwie zapewniła ją Klaudia, całkiem zapominając o pozowaniu.

Artystka przysunęła wiadro z wodą i zajęła się myciem pędzelków. Małgorzata, która jako patronka malarzy znała i podziwiała ich sztukę, szczególnym upodobaniem darząc dobrą miniaturę, przyglądała się temu z ciekawością. A więc to farby wodne, zdziwiła się w duchu, a ja myślałam, że olej. Te kolory tak są nasycone... wprawdzie nie czuć zapachu, lecz jest tych farb tak niewiele... Malarka tymczasem otworzyła drewniany kuferek i zaczęła pakować

pędzelki. W środku widać było mnóstwo malutkich przegródek, a w nich słoiczki, buteleczki, poplamione farbą zawiniątka... Klaudia gestem dała jej znać, że jest wolna.

- Przyjdź jutro - poleciała - o tej samej porze. I przynieś tryptyk. Chcę zobaczyć, jak ci idzie praca.

Malarka skłoniła się w milczeniu, zamknęła kuferek i złożywszy sztalugę, odeszła bez słowa. Małgorzata poniewczasie zaczęła żałować, że jej nie zatrzymała. Trzeba ją było wypytać o tego ducha! Swoją drogą śmieszna ta Klaudia. Mówić po francusku do biednej cudzoziemki, która nie rozumie ani słowa. Nie rozumie?... Nagłe podejrzenie zaparło jej oddech.

- Wiesz, moja droga siostrze, bardzo wprawna jest ta twoja malarka - powiedziała głośno.

- Prawda? - ucieszyła się Klaudia. - Maluje mi prześliczny tryptyk z wizerunkiem mej matki i aniołami, który budzi same nabożne myśli.

- Ale po francusku chyba nie mówi? Skąd zatem wie, co jej powiedziałaś?

- Och, ależ ona mówi po francusku, i to całkiem ładnie - beztrząsła Klaudia. - Trochę za wolno i z bardzo dziwnym akcentem, nie tyle angielskim, co chyba flamandzkim, ale ja ją rozumiem. Nie pozwalam jej tylko zbyt dużo mówić, bo dostaję od tego bólu głowy.

Małgorzata zdrętwiała. Boże, to, co miało pozostać pilnie strzeżoną tajemnicą, dotrze teraz prosto do uszu królowej! Co prędzej przywołała pokojówkę.

- Idź zaraz i znajdź tę malarzkę. Zaprowadź ją do moich komnat i niech tam na mnie zaczeka. Kiedy ją znajdziesz, dopilnuj, aby z nikim nie rozmawiała. Powiedz, że niedługo przyjdę.

- Małgorzato, droga siostrze, czy coś się stało?

- Ależ nie, kochana Klaudio. Zazdroszczę ci po prostu ślicznego portretu i też chcę mieć taki. Koniecznie.



## PORTRET DZIESIĄTY

*„Karol II, diuk de Burbon, konetabl Francji.” Ok. 1520. Olej na desce. 25,4 x 27,9 cm. Szkoła Cloueta. Kunsthistorisches Museum, Wiedeń.*

*Ten interesujący portret młodego mężczyzny w półpancerzu przedstawia utalentowanego francuskiego wodza u szczytu jego potęgi. Przez małżeństwo z Suzanne de Burbon, jedyną córką byłej regentki, stał się właścicielem olbrzymich dóbr. Należała do niego przeważająca większość ziem środkowej Francji, a jego dwór dorównywał świetnością królewskiemu. Czujność i arogancja bijące z tej wąskiej smagłej twarzy i ciemnych oczu zdają się już zapowiadać późniejszą zbrojną rebelię przeciwko królowi i jego władzy.*

### R. Briggs, Wojny francuskiego Renesansu

Diuk de Burbon należał do tych, którym własna wielkość nie pozwala zaprzętać sobie głowy kwestiami równie pospolitymi jak pieniądź. Przekonałam się później, że chociaż tak možny, ciągle tonął w długach. Mnie do dzisiaj winien jest za portret. Wprawdzie raczył go przyjąć, uczynił to jednak dopiero po wygłoszeniu mnóstwa krytycznych uwag, które miały mi pewnie zastąpić zapłatę. Zaraz na początku oznajmił, iż nie życzy sobie miniatury, w jego żyłach bowiem płynie krew dużo wspanialsza niż w którejkolwiek z malowanych przeze mnie osobistości, zatem i jego portret też musi być większy. Prawda wyglądała tak, iż było wtedy rzeczą bardzo modną zamówić sobie u mnie portret, a diuk oczywiście nie mógł być gorszy, irytowała go wszakże moja pleć, bo kto to widział, żeby jakaś niewiasta była w modzie.

Odnaczał się ogromną drażliwością w tych sprawach, i nie tylko. Nie daj Boże, by ktoś mu bodaj nadepnął na cień, pierwszy usiadł przy stole czy przeszedł przez drzwi. Byle słowo mogło wyprowadzić go z równowagi. Czekaając na pieniądze, schlebiałam mu z całych sił, i dobrze, bo chociaż mi nie zapłacił, to przynajmniej nie powiedziałam nic takiego, czym bym się mogła narazić. Namalowałam go w półpancerzu, brązowych aksamitach i srebrze. Było to po wielkim turnieju ku czci naszej księżniczki, gdy ją ukoronowano na królową Francji. Wówczas to wynalazłam pewien specjalny sposób malowania aksamitu - rozjaśniania owej materii za pomocą odpowiednio rozłożonych plamek światła. Uczyniłam z tego jeden ze swoich sekretów, co zapewniło mi ogromne wzięcie pośród osób z najlepszego towarzystwa.

Owego dnia, kiedy to odprawiono orszak królowej, już pakowałam skrzynkę, głowiąc się przy tym, jak bez pieniędzy dotrzeć do Boulogne, gdyż konie i wozy księżniczki miały jechać z nią do Paryża, a tu nagle przychodzi francuski lokaj z jakąś listą i mówi, że mogę zostać!

- Musiała to sprawić madame Klaudia - orzekła Nan. - Pewnie chce, żebyś jej skończyła ten obrazek z aniołami.

Przez resztę dnia zapłakani ludzie patrzyli na mnie takim wzrokiem, jakbym zrobiła coś złego. Po dwóch następnych zaczęłam się cieszyć, że wyjeżdżają, bo praczka lady Guildford rozpuściła plotki, iż pozwolono mi zostać, ponieważ mam romans z lokajem następcy tronu, a w ogóle to wcale nie jestem Angielką i czegoż można się spodziewać po kimś takim, kto mówi po francusku i strasznie zadziera nosa. Wiem, że nie powinnam się była gniewać, a jednak wpadłam w złość, chociaż dla uspokojenia nerwów przeczytałam sobie rozdział z żywota Świętej Dziewicy, w którym stawia się Ją za przykład pokory i cierpliwości. Upewnił mnie tylko w przekonaniu, że jakiegokolwiek próby upodobnienia się do Niej są daremne, zwłaszcza że nie dorównuję Jej godnością ani też nie jestem dziewicą. To mi przypomniało o bezeceństwach, o które posądzał mnie Ashton, że je niby popełniam z biskupem Wolseyem, i tak oto znowu zaczęłam myśleć o Ashtonie. Że leży teraz, biedak, gdzieś na dnie morza po tym jednym jedynym pocałunku, a Tom razem z nim, i że wszystko to wina mego zarozumiałstwa. Ale potem przyszło mi na myśl, że być może uważał mnie za niemoralną i dlatego pocałował bez pytania, a ja nic mu już nie mogę wyjaśnić, bo jest martwy, no i z tego wszystkiego sama nie wiedziałam, czy bardziej jestem smutna, czy zła.

Pracowałam, bo tylko praca łagodziła te moje smutki. Nawet podczas podróży do Saint Denis, które leży pod Paryżem, szkicowałam anioły dla madame, chociaż z malowaniem trzeba było poczekać, aż zajedziemy na miejsce. Potrzebne mi było drzewo na deski i koniecznie własne pomieszczenie, gdzie by można zrobić trochę kleju; królicza skórka, gdy się ją gotuje, pachnie dosyć dziwnie. Przy tych aniołach pozwoliłam sobie na żarcik: wszystkim nadałam rysy Hadriela, różniły się tylko włosami. Dużo o nim myślałam, w końcu nie każdemu dane jest oglądać żywego anioła. Przy sposobności doszłam do wniosku, że anioły chodzą własnymi drogami i tak na co dzień trudno na nie liczyć, konkluzję tę wszakże zachowałam dla siebie. Jakkolwiek nie była zbyt pocieszająca, to przecież owe rozważania stanowiły dla mnie wielką inspirację, co daje się wyczuć w obrazku dla pani Klaudivii. Madame, która żywiła upodobanie do małych rzeczy, w szczególności zaś do

nabożnych iluminacji, budziła we mnie nadzieję na dochód: płaciła podobno lepiej, niż zwykli to czynić inni jaśnie wielmożni.

Szczęście, że przy ciągłym braku pieniędzy - jak dotąd nikt mi jeszcze za nic nie zapłacił - miałam przynajmniej dość pergaminu, i to najlepszej jakości. Wycinałam go sobie po prostu z tego starego rupiecia, co został mi po Rowlandzie. Zapisane części stronic nie nadawały się na portrety, miałam jednak nadzieję, że uda mi się rozpuścić atrament za pomocą pewnego własnego wynalazku, a potem porządnie wypoleruję te kawałki, położę grubą warstwę gruntu i będę mogła na nich malować dla siebie - bo w głowie aż roiło mi się od pomysłów. W tych wyimaginowanych obrazach bardzo często pojawiały się przepiękne dzieci; wciąż jeszcze tlił się we mnie smutek, że ich nie mam, że to jedno, które urodziłam, było tak strasznym brzydactwem... ach, szczęście, że umarło. Dobrze, że nie mając dzieci, mogłam je chociaż malować, tak samo jak w domu ojca malowałam kiedyś piękne suknie. Czulałam teraz zupełnie taki sam zapach. W owe piękne wizje raz po raz wkradały się jednak żałosne myśli o Tomie. Poszedł za mną, biedaczysko, i zginął. A Robert Ashton... Prawda, że opowiadał kłamstwa, że niegodziwie myślał o kobietach i całował je bez pozwolenia, lecz na pewno nie zasłużył na tak straszną śmierć. Mogłam sobie wyobrazić, co obaj czuli... Na tym dolnym pokładzie z działami, kiedy woda już, już miała nas zalać, sama poczułam smak takiej śmierci. Często mi się to śniło.

Gdy dotarliśmy wreszcie do Saint Denis, stało się jasne, że Nan na gwałt potrzebuje nowego szala i pończoch, moje trzewiki zaś tak się zdarły, że zaczęły przepuszczać wodę, lodowatą o tej porze roku, a przecież w miejscu tak wytwornym jak dwór nie wypada chodzić w sabotach. Potrzebowałam pieniędzy, przestałam więc marzyć i wzięłam się do roboty. Na obrazek dla pani Klaudii zużyłam już prawie wszystkie barwniki, postanowiłam zatem poprosić ją o zaliczkę na wykonanie oprawy; miałam też nadzieję, że otrzymam być może nowe zamówienie. Powiodło mi się, gdyż zachwycił ją anielski tryptyk, zwłaszcza że na obrazku była jej zmarła matka. Skorzystałam z okazji, by pokazać jej kilka portretowych miniatur. Najpierw długo im się przyglądała, później zmarszczywszy twarz, zapatrzyła się gdzieś przed siebie, jak gdyby strasznie ciężko nad czymś myślała, i na koniec zadała mi pytanie:

- Czy mogłabyś mi zrobić taki portret? Byłby to podarek dla mojego pana. Często podróżuje, więc moja podobizna przypominałaby mu o mnie i o tym, że czekam na niego w domu. - Biedactwo, pomyślałam, chociaż to przecież królowna. Czyżby jej się zdawało, że jakikolwiek portret zdolny jest powstrzymać księcia Franciszka od uganiania się za wszystkim, co nosi spódnice? - A czy... - dodała z wahaniem - czy... mogłabyś uczynić mnie

ładną? Odrobinę... może węższą w talii? Teraz modę dyktuje królowa... a on... to znaczy wszyscy wciąż powtarzają, że taka jest smukła...

- Jednak za ideał piękna powszechnie uważana jest Wenus, choć ma przecież dosyć bujne kształty - zauważyłam taktownie. Tymczasem ta biedna dziewczyna chyba się tym przeraziła, w każdym razie taką miała minę.

- Wenus? - spytała. - Czy nie była poganką?

Szybko zmieniałam temat. Zaczęłam mówić, jaką to krzepką budową odznaczały się dawne królowe Francji, z których żadna już na pewno nie była poganką.

- Jestem bardzo podobna do matki - westchnęła w końcu pani Klaudia. - To ta królewska krew władców Bretanii. Podobno ojciec obecnego króla Anglii i naszej królowej był uzurpatorem z bardzo wątpliwym prawem do tronu i właśnie to tłumaczy jej wygląd. Wątpliwa krew! Cóż, kiedy ludzi powierzchownych uwodzą fałszywe wartości!

Umysł pani Klaudii działał na podobieństwo wielkiego zegara, takiego na wieży kościelnej. Tyle że tam, chcąc zobaczyć, jak obracają się tryby, trzeba wejść do środka, tu natomiast wszystko widać było od zewnątrz. W obu przypadkach procesowi temu towarzyszyły strasznie głośne zgrzyty, jednak podziw, że mechanizm ów w ogóle działa, sprawiał, iż człowiek wybaczał mu cały ten hałas.

W Saint Denis musieliśmy siedzieć aż do koronacji, ponieważ nie ukoronowanej królowej nie wolno przekroczyć bram Paryża. Taki tu zwyczaj. Po koronacji następuje oficjalny wjazd do stolicy, który sam w sobie jest wspaniałą uroczystością, i dopiero wtedy królowa udaje się do swej siedziby w pałacu Les Tournelles. W oczekiwaniu na tę chwilę ludzie zabijali czas, jak mogli, zwłaszcza że ostre powietrze nie zachęcało do wyjścia z domu. Wszystkie francuskie damy wraz z księżną Klaudią bez przerwy towarzyszyły królowej, ucząc ją tutejszych obyczajów i dworskiej etykiety. Przekonałam się wówczas, że w zgodnym mniemaniu owych dam malarka to osoba, która nie ma uszu, plotkowały bowiem w taki sposób, jakby mnie wcale nie było w pokoju. I wszystko dookoła musiało być rodzaju żeńskiego, nawet psy i błazen, co jasno pokazuje, o czym myślą ich mężczyźni. Niewiasty zresztą też. Kiedy były same, opowiadały sobie takie rzeczy, że nie dało się ich słuchać bez rumieńca. Wyjątek stanowiło kilka starszych, które uważały się za święte, gdyż wołały okropne opowieści o torturach i męczennikach, choć dla mnie nie były ani trochę lepsze od tych mnichów, którym sprzedawałam kiedyś swoje Ewy. Tak więc nie tylko się dowiedziałam, że na turniej przybywa diuk Suffolk, lecz także i tego z jak kiepskiej pochodzi rodziny i że arcybiskup Jorku za wiedzą i zgodą naszego króla naprawdę posyła go po to, by królowa mogła począć dziecko, król Francji bowiem nie jest w stanie uczynić jej brzemienną.

Miałam bronić honoru królowej, musiałam niestety milczeć, a miałam ochotę spytać, w jaki sposób sekrety jej łoża tak szybko dotarły za Kanał. Nadmiernie zuchwały malarz źle kończy, nieraz nawet na stryczku, o czym ciągle przypomina mi Nan. Na szczęście groźba, że wymknie mi się jakieś nieopatrzone słowo, była tu mniejsza, ponieważ musiałabym je wypowiedzieć po francusku. Martwiła mnie nieznajomość miejscowych obyczajów, ale lepiej już było bać się, że zrobię coś niewłaściwego, niż stale się rozglądać, czy aby nie ściga mnie ów straszny człowiek w czarnym płaszczu. Ulgę sprawiała mi myśl, że pozostał w Londynie.

Jednakże owego dnia, kiedy diuszesa Małgorzata, ta, co zbiera sprośne historyjki, zaczęła mówić pani Klaudii, że „matka” każe jej nie spuszczać naszej królowej z oka, wiedziałam od razu, że tego to już na pewno nie powinnam była usłyszeć. Nawet nie wiedząc dokładnie, kim jest „matka”, można było mieć pewność, że to ktoś w rodzaju biskupa Wolseya, w dodatku bardzo nieżyczliwy ludziom. Miałam zamiar wypytać się o nią, lecz nie zdążyłam, bo gdy tylko wyszłam od pani Klaudii, zaraz dogoniła mnie jakaś osoba, mówiąc, że diuszesa chce mnie widzieć i że czyni mi tym wielki zaszczyt, mam przeto poczekać w jej antykamerze i broń Boże, z nikim nie rozmawiać. O tak, zbyt wielki to dla mnie honor, by mówić o tym z kimkolwiek, pomyślałam, wyobrażając sobie, co mnie czeka. Stryczek czy może loszek, tym straszniejszy, że francuski. I nawet nie mogę pożegnać się z Nan, bo i ją mógłby spotkać podobny zaszczyt. Po chwili przyszło mi na myśl, że pewnie tak właśnie kończą niewiasty, które źle myślą o mężach, a potem malują sprośne obrazy, by wyciągać pieniądze od lubieżnych mnichów. Kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Dość szybko usłyszałam pospieszne kroki i szelest jedwabnej sukni. Diuszesa gestem kazała mi wejść do sypialni i zaraz zamknęła drzwi. Była w moim mniej więcej wieku, ale wyższa i atletycznie zbudowana; natura obdarzyła ją także nieprawdopodobnie dużym nosem, z tych, które Francuzi uważają za niezmiernie arystokratyczne. Większy widziałam tylko u jej brata, owego aroganckiego księcia, który moim zdaniem namówił króla do pozbycia się lady Guildford, tylko dlatego, że nie pozwoliła mu wejść do królowej! Diuszesa miała włosy jasnokasztanowe i oczy podobnej barwy. Teraz dostrzegłam w nich ciężkie strapienie. To dobrze. Może nie chce, by „matka” wiedziała, że tak lekkomyślnie zdradziła sekret. Jeśli tak jest rzeczywiście, to nie może podjąć zbyt widocznych działań, aby mnie uciszyć. Jej sypialnia, chociaż nie własna, lecz chwilowo jedynie użytkowana, wyglądała bardzo przyjemnie. Stało tu ciemne łoże, osłonięte ozdobną materią ze złotymi inicjałami diuszesy i herbami jej męża, przynajmniej tak przypuszczałam. Na ścianach wisiało kilka cennych gobelinów, przedstawiających sceny z mitologii, a wśród nich sąd Parysa. Atena, strasznie rozgniewana, miała na sobie jedynie hełm - i tak zresztą więcej niż pozostałe postacie. Muszę

powiedzieć, że w porównaniu z tą sceną moje rajske obrazy mogły wydawać się skromne.

- Zachwyciły mnie twe miniatury - zaczęła diuszesa. - Są tak bardzo w stylu naszego niezującego mistrza Fouqueta. Gdzie nauczyłaś się tego kunsztu? Niezwykła to rzecz, by kobieta parała się takim rzemiosłem.

Zaraz po wejściu usiadła na łóżku, a ja uklękałam. Na tym dworze nie klękano wprawdzie tak często jak w Anglii, lecz nigdy dość ostrożności, zwłaszcza kiedy człowiek znajdzie się w tarapatach. Od chwili gdy kazała mi powstać, słuchałam jej na stojąco. Wiedziałam, że odpowiadając na pytania, muszę bardzo starannie ważyć każde słowo.

- Madame, sztuki tej nauczył mnie ojciec. On sam łączył w swej twórczości własne sekrety z kunsztem dawnych iluminatorów. Był zdania, iż jest rzeczą dobrą dla kobiety wyuczyć się czystego i przyzwoitego fachu, na wypadek gdyby nieszczęśliwym zrzędzeniem losu została kiedyś sama.

- A więc jesteś sama? Zupełnie?

Niedobrze. Konwersacja zboczyła w złą stronę. Pamiętałam przestrogę Ashtona, jak chytry są ci Francuzi, i poczułam, że grozi mi niebezpieczeństwo. W odpowiedzi postarałam się zatem dać do zrozumienia, że nie jestem osobą, która może zaginąć bez śladu i nikt się o nią nie upomni.

- Jestem wdową, miałam jednak to szczęście, że zatroszczył się o mnie szczodry i wspańiałomyślny patron, arcybiskup Wolsey.

Nazwisko jego eminencji zwykle działało magicznie. Diuszesa poruszyła się lekko i oparła łokciem o zagłówek, aczkolwiek wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. Oczy miała bystre, a jej umysł pracował w sposób niewidoczny, całkiem inaczej niż ów zgrzytliwy mechanizm w głowie biednej Klaudii.

- Opowiedz mi o biskupie. Jest już stary, nieprawdaż? Czy lubi dobre obrazy? Słyszałam, że często niedomaga. Chętnie posłałabym mu jakieś dzieło sztuki w dowód mej życzliwości.

Aha, sprytna jest ta dama! Jeśli coś jej powiem, uzna mnie za plotkarę i wtedy dopiero będę się mieć z pyszna.

- Madame, nie jestem wtajemniczona w prywatne sprawy jego eminencji. Zbyt mało znaczę, bym mogła coś wiedzieć o wielkich tego świata.

- Wydajesz się bardzo dyskretna - zauważyła diuszesa z uśmiechem.

- Kieruję się w życiu zasadą „milczenie jest złotem”, zwłaszcza u kobiety. - Sądziłam, że z nabożną miną kiwnie na to głową tak jak inne damy, gdy zdarza mi się wygłaszać podobne sentencje, lecz ona zacisnęła usta, a w jej oczach odbiła się gorycz.

- Skąd znasz tę maksymę? - zapytała.

- Z książki, madame, którą ofiarowała mi matka. Nosi tytuł „Księga obyczajów zacnej małżonki” i naucza, jak się zachowywać we wszystkich życiowych okolicznościach. Zawiera ponadto doskonały przepis na pieczonego leszcza, ale też i na pudding z mąki i łożu, który nigdy się nie udaje. - Spostrzegłam, że usta drgnęły jej leciutko pod tym długim nosem. Przyszło mi do głowy, że jest chyba zbyt ciekawa i za bardzo ją bawią różne rzeczy, żeby mogła być tak niegodziwa i wyrachowana, jak myślałam.

- No a dlaczego ów przepis zawodzi, skoro cała książka jest tak wyśmienita?

- Och, myślę, że z mojej winy. Musiałam go źle zrozumieć. Autor książki jest bardzo mądry i wie wszystko, tak więc jemu ten pudding na pewno świetnie by się udał.

- Czy jakieś inne porady też ci się nie sprawdziły, czy tylko ta jedna? - spytała księżna tłumiąc wesołość. Westchnęłam ciężko.

- Tak, rada dotycząca mężów, którzy szukają uciech poza domem. Autor zaleca naśladować pewną damę, co tak troskliwie dbała o męża, że owej ubogiej kobiecie, z którą sypiał, posłała własne prześcieradła, żeby mu było przyjemniej.

- Czytałam tę opowiadkę - wtrąciła diuszesa - po francusku. Na pościeli były inicjały żony. Mąż, ujrawszy je, bardzo się zawstydził, tak bardzo, że do niej wrócił. I co, wypróbowałaś tę radę?

- Nie mogłam, madame, bo mąż zastawił moją posagową pościel, by tamtej kupić bransoletę. - Na samo to przykre wspomnienie zaczęły mnie palić policzki. Diuszesa wybuchnęła śmiechem, choć w rzeczy samej z czego tu było się śmiać?

- Czy nadal uważasz, że to dobra rada?

- Ależ tak. Mnie się nie udało, lecz tylko dlatego, że mąż mój musiał przeczytać tę książkę, a wiedząc, że ów święty człowiek, jej autor, nigdy się nie myli, wpadł na jedyny sposób, dzięki któremu mógł uniknąć powrotu do domu: pozbył się prześcieradeł - wyjaśniłam. Diuszesa głośno parsknęła, co było doprawdy już jawnym grubiaństwem.

- Powiedz, mistrzyni Zuzanno, czy gdybym została twoją patronką, zatrzymałabyś dla siebie wszystko, co usłyszałaś z mych ust?

- Tak, madame, i to nawet wtedy, gdyby mnie ów zaszczyt nie spotkał. Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy i nigdy nie powtarzam rzeczy zbyt trudnych na mój rozum. A zresztą, pomyśl, madame, gdybym to nawet uczyniła, kto by mi uwierzył? I tak już przez to malowanie ludzie uważają mnie za półwariatkę - zakończyłam z westchnieniem. Diuszesa roześmiała się znowu.

- Mam nadzieję, że nie mylę się co do ciebie. Gdy dotrzemy do Paryża, dam ci kilka

zleceń. Powiedz mi, masz tam już jakąś pracownię?

Pomyślałam o francuskich podstępach i o tym, że diabeł dobrze wie, czym kogo skusić. A potem... potem wyobraziłam sobie własną pracownię i... przestrogi Ashtona wyleciały mi z głowy. Ashton był martwy, a zresztą co on w gruncie rzeczy wiedział o malowaniu? i tak uległam pokusie. Było przecież prawdą, że mając pracownię, mogłabym o wiele lepiej malować naszą królową. A ta diuszesa ma pieniądze, i co ważne, własne. Było to widać na pierwszy rzut oka. Odpowiedziałam zatem w sposób, który dał jej do zrozumienia, że może mnie kupić i że moja cena nie będzie wygórowana.

- Nie, pani, nie mam pracowni, choć o tym myślę. Na razie maluję miniatury, bo do tego wystarczą same farby wodne. Obawiam się jednak, że cudzoziemce trudno tu będzie zdobyć pracownię. W Paryżu istnieją pewnie potężne gildie malarskie.

- Myślę zatem, że przyda ci się moja pomoc. Jestem patronką sztuk pięknych, znaną w całej Francji. Jeśli znajdziesz się pod moją opieką, nikt nie będzie ci czynił wstrętów. Dopilnuję, byś miała pracownię. - Widziałam, że mnie obserwuje i że w moich oczach dostrzega ogromną wdzięczność. Z jej twarzy zniknęło napięcie, uśmiech stał się szczery. - Sprawia mi wielką przyjemność protegowanie kobiety w tym tak czysto męskim rzemiośle. Wiesz, „Księga miasta kobiet” mówi o świecie, w którym wszystko, co piękne, istnieje dzięki kobiecej sztuce i cnotcie i że Bogu ogromnie się to podoba.

- Czy gdzieś na świecie jest miasto kobiet?

- Nie, choć jest taka książka - odparła tonem nauczycielki oświecającej nieświadomą wychowankę. - Ta książka to hołd złożony kobiecym zdolnościom i cnotom, a napisała ją Christine de Pizan, słynna poetka, znana w całym naszym kraju.

Cóż to za kraj, pomyślałam. Nic dziwnego, że pleni się tu grzech, skoro tyle kobiet pisze książki. Nie wypadało mi jednak wygłaszać kąśliwych uwag - pracownia! Zaczęłam się zastanawiać, czy osamotniona królowa zyska kiedyś tyle władzy i wpływów, by okazać mi pomoc równą tej, którą ofiarowuje diuszesa. Bardzo wątpliwe, bo czy królową obchodzą potrzeby artystów, a moje w szczególności? Nawet o tym nie myśli. Nie zanoszą się na to, bym kiedykolwiek dostała od niej choćby pensa, nawet gdyby miała pieniądze, a nie ma. Każde sou na pensje dla jej ludzi będzie teraz pochodzić z królewskiej szkatuły, a król jest straszliwie skąpy i podobno nikomu nie płaci. Ale czy tylko on? Przypomniałam sobie Wolseya. Poza drobną zaliczką na farby on też nie wypłacił mi ani grosza na poczet tych przyobiecanych piętnastu funtów rocznie. W świetle tego wszystkiego patronat diuszesy zaczął mi się wydawać z każdą chwilą coraz korzystniejszy, mimo że ona sama była jak na mój gust trochę zanadto... francuska. W tym momencie usłyszałam jej zduszony śmiech i



lekko zachnęłam się w duchu. Umiem i lubię odczytywać cudze myśli, lecz ona chyba jeszcze lepiej.

- Przynies tę swoją książkę. Chcę, byś poczytała ją głośno mnie i moim damom, tłumacząc treść na francuski. Wspólnie podyskutujemy o jej zaletach.

Dyskutować nad książką o cnocie? Byłam doprawdy wstrząśnięta. Cnota to cnota, o czym tu debatować? Taka rzecz to grzech i ja mam brać w tym udział? Z góry mogłam sobie wyobrazić, co powiedzą te francuskie damy! Oto, czego narobiłam przez swą niegodziwość. A wszystko zaczęło się owego dnia, kiedy to po raz pierwszy zboczyłam z uczciwej drogi, jaką winna kroczyć każda zacna żona. Lecz ja chciałam robić, co mi się podoba, a grzechy mego męża były jeno pretekstem... Tak, bardzo wygodnym pretekstem, i proszę, do czego doszło. Zaniósł mnie na ten obcy dwór, gdzie aż się roi od intryg. Ashton nie żyje, królowa nawet nie wie o moim istnieniu, a inni już dawno zdążyli zapomnieć, po co mnie tu wysłano. Ha, sam Wolsey nie uznał za stosowne dokładniej tego objaśnić. Kazał mi malować portrety, ale czyje? Mówił wprawdzie, że chce się dowiedzieć, jakie obrazy posiada król Francji, ja jednak żadnych jeszcze nie widziałam. Co ja tu właściwie robię? Oficjalnie niby jestem służącą królowej, tylko że królowa mi nie płaci. Pieniądze dostaję od pani Klaudii, u której nie jestem w służbie. Teraz mam szansę zyskać potężną patronkę, może nawet już ją zyskałam, pod warunkiem że się jej, broń Boże, nie narażę. Jej i całemu dworskiemu towarzystwu. I do tego wszystkiego żąda się ode mnie, abym była nie tylko malarką, ale jeszcze i błaznem.

- Och, nie przesadzaj - pani Małgorzata musiała wychwycić tę myśl z mojej głowy. - Gaillarde nie umie czytać. - Uśmiechnęła się tym swoim wszystkowiedzącym uśmiechem, po czym uważnie zlustrowała mnie od stóp do głów. - Powiedz mi, Zuzanno, czy chciałabyś ponownie wyjść za mąż? Jeśli spodobają mi się twoje prace, chętnie ułożę ci bardzo korzystne małżeństwo z przyzwoitym dżentelmenem, którymś z mych domowników. - Oczy rozszerzyły mi się ze zgrozy, a ona parsknęła śmiechem. - Och, prześcieradła! Zacna mistrzyni, czy wciąż jeszcze się nie przekonałaś, że wszyscy mężczyźni są tacy sami? Jeśli masz mieszkać we Francji, musisz podchodzić do życia bardziej filozoficznie. Szczytne zasady muszą sprawdzać się w praktyce, inaczej pozostają czystą fantazją albo hipokryzją. Przyjdź jutro i nie zapomnij o książce.

Wysłałam w głębokiej zadumie nad obyczajami tej dziwnej francuskiej diuszesy, osobliwszej od wszystkich znanych mi osób - z wyjątkiem być może mnie samej.

Na lewym brzegu Sekwany, gdzie w ścianach starego Hotel de Cluny można dostrzec fragmenty jeszcze starszych murów, pod szacownymi kamienicami o wąskich fasadach,

przyległymi do nich ogrodami, pod powierzchnią średniowiecznych ulic, leżą skryte głęboko w ziemi przepastne ruiny starorzymskiej budowli: Palais de Thermes. W labiryncie sekretnych tuneli pogrążone w wieczystych ciemnościach, kryją się wielkie sale o łukowatych sklepieniach i długie korytarze o skruszałych marmurowych ścianach. Ciszę mącą jedynie odgłosy spadających kropel, a czarne wody tepidarium czyhają na nieostrożnych, którzy, zapuściwszy się tutaj, pozwolą, by zgasła im świeca. Część owych lochów posłużyła za piwnice właścicielom kilku starych domów; piętrzą się tu beczki, paki i skrzynie, jak to w zwyczajnej piwnicy, a przez wydrążone w suficie otwory sączy się trochę światła. Ci, którzy znają plany tych starorzymskich łaźni, wiedzą, że ich rozsypujące się korytarze łączą podziemia stojących ponad nimi domów na całej trasie zamulonego dziś akweduktu, którym od dawna nie płynie już woda: od Hotel de Cluny przy rue de la Harpe i klasztoru redemptorystów aż do pewnego dobrze zamaskowanego miejsca przy brzegu rzeki. Kto by przeszedł się po owej mrocznej plątaninie na wpół zasypanych korytarzy, pełnych oberwanych kamieni i zapadlisk, znalazłby tu i ówdzie resztki wypalonych świeczek, wyschłe lampy oliwne, czasami też jakiś pojedynczy trzewik bądź podarty kaftan rodem z poprzedniego wieku. Nikt tu jednak nie przychodzi z wyjątkiem członków pewnego sekretnego bractwa, bo tylko oni jedni znają jeszcze plany owych tajnych przejść i tuneli.

Głęboko pod ziemią, w samym środku tej sterty skruszał kamieni znajdują się drzwi wiodące do ciasnego pomieszczenia pod dawnym tepidarium. Drzwi są nowe, solidne, mają dobrze naoliwione zawiasy. W środku stoją ciężkie, okute mosiądzem skrzynie, w nich zaś spowite w natuszczony jedwab, który chroni je przed wilgocią, spoczywają tablice genealogiczne, księga tajemnic i prorocत्व oraz zapiski upamiętniające ważne dokonania paryskiej gałęzi bractwa Syjonu: zamachy, próby zamachów, skrytobójstwa i spiski. Owo pomieszczenie to małe skryptorium z wysokim i wąskim pulpitem jeszcze z czasów Jana Dobrego i jedyną, rzadko zapalaną lampą. Wąski korytarz na tyłach skryptorium, niegdyś przeznaczony dla pracujących tu niewolników, prowadzi do resztek calderium, gdzie w wyłożonym posadzką basenie nadal gromadzi się woda. Tu pośród rzymskich kolumn widać całkiem współczesne uchwyty, w których tkwią żywiczne pochodnie, noszące ślady niedawnego używania. Ogromny dębowy stół z bardzo pięknym srebrnym kandelabrem otaczają stare czcigodne krzesła; u jego szczytu króluje wspaniała wyściełana fotel z herbem, sprawiający wrażenie prawdziwego tronu. Odgłos pojedynczych kropel ma swoje źródło w przeciwległej ścianie: jest tam fontanna w kształcie lwiej głowy. Ze zbiornika dobiega cichy chłopot wody i nagle w jej czarnym lustrze odbija się płomień pojedynczej świeczki: ktoś schodzi po niewidocznych schodach. To człowiek w czarnym płaszczu przybywa zapalić

pochodnie. Przed chwilą na ulicy pojawił się Sternik i wszedł sekretnymi drzwiami do rezydencji szacownego doktora teologii, mistrza Belliera. Niebawem rozpocznie się spotkanie mistrzów Zakonu.

- Bracia moi w Tajemnicy - Sternik, wysoki smagły mężczyzna o żywych gorejących oczach pochyła się ku zebrany - nadeszła chwila, której nie waham się nazwać przesileniem. - Mówca zajmuje miejsce na tronie u szczytu stołu. Prastare podziemie rozjaśnia jedynie pomarańczowy odblask płonących pochodni, których dym bije w górę, niknąc gdzieś w mroku. Zapach żywicy tłumi wiszący tu od wieków odór starej zapleśniałej wody. - Astrologowie zapowiedzieli na tę zimę niezwykle korzystną koniunkcję. Drugi równie pomyślny układ zdarzy się być może za sto lat. Król Francji nie dożyje nowego roku. Zbliża się czas upadku królestw i dynastii. Lecz gwiazdy mówią również, iż wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad naszym Zakonem. - Wśród zebranych rozległ się szmer zaniepokojenia; kilku braci skinęło głowami. - Pół roku temu ktoś niepowołany dowiedział się o naszym istnieniu i o Tajemnicy. Obecny tu maitre Bellier powiadomił nas, iż pewien angielski dżentelmen odnalazł naszą księgę ze świętym prorocstwem. Została ona jednakowoż podzielona między trzech współników, którzy odkopali skarbiec, tak że wspomnianemu szlachcicowi przypadła tylko jedna część. Dwie pozostałe sprzedano, nim jeszcze cała sprawa doszła do wiadomości naszego londyńskiego brata.

Pełne zgrozy westchnienia odbiły się echem od wilgotnych ścian lochu. Na znak Sternika głos zabrał mistrz Bellier:

- Przeprowadziłem śledztwo i oto, co się okazało. Sieur Crouch, bo tak się nazywa odkrywca, zrozumiał, jak wielkie znaczenie ma księga, postanowił więc za wszelką cenę odzyskać owe dwie części. Ponieważ jeden z jego współników zamordował drugiego, Crouch doszedł do wniosku, że wystarczy zabić mordercę, aby cel ten osiągnąć. Tak też uczynił, lecz środkowej części nie odzyskał. Co stało się z tym fragmentem? Mógł wciąż jeszcze znajdować się w rękach wdowy po pierwszym zamordowanym, aczkolwiek możliwe było i to, że wdowa sprzedała go komuś, kto potrafił się poznać na jego wartości: arcybiskupowi Wolseyowi.

Przy stole zapadła śmiertelna cisza.

- Zważcie, drodzy bracia - przemówił znów Sternik - że gdyby rzecz tak się miała, istniałyby kolejne trzy możliwości. Wolsey mógł wyjawić nasz Sekret Rzymowi, mógł go zatrzymać dla siebie, być może po to, by w stosownej chwili podzielić się nim z naszym królem w zamian za umocnienie sojuszu, na którym tak mu zależy, mógł wreszcie mimo

wszystko nie docenić wagi Tajemnicy. Gdyby tak się stało, Crouch miał szansę zdobyć ową brakującą mu część manuskryptu, by na własną rękę wszcząć pertraktacje z królem Ludwikiem XII. Posłuchajmy zatem, co ma do powiedzenia nasz brat, który właśnie powrócił z Rzymu.

Młody mężczyzna w czarno-białym habicie dominikanina zaczął zniżonym głosem:

- Mogę cię zapewnić, dostojny Sterniku, że w czasie mego pobytu w Rzymie nie dotarł tam ani manuskrypt, ani żaden list z Anglii, który by ujawniał naszą Tajemnicę. Listów było wiele i sekretów również, lecz zgoła innych. Wolsey to człek ambitny, na szczęście wszelako ambicje te wcale nie dotyczą Kościoła, lecz wyłącznie jego osoby. No i wypada dodać, że własnej sprawie zaiste poświęcił niemało trudu! Ileż listów nadesłał do swego agenta, którym jest monsignore Sylwester Giglis! Lecz, powtarzam, nas one nie dotyczyły. - Bellier uniesieniem brwi przynaglił go, by mówił dalej. - Chodziło o nominację kardynalską Wolseya - podjął dominikanin, nie wiadomo: prawdziwy czy fałszywy - którą uparcie hamował rezydujący w Rzymie kardynał Jorku. I nagle, jakże szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jego eminencja Bainbridge zostaje otruty przez swego kapelana, Rinalda Modenę. Modena, poddany śledztwu, o czyn ów oskarża Giglisa, ten wszakże oświadcza, iż Rinaldo to biedny szaleniec, który działał z własnych, nikomu nie znanych pobudek. I oto szaleniec, cóż za łańcuch dziwnych przypadków!, nagle odbiera sobie życie, co jak wiadomo, szaleńcom często się zdarza. Cóż, można doprawdy ubolewać, że tylu samotnych wariatów ma ochotę popełniać zbrodnie polityczne i zaraz potem ginie z własnej ręki...

- Możemy zatem przyjąć, bracie, iż Rzym o niczym nie wie, tak więc nie musimy obawiać się Inkwizycji?

- Istotnie, bracie Sterniku, przynajmniej nie w tej chwili.

- A ostatnie wieści z Londynu? - Sternik ponownie zwrócił się do Belliera.

- Wolsey miał sługę, który na jego rozkaz odnalazł wdowę, a potem wszędzie jej towarzyszył. Zdobył zaufanie owej niewiasty, mógł więc przeszukać jej dom i pewnie tak zrobił... W niedługi czas później biskup polecił mu przeprowić się przez Kanał. Po co? By dołączył do świty angielskiej księżniczki i wśliznął się na nasz dwór!

- Król! Zdradzi nas przed królem! - rozległ się szmer.

- Dwukrotnie próbowaliśmy go zabić i za każdym razem przypadek ocalił mu życie. - Z ust wszystkich zebranych wyrwał się jęk rozczarowania. Sternik zacisnął szczęki, w jego zwężonych oczach błysnęła wściekłość. - Na szczęście później ręka Opatrzności przechyliła szalę na naszą stronę. Statek z agentem zatonął. Człowiek Wolseya nie żyje, a wszystko, co miał przy sobie, zatonoło, *ergo* przepadło bezpowrotnie.

- Chwała Bogu!

- Pozostaje wszelako jeszcze jedna groźba. Być może hipotetyczna, chociaż... Kazałem śledzić Croucha i jego dom. Cały czas prowadził gorączkowe poszukiwania. Często odwiedzał siedzibę Wolseya, ciągnął za język jego ludzi, chodził za wdową. Ha, dla odzyskania brakującej części manuskryptu próbował nawet zbudzić umarłego! I nagle wszystko ucichło, a Crouch, który nienawidzi podróży, jak zresztą wszelkich niewygód, kazał służącemu zamówić miejsce na statku.

- A więc to on ma księgę!

- Niechybnie!

- Popłynąłem następnym statkiem i dzięki naszym braciom z Calais, którzy dostarczyli mi szybszych koni, wyprzedziłem sieur Croucha. Nie wiem, czy ma całą księgę, lecz to on, a nie agent Wolseya, zmierza obecnie na dwór, by zdradzić nas Walezjuszom.

- Wiesz zatem, co trzeba uczynić.

- Tak jest.

- Tajemnica musi zostać zachowana, kopia księgi zniszczona. Nie wolno oszczędzać nikogo, kto poznał treść rękopisu, nie będąc członkiem naszego bractwa. Takie jest prawo Zakonu. - Sternik podniósł się zza stołu, a sługa, który przedtem oświetlał mu drogę, co prędzej poderwał się z miejsca, gdzie czekał skulony w mroku, i zapalił świecę. Mistrzowie jeden po drugim zapalali swoje od stojącego na stole świecznika i w milczeniu kierowali się do wyjścia. Pozostał jedynie Eustachy, człowiek w czarnym płaszczu, który jął gasić pochodnie, zanurzając każdą w zbiorniku. Kiedy z sykiem zgasła ostatnia, sala na powrót pograżyła się w mroku. Płomyk samotnej świeczki chwilę jeszcze tańczył po ścianach, po czym zniknął i on.

Podobno podczas koronacji księżę Franciszek osobiście trzymał koronę nad głową królowej, by jej zaoszczędzić wysiłku. Nie byłam tam wprawdzie, mogę sobie jednak wyobrazić, że z pewnością skorzystał z okazji, by obrzucić ją mnóstwem niestosownych spojrzeń, z tych, które już wcześniej zdarzyło mi się oglądać. Ciekawe ma te małe oczka, a jakie bystre! Po koronacji królowa na czele świetnego orszaku przekroczyła Porte Saint-Denis, po czym triumfalnie wjechała do Paryża. My z Nan znalazłyśmy się tam już wcześniej, by obejrzeć pracownię, którą na polecenie księżnej Małgorzaty wynajął dla nas jej lokaj. Pracownia była wspaniała i taka obszerna! Zajmowała całe trzecie piętro wąskiej kamieniczki na Pont-au-Change, tam gdzie rezydują złotnicy i ci, co wymieniają pieniądze, jak również kilku kupców, u których można nabyć biżuterię, kosztowne rzadkości i stare manuskrypty. Co

ciekawe, są tam galerie, gdzie wystawia się na sprzedaż obrazy, których dotychczasowi właściciele, sami dobrze urodzeni ludzie, znaleźli się chwilowo w kłopotach z powodu braku gotówki. Na Pont-au-Change jest też szewc, który robi prześliczne sandały, dla mnie za eleganckie. Miejsce to bardzo mi odpowiadało: niedaleko stąd było do Hotel des Toumelles, gdzie mieszka król Ludwik, kiedy jest w Paryżu, oraz do Luwru, największego z miejskich pałaców monarchy. Wróćmy wszakże do mojej pracowni. Jeśli miała jakiś mankament, to była nim tylko troszeczkę pochyła podłoga. Znajdowały się tu za to dwa kominki, a piękne okno wychodziło na północ, co jak wiadomo, daje najlepsze światło. Bardzo proste umeblowanie w zupełności starczało: obszerny stary kredens, łóżce, w którym z powodzeniem mogłaby się zmieścić cała rodzina, i mocno pokierszowany warsztat.

- Ostatnio mieszkał tu grawer - wyjaśniła właścicielka, stara sroga Francuzka w fartuchu i czepku. Widziałam, że spogląda na nas podejrzliwie. - Notariusz diuszesy mówił mi coś o malarzu i jego służbie - dodała, zawieszając głos. A nie o jakiejś rozpustnicy przebranej za wdowę, wyraźnie mówiły jej oczy.

- Ja jestem tym malarzem, a portretuję wyłącznie osoby najwyższej rangi - oświadczyłam. - Mieszkam właściwie na dworze, lecz do pracy potrzebuję więcej miejsca, a także spokoju. Notariusz diuszesy solennie mnie zapewnił, że to dom odpowiedni dla zacnej kobiety, zdaje mi się jednak, że nie zauważył tego, co widzę tu naprzeciwko. Doprawdy nie wiem, czy moja patronka pozwoliłaby mi spędzić bodaj jedną noc w pobliżu takiej oberży! „Beczka Olbrzyma”! W Anglii nigdy bym nie ścierpiała równie niegodnego sąsiedztwa. Obawiam się, że może mi ono zepsuć reputację.

Spojrzenie gospodyni przeniosło się z mojej wdowiej czerni na surowe oblicze Nan i jej schludną suknię, a potem na lokaja w bogatej liberii, który niósł moją skrzynkę. Po oczach widać było, że kalkuluje.

- Malarka? Nigdy o kimś takim nie słyszałam - rzuciła gderliwie.

- Och, w Anglii wiele szacownych kobiet trudni się rzemiosłem. Malarek mamy dziesiątki. Pewnie i w Paryżu są tkaczki?

- No przecie! Jakże inaczej uczciwa wdowa zdołałaby się wyżywić?

- W rzeczy samej. Podobnie jest w Anglii, tylko że tam wdowy malują. Musicie przyznać, że to bardziej wytworne zajęcie. Obracamy się przecież wśród osób dobrze urodzonych.

Stara Francuzka pokręciła głową z jawnym niedowierzaniem.

- Obrazu boska... - mruknęła. - Cudzoziemka... skoro jednak sama diuszesa...

- Coś ty jej nagadała? - spytała Nan po wyjściu naszej gospodyni, w której głośnych

krokach na zewnętrznych schodach słyhać było niechęć.

- Źe w Anglii są całe tuziny malarek w służbie u arystokratów.

- Ale z ciebie kłamczucha! - zgańła mnie surowo. To samo mówił Robert Ashton, dlatego słyszając te słowa, poczułam smutek, chociaż wolałam się z nim nie zdradzać.

- Och, wyrzyj przez okno - zawołałam, by zmienić temat. - Przed tą „Beczką Olbrzyma” widzę trzech pijaków. Ledwo siedzą na koniach. No... tak myślałam! Jeden właśnie zleciał.

Pijak, który spadł z konia, leżał jak długi w błocie. Nagle wypatrzył mnie w oknie i zaczął pokazywać palcem. Podniosła się wrzawa, bo przyłączyli się dwaj pozostali i zaczęli wyrzaskiwać słowa, których całkiem nie rozumiałam.

- Boże miłosierny, znowu tawerna! - jęknęła Nan. - A ty jak byłaś głuptasem, tak i pozostaniesz! Kiedy nareszcie zrozumiesz, że potrzebny ci uczciwy mężczyzna, inaczej wciąż napastować cię będą takie szumowiny! Sami pijacy i kobieciarze. Tak, tylko to cię czeka!

- Nedorzecność. Miałam męża, i co? Wcale się o mnie nie troszczył. Daj spokój, Nan. Dziś przynajmniej pozwól mi się cieszyć. Słyszysz te wiwaty? Pewnie orszak królowej zbliża się do Les Toumelles.

W takiej chwili, rzecz jasna, nie pozostawało nam nic innego, jak rzucić wszystko i biec na ulicę. Naszą królową niesiono we wspaniałej lektyce. U jej boku jechał książę Franciszek, cały w uśmiechach, a dalej mrowie francuskich dworzan, proporce, trębace, konni gwardziści. Król bardzo skrócił swój udział w uroczystości, by co prędzej położyć się do łóżka. Widok był zaiste niezwykły i nasunął mi sporo pomysłów. A wielki turniej angielsko-francuski miał być pono jeszcze wspanialszy, tak mówili ludzie na ulicy. Wspanialszy od wszystkiego, co widziało dotąd ludzkie oko. W taki sposób francuski następca tronu postanowił uczcić królową.

- Nan, muszę zobaczyć ten turniej, choćby nie wiem co!

- Nie pleć głupstw! Tam jedyne bezpieczne miejsca będą na podwyższeniu, a one są tylko dla dam. A zresztą nie masz zaproszenia.

- Ja muszę tam być! Nie słyszałaś, co mówią ludzie, że będzie to widowisko, jakiego nie widział Paryż? Wezmę sztalugę i udam, że kazano mi je uwiecznić.

- Jeszcze jedno paskudne kłamstwo. Myślisz, że ktoś w nie uwierzy? Oj, Zuzanno, Zuzanno! Żadna uczciwa kobieta nie zrobiłaby tego, co ty chcesz uczynić. Wszak będą cię tam zaczepiać! Znajdź sobie lepiej jakieś okno w tym Les Tournelles. Po co w zamku te wszystkie wieże, jak nie dla widoku? W dodatku zanoszą się na deszcz. Chcesz znów zachorować? Tym razem może ci paść na płuca! Pomyśl, możesz umrzeć, jeśli wreszcie nie

zmańdrzejesz!

Wszystkie te przestrogi podsyciły jedynie me pragnienie obejrzenia wielkiego turnieju, i to bynajmniej nie z okna.

- Gdy przybywa się do Paryża, trzeba najpierw wymienić pieniądze - oświadczył sir Septimus - co uczyniwszy, udamy się zaraz do dzielnicy cudów wynajmając ze dwie francuskie szelmy na twoich strażników, milordzie. W tym mieście trzeba mieć oczy i uszy, jak również ludzi, którzy zręcznie władają nożem i nie lękają się go użyć - dodał światowym tonem.

- O wszystkie moje potrzeby zatroszczą się niższe demony - rzucił niecierpliwie Belfegor. - Nie chcę żadnych zręcznych rzeźmieszków. Gdybym miał już zatrudniać ludzi, niechby to były raczej miłe, niewinne duszyczki. Takim bardziej można zaufać, a i później większa z nich przyjemność.

- A czy twe demony mówią po francusku? Nawet mój wierny Watkins nie na tyle zna tutejszy język, by załatwić co bardziej delikatne sprawy.

- Ty mówisz po francusku. Ty je będziesz załatwiał - arogancko odparł Belfegor. Crouch zauważył, że z uszu zaczyna mu dymić, skinął więc głową.

- Bardzo słusznie, milordzie - potwierdził z bładym uśmiechem. - Im mniej ludzi wie o naszych planach, tym lepiej. - Ty głupcze, dodał w duchu, wkrótce posiadę już wszystkie twoje ciemne moce, a te dwa półdiabły będą tańczyć, jak ja im zagram. Znadto się rozpuściłeś, ale to nic. W końcu cię zwyciężę. Na szczęście mam zwierciadło, które wiernie ukazuje przyszłość.

- Znajdź mi tych spiskowców, Crouch. Chcę się dogadać z tym ich Sternikiem. Wspólnie wykończymy Walezjuszy.

- Ale manuskrypt...

- Cóż znaczą jakieś gryzmoły? Mnie one niepotrzebne.

- Mnie są potrzebne, milordzie. Ty także powinieneś poznać tę ich Tajemnicę. Gdy nazbyt już wzrosną w siłę, możesz ją zdradzić ich wrogom. - Ależ łatwo go skusić taką obietnicą, myślał Crouch, obserwując chyłkiem Belfegora. To tak, jakby dziecku podsunąć ocukrzoną figę. Łatwe to, lecz i nudne. Tylko że ten piekielnik zaczyna mieć coraz większe wymagania. Przekłete kaprysy! Co takiego ma w sobie miasto, że potrafi zepsuć nawet demona? Zaczynam rozumieć, dlaczego templariusze zamknęli go w końcu w skrzyni.

- No to bierz sobie ten rękopis.

- Najpierw musimy znaleźć Zuzannę Dallet.

- Co znaczy „musimy”? Ty to zrób, Crouch. Ja jestem teraz dżentelmenem. Znajdź ją i



odbierz rękopis. Masz mi służyć, pamiętasz? Obiecałem ci skarby ziemi. Powiedz mi lepiej, czy mam nosić i miecz, i sztylet, czy też na tym dworze mogą uznać to za przesadę? Aha, i znajdź mi mistrza od tańca. W Calais usłyszałem przypadkiem, co mówił pewien dżentelmen: trzeba znać najmodniejsze kroki. Bez tego nie można bywać w żadnym wytwornym salonie.

Chyba przesadziłem z tą nauką, powiedział sobie Crouch, zaciskając zęby. Jedyna pocięcha w tym, że ma łeb zaprzątnięty głupstwami. Zawsze można to wykorzystać.

Tak rozmawiając, posuwali się z wolna błotnistymi uliczkami na prawym brzegu Sekwany. Przypadkowi przechodnie nie słyszeli ich konwersacji. Widzieli jedynie dwóch bardzo wytwornych cudzoziemców na czarnych mułach i lokaja o wyglądzie opryska na starej łaciatej kobyle. Jeden z cudzoziemców był wysoki i krzepki, śnieżnobiałe włosy sterczały mu ku górze niby wstęgi dymu, lecz w kwadratowo przyciętej brodzie zachowały się jeszcze tu i ówdzie pojedyncze ciemnoszare nitki. Dżentelmen ów miał gęste, złośliwie wygięte brwi, a oczy zimne jak dwa skute lodem zielone jeziora. Jego poorane zmarszczkami oblicze mówiło o latach rozpusty. Z wyraźną służalczą atencją odnosił się do swego towarzysza, jakby starał się go oczarować. Towarzysz ów, ubrany jeszcze wspanialej, wydawał się jakiś dziwny, prawie bezcielesny. Twarz... tę było widać, choć spod warstwy białego pudru wyzierał osobliwie zielonkawy odcień, za to nie przypudrowana szyja zdawała się chwilami zanikać, jakby jej budulcem była jakaś niestała, podobna do dymu substancja. Kosztowny łańcuch sprawiał wrażenie, że wisi w powietrzu. Wystarczyło jednak przeniesić wzrok na futrzane obramowanie przepysznej aksamitnej szaty, by zapomnieć o tym defekcie. Któż zresztą nazwałby to defektem u osoby, która bije wręcz w oczy swoim bogactwem i rangą.

Najdziwniejsze w tym towarzystwie były chyba dwa czarne muły w niezwykle kunsztownej rzemiennej uprzęży. Kto by uważniej przyjrzał im się z bliska, dostrzegłby pewnie bijące z ich nozdrzy małe płomyki, z daleka niewidoczne wśród kłębow wydechanej pary. W rzeczywistości były to demony niższej rangi. Belfegor przyzwał je z piekła, gdy się okazało, że prócz łaciatej kobyły nigdzie niepodobna kupić żadnego zwierzęcia pod wierzch. Wszystko, co było na zbyciu, sprzedano Anglikom, którzy w ogromnej sile zjechali właśnie na turniej.

Bezcielesny jegomość ciekawie rozglądał się dookoła, wyciągając swą mało widoczną szyję, a jego nos wielkości i kształtu średniego ogórka z rozkoszą chłonał uliczny fetor.

- Hmm... Wiele się tu zmieniło od czasu mego ostatniego pobytu - stwierdził. - Tylko ta przeklęta katedra wciąż tkwi w środku miasta jak tłusta ropucha. Ach, dawne czasy... O, Les Tournelles... coś tu dobudowali. Miałeś rację, Crouch, za długo siedziałem w tej skrzyni.

Nigdy więcej nie dam się zamknąć. Cóż jest lepszego nad wolność i piękne stroje! - wykrzyknął Belfegor, zerkając zezem na Croucha. W spojrzeniu tym znać było namysł. Jak długo jeszcze będzie mi potrzebny ten człowiek? Wyciągnąłem już z niego prawie wszystko. Warto by może teraz znaleźć łebskiego Francuza, znawcę genealogii i filozofii. O, tamten w tej długiej sukni właśnie na takiego wygląda. Ksiądz też byłby dobry. Albo jakiś studencik, niewinny i delikatny. Później można by się nim pożywić.

Maitre Bellier, gdyż on to właśnie wyszedł przed chwilą z tawerny i stał teraz na ulicy, roztrząsając jakiś problem teologiczny z grupką uczonych z Sorbony, poczuł na sobie spojrzenie demona i obróciwszy głowę, zobaczył Croucha. O, a coż mu się stało, że tak osiwał? I co to za dziwny jegomość przebrany za arystokratę? Jakiś sklepikarz? Kimkolwiek jest owo indywiduum, żaden człowiek z towarzystwa nie powinien się z nim zadawać. Spojrzał na swego lokaja i ledwo dostrzegalnym gestem nakazał mu ich śledzić. Ten mrugnął na znak, że zrozumiał, zaraz też niepostrzeżenie oderwał się od grupki teologów.

Sir Septimus tymczasem rozpoczął dyskurs o władzy. Umiał rozpoznawać oznaki znudzenia, wiedział też doskonale, czym zainteresować mało skomplikowany umysł.

- Czy wiesz, milordzie, jak ważną rzeczą jest władza? Pokażę ci, jak ją zdobyć.

- To już wiem. Kupię niewolników za te pieniądze, co masz je dla mnie wymienić. Czyż nie tak robi się to na ziemi?

- W rzeczy samej, wasza diabelskość. Za pieniądze możesz mieć wszystko. Widziałeś, jak kupiliśmy za nie krawca, a potem kapitana statku.

- Mułów nie kupiłeś.

- Bo ich akurat nie było. W ogólności jednak nie ma takiej rzeczy, której byś nie mógł dostać za pieniądze. Ani takiego człowieka. Każdy bowiem ma swoją cenę.

- Zatem mój plan jest dobry. Cóż ci się w nim nie podoba, Crouch?

- To, drogi milordzie, że twoim sposobem trzeba ludzi kupować po kolei, co zabiera dużo czasu, jeśli zaś zdobędziesz władzę, osiągniesz swe cele dużo szybciej i mniejszym wysiłkiem. Za jednym zamachem zniszczysz tysiące istnień. Po co używać przestarzałych metod? Już się przekonałeś, że kupowanie ludzi skutkuje szybciej aniżeli podszeptywanie im złych myśli, nieprawdaż? Mieć władzę to mieć w garści od razu mnóstwo ludzi, miast kaptować ich pojedynczo. Potem wystarczy ich tylko zręcznie na siebie napuścić, a oni sami zaczną podgryzać sobie gardła. Ty w tym czasie nie musisz nic robić. Siedzisz spokojnie i czekasz, aż się nawzajem wykończą. Wtedy zbierasz plony.

- O, to mi się podoba. Nie wiedziałem, że na ziemi można zdobywać władzę. U nas na tamtym świecie wszystko jest tak, jak było na początku czasu. Wciąż ci sami sprawują władzę

- odrzekł Belfegor. To, że wśród ludzi rządy przechodzą z rąk do rąk, pobudziło jego wyobraźnię. Gdyby nauczyć się ich sposobów... można by awansować w piekielnej hierarchii... - Ludzie bardzo się od nas różnią - stwierdził głośno. - Mówisz więc, że wynaleźli sztukę buntu?

Ha, traktuje mnie już prawie jak równego sobie, ucieszył się Crouch. Przestaje się mieć na baczności.

- Zaufaj mi, wasza diabelskość. Twoje dobro doprawdy leży mi na sercu. Dzięki mojej pomocy możesz zdobyć tu najwyższą władzę. Wszyscy żyjący na ziemi będą oddawać ci hołdy.

Hm, a może i w piekle, jeśli opanuję te ich sztuczki, pomyślał Belfegor, lecz nagle ogarnęła go podejrzliwość.

- Ufać tobie, Crouch? A niby z jakiej racji mam ufać duszy potępionej? Nawet w piekle trudno by znaleźć istotę bardziej zdradziecką od ciebie. Niech ci się nie zdaje, że jestem głupi!

- Za to właśnie cię szanuję, milordzie. Za twój wyrafinowany umysł, tak biegły w sztuce intrygi. Wiesz, podobne przyciąga podobne. Ufaj mi nie na słowo honoru, gdyż ono w rzeczy samej nic nie jest warte, lecz ze względu na respekt, którym cię darzę. Uznaję w tobie mistrza przewrotności i zła, i za to cię poważam. W dodatku jestem ci równie potrzebny, jak ty mnie. Widzisz więc, że możesz mi ufać. Aha, jesteśmy na miejscu. To już Pont-au-Change. Będziemy mieć wkrótce tyle francuskich monet, że starczy ich na realizację wszystkich twoich planów. Tylko patrz na ręce tym ludziom. Umieją sprytnie oszukać przy liczeniu, a ich złoto jest nieraz fałszywe.

- Mój nos wyczuwa prawdziwe złoto. Żaden śmiertelnik nie oszuka Belfegara.

Crouch na te słowa tylko uśmiechnął się w duchu. Dostrzegłszy klocek jeździecki przed tawerną pod znakiem wyobrażającym uśpionego olbrzyma na straży wielgachnej beczki, doprowadził tam swego muła, po czym wraz z Belfegorem udał się do kantoru. Lokaj z łaciatą kobyłą trzymał się z dala od dwóch czarnych mułów, które pozostawszy same, zaczęły rozmawiać o czymś półgłosem. Choć ich język był niezrozumiały, łatwo dawało się wyczuć, że są mocno niezadowolone.

- Skoro już mamy pieniądze - rzekł sir Septimus, wychodząc z kantoru - możemy pooglądać starożytności. Na tym moście jest kilka wspaniałych antykwariatów.

- Nie pojmuję twego uwielbienia dla tych rupieci. Starożytności! Dla mnie one wcale nie są stare. Wstąpiłbym raczej czegoś się napić - grymasił Belfegor, wchodząc do sklepu.

Z tawerny „Pod Beczką Olbrzyma” wyłonił się tymczasem jakiś zalany jegomość i

zaciekawiony widokiem dwóch czarnych mułów, zaczął się na nie gapić. Że też tak spokojnie stoją bez żadnych pęt czy postronków! Podsunąwszy się bliżej, ciekawie zajrzał im w nozdrza i... oczy wylazły mu na wierzch ze strachu. Bełkocząc coś niezrozumiale, pognął z powrotem do karczmy.

- Teraz widzisz, milordzie, co znaczą pieniądze - powiedział Crouch. Wyszli właśnie z antykwarium.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego je trzeba wymieniać. Mówiłeś chyba, że pieniądze są „uniwersalne”. Tak to ująłeś, nieprawdaż?

- Bo tak jest, lecz każdy kraj ma swoje. Mówiłem ogólnie.

- No a ów turniej, z powodu którego wszyscy dostają wariacji? Ten człowiek w sklepie wciąż tylko gadał o szrankach i cudzoziemskich lordach. Czy to warto zobaczyć? Zamierzałem się tu zabawić, mając nadzieję na jakąś orgię czy kilka morderstw, ale przez te rycerskie rozgrywki chyba ich zaniechano.

- Potrwa on całe pięć dni. Nie martw się, milordzie, jak dobrze pójdzie, będziesz miał jatek do woli. Do tego nocne bankiety, skrytobójstwa i tak dalej. A wszystko w jak najbardziej wytwornej formie.

- Ach, rozumiem, rozumiem. Wiesz, Crouch, dzięki tobie zaczynam zmieniać poglądy. Dobra rzecz ta cywilizacja! Grzech jako sztuka. Czuję, że sam z dnia na dzień staję się bardziej wyrafinowany. I pomyśleć, jak strasznie prostackie były kiedyś moje przyjemności! Zamówię sobie chyba trochę nowych strojów. Bardziej mi odpowiada ten francuski styl. Co byś powiedział na włoski brokat naszywany brylantami? Na tym turnieju zamierzam zadać sztyku... I... och, tak! - Urwał, spoglądając na muły. - Potrzebne mi będą wspanialsze wierzchowce. Wy dwaj musicie się zmienić w piękne bojowe rumaki. Ogromne. Książę Belfegor powinien mieć wszystko co najlepsze.

Muły wymieniły spojrzenia; w ich krwawych ślepiach widać było niechęć. Znów coś mruknęły w nieznanym języku.

W miejscu gdzie Pont-au-Change łączy się z prawym brzegiem Sekwany, mieści się bardzo gustowna galeria. Klient poszukujący dobrego gobelinu czy rzeźby może je tu nabyć za całkiem przystępną cenę, natomiast dżentelmen w potrzebie korzystnie sprzeda stołowy zegar, solniczkę bądź inne rodowe przedmioty, i to bez czekania na zapłatę czy niesmacznych targów, jakie towarzyszą zwykle transakcjom z ludźmi niższego stanu. Najłatwiej znaleźć tu jednak obraz, w dodatku taki, że z miejsca doda elegancji czyjemuś gabinetowi czy prawie pustej sali recepcyjnej. Dzieła godne zarówno publicznego podziwu, jak i samotnej

kontemplacji - religijne, świeckie, mitologiczne - wypełniają ściany od podłogi aż po sam sufit. W jaki sposób właścicielka galerii potrafi żądane egzemplarze zdejmować z takiej wysokości, pozostaje nie lada zagadką, gdyż biedactwo jest garbuską, co więcej, bardzo chyba chorą. Nie tylko skórę ma bladą jak papier, lecz nawet włosy zrobiły jej się całkiem przezroczyste. Sąsiedzi twierdzą wszelako, że gdyby nie owa deformacja, biedna dama z galerii mogłaby nieźle wyjść za mąż, twarz bowiem ma doprawdy wyjątkowo piękną. Galerię często odwiedzają paryscy artyści, i to nie tylko dlatego, że w osobie marszandki znajdują chętnego nabywcę tak nieraz wyspekulowanych dzieł, że gdzie indziej sprzedać ich się nie da. W tym sklepie panuje szczególna jakaś atmosfera... Trudno powiedzieć, co właściwie podnosi człowieka na duchu. Nowoczesny obraz w stylu włoskim, łagodny uśmiech Madonny, której piękna figurka z kości słoniowej stoi na wystawie, czy wreszcie wesołość samej właścicielki i jej jakże krzepiące słowa: „O, te pociągnięcia pędzlem to prawdziwa doskonałość. Mówisz, że hrabia nie chciał przyjąć twego obrazu? Niech żałuje! Stracił arcydzieło!” Na czymkolwiek polega owa tajemnica, skutek nieodmiennie jest taki, że nawet jeśli człowiek przyszedł zniechęcony, to wychodzi z ochotą do pracy i mnóstwem ciekawych pomysłów. Do galerii zaglądają też czasem kobiety, ponieważ wielu paryskich iluminatorów to żony i córki wytwórców drogich ksiąg, właścicielka galerii zaś ma na składzie również znakomite manuskrypty, stare zabytkowe mszały i książki do nabożeństwa.

- Ach! - Hadriel zrzucił z ramion szary wytarty płaszcz i szeroko rozpostarł skrzydła. - Dziś ani jednego klienta! Turniej! Wszyscy usiłują pewnie takim czy innym sposobem skombinować sobie zaproszenia. Nic dziwnego, taka impreza! Będzie tam cały Paryż! Troszkę wyżej, moi drodzy, i w prawo. - Słowa te skierowane były do kilku malutkich cherubinków, które trzepotały skrzydełkami szybciej niż kolibry pod samym sufitem galerii. Sześć owych drobniutkich istotek podtrzymywało ciężki obraz przedstawiający świętego Hieronima, siódma wbijała gwóźdź w ścianę. - Tak, teraz świetnie! - zakrzyknął Hadriel, klaszcząc z uciechy w dłonie. Jego mali pomocnicy sfrunęli spod sufitu i zasiedli na kontuarze.

- Widziałem dzisiaj Uriela - oznajmił jeden. - Leciał nad miastem w bardzo brzydkiej burzowej chmurze. Co pocniesz, jak cię przyłapie?

- Przecież robię, co do mnie należy, a że w inny sposób? Cóż na to poradzę, że naszło mnie takie natchnienie? I proszę, o ile skuteczniejsza jest moja metoda! Miałem dalej fruwać po świecie i każdemu z osobna podpowiadać, co powinien tworzyć i jak? Wszak to straszne marnotrawstwo czasu! A tak ludzie sami do mnie przychodzą, wystarczyło tylko otworzyć sklep. Wzięci artyści, artyści *in spe*, wszyscy złąknieni piękna i niezwykłości zbierają się tu z

własnej woli, a ja za jednym zamachem mogę zainspirować twórczo całą grupę. Jak tylko uda mi się jeszcze rozwiązać parę problemów, wzorem włoskich bankierów otworzę filie i was w nich pomieszczam, moi drodzy. Och, powiadam wam, skrzydła sobie zdarłem tym lataniem pomiędzy Rzymem a Florencją, a ile przez to innych spraw zaniedbałem! Przez całe stulecia na przykład brakowało mi czasu dla Scytów. Wciąż tylko zajmują się końmi. Co za sens być aniołem sztuki, gdy zmuszony jesteś działać ciągle tymi samymi metodami? Przy tak ograniczonych sposobach pożytek jest wręcz znikomy.

- Im nie spodoba się to, co robisz. Archaniołowie nie pochwalają zmian, a ty będziesz miał same kłopoty - oświadczył drugi cherubinek.

- Wielkie rzeczy! Jakiż byłby świat bez nowości? Najwyższy czas, aby nasza starszyzna wyzbyła się wreszcie tego nieznośnego rygoryzmu. Wszak zmienia się sama sztuka. Gdyby tak nie było, śmiertelnicy po dziś dzień malowaliby na skałach same bawoły. A jak jest? Sami spójrzcie! - Hadriel z zadowoloną miną zatoczył dookoła ręką. - A co do sklepu, to takiej uciechy dawno już nie miałem. Od czasu gdym poznał panią Zuzannę. Skoro mowa o uciechach... Już prawie się zdecydowałem dać dziś sobie wolne i iść na turniej. Sądząc po tym, co wyprawiają ci paryżanie, rzecz godna jest zobaczenia.

- Oj, Hadrielu, za dużo tych przyjemności. Będziesz się miał z pyszna, jak cię na tym przyłapią. Mogą przecież naskarżyć Ojcu.

- Czyż nie należy mi się odrobina wolnego czasu, skoro tyle go oszczędzam dzięki zastosowaniu lepszych metod pracy? Mam do tego całkowite prawo - odrzekł Hadriel. Ton jego świadczył, że daje zarazem odpór własnym wątpliwościom. Wyjął grzebień z kieszeni swej niezwyklej szaty i patrząc w wiszące na ścianie lustro, przyglądał loki nad czołem. Uczyniwszy to, przyjrzał się sobie z kilku stron, najwyraźniej podziwiając efekt.

- A czy ja mógłbym pójść z tobą? - spytał nieśmiało któryś z cherubinków.

- I ja! I ja! - rozległy się głosy.

- Myślałem, że nie pochwalacie takich zabaw.

- Bo nie pochwalamy.

- My tam będziemy pracować.

- W razie czego cała wina spadnie na ciebie. Jesteś wszak naszym zwierzchnikiem. - Głosy cherubinków brzmiały jak świergot jaskółek. Nie miały one płci, tak samo jak Hadriel nie był ani mężczyzną, ani kobietą. To tylko człowiek, któremu się zdaje, że wszystko urządzone jest na ludzką modłę, próbuje przypisywać aniołom płeć. A przecież Ojciec Niebieski właśnie anioły stworzył jako pierwsze, po nich zaś dopiero ludzi. Dlaczego zmienił pierwotny zamysł? Nikt tego nie wie, jednakże każdy, kto choć przez chwilę zastanowi się

nad tym pytaniem, musi dojść do wniosku, że żaden z tych dwóch modeli w pełni Go nie zadowolił. Hadriel osobiście uważał, że być może nuda skłoniła Stwórcę do szukania nowych rozwiązań, lecz Hadriel był znany z dziwacznych pomysłów. Archaniołowie dziesiątki razy przemawiali mu do słuchu i wciąż było tak samo: obiecywał poprawę i natychmiast o tym zapominał, a malarze na całym świecie zaczęli sprawiać kłopoty. Tak jak teraz. Czcigodnych patriarchów malowali nago, potajemnie studiowali anatomię, wykopywali z ziemi stare pogańskie posągi, by je z upodobaniem kopiować. Ich dzieła nasuwały innym coraz śmielsze pomysły, które zmieniały świat. Archaniołowie ruszyli więc w pościg za Hadrielem, by po raz kolejny wbić mu do głowy, iż przez swe ekstrawagancje wyrządza niepowetowane szkody wśród prostych, naiwnych duszyczek.

- To prawda - oświadczył w odpowiedzi na uwagę cherubinków cała wina spada na mnie. Założymy się, kto wygra turniej? Ale bez żadnych sztuczek. Nie wolno wpływać na wynik. Obiecujecie?

- Zgoda! Obiecujemy!

- No to lećmy!

- Na wakacje! - krzyknęły chórem aniołki. Przeniknąwszy przez sufit, wzbiły się ku szarym chmurom i jak stadko ptaków pomknęły nad miastem.

## PORTRET JEDENASTY

*Franciszek diuk d'Angouleme jako następca tronu". Sztych wykonany na podstawie zaginionego oryginału.*

*Przedstawiony tu wizerunek przyszłego monarchy różni się dość znacznie od innych jego podobizn. Nie nosił wtedy brody, widocznej na wszystkich jego portretach z czasów dojrzałości, a wiek jeszcze nie zdążył pogrubić mu rysów i torsu. Ten szczupły, urodziwy młodzieniec, wielki koneser malarstwa i literatury, a zarazem znany utracjusz i ulubieniec kobiet, był żywą kwintesencją renesansowego dworzanina. Portret oryginalny, który zgodnie z przekazem historycznym był miniaturą oprawną w wysadzaną diamentami kasetkę z wyrytym na niej wizerunkiem delfina, zaginął podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej.*

Lebrun, Dzieje królów Francji

Jednym z pierwszych zamówień księżnej Małgorzaty był portret jej brata. W miłości do niego tak dalece traciła umiar, że można to było nazwać tylko zaślepieniem. Był to bowiem młodzieniec do cna zepsuty i wyuzdany. Lecz gdy ktoś ma taką matkę, jak pani Ludwika Sabaudzka, czegoż można po nim oczekiwać? Należała ona do osób, które w imię dobra swoich dzieci zrobią wszystko, bo i zdolne są do wszystkiego. Z tego, co wiem o wielkich naszego świata, a z każdym rokiem wiedza ta się poszerza, wynika, że wszyscy oni są zepsuci, nie tak, to inaczej. Jeśli więc ktoś, jak na przykład książę Franciszek, umie przy tym docenić malarstwo, pisze wiersze i ma zawsze otwartą sakiewkę, to już dobrze. Czyż nie zaciej jest wydawać pieniądze na sztukę niż na konie czy kosztowne turniejowe zbroje? Kiedy uda się już znaleźć taką osobę, trzeba jej często powtarzać, o ile wznioślejsze są jej myśli od tego, co ma w głowie pospolity człowiek, upewniać w przekonaniu, że wyrafinowane gusty świadczą o szlachectwie duszy i tak dalej. Takie pochlebstwa powstrzymują wielkich od podłości, malarz zaś zyskuje dalsze zamówienia.



Franciszek d'Angouleme i jego szwagier, diuk d'Alencon, z wolna jechali wzdłuż muru Parc des Tournelles, doglądając postępu robot przy budowie licznych konstrukcji. Stawiano tu pawilony dla zawodników, przygotowywano miejsca dla publiczności, grodzono teren, gdzie odbywać się miały pojedynki. Zmierzając ku końcowi parku, dwaj książęta mieli przed sobą niknący wśród drzew rząd szarych, tępo zakończonych wieżyczek, w których czuwały strażę. Dziesiątki podobnych w kształcie, bogato rzeźbionych wież wieńczyły wznoszący się za ich plecami wielki pałac króla Ludwika. Jedwabne proporce z królewskim herbem ponuro łopotały na wietrze pod szarą kopułą chmurnego nieba. Ostre krzyki wędrujących po parku oswojonych pawi zdawały się zwiastować kolejną ulewę.

- Źle mi to wygląda - stwierdził d'Alencon. Uwolniwszy dłoń od rękawicy, wystawił ją w górę, by sprawdzić, czy już nie pada.

- O, damom nawet włos nie zmoknie - zapewnił go Franciszek, popierając te słowa żywą gestykulacją. - Nad trybuną kazałem rozpiąć kopułę z pięknie malowanego płótna. - We wskazanym przez niego miejscu uwijało się mrowie stolarzy i cieślów. W zimnym powietrzu niosły się okrzyki, zgrzyt piły i stukot młotków. - Szranki będą tutaj - objaśniał Franciszek - a tam pawilony Anglików.

- Niezbyt przyjemne to miejsce.

Książę następcą zbył sprawę lekceważącym gestem:

- Lepszego i tak by nie umieli docenić.

- Mówi się, że ten diuk Suffolk to barbarzyńca bez wychowania i wykształcenia, a przecież ich król powierza mu najważniejsze sprawy państwa - zauważył d'Alencon.

- Zasięgnąłem w tej sprawie języka. Całą swoją polityczną chytrą czerpie od tego szczwanego lisa, arcybiskupa Wolseya. Co się zaś tyczy rycerskiej sławy milorda, to zamierzam go jej pozbawić - oznajmił Franciszek z ogromną pewnością siebie.

- Może się to okazać wcale nie takie łatwe. Widziałeś już, książę, jak on wygląda? Przybył tu w towarzystwie milorda Dorseta, też ponoć wielkiego czempiona. On sam zbudowany jest jak byk. Czego nie ma w głowie, to mu poszło w mięśnie. Inni angielscy rycerze kupują francuskie konie, a on wiezie własne. Chce pokonać największych naszych mistrzów rycerskiego rzemiosła i nie szczędzi na to wydatków.

Dojechali właśnie do miejsca, gdzie kończyło się pole walki; porastająca je murawa miała już wkrótce zamienić się w krwawe błoto. Tu też zawrócili ku pałacowi. Teraz za otaczającym park murem widzieli odległe wieżycę Bastylia, znaczące granice Paryża.

- Nie pójdzie mu to tak łatwo, jak być może sobie wyobraża - odparł Franciszek z chytrym błyskiem w oku. - Mam pewien plan. W imię szlachetnej przyjaźni pomiędzy rycerstwem obu naszych królestw poprosiłem tych dostojnych milordów, by zostali moimi pomocnikami, a więc współpatronami turnieju.

- Aha! Oznacza to, że w razie gdybyś nie mógł stanąć do pojedynku...

- Oni zmuszeni będą to uczynić, nawet jeśli przeciwnikami mieliby być ich rodacy.

- A więc gdyby przypadkiem Anglicy zbyt dobrze zaczęli się sprawiać co rzecz jasna, zdarzyć się nie może...

- Wtedy ja się wycofam i Anglicy zwyciężą Anglików.

Diuk d'Alencon skwitował tę wypowiedź pełnym uznania parsknięciem, po chwili wszakże twarz mu spochmurniała.

- Co sądzisz - zapytał - o owych pogłoskach, jakoby Suffolk miał tu do spełnienia zgoła inną misję?

- Spłodzenie następcy tronu? To również mu się nie uda. Obie nasze żony, moja i twoja, nie odstępują królowej na krok. Możesz być pewien, że nie pozostawią jej sam na sam z nikim, a już zwłaszcza z owym milordem. Słyszałeś, by moja matka kiedykolwiek zawiodła w takich sprawach? - Franciszek powiedział to ze śmiechem, zaraz wszakże stanęła mu przed oczyma wysmukła postać królowej, jej rude włosy i jasne błyszczące oczy. Szkoda jej na żonę dla takiego starca, pomyślał. Czuł, jak mimo woli rośnie w nim pożądanie... Zakazany owoc... Zakazany? Czyż sam Ludwik XII, chcąc poślubić Annę Bretońską, nie pozbył się kiedyś swojej pierwszej żony, choć ta brzydka, upośledzona fizycznie kobieta była królewską córką? Dla monarchy nie ma rzeczy niemożliwych. Kiedy on, Franciszek d'Angouleme, ostatni z rodu Walezjuszy, zostanie królem, będzie miał tę Angielkę. Wystarczy, że taką wyrazi wolę.

- Co zrobisz jeśli zaczną padać? - zapytał d'Alencon.

- Zaplanowałem mnóstwo rozrywek pod dachem - odrzekł Franciszek. Zostało to powiedziane zdawkowym tonem, lecz diuka d'Alencon nie wiedzieć czemu ogarnęła pewność, że nie chodzi tu tylko o tańce i ucztę.

Wąskimi uliczkami Calais, angielskiego przyczółka na kontynencie, przewalały się kłęby zimnej mgły. Przez jej szarą zasłonę nie przenikał ani jeden promień słońca. Mogło się zdawać, że to nie rano, lecz wieczór. Kolumna bojowych koni dosiadanych na oklep przez stajennych, to niknąc wśród mrocznych oparów, to się z nich wyłaniając, przypominała stado jakichś bajecznych stworów. Każdy z tych rumaków wart był fortunę, toteż towarzyszyła im

zbrojna po zęby eskorta. Z tyłu ciągnęły wozy wiozące całą armię kowali, koniuszych i ich pomocników, jak również paszę, prowiant dla ludzi, końskie zbroje i uprząż. Konie diuka of Suffolk, najlepsze w całej Anglii, właśnie przepłynęły Kanał. Teraz książęcy ludzie prowadzili je do Paryża.

W drzwiach zajazdu „Pod Statkiem” stał kilkunastoletni chłopiec z przerzuconym przez ramię tłumoczkim, za nim opierał się o framugę chudy jak szkielet mężczyzna. Ziemista cera i czarno podkute oczy świadczyły wymownie, że musiał niedawno przebyć jakąś ciężką chorobę.

- Nie marudź, bo będziesz ich musiał gonić - zwrócił się do chłopca, po czym zaniósł się kaszlem. Nawet wypowiedzenie tych kilku słów sprawiło mu widoczną trudność.

- O, panie Ashton, to dla mnie życiowa szansa. Nie wiem, jak ci dziękować.

- Wyucz się zawodu, mój chłopcze, i niech ci się wiedzie! Szczęśliwie się złożyło, że znam pana Denby i że on akurat potrzebował chłopca takiego jak ty. Wiedz, że doświadczenie, któregoś nabrał w aptece, czyni cię dla niego cennym nabytkiem. Szybko opanujesz sztukę leczenia koni, co dla innych nie jest takie łatwe.

- Tylko że... nie powinienem teraz wyjeżdżać. Jeszcze nie wydobrzałeś... i mam cię tak zostawić?

- Patrz przed siebie, nie wstecz. Już i tak byłeś przy mnie dość długo. I wiem, że nie zawsze było ci tu lekko. To ja winienem ci wdzięczność...

Przed gospodą przetoczył się pierwszy z krytych wozów; siedzący na koniu dyszlowym forys zauważył chłopca i gestem nakazał mu wsiadać.

- Zatem do zobaczenia i dziękuję! - krzyknął Tom, już biegnąc za wozem. Spod namiotu wysunęło się kilka par rąk, które szybko wciągnęły go do środka.

Od czasu gdy tych dwóch uczepionych szczątków „Lubeki” rozbitków wyłowiono z morza, nawiązała się między nimi szczególna, bo trudna przyjaźń. Tom nie umiał pływać, to Ashton wciągnął go na oplatane linami resztki fokmasztu i mocno przywiązał pasem. Chłopak zdawał sobie sprawę, że tylko dzięki temu uniknął śmiertelnej niemal choroby i gwałtownego delirium, jakich nabawił się Ashton od długiego przebywania w wodzie. Morze było lodowate. Jak dziwnie czasami układają się ludzkie losy, myślał teraz Robert, patrząc w ślad za chłopcem. Gdyby Zuzanna nie przemyciła go na statek, i to wbrew mojej woli!, pewnie by mnie już pochowano. Ach, gdyby nie ona, nie zostałbym na pokładzie, szukając śmierci, lecz zszedł do ładowni, w którym to przypadku nie miałbym szans na ratunek. A teraz, po tym, co mi o niej opowiadał Tom... nie wiem, nie wiem... Może jednak myliłem się co do niej, może byłem głupcem. Od tej myśli zabolęło go w piersiach. Tom... Za wszystko, co przecierpiał,

zasłużył sobie, biedak, na lepszy los, no i uśmiechnęło się do niego szczęście. Raz chociaż pani Fortuna okazała się komuś życzliwa. Ashton z trudem pokuśtykał do izby, gdzie zasiadł przed kominkiem i wlepił wzrok w ogień. Właścicielka gospody spróbowała go namówić na śniadanie, proponując różne przysmaki - odmówił. Ostatnio nic prawie nie jadł.

- Będzie panu, brakowało tego chłopca - odezwała się, wycierając ręce w fartuch. - Ja to na pewno będę za nim tęsknić.

- Jesteś kobietą...

- No pewnie, i cóż z tego?

- Więc znasz kobiety. Wiesz o nich wszystko, nieprawdaż?

- Można by tak powiedzieć - odparła, zbierając ze stołu brudne kubki i deszczułki do krajania chleba. Odniosła je do kuchni, lecz po chwili wróciła i zaczęła wycierać stół. Ashton siedział w tym samym miejscu i patrzył w ogień.

- Chcę cię o coś zapytać - zagadnął kobietę - a ty mi powiedz, co o tym sądzisz. Przypuśćmy, że jakiś mężczyzna usłyszał o pewnej niewieście dwie zgoła różne opinie. Zgodnie z pierwszą popełniła ona niecny występki, drugą wygłosił ktoś, kto wierzył w jej niewinność i twierdził, że ma na to dowód. Czy w twoim mniemaniu ta osoba jest winna czy niewinna?

- Zależy, jak niegodziwy był ten występki. Ważne są także skryte intencje obu wspomnianych panów.

- Pierwszy jest w niej zakochany, lecz nie wie, że znam jego sekret.

- Temu bym nie ufała.

- Drugi to intrygant, a może i morderca. Udawał mego przyjaciela.

- Cóż, to i jemu bym nie ufała. Może chciał ją uwieść, ona odmówiła, a on z zemsty zaczął ją oczerniać?

- Mogło być i tak.

- Jest zatem tylko jeden sposób poznania prawdy: ją samą trzeba spytać.

- Myślałem, że kłamie, jeśli wszakże jest niewinna... byłem wobec niej zbyt okrutny, by zasłużyć sobie na odpowiedź.

- Powiem ci teraz jak kobieta: nawet jeśliś stracił jej przyjaźń, będzie zadowolona, gdy okażesz się dość męski, aby zmazać plamę na jej czci.

- Och... ja nie mówię o sobie... mówię tak tylko... ogólnie.

- Ja też wcale nie mówię o tobie, panie Ashton. - Gospodyni przerzuciła przez ramię mokrą ścierkę i ujęła pogrzebacz, którym poszturchała resztki dopalających się polan. - Mówię całkiem ogólnie. - Odwróciła się z wolna i spojrzała Ashtonowi w oczy. - Jako kobieta

mogę tylko powiedzieć, że ten mężczyzna kiepską ma przed sobą sprawę. Paskudnie mi ona wygląda. Jeśli mu zależy na owej niewieście, a rozpuszczał o niej niecne plotki, to aby dojść z nią do zgody, powinien co rychlej przeprosić. Mówię to ogólnie i jako kobieta.

Nad Paryżem przeszły ulewne deszcze. Ziemia pod stopami walczących rycerzy zamieniła się w grząskie błoto, jasne pawilony i pięknie malowane trybuny pociemniały z wilgoci. Lecz oto listopadowe słońce przebiło się wreszcie przez chmury i świat nagle poweselał. Obwisłe proporce rażno zatrzepotały na wietrze, a pod kolorową kopułą zasiadło najdostojniejsze dworskie towarzystwo. Na honorowym miejscu stanęła lektyka, w której spoczywał monarcha ze swą piękną nowo poślubioną żoną u boku. Martwe konie, jako też zwłoki ubitych w przeddzień rycerzy bezceremonialnie usunięto. Tam gdzie miejsce zmarłych zajmują natychmiast setki żywych, śmierć nikomu nie przynosi chwały... Wielka szkoda, szeptali francuscy widzowie, że jak dotąd prowadzą Anglicy. Działo się tak głównie za sprawą diuka Suffolk, który sam wygrał aż piętnaście pojedynków, krusząc kopie rywali, zwalając ich z siodeł, ścieląc szlak swoich zwycięstw ciałami rannych i martwych przeciwników. To wręcz nie wypada, mówiono z niesmakiem, aby jakiś nieobyty dzikus, co nie umie schlebić damie zręcznym słówkiem, a konwersuje jak prostak, odniósł tyle wiktorii nad ludźmi z najlepszych rodzin, przewyższających go zarówno urodzeniem, jak i galanterią. Musi tkwić w tym jakieś angielskie oszustwo. A jak to się szasta przed królową, jak to się do niej umizga! Myślałby kto, że broni jej czci, gdy tymczasem robi, co może, by okryć niesławą jej nowych poddanych i honor całego królestwa. A królowa! Jak gorąco oklaskuje jego wyczyny! I była to prawda. Na widok zwycięstwa któregoś z rodaków oczy Marii Tudor błyszczały nie skrywanym entuzjazmem.

Na kopule rozpiętej nad głowami dostojnych widzów przysiadło kilka mocno podekscytowanych aniołków, niewidzialnych dla oczu zwykłych śmiertelników.

- Gdzie Hadriel? - spytał mały blondynek z główką okoloną drobnymi loczkami.

- Poszedł zająć się sklepem - odrzekł jego ciemnooki towarzysz, przyglądając kilka niesfornych piórek w swych malutkich skrzydełkach, mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. - Na kogo stawiasz?

- Trzy na Francuzów.

- Tylko trzy? Ja stawiam pięć na Anglików.

- No wiesz? Czeka cię za to sporo dobrych uczynków, zwłaszcza że Hadriel taki jest zajęty. Nie będziesz miał wolnej chwili.

- Zobaczymy. To ty będziesz ciężko pracował, bo zwyciężą Anglicy.

- A ja mówię, że Francuzi! Nie widzisz, jacy są wściekli? Wiem, co sobie wymyślili. Poczekaj, to się przekonasz.

- Tylko bez oszustw! Pamiętaj, co mówił Hadriel?

- Och, ja nie zamierzam oszukiwać, za to oni owszem. Leć tam i sam się przekonaj - oświadczył jasnowłosy aniołek. Ześliznął się na skraj kopuły i zwiesiwszy pulchne nóżki, zaczął fikać nimi w powietrzu. Królową, która właśnie spojrzała w górę, zdziwiło gwałtowne falowanie frędzli, pomyślała jednak, że zrywa się wiatr i że chorego króla trzeba będzie przenieść do pałacu. Zdawało jej się, że słyszy jakby trzepot skrzydeł, lecz i to złożyła na karb wiatru. Pewnie to królewskie proporce tak szumią.

Ciemnooki cherubinek wzbił się w powietrze i poleciał w stronę francuskich namiotów. Klębił się tam tłum jeźdźców i koni, chirurgów i ludzi dźwigających nosze, zbrojmistrzów wyklepujących uszkodzone blachy, giermków polerujących hełmy i napierśniki, stajennych, koniuszych i paziów roznoszących pisane i ustne wiadomości. Skrzydlaty gość przeniknął przez ścianę namiotu delfina, gdzie ulokował się na stojącej w kącie pięknie wypolerowanej zbroi. Książę Franciszek miał teraz na sobie tylko grubo pikowany dublet. Oczy całej jego licznej świty utkwione były w najwyższego chyba człowieka, jakiego kiedykolwiek oglądano we Francji. Był to istny olbrzym o jasnobrazowej brodzie i wielkiej barbarzyńskiej gębie.

- Do licha, skądś go wytrzasnął, mój drogi Burbonie? - wykrzyknął diuk d'Alencon. Pytanie to skierowane było do młodego mężczyzny słusznego wzrostu, z wąską pochmurną twarzą. Na jego dublecie widniały plamy od potu. Pewnie przed chwilą zdjął zbroję.

- Nie ma to jak dobre stosunki z cesarzem - oświadczył diuk de Burbon. - Zaprosiłem tu tego olbrzyma w charakterze ambasadora dobrej woli.

- Och, to doprawdy pyszne! - parsknął śmiechem diuk d'Alencon. Franciszek przywołał pazia.

- Pójdiesz do mego przyjaciela, milorda Suffolk, i przekażesz mu te oto słowa: kontuzja palca, którą odniosłem onegdaj, bardzo mi nadal dolega, będę mu zatem niezmiernie wdzięczny, jeśli zgodzi się wyjść za mnie w pole, gdyż jakiś nieznany rycerz rzucił mi właśnie wyzwanie.

Paź pędem wybiegł z namiotu, a francuscy panowie wybuchnęli śmiechem. Z szerokiej piersi olbrzyma wydobył się głuchy pomruk.

- A teraz, drogi kawalerze, musimy ci znaleźć francuską opończę - zwrócił się do niego Franciszek. - Przywdziej ten oto hełm, twój bowiem jest w stylu germańskim i mógłby cię zdradzić.

Podczas gdy giermkowie zbroili wielkiego Germanina, ich panowie jęli komentować jego walory. Czynili to tak, jakby był on zwierzęciem, nie zaś ludzką istotą.

- Na Boga, to istne monstrum!

- I dobrze. Ci Anglicy są nazbyt rośli. Daje im to całkiem niesłuszną przewagę. Czyż to nie oszustwo?

- Dwa razy taki jak ten byk Suffolk! Położy go bez wątpienia!

- Germanin zwycięży dla Francji! Przedni dowcip!

- Kawalerze, powinieś poznać sztuczki tego diuka. Pamiętaj, że zadaje on takie oto ciosy od dołu. Tym właśnie mnie zmylił.

- Pojmujesz, jak on to robi? - teraz już wszyscy francuscy rycerze otoczyli kręgiem Germanina, by udzielić mu swoich porad.

- Wiem, jak się bronić przed takim cięciem. Wczoraj to już wyćwiczyłem. Tak, moi panowie, stoi wszak przed wami najlepszy zawodnik jego cesarskiej mości - oświadczył germański rycerz. - Pokonam tego Anglika.

Malutki aniołek w kącie zawrzał oburzeniem: jak to! Jemu i jego towarzysiom nie wolno w żaden sposób wpływać na wyniki, a ci tak bezwstydnie oszukują! Gdzie tu sprawiedliwość? Z wielkim niesmakiem opuścił księżęcy pawilon i poleciał wybadać, co dzieje się u Anglików. Tu również zobaczył taki sam bezładny tłum koni, giermków, zbrojmistrzów i widzów zmierzających na miejsce pojedynku. Przedzierający się przez ową cizbę posłaniec następcy tronu minął właśnie dwie kobiety. Jedna niosła pod pachą sztalugę, druga drewniany kuferek. Towarzyszył im sędziwy lokaj w barwach księżnej d'Alencon, taszcząc śmieszny zwyczajny stołek. Aha, pomyślał cherubinek, to pewnie ta pani Zuzanna, ulubienica Hadriela.

- Popatrz przed siebie, Zuzanno, i wybierz inną drogę! - zawołał.

Zuzanna spojrzała w górę, lecz nikogo tam nie dostrzegła, zaczęła więc pocierać ucho, całkiem nie pojmując, skąd dobiegł ją ten miły dziecięcy głosik. A potem spojrzała przed siebie i zobaczyła dwóch jeźdźców na ogromnych czarnych rumakach. Na widok jednego z nich, białowłosego mężczyzny w zielonej aksamitnej szacie, krew nagle zastygła jej w żyłach. Odwrócony był tyłem, lecz nawet jego plecy budziły w niej śmiertelną grozę.

- Chodźmy stąd - rzuciła pośpiesznie do swej towarzyszki.

- Nareszcie nabrałaś rozsądku - odrzekła starsza niewiasta z kuferkim.

- Wcale nie. Zobaczyłam Septimusa Croucha, tego mordercę!

- Tutaj? Co on tu robi, na litość boską? Boże! Przyjechał pewnie za tobą!

- I ja tak myślę - wyszeptała Zuzanna ze zmartwiałą twarzą. Ogarnięta ślepą paniką,

rzuciła się do ucieczki, lecz zawadziła nogą o kołek od namiotu i z rozmachem runęła w błoto. Jakiś pomocnik zbrojmistrza szarmancko skoczył jej na pomoc, zaraz też zbiegli się inni, zwabieni dźwiękiem angielskiej mowy. Kilka par rąk ujęło damę pod łokcie, ktoś zręcznie pochwycił sztalugę, ratując ją przed zabrudzeniem. Malutki cherubinek zatrzymał się w locie, ciekawie nadstawiając ucha.

- Patrzcie, obrazek! - wykrzyknął pomocnik zbrojmistrza. - O, wszak to nasz książę zwyciężający tych francuskich bawidamków. Ale, madame, źle tu narysowałaś ten ząbkowany ornament. Jeśli chcesz to poprawić, wejdź do namiotu i z bliska przypatrz się zbroi.

Zuzanna z wyraźnym zakłopotaniem spojrzała na swoją suknię, co widząc Nan zaczęła wycierać ją z błota.

- Madame Dallet! Pani Zuzanno! - rozległ się nagle czyjś okrzyk.

Zuzanna rozejrzała się dookoła, bo... ach, ten załamujący się głos, który jeszcze nie nabrał męskich tonów, wydał jej się dziwnie znajomy.

- Ty ją znasz? - zapytał ktoś ze zdziwieniem.

- Pewnie! Wszak to pani Dallet, najwspanialsza w świecie malarka!

- Tom! Och, Tomie, czy to naprawdę ty? Nie jesteś duchem? Boże, tyle razy śniłeś mi się martwy!

- Ja żyję, pani Zuzanno. Nie jestem duchem, zapytaj ludzi, wszyscy mnie tu znają. Ja... chciałem cię odszukać, ale wciąż mam tyle roboty...

- A mnie powiedziano, że utonąłeś razem z „Lubeką” i panem Ashtonem! - wykrzyknęła Zuzanna, ściskając chudego piegowatego wyrostka, który w jej objęciach oblał się krwistym rumieńcem.

- Ej, powiedz tej pani, że ja też byłem na „Lubece” i omal nie utonąłem! - rzucił jakiś żartowniś.

- I ja! - krzyknął drugi.

- Powiedz mi, mój drogi, jak się uratowałeś i skąd ty tutaj?...

- To pan Ashton... Własnym paskiem przywiązał mnie do resztek masztu. On mnie uratował.

- A więc to prawda, że zginął jak bohater.

- Ależ pani Zuzanno, on wcale nie zginął! Jest teraz w Calais, gdzie dochodzi do zdrowia wraz z wieloma innymi. Woda była strasznie zimna i większość uratowanych dostała płucnej gorączki. To miejsce przy koniach też on mi załatwił. Zbyt chory jest jeszcze, aby tu przyjechać, no i czeka na list od arcybiskupa. Tak mi mówił.



Zuzanna zbladła jak płótno. Chwyliła się ręką za serce, a jej niebieskie oczy zrobiły się nagle ogromne.

- Żyje - wyszeptała - on żyje.

- Powiada, że złe złego nie weźmie, a on jest jak zły szeląg, co na przekór całemu światu wciąż krąży wśród ludzi.

- Ten sam co zawsze...

Tom spojrział na nią i raptem ogarnęła go złość. Złość pomieszana z zazdrością. Zarazem czuł się winny... tyle wszak zawdzięczał Ashtonowi... jednak tamte uczucia były znacznie silniejsze. Bo właśnie uświadomił sobie z bolesną ostrością, że nie on jest przyczyną tej wielkiej radości, którą ujrzał nagle w twarzy Zuzanny. Nie jest i nigdy nie będzie. Tak mocno ukąsiła go zazdrość, że zatknął kciuki za pasek, przekornie przechylił głowę i powiedział:

- O, już nie ten sam. Zmienił się, i to bardzo. Chudy jest jak patyk, w dodatku kuleje. - Ja jestem brzydki, lecz i on już nie będzie przystojny, pomyślał z satysfakcją, przypominając sobie wymizerowaną twarz Ashtona, jego zapadnięte oczy i szarą, ziemistą cerę. - Ciężko chorował. Nic tylko kaszlał i majaczył. A co wygadywał! Ach Boże, same niestworzone rzeczy! Tobie, madame, by się to nie spodobało, mówię o tych jego podejrzeniach... Skoro on w to wierzy, to nie jest twoim prawdziwym przyjacielem, choć tyle dla niego zrobiłaś. Tak, pani Zuzanno, to tylko ja zawsze ci ufałem i zawsze ci byłem wierny.

- Czy on tu przyjedzie, jak myślisz?

- Hej, Tom, ty gałganie, chodź tu zaraz! Trzeba zrobić koniowi okład, a ty masz w tym pomóc! Najlepszy ogier okulał i nasz księżę wychodzi z siebie! - zawołał wysoki mężczyzna z przewieszoną przez ramię uzdą.

- Myślę, że tak - wymamrotał chłopak niechętnie. Raz jeszcze spojrział na Zuzannę i pospieszył za nieznanym.

Krążący nad nimi aniołek uśmiechnął się nagle od ucha do ucha i pomknął gdzieś jak strzała, pozostawiając za sobą smugę mieniących się iskier.

Zuzanna patrzyła za chłopcem z głębokim poczuciem winy. Poniewczasie zdała sobie sprawę, jak okrutnie zraniła Toma. Prawda, że bezwiednie, lecz zło się stało. Chciała biec za nim, przeprosić, zaraz wszakże przyszło jej do głowy, że to by było chyba jeszcze gorsze. Tom wie już teraz, do kogo wrywa się jej serce... nie zdołała tego przed nim ukryć. Mój Boże, Robert Ashton żyje! Znów go zobaczę!, myślała. Przyjedzie. A więc jednak było nam to przeznaczone. I nagle przeszła ją straszna myśl: a jeśli się mylę? Jeśli on nic takiego nie czuje? Może to tylko ja... i dlatego wydawało mi się, że on także? Może to taki mężczyzna,

który przy lada okazji chętnie kradnie damom całusy i liczy, ile ich zdobył? A ja? Czy prawdziwe jest to, co czuję? Może Ashton wcale mi się nie spodoba, kiedy go znów zobaczę? Zobaczę? A jeśli on wcale nie przyjedzie? Z okropnym zamętem w sercu zawróciła w stronę Les Tournelles; trzeba uprać suknię. Turniej stracił dla niej cały urok.

- Jak myślisz, Nan, mogłybyśmy pojechać do Calais?

- Co też ci chodzi po głowie! Same dzikie pomysły, z dnia na dzień gorsze. Przyłóż się lepiej do pracy. Co ma być, będzie. Wszystko w rękach losu.

Ciemnooki cherubinek wypatrzył francuskiego pazia przy wejściu do największego z angielskich pawilonów i wśliznął się za nim do środka.

- Co? - wykrzyknął diuk Suffolk. - Księżę Franciszek prosi, abym w jego zastępstwie stanął w szrankach? Na Boga, ależ z niego słabeusz! Zraniony palec! Tylko damie przystoi rozczulać się nad czymś takim!

Towarzyszący mu rycerze roześmiali się głośno, lecz oblicze księcia spochmurniało. Najlepszy jego koń okulał, a drugi, na którego liczył, zachorował, pewnie zaszkodziła mu francuska pasza. Potrzebny mu był koń, i to dobry. Już miał prosić Dorseta, aby użyczył mu swego, gdy jakiś dziecięcy głosik przemówił mu tuż nad uchem:

- Wyjdź przed namiot, milordzie, a weź ze sobą sakiewkę!

Suffolk machnął ręką, zdawało mu się bowiem, że coś, chyba mucha, lata mu nad głową, ale nic tam nie było.

- Milordzie Dorset, mam pewien pomysł. Wyjdźmy na chwilę.

Opuściwszy pawilon w towarzystwie całej świty, już po paru krokach zobaczył dwóch jeźdźców tak rażąco nie dopasowanych do swoich wierzchowców, że aż śmiech brał patrzeć. Jeden, z włosami białymi jak mleko, lepiej by zrobił, poprzestając na jakimś łagodnym dzianecie, miast dosiadać takiego smoka. Drugi sprawiał wrażenie, jakby pierwszy raz siedział w siodle; dziwacznie jakoś przycupnięty, miał o wiele za krótkie strzemiona, a wodze zwiślały mu luzem. Lecz o dziwo, jego czarny ogier, tak pełen animuszu, że zdawał się dyszeć ogniem, stąpał pod nim potulnie jak baranek. Były to zaiste doskonałe konie o lśniącej czarnoniebieskawej sierści i tak ogromne, że diuk wpadł w podziw: nigdy jeszcze takich nie oglądał. Niewątpliwie były to rumaki, z których pomocą prawdziwy wojownik mógł odnieść pewne zwycięstwo.

- Idź - rozkazał jednemu z rycerzy - i poproś tutaj tych panów. Powiedz, że chętnie odkupię od nich te konie.

Septimus Crouch był wprost zachwycony atencją okazaną mu przez ludzi diuka. Gdy z usługną pomocą kilku rycerzy zsiadł wreszcie z konia, rozplýwał się cały w uśmiechach.

- Och, milordzie, nie mogę sprzedać tych wierzchowców nawet dla honoru Anglii. Nie należą one do mnie, lecz do mego towarzysza, jaśnie wielmożnego księcia Belfegoro. - Wymyślił to z włoska brzmiące nazwisko, w lot bowiem doszedł do wniosku, że ktoś taki jak diuk Suffolk rozpoznałby zaraz oszustwo, gdyby mu przedstawił Belfegora jako członka któregoś z wielkich angielskich czy francuskich rodów. Chciał też koniecznie zdobyć przy okazji zaproszenie na wielką fetę, którą przyrzekł już Belfegorowi, udając, że przyjdzie mu to bez trudu.

- Belfegoro? Co to za nazwisko? - spytał któryś z panów.

- Och... no... włoskie. Mój towarzysz jest udzielnym władcą swojego księstwa.

Belfegor skłonił się lekko, na co diuk Suffolk odpowiedział tym samym.

- Jakże się nazywa to księstwo? - zapytał. W sprawach dotyczących pierwszeństwa rangi był niesłuchanie skrupulatny.

- Och... hm... Tartarus. Tak, Tartarus. Jest tam arcyksięciem.

- Nigdy nie słyszałem o takim państwie.

- Bo to jedno z najmniejszych w Italii. Leży... w górach, przez co jest ono odcięte od świata. Arcyksiążę to wielki wojownik, przez nikogo nie pokonany, dziś jednakowoż... koncentruje się... hm... głównie na hodowli koni.

Belfegor, słuchając tej konwersacji, bawił się doskonale. Dawniej zachowałby się inaczej: wyskoczyłby w górę i plunął ogniem, ot tak, by wystraszyć tego śmiertelnika, lecz teraz był przecież cywilizowanym dżentelmenem, toteż z przyjemnością podjął tę grę o pierwszeństwo. On, który kiedyś, niewidzialny, musiał przenikać przez ściany, bywa teraz jawnie wśród ludzi, co więcej, w swojej własnej diabelskiej postaci, ci zaś, których zamierza zniszczyć, sami go zapraszają! Zadowolenie z siebie biło mu do łba jak wino.

Tymczasem główny koniuszy księcia, poddając czarne rumaki baczynym oględzinom, wprost nie mógł się im nadziwić. Ich kopyta sprawiały wrażenie stalowych, a i w środku nie miały żadnych miękkich miejsc. I te nozdrza, z których zdawały się buchać pomarańczowe płomyki, jak z pieca! Zadziwiający fenomen.

- Mam pomagać Anglikom, skoro żadnej ze stron nie wyróżniam? - przemówił wreszcie Belfegor.

- Dowiedz się, szlachetny księżę - jął tłumaczyć mu rzecznik diuka - iż pan nasz nie odniósł żadnej porażki w szrankach, a ci podstępni Francuzi, wykorzystując jego rycerskość, próbują zdradziecko wydrzeć mu wiktoryę. Wiedzą, szelmy, że nasze konie są chore, i dlatego liczą na zwycięstwo. Jeśli więc sprzedasz nam swoje, możesz pójść do ich obozu i poczynić tam bardzo korzystne zakłady. Czyż nie masz ochoty pobić tych oszustów ich własną bronią?

Przy okazji zbierzesz od nich, mój panie, zasnę sumkę.

Czarne półdiabły zaszwargotały coś do siebie, a paziowi, który trzymał je za uzdy, włosy stanęły dęba.

- Ach, rozumiem. Podwójna zdrada i pieniądze. Zgoda - rzekł łaskawie Belfegor. - Konie te jednak nie są na sprzedaż, to wolne istoty. Mogę ich wam użyczyć na umówiony okres, za co, rzecz jasna, oczekuję stosownej zapłaty.

- Sto funtów.

- To nie dość.

- I dwa miejsca na trybunie.

- Gdzie znajdują się te miejsca?

- W samym środku, między damami.

- Nie - odrzekł Belfegor - nie jestem damą.

- Zatem w pierwszym rzędzie, obok książąt krwi.

- Radziłbym, wielmożny książę, skorzystać z tej propozycji - wtrącił układnie Crouch, stojący u boku demona. - Zważ, jak wzrośnie twój prestiż dzięki takiemu sąsiedztwu.

Belfegor skinął mu uprzejmie głową; niektórzy spośród obecnych mogli zauważyć, że białowłosa mężczyzna gest ten skwitował dziwnie jakoś pogardliwą miną, aczkolwiek niewielu było takich, gdyż większość z zaciekawieniem przyglądała się owemu cudzoziemskiemu księciu.

Jakież on brzydki! Jak przesadnie szerokie nosi spodnie, a buty ma wielkie niczym łodzie. I ta twarz. Małe czerwone oczka, brwi... całkiem jakby na czole usiadły mu dwa wielkie włochate pająki, a upudrowany jak błazen. I czy to możliwe, aby ludzka istota nie miała szyi? No ale w końcu cóż znaczą tego rodzaju defekty u właściciela podobnych rumaków?

- Jakiego żądasz, książę, odszkodowania, w razie gdyby konie zostały zabite?

- Te konie nie zostaną zabite - oświadczył Belfegor. Pewnie, pomyślał koniuszy, toż to wcielone diabły.

- Mogę je wypróbować? - spytał Suffolk.

- Ależ oczywiście, milordzie - uprzejmie odparł Belfegor, po czym półgłosem przykazał demonom w ich mowie: - Idźcie z tym człowiekiem i bądźcie mu posłuszni. Niech zwycięży. To wam nakazuję ja, Belfegor Wielki.

Czarne stwory burknęły coś w odpowiedzi, jednakże ten wybrany przez diuka pozwolił mu się dosiąść bez żadnych prawie kaprysów, po czym wykonał bezbłędnie wszystko, czego zażądał książę: najciaśniejsze skręty i nawroty, najazdy cwałem z obu stron,

krótki galop i natychmiastowe zatrzymanie, a także trudniejsze jeszcze manewry, takie jak wolny kłus, kroki paradne i wojenne, których następnie spróbował zadowolony jeździec.

- Doskonale - sapnął zdyszany diuk. Po czarnej bestii nie znać było wysiłku. Sierść jej nawet nie zwilgotniała.

- Milordzie, nasza końska zbroja nie będzie na niego pasować, za mała - zauważył koniuszy.

- Tym się nie martwcie - wtrącił Belfegor. - Już mówiłem, że tych koni nie można zabić.

Suffolk poczuł nagle ciarki na grzbiecie. Z kimże to, u licha, dobił targu? I ów tajemniczy głos nakazujący mu wyjść przed namiot... Do kogo należał? Czym naprawdę są te czarne bestie? Szybko otrząsnął się z tych myśli: przesady! Te konie to zwykłe zwierzęta. I rzeczywiście, oba czarne rumaki wdzięcznie przyjęły po garstce ziarna, które podsunął im chłopiec. Muszę bronić honoru mego króla, twardo powiedział sobie książę. Nie wolno mi wrócić na tarczy. A negocjacje w sprawie tajnego przymierza szły tak opornie... Król Francji żądał pieniędzy, był przy tym bardzo ostrożny i chyba równie przewrotny. Stary diabeł! Wyglądał, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha, z trudem łapał oddech, cedził słowo po słowie, lecz każde było dobrze przemyślane. Swym uporem i sposobem bycia mógł doprawdy doprowadzić do rozpacz. Co innego udział w turnieju! W szrankach Suffolk odżywał. Nie znając całej prawdy o pułapce zastawionej na niego przez Franciszka, był przekonany, że łatwiej poradzi sobie z tym szachrajstwem niż z przebiegłością starego monarchy. Tu wszystko jest jasne: będzie miał przed sobą francuskiego rywala, którego on, Charles Brandon, diuk Suffolk, ma pokonać siłą własnych ramion. I pokona! Upokorzy tych butnych Francuzów. Na samą myśl o tym odetchnął głębiej i zacisnął potężne szczęki. Co za różnica, na czym pojedzie? Najważniejsze, że to diabeł dobre konie.

Krążący nad nim cherubinek roześmiał się głośno i zaczął bić brawo. Z ukontentowaniem pomyślał, że w razie czego wina za to oszustwo spadnie na Belfegora. Jemu samemu Hadriel nie będzie mógł nic zarzucić, jeśli nawet wyjdzie na jaw cała ta rzecz z końmi. Nie złamał jednak żadnej z ustalonych reguł.

- Trzy do pięciu! - wykrzyknął radośnie. Rozpostarł skrzydełka i lotem strzały wzbił się w powietrze.

- Nałóż mi więcej bandaży - rozkazał Franciszek. - Wszyscy muszą widzieć, że mój ranny.

Chirurg posłusznie omotał mu rękę jeszcze jedną warstwą płótna, po czym zawiesił ją

na czarnym jedwabnym temblaku.

- Proszę, wasza wysokość. Uważaj, by tak trzymać rękę, inaczej zbierze się w niej krew, która ściągnąć może złe humory.

- O tak! - roześmiał się książę. - W takiej chwili nie trzeba mi złych humorów. Będę ich pilnie unikał.

Wyszedł przed namiot, gdzie czekał już na niego biały palfrey, i wolnym kłusem udał się na miejsce pojedynku. Po pieszych walkach zostały tu istne jatki. Do diabła, sami Francuzi! Koniecznie trzeba coś z tym zrobić. Zatrzymał się za barierą, lecz i tu czuł na sobie spojrzenia kobiet. Jedna z dam powiała ku niemu chusteczką. Mógłby nawet powtórzyć, co mówią: „Ależ z niego bohater! Ranny, a jednak dogłąda turnieju. Jakież to piękny mężczyzna!” Wiedział, że patrzą na niego wszyscy: siostra, matka, jego mała brzydka małżonka, sam król, a nade wszystko piękna angielska księżniczka, teraz już królowa. Och, cóż za mała z tego Suffolka!, zgrzytnął zębami na widok diuka, który właśnie pojawił się przed publicznością. Jak to się popisuje! Jak to w pełnym galopie wstrzymał konia, że aż błoto rozprysło się na wszystkie strony! O, i ten ukłon! Niżej, jeszcze niżej! Dotknij piórami siodła! Ha, takiś zadufany w sobie, żeś nawet nie nałożył koniowi zbroi! Myślisz, że bez trudu wysadzisz rywala z siodła? Nie tym razem, mój książę! Zaraz się przekonasz, co cię czeka.

Na trybunach rozległy się gromkie wiwaty: wyjechał francuski zawodnik i skłonił się publiczności. Dosiadał potężnego siwego ogiera ze stajni samego Franciszka. W tej pozycji jego wzrost i mięśnie nie rzucały się zbytnio w oczy, lecz gdy zsiądzie z konia, aby dobić Suffolka, wtedy zobaczycie go w całej okazałości, myślał książę, z góry rozkoszując się owym triumfem. O, będzie to widowisko! Tymczasem dwaj rycerze, spuściwszy przyłbice, mknęli już ku sobie z chrzęstem i tętentem. Zgrzytnęły skrzyżowane lance, dał się słyszeć straszliwy kwik koni - i siwy ogier runął na ziemię. Lecz olbrzym we francuskim płaszczu zdołał zręcznym kopnięciem uwolnić nogi ze strzemion i stał już w bojowej pozycji. Jego wierzchowiec na próżno próbował się podnieść. Dobrze się sprawił ten Germanin, pomyślał z uznaniem książę. Wiele razy zdarzało mu się widzieć rycerzy ginących pod ciężarem ubitych koni; niełatwą jest rzeczą wyswobodzić się w porę z wysokiego i, co gorsza, wklęsłego siodła.

Suffolk odrzucił strzaskaną lancę. Jak dotąd był górą. Z trybun dobiegł go nagle żywiołowy aplauz. Dopiero zeskoczywszy z konia, zrozumiał, z czego tak się cieszą ci Francuzi: ich rycerz był istnym kolosem! Ależ to wcale nie Francuz!, zachnął się gniewnie, idąc ku niemu z obnażonym mieczem. Czuł, że wzbiera w nim ślepa furia. Świat oglądany przez wąskie szczeliny hełmu przesłonięty był dziwną czerwonawą mgiełką... Ogarnął go szal

bitewny: prawie nie czuł uderzeń mijających jego gardę. I nawet nie próbował zabójczego cięcia od dołu, choć przecie nie wiedział, iż rywal nauczył się je parować. To cięcie wymagało skupienia, a on był zbyt rozwścieczony. Wydawszy swe bojowe zawołanie, runął na przeciwnika. Jego huraganowe ciosy, omijając gardę olbrzyma, raz za razem sięgały celu. Kolos zachwiał się nagle i upadł. „Dość!”, rozległ się okrzyk. Oprzytomniawszy Suffolk zobaczył krew tryskającą strumieniem spod hełmu, a gdy rannego otoczyli kręgiem francuscy giermkowie, usłyszał gdzieś z dała okrzyk Franciszka:

- Nie otwierać przyłbicy! Znieście go z pola!

Miałem więc rację, to nie Francuz, powiedział sobie diuk. Okrążył dogorywającego siwka i skłonił się przed królową. Dla niej odniósł to zwycięstwo, dla Anglii i dla niej. Widział jej spłonione policzki, jej nie skrywaną radość. To dobrze. Pochwali mnie w liście do brata. W to uczucie triumfu wkradła się na chwilę odrobina żalu. Kiedyś wolno mu się było do niej zbliżyć, teraz... teraz była królową, niedostępną jak słońce. Lecz zawsze będę u niej w łaskach, pomyślał, spoglądając raz jeszcze w jej pełne uwielbienia oczy. O tak, na pewno. Ta myśl sprawiła, że odniesiony triumf wydał mu się podwójnie słodki.

Korzystając z pobytu w Paryżu, postanowiłam pogłębić swoją wiedzę i umiejętności. Obejrzę co ważniejsze dzieła sztuki w pałacach i kościołach i z tych najdoskonalszych spróbuję wykonać kopie. W niektórych przypadkach okazało się to trudne lub wręcz niemożliwe, ponieważ kobietom nie wszędzie wolno wchodzić, a kiedy chciałam w męskim przebraniu wśliznąć się do klasztoru Saint Magloire, Nan uznała to za wielce niestosowny pomysł i zagroziła, że na mnie doniesie, jeżeli wbrew jej ostrzeżeniu ośmielę się to jednak zrobić. Zachowała się bardzo brzydko. Ale i sam pałac Les Tournelles to prawdziwa szkoła dla artysty, który ma szczęście znaleźć się w Paryżu; w każdej prawie komnacie wiszą cenne malowidła. W kaplicy na przykład pośród rzadkiej wartości rzeźb i posągów znajdują się obrazy dawnych mistrzów, dziś już nie znanych z nazwiska, malowane w starym stylu, z pozłotą i bez perspektywy, a w długich pałacowych galeriach można oglądać liczne sceny myśliwskie i mitologiczne, jak również portrety dawno zmarłych królów.

Życzliwa protekcja diuszesy d'Alencon otworzyła mi drzwi wielu komnat, które bez tego byłyby dla mnie zamknięte; zyskałam też swobodny dostęp do jej prywatnej kolekcji, gdzie wśród innych arcydzieł znajdował się cały album rysunkowych portretów przedstawiających różnych jej przyjaciół, a wykonanych w pracowni mistrza Jeana Cloueta. W tej największej paryskiej wytwórni portretów pracowało wielu uczniów i czeladników i wszyscy bez przerwy mieli ręce pełne roboty. Na szczęście w sztuce miniatury miałam swoje sekrety nie znane temu mistrzowi... Co się tyczy sekretów, przynajmniej w tym moja płeć była mi pomocna, me malarskie umiejętności bowiem powszechnie przypisywano instynktowi bądź czarom, nie zaś długim i dogłębnym studiom.

Oglądanie tylu różnych arcydzieł nie tylko uczyło mnie wielu rzeczy, lecz czasami podnosiło też bardzo na duchu, gdyż niektóre z nich mimo towarzyszącej im sławy były w istocie okropne. A potrzebowałam pociechy, ponieważ inne dla odmiany często wprawiały mnie w rozpacz - ach, nigdy im nie dorównam! - jak choćby te nowe obrazy z Italii. Przekonałam się przy tym, że król Francji nie posiada żadnego Leonarda. Tak tylko gadano. Miał jedynie kopię Madonny z aniołami. Prawdą jest jednak, że już z samej kompozycji widać było, jak wielkim mistrzem jest twórca oryginału. Myślę, że i Leonardo musiał widywać anioły, bo jeden z nich wyglądał zupełnie jak Hadriel.

Pamiętając, że arcybiskup Wolsey kazał mi spisać obrazy posiadane przez króla Francji, zaczęłam pomału sporządzać ich listę. Prawda, że Wolsey nie wypłacił mi ani grosza z obiecanych piętnastu funtów, ale taki to już los artysty. Byłabym zresztą niewdzięczna,



gdybym narzekała na biskupa. On przynajmniej zapewnił mi mnóstwo zajęcia, a już wysyłając mnie do Francji, wyświadczył mi wielkie dobrodziejstwo. Tutaj od niektórych dostawałam czasem zapłatę, a że jestem oszczędna, więc w mojej sakiewce zawsze coś brzęczało. Korzystne było i to, że same nazwiska dostojnych klientów otwierały mi kredyt na zakup barwników i innych materiałów. Zdobyć kredytu to nie lada sztuka, zwłaszcza gdy jest się kobietą, a bez tego ani rusz. Każdy, kto służy wielkim tego świata, dobrze wie, jak to wygląda. Chcąc wykonać zamówiony portret, trzeba najpierw się zapożyczyć, a potem czekać na łaskę wielmożnego klienta, który zazwyczaj tkwi po uszy w długach. Nigdy nie wiadomo, kiedy taki jaśnie wielmożny raczy przypomnieć sobie o malarzu i czy w ogóle sobie przypomni. Ale i tak we Francji powodziło mi się dużo lepiej: wraz z całą angielską służbą królowej miałam darmowe posiłki, do tego pracownię, z góry opłaconą przez diuszese, no i widoki na ładną sumkę od pani Klaudii, gdy ukończę dla niej te anioły.

To, o czym teraz opowiem, zdarzyło się w dzień po świętym Mikołaju. Wybrałam się do jednej z pałacowych galerii obejrzeć zgromadzone tu obrazy i stałam akurat przed malowidłem przedstawiającym metresę króla Karola VIII w postaci Świętej Dziewicy. Ten ich wielki mistrz Jean Fouquet obnażył ją wręcz skandalicznie, a oni mówią o nim z takim nabożeństwem! Właśnie sobie pomyślałam, że gdyby choć trochę znał się na kobiecej anatomii, toby nie namalował prawej piersi w kształcie wielkiej kuli armatniej, która na dodatek wyrasta wprost z ramienia, kiedy usłyszałam za sobą czyjeś kroki. A przecież w galerii nie było nikogo, jeśli nie liczyć Nan, która zdrzemnęła się z nudów na ławce, wypuściwszy z ręki cerowanie, oraz dwóch brzydkich kotów, co na mój widok zaraz skądś przyleciały i zaczęły ocierać mi się o spódnicę, pewnie w nadziei na jakiś kąsek. Niestety, spotkał je zawód. Uzbrojona w szkło powiększające, z takim skupieniem studiowałam technikę mistrza Fouqueta, przyglądając się z bliska draperiom, że nawet odgłos tych kroków nie wyrwał mnie z transu.

- Mniej goła niż Ewa w „Kuszeniu” i nie tak różowa - usłyszałam nagle czyjś głos.

Za oknem deszcz lał jak z cebra, bębniąc po ołowianej blasze pałacowych dachów, spiczaste wieże ociekały wodą. W długiej, nieprzyjemnie zimnej galerii mocno śmierdziało uryną. Odwróciłam się od obrazu i... ujrzałam Roberta Ashtona. Stał w odległości kilku kroków w szarym przemoczonym płaszczu, chudy i błydy jak widmo.

- Och, to pan! - wykrzyknęłam, a moje serce z radości chyba oszalało. - Powiedziano mi, że pan nie żyje, a potem spotkałam Toma... Mówił, że obaj ocaleliście z tej katastrofy, ale... ale myślałam, że wróciłeś już do Anglii.

- A mnie powiedziano, że tu cię znajdę, madame.

Podszedł bliżej i wówczas spostrzegłam, że utyka. Strasznie był wymizerowany i taki mi się wydał kruchy! Z tymi zapadłymi oczyma w czarnych obwódkach mógłby zaiste uchodzić za ducha, tyle że na widok mary serce nie skakałoby mi tak z radości. Jakże pragnęłam, aby znów mnie objął! Chciałam zarzucić mu ręce na szyję... lecz... było w nim coś, co mnie ostrzegło, że nie wolno mi tego zrobić. I... o Boże, jakież on był chudy! Ni stąd, ni zowąd napadło mnie przemożne pragnienie, żeby go odżywić! Pieczone, sery, mocne angielskie piwo, gęsta sycąca polewka z marchwią, cebulą i pasternakiem, wszystko to raptem stanęło mi przed oczami. Nigdy nie przepadałam za kuchnią i gotowaniem, a tu naszła mnie taka ochota. Chciałam mu podsuwać smaczne kąski, patrzeć, jak je i nabiera ciała.

- Dobry chłopak z tego Toma. Był przy mnie, kiedy... po prostu uparł się zostać. Dużo z nim rozmawiałem. O pani. Teraz wiem, żeś mówiła prawdę o tym morderstwie... I wiem, że popełnił je człowiek, którego słowu ufałem. Teraz już mu nie ufam. A czy pani wiesz o Tomie? O tym, że on cię kocha? - Znów zaczął wykonywać owe dziwne gesty: nerwowo odginać i zaginać palce, jakby jedną rękę miał sztywną.

- Wiedziałam od początku, ale nie myśl, proszę, że to ja go zbałamuciłam. Czekałam, aż z tego wyrośnie i znajdzie sobie inny obiekt uczuć, bardziej odpowiadający mu wiekiem.

Ashton zamilkł na chwilę, jakby zbierał myśli.

- Kiedy leżałem chory tam w Calais - rzekł wreszcie - cóż, postawiono już na mnie krzyżyk... dręczyło mnie jedno tylko pytanie... Odpowiedź muszę uzyskać od ciebie, madame, inaczej nie zaznam spokoju. Potem odejdę i nie będę ci się już naprzykrzał. Jak... w jaki sposób mąż twój stracił życie?

Na Boga, pomyślałam, co się z tym człowiekiem dzieje? Wyglądał, jakby go trawiła jakaś choroba duszy. Więc jechał taki kawał drogi tylko po to, by ponownie zadać mi pytanie, na które mu już przecież odpowiedziałam? A ta noc przed wyjazdem z Dover? Czyżbym wyimaginowała sobie cały jej urok? Byłyżby to tylko moje pobożne życzenia zrodzone ze smutku i samotności? Jeszcze jedno rozczarowanie?

- Mistrz Dallet zginął w łóżku cudzej żony - odparłam. - Dlaczego chce pan znów o tym mówić? Te wspomnienia sprawiają mi ból.

- Muszę wiedzieć... jak to się stało, że ów zdradzony mąż zjawił się w domu właśnie w tym momencie...

- Mówisz o kapitanie Pickeringu? Ja sama długo tego nie wiedziałam. Ktoś napisał do niego list. Kto? Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się od Septimusa Croucha, że uczynił to niejaki Ludlow, nędzny jurysta, istny sęp żerujący na ludzkiej krzywdzie. Dallet miał w swym posiadaniu jakąś rzecz, na której tamten chciał położyć łapę.

- Ludlow! I Crouch. Jezu Chryste, to się zgadza! Wszystko się zgadza - wymamrotał półprzytomnie. - A czy pani... ucieszyła się ze śmierci męża?

- Matko Boska, i pan tak myśli? Za kogo mnie uważasz? Za wampira? Mój mąż zostawił mnie bez grosza, a ja wyprawiłam mu pogrzeb! Zapytaj ludzi! Pochowany został jak dżentelmen, choć żył całkiem jak właściciel burdelu! I to ja zapłaciłam za wszystko! Także za jego długi! Zabrano mi nawet łóżce mych rodziców, ich małżeńskie łóżce, w którym oboje pomarli! A tyś myślał, że co? Że przehulałam w tawernach te góry złota, co je po nim odziedziczyłam? Dallet każdego pensa wydawał na swą kochankę, jej robił prezenty! To ją obdarzył pięknym, zdrowym synem, podobnym do niego jak odbicie w lustrze, a ja? Ja urodziłam martwe dziecko! Spytaj Nan, co dostałam po nim w spadku! Nic! Mniej niż nic! Za jego długi i wszystko, co mam, zapłaciłam pracą własnych rąk, dzięki umiejętnościom, których wyuczył mnie ojciec. Bo Dallet zabrał mi wszystko, a zostawił z niczym. A przecież poślubiłam go w kościele z Bożym błogosławieństwem! Pytam, na kogo spłynęło to błogosławieństwo, bo nie na mnie! - wybuchnęłam płaczem.

Moje głośne okrzyki wyrwały Nan z drzemki: drgnęła i cerowanie spadło jej na podłogę. Koty uciekły w popłochu, by skryć się w kominku wśród sterty drewna przygotowanych na podpałkę. Ashton pobladł jak płótno.

- Uczył cię ojciec?

- A któż by? Był wielkim mistrzem. Skąd bym to wszystko umiała? Z powietrza? Więc dla pana też jestem wybrykiem natury? Dallet ożenił się ze mną jedynie po to, by posiąść sekrety mego ojca, kiedy już się przekonał, że inaczej ich nie zdobędzie. A gdy zyskał dzięki nim sławę, dał się zabić nie bacząc, że obie z Nan niechybnie zginiemy z głodu.

- Mój Boże... jakże się myliłem... pod każdym względem... - wykrztusił, kręcąc głową z widoczną desperacją. Widziałam, że sprzeczne chęci ciągną go w dwie różne strony: sam nie wiedział, czy mówić dalej, czy uciec. Ja zaś pojęłam w owej chwili, że to, o co mnie posądzał, musiało być dużo gorsze niż sprośne igraszki z Wolseyem, chociaż i to już było wystarczającą zniewagą.

- Co pan o mnie słyszał? I od kogo?

Wahał się dłuższą chwilę.

- Od Septimusa Croucha. On... twierdził, że to ty, pani, wysłałaś ten list - wyrzucił z siebie na koniec, nisko zwiesiwszy głowę.

Od tych słów cała wprost zlodowaciałam.

- Ten potwór - szepnęłam. - to kłamliwe monstrum.

Teraz przypominałam sobie wszystko. Ashtona w wymiętym ubraniu i te szaleńcze

zarzuty. Przypomniam go sobie z Crouchem u boku w jakże przyjacielskiej komitywie. Jego zmienne humory, urywane słowa, to, jak mnie śledził, kiedy byłam w czyimś towarzystwie... Już wtedy musiał być zakochany, może równie szaleńczo jak Tom. Lecz co to za miłość, która wierzy w najgorsze? Zła to miłość.

- Przepraszam - powiedział, patrząc mi w twarz. - Nie jestem już pani nadzorcą, nie miałem prawa wszczynać tej rozmowy. Teraz już pójdę. Napiszę o tobie Wolseyowi. Mnie przydzielono tu inne zadanie... - Sztywno wyprostowany powoli pokuśtykał w stronę wyjścia.

- O nie, panie Ashton, pan tak nie wyjdzie! - krzyknęła Nan, zagradzając mu drogę. - Powinieneś się wstydzić!

- I tak jest. Wstyd mi - usłyszałam jego ciche słowa.

- Za dużo w tobie pychy. Za dużo myślisz o sobie, by zrozumieć, co zrobiłeś mojemu biedactwu. Odwróć się i spójrz na nią, ty samolubny człowieku!

Posłuchał. Prawie go nie widziałam: łzy zalewały mi oczy. Głupio było stać tak i szlochać w samym środku tej zimnej, cuchnącej uryną galerii. Szare niebo płakało deszczem rzęsistym jak moje łzy... czułam, że serce rozpękło mi się w stu miejscach, że uchodzi ze mnie cała radość. Pasowałyśmy do siebie, ja i natura. Tak, wiem, nie bardzo to oryginalne. Gdybym malowała taki obraz, wymagałby on lepszej kompozycji...

- Dość już narobiłeś zamętu, odchodząc przedtem bez słowa. Nie miałeś prawa tak postąpić - twardo oświadczyła Nan. Ashton przystanął. - O, ja od początku wiedziałam, że przyniesiesz jej tylko smutek. Myślisz, że nie próbowałam trzymać jej z daleka od ciebie? Ale skoro już tu jesteś, panie Ashton, żądam, byś błąd swój naprawił. Wracaj do niej zaraz i dojdźcie do zgody! Jeśli tego nie uczynisz, to gdy umrę, duch mój będzie cię nękał po koniec dni twoich, przysięgam na wszystko, co święte!

- Nie mogę...

- Nie umiesz pogodzić się z sobą, panie Ashton, ale jej jesteś to winien. Przeprós ją i błagaj o przebaczenie, jak Bóg nam przykazał w Piśmie, zamiast tak się nad sobą rozczulać. Istny bohater tragedii, samotny i nieszczęśliwy! - To nim wstrząsnęło, lecz Nan jeszcze nie skończyła. - Dobrze wiesz, że mam rację! Mogę sobie być stara, ale nie głupia. Przemów do niej, to twoja ostatnia szansa! Potem już będzie za późno.

Jak strasznie długa wydała mi się wtedy ta galeria... Jak dziwnie brzmiało echo nierównych kroków w nagłej ciszy, którą mąciły jedynie odgłosy wściekłej ulewy. Wiatr chłostał mury strumieniami deszczu, rozdziawione gęby kamiennych chimer wypluwały spienione potoki wody z szumem przypominającym huk wodospadu.

- Madame Dallet... skrzywdziłam panią... wierząc oszczerstwom... w które człowiek

honoru nie powinien wierzyć... Ja... błagam cię o przebaczenie.

- Nigdy bym nie popełniła takiej podłości! A pan... pan uwierzyl! To niegodziwość! - Przetarłam kułakami oczy, by odpędzić uparte łzy. Nic to nie pomogło.

- Zuzanno, to nie były słowa wybaczenia, no, dalej! Mów! - wtrąciła surowo Nan. Całkiem jak wówczas, gdy miałam lat dziesięć i Feliks, mój braciszek, zniszczył mi rysunek Najświętszej Dziewicy, bo był lepszy od jego obrazka. Nie chciałam mu wybaczyć przez cały tydzień, a kiedy nareszcie zmięklam, Feliks zachorował i umarł... i nic już nie było takie jak przedtem. Należało wybaczyć mu wcześniej wbrew własnej niechęci. Ashton... on też nie lubi przepraszać, woli szukać dla siebie wymówek. Tak jak ja. A przecież i on może umrzeć. Każde z nas może umrzeć, a to, które zostanie, będzie później gorzko żałować. Zatwardziałość serca to nic dobrego.

- Panie Ashton... wybaczam ci.

- Szczerze ci wybaczam - poprawiła z naciskiem Nan, przynaglając mnie wzrokiem.

W piwnych oczach Ashtona coś zamigotało... jakby nagle wesołość. W tej samej chwili smuga szarego światła padła na jego brunatne włosy, wydobywając z nich rudokasztanowy połysk. To dlatego jest taki, przyszło mi raptem na myśl.

- Czy ona w dzieciństwie też była taka zawzięta? - zagadnął moją piastunkę.

- Chyba jeszcze gorzej.

- Ja też - wyznał półszepem.

- Dwoje ulepionych z tej samej gliny - mruknęła Nan. - To przez te włosy.

- Co też ty mówisz! Ja wcale nie jestem ruda. Moje włosy mają tylko lekko rudawy odcień.

- A ja mam ciemnobrązowe, prawie czarne, jak im się dobrze przyjrzyć. Nie ma w nich żadnej rudości - żywo zaprzeczył Ashton.

Nie mogąc powstrzymać uśmiechu, dotknęłam tych jego niepokornych loków.

- To pewnie przypaliłeś je sobie w ogniu.

- A twoje długo się tliły? - zapytał tym samym żartobliwym tonem, wodząc palcem po moich niesfornych kosmykach, które nigdy jakoś nie chciały mi siedzieć pod czepkiem.

- Od urodzenia, panie Ashton, od urodzenia - oznajmiła Nan.

- A ty zawsze musisz mieć rację?

- Pewnie! Kto tu jest najstarszy i najmądrzejszy?

- Ty! Pani! - powiedzieliśmy równocześnie ja i Robert Ashton.

- Madame Dallet, czy pozwolisz mi ubiegać się o swoją rękę? - zapytał uroczyście. - Zważ jednak, że jestem tylko młodszym synem, i to bez jakichkolwiek widoków na

przyszłość. Po śmierci ojca odziedziczyłem konia i dziesięć funtów, lecz koń dożył swoich dni, a pieniądze już się rozeszły. W służbie arcybiskupa nie mogę liczyć na awans, gdyż skutecznie przeciwdziała temu Brian Tuke. Powiedz „tak” albo wykpij mnie i każ iść precz, a nie bój się zranić mnie swą odmową. Ambitne niewiasty wykpiły mnie już nieraz, zdążyłem się zahartować.

- Panie Ashton, cały mój posag to tylko praca. Gdyby mi ją odebrano, mój przyszły mąż nic by ze mnie nie miał. Dobrze to rozważ, nim ponowisz swoją deklarację. I pamiętaj, że wbrew twym niecnym posądzeniom jestem uczciwą wdową, której nie godzi się składać żadnych nieprzystojnych propozycji.

- Obawiam się zatem, że nasze fortuny pasują do siebie jak ulał. Podobnie jak włosy.

- Włosy? Na pewno nie. A co do fortuny, nigdy zbyt o nią nie stałam. Będzie, co Bóg da.

- Tym właśnie różnisz się od innych kobiet, za co składam Panu Bogu dzięki.

- Mam przez to rozumieć, że podtrzymujesz swoją propozycję? Chcesz ubiegać się o moje względy?

- Tak, i będę to czynił dopóty, dopóki się nie przekonasz, że nie jestem nikczemnym oszczercą, godnym co najwyżej twojej nienawiści. Wierz mi, przeklinam ten dzień, kiedy pozwoliłem się otumanić... Obym był nigdy nie poznał tego obmierzłego Croucha!

- O, drugiego takiego monstrum nie ma chyba na całym świecie - potwierdziłam z przekonaniem. - Widziałam, co potrafi. Zabił człowieka, a potem w taki sposób oddalił się z miejsca zbrodni, jakby właśnie wstał od kolacji. A zabił tego Ludlowa z powodu jakiejś książki. Sam powiedz, czy jest książka warta ludzkiego życia? Chyba że była to klątwa. Ludlow, pojmujesz, zabrał mi kołyskę, a była ona przeklęta, bo umarło w niej dziecko, i za to, być może, przeznaczenie wydało na niego wyrok. Skoro mówimy o Crouchu... wiesz, że on jest w Paryżu? I znowu musiałam przed nim uciekać. To okropne.

- Crouch tutaj? Zuzanno, czy on wie, że tu jesteś?

- Może i wie, choć jeszcze mnie nie wyśledził. Ostatnimi czasy pokazuje się wszędzie w towarzystwie jakiegoś straszego Włocha.

- A tak, wiem, signor Belfegoro. Anglicy emablują go jak bohatera, nawet już i Francuzi składają mu hołdy. Nic mi o nim nie wiadomo, jednakże wbrew owym pochwalnym peanom, które zewsząd słyszę o nich obu, pewien jestem, że zamyślają coś złego - stwierdził Ashton. Widziałam po oczach, że go to gnębi.

- Czy ich pobyt tutaj ma coś wspólnego z twoją misją?

- Nie sądzę, chociaż gdyby tak było, bardzo bym się ucieszył.

- Dlaczego?

- Bo może łatwiej udałoby mi się rozwiązać pewną zagadkę. Wiedz, że jest człowiek czy raczej cała zakonspirowana grupa ludzi powiązanych wspólnym celem: jest nim unicestwienie przymierza między Anglią a Francją. Ludzie ci są przekonani, że rozbicie tego aliansu spowoduje upadek dynastii Walezjuszy, władzę zaś przejmą oni. Zlecono mi wykryć, kto należy do tej organizacji, a przede wszystkim kto stoi na jej czele. Właśnie dlatego tyle czasu siedziałem w Calais... Myślałem, że być może kapitanowie statków dostarczą mi jakiejś wskazówki... Lecz nie, wbrew swemu imieniu ten człowiek nie jest żeglarzem.

- To dobrze. Dość mam żeglarzy, zwłaszcza kapitanów.

- Proszę cię jednak, Zuzanno... obracasz się teraz wśród wielkich... więc nadstaw ucha. Zrób to dla mnie, dla arcybiskupa, dla Anglii. Gdzieś wśród owych wielmożów, najprawdopodobniej na dworze, kryje się ktoś bardzo potężny. Zwie on sam siebie Sternikiem.

Wielką salę balową w pałacu Les Tournelles zdobiły na co dzień przepyszne arrasy, lecz dziś rozwieszono tu jeszcze mnóstwo jedwabnych proporców z różami Tudorów i odyńcem francuskiego władcy. We wzorzystych żółto-zielonych płytkach słynnej fajansowej posadzki migotał blask setek świec. Gdy z galerii zabrzmiała muzyka, w sali zaroilo się od tancerzy; na czele korowodu kroczył zwycięski diuk Suffolk z samą jej wysokością królową u boku. Panowie zbyt wiekowi, by tańczyć, lub zbyt jeszcze słabi po zmaganiach w turniejowych szrankach stali w grupkach pod ścianą, komentując się ploteczkami, podziwianiem wdzięku pięknych dam i tanecznej elegancji mężczyzn.

Król siedział na podwyższeniu, w wysokim wyściełanym krześle; w stojącym obok, teraz pustym, zachował się jeszcze kształt ciała królowej i jego młodzieńcze ciepło. Jakże się rwała do tańca! Zaczęło się od wybijania taktu na poręczy, potem w ruch poszedł czubek pantofelka, w końcu oddychała już nawet w rytm muzyki. A on, cóż... zbyt doskwierały mu stawy. Zaczynała go drażnić zwierzęca żywotność małżonki i jej młodzieńczy entuzjazm. Trzpiotka. Może mimo wszystko powinien był poślubić jej starszą siostrę, osobę poważniejszą, bardziej stateczną, mniej chętną do takich harców. Poprzedniego wieczoru, po słynnej Wiktorii Suffolka nad germańskim olbrzymem, ofiarował jej kolejny klejnot, a ona... ona przyjęła go z mniejszą radością niż zwykle. Nie poróżnowiały jej policzki, nie klaskała w dłonie, a dziękczynny pocałunek wydał mu się bardzo powściągliwy, jakby składała go z obowiązku.

Tańczyła już dziś z d'Alenconem i Dorsetem, a teraz hasa z Suffolkiem. Dobrze, że

choć delfin zachowuje się bez zarzutu. Dojrzeła. Zaczyna rozumieć, co mu przystoi, i poważniej traktować obowiązki. O, niesie właśnie kubek swojej pani. Jakaż ta Klaudia podobna do matki! A jeżeli i ona, tak jak matka, potrafi rodzić tylko córki dość silne na to, by wyżyć? Wówczas ród Walezjuszy wygaśnie, a Francji grozi wojna domowa. Ach, byłaby to klęska. Koniecznie muszę mieć syna z tą młodką.

Gestem przywołał do siebie Franciszka:

- Monsieur, królowa zbyt długo tańczy z tym angielskim diukiem. Zechciej mi ją przyprowadzić.

Widząc w chwilę potem, jak młoda małżonka niecierpliwie wierci się w krześle, ledwie ukrywając niezadowolenie, Ludwik zrozumiał jaśniej niż kiedykolwiek, że tej pełnej temperamentu młodce bynajmniej nie odpowiadają ciche, spokojne wieczory, takie jakie lubi on sam. Trzeba to będzie zmienić. Zapewnić jej mnóstwo rozrywek, pokazać, że ma męża wciąż jeszcze młodego duchem. Czyż nie jestem królem?, rozmyślał. Mężczyzną, który kiedyś wygrywał jeszcze wspanialsze turnieje? Postanowił przypomnieć o tym swemu otoczeniu, jej zaś pokazać, że wciąż jest młody. Sprawić, by patrzyła w niego jak w tęczę.

Franciszek tymczasem zerknął na króla, a potem prześliznął się wzrokiem po jasnym profilu jego żony i dwóch jakże rozkosznych wypukłościach wycierających zza wycięcia sukni. Zręcznie ukrył trawiącą go żądzę poznania niewidocznej a cudownej zapewne reszty tego kuszącego ciała. Na ziemistym obliczu monarchy dostrzegł zazdrość i determinację. Nie pasujesz do niej, odpowiedział mu w duchu. W tym pojedynku zwycięzcą zostanie ja. Lekki uśmiezek uniósł mu kąciki warg, gdy wyobraził sobie słodycz owego zwycięstwa...

W drugim końcu sali honorowy gość Anglików, Septimus Crouch, pokazywał największe z obecnych tu osobistości słynnemu hodowcy koni, arcyksięciu Belfegoro, starając się jak najprzystępniej przedstawić genealogię panującej dynastii, związku pokrewieństwa, jak również większe i mniejsze prawa do sukcesji.

- Walezjusze, milordzie, to młodsza gałąź Kapetyngów, do której to dynastii należał król Filip Piękny. Lecz i ród Walezjuszy ma dwie linie; ta jest młodsza, a korona przeszła na nią dlatego, że król Karol VIII nie spłodził syna. Obecny władca, Ludwik XII, to już człowiek posunięty w latach, jest bowiem synem stryjecznego pradziadka poprzedniego króla, ówczesnego księcia Orleanu. On także nie ma żyjącego syna.

- Uch, gałęzie, kuzyni, młodsze linie, cóż to za gmatwanina! Ale zaraz... Mówisz, że ten oto król nie ma syna? Sądząc po jego wyglądzie, powinienem wkrótce być wolny - mruknął Belfegor. Crouch zerknął na niego z pełnym wyższości uśmiechem. Dużo ty tam wiesz, pomyślał. Demon tymczasem, lustrując mrowie królewskich kuzynów z młodszych i



starszych linii, zażądał kapryśnym tonem: - Opowiedz mi lepiej o ojcu króla Karola, słynnym Ludwiku XI. O, to był oczajdusza, którego chętnie bym poznał! Grabieże, morderstwa, tortury. Jak przy tym wszystkim zdołał utrzymać władzę?

- Król Pająk zamknął się w twierdzy Plessis-les-Tours z oddaną mu szkocką gwardią...

- Zaczekaj, kim jest ten tam... wysoki, chudy, ciemne włosy. On mi się podoba. Arogancki, zdradziecki... Z takimi ludźmi zawsze mi idzie najlepiej.

- To jaśnie wielmożny Karol de Burbon, słynny wojownik i bohater wielu bitew. Niedawno poślubił kobietę, która wniosła mu ogromny posag: przeważającą część ziem środkowej Francji.

- A ma on jakieś prawa do tronu?

- Wątpliwe... Trzeba by się dobrze starać, żeby je udowodnić. Lecz jego syn z księżniczki, która jest córką byłej regentki, odziedziczy po matce królewską krew Walezjuszy, tak więc jego prawo do sukcesji będzie już oparte na mocnych podstawach.

- Ach, to doskonale, wybornie! - ucieszył się Belfegor, zacierając ręce i spoglądając na diuka niemalże wzrokiem posiadacza. - Jeśli ten król umrze bezpotomnie - dodał, rejestrując w pamięci płonące buntem oczy pana de Burbon - nietrudno mi będzie rozpętać w tym kraju wojnę domową, która...

- Zważ jednak, milordzie, że każdy popierany przez ciebie pretendent napotka potężnego przeciwnika w osobie królewskiego kuzyna, Franciszka d'Angouleme. Jest on nie tylko najbliższym męskim krewnym obecnego władcy, lecz i mężem jego starszej córki. I to właśnie on został mianowany następcą tronu. Korona wymknie mu się tylko wtedy, jeśli młoda królowa urodzi syna.

- Do licha, trudno się połapać we wszystkich tych pokrewieństwach! Mówisz o tym wielkim jegomościu z długim nosem? Mężu tej brzydkiej grubaski? Tym, co tak płąsa z różnymi damami i tak się puszy?

- O nim, wasza diabelskość.

Belfegor obrzucił Franciszka uważnym spojrzeniem, po czym zmrużył oczy, by dobrze go sobie wbić w pamięć. Crouch, który trzymał się blisko demona, by przypadkiem ktoś ich nie podsłuchał, uzupełnił zniżonym głosem:

- Jak widzisz, milordzie, istnieje tu wiele możliwości, dla ciebie jednakże najważniejszą jest rzeczą, aby człowiek, którym się posłużysz do zrzucenia z tronu Walezjuszy, był ci absolutnie posłuszny. Tylko wówczas zdobyta przez niego władza stanie się twoją. A jak uczynić go silnym? Najlepszym na to sposobem jest zamęt. Niechaj wszyscy się kłóć, podczas gdy twój człowiek będzie jęczyciem u wagi. Ty zaś trzymaj go w rękę.

Tak, milordzie, ludzie zbyt rzadko studiują sztukę zdobywania władzy. Polegaj na mnie, a już ja przeprowadzę cię przez ten labirynt - zakończył swoją lekcję Crouch.

Belfegor zerknął na niego z tajoną podejrzliwością.

- Przedstaw mnie temu Burbonowi. Podoba mi się sposób, w jaki patrzy na ludzi. Pewny siebie, ambitny! Będzie takim królem, jakiego mi trzeba.

Mówiąc te słowa, kombinował sobie zarazem, że chyba czas już zmienić nauczyciela. Przydałby mi się teraz ktoś dostojniejszy od Croucha. Nudzi mnie już ten człowiek, myślał z irytacją. Wszędzie za mną łązi, we wszystko wtyka swój nos. Za dużo chciałby wiedzieć. Moje półdiabły za bardzo go interesują, miałyby pewnie chętkę nimi rządzić... No a już stanowczo za długo wpatruje się w ten głupi mosiężny pucharek.

- Diuk de Burbon właśnie zaczął tańczyć, byłoby więc trudno dokonać teraz prezentacji.

- A niech ich wszystkich franca! Mam już dosyć tych obmierzłych uroczystości! Spotkam się z nim później. Chodź, Crouch, nie mogę patrzeć na tych ludzi. Roją się jak larwy. Nie, nie jak larwy, przeciwko larwom nic nie mam. Jak, jak...

- Może króliki, milordzie? - podsunął usłużnie Crouch z wyraźnie złośliwą uciechą w swych zimnych zielonych oczach.

- Aha, króliki. Futro, brązowe ślepie... Wstrętne.

Obok Klaudii, która stroniła od tańca, zebrała się grupka dam; one też zrezygnowały z pląsów, gdyż z takich czy innych przyczyn spośród wszelkich zabaw pod dachem najwyżej ceniły plotki. Była tu niziutka i krucha diuszesa de Burbon, osoba fizycznie ułomna, lecz zarazem najbogatsza francuska dziedziczka, oraz jej groźna matka, Anna de Beaujeau, była regentka, która wciąż uważała, że korona jej się należy. Tak by też było, gdyby francuskie prawa pozwalały kobietom dziedziczyć tron.

- A ja wam mówię, że ta raźna klaczka, którą Anglik podesłał Ludwikowi, wpędzi go prosto do piekła - oświadczyła ta sędziwa dama. - Stary dureń!

- Ależ ona jest doprawdy miła. Czyście nie zauważyły, jak podczas uczyty kazała zanieść deser mojej siostrze, księżniczce Renee? - Klaudia zapomniała, że królowa to nieprzyjaciel, i swoim zwyczajem starała się uwypuklić jej najlepsze cechy. Słyszając to, damy zdwoiły wysiłki, by po raz kolejny podsycić w niej łatwo gasnącą niechęć, przy okazji zaś sprawić i sobie radość.

- A widziałaś, madame, jak twój małżonek z nią tańczył?

- I jak z nią rozmawiał! Aż się zarumieniła.

- Och, to tylko zwykła galanteria. Król kazał mu z nią zatańczyć. Sama słyszałam, jak

go o to prosił.

- O ty niewinne jagniątko!

- Co samo idzie do rzeźni!

- Twój mąż, madame, rozmawia też z królową na osobności. Widziałaś, jak zachowywał się podczas turnieju? Nie tobie tak się kłaniał, tylko jej.

- Ależ... Był wszak patronem turnieju ku jej czci, wypadało mu więc tak czynić.

- Może... choć ona to nic dobrego. Jak każda ruda, pojmujesz, madame?

- Tak, tak, ten rosły angielski książę to jej dawny kochanek. Sama po niego posłała.

- Chce z jego pomocą obdarzyć króla potomkiem, bo król nie jest już do tego zdolny.

Cały dwór o tym mówi. Anglik na tronie Francji! To, czego nie udało im się zdobyć siłą, osiągną teraz podstępem. Ach, nie ma na świecie gorszego głupca niż staruch!

- Wiosny nie dożyje, popatrzcie tylko na niego! Błady jak śmierć i ledwo się rusza, a ubrany w atłasy, jakby miał lat dwadzieścia. Jeśli zaraz nie utnie sobie drzemki, to się rozchoruje.

- Coś jeszcze ci powiem, madame Klaudio. Kiedy już twój małżonek zostanie królem, bacz pilnie, by cię nie spotkało nic złego. Nie pierwszy byłby to przypadek, że król Francji pozbywa się żony dla innej, która bardziej mu się podoba.

- Przypomnij sobie Joannę Francuską. I lepiej pospiesz się z dzieckiem, żeby nie mógł zamknąć cię w klasztorze, jak zamknięto tamtą biedaczkę.

- Przestańcie! To nie może być prawda! Mój pan jest dla mnie dobry. Wierzę, iż mnie z czasem pokocha. A przy tym jestem wszak po matce dziedziczką Bretanii. Franciszek nigdy by nie dopuścił do oderwania tych ziem od Francji.

- Przez małżeństwo z tobą on stał się władcą Bretanii. Zobaczysz, wynajmie sobie jurystów, a już oni znajdą jakiś kruczek, który pozwoli mu zachować ziemie bretońskie bez ciebie. Naucz się, madame, dbać lepiej o swe interesy, w przeciwnym razie spędzisz resztę życia za kratą.

- W sporze o prawo do własności pomiędzy mężczyzną a kobietą prawnicy zawsze sprzyjają mężczyźnie. Zawierz mym gorzkim doświadczeniom - stwierdziła boleściwym tonem była regentka. Wyłowiwszy wzrokiem z tłumu swego zięcia, Karola de Burbon, pomyślała jednak z satysfakcją: ten mi się trafił! Silny, zgorzkniały, ambitny i pełen pretensji do świata. Wyniosę go na wyżyny, a on mnie pomści. To mój ród powinien rządzić Francją, a nie potomkowie Ludwiki Sabaudzkiej. Nędzna intrygantka! - Strzeż się procesów - ostrzegła Klaudię. - I miej się na baczności, kiedy mąż ni z tego, ni z owego zaczyna konferować z jurystami. Och, idą tu te dwie angielskie damy. Powinno się im zakazać używania w

towarzystwie tego ich straszego języka! Ach, droga mademoiselle Grey i ty, mademoiselle Bourchier, zechciejcie, proszę, usiąść. Dyskutowaliśmy właśnie o nowym przymierzu.

- Polityka to dla nas rzecz nazbyt trudna, madame de Beaujeau. My rozmawiamy o modzie, o tym nowym włoskim kroju sukien, gdzie talia umieszczona jest wyżej...

- A rękawy zebrane raz powyżej łokcia, niżej zaś jest bufa i przy nadgarstku drugie marszczenie. Czy paniom się to podoba? Ja myślę, że przy tak szerokim rękawie dłoni i nadgarstek wydają się znacznie drobniejsze.

- A największym walorem u kobiety są dwie rzeczy: małe dłonie i małe stopy.

- Trzy. Trzecią są małe usta - uzupełniła madame de Beaujeau, cytując znaną formułę piękna, po czym ściągnęła wargi, wokół których utworzyła się zaraz cała siateczka zmarszczek. Madame musiała pewnie często przybierać taki wyraz twarzy. Było sprawą powszechnie znaną, iż małe usta u kobiety świadczą o niewielkich rozmiarach także i innych rzeczy. Podczas tej rozmowy bystre oczka Anny de Beaujeau, podobne oczom sędziwego ptaka, nie przestawały błędzić po sali, co wyraźnie miało oznaczać, że dwie cudzoziemki nie są dość godne, by poświęcać im całą uwagę. Spostrzegła, iż na podwyższeniu pojawił się właśnie diuk Suffolk i jął emablować królową w tym ich koszmarnym języku, królowa zaś głośno się roześmiała. - Kobieta nie powinna śmiać się zbyt często - stwierdziła madame - gdyż bardzo rozciąga to usta. - W jej głosie brzmiała pogarda. Jednakże dwie Angielki, siedząc tyłem do podwyższenia, nie widziały królowej, tak więc zatruta strzała tym razem chybiła celu.

## PORTRET DWUNASTY

*„Portret nieznanego mężczyzny”. Widoczny wpływ Holbeina. Połowa wieku XVI. 17,8 x 20,3 cm. Rysunek węglem na szarym papierze, podkolorowany czerwoną i białą kredą. Staatliche Museum Preussischer Kulturbesitz, Berlin.*

*Ten świetny rysunek, którego twórca odznaczał się godnym uwagi kunsztem, przedstawia gładko wygolonego mężczyznę lat dwudziestu kilku. Sądząc po niewyszukanym stroju jest on przedstawicielem warstw średnich, być może kupcem. Nieznany artysta bardzo wiernie utrwalił jego nastrój: widoczne w oczach szczere rozbawienie wyraźnie świadczy, że młody ów człowiek niezbyt poważnie traktuje pozowanie do portretu. Rozpięty kołnierz i opadające na czoło kędzierzawe włosy pozwalają się domyślać, że malarz uchwycił go w chwili, gdy zupełnie się tego nie spodziewał; być może po jakimś wysiłku fizycznym. Ten piękny portret to swoista pochwała ludzkiej prostoty - tego, co łączy ludzi różnych epok.*

Johnson, Historia angielskiego portretu

- Purpura to trudny pigment, zwłaszcza do malowania miniatur. Trzeba go porządnie rozrabiać, w dodatku jest bardzo drogi. Najlepszy otrzymuje się z laki weneckiej, ale ten mój na przykład pochodzi z Antwerpii, a jest prawie tak samo dobry.

Ashton postawił wielki worek gipsu i zdjął z półki zawiniątko z zakupionym przeze mnie barwnikiem; dokonawszy oględzin, odłożył paczuszkę na miejsce i rozejrzał się po pracowni. Minę miał taką, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Jakoś tu dziś inaczej. Przybyło tych aroganckich francuskich wielmożów.  
- Aha, widzę, żeś wolał moich Adamów.  
- No i ten zapach. Nie, to nie może być klej. Czuję w tym pieprz.  
- Zupa ogonowa. Przyszło mi na myśl, że mnie odwiedzisz.  
- Skąd? Wszak był to przypadek, że się na ciebie natknąłem... sama dźwigałaś taki worek... A swoją drogą, gdzież to podziewa się Nan?

- Poszła wyklócić się z kupcami o rachunki i wyłudzić od nich nowy kredyt. Mnie tymczasem tak już była potrzebna ta laka, że postanowiłam iść sama, no i... Wiesz, jak to jest: kiedy już się idzie po jedno, można też kupić i drugie.

- Nie zdarzyło mi się widzieć, żeby któraś kobieta wydawała tyle pieniędzy na coś innego niż fatalaszki.

- Wiedziałam! Znów mnie śledziłeś! Nadal mi nie ufasz? Nie wypuszczam się wszak na schadzki, ja tylko kupuję farby! Tak, panie Ashton, nie mam kochanków, mam za to strasznie podejrzliwego konkurenta, który łązi za mną krok w krok, a potem udaje, że natknął się na mnie przypadkiem. Ha, akurat w chwili, gdy niosę za dużo paczek.

Zrobił nieszczęśliwą minę.

- Kiedy to naprawdę był przypadek... z początku. Myślałem, że się odwrócisz i mnie zobaczysz, ale gdzie tam! Cały czas szłaś z tak wysoko podniesionym nosem, że w pewnej chwili nawet pomyślałem: no, no, taki snobizm to już przesada. A potem spostrzegłem, że jesteś sama, więc... postanowiłem odprowadzić cię do domu. Dla bezpieczeństwa.

- Bo może czekam tu na kogoś z kolacyjką, co? Takeś myślał? A Nan może gdzieś wyszła? Pewnie, pewnie! Jak ktoś ma takie złe myśli, to wszędzie widzi najgorsze.

Zawstydziałam go, więc szybko zmienił temat:

- Po co kupiłaś te cukrowe bryłki? To już chyba nie do malowania?

Zdjęłam z półki dwie miski i napełniłam zupą.

- Większość pigmentów - wyjaśniłam - mieszam z samą rozwodnioną gumą arabską, ale czarne laki rozpuszczają się lepiej, gdy do gumy dodać troszkę cukru. - Postawiłam miseczki na stole i poszłam szukać łyżek. Gdy wróciłam, Ashton wydobył zza pazuchy butelkę wina i podał mi ją bez słowa.

- A to co? Zdawało mi się, żeśmy się spotkali przypadkiem.

- Bo tak było... już mówiłem. Ale przedtem pomyślałem sobie, że wpadnę...

Spojrzałam na niego i wybuchnęłam śmiechem. Poczerwieniał jak burak. Jacyż byliśmy śmieszni! Ze strachu przed zranieniem zachowywaliśmy się całkiem jak dwa nieufne koty, które okrążają się nawzajem na sztywno wyprostowanych łapach. Ashton co rychlej podjął bezpieczniejszy wątek.

- A ten gips? Do czego on ci potrzebny? - spytał, wskazując worek czubkiem buta.

- Do gipsowania desek pod obrazy. O, tam stoi taka. I do sporządzania modeli, jak te na ścianie. - Znalazłam kubek do wina i postawiłam na stole wraz z butelką.

- I tego wszystkiego nauczył cię ojciec? - zagadnął Robert, siadając do jedzenia.

- Mówiłam już, panie Ashton, że takie umiejętności nie spadają z nieba. Mój ojciec był mądrym człowiekiem i wielkim artystą. Celował zarówno w malarstwo dużego formatu, jak i w miniaturze. Znał wiele sekretów, a szukał ich po całym świecie.

Ukroiłam kilka kromek chleba z resztki bochenka, co została nam od śniadania, i także zasiadłam do zupy. Ashton wyglądał już o wiele zdrowiej; zaczął nabierać ciała, a i cera mu się poprawiła. Miałam prawo być z tego dumna, bo ostatnimi czasy często podtykałam mu

coś do jedzenia. Spotykaliśmy się zawsze niby to przypadkiem i jak dotąd nigdy bez Nan.

- Tuczysz mnie, co? - zapytał zniechęcony.

- Ja? Nic podobnego! - Zaczerwieniłam się po czubki włosów.

- Poznaję to po twoich oczach. Oglądasz mnie jak koguta, czy dość już tłusty, aby pójść do garnka. I co? Kości mniej mi już sterczą, a pióra błyszczą jak trzeba? Kiedy zrobisz ze mnie zupę?

- Panie Ashton! Za kogo ty mnie uważasz? Nie zamierzam gotować żadnej zupy.

- No tak, już ją ugotowałam. Ogonową tym razem. Bardzo zresztą smaczna - odparł z kpiarskim błyskiem w oku. Udałam, że muszę dokroić chleba. Dostrzegł me zakłopotanie i przestał się ze mnie natrząsać.

- Do czego służą te gipsowe ręce? - spytał znowu, wskazując łyżką rozwieszoną na ścianie dłonie, przedramiona i stopy, wszystkie zdjęte ze mnie i z Nan.

- Gdy maluję całą postać, muszę widzieć, jak pada światło na poszczególne części ciała, by dobrze je wycieniować. Takie modele po prostu oszczędzają czasu osobom portretowanym. - Dolałam wina do kubka i wychyliłam je kilkoma łykami; o wiele za szybko.

- Kochałaś go? Mówię o twym ojcu.

Poczułam, że wino zaczyna już na mnie działać. Teraz z kolei Ashton podniósł kubek do ust.

- No pewnie. A czyś ty nie kochał swego? Wszystko, co mam, dał mi on. Dał mi... samą siebie.

Wyjęłam mu kubek z ręki i wypiliśmy wino do ostatniej kropli.

- To znaczy?...

- Bez malowania nie byłabym sobą. Kocham zapach farby, spokój, jaki mnie ogarnia, gdy maluję, i te obrazy, które noszę w sobie.

Spojrzał na mnie ciekawie i tak jakoś inaczej... jakby nagle zobaczył coś, czego wcale się nie spodziewał. Przez niewielkie krążki szkła w wysokim oknie wśliznął się do pracowni złocisty promień zimowego słońca. Musnął obrazy, wydobywając z nich barwy, położył się długą smugą na deskach podłogi, by spocząć wreszcie na wytartym od długiej służby skórzanym duplecie Ashtona i jego zadumanej twarzy. Kochałam takie światło i to lekko złociste lśnienie nadawane przez nie każdej rzeczy. W chwili gdy dotknęło Roberta Ashtona, poczułam, że i jego kocham. Zrozumiałam, że bez niego serce by mi pękło, że całe moje ciało tęskni za jego dotknięciem i że jego widok przynosi radość moim oczom. A jednak... jakaś malutka cząstka mego serca wołała wielkim głosem: „Nie mów mu tego! Powściągnij swe uczucia!” Bo ową cząstką wyczuwałam w nim jakąś ostrożność... A nuż się przed nim

ośmieszę? Raz już przeżyłam zawód. A jeśli i on mnie skrzywdzi?

- Zazdroszczę ci - szepnął w zamyśleniu. - Ja nie kocham tak swego zajęcia. Może dlatego, że pod koniec dnia nie widzę, żebym coś ważnego zdołał. Spełniam tylko cudze rozkazy.

- Ale to rozkazy wielkich ludzi. - Spojrzałam na jego ręce: były takie jak trzeba. Silne, o długich palcach i pięknie uformowanych kościach. Wyraźnie rysowały się na nich żyły. - Panie Ashton, czy oddałbyś mi jeszcze jedną przysługę? Nie tak już uciążliwą jak dźwiganie gipsu. Nie mam ani jednego modelu męskiej ręki. Mógłbyś mi użyczyć swoich? W nagrodę zobaczysz je u wszystkich moich świętych i arystokratów.

- Tylko tyle cię we mnie interesuje? Moje dwie ręce?

- Bo to bardzo ładne ręce - powiedziała, sięgając po jego dłoń. - Widzisz te żyły? - Powiodłam po nich palcem, spuściwszy oczy, ponieważ nie mogłam znieść jego wzroku. Słyszałam, jak ciężko oddycha.

- Dobry Boże - wyszeptał - żądasz ode mnie więcej człowieczeństwa, niż go jest w mężczyźnie...

Dotknięcie jego ręki, dźwięk głosu sprawiły nagle, że i we mnie coś pękło. Jakbym gdzieś w mózgu miała mały zameczek zamknięty dotąd na cztery spusty, który raptem trzasnął i rozleciał się na kawałeczki.

- Robercie... - Chwycił przez stół obie moje ręce. Pusta butelka po winie gruchnęła na podłogę. - Robercie... - Powstałiśmy w tej samej chwili i on porwał mnie w objęcia. Przedzielający nas wąski stół przewrócił się z hukiem, miski i łyżki potoczyły się po podłodze, zabrzęczało tłuczone szkło.

- Zuzanno - wyszeptał Robert - ocal mnie przed samym sobą... Nigdy nie miałem zamiaru... ale już nie mogę... Pragnę cię od tak dawna.

Miałam go powstrzymać? Przypomnieć, że należy mi się szacunek? Nie mogłam. Nie myślałam o zbawieniu duszy, czułam tylko, że serce tłucze mi się w piersiach jak szalone, a po całym ciele wędrują fale rozkosznego ciepła. Jego pocałunki... były jak iskra. Wznieciły we mnie pożar, który nie dał się już ugasić. Tak jak z nim nie czułam się nigdy dotąd, ach, nawet o tym nie śniłam! Było to coś tak różnego od nudnych obowiązkowych obłapek Dalleta: w ciemności, szybko i bez słowa. Teraz... wszystko dookoła lśniło jak żywe srebro w pełnym blasku dnia... Widziałam twarz Roberta, jakże odmienioną, jego pot mieszał się z moim, oddychałam jego zapachem... Ach, Boże, a przecież byłam wdową! Dlaczego przedtem tego nie zaznałam? Nawet się nie domyślałam, że może być aż tak... Leżeliśmy w ubraniach przed kominkiem wśród porzrzuconych statków i okruchów szkła, lecz cóż to



miało za znaczenie? Tym, co mają w sobie niebo, niestraszne nawet i piekło.

Oślała i rozchełstana, w końcu oprzytomniałam.

- Boże, cośmy uczynili?

- Wybacz mi - szepnął ze łzami w oczach. - Wybacz, że tak cię kocham. Musimy wziąć ślub. Ożenię się z tobą. Naprawię ten błąd. Nie potrafię już żyć bez ciebie. Przysięgnij, że za mnie wyjdiesz, że przebaczysz mi to, co się stało.

- Małżeństwo, Robercie? Będziesz zrujnowany! Stracisz pracę, żeniąc się bez zezwolenia! Biskup nigdy ci tego nie wybaczy... umrzemy z głodu... Och, i co my teraz zrobimy? - wybuchnęłam płaczem. Trzęsłam się cała jak w febrze.

- Więc tak bardzo tego żałujesz? - krzyknął. - Nie chcesz mnie? Nieszczęsny, com ja uczynił?

- Nnie... - wyjąkałam. - To... to wszystko dlatego że... że cię kocham! Niech Bóg mi wybaczy te słowa, ale nawet w tej chwili moje ciało tak strasznie za tobą tęskni. Zgrzeszyłam i wcale tego nie żałuję. Coś ty ze mną zrobił?

- Zetrę tę plamę z twej czci. Pobierzemy się. Przekonam arcybiskupa. Wiem, że mi nie wolno żenić się bez zgody, ale ją zdobędę. Odniosę sukces i wtedy... chytrze go podejść... uzna ten pomysł za własny.

Uśmiechnęłam się do niego, wciąż jeszcze pociągając nosem, i zaczęłam zbierać naczynia.

- Ty i chytrze? Och, Robercie, kiedyż ty byłeś chytry? - Nadal trwała we mnie pamięć naszych pieszczot. Rozpłomieniała mnie ona tak, że gotowa byłam zrobić wszystko. Wskoczyć oknem, wziąć ślub bez zezwolenia, a potem boso iść do Wolseya i błagać o łaskę. A Robert... Robert tymczasem już zaczął układać plany i kalkulować. Teraz gdy moja miłość przekroczyła wszelkie granice, on musiał swoją wcisnąć do pudełka i zamknąć w stosownej przegródce. Małżeństwo tak, ale i kariera. I ładny prezent od arcybiskupa. Wszystko zachować i nic nie poświęcić. Czułam, że serce zaczyna mi krwawić, lecz nawet skrwawiona, moja miłość nie poniosła szwanku, przeciwnie, stawała się coraz większa.

- Muszę odnaleźć Sternika - mówił Robert. - Tylko tym mogę zadowolić Wolseya. Wszyscy dookoła twierdzili, że to niemożliwe, i właśnie dlatego postawił mi takie zadanie. Nie wątpię, iż Brian Tuke maczał w tym palce. Chciał mnie zniszczyć, ale nic z tego! Sternik podobno jest gdzieś na południu. Pojadę tam. A jak go znajdę, poproszę Wolseya o zgodę na ślub. Będzie w dobrym humorze, więc da się ubłagać. Taką ma naturę. Tylko tym sposobem można go podejść. A wiesz, że jednak Crouch jest w to wszystko zamieszany? Teraz dałbym za to głowę. Bo co on tu ma do roboty? Za czym tak węszy, dlaczego wszędzie zabiega o

względy? Boże, ależ ja go nienawidzę! Działa do spółki z tym fałszywym Włochem. To jakiś szarlatan udający arystokratę. Wiem, że szukają pewnego dokumentu, ale niedoczekanie, bo to ja zdobędę ten papier. I nie wcześniej dam go biskupowi, aż udzieli mi zgody. Przysięgam ci, Zuzanno, ożenię się z tobą, gdy tylko zakończę swą misję. Zobacysz, to już długo nie potrwa. Wszystko się ułoży.

- Och, Robercie, mój drogi, czyż prawdziwa miłość nie jest ważniejsza nad wszystko? Powiedz mi, proszę, że wszystkie te zamysły znaczą dla ciebie tyle co nic w porównaniu z naszą miłością.

- Ależ kochanie - odparł czule - czyż nie rozumiesz, że wszystko to robię z miłości?

Deszcz znów lał jak z cebra, niebo nad Paryżem miało barwę ołowiu. Angielscy rycerze wrócili do kraju, dwór króla Ludwika przeniósł się do Saint-Germain-en-Laye. Był czas Adwentu, do świąt Bożego Narodzenia pozostały tylko dwa tygodnie. Diuk de Burbon wyprawił żonę, teściową i konie wraz z dworem, lecz sam nie opuścił Paryża, gdzie, jak mówił, zatrzymały go „ważne sprawy”. Zajmowały mu one tyle czasu, wprawiając zarazem w tak wyraźnie zły humor, iż nawet najbardziej podejrzliwi nie ośmielali się twierdzić, że w istocie odwiedza kochankę, a „formalności prawne” to jedynie wygodny pretekst.

By bardziej skutecznie działać w owych tajemniczych sprawach, pan de Burbon przeniósł się z Les Tournelles do domu jednego ze swoich prawników, niejakiego mistrza Belliera. Panował tam niezwykle ożywiony ruch, co chwila ktoś przybiegał z listem lub spieszył zanieść odpowiedź. Wielka podziemna komnata rozbrzmiewała gwarem podnieconych głosów: burzliwie spierano się o coś przez kilka kolejnych nocy.

- Mówię wam, że widziałem go w zeszłym tygodniu. Odkąd dzięki tym koniom wybawił z opresji angielskiego diuka, wszędzie go pełno.

- Nie ma wątpliwości, że przyjechał tu po to, by dostarczyć manuskrypt.

- Ale komu? Walezjuszowi? Czy też uknuł inny jakiś plan?

- Twierdził wszak, że rękopis podzielono na trzy części, z których on ma tylko dwie.

- Kłamstwo, chyba że... trzecia część znajduje się w rękach innej osoby, która przebywa w Paryżu.

- Niepodobieństwo.

- Skoro tak, to znaczy, że Crouch spiskuje na własny rachunek. Sam chce zdobyć władzę.

- Nie sądzę. Jestem pewien, że zamierza donieść o nas królowi, a jeżeli przedłoży mu całą księgę, wyjdzie na jaw nasza Tajemnica. Musimy działać natychmiast, bo gdy król się

dowie, że chcemy obalić jego dynastię, by przywrócić na tron Merowingów, wszyscy zostaniemy straceni. Wszak to zdrada stanu.

- Nie, jeszcze nie pora na działanie! Nie wolno nam zaczynać przed koniunkcją Jupitera, inaczej czeka nas klęska. Nasze siły zbrojne trzeba dopiero zgromadzić. Proroctwo mówi, że dzień nasz jeszcze nie nadszedł. Zważcie, moi panowie, że król jest zbyt chory i zbyt pochłonięty nową żoną, by zajmować się manuskryptem. Monsieur Crouch wie o tym i gra na zwłokę. Po co waszym zdaniem udaje turystę, kupuje starożytności, wkrada się w łaski możliwych, przedstawia im swego towarzysza, owego rzekomo włoskiego księcia? Dlatego że chroniony protekcją Anglików czeka, aż stary król umrze, aby dobić targu z Franciszkiem. A młody i pełen wigoru władca chętniej się z nami rozprawi.

- Zatem nie wolno dopuścić, aby się skumał z Franciszkiem.

- Aha, i żadnych przedwczesnych działań. Czekajmy, aż czas się dopełni.

- Wystarczy zrobić jedno: nie dopuścić Franciszka do tronu. Królowa musi urodzić syna i zostać regentką. Żeby sprawować rządy, potrzebna jej będzie pomoc mądrego doradcy. Zostanie nim Sternik, który zręcznie wkradnie się w jej łaski. Nie będą to łatwe czasy. W królestwie zapanuje zamęt, gdyż oczywiście Franciszek stawi nam silny opór, nastąpi coś na kształt podziału władzy. Lecz w tym czasie cesarz zdąży już zebrać wojska i przywieść je nam na pomoc.

- Mrzonki. Król nie spłodzi już syna. Wiem to od jego najbliższych doradców.

- Król ogłosił, że jest do tego zdolny.

- Posłuchajcie! Ludwik gaśnie w oczach. Gdy umrze, królowa będzie zmuszona przywdziać żałobę; zostanie zamknięta w swoich komnatach, do czasu aż się okaże, czy nie wyda na świat pogrobowca. Wtedy ją sobie podporządkujemy. Trzeba tylko przemycić do jej komnat noworodka, ogłosić go następcą tronu, a ją regentką. Posłuszną we wszystkim naszej woli i naszym życzeniom.

- A jeżeli odmówi? Jeśli nie zechce ogłosić, że to jej dziecko?

- Na to się nie ośmieli. Z chwilą gdy dziecko się tam znajdzie, tak czy inaczej zostanie uznana za autorkę spisku, byłaby zatem zgubiona. Lepiej wszak być regentką słuchającą czyichś rozkazów, niż z woli Franciszka resztę życia spędzić w więzieniu.

- A co z Crouchem? Skoro gra na zwłokę, to czy zamiast ryzykować, że wykona jakiś ruch, nie prościej byłoby go zabić?

- Nie wiemy, ilu i jakich ma współników. Być może są nimi angielscy książęta, być może jeszcze inni, którzy zaprzysięgli działać dalej, nawet gdyby on zginął. Jednym z nich jest na pewno książę Belfegoro. Trzeba by zgładzić ich obu i jeszcze paru Anglików.

- Czy ktoś tu wymienił moje imię? - U szczytu stołu ukazał się nagle kłęb dymu, w powietrzu powiało siarką i u boku pana de Burbon stanął Belfegor. Diuk skurczył się cały z przestachu, pochodnie zamigotały, zaraz wszakże zapłonęły jaśniej, jak gdyby piekielne moce nagle dodały im ognia. Całą prastarą komnatę jał z wolna przenikać przykry zapach siarki. Czarne wody calderium poruszyły się z głośnym pluskiem, kiedy zawisł nad nimi cuchnący żółtawy opar. Któryś z konspiratorów zaczął kaszleć. Maitre Bellier wydobyl z rękawa chusteczkę i przyłożył sobie do twarzy.

- Och, nie przeszkadzajcie sobie, proszę! Pozostańcie na miejscach, panowie. Uwielbiam konspirację. Lubię ją nade wszystko z wyjątkiem może morderstw na dużą skalę. A jedno prowadzi do drugiego, nieprawdaż?

- Drogi sieur... ach, Belfegoro... - Diuk de Burbon, równie popędliwy, co pełen oglady, zdołał już odzyskać kontenans. - Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? I jakim sposobem pojawiłeś się tu tak nagle? Jeśli zachodzi taka potrzeba, służymy oczywiście naszą skromną pomocą.

- Może mnie pan nazywać moim prawdziwym imieniem, monsieur Burbon. Jam jest księżę Belfegor, władca Czeluści. Rozkazuję demonom i całej armii półdiabłów. Przybywam, by pomóc wam i waszej sprawie.

Zebrani struchleli.

- Lecz... nasza sprawa jest święta - wyjąkał mistrz Bellier.

- Powierzył ją nam sam Pan Bóg...

- Prawdziwa Krew...

- Przekleństwo! Ktoś nasłał na nas Kusiciela. Tylko tamci mogli to uczynić. Ci, którzy upadli.

- Rozłupanie Dębu. Templariusze. Precz stąd, demonie!

- Sam idź precz, stary głupcze. Nie próbuj mnie wyganiać, bo się rozgniewam. Wiedźcie, iż cel nasz jest wspólny. Słyszałem, że chcecie pozbyć się Walezjuszy. I ja tego chcę. Wszystko mi jedno, kogo potem posadzicie na tronie, byle nie był to nikt z tego rodu.

- A dlaczego jesteś im przeciwny?

- Przez małe nieporozumienie z królem Filipem.

- Mówiłem, że to robota templariuszy. Oni wypuścili tego demona.

- No i co z tego, że w swoim czasie zdarzyło mi się poznać paru templariuszy? Siedzę tu z wami już od dłuższej chwili i wiem, że tworzycie tajne sprzysiężenie wymierzone przeciwko królowi i jego dynastii. Zaczekajcie, niech nikt nie wychodzi! Nie zamierzam zdradzać waszej kryjówki. Mam pewną osobistą anse do króla i jego potomków, więc chcę

się z wami sprzymierzyć. Pomysł z fałszywym następcą tronu uważam za doskonały. Bo tak jak brylant ma wiele faset, tyle on kryje w sobie możliwości.

Belfegor rozsiadł się wygodnie na krawędzi stołu, zakładając nogę na nogę. Wyglądał jak prawdziwy arystokrata. Aksamitny kapelusz z egretą przytwierdzoną wielkim drogim kamieniem miał junacko nałożony na bakier, w uchu ogromną perłę i pierścionie na wszystkich palcach. Jego szkarłatny dublet haftowany był srebrem i złotem, a kolosalne buty sprawiały wrażenie miękkich jak jedwab, uszyto je bowiem z najdroższego marokinu. Głos demona, wbrew jego pierwotnym instynktom, brzmiał teraz łagodnie i odznaczał się świetną modulacją. Crouch znakomicie wywiązał się ze swych zadań. Belfegor, jakkolwiek miejscami nieco bezcielesny, emanujący niewątpliwą aurą zła, francuskim panom wydał się dżentelmenem w każdym calu, istotą przynależną w pełni do ich sfery. On natomiast doszedł do wniosku, że nigdy jeszcze nie miał tak pilnych słuchaczy, w dodatku tak skłonnych do współdziałania! Tu nie będzie żadnych magicznych kręgów, amuletów i grimoire'ów. Przyjęli go jak swego, wspaniale! Z nimi, myślał, mogę zawrzeć umowę bez obawy, że zechcą mnie podstępnie związać jakimś niemiłym zaklęciem. Będę mógł ich zdradzić, kiedy zechcę. Zgrzytnął zębami, przypominając sobie sztuczkę z kogutem, na którą złapali go tamci... Ha, niech no się tylko uwolnię, a już ja się na nich zemszczę... Zaraz jednak uświadomił sobie, że tamci pogromcy demonów najpewniej od dawna nie żyją. Tak go to zirytowało, że musiał wypuścić z uszu trochę siarki, co wyraźnie zaniepokoiło zebranych przy stole panów.

- Czym więc możemy ci służyć, księżę? - zapytał diuk de Burbon.

Ha, pomyślał Belfegor, doskonale! To oni chcą służyć mnie.

- Czy naprawdę jesteście zdecydowani usunąć z tronu Francji potomków Filipa Pięknego?

- Oczywiście!

- Od kilku stuleci Zakon nasz z poświęceniem pracuje nad sprawą przywrócenia na tron Prawdziwej Krwi.

- Prawdziwa Krew? A któż to taki?

Konspiratorzy wymienili spojrzenia. Miny mieli trochę niepewne.

- To Merowingowie. Tylko oni mają prawo rządzić Francją, im też, jak głosi proroctwo, przeznaczone jest stworzyć wielkie... hm... chrześcijańskie imperium obejmujące cały znany dziś świat wraz z ziemiami pogańskich Saracenów.

Mimo zawartej w tych słowach jawnej niezręczności Belfegor nie plunął ogniem, lecz podjął niezmiernie łagodnym tonem:

- Chrześcijańskie? Och, doskonale! Mam wielu serdecznych przyjaciół wśród księży i

zakonników. Dusze niektórych, zwłaszcza mnichów, są doprawdy wspaniale dojrzałe... - Konspiratorzy odetchnęli z ulgą, co nie uszło oku demona. Wybornie! Udało mi się ich uśpić. Cała ta konspiracja sprawiała mu mnóstwo uciechy. Sam prawie nie mógł uwierzyć, że kiedyś bawiły go rzeczy... co tu mówić... jakże prostackie. Zaczynała żenować go myśl, że ktoś taki jak Crouch - pospolity śmiertelnik! - zna jego skromne początki. Koniecznie trzeba się go pozbyć, znaleźć sobie odpowiedniejszego towarzysza. Po co ktoś ma wiedzieć, że on, Belfegor, nie jest demonem najwyższej piekielnej rangi?

- A zatem, moi panowie, zamierzam dopomóc wam i waszym celom. Gwarantuję, że w ciągu miesiąca król umrze, jeśli to jednak uczynię, czy mogę mieć pewność, że wy z kolei wykonacie drugą część planu, to jest zakończycie sukcesję rodu Walezjuszy, podsuwając królowej fałszywego następcę? Co wy na to, byśmy podpisali stosowny kontrakt?

Belfegor wysunął tę propozycję, chcąc zadośćuczynić ziemskim zwyczajom: śmiertelnicy lubią umowy. Dla niego był to pewien kłopot, ponieważ nie umiał czytać, jednakże dzięki staraniom Croucha potrafił wykaligrafować zamaszystą literę „B”, która lśniła nieziemskim światłem. Crouch go zapewnił, że to bardzo elegancki dodatek. Tymczasem przy stole nastąpiło lekkie poruszenie. Niektórzy wśród obecnych, zwłaszcza starsi, nie taili przerażenia. Jeden nawet zaczął protestować: Jak to? Do czego to podobne, aby świętą sprawę kalać umową ze Złym? Inni wszakże zakrzyczeli go zaraz argumentem, że w dobrej sprawie wolno sprzymierzyć się nawet z diabłem. Muszę to sobie zapamiętać, pomyślał Belfegor, przyda się na przyszłość.

- Kto podpisze w waszym imieniu? - zapytał.

- Ja - powiedział pan de Burbon. - Ja jestem Sternikiem.

Gdy nareszcie ucichł szcęk oręża, diuk Suffolk wyjechał do Anglii, a król położył się do łóżka. Nadeszła prawdziwa zima: z mrozami i pierwszym śniegiem. Turniej planowany na pięć dni ciągnął się prawie miesiąc, bo stale go przerywano z powodu fatalnej aury. Urządzane w owych przerwach niezliczone bale i uczty wyczerpały dworskie towarzystwo, a jeszcze bardziej kucharzy, muzykantów, ludzi malujących proporce oraz pałacową służbę, zmuszoną usługiwać biesiadnikom, zamiatać, czyścić srebra i nosić tyle dREW do kominków, że starczyłoby ich chyba dla samego piekła.

Tuż przed wyjazdem Anglików odwiedził mnie Tom. Miałam wtedy mnóstwo roboty: wykańczałam anioły dla madame, a jednocześnie gruntowałam pergaminy pod wizerunki kilku dzieciątek, które Pan Bóg zabrał do nieba. Ich osierocone matki, oglądając szkice do tryptyku, doszły do wniosku, iż posiadanie podobnych obrazków byłoby dla nich ogromną pociechą. Doskonale je rozumiałam, siadywałyśmy więc razem i gdy one z płaczem opisywały mi swoje najdroższe maleństwa, ja rysowałam, aż matka uznawała, że to jej dziecko. Już w pracowni dodawałam mu skrzydełka, w tle malowałam parę chmurek, i gotowe. Matka Boska lub święci na życzenie kosztowali ekstra. W porównaniu z Ewami była to dla mnie wielka odmiana; wprawdzie w obu przypadkach pracowałam po to, by zadowolić klienta, teraz wszakże czyniłam to w sposób bardziej godny szacunku. Zużywałam też mniej materiałów, gdyż obrazki były maleńkie; chodziło o to, by moje klientki mogły je nosić przy sobie i czasami trochę popłakać. Jedyne kłopot polegał na tym, że owe portreciki wymagały wytwornych kasetek, odpowiednich deszczulek i składanych ramek. Gdy jednak znalazłam niejakiego mistrza Juliusa, który pięknie robił takie rzeczy i pochodził z Flandrii jak mój ojciec, co bardzo ułatwiło nam porozumienie, wszystko już było w porządku.

- Ciepło tu - stwierdził Tom. Był jeszcze chudszy niż przedtem, gdyż ostatnio znów urósł. - Tylko czuć. Znowu gotujesz królicze skórki, pani Zuzanno?

- Akurat przyniosłam parę deszczulek od mistrza Juliusa. Mam teraz dużo zamówień na aniołki. No i jak zawsze portrety.

- Mógłbym gotować kleje i gipsować deski - zaproponował Tom. - Przy tylu zamówieniach przydałaby ci się pomoc - dodał, rozglądając się po pracowni.

Sprawiała wrażenie pustej i zarazem zagraconej. Nadal brakowało odpowiednich półek, lecz jakoś sobie radziłam dzięki dużej skrzyni i kredensowi. Stało na nim teraz lustro służące do oglądania rozmaitych rzeczy od tyłu. Prócz tego w różnych miejscach schły na wpół ukończone tabliczki, na stole stał szkic do portretu, a kilka nie całkiem udanych wisiało

na ścianach, bym mając je wciąż przed sobą, mogła nad nimi myśleć. Zauważyłam, że Tom wypatrzył na stole szkic do portretu Roberta Ashtona i że nie odrywa od niego oczu. Nie było to nic specjalnego, zwykły rysunek węglem z odrobiną białej i czerwonej kredy, tyle że Ashton miał tu rozpiętą koszulę, a ciemne włosy wiły mu się dziko koło uszu. Tom oczywiście to dostrzegł i na jego piegowatej twarzy pojawił się wyraz goryczy.

- Przyjmę chyba kogoś do pomocy, jeżeli utrzyma się ta dobra passa. Ale ty przecież zamierzasz wracać do Anglii. A wydawało mi się, że dobrze robię, przekupując tego majtka, by cię przemycił na statek.

Tom z widocznym zażenowaniem wpatrzył się w czubki swych butów.

- Uczę się teraz na lekarza koni - zaczął się usprawiedliwiać. - To dobre zajęcie, a i ludzie mnie tam cenią za to, co już umiem. Od mistrza Ailwina wiele się dowiedziałem o sporządzaniu remediów. Dlatego myślę, żeby jechać... W dodatku ta tutejsza mowa... mam już chyba pypcia na języku.

- No tak, w domostwie wielkiego pana będziesz bezpieczniejszy.

- Diuk Suffolk to wielki koniuszy samego króla, a przy tym bohater!

- Wiem.

- A zresztą u pani i tak nie mam szans! - wybuchnął. - To beznadziejne. Pani taka piękna i dobra, a ja, cóż... Po co mam zostawać? Tyś dla mnie jak gwiazda na niebie!

- Nie wiem, czy gwiazda, lecz na pewno jestem za stara dla takiego chłopca jak ty - odparłam łagodnie. - Wiedz jednak, Tomie, że troszczę się o ciebie jak starsza siostra.

- A pan Ashton, chociaż ocalił mi życie, nie zasługuje na ciebie!

- krzyknął z gniewem. - Tak też mu powiedziałem. Przynajmniej niech wie. On niczym sobie nie zasłużył, by kochać cię, pani Zuzanno, nie tak jak ja... Ja cię pierwszy poznałem... - Odwrócił się na pięcie, zamierzając uciec.

- Tom, zaczekaj!

- Tylko proszę mnie znów nie obejmować. To... okrucieństwo - powiedział żałośnie.

- Nie, nie! I nie będę cię zatrzymywać, jedź. Chcę tylko prosić, byś zawiózł mój list pani Hull i Catherine. Zastanawiałam się właśnie, jak go przesłać. - Zaświtał mi nagle doskonały pomysł. - Mam dla nich coś jeszcze... drobny upominek. A powiedz moim przyjaciółkom, że często o nich myślę i że trochę tu jeszcze zostanę. Powiedz, że powodzi mi się dobrze dzięki tym aniołkom dla francuskich arystokratek. - Poszperawszy w skrzyni, wydobyłam z niej portrecik Cat. - Weź to i trzymaj przy sobie. Uważaj, żeby nie zamókł.

- Ale on pani przecie potrzebny do pokazywania ludziom.

- Teraz mam już inne.



- Zawsze mi się wydawało, że namalowałaś jej zbyt jasne włosy - stwierdził, podniósłszy wieczko.

O, ale portret już zaczął na niego działać. Zerknąwszy na mnie z ukosa, powrócił wzrokiem do ślicznej twarzyczki Cat, jeszcze prawie dziecięcej, podobnie jak jego własna. Wiedziałam, co sobie myśli, patrząc w jej błękitne, niecierpliwe oczy. Chłopak z zawodem, sługa wielkiego pana, zrobi to na niej wrażenie! Będzie na niego czekać, aż zostanie mistrzem, a do tego czasu nie omieszka powiedzieć wszystkim sąsiadkom: „Mój Tom to człowiek księcia. Oni tam nie mogą się bez niego obyć”. Zamknął kasetkę i spytał:

- Pani wie, że jest tu Crouch? A jak go wszyscy fetują wraz z owym paskudnym italskim księciem! Odkąd pomogli diukowi wygrać turniej, strasznie zrobili się modni. Crouch gada, że przyjechał tu w interesach, choć mnie się zdaje, że on ciebie śledzi, madame Zuzanno. Chce cię przydybać samą. Powiedziałem to panu Ashtonowi. Proszę na siebie uważać, zwłaszcza w pałacu. Dobrze, że przynajmniej o tej pracowni nikt nie wie, no ale na dworze musisz bywać, a tam... wystawiona jesteś na wszystkie oczy... Niech choć stale będzie z tobą lokaj, Nan to za mało. Jużśmy widzieli, jak zamordował człowieka. Ja... czuję się jak zdrajca, że tak cię tu zostawiam.

- Lepiej, że jedziesz. Mimo to nie przestaniemy być przyjaciółmi; zawsze ci będę życzliwa.

Spojrzał na mnie z widoczną urazą.

- Od początku wiedziałem, że to beznadziejne - rzucił gorzko. Zaraz też wyszedł, ledwo skinąwszy mi głową.

Po jego wyjściu zaczęłam dumać nad dziwną naturą mężczyzn. Dlaczego tak jest, że ugania się taki za kobietą nawet wtedy, gdy ta go wcale nie bałamuci, i ile z tym bywa kłopotów. Szczęściem Tom to dobrze ułożony chłopiec, nie tak jak ci Francuzi... Oni potrafią przemocą wygadzać swoim zachciankom. Widziałam raz, jak Bonnivet, ten przyjaciel księcia Franciszka, zwyczajnie napadł jedną pokojówkę i siłą zaciągnął w ciemny korytarz. A cały czas jawnie zalecał się do pewnej damy, głosząc na dodatek, iż płonie gorącym afektem do księżnej Małgorzaty, jakby nie była ona mężatką.

Tego popołudnia szczerzej niż zwykle owinęłam się płaszczem i poszłam do Les Tournelles zanieść madame Klaudii nareszcie gotowe anioły. Mistrz Julius pięknie je oprawił w tak sprytną trzyczęściową ramkę, że składała się sama, ja zaś całe drewno pokryłam listkami złota, kupionymi na kredyt. Ciężko się napracowałam i w wielkim pośpiechu: pieniądze! Na gwałt potrzebowałam trochę grosza. Tyle zamówień i żadnej zaliczki, a i później, już po ukończeniu pracy, też nikt nie spieszył z zapłatą. O, nie ma w świecie

gorszych płatników niż damy. Gdyby nie księżna Małgorzata, marnie bym wyglądała, dumalam, idąc do pałacu. A potem pomyślałam o swych dosyć udanych próbach z rozpuszczaniem atramentu na tym starym świetnym pergaminie i postanowiłam, że damy nie płacące zaliczek dostaną swoje aniołki na gorszych kawałkach, tych, z których usunęłam pismo. Położę tylko grubszą warstwę gruntu. Portrety to co innego, wymagają czystego pergaminu, lecz tu, w miejscach gdzie będą prześwitywać plamy, mogę namalować draperie bądź jakieś ciemniejsze dodatki. Czyż ludzie, którzy źle płacą, zasługują na coś lepszego? Pomysł ten jednakowoż nie poprawiał mojej sytuacji, a była ona wyjątkowo trudna. Księżna Małgorzata, od której spodziewałam się paru groszy, wyjechała wraz z matką na kilka miesięcy. Gdy skończyło się świętowanie, wielu arystokratów opuściło Paryż, bo i cóż mieli tu robić?

U madame Klaudii zastałam królową. Było też kilka dam, francuskich i angielskich, a pani Nan Boleyn grała na psalterionie jakąś nową muzykę. Królowa i pani Klaudia wspólnie haftowały monstrualnych rozmiarów ornat; królową, co było widać, zajęcie to okropnie irytowało. Słyszałam już o tym ornacie. Przeznaczony był dla papieża, a rozpoczęła go jeszcze królowa Anna. Już leżąc na łożu śmierci, najbardziej martwiła się o to, że opuszcza ten padół, nie skończywszy dzieła. Tak świętej rzeczy mogły dotykać tylko królewskie ręce, co oznaczało, że musi się nią zająć królowa Maria, jak teraz ją zwano, ona zaś nienawidziła haftowania. Pomoc Klaudii zdała się nie na wiele; madame oczy miała zezowate, no i nie była zbyt zręczna, toteż jej kawałek ornatu wyglądał, jakby wywleczono go psu z gardła. Ona sama uważała wszelako, że jako córka zmarłej królowej ma święty obowiązek kontynuować jej dzieło, królowa Maria natomiast, rada go się jak najszybciej pozbyć, przyjęłaby do pomocy każdą parę rąk, bodaj i niezręcznych, byle wystarczająco królewskich. Aż dziw, ilu rzeczy można się dowiedzieć przy malowaniu aniołków.

W tych okolicznościach królowa nader skwapliwie odłożyła ornat, aby przyjrzeć się mym aniołom, a madame Klaudia zalała się łzami. Podobieństwo, orzekła, patrząc na portret swojej drogiej matki, oddane jest znakomicie, a król czyż nie wygląda jak żywy, droga macocho? Najjaśniejsza pani odęła wargi, lecz przyznała jej rację: tak bardzo podobny, że zakrawa to na istny cud, oznajmiła, po czym zmieniła temat, pytając, czy jestem Angielką. Wyjaśniłam, że przysłano mnie tu razem z nią, czego pewnie nie zauważyła, zajęta tyłoma ważnymi sprawami. „Ach, rzeczywiście - przypomniała sobie - arcybiskup Wolsey coś mi o tobie mówił.” Ja na to, że kazał mi namalować pamiątkowe miniatury ślubne, które po oprawieniu w złoto i diamenty zamierzał ofiarować jej bratu. Na te słowa wyraźnie się ożywiła.

- Ach, jesteś więc ową osobą, która tworzy te kunsztowne malutkie portrety! Czy... Słyszałam, że kiedyś namalowałaś podobiznę diuka Suffolk.

Teraz już wiedziałam, dla kogo zamówił ten portret! Samo to, że tak od razu pomyślała o tej miniaturze, było już dość podejrzane, a w dodatku jak zajaśniała jej twarz, kiedy wspomniała o diuku!

- Tak, wasza wysokość, portretowałam księcia, a pozował mi w chwili, gdy dopiero co skończył fechtunek. Powiedział, że mam mu namalować prawdziwie ogniste spojrzenie.

- Jakie to do niego podobne, lecz... zaraz, czy ja już wcześniej o tobie nie słyszałam? Że... niech sobie przypomnę... Już wiem. De Longueville opowiadał mi pewną historię o obrazku i duchu. Wiesz, o co chodzi, nieprawdaż?

Poczułam, że biją na mnie rumieńce, na szczęście do rozmowy wtrąciła się księżna Klaudia.

- O tak! Ja również słyszałam tę opowieść. Była tak wzruszająca! O oddaniu silniejszym niż śmierć. Czy wierzycie w to, moje panie, że dusze błogosławione wracają do nas zza grobu? Ja wiem, że droga moja matka przychodzi do swej sypialni. Pewnego razu poczułam tam jej obecność i zaraz potem owionęło mnie takie zimno...

Ponieważ królowa Maria nade wszystko lubiła opowieści o duchach, krzywym okiem patrząc na każdego, kto ośmieliłby się zmienić temat, wszystkie obecne damy natychmiast podjęły ten wątek, o mnie zaś szczęśliwie zapomniały... Mogłam już wyjść i tak też bym uczyniła, gdyby nie kwestia zapłaty. Czekałam cierpliwie, aż padnie o tym jakieś słowo, gdy nagle zaanonsowano księcia Franciszka w towarzystwie Bonniveta, Fleurange'a i jeszcze paru przyjaciół.

Z miną ponurą jak gradowa chmura ksiązę powiadomił małżonkę, że przyszedł się pożegnać, bo wybiera się do Blois, po czym dwornie ucałował jej dłoń. Królowej natomiast posłał takie spojrzenie, jakby była najgorszą zdrajczynią - widziałam, że aż dreszcz ją przeszedł z przykrości i ze zdumienia - a potem tak lodowato pożegnał „swoją panią matkę”, że już nawet ja osłupiałam: dlaczego? I to po owych hołdach, których tyle ostatnio jej składał? Ale Klaudia nic nie zauważyła. Poruszona dwornym pożegnaniem, jeszcze długo po wyjściu małżonka nie mówiła o niczym innym, jak tylko o jego galanterii.

- Och, a ty tu wciąż jesteś - spostrzegła mnie wreszcie. - Nie mam przy sobie pieniędzy, mój włodarz wręczy ci zapłatę. Dostaniesz tyle samo, ile zapłaciłam wiosną za śliczny modlitewnik, twój obrazek bowiem ogromnie mi się podoba. Chyba jeszcze bardziej niż owa książeczka.

Kazała jednemu z lokajów zaprowadzić mnie do włodarza. Nie muszę chyba mówić,

jak bardzo się ucieszyłam. Włodarz pani Klaudii był rycerzem wysokiego rodu, nie załatwiał więc sam żadnych spraw. Do wypłacania pieniędzy miał specjalnego urzędnika, który wraz z innymi rezydował nieopodal kuchni. Siedząc pod jego drzwiami, czułam zapach pieczonego mięsa, słyszałam szcęk rondli i gniewne pokrzykiwania kucharzy, a także głosy urzędników. Mówili o księciu Franciszku.

- Ależ był wściekły!

- Wcale się temu nie dziwię. Nie dalej niż onegdaj słyszałam, o czym doniesiono pani Ludwice. A uczynił to szambelan królowej, człowiek tak oddany naszej sprawie, że słów jego niepodobna zlekceważyć. Jeśli monsieur d'Angouleme nie zaprzestanie umizgów do tej ambitnej Angielki, powiedział szambelan, może łącznie stać się ojcem dziecka, które pozbawi go tronu. Cóż za głupiec z tego Franciszka! Jak można do tego stopnia pożądać kobiety, by samego siebie pozbawić sukcesji? Szczęściem ma mądrą matkę. Już ona potrafi nalać mu oleju do tej głupiej głowy.

- Dzięki Bogu, że dał nam panią Ludwikę. W przeciwnym razie ta rozpustna angielska dziewczka zrobiłaby sobie regentką.

- To prawda, chwała więc niech będzie Bogu. O, madame to kobieta, która rozumie po męsku, a plany układa jak generał. Kto by to pomyślał, że babska konspiracja uratuje Francję? A właśnie tak sprawy stoją. Los monarchii zawisł na włosku, a to, czy ów włos się nie urwie, zależy od pani Sabaudzkiej.

- Ciszej, za drzwiami siedzi Angielka.

- Ta rzekoma wdowa? Mówią, że to kochanka Wolseya. Chciał się jej pozbyć, więc wysłał babę do Francji.

Zdjęło mnie takie oburzenie, że rozmyślnie zaczęłam hałasować. Zawołali mnie w końcu, a zachowywali się tak, jakby nic w ogóle nie zaszło.

Otrzymawszy sakiewkę, wysypałam pieniądze na stół i dokładnie je przeliczyłam.

- Zatrzymaliście sobie liwra - powiedziałam ostro.

- Oplata na urząd włodarza. Każdy składa ją dobrowolnie. Taki jest zwyczaj.

- Tak? A ja znam zupełnie inny. Nakazuje on wypłacać liwra zagranicznym malarzom za milczenie. To stary angielski zwyczaj.

Popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

- My nie musimy go stosować.

- A ja myślę, że tak. Biedna księżna Klaudia, taka z niej przecież honorowa dama! Gdy się dowie, że jej włodarz jest szelmą, z pewnością tego nie ścierpi. A gdy zacznie się śledztwo... Jak myślisz, ilu tkaczy, iluminatorów i kupców mogłoby poprzeć me słowa?

- Zapłać tej zamorskiej jędzy - warknął lokaj.

- Przekłęci Anglicy! Im szybciej się stąd wyniosą, tym lepiej - usłyszałam wychodząc. Odnalazłam Nan i czym prędzej opuściłyśmy pałac. Szło nam się z trudem. Całą drogę do Pont-au-Change pokrywał na wpół stajały śnieg.

- O, Nan, ten pałac to istne gniazdo żmij. Sami wrogowie królowej, którzy chcą ją zniesławić. Gotowi zrobić wszystko, byle udowodnić, że ich nędzne kalumnie są prawdą.

- Nie twój interes. Niech wielcy pilnują swych spraw, zaś maluczcy schodzą im z drogi. Zatrzymaj dla siebie, co wiesz, i więcej mi po kątach nie podsłuchuj. Ale żeś całą zapłatę wydarła z gardeł tym szubrawcom, za to cię chwałę.

Przy łożu króla Francji spierali się jego medycy, oglądając pod światło szklaną retortę z królewską uryną. Zbici w grupki doradcy monarchy pilnie łowili uchem łacińskie słowa, próbując z nich coś zrozumieć.

- Powiedzieli, że raz jeszcze dadzą mu na przeczyszczenie. Ręcę, że o tym była mowa.

- To coś z moczem. Kamień, zdaje się, wyszedł.

- Od kamienia człowiek nie umiera.

- Mnie się zdawało, że mówili o puszczaniu krwi.

- Tego już próbowali.

Odziani w powłóczyste szaty medycy, uczenie kiwając głowami, mówili o nadmiarze humorów i skutecznym działaniu rozpuszczonej rtęci, który to specyfik często stosowano w podobnych przypadkach.

Króla znowu powalił gwałtowny atak podagry. Wokół jego nóg trzeba było ustawić specjalną ramę, by nawet materiał pościeli nie dotykał obolałych kończyn. Chory całą noc zwijał się w męce i miotał po łożu, to płonął z gorączki, to trząsał się z chłodu, w związku z czym aplikowano mu raz zimne, raz znów gorące okłady. Ostatecznie starania medyków - dwukrotne puszczanie krwi, przykładanie świętych medalików oraz kilka dawek opium - przyniosły pożądany skutek. Wyglądało na to, że atak dobiega końca.

- Duprat, powiedz mi, czy królowa pytała o moje zdrowie?

- O tak, najjaśniejszy panie. Koniecznie chciała tu wejść. Powstrzymał ją od tego dopiero stanowczy zakaz lekarzy.

- A sprawy państwa... Czuję się już lepiej. Niech mi przyniosą listy z zagranicy.

- Ależ miłościwy panie - gwałtownie zaprotestował główny medyk - musisz mieć teraz całkowity spokój! Słyszysz, wasza wysokość? Spokój i odpoczynek. I tylko najbardziej lekko strawne dania. A gdy już wstaniesz, konieczny będzie bardziej uregulowany tryb życia.

Żadnych uczt, za to dużo wypoczynku. Widzę królu, iż ostatnie miesiące poważnie nadszarpnęły twe zdrowie. Te podróże, zabawy do późnej nocy...

Król z wielkim wysiłkiem spróbował usiąść. Z pomocą natychmiast przyszło mu dwóch panów, wsuwając pod plecy więcej poduszek. W nozdrza uderzył ich przy tym jakiś wielce niemiły zapach - siarka? odrobina kwiatu siarczanego? - uznali to wszakże za woń choroby bądź medykamentów.

Siedzący na oparciu królewskiego łoża Belfegor uważnie obserwował całą scenę. Na tę okazję przybrał swoją dymną postać, nikt go więc nie widział.

- Najjaśniejszy panie - powtórzył główny medyk - chcąc wydobrzeć, musisz odpoczywać.

- Porzuć niezdrowe powietrze tego miasta. Pełno w nim dymu i smrodu - dodał drugi.  
- Jedź do Saint-Germain.

- *Spytaj o królową!* - szepnął Belfegor.

- Co tam u mojej małżonki? Jak spędziła ubiegły wieczór?

- Na modlitwie, wasza wysokość. Przez całe popołudnie pracowała nad ornatem wspólnie z panią Klaudią, a wieczorem poszła do kaplicy modlić się o twe zdrowie.

- *Kłamią!* - syknął Belfegor. - *Cały czas aż tupiała nogą, tak bardzo chciało jej się tańczyć. Przypomnij sobie, co było, kiedyś to ostatnio dał jej klejnot. Z jaką znudzoną przyjęła go miną. A ten pocałunek? Ledwo cię cmoknęła. Jej podobają się młodzi mocarze, zwycięzcy turniejów. Pokaż, że wciąż jesteś młody, inaczej szybko przyprawi ci rogi.*

Król drgnął gwałtownie.

- Nigdy! - krzyknął.

- O czym mówisz, miłościwy królu? - zapytał zdziwiony Duprat. Medycy za jego plecami znów zaczęli mrużyć po łacinie. Tym razem o demencji.

- Słuchaj, Duprat, zamierzam wydać wielką ucztę w podzięce paryskim mieszczanom, po niej zaś...

- Wasza wysokość! - krzyknął dramatycznie lekarz. - Pomnij na swoje zdrowie!

- Umiesz je ocenić lepiej ode mnie? - zgryźliwie rzucił monarcha. - Sam wiem, czego mi trzeba. Cóż dziwnego, że chcę się rozerwać? Czyż nadal nie jestem młody? Poleżę dzień, dwa, i wystarczy. Poślijcie po królową.

- *Nigdy nie okazuj słabości!* - podszeptał mu chytrze Belfegor. - *Oni tylko czekają, byś umarł. Ucztuj, rusz w tany, baw się! Żyj, jak przystało władcy. Pomieszaj szyki swym nieprzyjaciolom. A ją, swą małżonkę, oczaruj od nowa.*

- Gdybym nie mógł żyć jak król, nic mi po takim życiu - oświadczył Ludwik XII. -

Pragnę tańczyć, biesiadować, słyszeć gwar i muzykę. Wiosną pojedę do Blois, by urządzić tam wielkie łowy. Będę znów żył jak dawniej!

Belfegor, rzadszy teraz od mgielki, przeniknął przez zamarznięte okno komnaty i wymknął się na ulicę. Był w doskonałym humorze. Szkody, które wyrządził, niebawem zaowocują. Do regencji już tylko krok.

Zamierzał początkowo wracać prosto do domu - Crouch wynajął mu rezydencję na Ile de la Cite - lecz napotkał po drodze tyle pokus! Nie sposób było im się oprzeć... Pchnął zerwanego z uwięzi konia w grupkę dzieci grających na ulicy w piłkę, błysnął w oczy staremu kupcowi promieniem odbitym w pozłocie jakiegoś świątka, tak że oślepiiony nie dostrzegł rzeźmieszka, który jednym cięciem uwolnił go od sakiewki, podstawił nogę mieszczce z koszem świeżo upranej bielizny, na koniec wśliznął się do piekarni, gdzie z czystej złośliwości sprawił, że ciasto na chleb nie wyrosło. O powrocie do domu wcale już nie myślał. O tym, która godzina, przypomniało mu dopiero bicie dzwonów. Ha, czeka już na niego ten nowy służka, bardzo obiecujący student teologii. Wydawał się tak świeżym i czystym duszyczką, pełną najświętszych aspiracji, że stary demon, wypatrzywszy chłopca na Sorbonie, gwałtownie zapragnął ją posiąść. Tylko pomalutku, powiedział sobie. Zaczął od kupienia obiadu biednemu głodomorowi, później zaproponował mu pracę: głośne czytanie książek, czasami zanieśienie jakiejś wiadomości, słowem, nic takiego, co by mogło budzić podejrzenia. Wdzięczność, którą widział w wygłodniałych oczach, sprawiała mu wielką uciechę. Gdy go już sobie podchował, myślał, nareszcie pozbędę się Croucha. Wszystkiego, co mi potrzebne, nauczy mnie bądź ten księżyk, wszak siedzi w książkach jak mól, bądź owi wytworni a chytry spiskowcy. A jak być dżentelmenem, sam już wiem.

W drzwiach powitały go dwa półdiabły. Oba przybrały teraz postać ludzką, a nosiły pyszne stroje Maurów, o co już zadbał Belfegor. W starym narożnym domu, zdobnym mnóstwem spiczastych wieżyczek, panował miły swojski zapach siarki. Belfegor po raz kolejny doszedł do wniosku, że egzotyczni lokaje przydają siedzibie sporo elegancji. Postanowił, że odtąd już zawsze posiadać będzie miejską rezydencję.

- Crouch jeszcze nie wrócił? - zapytał w diabelskim narzeczu, złożonym z dziwacznych pomruków, skowytów i chrząknięć.

- Wyszedł na całe popołudnie. Siedzi teraz w łaźni, racząc się pasztecikami, a ludzkie samice głaszczą jego ciało.

- Stary nicpoń. Nicholas już jest?

- Od pół godziny czeka w twoim gabinecie. On także zje paszteciki.

- A poprawił się chociaż trochę?

- Nie, chudy jak zawsze. Dziwne stworzenia z tych ludzi. Że też nigdy nie zmieniają kształtów. Jaki kto wszedł, taki i wychodzi - wymamrotał sługa.

Belfegor już go nie słuchał. Odziany w brokatową szatę francuskiego kroju, bramowaną kosztownym futrem, jedwabną koszulę, obcisłe aksamitne spodnie i płaski kapelusz przybrany egretą z diamentem, dostojnym krokiem przemierzył salę. Po drodze zlustrował stół, gdzie piętrzyła się góra apetycznych pasztecików z mięsem i serem w towarzystwie okazałej karafki. Połowa wina znikła: wybornie. W gabinecie w swoim własnym wygodnym fotelu przysuniętym do kominka zobaczył Nicholasa z księgą na kolanach. Jego chude szczęki miarowo coś żuły.

- Och! - wykrzyknął zmieszany chłopiec, zrywając się z miejsca. Uczynił to tak gwałtownie, że z kolan sfrunęła mu chmara okruszyn. - Przeczytałem kawałek naprzód. Jakież to ciekawy manuskrypt!

- Nie przeszkadzaj sobie, chłopcze, oddaj mi tylko mój fotel - rzucił łaskawie Belfegor. - A manuskrypt, o tak, niezwykle interesujący. Według mnie ów autor to geniusz. Wydobycie tej kopii od jednego z jego przyjaciół kosztowało mnie sporo trudu, lecz warto go było poświęcić. Niektórzy powiadają, iż księga ta zmieni świat. Szkoda, że nie umiem czytać. Lecz ty, mój drogi, otwierasz świat wiedzy przed biednym starszym panem. Jakże ci jestem wdzięczny! - Nicholas zerknął na niego z ukosa, Belfegor jednak nic nie zauważył, zajęty podziwianiem własnej elokwencji. Ta nowa i cenna umiejętność napawała go ogromnym zadowoleniem. - No, zacznijmy już czytać - zakomenderował. - Od miejsca gdzieśmy przerwali.

- Oto ono: „Jak władać miastami bądź dominiami, które przed zawojowaniem rządziły się własnym prawem”.

- Aha, czytaj dalej. Pilno mi się uczyć.

- „Ktokolwiek zostaje władcą wolnego miasta i miasta tego nie zniszczy, może się spodziewać, iż zniszczy ono jego, zawsze bowiem znajdzie się powód do rebelii w imię wolności i dawnych obyczajów, o których pamięć nie ginie ani z upływem czasu, ani też pod wpływem doznanych dobrodziejstw”...

- O, bardzo to mądre! Trzeba wiedzieć, kiedy coś zniszczyć, a kiedy zachować, i jakich pożytków można oczekiwać po każdym z tych działań. Łebski człek ten Machiavelli! Ileż się od niego uczyć! Tak, tak, to prawda, „prorok bez oręża ponosi klęskę”. A ty co o tym myślisz, Nicholasiu?

- Że Pan Nasz, Jezus Chrystus, nie nosił oręża - odrzekł młody student teologii. Belfegor wypuścił uszami trochę dymu, lecz poza tym zachował spokój.



- No i źle skończył, w bólu i smutku. Nie doczekać starości ni wnuków, czyż taki jest cel ludzkich dążeń? Bogactwo tymczasem...

- Jego naukę przyjęły całe rzesze pogan, zatem ten bezbronny prorok...

- Tak było kiedyś, a dziś jest inaczej - niecierpliwie przerwał mu Belfegor; nudziły go takie spory.

- Jeśli coś jest prawdą, pozostaje nią po wsze czasy, czyż nie?

- Męczysz mnie, młody człowieku. Czytaj dalej.

Zaledwie rozpoczęli rozdział o sprawowaniu władzy nad dominium zdobytym siłą bądź odziedziczonym, rozległo się pukanie do drzwi.

- Jaśnie panie, przybył diuk de Burbon i chce z tobą mówić - zameldował jeden z Maurów. Powiedział to w swoim narzeczu, lecz umysł Belfegora nadal pracował po francusku.

- Ha, Sternik! Wprowadź go, wprowadź! Na dzisiaj dość, Nicholasie. Mój sługa da ci zapłatę za ubiegły tydzień. Nie mówi po francusku, lecz wyciągnij do niego rękę, a zrozumie.

Pan de Burbon takim spojrzeniem obrzucił młodego chudzielca, że ten czmychnął w popłochu niczym przepędzone szczenię. W salonie jednak przystanął: na stole wciąż leżało mnóstwo pasztecików. Dwóch Maurów zatopionych w pogawędce zdawało się go nie dostrzegać. Nicholas przekręcił kaptur na pierś i zaczął ładować paszteciki, lecz nagle zastygł w pół gestu: przez otwarte drzwi gabinetu słychać było głosy... Belfegor, nawykły przenikać przez mury, nigdy nie zwracał uwagi na to, czy drzwi są zamknięte. Nicholas nastawił ucha: intrygował go ten dziwny chlebobawca. Niby Włoch, a tak niepodobny do znanych mu Włochów!

- Posunęliśmy się naprzód, wasza miłość - mówił Belfegor. - Odwiedziłem dziś Les Tournelles i mogę cię zapewnić, iż król wkrótce umrze. A jak tam z substytutem?

Nicholas poczuł, że krew zastyga mu w żyłach: na Boga, wszak to spisek na życie króla! A on... on to usłyszał! Nagły strach przykuł go do miejsca. Paszteciki z serem utraciły raptem cały smak.

- Rzecz jest na dobrej drodze. Członkowie stowarzyszenia podjęli się przekupić jednego z zarządców sierocińca, od którego nabędą noworodka. Gdyby nawet wszyscy zostali aresztowani, mój udział w sprawie nigdy nie wyjdzie na jaw.

- Upadek domu Walezjuszy wydaje się zatem pewny.

- Właśnie o tym chcę z panem mówić. Dlatego spotykamy się tutaj i bez świadków. Zakon Syjonu pragnie przywrócić na tron Prawdziwą Krew, najbliższymi zaś potomkami Merowingów są rody Lorraine i Guise.

- A więc?...

- A dlaczego oni? Czemu królem nie śmiałym być ja? Dlaczego Sternik Zakonu ma służyć innym? Ja, Karol de Burbon, nie urodziłem się po to, by służyć. Z twą pomocą, księżę Belfegorze...

- Ach, miło mi to słyszeć! Zdraycy zdradzeni! Uwielbiam podwójne oszustwa! - Szorstki głos Belfegora nabrał piskliwych tonów.

- A rozegrać to trzeba tak. Z chwilą obwołania podrzutka prawym następcą tronu chcę otrzymać tytuł współregenta, na razie wspólnie z Angielką. Obejmę dowództwo nad armią, po czym z twą pomocą sam już uchwyczę ster władzy. Fałszywego następcę spotka niebawem „tragiczny wypadek”, co pozwoli mi zgłosić roszczenia do tronu. Mam do tego prawo przez małżeństwo. Małżonka ma jest córką królewskiego rodu, tak więc syn nasz odziedziczy koronę prawem krwi i prawem siły. Co do mnie... mam do niej takie samo prawo, jakie miał Henryk Tudor, tworząc nową angielską dynastię. Gotów jestem uczynić wszystko, by na tronie Francji zasiadł ród Burbonów.

Nicholas, który na chwilę zastygł w bezruchu nad pasztecikami, zgarnął je teraz wszystkie do kaptura, po czym przesunął go sobie na plecy. Jakąkolwiek politykę uprawiał Belfegor, jego paszteciki były wyśmienite.

Uporawszy się z nimi, stanął za plecami półdiabłów, chrząknął lekko i wyciągnął rękę. Żaden nawet na niego nie spojrział. Zakaszłał delikatnie, lecz i to nie odniosło skutku. Bał się, że głośniejsze dźwięki mogą zdradzić go przed Belfegorem, pociągnął więc sługę za rękaw. Na widok czerwono pałających ślepiów ogarnęła go groza, lokaj wszakże tylko zachichotał i sięgnawszy do wielkiej sakiewki, wrzucił w jego dłoń kilka monet. Lecz ach!... Nicholasowi oczy omal nie wyszły z orbit: zamiast dziesięciu miedziaków zobaczył dziesięć złotych liwrow! Czyżby sługa ich nie odróżniał? No, ja na pewno mu tego nie powiem, pomyślał. Cóż to za dziwny dom!

Dopiero na zaśnieżonej ulicy zaczął trząść się cały z emocji. Świadomość popełnionego oszustwa sprawiła, że poczuł się... brudny. Nie ma co, w niezłe wpadłem tarapaty. Lepiej już się tam nie pokazywać. Zmienię mieszkanie, postanowił. Ale... czy to coś da? A nuż zapytają kolegów z uczelni? Boże, tyle złota! Mogę kupić sobie za nie wszystko. Książki!

Przyszedł mu na myśl pięknie iluminowany mszał, oglądany kiedyś w pewnym sklepie. Wtedy mógł jedynie o nim marzyć, teraz... teraz stać go było na kupno! I kto wie, może poprawi mu to nawet samopoczucie? Brudne pieniądze, gdy z nich zrobić szlachetny użytek, przestają być brudne, przekonywał sam siebie, biegnąc w stronę galerii na Pont-au-

Change.

- Słaby dziś ruch w interesie. Wszystko przez ten śnieg - stwierdził Hadriel. Potrząsnąwszy skrzydłami, rozsiadł się na kontuarze i sięgnął po obój. Dwa cherubinki usadowione na wewnętrznych schodkach zaczęły mu wtórować na rebecie i cymbałkach, podczas gdy trzeci, zawieszony w powietrzu jak skowronek, wybijał rytm na tamburynie. - Wcale niezła ta ludzka muzyka - westchnął Hadriel, gdy przebrzmiała już śliczna rozlewna melodia. - Mam po uszy serafińskich chórów. Stale i wciąż te same słowa! W dodatku ta wyniosłość! Fakt, że ma się trzy pary skrzydeł, to jeszcze nie powód...

- Uważaj, Hadrielu, ktoś idzie - ostrzegł go któryś z pomocników.

- Pewnie Gabriel - zaświergotał blondynek - już ty od niego usłyszysz!

- Nie, to tylko jakiś student. Aha, to ten, co tak się zachwycił mszałem. Coś mi się zdaje, że idzie go kupić, słyszę brzęk monet w kieszeni. Hej, spójrzcie na jego kaptur! Pełno w nim kradzionych pasztecików!

Instrumenty znikły w mgnieniu oka, Hadriel zaś ukrył ciasno zwinięte skrzydła pod swym szarym wysłużonym płaszczem. Czas był najwyższy: w otwartych drzwiach stanął Nicholas, wpuszczając do sklepu chmarę białych płatków.

- Chciałbym zapytać o mszał - zwrócił się do właścicielki - taki w skórzanej oprawie z warsztatu mistrza Grzegorza. Bardzo stary. Czy masz go jeszcze, madame?

- Tak - odrzekł Hadriel. - Tej księgi byle kto nie kupi. Musiała poczekać na swego nabywcę. Jesteś studentem, czy tak? I chcesz być kapłanem? Musiało dopisać ci szczęście, skoro masz tyle pieniędzy. No i pasztecików.

Nicholas spłonął rumieńcem.

- Ja... ktoś mi je dał. Zechcesz, pani, spróbować? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Och, ja tak mało jadam - odrzekł Hadriel, odmownie machając białą dłonią.

Nicholas popatrzył w słodką twarz właścicielki: wydała mu się taka życzliwa... Jakby czekała, aż wyzna jej prawdę... a on czuł, że prawda ta niecierpliwie domaga się ujścia.

- Te pieniądze dano mi przez pomyłkę - zaczął. - Uczynił to cudzoziemiec, który widać nie odróżnia miedzi od złota. W pierwszej chwili rzekłem sobie, że sam los ofiarowuje mi ten mszał, lecz teraz widzę, że byłem w błędzie. Nie jestem godzien takiego skarbu. Nadużyłem zaufania swego chlebobdawcy, biorąc tyle pieniędzy od jego sługi. I jeszcze te paszteciki! Chociaż co do nich, to sam mi powiedział, że mogę jeść do woli.

- Dziwny jakiś ten twój pan - zauważył Hadriel. - Mało kto trzyma sługi, dla których złoto i miedź to jedno.

- O, bardziej niż dziwny! A ci jego lokaje! Oczy czerwone, ubrani jak cudzoziemcy, a ich mowa... do licha, nigdy podobnej nie słyszał! Nawet nie przypomina to słów. Same jakieś chrząknięcia, pomruki...

- Uhm - szepnął Hadriel na poły do siebie - półdiabły...

- Ów pan od początku wydał mi się dość osobliwy - mówił dalej Nicholas. - W całym jego domu pachnie siarką, ale zawsze tak tam przytulnie, bo ciepło... Mnie rzadko kiedy stać na opał, więc... więc byłem wdzięczny, że mogę się ogrzać. W dodatku mój patron jest dla mnie bardzo uprzejmy, chociaż to wielki pan i nosi wspaniałe stroje. Mówi, że uważa mnie za syna, a ja... Jak mogłem go tak oszukać? Signor Belfegoro mi zaufał... - Z chudej twarzy Nicholasa biła straszliwa udręka.

Hadriel wprost przeciwnie, aż tryskał uciechą, a jego uśmiech zdawał się rozjaśniać cały sklep. Nicholas osłupiał: jak można śmiać się po takim wyznaniu?

- Signor Belfegoro? Więc jest teraz Włochem i stroi się zgodnie z najnowszą modą? A to ci dopiero! Cóż on porabia w tej swojej ciepłutkiej, acz nieco smrodliwej rezydencji?

- Mówi, że się uczy. Wynajął mnie do czytania.

- Co takiego? I coś ten niepiśmienny stary pajac każe ci czytać?

- Najpierw jakąś włoską książkę o dobrych manierach i różnych modnych nowinkach. Od tego czasu postanowił używać widelca. Teraz zaś czytam mu dzieło innego Włocha. Zwie się Machiavelli, a pisze, jak zdobywać władzę i pokonywać wrogów.

Hadriel roześmiał się głośno; zabrzmiało to jak tysiąc srebrnych dzwoneczków.

- Ha, spróbuje więc teraz to właśnie zrobić. Nigdy nie umiał ukryć swych zamiarów.

Nicholas słuchał z prawdziwą ulgą. Po raz pierwszy od czasu, kiedy to w jakiejś tawernie zaznajomił się z Belfegorem, poczuł się bezpiecznie. Jak to dobrze, że tutaj przyszedł, że zwierzył się madame Hadriel. Jest tak pewna siebie i czarująca, mimo że ułomna. Ktoś, kto pokpiwa z księcia Belfegoro, musi mieć niezłe koneksje. Może zechce mi pomóc, pomyślał z nadzieją.

- Ja... nie powiedziałem jeszcze najgorszego - wyjąkał. - Dziś w wielkiej tajemnicy ktoś odwiedził signora. To... to wielki pan, najmożniejszy ze wszystkich we Francji z wyjątkiem księcia Franciszka.

- Hmm... Pewnie chce być królem, czy tak?

Nicholas wydał westchnienie ulgi:

- Tak! Skąd pani wie? Lękam się teraz o życie. A nuż się domyśla, że ich podsłuchałem?

- Na twoim miejscu należałoby bardziej bać się o duszę. Czy ty masz pojęcie, kim jest

Belfegor?

- Belfegor?

- I ty studiujesz teologię! Czego was tam uczą?

- Ja... cóż... studiuję Ewangelię i Stary Testament, choć tylko w tłumaczeniu. I jeszcze ojców Kościoła, świętego Augustyna i...

- A Szatan i jego dzieła?

- No... Szatan to zło, a ja pragnę być dobry. Chcę zostać księdzem ku radości mojej starej matki...

- O, mój ty drogi chłopcze! Nie znając oblicza Zła, wpadłeś prosto w jego objęcia. Belfegor to książę Ciemności, a ty od tygodni przestajesz w jego towarzystwie i na dodatek czytasz mu Machiavellego.

- Mam więc wyrzucić to złoto? Tak powinienem postąpić?

- Och nie. Okpiłeś go, i dobrze, pieniądze są twoje. Rzecz w tym, co stanie się z tobą, kiedy znów się spotkacie.

Nicholas zadrżał na całym ciele.

- Pomóż mi - wykrztusił łamiącym się głosem - błagam cię, madame.

- Wystarczy „Hadriel”. Tak mam na imię. Chyba wiem, czego ci trzeba. Nie, to nie mszał. Na szczęście mam tu coś takiego. A mszał dostaniesz w prezencie, jeśli dobrze się spiszesz. Zaraz ci ową rzecz pokażę, ty zaś opowiesz mi wszystko, co wiesz o spisku i ostatnich poczynaniach Belfegara. No i musisz się z tym zapoznać... - Hadriel wy dobył spod lady zniszczoną książeczkę w oprawie z czarnej popękanej skóry. Chłopiec rozpoznał grimoire i zęby zaczęły mu dzwonić ze strachu. Madame Hadriel przyjacielsko otoczyła go ramieniem. - Przejrzyjmy sobie tę książeczkę - zachęciła go bardzo łagodnie. - Widzisz to zaklęcie? Przeznaczone jest specjalnie dla Belfegara. Pomyśl, jak wspaniałym będziesz kapłanem. Takim, co nie tylko poznał Dobro, lecz potrafił pokonać Zło.

Ciemnooki cherubinek, teraz niewidzialny, klasnął ze śmiechem w dłonie.

- Pojedynek na oszustwa! - wykrzyknął. - Pięć do trzech na Hadriela!

- Nikt się z tobą nie zakłada! - zaświergotali jego towarzysze, koziołkując w powietrzu niczym stadko figlarnych morświnów.

- Na południu cieplej jest niż tutaj - stwierdził Robert Ashton. - Ale też i jedyna to dobra strona mojej niedawnej wyprawy.

Minął nas uliczny krzykacz zachwalający zalety czyichś win. Szli z nim o lepsze handlarze starzyzną, których kramy ciągnęły się długim rzędem po naszej stronie ulicy. „Guziki, piękne guziki!”, „Podejdz tu, monsieur! Kup swej czarującej damie tę mufkę z

królika! Prawie nie noszona!”

Ashton powrócił z południa srodze zawiedziony: zamiast odpowiedzi na swoje pytania znalazł tam tylko zagadki, teraz więc od nowa zaczął układać plany. Raz próbował tego, raz owego. Szliśmy tak blisko siebie - ja uczipiona jego ramienia - pławiąc się w ciepłej wzajemnej bliskości, że trudno byłoby nie wziąć nas za kochanków.

A jednak coś było nie tak. To ta odrobina żalu, którą wciąż nosiłam w sercu. Gdybyż ją zechciał usunąć! Gdyby mi powiedział: „Niech diabli porwą Sternika razem z Wolseyem! Kocham cię tak szalenie, że nie będę czekał ani chwili dłużej. Weźmy ślub w najbliższym kościele i ogłoszmy to w obu królestwach. Co nas obchodzi ludzie? Mają przyjąć to do wiadomości, i koniec!” Wiem, że nie myślałam rozsądnie. Rozumiałam, że Robert robi to wszystko dla mego dobra, próbowałam patrzeć na rzecz z jego strony, a jednak... nadal pragnęłam, aby tak powiedział. Chciałam, by z miłości zapomniał o wszystkim innym, zwłaszcza o tym, co nakazuje nam czynić zwyczaj czy obowiązek. Bo czyż ja dla niego nie zapomniałam o przyzwoitości? Coś było nie w porządku. Czyżby skrycie uważał, że nie jestem godna miana jego żony? A może krzywdzę go tym podejrzeniem, myślałam, tym bardziej że wiem, skąd się ono bierze - Rowland Dallet, ten zimny kalkulator i oszust! On także mówił, że mnie kocha, lecz oświadczył się dopiero wówczas, gdy czarno na białym zobaczył, jakie mu wniosę wiano. Tak czy inaczej, kochałam Roberta Ashtona. Kochałam go mimo tego strachu, który tkwił w moim sercu jak sopelek lodu.

- Mówisz, że chłodno? Po tym wybornym obiedzie, na który mnie zaprosiłeś, wcale mi nie jest zimno. A i muzyka była wspaniała. Kto by pomyślał, że to dopiero uczniowie? Ja bym ich wzięła za mistrzów.

- Wiesz, Zuzanno, zaczynam już nienawidzić całej tej gonitwy za cieniem - wyznał Robert. - Grzęzniesz w błocie po drogach, jeśli w ogóle są jakieś drogi, co wynajmiesz konia, to taki, że pożałuj Boże, a każdy właściciel zajazdu chce cię obdrzeć ze skóry. Powiadam ci, jedyne, co dobre na południu, to pogoda.

- Ojej, Robercie, słyszysz, ptasi targ! Chodźmy tam!

Podążając za odgłosami ćwierkania, świergotu i trzepotania skrzydełek, zawędrowaliśmy w boczną uliczkę, gdzie stali łapacze ptaków z klatkami pełnymi kosów, skowronków i innych ptaszków, których nawet nie umiałam nazwać. „Gołębie! - wykrzykiwała jakaś starucha. - Ładniutkie, tłuste gołąbki!” „E tam, skosztujcie lepiej moich szpaków! - wołał jej konkurent. - Pyszne z nich paszteciki!” „Ptaszki śpiewające, komu, komu?”

- Te nie śpiewają na pewno - stwierdził Ashton, stając przed klatką z ziębami - a do

jedzenia za małe. Na co te ptaszki? - spytał starego handlarza.

- Na sprzedaż - odparł tamten, nie wdając się w bliższe wyjaśnienia.

- Są, i to wystarczy - wtrąciłam się do rozmowy. - Patrz, takie malusieńkie, że trzy zmieściłyby się w dłoni, a jak cudownie ubarwione. Każde pióreczko jak trzeba. Przypominają mi moje miniatury. Co one jedzą?

- Ja tam nie wiem - odrzekł sprzedawca. - Nie żywię ptaków, ino je łapię.

- Chyba lubią proso - powiedział Robert.

- A ja myślałam, że okruszki chleba. Skąd tak dobrze wiesz, co jedzą ptaszki?

- Kiedy byłem mały, sypałem zimą karmę i różne ptaki przylatywały na parapet.

Chciałem je oswoić, żeby mi jadły z ręki. Znam się na ich obyczajach.

- I co, udało ci się?

- Niestety. Mój starszy brat zaczekał, aż je dość obłaskawię, a potem wysmarował parapet lepem i wylapał biedactwa co do jednego. Matka podała nam je na obiad. Karmiąc ptaki, wyrządzasz im tylko krzywdę. Lepiej dać im spokój.

- Och - westchnęłam współczująco, nie odrywając wszakże oczu od klatki. Takie drobinki, a jaka doskonałość. Istne Boże miniaturki; ślicznie pomalował je Stwórca miękką szarością i brązem, i łagodną zielonkawą żółcią. - Robercie, spójrz na te dwa, co siedzą razem na żerdce! One się chyba lubią.

- Widzę, uhm.

Nim zdążyłam zaprotestować, już podjął targi z handlarzem o wszystkie sześć ptaszków. Z klatką.

- To nie chcecie, bym je wam zabił? - spytał stary.

- Nie, wolimy żywe.

- Skąd wiedziałeś, że chcę mieć te ptaszki?

Szliśmy wąskimi uliczkami w stronę Pont-au-Change, ja ciągle uczepiona jego ramienia, on z dużą wiklinową klatką pełną roztrzepotanych maleństw. Tak ciekawie przyglądały się światu.

- O, ja wiem wszystko - pochwalił się żartobliwie. - To na przykład, że każda rozsądna kobieta poprosiłaby mnie o grzebyk z kości słoniowej, srebrne zwierciadełko do paska albo i naszyjnik.

- A ja wolę ptaszki. Widzisz, jakie czarne mają ślepka? O, jeden do mnie mruga. Kiedy na nie patrzę, to sobie myślę, że te moje miniaturki też są coś warte.

- Pan Bóg we wszystkim jest mistrzem, lecz najlepiej tworzy małe rzeczy - uśmiechnął się Robert, patrząc na czubek mej głowy. - Cieszę się, że wolisz ptaszki.

A mnie uszczęśliwiało już samo to, że mogę tak iść z nim ulicą. Tylko... czy ja zasługuję na tak wielkie szczęście? Drżałam, że mi umknie. Lecz przecież wcale nie musi się tak stać, szeptało mi serce, nie pozwól go sobie odebrać.

- Czy na południu jest więcej ptaków niż tutaj?

- Znacznie więcej. Na zimę przylatują tam całe chmary. Wiele zatrzymuje się tylko po drodze, zmierzając do Afryki, gdzie zawsze jest ciepło, część jednak zostaje właśnie tam, gdzie byłem. Codziennie widziałem ich mnóstwo. O, gdybym mógł znaleźć tyle samo odpowiedzi na moje pytania! Niestety, tych było nie dość. Poznałem pewnego mnicha, który mi powiedział, że rozwiązanie zagadki kryje się w twierdzy Montsegur, że coś tam zamurowano. Jeśli nawet, to wątpię, aby leżało do dzisiaj. Od czasu gdy zniszczono tę twierdzę wraz z katarami, którzy, jak wiesz, byli heretykami, tylu poszukiwaczy skarbów grzebało już w tych ruinach! Powiem ci jeszcze, że cała ta Tajemnica, prawdziwa czy rzekoma, związana jest z pewnym kultem sięgającym zamierzchłych czasów. Wyznaje go grupa fanatyków, którzy postawili sobie za cel przywrócenie na tron Merowingów. Zupełnie nie pojmuję dlaczego! Wszak byli to królowie najgorsi z możliwych, zwani pogardliwie „próżniakami”, a to, że ich obalono, wyszło tylko krajowi na dobre.

Czynszowe kamienice, które mieliśmy dotąd po obu stronach, ustąpiły teraz miejsca okazalszym siedzibom bogatych mieszczan i drobnej szlachty. Domy miały ciemne rzeźbione odrzwia, których strzegły dziwne maskarony, wymyślnie ozdobne okna i mnóstwo spiczastych wieżyczek. Przed niektórymi stali prawdziwi szwajcarscy gwardziści z bronią, wszędzie zaś kręciło się mnóstwo służby.

- Tak czy inaczej - mówił dalej Ashton - nie mogę wrócić do Anglii i uraczyć Wolseya opowieścią, że ci jego konspiratorzy to banda szaleńców. Merowingowie bowiem nigdy nie odzyskają władzy bez względu na to, co mówi proroctwo zawarte w księdze, na którą powołują się ci opętanci. Niestety, taka relacja nie wywarłaby żadnego wrażenia na naszym arcybiskupie - westchnął. - A ja tak pragnęłam szybkiego sukcesu! Dla ciebie.

Znowu poczułam w sercu ten sopelek lodu. Byłaś za łatwa, odezwał mi się w uchu cichy głosik. No i widzisz? On już się tobą nudzi, już zaczyna kłamać. Ale... spojrzałam na niego i widząc, jak okrutnie jest przygnębiony, zapragnęłam pochwycić pędzel i zmyć z jego twarzy troskę i smutek. A może, naszła mnie raptem myśl, może jemu się zdaje, że nie będę go kochać, jeśli nie odniesie sukcesu? Czy o to chodzi? Czy on przypadkiem nie myśli, że bez pieniędzy i łaski moźnych przestanie mi się podobać? Nie, powiedziałam sobie, niemożliwe, aby tak sądził. Przecież widzi, że go kocham, wie, że stać mnie na największe nawet wyrzeczenia. Spojrzał na mnie i twarz mu złagodniała, lecz gdy znów zaczął mówić, na



powrót odbiło się na niej zmartwienie.

- Gdybym choć zdobył tę księgę... Niechby okazała się nawet całkiem bezużyteczna... Zawsze to ciekawostka, a nasz biskup lubi takie rzeczy. Miałbym wtedy nadzieję, że mnie wynagrodzi.

- Księga prorocत्व? Taka jak ta, dla której Crouch popełnił zbrodnię?

- Nie taka jak ta, lecz ta sama. Dziwię się Crouchowi, że tak mu na niej zależy. Dla mnie to czysta niedorzeczność, bo nie wyobrażam sobie, aby jakkolwiek książka mogła zawierać sekret zdolny przywrócić na tron Merowingów. Chyba że mając ją w ręku, zamierza szantażować członków przysiężenia. Mogą sobie być szaleńcami, lecz iść pod topór za zdradę stanu z pewnością nie mają ochoty, a tak by się stało, gdyby król poznał ich cele. Crouch zatem albo planuje szantaż, albo popadł w taki sam obłęd jak tamci. Merowingowie! Cóż za absurd! Ich dni dawno przeminęły.

Moją uwagę tymczasem przyciągnęło dwóch bardzo dziwnych lokajów w strojach Maurów. Otwierali właśnie wrota wiodące na dziedziniec jednej z najbliższych rezydencji. Z głębi dał się słyszeć stukot kopyt, ktoś przygotowywał się do wyjazdu.

- Mój Boże, wszak to dom Croucha! - szepnął przerażony Ashton. - Co mnie zaćmiło, żem wybrał tę drogę? Uciekajmy! - Z tymi słowy pociągnął mnie za róg ulicy i wtedy... kątem oka złowiłam jakiś ruch... - Żebym chociaż wiedział - mówił dalej Robert - gdzie też spotykają się ci fanatycy! Gdy już mi się zdaje, że wpadłem na trop, ślad się urywa. Jakby się pod ziemię zapadli...

- Patrz, patrz! - szepnęłam, ciągnąc go za rękaw. Ktoś przemknął nagle pod murem i zniknął w zaułku za rezydencją.

- Śledził ten dom - odszepnął Robert. - Mógł nas widzieć. Prośmy Boga, aby tak nie było.

Oboje rozpoznaliśmy człowieka w czerni.

Minęło Boże Narodzenie, nadszedł pierwszy dzień nowego roku. Gruba warstwa białego puchu skryła brud ciasnych zaułków; śnieg, drobny i gęsty, zasypywał maskary na ścianach katedry, siekł w okna wąskich kamieniczek na Pont au Change, leciał z wiatrem ku szarobrunatnej rzece, by osiaść na skutych lodem brzegach bądź zatonać w jej powolnym nurcie. Rozsądni ludzie siedzieli w domach - w tej zadymce nawet wyniosłe wieże Les Tournelles ginęły z oczu. W jednej z pałacowych komnat dogorywał król Ludwik XII.

Pośród tłumnie zebranych dworzan dał się słyszeć głośny szmer, gdy z komnaty wprowadzono królową. Twarz miała białą jak płótno.

- I co? Co jej rzekł? - rozległy się szepty.
- „Daję ci oto najpiękniejszy prezent: mą śmierć.”
- Tak powiedział? Niesłychane!
- Ha, nareszcie się jej pozbędziemy.
- Niekoniecznie. Jeśli jest brzemienna, to nie.
- A myślisz, że jest?
- Małżonka delfina podobno spodziewa się dziecka.
- Słyszeliście? Królowa jest przy nadziei!
- O, idzie następcą tronu!
- Patrzcie, ale uroczysty.
- Co też on usłyszy od króla?
- Ciekaw jestem, jaką zrobi minę, jeśli król wyzdrowieje.

Król z twarzą barwy popiołu już sprawiał wrażenie półmartwego. Po gwałtownym ataku wymiotów tak osłabł, że wszelkie nadzieje zgasły. Kapłani udzielili mu ostatniego namaszczenia, lecz medycy wciąż jeszcze nie dawali za wygraną. Teraz rozstąpili się przed księciem, by przepuścić go do wezgłowia. Przy umierającym wydawał się tak wysoki i pełen życia... Zbliżywszy się do łoża, uklęknął, by wysłuchać ostatnich słów króla. Ludwik spróbował usiąść, co widząc, dwaj dworzanie dźwignęli go pod pachy. Chory wyciągnął ramiona i objął Franciszka.

- Umieram - wyszeptał. - Pozostawiam dwie córki i żonę. Zaopiekuj się nimi.
- Nie trać nadziei, miłościwy panie. Medycy zapewniają, że kryzys minie.
- Nie wierz im, plotą od rzeczy. Wiem, że umieram - odparł król. Głos miał słaby, oddychał powoli i z trudem. Franciszek łagodnie ułożył go na poduszkach. - My Ludwik XII - wytchnął umierający - powierzamy nasz lud twojej opiece...

Franciszek, dotykając schorowanego ciała, czuł ogień zżerającej je gorączki. Ulga, że oto sięga upragnionego celu, zdumienie, że to już, zaraz, mieszały się w nim ze zgrozą na widok brzydoty, której śmierć nie oszczędza nawet królom. Siedział tak długie godziny, nasłuchując jej powolnych, nieustępliwych kroków. Kiedyś wydawało mu się, że być królem to nic trudnego, teraz opadły go wątpliwości: czy będzie umiał rządzić jak stary władca, sprawnie i skutecznie, czy uda mu się zasłużyć na równie głęboką miłość poddanych? Czas jakby zwolnił biegu, każda godzina stawała się wiecznością... O tym, że mijają, świadczyły chyba tylko dopalające się świece... O jedenastej wieczorem król wydał ostatnie tchnienie. Umarł na rękach Franciszka.

Kiedy książę zdrętwiały i wyczerpany wyszedł wreszcie z komnaty śmierci, minęła

już północ.

- Koniec, Fleurange - powiedział. - Poślij po moją matkę i siostrę.

Kiedy rankiem zabalsamowane ciało króla ubierano w uroczyste szaty, z Paryża galopem wyjechał kurier; zmierzał w stronę Romorantin. W chwili gdy ku Notre Dame ruszył orszak żałobny z trumną zmarłego monarchy, Ludwika Sabaudzka w towarzystwie córki pędziła już do Paryża.

- No i widzisz, jakie to łatwe? Odciski wyszły znakomicie. Tak właśnie wyglądają twoje ręce, gdy patrzeć na nie z odwrotnej strony. Żeby powstały modele, trzeba je już tylko wypełnić gipsem. - Sam widok tych pięknych dłoni o szerokich kościach i długich palcach wywoływał we mnie mnóstwo niepocziwych myśli. Byłam jak pijak, który im więcej wlewa w siebie wina, tym większą ma na nie ochotę. Ach, gdyby tak mieć model całego ciała! Postawiłabym go w kącie pracowni niczym posąg jakiegoś bóstwa. Kiedy Robert wyjeżdżał, strasznie za nim tęskniłam! A tak - zawsze byłby przy mnie. Mogłabym go dotykać...

Dzięki moim polewkom znowu nabrał ciała i wyglądał wprost jak ideał. Potężna klatka piersiowa z pięknie zarysowanymi mięśniami, twarda płaszczyzna brzucha przechodząca płynnie w podbrzusze i niżej... Ach, już z tego widać, jak grzeszne to były myśli. A nawiedzały mnie one dniem i nocą. Najgorsze, że nie miałam ich sobie tak za złe, jak powinnam. Staralam się wszystko to ukryć, lecz Nan... ona chyba wiedziała. Za bardzo udawała zajętą robotkami na drutach i przyglądaniem się ptaszkom, które ku mej radości chowały się bardzo dobrze.

Tego dnia gdy Robert przyszedł do pracowni, by zrobić odlewy dłoni, spostrzegłam, że twarz ma wyszorowaną do połysku, a włosy wyczesane na mokro wodą i gęsim smalcem, tak że prawie przylegały do głowy, co zaiste graniczyło z cudem. Bogiem a prawdą wołałam u niego ten zwyczajny nieład. Z drugiej strony - nie powiem, było mi przyjemnie, że choć uzyskał już wszystko, czego pragnie mężczyzna, to wciąż zadaje sobie dla mnie tyle trudu. W dodatku przyniósł ptaszkom woreczek prosa i przyglądał im się dłuższą chwilę. Zainteresowanie, z jakim śledził ich harce, kazało mi się zastanowić, czy mam rację, posądzając go niekiedy o to, że może tylko od zewnątrz wydaje się doskonały. Z ludźmi często jest tak jak z nagrobkami w kościołach: na wierzchu ładnie pobielone, a gdy podnieść płytę, to pełno tam zdechłych paskudztw. Ale Robert, pomyślałam sobie, może też i w środku jest całkiem w porządku. Rowland Dallet na przykład nigdy by nie przyniósł prosa moim ptaszkom.

- Mnie te modele wydają się trochę niesamowite - odezwał się Robert - tak bardzo

przypominają prawdziwe ręce! Zostawisz je tak, czy pomalujesz?

- Można pomalować, ale że materiał jest porowaty, trzeba by go wpięrow uszczelnić. W taki właśnie sposób robi się tanie świątki dla kościołów. Jeśli chcesz, żeby odlew wyglądał jak żywe ciało, najlepiej powlec go woskiem.

- A po co ma tak wyglądać? Figura to figura.

- Och, robi się też przecież maski pośmiertne, fałszywe relikwie, cudowne zwłoki, które nie ulegają zepsuciu...

- A można coś takiego robić? - zapytał z dziwnym uśmiechem.

- Dobry rzemieślnik potrafi zrobić wszystko. Wiesz, jakie korzyści przynosi handel relikwiami? Chyba nawet większe niż płaczące figury Matki Boskiej i Pana Jezusa.

- Coś ci powiem, Zuzanno. Jak na uczciwą niewiastę masz nader rozległą wiedzę dotyczącą owych grzesznych praktyk. Nic dziwnego, że tak cię kusi oszustwo. - Nalał wody do miski i zaczął myć ręce.

- Cóż, może i tak. Napatrzyłam się różnych rzeczy. Mój ojciec na przykład zrobił kilka chust świętej Weroniki. Użył do tego, jeśli dobrze pamiętam, ołowianej czerwieni zgaszonej odrobiną umbry. Wyszło mu to doskonale, a nie myśl, że tak łatwo uzyskać kolor starej krwi! Płótno także trzeba postarzyć.

- Okropność!

- A liczyłeś kiedy, panie Ashton, ile jest na świecie takich chust? Czy to tylko mój ojciec był ich twórcą? Jednej jedynej rzeczy nigdy nie podjął się zrobić: całunu. Dużo z tym zachodu, a żadne pieniądze. Całe ciało, rozumiesz, a to, co płacili mnisi, nie starczyłoby nawet na farby.

- A ja odbyłem pielgrzymkę do takiego całunu! Wstyd mi teraz, że się przy nim popłakał.

- Nie powinieneś się wstydzić. Godzi się płakać nad męką Pana Naszego, a całun ci przecież w tym pomógł. Cóż z tego, że był fałszywy?

- Zuzanno, ty chyba nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać!

- I dobrze, przynajmniej cię nie nudzę. A co? Może nie jesteś z tego zadowolony? Chcesz mydła? Sama je zrobiłam. Z mojej książki.

- Hmm... Trochę może ostre, ale myje. Nawet całkiem dobrze.

- A widzisz, jaka to wspaniała książka? I duszy przynosi pożytek, i ciała. Rzadko kto posiada taki skarb.

- Co do mnie, to wołałbym inną.

- Tę z owym słynnym sekretem? Tylko mi nie mów, że i ty zaczynasz wierzyć w te

bdzury.

- Nieważne, w co wierzę ja, wystarczy, że wierzą inni. Wciąż nie umiem sobie wyobrazić, jaki to może być sekret, że ludzie z jego powodu podejmują tak wielkie ryzyko. To mi przypomina o Crouchu. Chodziłem za nim ostatnio i głowę daję, że on zamyśla coś złego. I na pewno szuka twej pracowni. Ja zawsze bardzo uważam, gdy tu idę, i ty także bądź ostrożna. Nie chodź nigdy tą samą drogą.

- Nigdy tego nie robię i zawsze patrzę za siebie.

- Coś dzieje się w domu, który dzieli z tym Włochem. Przychodzi tam wielu ludzi. Przy bramie podają hasło. Na dziedzińcu przy koniach widziałem lokajów największych francuskich panów.

- Czy Crouch wie, że go śledzisz?

- Z początku myślałem, że nie, lecz ostatnio kluczy po ulicach. Czasem skręca w jakiś zaułek, a potem widzę, jak nagle z niego wyskakuje. Wie, że za nim chodzę, chce mnie zmylić.

- Tylko nie podchodź zbyt blisko. Ma przy sobie długi, ostry nóż.

- Ach, wszystko przez ten traktat! I tak nic z tego nie będzie.

- Dlaczego? Arcybiskup to chytry człowiek. Teraz bada, jak silni są ci spiskowcy, żeby wiedzieć, po czyjej stronie.

- Zuzanno! To niesłychane, co ty wygadujesz! Miałby odstąpić od swych zobowiązań, podeptać święte obietnice, opuścić naszą księżniczkę?

- Przepraszam, tak tylko mi się pomyślało... Nie chciałam powiedzieć nic złego.

- Chwała Bogu. Zaczynam się jednak obawiać, że ponosi cię wyobraźnia, no i ta twoja przyrodzona skłonność do oszustwa. Pohamuj się, moja droga, bo od tego już tylko krok do czystych zmyśleń, lęku przed urojoną konspiracją i innych dziwactw. A czym się to kończy? Szpitalem dla wariatów. Czy nie dość już na świecie takich ludzi?

Podobno kiedyś przed laty królowej Francji zdarzyło się urodzić pogrobowca i od tej pory Francuzi wciąż się tego boją. Zaraz więc po śmierci króla zabrano naszą księżniczkę na drugi brzeg Sekwany, do starego pałacu zwanego Hotel de Cluny, gdzie zamknięto ją w jednej z wąskich, bezładnie pobudowanych komnat, by upewnić się, czy aby nie urodzi dziecka. Kazano jej leżeć w łóżku przy szczelnie zasłoniętych oknach - wiem, jak to było, bo wysłano mnie tam w odwiedziny. Królowa ogromnie ucieszyła się na mój widok, gdyż nie dopuszczano do niej Angielek. Wszechwładna obecnie Ludwika Sabaudzka wyznaczyła jej na strażniczkę równie niemłą, co czujną hrabinę de Nevers. Ta podejrzliwa matrona dzień i noc nie spuszczała jej z oka. Na znak żałoby wdowa po królu zmuszona była nosić białą szatę i zwano ją teraz „Białą Królową”, zupełnie jakby nie miała chrześcijańskiego imienia. Takie obyczaje mają ci Francuzi.

Prawdziwy ból po śmierci króla cierpiała jedna tylko osoba: biedna Klaudia. Co chwila spoglądała na mój obrazek przedstawiający jej rodziców obok Matki Boskiej i aniołów - i płakała, płakała bez końca. Wymyśliła wreszcie coś takiego, co chyba jej tylko mogło przyjść do głowy, i kazała mnie zaraz sprowadzić.

- Byłam samolubna w swym smutku - wyznała - lecz teraz rozumiem, że mą pierwszą świętą powinnością jest niesienie pociechy innym.

Odkąd było wiadomo, że zostanie królową, pod jej drzwiami zbierały się tłumy wszelkiego rodzaju petentów i pochlebców; musiałam dosłownie się przez nich przedzierać, w czym pomagał mi przysłany lokaj. Klaudia przyjęła mnie w swojej komnacie w obecności dwóch tylko dam. Na stojącym w kącie *priedieu* zobaczyłam swój obrazek, zaś ona sama, biedactwo... ogarnęło mnie współczucie: jej słabe, zezujące oczy były całe czerwone od płaczu. Doprawdy, tylko ona jedna nie knuła obecnie intryg; wszyscy inni nie tracili czasu - dwoili się wprost i troili, usiłując już z góry zapewnić sobie jak największe wpływy na dworze przyszedłego monarchy.

- Jest ktoś jeszcze smutniejszy ode mnie - mówiła dalej Klaudia.

- Słyszę oto, że Biała Królowa prosiła o swego lekarza, i że jej go odmówiono, bo to Anglik. A okna w komnacie wciąż są zasłonięte. Biedaczka. Wiem, że choruje z żalu, a nikt nic nie robi, by ją trochę bodaj pocieszyć. Ja przynajmniej mam swój obrazek, lecz... właśnie zrozumiałam, że nie wolno mi być tak samolubną i powinnam się dla niej poświęcić. Weź go i zanieś królowej, niech jej będzie pomocą w modlitwie, a mnie namalujesz drugi taki sam.

- Wasza wysokość jest doprawdy ogromnie wspaniałomyślna, ale czy mnie tam

wpuszczą?

- Poprosiłam księżną Małgorzatę, aby pomówiła o tym z matką, która udziela zgody na wizyty u Białej Królowej, księżna oznajmiła mi jednak, że zna cię doskonale, i sama wydała takie zezwolenie. „A każ jej - powiedziała - wziąć z sobą więcej obrazków, najlepiej tych malutkich portrecików, bo królowa strasznie się nudzi”. Nudzi się, mój Ty Boże! Biedna ta madame d’Alencon. Tak mało wie o tym, czym jest ból utraty.

Niebawem po tej rozmowie Klaudia poleciła swoim ludziom zaprowadzić mnie do Hotel de Cluny. Aby trafić do sypialni królowej, trzeba było przejść przez cały labirynt staroświeckich, rzadko używanych komnat. Rzadko wykorzystywana jest zwłaszcza ta jedna, służy bowiem wyłącznie za więzienie dla Białych Królowych. Przy drzwiach strażnicy pani Ludwika przeszukali mój kuferek. Musieli sprawdzić, czy nie niosę przypadkiem kontraktu ślubnego z perskim królem, żywego noworodka bądź innych narzędzi spisku przeciwko przyszlęmu królowi lub daj Boże, jego matce.

Na wszystkich oknach komnaty wisiały grube, szczelnie zaciągnięte kotary. Obicia ścienne wydały mi się bardzo piękne - na ile mogłam przyjrzeć się im w tym mroku. Kilka zaledwie świec pełgało w przytwierdzonych do ścian lichtarzach i jedna na nocnym stoliku, gdzie spostrzegłam pióro, atrament i nie dokończony list. Królowa Maria siedziała na łóżku, ubrana w białą suknię zdobną białym haftem. Złożywszy niski ukłon, wyjaśniłam, że przysłała mnie królowa Klaudia, która pragnie pocieszyć ją w smutku. Powiedziałam to głównie ze względu na usadowioną w kącie starą damę.

- Och, nią się nie przejmuj. To nie hrabina de Nevers, tylko jej dama do towarzystwa, a zresztą śpi - żywo odrzekła królowa. Odniosłam wrażenie, że z prawdziwą ulgą mówi po angielsku. - Nie mam pojęcia, co natchnęło Klaudię, że cię przysłała, ani jakim cudem udało ci się tu dostać, ale tak się cieszę, słysząc znów angielską mowę! Już myślałam, że bez niej zwariuję! Wiesz, odprawili wszystkie moje damy! Kiedy ząb zaczął tak mi dolegać, że krzyczałam z bólu, nie zgodzili się wpuścić mojego lekarza. Nawet jego, pojmujesz? Siedzę tu w ciemnościach i nic mi nie wolno! W drodze łaski mogę co najwyżej pisać listy. Najgorsze, że na krok nie pozwalają mi się stąd ruszyć, mówię ci, trzymają mnie jak w klatce! Chcę do domu, do Anglii! Na ten okrzyk stara dama chrapnęła i gwałtownie otworzyła oczy.

- Wasza wysokość - powiedziałam po francusku - królowa Klaudia wiedząc, jak wielka trawi cię żalność, przysłała ci, pani, swój skarb: najdroższe jej sercu portrety rodziców, którzy przebywają teraz wśród aniołów. Niech wizerunek zmarłego małżonka ukoi, królowo, twój smutek.

Stara dama kiwnęła się sennie i zaczęła znów głośno chrapać.

- Głupiutka ta Klaudia - westchnęła królowa - lecz dobre i to. Pokaż mi więc ten obrazek. Przyniosłaś może coś jeszcze? Inne portrety? Może jakieś ciekawe opowieści? Zostawili mi tylko modlitewnik. Tracę już zmysły z tej nudy. Potrzebuję lekarza, moich dam, światła! Niechże chociaż odsłonią okna! Ach, to jest ten obrazek Klaudii. Hm, już go widziałam. Co do króla... bardzo wiernie oddałaś podobieństwo, ale Anna Bretońska... Skąd wiesz, że tak wyglądała?

- Pani Klaudia pokazała mi inny jej portret, z tym że później kazała mi ją upiększyć.

- Uhm, to do niej podobne. Nie mogę zatrzymać tego obrazka. Może gdybyś powtórzyła Klaudii, iż wiedząc, ile dla niej znaczy, pożyczam go sobie tylko, do chwili aż zrobisz mi drugi, pozwoliliby ci znów tu przyjść? Myślisz, że to możliwe? Muszę od czasu do czasu pomówić z kimś po angielsku, inaczej zacznę chyba wyc.

- Myślę, wasza wysokość, że pewnym ludziom sprawiłabyś tym dużą satysfakcję.

- A wiesz, ty masz rację. Nie brak ci pomysłu. Powiedz zatem Klaudii, że choć nie życzę sobie, by przeszkadzano mi oplakiwać mego ukochanego męża, ciebie to nie dotyczy, jesteś bowiem cicha i dyskretna, a portret... ach, portret, przypominając mi drogie rysy, będzie kołił ból mego serca.

- Widzę, że i wasza wysokość wie, jak postępować...

- Ach mój Boże, uczę się tego. Przysłali mi tu jakiegoś okropnego medyka, Francuza oczywiście, i dwie akuszerki, żeby mogli pooglądać mnie sobie i wymacać. I ani jednej z mych angielskich dam! Mówię ci, istny czyściec za życia! A co pocznę, jeśli na przykład Franciszek wyśle mnie do Blois i poty będzie tam więził, aż uzna, że wystarczająco zarobi na moim drugim zamążpójściu? Doszły mnie słuchy, że kłóci się z moim bratem o to, który z nich ma prawo wydać mnie za mąż. Boże, jeden lub drugi gotów wysłać mnie teraz gdzieś na koniec świata! Czyżby Henryk już całkiem zapomniał o swej obietnicy, że jeśli owdowieję, drugiego męża będę mogła wybrać sobie sama? A teraz... teraz pewnie nigdy nie wrócę do Anglii! - Po tych słowach wybuchnęła płaczem. Okazała mi tym wielkie zaufanie, zważywszy mą niską kondycję, była jednak w strasznej desperacji, a w takich chwilach nawet królowa musi czasem wypłakać się przed tym, kogo ma akurat pod ręką.

- Więc odmów, wasza wysokość. Kobieta ma prawo nie zgodzić się na małżeństwo.

- To samo napisał mi właśnie arcybiskup Jorku, milord Wolsey. Tylko on pozostał moim przyjacielem. Wszyscy mnie opuścili, nie wyłączając rodzzonego brata!

- Arcybiskup to mądry człowiek. Jego rady warto brać pod uwagę.

- Prawda, ty to wiesz, byłaś wszak w jego służbie. Lecz jeśli będą mnie trzymać w więzieniu samą jak palec, bez jednej życzliwej duszy? Czy w końcu nie będę musiała się



zgodzić?

- Nie ośmielę się tak źle cię traktować, pani. Zbyt wielki byłby to skandal.

- Ale ja powinnam koniecznie... ja muszę wrócić do Anglii! Onegdaj był tu Franciszek i... tak nalegał... ach, złożył mi okropną propozycję. Cóż za hańba! Żebym ja, królowa, musiała słuchać takich rzeczy! Powiedziałam mu na odczepnego, że potajemnie zaręczyłam się już z kimś innym. Wyobrażasz sobie? Nie mogłam jednak inaczej, znasz jego próżność. Każdy z tych Francuzów to istna góra ambicji. O, wolałabym raczej umrzeć, niż ulec jego niecnym chuciom! Napisałam do brata, by mnie przed nim ratował, no bo tylko to mogę zrobić. A tu nagle przychodzi jakaś stara sługa ze świecami i szepce, że coś ma się zdarzyć, a ja powinnam to zaakceptować. Są ludzie, powiada, co dbają o moje dobro. Za dwa dni ja, królowa Maria, będę rządzić Francją! Na Boga, toż to konspiracja! Albo i coś więcej! Kto wie, czym się to może skończyć? A jeżeli ja nie chcę rządzić Francją? Bo nie chcę! Wprost nie wyobrażam sobie gorszej rzeczy! - Rozpląkała się znów tak strasznie, że złękłam się o jej rozum. Za dużo tego wszystkiego jak na siły płoczej osiemnastoletniej młódki, co wciąż woli tańczyć, niż rządzić królestwem. Jej płacz na dobre rozbudził starą damę, która zaraz podeszła zobaczyć, co też się stało. Szczęściem na łóżku leżał portret króla, zaczęłam zatem tłumaczyć, że jego widok na nowo pogрузzył królową w żal. Przyjęła to dosyć sceptycznie. Co działo się dalej, nie wiem, bo służąca przyniosła posiłek i musiałam odejść.

- I cóż, jakże się miewa Biała Królowa? - zapytała księżna Małgorzata, która wcześniej już sobie zastrzegła, że mam złożyć jej sprawozdanie z mej wizyty w Hotel de Cluny. Wiedząc, że każde me słowo dotrze prosto do uszu Franciszka i jego wszechpotężnej matki, nie zamierzałam mówić jej wszystkiego.

- Strasznie jest znudzona, bo i jak inaczej, skoro siedzi tam sama w ciemności? Wciąż tylko płacze i pisze listy.

- Czy zwierzyła ci się, że jest przy nadziei?

- Och nie, bynajmniej. Nie jestem wszak osobą, której królowa chciałaby się zwierzać z takich spraw.

- No, nie wiadomo. Jesteś kobietą, mówisz po angielsku... - Nieglupia ta Małgorzata. Najpierw posłała medyków, potem mnie. Miałam pewnie potwierdzić ich orzeczenie. - Pytam o to - dodała - ponieważ niektórzy mówią, że Biała Królowa wypycha się czymś pod suknią... rozumiesz... chce podobno wyglądać na brzemienną.

- Nic takiego nie spostrzegłam. Według mnie wcale nie wygląda na tęższą. Może policzki ma nieco pełniejsze, ale cóż w tym dziwnego, skoro po całych dniach leży tylko w

łóżku i je.

- Tak przypuszczałam. Niektórzy ludzie są zbyt podejrzliwi.

Aha, niektórzy ludzie. Miała pewnie na myśli matkę. No, ta bez wątpienia lepiej się zna na spiskach aniżeli Biała Królowa. Nasunęło mi to pewien pomysł.

- Hmm... A gdyby istniał jakiś spisek, z którym królowa nie chce mieć nic wspólnego, bo rzecz cała napawa ją tylko pogardą, lecz... nie ma do kogo zwrócić się o pomoc?

- Cóż, w takim razie skorzystałaby pewnie z pośrednictwa pierwszej osoby, której by mogła zaufać, licząc przy tym, że ktoś załatwi sprawę bez rozgłosu, nie narażając na szwank jej reputacji.

- Gdybyś, pani, obiecała pomóc... ocalić dobre imię jej wysokości, to... to powiedziałabym, że zanosi się na coś za dwa dni. Wieczorem.

- A wiesz, że królowa chce cię znowu widzieć?

- Doprawdy?

- Tak, dostaliśmy już od niej list. Prosi o to pod pewnym pretekstem, ale czemu nie? Nie widzę powodu, byś jej nie mogła odwiedzić. Powiedzmy, za dwa dni, tak przed wieczorem? Oddasz przysługę i jej, i mnie.

Serce zaczęło mi walić i chyba mocno pobladłam.

- Ja... nie znam się na takich sprawach. Wolałabym poprzestać na malowaniu.

- Och, nie będziesz tam sama! Widzisz, doszły nas już słuchy, że coś się szykuje, nie wiadomo było tylko kiedy. Teraz, gdy już to wiemy, chcę, żebyś tam była. Opowiesz mi później wszystko, co kto mówił. - Otworzyłam usta, lecz nie wyszło z nich żadne słowo. - No, wszak to nic strasznego - powiedziała księżna Małgorzata. - Relację mógłby mi zdać kto inny, lecz nikt tak zabawnie jak ty nie potrafi naśladować głosów. Obiecuję ci, że tamci ludzie nie dostaną się do królowej. Cała nasza rodzina powinna zachować dobre imię.

- Madame, jestem ci niewymownie wdzięczna za twój łaskawy patronat. Masz we mnie wierną i oddaną sługę we wszystkim, co mi rozkażesz.

Odpowiedziała mi na to swoim wszystkowiedzącym uśmiechem.

Pałac de Cluny, samotną przystań dostatku w morzu okolicznej nędzy, chronią warowne mury, które kryją w sobie własne tajemnice. To, iż za fundamenty posłużyła im stara rzymska budowla, sprawia, że owe mury przypominają wielki plaster miodu - tyle w nich sekretnych przejść prowadzących w mroki pałacowych piwnic. Nie każdą z tych ścieżek można się tam dostać; dawne akwedukty zarosły mułem, tu i ówdzie runęły sklepienia, tworząc usypiska z sędziwych kamieni i cegieł. Jednakże Zakon Syjonu zna wszystkie sekrety

lochów i dba o nie z równą pieczołowitością, jak o swoją wielką Tajemnicę. Tajne drogi pod tą częścią miasta oczyszczono z rumowisk, w ścianach starożytnych korytarzy co kilkanaście metrów leżą we wnękach świece, a przy ujściu tunelu wiodącego do drzwi piwnicy, której wylot znajduje się w zaułku pomiędzy dwoma domami, pozostawiono starą lampę oliwną. Zaopatrzona jest w duży zbiornik, a o to, by stale płonął w niej ogień, troszczy się człowiek w czarnym płaszczu. Nie są to bynajmniej jedyne sekretne przejścia pod ulicami Paryża. Podobne tunele prowadzą od Hotel Saint-Pol do Bastylji i Vincennes; kolejni królowie Francji dbali o konserwację swych wejść do podziemi nie mniej starannie niż Zakon.

Tego wieczoru w lochach użytkowanych przez bractwo trwały ostatnie przygotowania do akcji, która miała położyć kres panowaniu dynastii Walezjuszy. Wszyscy jej uczestnicy byli już na stanowiskach; w podziemnej komnacie płonęły pochodnie, na wielkim stole migotały latarnie przeznaczone dla spiskowców udających się do piwnic Hotel de Cluny. Czekala tam już na nich tęga kobieta; wsparta na trzonku ogromnej szkanдели do ogrzewania łoża, raz po raz nerwowo zerkała na drzwi wykutego w ścianie kredensu.

W zasypanym śniegiem zaułku między dwoma nędznymi domkami dygotało z zimna dwóch mężczyzn. Zapadał wczesny zimowy zmierzch.

- Gdzie się ona podziewa? - sarknął jeden z oczekujących, przytupując nogami dla rozgrzewki. - Madame de Nevers wyjdzie za kwadrans, a mistrz...

- Sza! Lis.

- A Lis z Jajkiem powinien tu być lada chwila.

- Pst, to on!

Jednakże osoba, która właśnie skręciła w zaułek, w niczym nie przypominała przewodzącego im mistrza Belliera. Była to biedna kulawa kobieta, okutana wysłużonym płaszczem. Przyciskając do piersi ciasno spowity tobolek, z widocznym trudem brnęła przez zaspę. Nędzny kaptur opuszczony miała aż po oczy, twarz tak bladą, jakby ją trawiła jakaś śmiertelna choroba. Zatrzymała się przed spiskowcami i szeptem podała hasło:

- Prawdziwa Krew.

- Na zawsze - odrzekli mężczyźni.

- Przyszyła mnie Lis. Oto Jajko. - Dziecko w jej ramionach było bardzo ciche.

- Czy aby żyje? - zaniepokoił się jeden z mężczyzn. Uniósłszy derkę, zobaczył dwoje bystrych brązowych oczu. Lepszy obserwator uznałby je pewnie za zbyt przenikliwe jak na noworodka. - Ach, śliczne dzieciątko i widać, że zdrowe. Czy to chłopiec?

- O tak - potwierdziła kobieta słabym szeptem. - Sama wydałam go na świat, co też wkrótce przypłacę życiem. - Teraz jej nienaturalna bladość stała się zrozumiała.

- Bóg czuwa nad tobą, niewiasto. Twego syna czeka lepsza przyszłość, niżli ty śmiałybyś marzyć. Możesz zamknąć oczy spokojna, że dziecku nie stanie się krzywda. Będzie żyło jak król.

- Tysięczne dzięki, szlachetni panowie. - Kobieta otarła łzę z oczu. - Żegnaj, mój synu, bądź dobrym dzieciątkiem i nie płacz.

Odwróciła się po tych słowach i straszliwie kulejąc, odeszła w stronę ulicy. Gdyby ktoś widział jej twarz, dostrzegłby nagły rumieniec i to, że z trudem hamuje śmiech. Patrzących za nią spiskowców ogarnęło wszakże współczucie: biedactwo! Na domiar złego garbata!

Unosząc cenne zawiniątko, zniknęli w otworze piwnicznym pomiędzy dwoma domami. Na dole tuż za zakrętem widać było słaby płomyk lampy, obok której leżały świece. W tym miejscu piwnica stykała się z dawnym kanałem, o czym świadczyła kwadratowa pozostałość starożytnego bruku. Tunel gwałtownie opadał w głąb, jakby sięgał do jądra ziemi. Zgięci we dwoje spiskowcy z milczącym wciąż niemowlęciem mozolnie stawiali kroki po śliskim, nawilgłym gruncie. Tak doszli do wyciętego w ścianie otworu; po drugiej jego stronie znajdowała się fontanna w kształcie lwa, a za nią obszerna komnata. Schodziło się do niej po kilku stopniach zmyślnie ukrytych za fontanną.

- Prawdziwa Krew.

- Na zawsze - zabrzmiał odzew. Czyjeś dłonie w grubych rękawicach sięgnęły po tobolek.

- Śpi - szepnął człowiek, który przejął dziecko. Ostrożnie, by nie budzić malca, przyłożył ucho do zawiniątka. - Oddycha równo - stwierdził.

- Zdrowy chłopak, kupiony dziś rano. Mówią, że całkiem podobny do zmarłego króla - odpowiedziały mu głosy z ciemności. Szmer tych przyciszonych rozmów, odbijający się echem od ścian wielkiej sali, mieszał się z melancholijnym pluskiem kropel. Kapały miarowo z lwiej paszczy, by utonąć w pełnym zbiorniku. Jego ciemne wody lśniły żywym blaskiem pochodni.

Niemowlę tymczasem przeszło w ręce dwóch najniższych wzrostem spiskowców. Obaj bez słowa wzięli ze stołu latarnie i skierowali się w obramowane marmurem odrzwia, uwieńczone wizerunkiem orla. Korytarz za drzwiami skręcał i wkrótce bardzo się ścieśnił. Zgięci w pół, mężczyźni brnęli teraz wąską gardzielą dawnej arkady, zasypaną szczątkami starożytnych cegieł, w miejscach gdzie łukowate sklepienie zapadło się i runęło. Na pewnym odcinku tunel biegł tak blisko powierzchni gruntu, że owionęło ich zimne powietrze, a stara mieszkanka pobliskiego domu, widząc błyskający spod ziemi ogień - nieświadoma, iż

korzenie drzew owocowych przebiły sufit tunelu, otwierając w nim wąską szczelinę - przelękała się, że ogród nawiedzają duchy. Za następnym zakrętem zrobiło się znów szerzej i wilgotniej, zapachniało zbutwiałą ziemią. Tunel kończył się tutaj solidnymi drzwiami z grubego drewna. Idący przodem mężczyzna zaskrobał w nie lekko paznokciem.

- Prawdziwa Krew - szepnął.

- Na zawsze - odpowiedział kobiecy głos. Czyjaś ręka otworzyła drzwi. Spiskowcy znaleźli się w sklepionym lochu na wino. Jakiś człowiek zniżył pochodnię nad tłumoczką.

- Coś ciche to dziecko. Żywe?

- Nawet bardzo. Śpi.

Spod derki dał się słyszeć przedziwny odgłos: brzmiało to prawie jak tłumiony chichot. Noworodki jednakże nie śmieją się głośno.

- Aha, teraz słyszę. Dajcie no tu tę szkandełę, zobaczymy, czy dzieciak się zmieści.

Z mroku wyłoniła się tęga niewiasta z wielkim ogrzewadłem w kształcie głębokiego rondla z żelazną pokrywą i długim drewnianym trzonkiem. Było to na tyle duże naczynie, że mogło pomieścić dziecko, i zarazem jedyne, którego nie kontrolowano przed drzwiami Białej Królowej. Co wieczór niesiono w nim pełno rozżarzonych węgli, by ogrzać zimną pościel, i żaden strażnik nie kwapił się go dotykać: kto miałby ochotę parzyć sobie ręce? W tym to rondlu spiskowcy umieścili teraz podrzutka i starannie zamknęli pokrywę. Oto jest - dziecko, które zmieni losy, ich własne i całej Francji. I pomyśleć, że tyle zależy od takiej kruszynki! Francja otrzyma nowego delfina i nową władczynię - regentkę, przez co księżę Franciszek odsunięty zostanie od tronu. Faktyczne rządy obejmie Zakon i jego przywódca, którzy przy pierwszej nadarzającej się sposobności zlikwidują ostatniego z rodu Walezjuszy.

Przejęci doniosłością chwili, dwaj mężczyźni odprowadzali wzrokiem tańczące po ścianach światło pochodni, dopóki nie znikło im z oczu u szczytu schodów prowadzących na użytkowane przez służbę zaplecze Hotel de Cluny. Wówczas dopiero cicho niczym duchy wśliznęli się znów do podziemi, by powiadomić Sternika o przebiegu akcji.

Był już zmierzch, kiedy wraz z towarzyszącą mi eskortą przybyłam do pałacu. Przy wejściu czekał lokaj, który wziął mój kuferek i poprowadził nas przez znany mi już labirynt staroświeckich klitek do komnaty Białej Królowej. Na opasanych murach dziedzińca spostrzegłam kilku znużonych strażników, nie spodziewali się widać żadnych szczególnych wydarzeń. Madame de Nevers, ukończywszy swoją dzienną służbę, właśnie niedawno wyszła, pojawiła się natomiast służąca, by pościelić i ogrzać łóżko. Strażnicy przed drzwiami kazali mi się zatrzymać.

- Póki nie sprawdzimy, co masz w tym kuferku.

Posłusznie postawiłam go na podłodze.

- I ty też zaczekaj - przykazał dowódca krzepkiej kobiecie, dźwigającej wielkie ogrzewadło.

- Toć mam tu tylko gorące węgle. Poparzycie sobie palce.

- Jak trzeba, to trzeba, zaryzykujemy.

Zza pleców dobiegło mnie czyjeś parsknięcie. Zdziwiłam się trochę, widząc, że odgłos ów wydał dostojny sieur de Perigord, oddany zausznik madame Ludwiki. Służąca w tym momencie zaczęła zdradzać niepokój.

- Będziecie tego żałować - bąknęła nerwowo, lecz strażnik przyłożył już rękę do rondla.

- Zimny jak lód - stwierdził, unosząc pokrywę.

Dziś jeszcze trudno mi opisać to wszystko, co wydarzyło się później, takie to było dziwne. Nagle rozległ się trzepot, jakby z garnka wyfrunął żywy gołąb czy kaczka, dziecięcy głosik krzyknął: „Niespodzianka!” i coś zaczęło ćwierkać jak wróbelek, tyle że daleko bardziej melodyjnie. Spłoszeni strażnicy odskoczyli od rondla, który z brzękiem upadł na podłogę, a jego ciężka pokrywa potoczyła się w jakiś kąt. Biedna służąca zemdląła.

- Ach, śliczne ze mnie dzieciątko! - zaśpiewał głosik gdzieś spod sufitu. Wszyscy zadarli głowy, a tam... tam fruwało maleńkie skrzydlate stworzonko z okoloną ciemnymi loczkami buzią, z której śmiała się para brązowych roziskrzonych oczu. Istotka ta szalała pod sufitem jak olbrzymi zabłąkany motyl czy wielka jaskółka, co niechcący wpadła do komina. Hadriel, olśniło mnie nagle. To jego robota. Tylko w jaki sposób dowiedział się o tej intrydze? Musiała to być chyba kiepsko strzeżona konspiracja.

Jeden z żołnierzy przeżegnał się znakiem krzyża, sieur de Perigord, taki zawsze niesłychanie godny, zawołał: „Stój! Kim lub czym jesteś? Wytłumacz się!”, ktoś za mną zaczął mamrotać pacierze. W drzwiach komnaty królowej ukazała się głowa nocnej strażniczki.

- O Boże, spisek! - krzyknęła owa stara dama. - A cóż to takiego, na litość boską?

Widoczna za jej plecami rudowłosa postać w zmiętej białej szacie próbowała zerknąć na zewnątrz.

- Królowa, królowa! - rozległ się okrzyk.

- Wracaj, wasza wysokość, do łóżka! Nie ma się czym ekscytować!

Stara dama zgromiła ciekawską piorunującym spojrzeniem.

- Czy ktoś kazał wam przynieść tutaj to... coś? - zapytała, spoglądając na małą istotkę

radośnie tańczącą w powietrzu. Zauważyłam, że zemdlona kobieta zdążyła tymczasem ożyć i korzystając z powstałego zamieszania, chyłkiem umknęła.

- A któż by kazał przynosić dziką kaczkę w rondlu na węgle? Nie sądzę, bym potrafiła coś takiego wymyślić - usłyszałam pogardliwy głos królowej; zaraz potem zatrzaśnięto drzwi.

- Ha, ha! - śmiał się srebrzysty głosik - niezła sztuczka, co? A powiedzcie temu Sternikowi, że jak następnym razem zechce kupić dziecko, niech się lepiej przyjrzy temu, co kupuje! A królem nie będzie nigdy! Tak powiedział Hadriel! - Coś błysnęło tęczowo i małeńka zjawa zniknęła; wyfrunęła, zda się, przez sufit. Podekscytowani ludzie zaczęli wykrzykiwać jeden przez drugiego:

- Co to było?

- Czyżby to stworzenie umiało mówić?

- Ach nie, tak jakby tylko ćwierkało!

- Musiał to być ptak. Zwyczajny ptak, tylko duży.

Ach, ten Hadriel! Jest więc w Paryżu i nie przyszedł się nawet przywitać. Ładnie to tak, zwłaszcza że tyle mam pracy i tak mi trzeba natchnienia? Nieodpowiedzialny z niego anioł, po prostu nieodpowiedzialny. Artyści czekają, a ten błaznuje, figle ludziom płata. Pewnie znów się upił i z tego to wszystko. Ha, ale co mam powiedzieć diuszecie? Wszak jeśli opowiem, jak było, uzna, że straciłam rozum.

Innym też najwidoczniej nasuwały się takie myśli, gdyż na gwałt próbowali sklecić jakąś mniej niedorzeczną opowieść.

- Ktoś próbował przemycić dziecko w szkandeli.

- Aha, noworodka.

- Przyłapano kobietę, lecz uciekła, nim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać.

- Bardzo szybko uciekła. Tak szybko, że musiał to być chłopak w niewieścim przebraniu.

- Zabrała ze sobą dziecko.

- Chwyliła je i... tyleśmy ją widzieli!

- A przedtem w miejsce dziecka wsadziła ptaka.

- Żywego ptaka, który wypadł przez komin.

- Tu nie ma żadnego komina.

- Jest w antykamerze i wpadł tamtędy, a tu wleciał za tym chłopakiem z ogrzewadłem.

- ...tak więc pojmujesz, madame, zamiast dziecka, które konspiratorzy chcieli tam pewnie podłożyć, w rondlu było jakieś skrzydlate stworzenie. Kiedy wyfrunęło, ktoś

krzyknął: „Niezła sztuczka, co? Jak Sternik następnym razem zechce kupić dziecko, niech się lepiej przyjrzy temu, co kupuje!” Dlatego wszyscy teraz myślą, że wcześniej musiało tam być dziecko.

Aby złożyć to sprawozdanie, udałam się do Les Tournelles, dokąd po śmierci króla przeprowadził się następca tronu wraz ze swą matką i siostrą. Diuszesa wysłuchała mej opowieści, siedząc w wyściełanym krześle przy ogniu; uśmiechała się przy tym i kiwała głową. Było też kilka jej dam, tych samych, z którymi tak lubiła dyskutować o cnocie, doskonałej miłości i temu podobnych rzeczach.

- Na szczęście cała sprawa dobrze się kończy - skostatowała. - Dzięki temu, że ktoś ma duże poczucie humoru! Ten ktoś zna spiskowców i stoi po naszej stronie. A działa bardzo dyskretnie.

- Gdyby mnie pytano o zdanie, to bym powiedziała, że ów spisek uknuli mężczyźni.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo tylko mężczyzna może tak kiepsko wyliczyć moment narodzin dziecka. Żadna kobieta nie próbowałaby podrzucić noworodka osobie, która wyszła za mąż ledwie przed czterema miesiącami.

Damy wybuchnęły takim śmiechem, że ich bramowane futrem rękawy zwilgotniały od częstego wycierania oczu.

- To samo powiedziałam matce - oznajmiła księżna Małgorzata. - Strasznie się rozgniewała, gdy dotarła do niej wieść o spisku. „Każę ich wszystkich powiesić!”, krzyknęła. „Daj spokój - ja jej na to - niech sobie przemycają, co im się podoba! Która kobieta przy zdrowych zmysłach przyzna się do dziecka świadczącego o tym, że w dniu swego ślubu nie była niewinna?”

- Teraz, wasza miłość, nic już nie zakłóci koronacji twego brata - przymilnie zauważyła któraś z dam.

- Przynajmniej już nic w tym rodzaju - odrzekła diuszesa. - Dziwię się doprawdy temu Sternikowi! Kimże on jest, na litość boską, że chciał przeprowadzić tak głupią intrygę?

Tymczasem na poddaszu pewnej kamienicy nieopodal Hotel de Cluny trwały nader dziwne przygotowania. Na podłodze widniał magiczny krąg, wyrysowany czubkiem kuchennego noża. Otaczały go słowa, łacińskie i hebrajskie, starannie przepisane z grimoire'u. Lokator tej okropnie zimnej mansardy, wiecznie głodny i chudy student teologii, stał pośrodku kręgu, trzymając w ręku otwartą księgę zaklęć. W ustawionej przed nim misie dymiała mieszanka złych ziół: ruty, pokrzyku i ciemiernika. Powoli i uważnie, aby nie



popęłnić błędu, zaczął odczytywać formułę przywołania:

- „Na Pieczęć Bazdatei, na Imię, które wyrzekł Mojżesz, ono zaś sprawiło, że otworzyła się ziemia, by pochłonąć Koracha, Datana i Abirama, rozkazuję ci stawić się tu bez zwłoki i wypełnić wszystkie me żądania. Przybądź, Belfegorze! Stań przede mną w łagodnym usposobieniu, a postać twa niech miła będzie oku!”

- Jak śmiesz, ty nędzna gnido! Co ty sobie wyobrażasz! - Za kręgiem pojawił się Belfegor, ubrany w połowę dubletu gęsto poznaczoną kredą. - Wyrwasz mnie od krawca, kiedy mierzę strój na koronację! Odeślij mnie z powrotem, a daruję ci karę!

- Nic mi nie zrobisz. Tak jest napisane w księdze - odparł spokojnie Nicholas.

Belfegor dostrzegł grimoire w jego ręku i wyraźnie się wzdrygnął.

- Wyrzuć to paskudztwo. Czyż nie uczyli cię w szkole, że nie wolno brać się za rzeczy, których nie rozumiesz? Możesz przez to tylko napytać sobie kłopotów.

- I tak już tkwię w nich po uszy. Mówiłeś, że pragniesz podnieść swą wiedzę i udoskonalić maniery, ja zaś mam ci w tym pomóc stosowną lekturą, a co kazałeś mi czytać? Same sprośności i Machiavellego! Przez to wszystko ma dusza jest teraz w niebezpieczeństwie.

- Rzuć tę księgę, drogi Nicholasie, a zabiorę cię na wieczerzę i zapomnimy o wszystkim, zgoda? Te zaklęcia zresztą wcale nie skutkują.

- Skutkują, i to całkiem dobrze. Najlepszy dowód, że tu jesteś. Może tylko twojej postaci nie nazwałbym „miłą dla oka”. Hm... ten nochal, te olbrzymie stopy... Nie, doprawdy nic przyjemnego.

- Zastanów się dobrze, mój chłopcze. Przystań do mnie, a posiadasz wszystkie bogactwa tej ziemi. Wyrzuć tylko tę paskudną księgę i podejdź do mnie. Uściśniemy sobie dłonie na zgodę, i koniec.

- Wyjść z kręgu? O nie! Księga mówi wyraźnie, żeby tego nie robić. O, tu jest o tym mowa, na stronie trzydziestej drugiej.

- Przeklęty mól książkowy! Kto ci kazał czytać tę stronicę?

- Zawsze czytam książkę od deski do deski, zwłaszcza gdy mam do czynienia z czymś nowym. Machiavellego także przeczytałem w całości, chociaż ty nigdy nie mogłeś wysiedzieć tak długo, bym ci owo dzieło doczytał do końca. A wiesz, co on pisze? Złym ludziom nie musimy dochowywać wiary, a ty... masz w sobie tylko zło. Sam powiedz, czy jakikolwiek człowiek może być gorszy od demona? Oszukałeś mnie, Belfegorze, z czego jasno wynika, że i ja nie muszę być lojalny. Włoski książkę Belfegoro! A jużci!

Belfegor wypuścił z nosa kłęb ognia i siarki, który rozpląnął się wszakże tuż u brzegu

magicznego kręgu, nie czyniąc Nicholasowi żadnej krzywdy.

- Ach, ty płazie, ty po stokroć przeklęty idioto, ty mięczaku! Niech cię zeżrą robaki, ty kupo ludzkiego śmiecia! Umieraj!

- Gadaj sobie zdrów, Belfegorze. Mam grimoire! I mam też swoją nieśmiertelną duszę, a ty włącz mi tu zaraz do szkatułki!

- Nigdy!

- „O duchu niegodziwy, zły i nieposłuszny, nakazuję ci to uczynić mocą Wielkich Imion! Adonai, Sebaot, Adonai, Amioram, Adonai! Przez Imię Króla Królów masz mi być posłuszny” - odczytał Nicholas. Kolana mu się trzęsły, lecz głos brzmiał mocno. Pomyślał o swojej matce, o wszystkich wyrzeczeniach, które musiała ponieść, aby on, Nicholas, mógł studiować. Muszę uwięzić tego demona, powiedział sobie, inaczej jakież byłby ze mnie duszpasterz? Głośno i dobitnie odczytał zaklęcie do końca. - A zamknij za sobą wieczko - dodał rozkazująco, gdy ujarzmiony Belfegor przemienił się w kolumnę zielonkawego, niemile pachnącego dymu, która spłoszczywszy się nagle, wpadła do pudełka. Nicholas ujął teraz różdżkę, przygotowaną zawczasu zgodnie z pisaną instrukcją, i dotknął nią wieka szkatułki. - „Nakładam na ciebie pieczęć, której nie zdejmą niczyje śmiertelne ręce, która więzić cię będzie po wsze czasy, aż do chwili gdy głos anioła zapowie Straszny Dzień Sądu! Na Szklane Morze przed obliczem Pana, na Cztery Bestie mające oczy z przodu i z tyłu, na Ogień, co płonie przed tronem, na Świętych Aniołów, co mieszkają w niebie, na nieskończoną mądrość Pana Zastępów, niech się tak stanie!”

Szkatułka trzęsła się i klekotała od dzikiej furii demona. Nicholas ostrożnie wyszedł z kręgu.

- Dobra robota - zabrzmiał melodyjny głos i w izdebce ukazał się Hadriel. Siedział po turecku na nie posłanym łożu. Nicholas zawstydził się nagle tego bałaganu, lecz tak był ostatnio zajęty studiowaniem zaklęć, gromadzeniem ziół... Przyrzekł sobie, że teraz zacznie bardziej dbać o porządek. - Wiesz, nawet my, aniołowie, nie jesteśmy w stanie zrobić tego, czego ty przed chwilą dokonałeś. Człowieczeństwo, jak widać, ma też swoje zalety.

- Mam nadzieję - odparł z lekkim rozdrażnieniem student. - Posiadamy wszak duszę nieśmiertelną.

- O której czasami zapominacie i trzeba ją potem ratować.

- Nie mogę się spierać z aniołem - burknął Nicholas.

- A miałbyś ochotę, nieprawdaż? Oj, ludzie, ludzie! - roześmiał się Hadriel.

Ten śmiech brzmiący jak tysiąc dzwoneczków sprawił, że Nicholas w jednej chwili wyzbył się wszelkich uraz, co więcej, opuścił go nagle cały strach, od którego ostatnimi

dniami aż skręcał mu się żołądek, a i teraz jeszcze dawał znać o sobie na widok gwałtownych podrygów szkatułki.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał.

- Zachowaj ją sobie, a cóż by? Przysporzy ci ona sławy. Pomyśl, jak natchnione będą twe kazania! Ilu teologów może powiedzieć, że uwięzili demona? Do tego trzeba tężego umysłu.

- No, miałem pomoc... - burknął Nicholas, wpatrując się w czubki swych znoszonych butów.

- A inni to nie? Wszyscy ją macie, choć tylko niewielu o tym pamięta.

- Dziękuję ci za pomoc, dziękuję doprawdy z całego serca!

- Ha, wreszcie doczekałem się podziękowań! Bardzo mi miło - roześmiał się Hadriel. Gestem dłoni otworzył okiennice i z głośnym szumem skrzydeł wzbił się w ciężkie od śniegu niebo.

- Zaczekaj, wróć! O tyle spraw chciałbym cię jeszcze zapytać! - wołał za nim Nicholas, lecz zobaczył jedynie niknące kolorowe błyski. Jakby tam nad skośnymi dachami Paryża, nad wieżami jego pałaców ktoś na moment namalował tęczę.

Zgromadzeni w domu Belfegora członkowie bractwa Syjonu czekali tymczasem wieści o przebiegu swej ostatniej akcji. Sam signor Belfegoro tak pewien był jej sukcesu, że już wiele dni wcześniej postanowił urządzić małą uroczystość, oni zaś, nie chcąc urazić demonicznego współnika, zgodzili się wyjątkowo odstąpić od swoich zasad i odbyć tym razem spotkanie na powierzchni. Rezydencji signora strzegły wszak piekielne moce, gdzież więc, jeśli nie tutaj, mogliby czuć się bezpieczniej? A mimo to niektórzy z obecnych dosyć nerwowo skubali ciasteczka i słodkie suszone owoce, którymi w zastępstwie gospodarza podejmował ich Septimus Crouch. Jedni siedzieli kręgiem przy wielkim dębowym stole, inni zgromadzili się przy kredensie, racząc się winem z pękatego srebrnego dzbana. Nie to wszakże naczynie zajmowało honorowe miejsce w tej długiej, wykładanej marmurami sali, lecz niezwykle puchar, czy raczej magiczne lustro, w którego złotej powierzchni igrały odbite płomyki świec. Królowało ono na specjalnym małym piedestale, nakrytym płótnem jak ołtarz. Porady tego cudownego instrumentu zasięgał każdy, kto tu bywał, począwszy od samego Belfegora, a skończywszy na diuku Burbonie, który w sprawach nie cierpiących zwłoki przychodził nieraz i w nocy. Złociste zwierciadło wiernie ukazywało chętnym wszystko, co wylęgło się w ich wyobraźni. Każde życzenie, niechby i najbardziej fantastyczne, przybierało w nim pozory prawdy. Jeden tylko Nicholas nigdy nie zaglądał w lustro, uważając je za puchar do wina, wyjątkowo zresztą niewygodny i doprawdy przesadnie zbytkowny.

Maitre Bellier, wyniośle prostując swą wysoką postać, niecierpliwie przechadzał się po sali. Nieobecność Belfegora wprawiała go w irytację i zarazem niepokoila: a jeśli to monstrum uknuło jakąś intrygę? Mój Boże, Zakon za pan brat z demonem! W dodatku z demonem tak niskiej rangi, nieokrzesanym prostakiem! Cóż za despekt! Nie mówiąc już o tym, jaka to zdradziecka bestia. Wystarczy na niego spojrzeć. A wszystko przez Croucha. Zzerany ambicją podstępny piekielnik! To on wplątał bractwo w te nędzne konszachty z diabłem! Jak Sternik Zakonu może być tak ślepy? A ci otumanieni bracia! Tak wielka i ważna misja, przez tyle wieków chroniona pieczęcią świętej tajemnicy, a oni ją w jednej chwili sprzedają demonowi! I za co? W zamian za diabelskie obietnice, za złudne obrazy spełnionych życzeń! Skądże się wzięło to piekielne lustro? W jaki sposób powstają w nim obrazy? A jeśli jest równie zdradzieckie jak sam demon? Wówczas - odpowiedział sobie - wszystkich nas czeka klęska. Niechybna i ostateczna.

- Monsieur Crouch, pański... ach... współnik, signor Belfegoro, jeszcze nie wrócił?

Sir Septimus, rozparty w paradnym fotelu Belfegora, posłał mu wyniosły uśmiezek; z

jego zielonych oczu bił triumf. Miał powody do zadowolenia. Pewnego dnia Nicholas i Belfegor zniknęli gdzieś bez śladu, on zaś nieoczekiwanie stał się panem wszystkiego: domu, dwóch nieśmiertelnych półdiabłów i do tego całej góry skarbów. Piwnica była ich pełna. Z początku nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Belfegor z pewnością wróci, mówił sobie, zły i zdradziecki jak zwykle. Lecz oto poszedł do kościoła, gdzie usłyszał wielką nowinę: sensacją uniwersytetu stał się pewien student teologii, który nader chwalebnie zdał egzamin ustny, przedkładając dostojnemu gremium niewielką szkatułkę z uwięzionym demonem. To Nicholas!, pomyślał w uniesieniu Crouch. Teraz ja jestem panem! W odpowiedzi na pytanie mistrza Belliera odrzekł gładko:

- Och, książę Belfegor? Wezwał go Władca Ciemności w pilnej podobno sprawie. Spodziewam się go lada chwila, jednakowoż wiedzą panowie, jak to jest z demonami: zdarza im się nieraz tracić poczucie czasu. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, wszak dla nich tysiące lat to mała chwila. A gdy któregoś z nich pochłania na dodatek ważne zadanie, potrafi zapomnieć o wszystkim. Upewniam was jednak, panowie, że nasz gospodarz ustanowił mnie swoim pełnomocnikiem. Gdybyście chcieli na przykład przyznać mu jakąś nagrodę, chętnie ją przyjmę i... hm... wręczone po powrocie. - Ach, wy naiwni głupcy, pomyślał. Wkrótce już będę kierował tą waszą organizacją. Widziałem to w lustrze.

Siedzący obok maitre Bellier popatrzył na niego z jawnym powątpiewaniem; nie podobała mu się triumfalna mina Croucha. Ależ żarłoczne ma ślepie! Sir Septimus odpowiedział mu na to protekcyjnym uśmiechem, po czym zlustrował stół. Świece już się dopalały, a i poczęstunek należało uzupełnić. Wśród obecnych dawało się wyczuć coraz większą nerwowość. Z napięciem wyczekiwano wieści. Crouch niedbałym gestem przywołał półdiabły. Teraz ja jestem tu panem, pomyślał znów z satysfakcją, niechaj wszyscy zobaczą, komu rozkazuję.

- Hej, wy tam, więcej owoców i wina, a szybko! - Zwyczajem wszystkich pyszałków wyobrażał sobie, że każdy obcy język, w tym również diabelski, to dla niego fraszka. Wystarczy, że angielskim słowom doda dziwaczne końcówki. Doprowadzał tym oba półdiabły do furii; już od kilku tygodni dwa piekielne stwory z trudem tłumiły przemożną chętkę rozerwania go na kawałki. Teraz też zwlekały z wykonaniem rozkazu, gdy wszakże przygwoździł je wzrokiem, oddaliły się w stronę kuchni, gniewnym mamrotaniem dając upust niezadowoleniu. Szczęściem zarówno dla Croucha, jak i dla całego świata półdiabły to istoty niezmiernie leniwe, rzadko więc wykorzystują wszystkie swe nieludzkie moce. Czynią to przeważnie dopiero zmuszone rozkazem swych władców. Słudzy Belfegora bardzo nie lubili przybierać żądanych kształtów, a już zwłaszcza wykonywać codziennych domowych posług,

lecz Belfegor umiał ich trzymać w karbach. Tak więc chcąc nie chcąc sprząтали rezydencję, wynosili nocniki, ślali łóżka, gotowali Crouchowi posiłki - a pochłaniał całe góry jadła - tyle że z każdym dniem rosła ich wściekłość. Teraz już z uszu i nozdrzy stale im były płomyki, a burkliwe utyskiwania nie milkły ani na chwilę. Belfegor przed swoją fatalną wizytą u krawca przykazał im najsurowiej: „Kiedy mnie nie ma w domu, macie słuchać Croucha”. Temu rozkazowi wspartemu lodowatym spojrzeniem samego sir Septimusa, spojrzeniem, z którego nie gorzej niż u demona emanowało czyste, skondensowane zło, wciąż jeszcze dawali posłuch. Oni też, podobnie jak wielu innych, uważali, że Belfegor wróci.

Zagrzechotała kołatka i któryś z półdiabłów poszedł otworzyć drzwi. Nowo przybyły, wysoki, młody arystokrata, miał ciemne włosy i czarne płonące oczy.

- Sternik, nareszcie! - Ktoś podbiegł i wziął jego płaszcz, by strzepnąć z niego wilgoć przed kominkiem, ktoś inny podsunął krzesło, jeszcze inny usłużnie napełnił puchar resztką wina.

Crouch obserwował tę scenę z lekką irytacją. Traktują tego Sternika jak Boga! I czemuż to akurat jego? Sam mogę zostać Sternikiem. Któż, jak nie ja, rozkazuje piekielnym monstrom! Czas najwyższy, bym wreszcie zaczął rządzić tym ich sprzysiężeniem. Poczekaj, jeszcze poczekaj, szepnął mu wewnętrzny głos. Cierpliwości. Wyrośniesz wyżej niż on.

- Nic jeszcze nie wiadomo - oznajmił dyskretnym szeptem mistrz Bellier, nachylając się nad uchem księcia. Ten arogancko zmierzył go z góry na dół.

- Jak to? Wszak ustalona godzina dawno już minęła. Czy plan nasz został wykonany dokładnie?

- Tak. Dziś rano w Szpitalu Świętej Trójcy nabyłem chłopca. Ładniutki, zdrowy i ogromnie podobny do króla. O zachodzie słońca dostarczono go do tajnego wejścia.

Do diabła, złościł się w duchu Crouch, nie znalazłem jeszcze tej ich kryjówki! A muszę to zrobić, jeśli mam ich sobie podporządkować. Ach, ten Bellier! Jakże wysoko się nosi! I któż to taki? Nie jest wszak nawet rycerzem.

- Musiało więc nastąpić jakieś opóźnienie. Wkrótce się dowiemy.

Rozległo się skrobanie do drzwi, po czym 'Ho komnaty wszedł mocno rozczochrany człowiek, który na widok dwóch niesamowitych lokajów stanął jak wryty:

- O... oni... - wyjąkał - pło... płomienie buchają im z nozdrzy!

- I cóż w tym dziwnego? - rzucił Crouch niefrasobliwie. - A waćpan czego się spodziewał? Przyłączając się do spisku wiedziałeś, że wspierają nas ciemne moce. Nie jesteśmy amatorami. To poważna sprawa.

Mężczyzna, drżąc od stóp do głów, ukląkł przed Sternikiem:

- Panie mój, wszystko na nic - jęknął. - Otwarto szkandełę.

- Niemożliwe! Wiesz to na pewno? - wykrzyknął książę, zerkając w stronę magicznego lustra.

- Tak, mój panie. Ponieśliśmy klęskę.

- Kogo ujęto? - Nawet i teraz głos diuka nie utracił władczych tonów.

- Nikogo, wasza miłość.

- Jakże to możliwe?

- Zapewniam cię, wielmożny książę, że nikt nie został aresztowany. Nie będzie też żadnego oskarżenia. Ktoś zabrał noworodka, a w jego miejsce podłożył żywego ptaka. Pod drzwiami królowej ptaszysko z wielkim szumem wyfrunęło z rondla. Wszyscy śmieją się z nas do rozpuku.

- Ze mnie? Ja im pokażę się śmiać! Gdzie ta kobieta, co niosła szkandełę?

- Zniknęła bez śladu.

- A więc to jej sprawka. Przekupstwo... Albo nagle strach ją obleciał. Tak to jest z babami! Nie wolno pod żadnym pozorem dopuszczać ich do konspiracji.

- Sądzę, że zdradziła nas tamtej stronie - wtrącił maitre Bellier. - Wydaje mi się to pewne.

- Aha, i to tak chytrze, że cień podejrzenia nie padnie na Białą Królową.

- Znaczy to, że sprzedała nas nie Franciszkowi, tylko ludziom królowej. Który też z nich stanął na czele kontrspisku? Ten przeklęty medyk? Kto odwiedzał królową?

- Medyk na pewno nie, wasza miłość. Zabroniono mu wejścia. Zarówno jemu, jak i wszystkim w ogóle Anglikom. Żadna z dam jej wysokości nie przekroczyła progu tej komnaty.

- Trzeba zatem poszukać wśród Francuzów. Z pewnością nie mogła to być hrabina de Nevers...

- Chwileczkę, książę. Była taka jedna. Od królowej Klaudii. Jakaś wdowa, co maluje święte obrazki. Mają one ponoć tę właściwość, że przynoszą pociechę duszy. Słyszałem, że jest Angielką, choć niektórzy powiadają, że to Flamandka, taki bowiem ma akcent.

- Zuzanna Dallet! Oby piekło ją pochłonęło! Ta kobieta stale wyrasta, gdzie jej nie posieją! - warknął Crouch.

- Jak brzmi jej nazwisko? - zainteresował się diuk de Burbon.

- Zuzanna Dallet, malarka, rodem z Londynu. Na każdym kroku starała mi się przeszkodzić. Mistrzowi Bellier, to ona jest w posiadaniu trzeciej części manuskryptu, na którym tak wam zależy! - Crouch z pasją wyrzucał z siebie słowa. Z oczu ziała mu obłądka

furia.

- Więc to ona ma tę część! Teraz wszystko staje się jasne. Ha, ten alegoryczny szyfr w jej obrazach Raju... Myśleliśmy, że ma kochanka, który przeczytał manuskrypt, lecz to ona sama odkryła naszą Tajemnicę i teraz sobie z nami igra. Zakon Syjonu zdradzony przez kobietę!

Przez salę przemknął szmer grozy.

- Tajemnica piętnastu stuleci...

- Święta Krew... wszystko przepadło. Zdrada. Co do jednego spalą nas żywcem.

- Trzeba ją zabić - ponad beładną wrzawę wybił się nagle nienaturalnie spokojny głos diuka.

- O, ma licznych przyjaciół na dworze. Nigdy nie jest sama. Popęlić jawne zabójstwo?

- Są inne sposoby.

- Wasza miłość - wtrącił Crouch - wyśledziłem jaskinię tej bestii. Ma w mieście własną pracownię. Tam bywa sama, nie licząc starej służącej. Przekupiona przeze mnie właścicielka domu przeszukała już to pomieszczenie, nie znalazła jednak manuskryptu.

- Ta kobieta, choć sprytna i niebezpieczna, z pewnością nie działa sama. Czyją też jest agentką?

- W obu królestwach mieszka jeden tylko człowiek obdarzony umysłem tak diabolicznym, aby mógł być jej mistrzem i mocodawcą. Możemy to zaraz sprawdzić.

Wszystkie głowy jak na komendę zwróciły się w stronę magicznego lustra, ono, bowiem kierowało dotychczas każdym krokiem spiskowców. Crouch, wysunawszy się naprzód, wykonał nad pucharem magiczną passę i zaczął mamrotać zaklęcia. Najbliżej stojący dostrzegli ruch na lśniącej powierzchni zwierciadła. Jawiły się tam postacie drżące jak obrazy oglądane w wodzie... Żadna z nich nie była jednakże wizerunkiem nikogo z obecnych. Crouch ze wzrokiem utkwionym w falujące kształty pochylał się coraz niżej. Po chwili cofnął się z okrzykiem:

- On! Wiedziałem, że to on! Arcybiskup Wolsey, ten niecny intrygant, to monstrum! Zuzanna Dallet jest na jego żołądzu, widzę to wyraźnie! Najpierw ją wyszkolił, a teraz korzysta z jej usług.

- Arcybiskup - zaszumiało wśród zgromadzonych.

- Drugi jego agent, Ashton, bardzo dogodnie wstał z martwych, by wziąć ją pod swoje skrzydła. Często widuję ich razem. Prawdziwa diablica z tej baby.

- Ha, skąd wiesz, że to kobieta? Zdejmij z niej szaty, a zobaczysz, być może, drugiego



mężczyznę. Po tym piekielnym biskupie wszystkiego się można spodziewać.

- Co za podstępna bestia! Jemu chodzi o traktat. Tak, tak, wszystko się zgadza. Księżę Kościoła popiera księcia de Valois. Wolsey nie chce powrotu Merowingów.

- Lecz nie chce i tego, aby Tajemnica wyszła na jaw. Znając ją, wie doskonale, że jeśli sprawa nabierze rozgłosu, będzie to koniec Kościoła.

- Możemy więc liczyć na jego milczenie. Zrobiłby wszystko, byle uratować Kościół. Tak, moi bracia, z jego strony nic nie grozi naszej Tajemnicy - zabrzmiał zrównoważony głos księcia. Jego chłodna logika złagodziła nieco ogólne wzburzenie.

- Tak, lecz ta Zuzanna Dallet?

- Czy którakolwiek kobieta dochowała kiedy sekretu? Dopóki istnieje manuskrypt, a ona w każdej chwili może po niego sięgnąć, dopóty grozi nam niebezpieczeństwo.

- Tak więc dochodzimy do wspólnego wniosku - stwierdził diuk de Burbon. - Trzeba zmusić tę kobietę do wyznania, gdzie ukryła księgę, a potem... potem ją uciszyć. Na zawsze.

- Zgoda - powiedział Crouch.

- Rzecz nie powinna być trudna - dodał Sternik.

Już od rana Franciszek I przyjmował poselstwa z całej Europy. Zagraniczni władcy ustami swoich wysłanników składali mu gratulacje, zabiegali o odnowienie traktatów, starali się pozyskać jego względy. Nowemu królowi towarzyszyło grono oddanych przyjaciół i dworzan, którzy po starej przyjaźni dostępowali teraz najwyższych godności. Bonnivet miał zostać admirałem, zaś diuk de Burbon konetablem. Królewska siostra otrzymała hrabstwo, jej małżonek urząd gubernatora Normandii, a Ludwika Sabaudzka tytuł księżnej, dwa hrabstwa i jako szara eminencja wielką, acz skrytą władzę. Franciszek, ciałem obecny w sali recepcyjnej, myślami przebywał gdzie indziej; skupiały się one przy zamkniętej w pałacu de Cluny młodej rudowłosej kobiecie. Odrzuciła jego fawory, jego płomienne deklaracje! Czuł się znieważony i wyśmiany. A przecież mógłby teraz zrobić z nią wszystko, co zechce. Czyż wygadanie zachciankom nie jest przywilejem królów? W pewnym momencie zaczął już nawet myśleć, czyby się z nią nie ożenić, usunąwszy pod byle pretekstem swą brzydką i ułomną żonę, lecz nieopatrznie zdradził się z tym przed matką, która wygłosiła zaraz taką reprimendę, że omal nie pękła mu głowa. Pozbędziesz się Klaudii, stracisz Bretanię. Synu, nie bądź głupcem.

Czy ta kobieta warta byłaby utraty prawie połowy królestwa? Przypomniał sobie, jak go potraktowała; nie powiedziała wprawdzie nic obraźliwego, całe jej zachowanie jednak było... wysoce grubiańskie, a i jego toczone łydki nie wywarły na niej żadnego wrażenia. Nie, doszedł do wniosku, to rozpustnica, niewarta tak wielkiej ceny. Przez czas jakiś bawił się też

inną myślą: zrobić z niej swoją metresę, a gdy mu się znudzi, przehandlować jakiemuś obcemu księciu. Tylko że znowu przeszkodziła temu matka. Przybiegła z wieścią o spisku, o próbie odsunięcia go od tronu za pomocą rzekomego pogrobowca. Matka kipiała świętym oburzeniem. Tym razem miała szczęście, krzyknęła. Ci głupcy nie umieją liczyć do dziewięciu, lecz następni... Następni mogą być sprytniejsi! Z problemem fałszywych pretendentów Franciszek obeznany był bardzo dokładnie. Po Ludwiku XII odziedziczył ich kilku. Wszyscy byli cudzoziemcami, wszystkim też na wszelki wypadek Francja wypłacała pensje... Dwóch było Anglikami. Zdaniem Franciszka ich roszczenia do tronu były równie wątpliwe jak te, które zgłosił niegdyś ojciec rządzącego dziś Anglią Henryka VIII, a jednak czyż ten uzurpator nie zdobył korony? Nie, powiedział sobie, nie zaznam spokoju, póki nie pozbędę się tej kobiety. Pragnął zrobić to w taki sposób, aby nikt już nigdy nie suszył mu o nią głowy.

- Diuk Suffolk, ambasador króla Anglii! - obwieścił mistrz ceremonii.

Franciszek z głęboką niechęcią przypatrywał się ciężkim krokom i niedźwiedziej posturze zbliżającego się posła. Przeklęty brutal, okropny, nieokrzesany prostak! W cokolwiek by go ubrać, zawsze będzie wyglądał jak wół.

- Wasza miłość - z ukłonem pozdrowił go Suffolk.

„Wasza miłość”? Ma czelność zwracać się do mnie, jakbym ciągle jeszcze był księciem, pomyślał Franciszek z furią. Anglicy nie stracili widać nadziei, że ich księżniczka obdarzy Francję delfinem. Udając, że słucha gratulacji, jął układać plany na przyszłość. Dużo mnie obchodzi wasz traktat! Każę dowódcom mych galer napadać na wasze statki. Niech Henryk sobie przypomni, jaką potęgą jest Francja. Najpierw wszakże pozbądźmy się tej małej żmii, a z nią wszystkich piekielnych spisków. I nagle zaświtał mu świetny pomysł. Ha, było to coś na kształt objawienia! Przewidując skutki tej intrygi, aż zamrugał lisimi oczkami: będzie z tego niezła uciecha!

- Milordzie Suffolk - rzekł, kryjąc uśmiezek pod swym ekstraordinaryjnie długim nosem - doszły mnie słuchy, że przybyłeś do Francji poślubić królową wdowę, siostrę twojego monarchy.

Charles Brandon, diuk Suffolk, prawa ręka króla Anglii, bohater wojennych potyczek i niedawnego turnieju, na te słowa pobał jak płótno.

- Wiesz, Zuzanno, nie podoba mi się ta sprawa - stwierdził Robert. - Jest w niej coś podejrzanego.

Szliśmy do Hotel de Cluny na wezwanie Białej Królowej. Robert nasunął kapelusz na

oczy, a pod szarym płaszczem ukrywał cały arsenał: przy pasie zwisały mu miecz i sztylet, w kieszeni dubletu spoczywała mała mizerykordia - tak na wszelki wypadek. Ja miałam na sobie kaptur, a na rękach mitenki od pani Hull, niezbyt zresztą wytworne, bo pochodzące z czasów, zanim jeszcze z inspiracji Hadriela jej robótki nabrały szyku. Mitenki, jakkolwiek niezgrabne, były jednak całe i mocne, czego niestety nie dało się powiedzieć o moim płaszczu. Zrobił się już tak przewiewny, że ostatnio wciąż kombinowałam, za co by tu kupić nowy. Małe zlecenie od królowej Marii byłoby całkiem jak znalazł.

- Cóż w tym podejrzanego? List opatrzony był jej pieczęcią, a przyniósł go lokaj w barwach zmarłego króla.

- Lecz to słownictwo... zupełnie jakoś do niej nie pasuje. I dlaczego pisze po francusku? Przecież wie, że jesteś Angielką. - Robert popadł ostatnio w tak nerwowy nastrój, że we wszystkim węszył jakiś spisek. Ciągłe mu powtarzałam, że malarze i spiski to obce sobie żywioły, mimo to upierał się mnie eskortować, ilekroć któraś z mych wypraw budziła w nim podejrzenia. Jak dotąd kończyło się to dla niego nudnym wyczekiwaniem raz pod drzwiami królowej Klaudii, kiedy indziej księżnej Małgorzaty, mimo to obstawał przy swoim.

- Pisze po francusku, bo to język dworski. Wiesz, Robercie, cieszę się doprawdy z twego towarzystwa, lecz czy nie szkoda ci czasu? Królowej chodzi pewnie o anioły. Myślę, że postanowiła je wreszcie zamówić. I nie dziw się, że mnie wybrała. Wszyscy inni paryscy artyści malują portrety koronacyjne i proporce na wielką paradę albo zdobią baldachimy nowym herbem. O, koronacja to lepszy zarobek niż pogrzeb! Czy ci już wspominałam, że moja diuszesa zamówiła aż tuzin miniatur swego brata? Chyba jednak przyjmę czeladnika.

Robert mruknął tylko „uhm” i dalej rozglądał się po ulicy.

Zbliżaliśmy się właśnie do kościoła redemptorystów. Dla mnie nikt tu nie wyglądał podejrzanie. W naszą stronę spieszyło kilku studentów, pewnie pragnąc szybko się gdzieś ogrzać, od strony miasta widać było jakiegoś jeźdźca w połatanej zimowej opończy.

- Nie jesteś chyba zazdrosny, co, Robercie? Myślę przyjąć jakąś dziewczynę.

- Słuchaj, Zuzanno - powiedział konspiracyjnym, szeptem - coś mi tutaj źle pachnie! Ktoś nas śledzi. Prędko, skryjmy się w tej bramie! Jak będzie nas mijał, zobaczymy, co to za jeden.

Chwycił mnie za łokieć i wciągnął do bramy. Stałam spokojnie, wyglądając na ulicę tylko po to, by się upewnić, że jest w błędzie. Minął nas człowiek z mułem objuczonym wiązkami drzewa. Miałam już wyjść z ukrycia, kiedy nagle go zobaczyłam. Z ciemnawej bramy naprzeciwko wysliznął się chyłkiem ktoś wysoki, owinięty obszernym płaszczem. Przywarłam plecami do ściany. Tamten przeszedł obok, wyraźnie zmierzając za róg, jakby i

on także udawał się do pałacu. Na głowie miał czarny kaptur, lecz kwadratowo przycięta broda i zimne bladezielone oczy nie pozostawiały żadnych wątpliwości... Septimus Crouch! Jak zwykle na jego widok krew zastygła mi w żyłach. O co mu chodzi? Dlaczego nas śledzi? Może Robert miał jednak rację co do tego listu?

Nie widząc nas przed sobą, przystanął na rogu ulicy, a potem... potem zawrócił. Robert złapał mnie za rękę i pociągnął w głąb korytarza. U jego końca zagroziła nam drogę wysoka drewniana brama. Od strony ulicy tymczasem doszedł nas odgłos kroków. Brama nie była zamknięta. Co prędzej wbiegliśmy do środka. Znaleźliśmy się teraz w małym ogródku - dokoła wznosiły się mury otaczające klasztor redemptorystów.

- Och Boże, Robercie, tu nie wolno wchodzić!

- Wyjść też nie możemy. - Sądząc po odgłosach, Crouch był już przy bramie. - Ten piekielnik musi wiedzieć, że mam broń, gotów jest zatem na wszystko. Ciekawe, czy jest z nim ktoś jeszcze. - Jakby w odpowiedzi na to pytanie usłyszeliśmy inne kroki i szmer przyciszonych głosów. - Tam są drzwi do piwnicy - wyszeptał Robert. Chodźmy! Będzie im się wydawało, żeśmy uciekli przez kościół.

Boże, pomyślałam, Crouch przyprowadził z sobą pomocnika albo i dwóch. Jeśli Robert stawi im czoło, porąbią go na kawałki. Zerknęłam na drzwi do piwnicy, później znowu na bramę. Tak strasznie nienawidzę piwnic! Zawsze pełno tam szcurków i pajaków, a do tego jeszcze te wstrętne wilgotne ciemności! Gdybym się nie bała o Roberta, przenigdy bym tam nie weszła, teraz wszakże w mgnieniu oka znaleźliśmy się na wąskich kamiennych schodkach. Zaledwie zdążyliśmy zatrzaskać za sobą drzwiczki, rozległ się tupot i usłyszałam głos Croucha:

- Tędy, tędy poszli! Idź przeszukać kościół!... Aha! Drzwiczki! Taki szcurzy pomiot jak Ashton mógł wśliznąć się do tej dziury.

Co tchu zbiegliśmy na dół; w tej samej chwili na otaczające nas kamienne ściany padła wąska smuga światła: Crouch otworzył drzwi. Doszedł mnie szcęk dobywanej broni. Znałam ja ten jego włoski rapier... widziałam już to długie okrutne ostrze... Robert bez słowa pociągnął mnie głębiej w ciemność. Czułam coraz większe przerażenie. Serce zaczęło mi walić. Wyrosła przed nami jakaś krata, owionął nas lekki powiew.

- Piwnica. Do diabła, zamknięta! - szeptał Robert. - Strzegą tych swoich win jak fortecy. O, zaraz... tu jest jakiś tunel. Bardzo ciasny. Będziemy musieli pęłzać.

- Nnnie... nie, Robercie! Ja tam nie wejdę!

- Musisz. Idź pierwsza. Crouch ma długi rapier, mógłby cię nim przeszyć. A że pójdzie za nami, to pewne. Koniecznie musimy wysforować się naprzód. Jeśli zawrócimy...

wiesz, co się stanie. Zadźga nas tym szpikulcem i zostawi pod ziemią jak dwa zdechłe szczury. Nie bój się, moja droga, ten tunel musi gdzieś prowadzić, po cóż by go budowano? Jego wylot znajduje się pewnie w kościele. - Po cichutku, tłumiąc wszelkie dźwięki płaszczem, wydobyl mizerykordię. - Może Crouch zaniecha pościgu - szepnął mi w samo ucho. - Jeżeli dopisze nam szczęście...

Po leciutkim szczęku rozpoznałam, że wziął sztylecik w zęby, aby łatwiej mu było pełzać.

Półprzytomna ze zgrozy wcisnęłam się w wąski przesmyk. Podłoże było równe, wyłożone czymś, co przypominało w dotyku szerokie, gładko ociosane kamienie. Środkiem tego chodnika biegła wilgotna strużka, jakby skądś sączyła się woda. Z tyłu, od drzwi piwnicy, dobiegł nas łoskot.

- Przekłęci! - usłyszałam mamrotanie Croucha. - Tam się wcisnęli! Niech ich diabli! Będę musiał dać za wygraną.

Czyżby? Coś za blisko brzmiał mi ten głos i chyba trochę zbyt sztucznie. Robert wydał westchnienie ulgi, lecz mnie wciąż się zdawało, że słyszę lekkie szuranie. To on. Pełźnie za nami, a powiedział tak, by nas zmylić. Liczy, że zawrócimy. Póki go wyprzedzamy, nic nam nie może zrobić - za mało tu miejsca... Nie była to jednak myśl pocieszająca, oznaczała bowiem, że w żadnym razie nie wolno nam zawrócić. Crouch tylko na to czeka. Z zimną krwią podetnie nam gardła... Ktoś taki jak on nie śledzi ludzi bez przyczyny, a jeszcze ten list... Zaczęłam nabierać przekonania, że musiał być sfalszowany. Ach, trudno opisać, jakie myśli kłębiły mi się w głowie. Doświadcza tego każdy, komu śmierć zagląda w oczy... Śmierć... Strasznie jest umierać w miejscu, które budzi w nas obrzydzenie. Człowiek marzy wówczas tylko o tym, żeby znaleźć się we własnym domu. Dlaczego ten Crouch tak mnie nienawidzi? Gdybym nawet chciała zawrócić, musiałby to najpierw uczynić Robert, a tamten i jego nienawidzi. Przeszyje mu serce i zamknie tunel jego ciałem, mnie zaś zostawi na pewną śmierć. Nikt nigdy nie dowie się, co robi, nikt nie odnajdzie naszych zwłok. Tak pewnie sobie umyślił. Głupiośmy zrobili, dając się wpędzić w pułapkę, lepiej było przeciwstawić mu się na ulicy... Nie, nic by to nie pomogło, było ich tam przecież dwóch, a może i trzech. Kto by im przeszkodził nas zabić? Teraz mimo wszystko wciąż jeszcze żyjemy. Nadal posuwaliśmy się naprzód ciemną i ciasną szczeliną. Cały czas prowadziła ku dołowi. Po nogach raz po raz przemykało mi coś śliskiego.

Tunel przez chwilę biegł równo, potem lekko skręcił i znowu zaczął opadać. Poczulałam na prawym policzku coś jakby powiew chłodnego powietrza. Mogło to oznaczać tylko jedno: gdzieś obok znajduje się drugi korytarz. Był. Dużo szerszy od naszego. Lecz w

tej samej chwili daleko przed sobą dostrzegłam błysk światła! Omal nie krzyknęłam z ulgi. Piwnica! A w niej gruby piwniczny liczący baryłki z winem. Wyobraziłam go sobie tak dokładnie, że mogłabym namalować jego swojską okrągłą postać przepasaną wielkim fartuchem. Pewnie nuci jakąś piosenkę. Przysięgłam sobie w tym momencie, że nigdy więcej nie powiem złego słowa o piwnicach. Byle się tam dostać. Ale mój Boże, w takiej strasznie zniszczonej sukni? Mitenek nie żałowałam, ale suknię bardzo lubiłam. Uszyłyśmy ją wspólnie z Cat, panią Hull i Nan z mięciutkiej najprzedniejszej wełny. Miała tu i ówdzie drobne zakładeczki i inne modne ozdóbki, a teraz... Jak mogę, nawet w piwnicy, pokazać się w takiej sukni? Robert także musiał zobaczyć światło, bo lekkim ściśnięciem za kostkę przynaglił mnie do pośpiechu.

Nareszcie dopełzłam do końca tunelu, gdzie niezdarnie przysiadłam w kucki, po czym zesłam w dół po kilku stopniach skrytych za czymś w rodzaju fontanny; miarowo kapała z niej woda. Myślałam tylko o tym, żeby jak najszybciej uwolnić Roberta. Dopiero kiedy ciężko wyskoczył z otworu, rozejrzałam się dookoła. Znajdowaliśmy się w miejscu tak dziwnym, że trudno je sobie nawet wyobrazić. Była to wielka podziemna komnata; nie dochodziło tu światło dzienne, aczkolwiek kiedyś musiało być inaczej, bo wśród długich cieni rzucanych na ściany przez płonące świece dostrzegłam okna całe zasypane ziemią i gruzem. W powietrzu wisiała ciężka woń starości i rozkładu, niemiła woń prastarej wody kryjącej w swych głębiach niejednym ponury sekret. Słyszałam monotony plusk kropeł spływających z naszego tunelu do fontanny, a z niej do prostokątnego zbiornika widocznego pośrodku sali. Po drugiej jego stronie stał długi stół z wielkim srebrnym kandelabrem. To w nim płonęły świece, rysując świetliste wzory w mrocznej przestrzeni komnaty, odsłaniając fragmenty ścian i łukowatego sklepienia, zbudowanych z cegieł. Jakiś sługa ze świecą w ręku zapalał właśnie pierwszą z całego rzędu pochodni, które tkwiły w żelaznych uchwytach między antycznymi filarami podpierającymi dach tej budowli. W chwili gdy pochodnia zajęła się ogniem, a jej pomarańczowy odbłask zatańczył na wodach zbiornika, wzdrygnęłam się z przerażenia: w słudze rozpoznałam człowieka w czerni!

- Ach, wszak to Zuzanna Dolet! - przemówił po francusku czyjś zrównoważony, wykwintnie modulowany głos. - Cóż za miła niespodzianka! Spodziewaliśmy się ciebie, madame, nieco później w towarzystwie naszego Sternika, ty zaś tak nam wychodzisz naprzeciw, że zjawiasz się nie tylko przed wyznaczonym czasem, lecz i w bardzo pożądanej, choć zupełnie innej kompanii. Domniemywam, że twój towarzysz to zmartwychwstały pan Ashton.

Stojący za mną Robert znieruchomiał, ja natomiast wciąż jeszcze nie wyczuwałam

niebezpieczeństwa. Znałam tego człowieka w szacie uczonego teologa: był to mistrz Bellier. Ostatnio widziałam go w Londynie.

- Gdzie my jesteśmy? - spytałam najgłupiej w świecie, biorąc go za przyjaciela. To, że w tak niesamowitym miejscu spotykam kogoś znajomego, sprawiło mi wielką ulgę. Zauważyłam, że człowiek w czarnym płaszczu zatrzymał się przed drugą pochodnią, jakby wyczekiwał odpowiedzi swojego pana.

- Pewnie pod ogrodami Hotel de Cluny, tak przynajmniej mi się wydaje, choć to rzecz bez znaczenia. Eustachy, zechciej powiadomić Sternika, iż oczekiwani goście już przybyli.

Za stołem zobaczyłam drzwi z marmurową framugą i orłem. W głębi majaczyły w mroku kamienne ściany drugiego tunelu.

Robert z głośnym „nie!” wyszarpnął miecz z pochwy i rzucił się w pogoń za człowiekiem w czerni. Tamten upuścił świecę i sięgnął po sztylet. Wówczas mistrz Bellier wydobył spod szaty krótki miecz i zastąpił Ashtonowi drogę. Niewiele myśląc, pędem obiegłam basen i chwyciwszy po drodze świecznik, runęłam z nim na lokaja. Starał się parować moje desperackie ciosy, od czego płonące świece rozprysły się na wszystkie strony, po czym zgasły. Usłyszałam nagle jakiś łoskot i pospiesznie zerknęłam za siebie: Ashton i Bellier zastygli w bezruchu, bo oto z wąskiego tunelu wyłonił się Septimus Crouch. W rękę trzymał obnażony rapier. Odblask pochodni kładł się pomarańczową smugą na jego zionącej złem twarzy.

- Ty tutaj? Nie jesteś członkiem Zakonu! - syknął mistrz Bellier.

- Ha, znalazłem tę waszą kryjówkę! Pomyślałem, że gdy Sternik zacznie działać, to idąc śladem tych dwojga, w końcu i ja do niej trafię, lecz że taką drogą? Tego nie przypuszczałem.

- Nie wolno ci tu przebywać! - krzyknął Bellier, na co Crouch roześmiał mu się w twarz. Robert z wyciągniętym mieczem stał w pół drogi między nimi dwoma, niepewny, co teraz począć.

- Drogi mistrzu, proponuję podciąć Ashtonowi gardło, a o to, co mi wolno, możemy spierać się później - rzucił Crouch lodowatym tonem.

Jakże nienawidziłam jego obmierzłego głosu! Widząc Roberta w śmiertelnej pułapce, w nagłym przypływie natchnienia wyrwałam z uchwytu jedyną płonąca pochodnię i wrzuciłam ją do zbiornika. W komnacie zaległy egipskie ciemności. Po odgłosie stóp rozpoznałam, że człowiek w czerni - teraz już wiedziałam, że na imię ma Eustachy - wymyka się do tunelu, tego za drzwiami z orłem. Z przeciwnej strony basenu dobiegał głośny szcęk mieczy. „Dostałem!” - rozległ się okrzyk Roberta. Padłam na kolana i najciszej jak mogłam,

popelzłam wokół zbiornika, trzymając się jego krawędzi. Moja wyciągnięta dłoń natrafiła w pewnej chwili na inną... która także szukała drogi, tyle że w drugą stronę. Dłoń Roberta! Tak często dotykałam jej odlewu, że bez trudu rozpoznałam ją na ślepo. Coś brzęknęło w ciemności, jakby metal upadł na kamień. Poczułam, że palec Roberta kreśli mi na ustach krzyżyk. Mam milczeć. Boże, lecz on jest ranny! Czy ciężko? Odebrał chyba moje myśli, bo wziął mnie za rękę i przyłożył ją sobie do warg. Poczułam, że się uśmiecha, a potem bezgłośnie formuje słowa: „Nic mi nie jest „. Ach, tak ich zażył. Udał rannego, by tamci zwrócili się przeciw sobie. Lecz oto szczęk broni ustał. Zastąpił go czyjś ciężki oddech. Aha, któryś próbuje nas znaleźć.

Mam tę wrodzoną właściwość, że wystarczy mi raz coś zobaczyć, by wryło mi się to w pamięć. Bardzo się to teraz przydało. Cały plan komnaty jasno rysował mi się przed oczami. Ustaliwszy dotykiem, gdzie znajduje się róg zbiornika, co prędzej pociągnęłam Roberta za fontannę. W samą porę. Ledwie wcisnęliśmy się do tunelu, gdy w otwartych drzwiach za basenem zamigotały latarnie. Po chwili podziemną komnatę rozjaśniło znów nikłe światło.

- Co tu się dzieje? - zabrzmiał czyjś głos wyraźnie nawykły do rozkazywania. Poprzedzany przez człowieka w czerni, do sali wkroczył książę de Burbon, świeżo mianowany konetablen Francji. Towarzyszyli mu zbrojni.

- Uciekli! - jęknął maitre Bellier. Oślepiiony nagłym blaskiem, gwałtownie mrugał powiekami. Szatę rozciętą miał w kilku miejscach, a jego płaski kapelusz z klapami na uszy smętnie kołysał się w wodzie.

- Mówisz o tej Dolet i jej kompanie?

- I o Septimucie Crouchu, słudze owego demona, którego imienia wolę nie wymawiać, a z którym ty, panie, zawarłeś przymierze. Ostrzegałem cię przed nim i spójrz, do czego doszło! Crouch poty węszył, aż znalazł drogę do tej komnaty! Wie już teraz, gdzie ukrywamy święte tajemnice.

Burbon obrzucił go spojrzeniem zdolnym sparaliżować nawet węża.

- Sternik! - wyszeptał zdumiony Ashton. - Burbon Sternikiem!

- Bracie Bellier - zakomenderował książę - zechciej wraz ze swym sługą usunąć stąd nasze kroniki! A wy, bracia, bierzcie się za wejścia do tuneli! Wszystkie trzeba zabić na glucho. Musimy natychmiast opuścić to miejsce. Takie jest prawo Zakonu. A ci, którzy poznali nasz sekret, muszą umrzeć. Zamkniemy ich tu na wieczność. Sprawiedliwości musi stać się zadość. - Nie skończył jeszcze mówić, gdy uzbrojona świta wybiegła wypełnić rozkaz, my zaś co szybciej popelzliśmy w górę. Może uda się ich wyprzedzić, może pierwszy



dotrzemy do wyjścia?

Mnie wszakże prześladowały teraz jeszcze gorsze myśli niż w czasie ucieczki przed Crouchem. Jeśli droga, którą poszli tamci, jest krótsza od naszej, zastaniemy wyjście zamknięte i przyjdzie nam tutaj umrzeć. Strach tak spowolniał mi ruchy, że Robert musiał mnie wciąż popychać, z mizernym niestety skutkiem. Tunel wydawał mi się jeszcze ciemniejszy i bardziej przerażający, bo przy jego końcu nie czekało nas światło... Tak dopełzliśmy do tego większego korytarza - mieliśmy go teraz po lewej.

- Robercie - szepnęłam - chodźmy tą drogą, tu jest szerzej.

- Nie, Zuzanno, ten tunel już znamy, wiemy też, dokąd prowadzi. Do wyjścia już niedaleko.

Czołgaliśmy się dalej tą samą drogą chyba przez całą wieczność. Ze strachu, że lada chwila napotkam jakiegoś węża albo inne oślizłe stworzenie, łzy ciurkiem płynęły mi z oczu. Brzydkie mitenki pani Hull poszły w strzępy, i nagle wyrosła przede mną przeszkoda.

- Dalej, dalej! - szepta! Robert.

- Nie mogę, coś tu jest... chyba wielki kamień. Tamci musieli go wtoczyć.

- A niech to diabli! Do kraty jeszcze daleko. Stąd nikt nas nie usłyszy.

- Zawróćmy i spróbujmy tym drugim tunelem. - Mówiłam to całkiem bez wiary, bo skoro dotarli tutaj, to i tam też już zdążyli... Poczułam, że Robert obraca się w ciasnym przesmyku; westchnął i cichym szeptem zaczął odmawiać modlitwę. Boże, jeśli mnie stąd wyprowadzisz, nigdy, już nigdy nie zejdem do żadnej piwnicy. Nie chcę oglądać ani kamiennych tuneli, ani podziemnych komnat! Mogę do końca życia mieszkać nawet w szałasie, tylko pozwól mi wyjść! Potem zaczęłam odmawiać pacierze, choć tylko w myślach, żeby Robert nie poznał, jak strasznie się boję. Dopełzliśmy w końcu do tego szerszego korytarza. Robert chwycił mnie za spódnicę, żebym mu się gdzieś nie zgubiła, i zanurzył się w mroczną czeluść. Tutaj można już było stanąć, lecz - o zgrozo! - usłyszałam piski i coś kosmatego otarło mi się o nogę.

- Szczury, dobry znak - mruknął Robert. - Muszą którądyś wychodzić.

- Co z tego? Widziałeś, przez jaką dziurkę potrafi przecisnąć się szczur? - jęknęłam. Trzęsłam się cała jak w febrze. Szczurów też nienawidzę, a jeszcze w ciemnościach! Takie kary czekają nas pewnie w czyścicu.

Z góry powiało chłodem. W sklepieniu tunelu widniał mały otwór, z którego wystawała płatanina jakichś korzeni; otaczające go cegły były nadkruszone.

- O, masz swoją szczurzą dziurę - westchnęłam. - My się w niej nie zmieścimy. - Minęliśmy to miejsce i poszliśmy dalej.

- Spójrz, światło! - szepnął nagle Robert. Za zakrętem tunelu w małej wnęce ściennej stała lampa oliwna. Jej słabiutki pelgający płomyk wydał mi się cudowną odpowiedzią niebios na nasze modlitwy. W murze wokół lampy tkwiły nadpalone świece. - To pewnie ich główne wejście - domyślił się Robert. Zapaliwszy ogarki od lampy, zbadaliśmy pozostałą część tunelu. Niestety, i on był zamknięty. Lite dębowe drzwi ani drgnęły. Nigdzie najmniejszej szczeliny. Obmacując krawędzie, wyczuliśmy tu i ówdzie ostre końce gwoździ. Zabite na amen. Usiadłam na ziemi jak kupka nieszczęścia i zaczęłam płakać. Robert otoczył mnie ramieniem.

- Nie płacz - w jego głosie brzmiała desperacja. - Wydostanę cię stąd, przysięgam!

Hadrielu, Hadrielu, szlochałam bezgłośnie, gdzie jesteś, gdzieś ty się podział? Teraz naprawdę cię potrzebuję! I to ty wpędziłeś mnie w to wszystko. Kto, jak nie ty, podsuwał mi te nieszczęsne myśli, przez które zapomniałam, co przystoi uczciwej niewieście? I widzisz, czym to się kończy? Gdyby nie ty, wcale by mnie tu nie było, więc otwórz tę szczurzą dziurę i wypuść mnie stąd, wołałam do niego w myślach.

- Dobry pomysł - rzucił Robert. - Warto spróbować. Cóż zresztą mamy do stracenia?

- Jaki pomysł? - spytałam zdumiona.

- Ten, o którym mówiłaś. Spróbujemy poszerzyć otwór.

- Ja nic nie mówiłam!

- Ależ tak, słyszałem wyraźnie - oświadczył, dźwigając mnie z ziemi. Dzięki świecom udało nam się dosyć szybko odnaleźć to miejsce. Teraz gdy obejrzelismy je przy świetle, okazało się, że ten korytarz nie jest właściwie tunelem. To, co widziałam nad głową, było niezbyt wysokim łukowatym sklepieniem z kruszących się cegieł. Przypominało to jakby kawałek sufitu. Podłoga zasłana była gruzem. Dalej dopiero tunel biegł już w ziemi, lecz i tu miejscami pojawiały się pasy obrobionych kamieni bądź cegieł. Sprawiało to takie wrażenie, jakby owo podziemne przejście prowadziło raz między starymi murami, raz znów je przecinało.

- Popatrz, Robercie, to jakieś budowle! - zawołałam zdumiona. - Całe schowane pod ziemią.

- Tak, to znana rzecz. Ich wierzchołki widać nawet czasem na powierzchni. W niektórych ogrodach na przykład spotykamy szczątki jakichś murów, a w dzisiejszych domach tu i ówdzie kawałki starych ścian. Być może fragmenty tych budowli służą dzisiaj komuś za piwnice. Bo wiesz, ludziom jakoś nigdy się nie chciało burzyć takich murów, po prostu budowali na nich. Ale że w tym miejscu zostało tego tyle... zupełnie nie miałem pojęcia. Musiał to być chyba pałac potężnego króla, skoro jest w nim łaźnia i takie mnóstwo

przybudówek. A te tunele przekopali pewnie braciszczowie owego Zakonu.

Wręczył mi sztylet, a sam wziął mizerykordię i jął wydłubywać zaprawę spomiędzy naruszonych cegieł w sklepieniu. Zdjęłam resztki mitenek i choć ręce grabiały mi z zimna, też zabrałam się do roboty. Szło nam nadzwyczaj zmuudnie. Każda obluźniona cegła była prawdziwym triumfem, każdy oplatany korzeniami kamień istną klęską. Widoczny w otworze skrawek nieba stopniowo zmieniał kolor; jasna czerwień przeszła w purpurę, która wkrótce szerniała... Byłam głodna, śmiertelnie zmęczona, i to zimno... Nawet łyzy zdawały się zamieniać w grudki lodu. Robert, zacisnąwszy zęby, w milczeniu wrywał cegły. Gdy wreszcie wystarczająco poszerzyliśmy otwór, podniósł mnie i posadził sobie na ramionach.

- Nie przebijemy się przez te korzenie, trzeba je powycinać. Jesteś mniejsza, więc ty to zrobisz.

Nie wiem, jak długo cięłam i wrywałam te twarde, uparte postronki, lecz w końcu, o Boże, Robert wypchnął mnie na powierzchnię! Leżałam na zamarzniętej ziemi, łkając z ulgi. Jakaż to rozkosz oddychać znowu świeżym powietrzem! Po chwili w otworze ukazała się głowa Roberta: zmagął się z korzeniami starej jabłoni niczym ćma zaplątana w wielką pajęczynę. Chwyciłam go za kołnierz - dobrze, że miał na sobie skórzany dublet - i pomogłam wydzwignąć się z dziury. Byliśmy w jakimś ogrodzie otoczonym kamiennym murem. W górze na zimowym niebie migotały gwiazdy.

- Robercie - zaszlochałam - zabierz mnie do domu! Dość mam wielkich ludzi i ich spraw! Chcę do domu, do domu „Pod Stojącym Kotem”!

Na Pont-au-Change dotarliśmy dopiero dobrze po północy. Zmarzłam na kość, toteż bardzo ucieszyło mnie światło widoczne w oknie pracowni.

- Spójrz, Robercie, Nan na nas czeka. - Może nawet z ciepłą kolacją, pomyślałam tęsknie. Będzie przytulnie i ciepło, a świat znów taki jak trzeba.

Na dole nie było gospodyni, od której wieczorami dostawałam świece, ale mniejsza o to. Teraz mieliśmy już wprawę w chodzeniu po ciemku. Trzymając się ściany, weszliśmy na górę szybko i cicho jak sowy. Spod drzwi pracowni wyglądała smużka światła, jakby w środku paliła się świeczka, lecz drzwi nie chciały się otworzyć, choć z całej siły naparłam na klamkę.

- Pomóż mi je popchnąć. Chyba się zacięły. Nan, co zrobiłaś z drzwiami? Otwórz! - zawołałam, pukając lekko, by nie pobudzić sąsiadów.

Nie było odpowiedzi, wspólnie więc popchnęliśmy drzwi, które wreszcie zaczęły się uchylać, aczkolwiek z trudem... jakby były czymś zastawione. Na widocznym kawałku

podłogi dostrzegłam coś ciemnego i lepkiego. I raptem przeszkoda ustąpiła... ktoś gwałtownie wciągnął mnie do środka, i znowu przyparł czymś drzwi. W czerwonym świetle kilku łójówek zobaczyłam na podłodze ogromną kałużę. Ta ciemna ciecz sączyła się aż na schody. Pod drzwiami dostrzegłam rękę, białą jak moje gipsowe modele, tylko że... to nie był model. Dłoń wystawała z rękawa tak przesiąkniętej krwią sukni, że nie sposób było rozpoznać nawet jej koloru. Zwłok również. Leżały twarzą do podłogi. Na głowie, czy raczej na tym, co zostało z głowy, nie było czepka... zobaczyłam tylko zmierzwione szpakowate włosy. Troczki związanego z tyłu fartucha były całe czerwone, a na podłodze... leżały rozprysnięte kawałki mózgu. Jakby jakaś żarłoczna bestia urządziła sobie ucztę. Nan, Jezu, to Nan! Martwa. Cała poszarpana. Czekwała na nas, biedaczka, i taki spotkał ją koniec.

- Krew - wyjąkałam, zlodowaciała ze zgrozy.

- A owszem, krew - odezwał się czyjś głos.

Rozpoznałam go natychmiast. Zaraz też zobaczyłam wysokie buty, obfity płaszcz i pooraną zmarszczkami białą nalaną gębę. Stał w cieniu koło kominka. Palenisko było puste, popiół wygarnięty na podłogę. Zewsząd dobiegał mnie odgłos kapiących kropel. Po całym pokoju w kałużach farby i terpentyny wały się pocięte i poszarpane skórki na klej, porozsypywane pigmenty, porozrzucone pędzle, podarte i zmięte rysunki. Wyglądało to tak, jakby ktoś z czystej wściekłości chciał obrócić wszystko w ruinę. Mój nie dokończony obraz przedstawiający wjazd królowej Marii do Abbeville przecięto w poprzek sztyletem, gipsowe modele rąk i stóp, pogruchotane na drobne kawałki, przypominały odpadki pozostałe po uboju w rzeźni. Skrzynia z moimi skarbami stała na sztorc; książki leżały na podłodze, wymieszane z ubraniami i nie dokończoną robótką Nan. Tylko wiklinowa klatka nadal wisiała w oknie; ptaszki, nastroszywszy piórka, siedziały cichutko, zbite w ciasną grupkę.

- Septimus Crouch! Jak się tu dostałeś? - ostro spytał Robert.

- Dziwi cię mój widok, co? Nie bardziej niż mnie twój - zadrwił Crouch. - Musieliście pewnie iść dłuższą drogą. Wielka szkoda, że was nie zamurowano. A miałem już taką nadzieję. Stój, Ashton, nie waż się dotykać miecza! Hej, ty tam! - zwrócił się raptem do kogoś skrytego w mroku. - Tak, ty! Odbierz mu miecz. Nie rękę, głupcze, miecz! To, co ma przy boku, rozumiesz? A ręce mu przytrzymaj, by nie mógł się ruszyć! Pragnę chwilę z nimi pogawędzić. Potem będziesz mógł sobie oboje rozerwać na strzępy.

Boże! Z ciemności wyłoniło się coś straszego... trudnego do opisanego... To coś z grubsza tylko przypominało człowieka, było też o głowę wyższe, a z nozdrzy buchał mu ogień. Crouch wpatrzył się w ową istotę w taki sposób, jakby poskramiał ją wzrokiem, jego złe oczy zrobiły się przy tym całkiem białe. Stwór nagle rozbłysnął ogniem i zmienił kształt.

Przypominał teraz olbrzymiego węża, a poruszał się jak błyskawica. W następnej chwili zobaczyłam tylko, jak Robert rozpaczliwie próbuje się wyrwać z jego morderczych splotów. Potwór tymczasem zaczął wydawać jakieś niesamowite dźwięki, którym skądś odpowiedziało zaraz podobne burkliwe chrząknięcie. Boże, więc jest i drugi! W przeciwległym kącie coś zaczęło świecić. Tam stał. I chyba strasznie się niecierpliwił. Fale jego irytacji uderzały we mnie niczym nagle przyływy silnej woni. Z przerażenia nie wiedziałam, co począć: uciekać czy najpierw pofolgować mdłościom.

- Radzę się nie wrywać - rzucił Crouch w stronę Ashtona. - Moi słudzy są ostatnio trochę rozdrażnieni. To pierwsza ich bytność poza domem od czasu... to znaczy pod moją komendą. Trochę jeszcze niesforni, ale się przyuczą. Na jednego ta głupia starucha zamierzyła się latarnią i proszę, co się stało. Nie zdążyłem otworzyć ust.

Popatrzyłam na biedną Nan... ze zgrozy nie mogłam nawet zapłakać... na zrujnowaną pracownię, na Roberta... Tak ciasno opleciony był czarnym cielskiem, że widziałam tylko białka jego oczu.

- Ty potworze! - krzyknęłam na Croucha.

- Co? Zapewniam cię, droga pani Dallet, że jestem czymś dużo gorszym od zwyczajnego monstrum - odrzekł chępliwie. - Moi słudzy to prawdziwe półdiabły, w mojej osobie zaś możesz podziwiać samo Wcielone Zło.

- Czego chcesz ode mnie? Dlaczego wszystko zniszczyłeś?

- O, jeszcze nie wszystko, przynajmniej jak dotąd. Wciąż jeszcze żyjesz, Ashton również. Najlepiej zrobisz, mówiąc mi po dobroci, gdzie to ukryłaś. Póki możesz jeszcze mówić...

- Nie wiem, o co ci chodzi. I nie waż się mnie dotykać!

- Nadal się maskujesz, ty chytra jędzio, ty podła intrygantko? Wciąż udajesz biedne niewiniątko? Umiesz ty układać przewrotne plany, a jeszcze lepiej ukrywać swoje prawdziwe oblicze! Ale mnie nie oszukasz! Magiczne zwierciadło pokazało mi jasno, kim naprawdę jesteś, ty źmijo! - Przewiercał mnie wzrokiem z tak złośliwą pewnością siebie, że zaczęłam się już zastanawiać, czy przypadkiem naprawdę nie knuję jakichś intryg. To jego wstrętne spojrzenie oblepiało człowieka brudem. - Co się zaś dotyczy dotykania ciebie czy kogokolwiek w tym pokoju - podjął - doprawdy, ani mi to w głowie! Widzisz te dwa milutki, choć trochę nieokrzesane stwory? Gdyby nie mój rozkaz, ten jeden dawno by udusił Ashtona. Przebrzydły zdrajca! Przyjrzyj mu się! Zrobił się już całkiem siny, przynajmniej sądząc po tym, co można jeszcze zobaczyć. - O tak, widziałam ze zgrozą, że potwór z wolna, lecz skutecznie miażdży Robertowi kości. - Przestań, głupcze! Jeszcze go nie zabijaj! - rzucił władczo Crouch. - Masz

czekać, aż dam taki rozkaz. - Oczy znów mu rozgorzały; czułam płynącą z nich siłę. Stwór wydał dźwięk przypominający parsknięcie i trochę rozluźnił uścisk. Widoczny kawałek twarzy Roberta z sinego zrobił się szkarłatny.

Spostrzegłam, że ten drugi aż wije się z niecierpliwości. W odpowiedzi na parsknięcie swego towarzysza kwiknął parę razy z irytacją. Dźwięk ten zaniepokoił ptaszki, które wygładziły piórka i przechylając główki, zaczęły wytrzeszczonymi oczkami przyglądać się całej scenie.

- Dla ciebie zarezerwowana jest ta kobieta - protekcjonalnie zwrócił się do niego Crouch, wskazując mnie niedbałym gestem. Z nozdrzy jego sługi buchnął ogień. Złęklam się nagle, czy od tego nie wybuchnie pożar, tyle tu rozlanej terpentyny! - Każę mu rozdzierać cię na kawałki, póki mi nie powiesz! - syknął Crouch. - Albo nie. Może najpierw Ashtona, ty zaś będziesz na to patrzeć.

Zagaduj go, niech mówi, podszeptął mi rozum. Czułam zarazem, że z obu tych piekielnych stworów emanuje coś dziwnego... Włoski na całym ciele zjeżyły mi się jak przed burzą. Mówić, wszystko jedno co, byle mówić.

- Ale... ale jak to się stało, że... że zdążyłeś tutaj przed nami? - wykrztusiłam. - Całkiem tego nie pojmuję.

Crouch uśmiechnął się z wyższością i zmierzył mnie długim spojrzeniem. Na chwilę zapadła cisza. Usłyszałam, że któryś z ptaszków zeskoczył z żerdki i spaceruje po klatce. Wyraźnie słyszałam chrobotanie jego pazurków.

- Droga od dużego wejścia jest znacznie krótsza, ale wam to nie przyszło do głowy - oświadczył z ironią Crouch, nie spuszczając ze mnie swych złośliwych ślepiów. - Tak, Ashton, brak ci inteligencji. Teraz widzisz, co znaczy edukacja. Nie na darmo od lat zajmuję się starożytnością. Ta droga, którą przedostaliśmy się do komnaty, to dawny akwedukt, niewątpliwie rzymski. Zauważyliście te płytki? Są z terakoty. Ach, lecz wy jesteście ślepi. A korytarz za drzwiami z orłem był szeroki i bardzo wygodny. Wiedziałem od razu, że ucieczka tamtędy będzie najłatwiejsza. Wcale się też nie zdziwiłem, gdy ów tunel doprowadził mnie do domu mistrza Belliera przy rue de la Harpe. Jakiś stary sługa zastąpił mi drogę, ale... już go tam nie ma. Ten Zakon to sami głupcy, nietrudno się takim wywinąć. A gdy już wyszedłem na powierzchnię, wezwałem te oto piekielne sługi i kazałem się tu zanieść. Postanowiłem przeszukać twoją kryjówkę, zanim odnajdzie ją Sternik. - Znów przerwał. Trwoga paraliżowała mi ciało, lecz mój umysł pracował jak wiatrak. Crouch, upojony własnymi słowami, przeszedł się po pokoju i stanął o dwa kroki przed zniecierpliwionym stworem, który górował nad nim jak bijący w niebo słup dymu; zdawał się sięgać sufitu. - Ależ wyglądasz,

madame Dallet! Okropność! Kopałaś ziemię paznokciami? Ha, niewątpliwie! A ja, sama popatrz: moja powierzchowność nie doznała najmniejszego szwanku. Oto, ile znaczy wyższa inteligencja. Dzięki niej służą mi nawet demony.

Czarny za jego plecami znów skrzeknął, na co ten, który dusił Roberta, odwinął się trochę, by mu odpowiedzieć. Okropnie brzmiały te ich skrzeki, gorzej niż drapanie paznokciem po łupku. Zobaczyłam teraz całą twarz Roberta: wyglądał jak półduszony, oczy miał wielkie ze zgrozy. Crouch, odwróciwszy głowę, posłał demonowi złe spojrzenie. Tamten ucichł.

- Wciąż nie rozumiem, po co tu przyszedłeś, dlaczego wszystko zniszczyłeś... Zabiłeś Nan, zrujnowałeś cały mój dorobek... - Wiedziałam, że muszę mówić, lecz z trudem dobywałam z siebie głos, czy raczej ochryply szept. Na przemian robiło mi się zimno i gorąco.

- Dobrze tę rzecz ukryłaś. Miło, doprawdy, z twojej strony, że przyszedłeś powiedzieć mi, gdzie to jest.

- Ale co? Co ukryłam?

- Księgę, księgę, ty chytre ladaco, ty nienasycona pijawko! Myślałaś, że będziesz ją ukrywać w nieskończoność? Nie przede mną! Ostatnia to już rzecz, której mi trzeba, by zgłosić roszczenia do tronu. Jako na ziemi, tako i w piekle! - Przy tych słowach oczy prawie wyłazły mu z orbit i znów zrobiły się białe. Szaleniiec. Widać było, że to człowiek obłąkany.

- K... księgę? - wyjąkałam głupio.

- A tak! Tę, którą ów niecny zdrajca, twój mąż, dał ci na przechowanie!

- Ja... ja nie mam żadnej księgi...

- Zobaczymy. Wkrótce zaśpiewasz inaczej. - Ustawiając się w taki sposób, by mieć na oku oba potwory, wyciągnął palec w stronę tego dyszącego ogniem i rozkazał: - Hej, ty! Do ciebie mówię! Chwyć tę kobietę za rękę. Tylko tak mi jej od razu nie rozszarp, jak to zrobiłeś z tą drugą! Dość mam waszego partactwa, wy bezmyślne bestie! A ty - przeniósł teraz spojrzenie na stwora trzymającego Roberta - ty zacznij rozrywać tego nędznika, tylko powoli! Niechaj ta jędza dobrze się temu przypatrzy.

Robert wydał przeraźliwy okrzyk, gdy ściskająca go bestia jęła się odwijać i zmieniać kształty.

- Nie! - wrzasnęłam, gdy ta druga, skrzecząc i powarkując, ruszyła ku mnie. Mój okrzyk przestraszył ptaszki, które z trwożnym piskiem zaczęły się miotać po klatce. Crouch drgnął i odwrócił się w tamtą stronę, zostawiając obie bestie za plecami. Kiedy tylko spuścił je z oczu, przystanęły, zionąc ognistą czerwienią, i zaczęły cichcem zmieniać kształty.

Zdumienie zaparło mi oddech: zobaczyłam, że jeden z demonów, ten, co miał rzucić się na mnie, sunie w stronę odsłoniętych pleców swego pana... Crouch, usłyszawszy szelest - czarny nastąpił po drodze na jakiś zgnieciony papier - obrócił się w miejscu jak fryga i stanął twarzą do obu demonów.

- Hej, wy! - krzyknął, widząc, że drugie monstrum wypuściło z uścisku Roberta, który padł na podłogę niby kupka zgniecionych łachmanów. - Niczego nie umiecie zrobić przyzwoicie? Ruszaj! Kazałem ci chwycić tę kobietę! A ty zajmij się tamtym! Wyrwijcie im ręce, najpierw jemu, potem jej! - Zaślepiiony własną pychą, z szaleńczo wybałuszonymi oczyma i trzęsącą się brodą, wymachiwał rękami, nie zdając sobie sprawy, że straszni pomocnicy zdążyli tymczasem ustawić się po jego bokach. Chcąc poskromić jednego, musiał spuścić drugiego z oczu.

Oba monstra zastygły pośrodku pokoju niby dwie przerażające wieże. Jakby niepewne, co robić dalej, sapały tylko bardzo głośno, popatrując na swego pogromcę złośliwymi ślepiami, skrzącymi się czerwonym ogniem. Staralam się nie drgnąć, nie wydać żadnego dźwięku. W pokoju zapadła cisza, w której słychać było jedynie oddechy - ludzkie i diabelskie; te brzmiały jak odgłos pracujących miechów.

A potem jeden z demonów zaczął milczkiem przelewać się w stronę Croucha. Kiedy ten spróbował spętać go wzrokiem, drugi stanął mu za plecami. Gdy Crouch cofnął się o krok, znów miał je po obu bokach. Nagle zrozumiałam: one się z nim bawią! A on, jakby tego nie widział, nadal strzelał oczami to w lewo, to w prawo. Klasnął wreszcie w ręce i warknął z niesmakiem:

- Hej, wy przeklętnicy! Macie robić, co mówię, a szybko! Kto tu jest panem?

Czarne bestie wydały z siebie coś jakby chrapliwy bulgot. Zdawało mi się, że słyszę w nim słowo „Belfegor”.

Trudno opisać wszystko, co stało się później, gdyż rzecz ta przekracza ludzkie pojęcie... Piekielni śludzy, buchając ogniem z uszu i nozdrzy, zaczęli umyślnie bardzo powoli zbliżać się do Croucha, który cofał się przed nimi krok po kroku, gorączkowo wykrzykując te swoje rozkazy. A potem... oba demony przemieniły się w coś przypominającego ogromne falujące bąble, rozkazy Croucha zaś w nieludzkie wrzaski człowieka żywcem odzieranego ze skóry.

Po chwili wrzask się urwał, a zastąpił go paskudny chrzęst i mlaskanie. Nad tym, co pozostało z Septimusa Croucha, rozsiadły się teraz dwa ogromne dymiące kopce. Ptaszki, zaniepokojone gwałtowną kotłowaniną, przycupnęły rzędem na żerdce, śledząc wytrzeszczonymi oczkami straszne widowisko.



Robert, jęcząc z cicha, leżał na podłodze jak zmięty łachman. Podbiegłam i spróbowałam go dźwignąć, lecz on spojrzał tylko na mnie i przecząco przekręcił głowę. W milczeniu skuliliśmy się na podłodze, oparci plecami o ścianę. Tam, w mroku przed nami, rozgrywał się koszmar... straszliwy, niewiarygodny koszmar... Rozdarła na kawałki zwłoki Septimusa Croucha zaczęły znikać w owych czarnych bezkształtnych bąblach. Boże, byliśmy świadkami diabelskiej uczty! Mówiły o tym ukontentowane piski i pomruki, później zaś... później zobaczyłam, jak piekielne monstra częstują się nawzajem to jakimś skrwawionym ochłapem, to kością, całkiem jakby to było bażancie skrzydełko czy inny smakowity kąsek. Na koniec odrażającej biesiady zmiotły jeszcze z podłogi krew płaszczem Croucha, jak wyciera się chlebem dobry sos z talerza, po czym i to także pożarły z widocznym smakiem. Po Crouchu zostało niewiele poza ubraniami.

Robert trząsał się na całym ciele, mamrocząc w kółko głuchym szeptem: „Dobry Boże, Boże w niebiesiech, Boże, Boże!”, ja nie byłam w stanie wydać głosu. Są rzeczy, na które brakuje słów. Usłyszeliśmy znowu pełne zadowolenia pomruki i coś w rodzaju śpiewki, kiedy nagle pól diabły wypłuły na podłogę kilka drobniejszych kości. Oboje z Robertem skurczyliśmy się w sobie. Z plecami wbitymi w ścianę staraliśmy się odsunąć jak najdalej od drzwi - może nas nie zobaczą, może teraz już sobie pójdą? Poszły, choć nie przez drzwi. Przeniknęły po prostu przez ścianę, pozostawiając po sobie smugę wstrętnej woni.

- Robercie, czy jesteś cały? - zapytałam szeptem. Wciąż jeszcze się bałam, że wrócą.

- Chyba tak. - Leżąc na plecach zaczął obmacywać ręce i nogi. - Kości wydają się całe, ale wszystko mnie boli! - Pomogłam mu rozpiąć ubranie: na żebrach, ramionach, brzuchu, wszędzie widniały wielkie sine piętna. - Mało brakowało - jęknął. - Już myślałem, że mnie udusi. Na szczęście po każdym rozkazie Croucha rozluźniał nieco ten morderczy uścisk. Zdaje się, że niezbyt lubił swego pana... czy raczej lubił go jedynie jako danie.

- Robercie, Nan... Moja Nan nie żyje.

- Trzeba się stąd wynieść - odparł. - Zanim zjawi się tutaj Sternik.

- Nie! Najpierw zajmę się Nan. Muszę wyprawić jej pogrzeb.

- Zrozum, Zuzanno, musimy uciekać. Crouch zniknął. Kto nam uwierzy? A Sternik ciebie oskarży o to morderstwo.

- Ja miałabym zamordować moją Nan? Któż by temu dał wiarę?

- Nieważne, w co kto naprawdę wierzy, liczy się słowo Sternika, wszak to największy z francuskich panów. A on cię dopadnie i uczyni to niby zgodnie z prawem. Muszę cię gdzieś ukryć, a potem jak najszybciej wywieźć z tego kraju. Gdyby tak nadarzyła się jakaś misja dyplomatyczna... Wiesz, rozkazy Burbona przekreślić może tylko słowo króla...

- Nie zostawię Nan.

- Musisz!

- Ona by mnie nigdy tak nie zostawiła. I to przeze mnie zginęła. Spójrz na jej biedną rękę... - Sama po raz pierwszy przyjrzałam się bliżej tej martwej dłoni i nagle dostrzegłam błysk. Czyżby to była... - Robercie, czy ja dobrze widzę? Czy to obrączka?

- Taak... taka wążutka. Nan była wdową, nieprawdaż?

- Nan nie miała żadnego pierścionka! Nigdy nie była zamężna! Nie, to nie może być jej ręka! Mógłbyś odwrócić ciało i spojrzeć w twarz? Ja... to ponad moje siły.

Robert dźwignął się z jękiem, obszedł potworną kałużę i nogą przewrócił zwłoki.

- Zuzanno, to twoja gospodyni! Popatrz, leżała na pieniądzach! W taki sposób Crouch się tu dostał! - Rozplakałam się z nagłej ulgi. - Nan pewnie poszła cię szukać. Nie płacz, proszę! Najgorsze już za nami. Znajdę ci Nan. - Podniósł mnie z podłogi, objął i zaczął gładzić po twarzy i włosach. - Posłuchaj, pójdziemy teraz do mojej kwatery trochę się oczyścić, a później ruszę na poszukiwania. Domyślam się, gdzie mogła pójść. Jest pewnie w Hotel de Cluny, gdzie pobiegła wypytać o ciebie służących Białej Królowej, a że zrobiło się późno, już tam została, bojąc się wracać po ciemku. Mówię ci, Nan jest cała i zdrowa, to tobie grozi wielkie niebezpieczeństwo. Chodźmy stąd.

- Nigdzie nie pójde bez Nan. Nie mogę.

- Moja droga, trzeba działać szybko. Ukryć ciebie i odnaleźć Nan, nim Sternik postanowi ją śledzić, licząc, iż właśnie ona najłatwiej doprowadzi go do ciebie. - Ukrywając twarz w dłoniach, usiadłam w popiele przed kominkiem. - Czy ty doprawdy nic nie pojmujesz, Zuzanno? Zrobiliśmy sobie wroga z człowieka, który potęgą ustępuje tylko samemu królowi. Wielki konetabl de Burbon dowodzi armią! Ktoś taki jak on ustanawia własne prawa. Może nas zniszczyć, kiedy i jak będzie chciał.

- I ty masz nadzieję uciec przed takim człowiekiem? Jakim cudem?

- Och, aż tak źle nie jest. Trochę to potrwa, zanim się dowie, że nie pogrzebał nas żywcem w tych lochach. Dopiero wtedy od nowa podejmie polowanie. Największy kłopot z tym - Robert zaczął przechadzać się po pokoju - gdzie ukryć tak rzucające się w oczy osoby jak ty i Nan na czas, gdy ja będę czynił starania, żeby wywieźć nas wszystkich z Francji. Hmm... Tak jak mówiłem, przydałaby się jakaś misja dyplomatyczna... To się chyba da zrobić, muszę tylko pożyczyć trochę grosza. Może Suffolk zabierze nas z sobą do Anglii?... Póki król nie odrzuci traktatu, nikt nie ośmieli się dotknąć ludzi ze świty diuka... Burbon będzie się jednak starał zamknąć cię na podstawie fałszywych oskarżeń. Jak by tu zmylić mu tropy?

- Mój Boże, taka ruina... cały mój życiowy dorobek zmarnowany... Czymże sobie na to zasłużyłam? Czego on chciał ode mnie? - jęknęłam, wodząc wzrokiem po resztkach tego, co jeszcze do niedawna było Septimusem Crouchem. Cóż ze mnie za marna i głupia istota! Cokolwiek zrobię, wszystko tak się kończy, a ludzie tracą przeze mnie życie. Dlaczego? Podniosłam się i zaczęłam szperać wśród śmieci: może da się coś uratować. O, Jezus, cała błękitna farba wsiąkła między deski, a tyle za nią zapłaciłam! Płótna pocięte, szkice pogniecione lub podeptane, szkoda nawet mówić... Ach, jeden ocalał, ostatni. I mój podróży kuferek z przyborami do malowania. Stał w kącie, więc pewnie go przeoczyli.

- Nic złego nie zrobiłaś, moja droga - łagodnie rzekł Robert. - Crouch jednak myślał, że jesteś w posiadaniu środkowej części owej księgi prorocत्व. Ci z Zakonu również tak myślą. - Za oknem zaczynało już świtać. Ashton obrzucił wzrokiem zrujnowaną pracownię i schylił się po moje książki. - No, one przynajmniej nic nie ucierpiały - stwierdził, wręczając mi stosik. - Ptaszki też mają się dobrze. Przeraziły się tylko, biedactwa, tak iż żaden nawet nie ćwierka. - Zdjął klatkę z okna i jął naśladować głos ptaka. Od razu się ożywiły. Zaczęły wyglądać swe cudowne malusieńkie piórka i żwawo skakać po żerdce. Wzięłam od niego klatkę i dokładnie je przeliczyłam: są, wszystkie sześć. Jeden cichutko pisnął. Jakie to dziwne! Nie wiedzą, maleństwa, że ocaliły nam życie. Robert tymczasem przeszedł się po pracowni, przepatrując całe to żalosne rumowisko. - Co to takiego? - spytał, trącając nogą leżącą pod stołem stertę.

- Ach, papier i trochę starego pergaminu... - W tym momencie coś mnie olśniło. - Robertcie - poprosiłam zdławionym głosem - podnieś to... te luźne kawałki... takie powycinane.

- Te, co wyglądają jak wygryzione przez mole?

- Tak, całą tę stertę. Na samym wierzchu leżą takie zamazane strony.

Wziął w garść kupę tych skrawków i lekceważąco prześliznął się po nich wzrokiem.

- Co to takiego?

- Coś tam było napisane w jakimś obcym języku, chyba po łacinie - wyjaśniłam. - Wyglądało to jak... strzęp książki. Ja... oderwałam grzbiet i wycinałam z tych stron po kawałku, ale na niektórych można jeszcze odczytać pismo. Myślałam, że Dallet zostawił sobie ten rupieć dla pergaminu, że chce go odświeżyć i użyć.

- Dla pergaminu?

Do pracowni zaczynało zaglądać szaroróżowawe światło brzasku. Łatwiej było teraz myszkować wśród śmieci. Znalazłam oprawny w ramkę okrągły portrecik Hadriela, namalowany na kawałku pergaminu z księgi. Odświeżyłam go tak wybornie, że wyglądał

prawie jak nowy. Obrazek leżał w kącie do góry grzbietem. Nie był uszkodzony. Zdmuchnęłam warstwę popiołu i podałam go Robertowi.

- Dotknij. Czujesz, jaki miękki jest ten pergamin? Jak jedwab. Najlepszy gatunek. Robi go się ze skóry nie narodzonych cieląt. A jaki trwałe! Ten ma z kilkaset lat.

- Zuzanno, to nie do wiary! Trzeba było wyrzucić tę książkę! Od razu gdy ją znalazłaś!

Ach, teraz też coś znalazłam: szkice portretowe swoje i mistrza Dalleta. W kilku miejscach były poplamione, ale jeszcze zdadne do użytku. Niestety, leżący pod nimi szkic anielskiego tryptyku nie nadawał się już do niczego. Każdy z mych tak brutalnie zniszczonych drobiazgów przyprawiał mnie o ból serca. Wzięłam dwie pochłapane farbą szmaty i zawinęłam w nie wszystko, co dało się uratować - w jedną narzędzia do polerowania, noże i ocalałe pędzle, w drugą rysunki i książki.

- Wyrzucić? Musiałam przecież na czymś malować, a wiesz, ile kosztuje taki pergamin? To prawdziwy majątek, zwłaszcza gdy nikt ci nie płaci zaliczek...

Robert pokręcił tylko głową.

- No a czemu tak go zamazałaś?

- Próbowałam różnych sposobów na pozbycie się pisma. Nie od razu mi się to udało.

- Gdyby tak mnie nie bolał brzuch, uśmiełbym się do łez - oświadczył.

Wzięłam pod pachę dwa tobołki z ocalałym dobytkiem, Robert klatkę z ptaszkami i kuferek, i poszliśmy. Przy drzwiach raz jeszcze spojrzałam na tę ruinę, która kiedyś była moją pracownią, i ogarnął mnie straszny smutek. Najsmutniejsza była myśl, że być może sam los mnie pokarał. Wszyscy mówią, że przeznaczeniem kobiety nie jest malowanie, może to i prawda.

Robert kwaterował „Pod Trzema Małpami”. Kazał zaraz swemu lokajowi zapalić węgle w wielkim żelaznym koszu i przynieść jedzenie. My w tym czasie zmyliśmy z siebie brud i przebrali w czyste ubrania. Później Robert zasiadł nad stertą pergaminowych ścinków, ja zaś wzięłam igłę i zaczęłam reperować suknię. Zawsze ją bardzo lubiłam, ale teraz... Strój, nawet najmilszy, w którym przytrafiło nam się coś strasznego, to już nie to samo. Cały przeżyty strach i inne przykre uczucia wsiąkają, zda się, w materiał, i nic tu nie pomoże pranie najsilniejszym nawet mydłem, takim jak to z mojej książki.

- Chyba sprawię sobie nową suknię - mruknęłam. Robert kiwnął głową nie słuchając. Czytał.

- Tak, Zuzanno, to jest ta księga! Crouch jej nie rozpoznał, bo zmniejszyła się o połowę przez to, że powycinałaś marginesy, nie mówiąc już o tych dziurach. On szukał księgi

większego formatu - odezwał się wreszcie, żując chleb przyniesiony przez Willa.

- Marginesy najlepiej mi się nadawały.

- Aha, tu są jakieś słowa, które da się odczytać. Zobaczmy... Uu, kiepska ta łacina... „Święta Krew ukryta”... „wieczną tajemnicą”... Niewiele z tego wynika. Weźmy tę stronę, mniej zamazana... Oj, Zuzanno, Zuzanno, w głowie mi się nie mieści, żeś to ty miała tę księgę. I tak ją potraktowałaś... O, niech mnie diabli! Więc to jest ta ich wielka tajemnica!

- Znalazłeś? Miejmy nadzieję, że warta była moich nieszczęść.

- Wiesz, co ukryto w tej tak zwanej twierdzy odkupienia? To nie skarb, jakby można domniemywać, tylko genealogia. Genealogia rodu Merowingów. To ona jest Świętym Graalem, mieści bowiem krew Króla Królów.

- A ja myślałam, że Święty Graal to kielich. Gdzie reszta tej kielbasy? Will przyniósł chyba więcej niż to, cośmy zjedli? O czym to ja... Ach tak, kielich. Jak myślisz, kiedy Will przyprowadzi Nan? Uważasz, że nie grozi jej niebezpieczeństwo?

- Och, wkrótce tu będą - rzucił Robert z roztargnieniem, nie przestając czytać. - Znaleźć Nan to żaden kłopot, Will musi ją tylko przekonać, że nie wolno jej iść do pracowni. Bóg jeden wie, jakie podniesie się larum, kiedy odnajdą ciało. - Bezwiednym gestem strzepnął ze stronicy okruszyny chleba i podniósł kubek do ust. - Hmm... Patrzmy dalej. Strasznie to pomazałaś. Aha, tu coś widać. Uhm, uhm... Jedyne ta genealogia ma jakoby prawdziwie świadczyć, że Merowingowie wywodzą się z jakiegoś królewskiego rodu w Prowansji, który to ród z kolei pochodzi od króla Dawida... Mój Boże, wszak to herezja! Nic dziwnego, że tak się z tym kryją!... - To, co przeczytał, musiało go mocno poruszyć, bo odstawił kubek.

- Co tam wyczytałeś, powiedz.

- Że Merowingowie pochodzą, wystaw sobie!, od Pana Naszego Jezusa Chrystusa, który był w istocie prawowitym ziemskim królem i wcale nie został ukrzyżowany, gdyż w ostatniej chwili w jego miejsce podsunęto jakiegoś łotra... Co za ludzie to wymyślili! Już za samo to twierdzenie Inkwizycja spaliłaby ich żywcem! Dlaczego, na Boga, tyle czasu obstają przy takiej idei? Tyle dla niej ryzykują? Powinni raczej siedzieć jak mysz pod miotłą, a oni knują spiski!... Aha, tu znów mamy coś czytelne.

- Pan Jezus nie umarł na krzyżu? Jak to? Nie byłoby więc Zmartwychwstania, a Kościół...

- No właśnie! Oni twierdzą, że Kościół zbudowany jest na kłamstwie. Kłamstwie, które za żadną cenę nie może wyjść na jaw.

- Pewnie! Ja też tak myślę. Kościół zbyt wiele ma do stracenia, zważ, jakie zgromadził

bogactwa. Nic dziwnego, że ci ludzie z Zakonu tak strzegą owej tajemnicy. Kościół w razie czego wygubiłby ich co do nogi. Kto wie, może już nawet prowadzi poszukiwania.

- To są fanatycy, desperaci. Ich nic nie powstrzyma. Aha, aha... Według tego, co tu jest napisane, Jezus udał się na wygnanie.

- Tak, a dokąd?

- Zaraz, zaraz... Jest! Do Prowansji. Nieźle wybrał miejsce, co? Całkiem wygodne. Miał potomków, którzy tam, w południowej Francji, założyli dynastię...

Pozszywałam suknię jak się dało, wyczyściłam z brudu na mokro i rozłożyłam przy koszu z węglami.

- Ciekawe, dlaczego tam, a nie w Ziemi Świętej? Mnie wydaje się to bez sensu.

- Aa! Tu jest ważny fragment. Szczegółowa genealogia łącząca ród króla Dawida przez osobę Jezusa Chrystusa z pierwszymi władcami z rodu Merowingów. Ha, teraz rozumiem, dlaczego ci braciszkuje chcą pozbyć się Walezjuszy! Tu jest napisane, że boska krew ma w przyszłości podbić cały świat, chrześcijański i pogański. Że dzięki Merowingom, którzy są potomkami samego Boga, na ziemi nastanie wieczny pokój, szczęście i sprawiedliwość. - Pewnie by pokrzepić umysł dla lepszego zrozumienia tej jakże zawilej historii, Robert znów zaczął jeść. Żując chleb, mówił dalej: - Zdaje mi się, że cała ta idea wywarła pewien wpływ na katarów, którzy zamknęli się w owej twierdzy. Dziwne to wszystko, bardzo dziwne.

- A kogóż to poślubił Jezus? - Dla kobiety takie sprawy zawsze są najważniejsze.

- Marię Magdalenę.

- No tak! Ona też ponoć osiadła w Prowansji. Cieszę się doprawdy, że ominął ją los starej panny.

- Jak możesz, Zuzanno! Nie przystoi dworować sobie z takich spraw! Już choćby dlatego, że to bardzo niebezpieczny sekret.

- A mnie on jedynie śmieszy. Bo albo Pan Nasz został ukrzyżowany i zmartwychwstał, co dowodzi Jego boskości i tego zarazem, że nie mógł spłodzić Merowingów, albo był zwyczajnym ludzkim królem, który założył dość kiepską dynastię, co oznacza, że wcale nie był Synem Bożym. Jak więc Merowingowie mogą pochodzić od Boga? A skoro tak, to i owo wielkie prorocтво o królestwie wiecznego pokoju też nie może być prawdą. Pomieszanie z poplątaniem! Albo jedno, albo drugie!

- A wiesz, moja miła, ty masz rację! Skąd u ciebie taka bystrość w tej sprawie?

- Kiedy w innych jestem taka głupia, to chciałeś rzec, prawda? Cóż, przypomnij sobie, ile wiem o fałszywych relikwiach... Cała owa wiara to też coś takiego.

Robert z wolna pokiwał głową.

- Co za głupcy! Ta herezja to czysta wariacja, a oni w imię czegoś takiego spiskują od setek lat.

- Pewnie to lubią - powiedziałam, myśląc o mistrzu Ailwinie i jego sekcje Prawdziwej Wiary.

- Rzymscy imperatorzy także głosili, iż pochodzą od bogów...

- By wprawić w podziw maluczkich. To rozumiem. Ale żeby z tego powodu rujnować moją pracownię?

- Pracownia! - Robert drgnął jak wyrwany nagle ze snu. - Prawda! Trzeba cię gdzieś ukryć. Kiedy ludzie Burbona tam nas nie zastaną, od razu zjawią się tutaj.

- Już to przemyślałam - odrzekłam, patrząc na smętne resztki mojego dobytku. Leżały na podłodze, gdzieśmy je rzucili. Ptaszki rozbudzone światłem, rozmową i bijącym od kosza ciepłem wesoło skakały po klatce. Jak marnie wyglądał plon mego pobytu na świetnym francuskim dworze... Crouch pociął mi nawet ubrania. Zostałam właściwie w tym, co na grzbiecie. - Pójdę do diuszesy d'Alencon. Ona mnie ukryje.

- Nie, Zuzanno, wszak księżna przyjaźni się z Burbonem! Zarówno ona, jak i jej matka popierają go coraz wyraźniej.

- Kochany, rozumiesz jak mężczyzna. Powiem jej, że chciał mnie uwieść. Odrzuciłam jego awanse, więc pragnie się teraz zemścić. Ona wie, jacy są ci dworacy. Ochronia cnotliwe a biedne kobiety nawet przed swoim bratem.

- Księżna Małgorzata... No, no, kto by to pomyślał? - wyrzekł w zadumie. Zaraz też zaczął działać. - Znajdę Willa i każę mu zaprowadzić Nan do Les Tournelles. Niech tam na ciebie czeka. Ty zaś spróbuj uzyskać posłuchanie u diuszesy. Zwal na Croucha winę za morderstwo. Łatwo w to będzie uwierzyć, skoro tak nagle zniknął. Uhm, cała nasza nadzieja w księżnej.

- No, no, nie ma powodu tak płakać - zauważyła diuszesa d'Alencon. - Potrzebna ci tylko kryjówka, do czasu aż twój prześladowca skieruje zapały gdzie indziej.

Na Parć Les Tournelles kładły się długie cienie popołudnia; chłodny powiew, co wtargnął do komnaty przez otwarte na chwilę okno, zwiastował bliski już wieczór. Diuszesa podniosła oczy znad listu i chyba teraz dopiero dostrzegła ruinę mej sukni. Przebiegła wzrokiem po nędznych tobołkach, klatce z ptaszkami i moim kuferku, po czym z wolna pokręciła głową nad tak widowym świadectwem męskiej niegodziwości.

- Oddasz ten list mojej drogiej przyjaciółce, ksieni klasztoru Sainte-Honorine.

Napisałam jej tutaj, że chodzi o twoją cześć, jesteś bowiem uczciwą niewiastą, która w dodatku nadzwyczaj zręcznie włada pędzlem. Będziecie tam mile widziane, ty i twoja sługa, tak długo, jak sama zechcesz, a mniszki znajdą ci tyle zajęcia, że darmo jeść chleba nie będziesz. Wiem, że nad ołtarzem mają tam pewien obraz bardzo już wymagający odświeżenia, a i któryś z twoich aniołów pięknie by ozdobił kościół.

- Jak mam się tam dostać? - spytałam, wycierając oczy.

- Dam ci dwa konie ze stajen mego męża i dwóch zacnych lokajów. Ach, ci mężczyźni - westchnęła księżna. - Żeby z zemsty zrujnować pracownię! Słyszane to rzeczy? Jakże trudno niewieście zachować dziś cnotę! Zewsząd ktoś na nią nastaje...

Po tych słowach inaczej na nią spojrzałam. Kim jest ten, co nastaje na jej cześć? Kimkolwiek był, poczułam do niego wdzięczność, sprawił bowiem, iż moje kłamstwo wydało jej się wiarygodne, podczas gdy prawda... Gdybym opowiedziała prawdę, każdy by ją uznał za wierutne łgarstwo.

- Chciałabym wyruszyć... zaraz.

- Och, nawet musisz. Mężczyzna tak potężny, jak mi opisałaś, niełatwo zaniecha pogoni, a gdyby cię dopadł, użyje siły... - Diuszesa posypała list piaskiem i zapieczętowała kawałkiem wosku ze świecy. - Oto list. A jak skończysz moje miniatury, nie zapomnij powiedzieć przeoryszy, by mi je co rychlej przysłała.

- Nie zapomnę, madame, niech cię Bóg błogosławi. - Złożyłam głęboki ukłon, po czym chcąc okazać najwyższy szacunek, oddaliłam się w stronę drzwi, zwrócona twarzą do księżnej.

Jeszcze tego wieczoru ruszyliśmy w drogę, ku północy. My, to znaczy Nan i ja. Każda z nas siedziała za uzbrojonym lokajem diuszesy d'Alencon; przed sobą miałam kuferek, w rękę ściszałam klatkę. Nad zamarzniętym traktem świecił blady zimowy księżyc, czy raczej jego połówka. Spięta z trwogi, wciąż nasłuchiwałam odgłosów pościgu, wokół jednak panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu nagich drzew i dźwięku podków naszych koni. Lecz czy na tym koniec mych nieszczęść? Czy Robert zdoła mnie ocalić? Wywieźć z Francji, zanim pachołkowie Burbona wpadną na mój trop? A jeśli diuszecie spodoba się zabawić towarzystwo rzewną opowieścią o moich przypadkach, która dojdzie do uszu księcia? Od razu będzie wiedział, gdzie jestem. A jeśli do końca życia przyjdzie mi zostać w klasztorze? Ta myśl przerażała mnie także, bo... bo już wiedziałam, jak szczęśliwa mogę być z Robertem. Przecież i jemu może się przytrafić coś złego, a wtedy... Nigdy go już nie zobaczę! W końcu zaczęłam się modlić: Boże, drogi Boże, ja chcę do domu! Pozwól mi wrócić do Anglii!



- Ożeń się ze mną! Zabierz mnie do Anglii! Czyż nie składałeś mi niegdyś dowodów swego afektu? Wszak twoją to podobiznę nosiłam na sercu aż do dnia ślubu! Ty zaś przysięgałeś mi wieczne oddanie i to, że zawsze będziesz mym rycerzem! Dowiedz tego teraz! Dowiedz, że wszystkie twe słowa były prawdą! - wołała królowa Maria, czepiając się płaszczka Suffolka. Oczy miała czerwone, twarz obrzmiała od płaczu.

Byli tylko we dwoje w ciemnej komnacie, o co sprytnie postarał się Franciszek, odprawiając francuskie damy. Już samo to zaalarmowałoby każdego, kto w miarę sprawnie umie rozumować. Diuk Suffolk czuł wprawdzie, iż znalazł się w nader trudnej sytuacji, lecz jego powolny umysł wciąż jeszcze nie ogarniał wszystkich możliwych jej skutków. Co robić? Bał się Henryka - za samowolne małżeństwo z królewską siostrą groził topór - a równocześnie bał się Franciszka. Wiedział, że ten człowiek go nienawidzi, że w razie sprzeciwu może zemścić się na nim na różne sposoby. Ot, choćby pogrzebać traktat, a wówczas on, Suffolk, też ściągnie na siebie gniew swego króla... Nie mówiąc już o tym, że sam Franciszek mógłby uwięzić czy nawet zabić niechcianego ambasadora... Zdarzały się już takie przypadki. Franciszek nie byłby pierwszy... Jedyne wyjście to tak się wymigać od tego małżeństwa, aby go nie obrazić. Ha, łatwo powiedzieć! Uśmiech francuskiego władcy nie wróżył nic dobrego; wyglądało na to, że dobrze sobie wszystko wykalkulował.

Z takimi myślami Charles Brandon szedł do królowej, zupełnie nie mając pojęcia, jakiemu huraganowi przyjdzie mu stawić czoło. Maria, doprowadzona niemal do obłądu długotrwałym uwięzieniem, rzuciła się na niego jak lwica. Długie rudozłote włosy opadały jej w nieładzie na ramiona, na białej pomiętej sukni widniały plamy od łez. Najgorsze, że uporem wcale nie ustępowała swemu bratu. Przyciśnięty do muru, Suffolk próbował chyłkiem zrejterować, lecz stwierdził ze zgrozą, że drzwi są zamknięte... Była doprawdy śliczna... Kiedyś dużo o niej myślał, wyobrażał sobie, jak rozkosznie byłoby się do niej zbliżyć, ale płacić za to głową? Na to nie mógł się zdobyć.

- Cóż z ciebie za rycerz? - krzyknęła. - Czyż nie przysięgałeś bronić wdów? Więc broń mnie! Ożeń się ze mną, inaczej pomyślę, że drugiego takiego kłamcy nie ma na całym świecie! Powiem Henrykowi, wszystkim powiem, że tylko udajesz rycerza, że Charles Brandon to nieczny oszust i zdrajca! Czemu milczysz? Już mnie nie kochasz? A może boisz się mego brata? - W milczeniu skinął na to głową. - Dowiedz się zatem, że po śmierci króla Francji wolno mi samej wybrać sobie męża. Henryk złożył mi kiedyś taką obietnicę, a ja mu ją teraz przypomnę.

- Pani, rad bym ci służyć w każdej innej potrzebie, lecz...

- Och, cóż za hańba! Łamiesz mi serce! - krzyknęła, rzucając się z płaczem na łóżko.

Szloch wstrząsał całym jej ciałem. Diuk nie mógł tego znieść.

Przysiadł na brzegu, próbując ją uspokoić. Dotknął jej twarzy, włosów. Boże, niechby ucichła! Kobiety! Cóż to za szalone istoty! Któż je zrozumie? To te humory, za dużo ich mają. A jeżeli umrze z tego płaczu? Dopiero będę miał się z pyszna!

- Ja... zawsze cię uwielbiałem, Mario... - zawiesił głos, czekając, co z tego wyniknie. Łkania nie ucichły. - Jesteś siostrą mojego króla, damą mego serca, dla której uczyniłbym wszystko, by ją uszczęśliwić...

- Więc ożeń się ze mną! - dobiegł go stłumiony głos. Leżała z nosem w poduszce.

- Dobrze, ożenię się z tobą. Masz na to moje słowo.

Spojrzało na niego jedno opuchnięte oko.

- Naprawdę?

- Z serca i najuczciwiej. Błagam cię, uczyn mi zaszczyt i zostań moją małżonką. - Gotów był zrobić wszystko, byle tylko nie słyszeć tych piekielnych szlochów.

- Zabierz mnie z tego okropnego miejsca!

- To ci obiecuję.

Nareszcie przestała płakać. Co za ulga! Pod drzwiami czekał Franciszek w asyście kilku swych dworzan.

- I cóż, milordzie? Z jakim przyjęciem spotkała się twoja suplika?

- Królowa zgadza się, wasza miłość.

Franciszek zachnął się wewnętrznie na skrytą w tych słowach obelgę. Już po raz drugi ambasador Henryka zwraca się do niego jak do księcia! Czyżby otrzymał taki rozkaz od swego króla? Tak czy inaczej niepoprawny z niego zuchwalec! O, w pełni zasłużył sobie na to, co go czeka! Zbrodnia stanu! Własny monarcha zetnie mu za to głowę. A ją ten mezalians okryje tak wielką hańbą, że skończą się wszelkie spiski. Gdyby nawet była brzemienna, teraz będzie to już sprawka tego angielskiego diuka. Nieznośny prostak. Zechce z pewnością jak najrychlej wywieźć ją do Anglii. No i bardzo dobrze.

- Przyjmij me gratulacje, drogi kawalerze - rzekł z udaną jowialnością. - Zawezwałem już księdza do kaplicy. Pragnę własną osobą służyć wam za świadka.

Charles Brandon później dopiero w pełni zdał sobie sprawę, jaką to intrygę przyrządził dla niego Franciszek. Nazywało się to niełaska, ruina i śmierć. A wszystko przez kobietę. Jakież to francuskie, myślał błąd ze strachu.

- Panie mój, nie wolno ci tak siedzieć - upomniała go królowa Maria, która najwyraźniej odzyskała już spokój ducha. Pomimo mariażu z diukiem zachowała królewski tytuł.

- Jesteśmy zgubieni! - jęknął jej nowy małżonek.

- Wcale nie - odrzekła twardo. - Pod warunkiem że zwrócisz Henrykowi mój posag. Dla niego pieniądze to rzecz bardzo ważna. - Brandon, który kilkakrotnie zenił się dla posagu, nie wyczuł w jej głosie ironii. - Napiszę do Henryka, by przypomnieć mu o obietnicy. - Diuk nadal ponuro milczał. - Napiszę też do Wolseya. Już on potrafi ułagodzić mojego brata. - Diuk spojrział na nią z goryczą: czyżby całkiem nie pojmowała, co mu grozi? - Ale najpierw sam musisz zawiadomić Henryka o naszym ślubie. Źle by się stało, gdyby to uczynił ktoś inny. O ślubie winien donieść mąż. - Położyła przed nim papier i atrament. - Zostawię cię teraz samego, jeśli sobie życzysz.

- Zajmie mi to trochę czasu - odparł, czując, że zwilgotniały mu ręce. Co powiedzieć, od czego zacząć? Nie był biegły w piśmie. Mijały godziny, a on miał kartkę za kartką. Kiedy przyszedł lokaj ze świecami, Suffolk ciągle jeszcze nie ruszył z miejsca. Pot lał mu się z czoła strumieniem, pióro ślizgało się w rękę... Napiszę wpiery do Wolseya, postanowił wreszcie, niech zrobi, co się da, aby jakoś sprawę załagodzić. „Królowa poty nie dawała mi spokoju - napisał - aż przysiągłem się z nią ożenić. Przed waszą miłością nie będę ukrywał, że uczyniłem to chętnie i że z nią ległem, obawiam się przeto, żem mógł ją uczynić brzemienną.” No tak, Wolseyowi łatwiej to było wyjaśnić, ale co powiedzieć królowi? Co zrobić, żeby zrozumiał? Za całe wytłumaczenie nagryzmolił w końcu jedno zdanie: „Nigdy rzem nie oglądał tak okropnie płaczonej niewiasty.” Ortografia, jako się rzekło, nie była jego mocną stroną.

Arcybiskup Wolsey rezydował w swoim gabinecie, dzisiaj wszakże obok kominka. Za oknami York House wisiała mgła tak gęsta, że nie widać było na krok. Wszędzie panowało dokuczliwe zimno.

- Panie Warren, w liście do księcia Suffolka napisz przy końcu raz jeszcze, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Jako żywo, nigdy za mej pamięci nikt nie napytał sobie takiej biedy. Niechaj nie waży się wracać, póki król nie ochłonie z furii - zakończył z ciężkim westchnieniem arcybiskup. Cała jego polityka legła w gruzach. Maria wraca w niełasce; trzeba użyć wszystkich możliwych forteli, by wkrótce nie została wdową po raz drugi. Królem Francji będzie Franciszek, niechętny traktatowi z Anglią. Już teraz francuska flota łupi angielskie statki, a on udaje, że nic o tym nie wie. A co będzie potem? Anglia w pojedynkę nie jest w stanie wypowiedzieć mu wojny, a brak jej teraz sojuszników. Jak długo angielski monarcha ma znosić tak dotkliwe upokorzenia?

W drzwiach gabinetu ukazał się Brian Tuke z kolejną porcją korespondencji. Wolsey doszedł do wniosku, że zrobił się irytujący. Od czasu gdy nie ma Ashtona, nadyma się jak

ropucha. I ta jego układność... Przedtem wydawało się to nawet miłe, teraz... Teraz przypomina mi łasicę, pomyślał arcybiskup. Trzeba będzie go trochę usadzić. Na czas jakiś obdarzę łaskami Warrena. Ach, gdyby równie łatwo dało się usadzić Franciszka! Po raz kolejny otworzył małą drewnianą kasetkę i przyjrzał się obliczu swego przeciwnika. Młody, lecz ponad wiek chytry i zręczny. I do tego arogant. Chutliwy, zuchwały, podstępny. Krótko mówiąc, groźny nieprzyjaciel, tym groźniejszy, że umie to pokryć uśmiechem i olśniewającą prezencją. Miniaturowy portrecik wiernie oddawał wszystkie te cechy.

- Wasza miłość, drugi list od królowej Francji i zaszyfrowana wiadomość od pana Ashtona. Jest także malutka paczuszka.

- Nareszcie. Cóż on tam robi, do licha? Przed miesiącem nakarmił mnie jakąś bzdurą o spisku na południu Francji, dołączając do listu ten oto portret króla Franciszka, i od tego czasu cisza. Całkiem niepotrzebnie wdaje się w takie androny. Panie Tuke, rozszyfrujcie zaraz jego list.

Tuke pstryknął palcami na klerka od szyfrów, który skłonił głowę, by ukryć gniew, po czym uzbrojony w koło szyfrowe i świecę zasiadł do pracy. Tuke tymczasem, gładki jak jedwab, zaczął zabawiać Wolseya; dowcipne uwagi i grube pochlebstwa płynęły mu z ust potokiem. Warren, pochylony nad listem do lorda Suffolka, słuchał tego z rosnącą irytacją. Jego eminencja wydawał się bowiem zaiste oczarowany. Jedni pracują, a drudzy serwują pochlebstwa, i to wystarczy. Ze złości na bezczelnego rywala Warren tak mocno przycisnął pióro, że pękło, siejąc wokół krople atramentu. Musiał zaostrzyć drugie.

Wolsey z uczuciem przyjemnego oczekiwania odwijał nasączony oliwą jedwab, wyczuwając pod nim znajome kształty małej okrągłej kasetki. Przynajmniej Zuzanna Dallet uczciwie mi służy, pomyślał z zadowoleniem. Z kasetki spozrzała na niego para ciemnych niechętnych oczu, płonących jak dwie małe żagwie w wąskiej, wyniośle aroganckiej twarzy. Biła z niej ambicja, perfidia i wojowniczość. Taki człowiek nie cofnie się przed zdradą. I pomyśleć, dumął arcybiskup, że pozował pewnie z wielką satysfakcją, nie domyślając się nawet, że wizerunek zdradza wszystkie jego sekrety. Wybornie, doprawdy wybornie. Zobaczmy, któż to taki. Ach, to ów nowy konetabl, wielmożny diuk de Burbon. Człowiek, którego z pewnością warto mieć na oku.

- Oto list, eminencjo. - Tuke wykwinętym ruchem złożył na biurku Wolseya owoc żmudnej pracy kolegi.

- O, to ciekawe, doprawdy fascynujące - mruknął arcybiskup po chwili. - Ashton pisze o chybionym spisku mającym na celu przejęcie tronu. A przewodził mu pan de Burbon. No, no! - Część umysłu Wolseya natychmiast zaczęła pracować nad możliwą w tych nowych

warunkach intrygą, druga natomiast zajęła się autorem listu. A więc Ashton sprzymierzył się z malarką! Biło to w oczy jaśniej, niż gdyby wyłożył rzecz słownie. Ha, widać tym sposobem postanowił teraz pokonać Briana Tuke'a. Metoda okrężna, lecz chyba skuteczna. Przypuśćmy, że umyślił sobie umocnić swoją pozycję przez małżeństwo z Zuzanną Dallet? Chybabym się na to zgodził... w ten sposób mógłbym na stałe zatrzymać ją w swojej służbie. Hm... Każę mu obiecać, że pozwoli jej nadal malować. Och, już widzę, jak urazi to jego ambicję! Będzie niezła zabawa! A może by tak po ślubie obniżyć jej pensję? Zastanowię się jeszcze... Może to, co jej odbiorę, dodam jemu. Nie powinni wszak przymierać głodem. Ale z początku sprzeciwię się temu małżeństwu. Odmówię Ashtonowi zgody wyłącznie po to, by zobaczyć jego minę. Bawiąc się tą myślą, nie przestawał zarazem roztrząsać otrzymanych przed chwilą wieści. - Rola konetabla w tym spisku nie została ujawniona - rzekł głośno - a on sam stara się bardzo usilnie wkraść w łaski nowego monarchy. Swoją drogą głupich dobrał sobie współników. Następnym razem postara się pewnie o lepszych.

Burbon, kalkulował po cichu, jest panem połowy Francji, legitymującym się ponadto dość odległymi, niemniej jednak prawami do tronu. Gdyby Franciszek był mądry, zaraz by go skrócił o głowę. Pod pierwszym lepszym pretekstem. Ale jest na to jeszcze zbyt młody. Brak mu doświadczenia w rządzeniu królestwem... Wolsey odchylił się w wielkim dębowym fotelu i jął bębnić palcami po poręczy. Burbon... To może być obiecujące... Poczekam do chwili, aż zacznie wykazywać jawne oznaki niezadowolenia. Wtedy nawiążę z nim kontakt. Zobaczymy. Może by tak zawrzeć przymierze z nim i cesarzem przeciw Franciszkowi. A gdy Burbon zabierze Francji połowę jej terytorium, Franciszek przypomni sobie dawnych sprzymierzeńców... Będzie błagać Anglię o sojusz. A ja zastanowię się wówczas, komu udzielić poparcia...

- Wasza miłość - przerwał jego zadumę Tuke.

Wolsey szybko zamknął swe wnioski w przegródce opatrzonej hasłem „Sojusze i zdrady”, mieszczącej się zaraz obok tych z napisem „Kapelusz kardynalski - postępy” i „Hampton Court - przebudowa wodociągu”, po czym podniósł wzrok na podwładnego.

- Ach tak, list od królowej Francji. No, panie Tuke, jak twoim zdaniem mamy ją wydobyć z opresji?

- Ach, miała rację madame la duchesse, doprawdy pięknie malujesz - orzekła przeorysza. Na jej wielkim biurku w skromnym, wybielonym wapnem gabinecie leżały resztki moich miniatur i szkiców obok otwartego listu diuszesy d'Alencon. Drzwi prawie się nie zamykały; co chwila przychodziły to jakieś mniszki, to główny ogrodnik, to znów

spowiednik matki przełożonej, stary ksiądz z tak niewielką kępką siwych włosów, że nie trzeba mu było tonsury. My z Nan czekałyśmy cierpliwie, aż wielebna matka skończy załatwiać sprawy. - Trudno zarządzać tak wielkim klasztorem - powiedziała tonem usprawiedliwienia. - Bardzo mi przykro, że nie jestem w stanie poświęcić ci całej uwagi. O! Co to za anioł? Przepiękny. Najpiękniejszy z twoich obrazków.

- To anioł Hadriel, madame.

- Hadriel? Słyszałam o Gabrieliu, Urielu, Rafaelu, Michale, lecz takiego imienia nie znam.

- Pojawił mi się kiedyś we śnie i podał to imię. Namalowałam go tak, jak wyglądał w moim śnie.

- Masz szczęście, że umiesz malować sny. Czy ten anioł coś ci przekazał? - spytała bardzo rzeczowo. Przeorysze to pewnie osoby, które dużo wiedzą o wizjach, marzeniach sennych i o ludziach, którzy takie rzeczy przeżywają.

- Właściwie tak, choć do dziś nie rozumiem, co miał na myśli. Namalowałam jego wizerunek, a co do postępowania... cóż, robię to samo, co przedtem.

- Ludzie, którym dane jest doświadczyć takiego snu, starają się zwykle zmienić swe życie na lepsze - uśmiechnęła się przeorysza. - Cóż więc rzekł ci Hadriel?

- Że jeśli sięgnę rękami tęczy, będę ją mogła zatrzymać. Nie udało mi się, bo przecież to niemożliwe. A zresztą od początku mego pobytu we Francji ani razu nie widziałam tęczy. Wciąż tylko pada tu deszcz albo śnieg. Myślę, że była to taka senna niedorzeczność. Chociaż bardzo ładna. Może gdybym była trochę lepsza... może wtedy zesłano by mi sen łatwiejszy do zrozumienia.

- Jakież to dziwne przesłanie! Powiedz, co stało się potem?

- Cóż, mój mąż został zabity i od tej pory sama zarabiam na życie. Malowaniem.

- Hm... - Ksieni zapatrzyła się w przestrzeń, stukając palcem po biurku. - Muszę pomyśleć nad znaczeniem twojego snu. Rzecz nie jest łatwa. Będę się modlić, by Bóg mnie oświecił. Pewne jest bowiem, że każdy sen czy też wizja ma swe ukryte znaczenie, my zaś powinniśmy je odkryć. Tobie kazano coś zrobić, a ty nie wykonałaś owego polecenia, i pewnie dlatego popadłaś w takie kłopoty. Cóż, poproszę teraz siostrę Klarę, by zaprowadziła was do sypialni i wskazała łóżka. Znasz się na sztuce złocenia? Mamy tu wiele iluminatorek i kopistek, lecz tak się składa, że jedyna nasza mistrzyni od złocień, siostra Agata, niedawno nas odumarła, pozostawiając w połowie dopiero odnowiony ołtarz.

Kilka następnych dni upłynęło bardzo spokojnie, zgodnie z klasztorną regułą. Co dwie godziny odbywały się modły i śpiewanie nabożnych pieśni. Na umysł wpływa to nader

kojąco. Przynajmniej na chwilę można zapomnieć o wszystkim, nawet o tak strasznych rzeczach, jak czyjeś zielone oczy tłące się w mroku szaleństwem i czarne bezkształtne stwory, co żywcem zjadają ludzi. Ptaszki musiały mieszkać w kuchni, gdyż reguła nie pozwalała trzymać żadnych żywych stworzeń, co nie znaczy, że jej przestrzegano. Chyba wszystkie tutejsze mniszki ukrywały po kątach kotki i pieski. Ja swoich ulubieńców wolałam zostawić w kuchni - tam było im cieplej. Nan tak się o mnie martwiła i taka była ciekawa, co mi się przydarzyło, że w końcu zaczęłam płakać i wszystko jej opowiedziałam. O tym, co zrobiły z Crouchem te dwa czarne stwory. Widać przyzwał je z piekieł na własną zgubę.

Przyrzekła zachować sekret, lecz sprawa widocznie tak ją poruszyła, że najpierw w ścisłej dyskrecji opowiedziała przełożonej o strasznej niegodziwości pewnego wielkiego pana, który zagiął sobie na mnie parol i który dla osiągnięcia swych bezbożnych celów uprawiał czarną magię, a za sługi miał czarne demony. Potem zaczęła pomagać w pralni, mówiąc, że dużo trzeba wody, by zmyć z siebie pamięć o tak przerażających istotach... Bardzo szybko bowiem zaczęło jej się wydawać, że widziała je na własne oczy, podobnie jak kiedyś samego diabła i groźne znaki zapowiadające rychły koniec świata. Odtąd już wszystkie mniszki wypytywały ją ciągle o te straszne stwory nasłane na nas przez złego czarnoksiężnika. A wszystko dlatego, że wysoko cenię swoją cnotę i za nic nie chciałam mu jej oddać - to także mówiła w najgłębszej dyskrecji, wprawiając święte damy w wielkie poruszenie. Odrywała je tym od modlitw, byłam jednak zbyt szczęśliwa, że żyje, że jest ze mną nadal, by poważnie mieć jej to za złe...

Dla mnie znalazło się dużo pracy przy odnawianiu obrazów. Był tam na przykład mały, lecz bardzo ładny obrazek Madonny, który zamókł wskutek dziury w dachu, oraz kilka portretów dawnych przełożonych, z których zlazła farba. Przyczyniło się do tego zarówno kiepskie rzemiosło, jak i to, że mniszki musiały trzymać te portrety w jakimś wilgotnym lochu. Tak czy inaczej marny przedstawiały widok. Pracowałam ponadto nad miniaturami dla księżnej Małgorzaty, tak że całe to ukrywanie się byłoby nawet czymś bardzo przyjemnym, gdyby nie obawa przed złymi ludźmi, którzy dnia pewnego mogą mnie tu znaleźć. Czego jak czego, ale złych ludzi miałam już doprawdy dosyć. Wtedy też doszłam do wniosku, że na starość mogłabym mieszkać w klasztorze, teraz jednak bez przerwy myślałam o Robercie, co jasno dowodzi, że nie miałam zadatków na mniszkę.

Drogą wśród nagich pól posuwali się z wolna dwaj jeźdźcy na małych kudłatych konikach, prowadząc za sobą trzeciego, który niósł ich bagaż; niewiele tego było - pół jucznego siodła. Po południu zza oszronionych gałęzi przydrożnych drzew błysnęło słońce,

zapalając w zamrzniętych kałużach tysiące barwnych iskierek, nadal jednak było tak zimno, że ludzkie i końskie oddechy wisiały w powietrzu białymi obłoczkami pary. Robert Ashton i jego lokaj, grubo opatuleni przed chłodem, zatrzymali się wreszcie na rozstaju: dwa jednakowo wąskie trakty pokryte koleinami pełnymi na wpół zamrzłego błota przecinały się tu w szczerym polu, po czym biegły dalej zakosami, zdając się prowadzić donikąd. Za rozstajem widać było skuty lodem potok i kilka krytych strzechą chałup; znad ich ukośnych dachów unosiły się smużki dymu.

- Pojedziemy tam spytać - zdecydował Ashton. - Ci wieśniacy będą znali drogę.

Otworzyła im bosa, umorusana kobieta.

- Klasztor? Łatwo trafić. Jedźcie ano szlakiem na północ, tam gdzie widać świeże ślady kopyt. Dopiero co przejechało tędy ze dwunastu zbrojnych. Pospieszcie się, to ich dogonicie. Czasy dziś takie, że strach podróżować samowtór. - Widząc nagły niepokój przybyszów, dodała: - A wolicie tamtych unikać, to jedźcie tą drugą drogą.

- Mówili wam może, kim są? - spytał Ashton.

- A mówili, mówili. To ludzie wielmożnego pana konetabla, ale zacni. Oni to mi zapłacili - stwierdziła z naciskiem kobieta. Ashton, nie zsiadając z konia, wcisnął jej do ręki kilka sou.

- Jak daleko stąd do klasztoru?

- A zajedziecie tak za trzy albo i cztery godziny. Znaczy się, jak koniska nie połamią nóg na tym lodzie.

Jeźdźcy powrócili na trakt i nie bacząc na ostrzeżenie, puścili się dalej kłusem.

- Pielgrzymi? - spytał dowódca z jawnym powątpiewaniem. - Osobliwa pora na pielgrzymkę.

- Ślubowałem to mojej umierającej matce - wyjaśnił Ashton. - Nigdy tu jeszcze nie byłem, panie dowódco, powiadam wam, prawieśmy zabłądzili. Nie wiecie, czy w tym klasztorze mają jaki przyzwoity zajazd? Zmarzłem na kość, nie chcę dziś już wracać w tym zimnie.

- Lepiej przyłączcie się do nas, jak będziemy wracać z aresztantką. Na tej drodze grasują rabusie nawet i teraz, zimą.

- Kogóż to aresztujecie? - Ashton z powodzeniem udał ciekawskiego.

- Zbrodniarkę. Morderczynię, co korzysta z azylu w tym świętym miejscu. Kto by to pomyślał, he? Dzisiejsze niewiasty niegodziwością dorównują już mężczyznom.

- Takie czasy - westchnął Ashton, współczująco kiwając głową.



Na niewielkim wzniesieniu na wprost widać już było klasztor. Białe kamienne budynki o tak prostych kształtach, że przypominały stodoły, tuliły się wokół świątyni, górującej nad nimi wysoką surową dzwonnica. W pewnej odległości, wciąż jednak jeszcze w obrębie klasztornych murów, rysował się skośny dach kuchni, co łatwo było poznać po kłębach dymu unoszących się z kilku kominów. Potężne wrota zamknięte były od wewnątrz. Okrzykowi dowódcy odpowiedziało milczenie. Zirytowany podjechał bliżej i ująwszy żelazną kołatkę, kilkakrotnie załomotał w bramę. Znów cisza. Po kilku następnych próbach uchyliła się żaluzja, odsłaniając maleńki zakratowany otwór przy furcie, w którym ukazała się połowa niewieściej twarzy.

- Przybywamy od konetabla z nakazem aresztowania. Czy ukrywa się tu niejaka Zuzanna Dolet, malarka?

- Schroniła się u nas jakaś kobieta. Musicie wszakże odczekać całe czterdzieści dni, nim wolno jej będzie wyjść za tę furkę.

Wśród żołnierzy rozległ się groźny pomruk; niektórzy bez ceregieli oznajmili, co zrobią, jeśli ktoś im stanie na drodze.

- Co to za gadanie? - warknął kapitan w stronę niewiasty za kratą. - Rozkazuję ci nas wpuścić, i to już!

- Nie mamy zwyczaju wpuszczać do klasztoru uzbrojonych mężczyzn. Klasztor to miejsce święte - padła stanowcza odpowiedź.

- A ja radzę ten zwyczaj zmienić, inaczej podpalimy wrota - zagroził dowódca.

- Muszę powiadomić przeoryszkę - odrzekła niewiasta, zatrząskując z hukiem okiennicę.

Zmarznęte konie jęły przestępować z nogi na nogę, dowódca miotał przekleństwa na zimno i uparte mniszki. Jak by tu się dostać do środka?, myślał gorączkowo Ashton. Gdybym ich wyprzedził... Nadzieje te wszakże prysły, gdy w okienku pojawiła się znowu połowa twarzy. Ta należała już do innej mniszki.

- Panie kapitanie, chętnie otworzymy wrota przed waszym oddziałem, wszelako musimy was ostrzec: w klasztorze panuje zaraza.

Dowódca wyraźnie się wzdrygnął, kilku żołnierzy chyłkiem uczyniło znak krzyża.

- Pytam, gdzie Zuzanna Dolet?

- Niestety, kapitanie, należy ona do tych nieszczęsnych, którym nasz kapłan udzielił ostatnich sakramentów. Leżą w izbie chorych, biedactwa, czekając już tylko, aż Bóg miłosierny da im żywot wieczny.

- Nie mogę polegać tylko na waszym słowie. Skąd mam wiedzieć, czy to nie

łgarstwo?

- Ach, wszak do rana Zuzanna Dolet będzie martwa. Błagam, panie, nie zakłócajcie ostatnich chwil konającej! Rozumiem, że macie swe rozkazy, lecz nie znaczy to przecież, iż musicie przy tym narażać się na infekcję! Rankiem ciała zmarłych złożone zostaną w kościele, gdzie kapłan odprawi egzekwie. Przyjdźcie rano, a sami zobaczycie. Wypełnicie w ten sposób rozkaz swego pana, unikając zarazem ryzyka. To rada wielebnej matki przełożonej. Prosiła przekazać również, iż z prawdziwym żalem musi wam odmówić noclegu. Myślę jednak, że w tych okolicznościach sami będziecie woleli kwaterować w wiosce. To niedaleko, tuż za opactwem.

Żołnierze zaczęli zawracać od wrót, co widząc Ashton szybko zasłonił się płaszczem. Boże, Zuzanna umiera! Cóż warto są teraz wszystkie jego plany, wysiłki, pomysły?... I nawet go do niej nie wpuszczą! Nie wolno mu szepnąć jej słowa pociechy, posłuchać ostatniego tchnienia, ucałować ust - zarazić się i umrzeć razem z nią! Ileż w tym świecie zła i goryczy. Zły jest sam Bóg, skoro igra tak sobie z ludźmi: ukazuje im miłość i szczęście, by je natychmiast odebrać. Co dobrego jest w życiu? Zaraza! Cóż za potworna choroba! Nie pozwolą mu nawet dotknąć jej zwłok. Przed oczyma przesunęły mu się obrazy ich wspólnych chwil: Zuzanna wpatrzona w klatkę z ziębami na ptasim targu, Zuzanna zdejmująca znad paleniska wiszący tam stale garnek z klejem, by ugotować mu zupę, jej drobne dłonie o krótkich i zwinnych palcach... Z jakąż niezwykłą precyzją dłonie te kładły farbę na malutkim skrawku pergaminu... A potem mimo woli pomyślał o jej wulgarnie rozpasanych Ewach. Ach, nie ma na świecie drugiej takiej kobiety. I kiedy cudownym zrządzeniem losu odnalazł tę jedną jedyną, musiał ją zaraz utracić!

Mocno pracowałam właśnie nad tym zamkniętym obrazem Madonny, gdy spiesznie nadeszła ksieni z kilkoma mniszkami.

- Mistrzynie, u wrót stoją zbrojni! Przybyli po ciebie. Mówią, że nie odejdą, dopóki cię nie wydamy. Nasze wrota nie są tak mocne, aby ich mogły powstrzymać. Grożą, że zrujną klasztor. Doprawdy, nie mam wyboru...

- Chcesz mnie wydać, wielebna matko? Kim są ci ludzie, że działają wbrew woli siostry samego króla?

- To żołnierze konetabla. Twierdzą, że mają rozkaz cię uwięzić. Och, wcale nie pragnę ich wpuszczać, a drogiej diuszecie rada bym nieba przychylić, nie śmiem jednak dłużej sprzeciwiać się owym ludziom.

- Za co chcą mnie aresztować? Nic nie zrobiłam!

- Ty to wiesz i ja wiem... ale cóż, musimy zdać się na sędziów.

- Ale... Każ im zaczekać, wielbna matko.

- Już to uczyniłam. Nic wam to nie pomoże, mówią, będziemy czekać aż do sądnego dnia. A z klasztoru myś się nie wyślizgnie. Lękam się, że wtargną tu siłą, a Bóg raczy wiedzieć, jakich mogą dopuścić się czynów. Dlatego... musisz się poddać. Zatrzymałabym cię, gdybym mogła, ale oni wiedzą, że tu jesteś, tak więc nie mam wyjścia.

Nic tak nie ożywia umysłu jak śmiertelne niebezpieczeństwo. Mój rozpaczliwie szukał ratunku.

- Zaczekaj, wielbna matko, powiedz, że jestem chora, umierająca.

- No i co nam z tego przyjdzie?

- Powiedz im, że to dżuma, że się zarażą.

- Wątpię, czy mi uwierzą. Musiałabym pokazać ciało.

Wówczas to przyszła mi do głowy pewna myśl. Przeorysza, widząc mój uśmiech, popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Och, możemy pokazać im ciało! W tej właśnie chwili Bóg zesłał mi doprawdy doskonały pomysł! Zadowoleni będą i kapłan, i księżna d'Alencon, ty zaś, wielbna matko, uradujesz Pana Boga zacnym uczynkiem. Lecz aby rzecz się udała, potrzeba mi nocy.

- Myślę, że do rana mogłabym ich jeszcze powstrzymać, ale powiedz mi, co to za pomysł?

- Będzie mi potrzebna wasza pomoc, dużo woskowych świec i trochę gipsu...

- Po co?

- By popełnić oszustwo. Muszę wykonać gipsowe odlewy mej twarzy i rąk. Zdołasz ich powstrzymać od dotykania trupa?

- Ciała nieboszczki zmarłej na zarazę? Pewnie, że tak! - Po raz pierwszy od chwili, gdy doszła nas wieść o żołnierzach, przełożona zaczęła się uśmiechać. Widać było, że pomysł przypadł jej do gustu. Nie dość, że okpi niecnego uwodziciela, to jakąż zadziwiającą historię będzie mogła opowiedzieć diuszecie podczas najbliższej wizyty! Wiedziałyśmy obie, że księżna Małgorzata wprost uwielbia takie opowieści. Kto wie, czy klasztorowi nie kapnie przy okazji zacna darowizna? Nic więcej nie trzeba było mówić, zrozumialiśmy się doskonale. - No to bierz się zaraz do pracy - zakomenderowała ksieni. Była wszak osobą nawykłą do rozkazywania.

Prawie całą robotę wykonałyśmy w nocy; na rano zostawiłam sobie już tylko malowanie szczegółów, jako że przy tym zajęciu potrzebne jest lepsze światło. Wieczorem

zaczęłam od tego, że przebrana w habit nowicjuszki z pomocą mniszek wypchałam swoje ubranie słomą. Gipsowe odlewy twarzy i skrzyżowanych dłoni wyszły świetnie już za pierwszym razem.

- Gdzieś ty się tego nauczyła? - pytała matka przełożona.

- Och, wszyscy malarze muszą robić modele ludzkich członków. Bez tego trudno dobrze rozłożyć cienie. Któż chciałby pozować tak długo, żebym mogła porządnie wycieniować na przykład łokieć?

- Hm... rozumiem. Widzę, że wcale niełatwo uprawiać tę nową sztukę, chociaż co do mnie, to wolę starą. Prawda, że wszystkie twarze, ręce i stopy były jednakowe, a i draperie wszędzie wyglądały tak samo, ale za to jak pięknie malowano wtedy aureole! Uważam, że dobra aureola kieruje nasze myśli ku niebu. Dzisiejsza moda na nagość czyni malarstwo sztuką wielce nieprzyzwoitą, a owa odrobina pozłoty, co uchodzi dziś za aureolę, to doprawdy za mało.

- Zgadzam się z tym w zupełności - przytaknęłam, zabarwiając roztopiony wosk; po chwili wlałam go do formy.

- Czemuż to używasz takiego koloru? Przecież ludzka skóra jest różowawa.

- Tak, skóra żywych. Martwi są sinoszarzy. Później domaluję parę wrzodów. Nie chcę jako nieboszczka wyglądać zbyt ładnie.

Przeorysza parsknęła śmiechem.

- Mało kto może o tym decydować.

Rankiem odezwał się dzwon za umarłych, w kościele rozległy się żałobne pienia. Otwarto wszystkie drzwi i okna, by stojący przy bramie żołnierze mogli je dobrze usłyszeć. Kończyłam właśnie malować okropne ropiejące wrzody, gdy nadeszła ksieni.

- Wspaniale - stwierdziła z uznaniem, obejrzawszy „trupa”. - Skąd wzięłaś włosy?

- Proszę spojrzeć - odparłam, unosząc kornet. Pozostało mi na głowie mnóstwo krótkich jak u chłopca rudawych loczków, ale co tam! Dla prawdopodobieństwa gotowa byłabym poświęcić wszystko. Czyż nie wymagała tego sytuacja? Pocięłam nawet włosy na kawałeczki i zrobiłam trupowi rzęsy.

- Popatrz, ilu użyłaś kolorów - zauważyła przełożona, przypatrując się resztkom farb. - Chyba więcej niż do twarzy żywego człowieka.

- O nie! Zdziwiłabyś się, wielbna matko, ilu ich trzeba do żywej twarzy. Zaczynam od podmalówki, a potem, by oblicze przestało być płaskie, kładę kolory warstwami jeden na drugi.

- Widziałam, że ci, co malują świętych, zaczynają zawsze od zieleni. Dlaczego?

- Nazywa się to *terre verte*. Trzeba by zacząć kolorem leżącym pośrodku skali barw i dopiero od tego iść w górę i w dół. Miniatury maluję inaczej. Zaczynam mieszaniną ołowianej bieli z czerwienią, czasami z niewielkim dodatkiem masykotu. Stąd dochodzę do bladej żółci bądź rozbielonego różu, potem cieniuję mieszanką błękitu. Czerni nie używam, bo takie cienie wyglądają brudno.

- Widzę, że zanim przejdziesz do malowania stroju, używasz już całej palety - zauważyła ksieni.

- Tak, twarz ludzka ma w sobie wszystkie kolory.

- Jak tęcza - rzekła jakby ze zdziwieniem.

- To prawda. Można by powiedzieć, że twarz każdego człowieka ma w sobie całą tęczę barw. Tyle że u każdego różne są ich odcienie - odrzekłam wykańczając ostatni już wrzód na rękę mojego trupa. Wyszedł mi bardzo dobrze. - Nie są oczywiście tak czyste i jasne jak w prawdziwej tęczy - dodałam w zamyśleniu.

- Zuzanno, teraz zrozumiałam słowa twojego anioła - stwierdziła nagle wielebna matka. Spojrzałam na nią z pewnym zdziwieniem: ależ wybrała sobie porę na takie rozważania! Jeśli tamci spod bramy wykryją oszustwo, gotowi już nie tylko spalić klasztor, lecz i dokonać tu istnej rzezi, a ona myśli o snach! Dziwne doprawdy są te zakonne osoby. - Anioł przykazał ci robić właśnie to, co robisz. Powiedział: „Maluj ludzi. Ich twarze i ich naturę.”

Stanęłam, patrząc na nią w milczeniu. Skoro tak, to pięknie na tym wyszłam! Maluję oto swoje własne zwłoki, by okpić zabójców, Robert Ashton pewnie nie żyje, i do tego żadnym ludzkim sposobem nie mogę wrócić do domu. Jeśli to ma być błogosławieństwo, lepiej nawet nie myśleć, jak wygląda kłątwa.

- Cóż, może masz rację, wielebna matko - powiedziałam, nie chcąc się z nią spierać. - Skończyłam. Myślę, że można wpuścić tych żołnierzy.

Ksieni poleciła mniszkom ułożyć „zwłoki” na marach, te zaś ustawić przed głównym ołtarzem. Skłamałabym mówiąc, że ich widok nie sprawił mi satysfakcji. Uznałam, że kukła podobna jest do mnie kubek w kubek, a wygląda tak przerażająco, że nikt, komu życie miłe, na pewno blisko nie podejdzie. Przeorysza osobiście otworzyła wrota, sama też przyprowadziła dowódcę, nakazując mu w progu zdjąć hełm. Przypatrywałam się temu skryta na chórze. Każdy artysta lubi widzieć wrażenie, jakie robi na ludziach jego dzieło, a to moje w dodatku powstało w tak krótkim czasie. Doprawdy rozpierała mnie duma.

- My, mniszki - mówiła przełożona nabożnym szeptem - nie lękamy się śmierci. Dla nas to tylko brama do lepszego świata. Nie zdziwię się wszakże, jeśli wy, ludzie świeccy, nie

zechcecie zbliżyć się do zmarłej.

Żołnierze istotnie nie mieli na to ochoty.

- Powiadasz, wielbna matko, że to mór?

- Bez wątpienia. Wczoraj rano tu właśnie biedaczka odłożyła pędzle. Widzisz ten obrazek Madonny, kapitanie? Nikt nam go już nie naprawi... Zdążyła przemalować ledwie połowę świętego oblicza. Wielka szkoda! „Mój Boże, cóż za ból”, krzyknęła. Widać było, iż trawi ją straszna gorączka. Tak to jest z zarazą... zabiera ludzi w okamgnieniu. Rano jeszcze człek zdrowy, a wieczorem już po nim. - Gwardziści zaczęli cofać się w stronę drzwi, lecz przełożona szła za nimi, zapewniając, że ten, kto zarazi się w świętym miejscu, zyska milion lat odpustu, gdyby więc i oni... ach, nie każdy z grzeszników może dostąpić takiej łaski.

Zwłoki zostawiono przed ołtarzem, na wypadek gdyby jednak któremuś przyszło do głowy wrócić. Kiedy po porannym posiłku udałam się znów do kościoła, zastałam tam przeoryszę. Podparłszy dłońią policzek, przechadzała się koło trupa, mruczając do siebie w zadumie:

- Hm... Szkoda wyrzucać tak pięknie wykonane zwłoki... Ciało nie ulegające rozkładowi... Ciało męczennicy, która cnotę cenila nad życie... Bóg powołał ją do chwały wiekuistej, by uchronić przed uwodzicielem... Tak, to by było czyste marnotrawstwo... Grób świętej... Trzeba by go urządzić w jakimś chłodnym miejscu... by wosk się nie topił... najlepiej w podziemnej krypcie za kratą...

Nie chcąc jej przerywać nabożnych rozmyślań, stanęłam w bocznej kaplicy, gdzie było dość ciemno. Wówczas też dostrzegłam okutaną płaszczem postać... Mężczyzna zatopiony w żarliwej modlitwie klęczał przed uszkodzonym obrazkiem Madonny, gdzie dla większego efektu zostawiłyśmy rozrzucone farby i pędzle. Czyżby to był Robert? Kiedy jęknął i zaczął szlochać, byłam już tego prawie pewna. Serce nakazywało mi do niego podbiec, rozum mówił wszelako, iż w moim położeniu rzeczą pierwszą i najważniejszą jest ostrożność. A nuż to jednak nie on? Co by to było, gdybym nagle rzuciła się w objęcia nieznanemu mężczyźnie? No, muszę tu wyznać, że przyszła mi też do głowy dosyć niegodziwa myśl. Niewielu ludziom dane jest usłyszeć, co mówi się o nich po śmierci... A rozpacz Roberta spływała mi miodem na serce, gdzie wciąż jeszcze tkwił ów ostry sopek lodu. Wprawdzie znacznie się zmniejszył po wszystkim, cośmy razem przeszli, mimo to był tam nadal i dawał znać o sobie, ilekroć mój luby zaczynał kalkulować, czy jakieś posunięcie przyniesie mu korzyść. Teraz dopiero mogłam się przekonać, że nie jest kłamcą, że kocha mnie naprawdę, nie bacząc na moje błędy. Ach, była to pokusa nie do odparcia: poczekać jeszcze chwilkę, usłyszeć, co powie, a potem rzucić mu się w objęcia! Wszystko dobre, co się

dobrze kończy.

- Za późno, za późno! Odeszłaś, ukochana! Umarłaś tak straszną śmiercią! - zawołał z płaczem. - Okrutny Boże, zabierz mnie wraz z nią! - Podniósł się nagle z klęczek i podszedł do ołtarza, gdzie nadal krążyła ksieni, pogrążona, zda się, w cichej modlitwie. - Muszę jej dotknąć! - wykrzyknął. - Nie było mnie przy niej w ostatniej godzinie, teraz więc pragnę ująć tę martwą dłoń w swoje i ślubować jej wiarę na wieczność!

Doprawdy nie podejrzewałam, że ten tak przecież trzeźwy Robert Ashton ma w sobie tyle romantyzmu!

- Stój, człowieku, to pewna śmierć! - zawołała ksieni w obawie, że nasze oszustwo wyjdzie na jaw.

- Nie rozumiesz, wielbna matko? - jęknął Robert. - Zbyt długo zwlekałem z wyznaniem, że kocham ją ponad wszystko, a teraz już nigdy się tego nie dowie! Jak mogłem być tak nieczuły, taki oschły? Gdybym nie lękał się swego patrona, umarlibyśmy chociaż jako małżonkowie. Jak nędzny i tchórzliwy wydaję się teraz sam sobie w obliczu jej wielkiej miłości! Bądź świadkiem, pani, ostatniego pocałunku, który złożę na jej zimnych wargach. Niech śmierć będzie naszym ślubem, niech nas połączy na wieczność! - krzyknął wielkim głosem, odsuwając na bok bardzo zakłopotaną matkę przełożoną.

Ukradkiem podsunęłam się bliżej, była to bowiem scena poetyczna ponad wszelki wyraz. Teraz już całe moje serce pełne było miłości i ciepła. Więc aż tak jest mi oddany! Łzy popłynęły mi z oczu: z jakąż desperacją padł na moje zwłoki! Z wolna, przymknąwszy powieki, przybliżył usta do sinych warg trupa...

- A cóż to takiego, u licha?! - krzyknął, odskakując nagle, jakby dotknął węża. - Kiepski żart! - warknął z groźbą w głosie, obmacując moje wypchane ciało.

- Robercie, to nie wina wielbnej matki, to mój pomysł! - krzyknęłam, wychodząc z ukrycia. Obrócił się gwałtownie na dźwięk mego głosu, a jego zalane łzami oblicze spłonęło krwistym rumieńcem.

- Powinienem był się domyślić - rzucił cierpko.

- Mój drogi, musiałam zmylić gwardzistów, którzy przyszli mnie aresztować! To nie ciebie chciałam oszukać!

- Uhm, tylko że nijak nie mogłaś się oprzeć pokusie, co?

Wyszłam już z cienia i stanęłam w smudze słonecznego blasku, który przesączony przez barwne witraże, mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Mój Robert... Wydał mi się wielce urodziwy w tym swoim wzburzeniu. Prawda, powinnam się była wstydić, od wstydu silniejsze było jednak zadowolenie. Ach, kocha mnie tak, że gotów był ze mną umrzeć! Może

to i melodramatyczne, lecz dobrze o nim świadczy.

- Pomyśl, Robercie, która kobieta nie chciałaby usłyszeć od swego mężczyzny, że pragnie iść za nią do grobu?

- No, teraz już chyba wierzysz, że cię nie oszukuję - mruknął z zakłopotaniem. Czulałam, że gniew mu nie przeszedł. - Ale wiesz, co ci powiem? Z tą siną cerą wcale ci nie do twarzy.

- Ha, przyznaj, że zwłoki są przednie.

- Owszem, niezłe. Kiedyż ty przestaniesz oszukiwać ludzi?

- Chyba nigdy. Nic na to nie poradzę, mój miły, taka już jestem, znasz mnie. A zresztą sam widzisz, w jakich byłam opałach. Taki wróg jak pan de Burbon to nie byle kto.

- Wiem. - Twarz mu zmiękła.

- Wiesz także i to, że w sercu jestem uczciwa. - Miałam nadzieję, że wybaczy mi ten drobny grzeszek. Rozumie przecież chyba, jak srodze zawiódł mnie Dallet. Czyż w takich okolicznościach nie jest rzeczą naturalną, że kobieta chce się upewnić, czy jest prawdziwie kochana?

- To wiem na pewno. - Popatrzył na mnie, na zwłoki, westchnął, a potem... zaczął się śmiać. Z tego śmiechu aż zgiął się we dwoje i łzy pociekły mu z oczu. W końcu ksieni musiała go uciszyć. - Och Zuzanno - wykrztusił - czy ty masz pojęcie, jaką czuję ulgę? Wraz z twoją śmiercią życie utraciło dla mnie wszelki sens, a tu nagle widzę cię całą i zdrową! Znów chce mi się żyć i ty, ty to sprawiłaś! Nie wiem, za co tak cię kocham... chyba za to, że jesteś, jaka jesteś. Choć, o czym oboje wiemy, od dnia, gdyśmy się poznali, okropną mi dajesz szkołę! - Pokręcił głową, jakby sam nie mógł w to uwierzyć. Och, ja go też kochałam! Podobał mi się nie tylko cieleśnie, lecz i za to, że potrafił tak się śmiać, że zamiast srebrnego lusterka wolał ofiarować mi ptaszki. - Gdybym był człowiekiem rozsądnym - mówił dalej, nie odgadując chyba, o czym teraz myślę - pewnie bym próbował cię zmienić. Ale ja w żaden sposób tego nie potrafię, i dobrze! Wiesz, był czas, gdy bardzo się bałem, że wyśmiejesz moje oświadczenia, bo cóż ja... Miałabyś dla mnie porzucić możnych patronów, dworski przepych i galanterię? Jakież życie mógłbym ofiarować ci w zamian, zwłaszcza gdyby arcybiskup zwolnił mnie ze służby za nieposłuszeństwo? Któraż niewiasta będzie kochać męża bez pieniędzy i stanowiska? Tak myślałem nie rozumiejąc, że ty... ty nie jesteś jak inne kobiety.

Spojrzał na mnie tak czule, że omal się nie rozplakałam, lecz po co płakać, gdy słyszy się takie słowa! Ha, serce urosło mi w piersiach. Zajmowało teraz ze dwa albo i trzy razy więcej miejsca.

- Mój Boże! - znowu pokręcił głową. - Dziś wiem, że to duma kazała mi lękać się



twojej odmowy. A gdybym cię teraz poprosił...

- Więc poproś! Przekonaj się, co ci powiem!

- Zuzanno, czy zostaniesz moją żoną? Tu i teraz? Nie bacząc na to, co nas czeka?

- Tak, Robercie, tak! Czynisz mnie najszczęśliwszą istotą na świecie! -

Rozmawialiśmy po angielsku, lecz przełożona musiała coś zrozumieć, bo przerwała nam po francusku:

- Domyślam się, Zuzanno, że złożono ci propozycję. Czy aby uczciwą?

- Najuczciwszą, wielebna matko - odrzekł Robert Ashton. - Czy jest tu jaki ksiądz, który mógłby nam udzielić ślubu? Mam miejsce na statku do Anglii w orszaku księcia i księżnej Suffolk i pragnę wziąć ze sobą Zuzannę już jako swoją małżonkę. Musimy bardzo się spieszyć. Książęca para lada chwila opuści Paryż.

- Księżna? - spytałam zdumiona. - Kogóż to poślubił wielmożny diuk Suffolk?

- Białą Królową. Pobrali się potajemnie. Teraz dopiero rzecz wyszła na jaw.

- Zawsze mi się wydawało, że nasza księżniczka ma do niego słabość. Ale powiedz, jak to się stało?

- Cóż, rudowłose kobiety zawsze stawiają na swoim.

- O, panie Ashton, ja nie jestem ruda! Moje włosy mają tylko troszeczkę rudawy odcień. Robercie... Czy po ślubie pozwolisz mi malować?

- Wiesz, co ci powiem? Nigdy bym ci tego nie zabronił. Malowanie zbyt wiele dla ciebie znaczy. Musisz mi jednak coś przyrzec: nigdy więcej fałszywych zwłok, podszywania się pod zmarłych malarzy i nagich Ew.

- Przysięgam ci to uroczyście.

Niewiele kosztowała mnie ta obietnica: nie lubię dwa razy robić tego samego. Poza tym postanowiłam teraz ściśle trzymać się wskazówek mego poradnika. Może uda mi się zasłużyć na miano zacnej małżonki. Wypróbuję nawet znowu ten przepis na leszcza. Robert kiedyś wspomniał, że bardzo lubi tę rybę, a w dodatku nastał właśnie Wielki Post.

## PORTRET TRZYNASTY

„Małe dziecko z zębami”. Malarz nieznany. Szkoła flamandzka, ok. r. 1500. 76 x 55 cm. Rysunek podkolorowany czerwoną i czarną kredą. Ermitaż, Sankt Petersburg.

Żywość, z jaką nieznany artysta ukazuje prawdziwe dziecko, charakterystyczna jest raczej dla włoskich malarzy tego okresu, którzy w ten właśnie sposób przedstawiali nam swoje putti. Malec, usadowiony pod drzewem w koszu do bielizny, próbuje pochwycić zięby siedzące nad nim na gałęzi. Zwraca uwagę bardzo precyzyjna technika rysunku, widoczna zwłaszcza w odtworzeniu buzi i rączek, a także wyraźny wpływ wioski w sposobie malowania fałdów na sukience dziecka i kocykach, którymi okryty jest koszyk. Wbrew niekonwencjonalnej pozie i ekspresji małego modela, tak różnych od tego, co oglądamy w ówczesnych portretach dzieci arystokratów, w zamyśle malarza był to niewątpliwie portret, być może własnego dziecka.

P. Michaels, Rysunek flamandzki doby Renesansu

U drzwi pewnej galerii na Pont-au-Change ozwał się srebrny dzwoneczek i w tej samej chwili klienci weszli do sklepu. Zajęte grą w kości kędzierzawe cherubinki w popłochu poderwały się z lady i z głośnym łopotem skrzydełek umknęły przez sufit.

- No, mamy cię wreszcie, Hadrielu! Ależ znalazłeś sobie miejsce! Co ty wyprawiasz?

- srogo zagrzmał Uriel. Za nim stał archanioł Michał ze swym wielkim ognistym mieczem.

- Och, odłóż ten miecz, Michale - odezwał się bynajmniej nie skruszony Hadriel. - Jeszcze mi tu podpalisz moje *objets d'art*.

- Wiedz, iż powiadomiliśmy Ojca, żeś zaniedbał swe obowiązki. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby obniżył ci szarżę.

- Wszystko, co czynię, to sprawa natchnienia. Spłynęło na mnie, rozumiecie? Ach, ale wy zapomnieliście pewnie, czym jest inspiracja. Żaden z was nie doświadczył tego już od wieków, w przeciwnym razie mielibyście więcej zrozumienia... Rozejrzyjcie się dookoła, spójrzcie na te obrazy i inne piękne przedmioty! Czyż moja nowa metoda nie jest szybsza i skuteczniejsza? Ten sklep promieniuje natchnieniem na całe miasto! W przyszłym miesiącu mam zamiar otworzyć kilka filii. Co myślicie o Amsterdamie?

- Chcesz wiedzieć, co myślę? Niepoprawny z ciebie awanturnik. Znów narobiłeś zamętu w całym świecie, wywracając wszystko na opak. I gdzież to cię znajdujemy? W

sklepie! Anioł sklepikarz! Cóż za pospolitość! Wszystkim nam psujesz opinię.

- A was oczywiście obchodzi tylko opinia! Uczciwy anioł powinien robić wszystko, co konieczne, tak ja uważam. Ha, ale z was gorsze snoby nawet od tych nadętych serafinów. Ja tam nie boję się uwalać sobie rączek jak niektórzy. Trzeba było rozprawić się z Belfegorem, to go uwięziłem, i proszę! Ładna spotyka mnie wdzięczność!

Dwaj archaniołowie odbyli szeptem krótką konferencję.

- Uwięziłeś Belfegora? Jak?

Hadriel rozsiadł się na kontuarze.

- Lepiej nie pytajcie - rzucił krótko, machając bosymi stopami i ostentacyjnie przyglądając się własnym paznokciom.

- Okazujesz na dodatek jeszcze i brak szacunku.

- O przepraszam, mam mnóstwo szacunku! Dla swojej pracy, dla Ojca, dla siebie wreszcie: to, że jest się aniołem, coś przecież znaczy. A może wszystko, co robię, to pomysł naszego Ojca? Zastanówcie się nad tym! Czyż nie jest On Alfą i Omegą? Ojciec wie wszystko! Co jest, było i będzie.

Michał, zbity z tropu tymi słowy, podrapał się po czuprynie, Uriel wszelako twardo oświadczył:

- Tak czy inaczej pójdiesz z nami. A weź ze sobą swoje cherubiny. Od nich dowiemy się wszystkiego o twoich sprawkach. Nie ma co mówić, Hadrielu, srodze nas zawiodłeś. Doprawdy, spodziewaliśmy się po tobie czegoś lepszego.

Wszyscy trzej przeniknęli przez sufit i po krótkiej chwili znaleźli się już poza murami Paryża. Zaniepokojone cherubinki leciały teraz cichutko jak stadko spłoszonych wróbli. Za nimi aż po daleki horyzont rozpościerały się chmury, z których tu i ówdzie padał lekki wiosenny deszczyk. Tam, gdzie rozwiewał je wiatr, otwierały się jasne okienka błękitu. Któryś z cherubinków pociągnął nagle Hadriela za szatę. Daleko za miastem, na wąskiej błotnistej drodze widać było konie. Dwa z nich dźwigały czworo jeźdźców, trzeci, uwiązany na linie, niósł stertę bagażu uwieńczoną osobliwie małym kuferkiem i klatką. Za plecami pierwszego jeźdźca siedziała kobieta w kapturze i zimowym płaszczu, byстрыm anielskim oczom nie uszedł wszakże jej szary strój nowicjuszki.- Patrzcie - rzekł Hadriel - to moja znajoma, mistrzyni Zuzanna.

Na surowym obliczu Uriela odmalował się głęboki niesmak.

- Zbiegła zakonnica! A więc do tego już doszło, że zawierasz takie znajomości!

- Och, nie masz racji, tak mówiąc. To bardzo uczciwa osoba, a zakonne przebranie to tylko jedno z jej niegroźnych oszustw.

- Coś mi się zdaje - wtrącił tknięty podejrzeniem Michał - że maczałeś w tym palce.

- Nie - orzekł Uriel - nie sądzę, aby była to jego robota.

- Mylisz się, moja. Zatrzymajmy się na chwilę, co? Bardzo proszę. Obiecałem Zuzannie tęczę.

- Tylko na minutę - zgodził się Michał.

Hadriel mocnym dmuchnięciem tak przegrupował chmury, że w miejscach gdzie padał deszcz, zaświeciło słońce i oto na niebie rozblęła ogromna tęcza. Była szersza od wielkiej rzeki, a górna połowa jej niebotycznego łuku ginęła w obłokach. Pod nią wznosiły się dwie mniejsze, sięgające stopami ziemi. Gdy podróżni znaleźli się w miejscu, gdzie najmniejszy z tęczowych łuków dotykał gruntu, zalała ich nagle istna powódź kolorów z owej anielskiej palety. Równocześnie rozsiane po zimowych łąkach plamy słonecznego blasku wydobyły spod ziemi pierwsze zielone kiełki.

- Hm - mruknął Michał - tęcze to ty umiesz robić. Trzeba ci to przyznać.

- Tylko że jak zwykle przesadziłeś - prychnął Uriel.

Teraz już cała anielska trójka pomknęła wprost ku wieczności.